

MIŁOŚĆ CZY OJCZYZNA?

# WILBUR SMITH

DAVID CHURCHILL

ŁZY WOJNY

ALBATROS

# DŁUGO WYCZEKIWANA POWIEŚĆ O KOLEJNYM POKOLENIU COURTNEYÓW

## MIŁOŚĆ, KTÓRA NIE MIAŁA PRAWA SIĘ ZDARZYĆ

Afrykańska spalona słońcem sawanna i pełen zgiełku Kair, gdzie mieszają się różne kultury. Snobistyczny Londyn i majestatyczny Berlin, w którym panoszą się naziści. Szwajcarskie zimowe St. Moritz i malownicze bawarskie miasteczka...

W którymś z tych miejsc, gdzieś między pierwszą i drugą wojną światową, skrzyżują się losy dwójki osób: pięknej i silnej kobiety i pełnego pasji młodego arystokraty.

W innym świecie po pierwszym spotkaniu już by się nie rozstali. Tylko że nikt nie wybiera miejsca i czasu urodzenia. Ani rodziny.

Saffron, spadkobierczyni znacznej części fortuny Courtneyów, po rodzinnej tragedii musi się pożegnać z sielankowym życiem na farmie w Kenii. Trafia do Europy w momencie, kiedy nad świat nadciągają czarne chmury.

Gerhard von Meerbach, który pochodzi z rodziny wspierającej swoim majątkiem poczynania Hitlera, ma dwie pasje: architekturę i lotnictwo. Za ich sprawą zbliża się do najwyższych kręgów władzy, choć w głębi serca nie popiera nazistów.

Ze spotkania Saffron i Gerharda nie może wyniknąć nic dobrego, zwłaszcza gdy wybucha wojna i muszą wybierać między miłością a lojalnością wobec ojczyzny... i swoich rodzin, które od lat pałają do siebie nienawiścią.

WILBUR  
SMITH

DAVID CHURCHILL

ŁZY WOJNY

Z angielskiego przetłóżył  
PAWEŁ KOROMBEL

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

# Spis treści

[O książce](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorach](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Łzy wojny](#)

[Przypisy](#)

## WILBUR SMITH

Światowej sławy pisarz pochodzący z Afryki, piszący po angielsku. Debiutował w 1964 r. powieścią *Gdy poluje lew*, pierwszą z jego najpopularniejszej sagi historyczno-przygodowej przedstawiającej dzieje rodziny Courtneyów. W skład sagi weszły m.in. **Odgłos gromu, Monsun, Triumf słońca, Assegai** czy **Łzy wojny**.

Pełny dorobek Smitha obejmuje 45 powieści. Akcja więk szości z nich rozgrywa się w Afryce XX wieku, ale fascynacja pisarza starożytnością zaowocowała powstaniem tak zwanego „cyklu egipskiego”, obejmującego powieści **Bóg Nilu, Czarownik, Zemsta Nilu, Siódmy papirus, Ognisty bóg i Faraon**.

Smith jest miłośnikiem dzikiej przyrody, pasjonuje się współczesną historią Afryki, co znajduje odzwierciedlenie w jego twórczości. Sporo podróżuje. Mieszka w Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i RPA. W 2015 r. wraz z żoną założył Wilbur and Niso Smith Foundation wspierającą młodych pisarzy na całym świecie.

[wilbur-niso-smithfoundation.org](http://wilbur-niso-smithfoundation.org)

## DAVID CHURCHILL

Pod tym pseudonimem ukrywa się nagradzany brytyjski dziennikarz, który ma na swoim koncie kilkaset wywiadów z politykami, ludźmi biznesu, sportowcami, gwiazdami kina i legendami rocka. Zajmował się dziennikarstwem śledczym, badając afery na Wall Street, skandale Hollywood i przypadki korupcji w sporcie. Opublikował siedemnaście powieści.

## Tego autora

ZAKRZYCZEĆ DIABŁA  
NAJEMNICY  
PTAK SŁOŃCA  
OKO TYGRYSA  
ŁOWCY DIAMENTÓW  
OKRUTNA SPRAWIEDLIWOŚĆ  
KOPALNIA ZŁOTA  
STRACENICY  
PIEŚŃ SŁONIA  
GNIEW OCEANU  
ORZEŁ NA NIEBIE

### **Hector Cross**

PIEKŁO NA MORZU  
OKRUTNY KRĄG

### **Saga Courtneyów**

DRAPIEŻNE PTAKI  
ZŁOTY LEW  
MONSUN  
BŁĘKITNY HORYZONT  
TRIUMF SŁOŃCA  
ASSEGAI  
ŁZY WOJNY

\*

GDY POLUJE LEW  
ODGŁOS GROMU  
UPADEK WRÓBLA

\*

PŁONĄCY BRZEG  
WŁADZA MIECZA  
PŁOMIENIE GNIEWU

OSTATNIE POLOWANIE  
ZŁOTY LIS

**Saga Ballantyne'ów**  
LOT SOKOŁA  
POSZUKIWACZE PRZYGÓD  
PŁACZ ANIOŁÓW  
LAMPART POLUJE W CIEMNOŚCI

**Cykl egipski**  
BÓG NILU  
CZAROWNIK  
ZEMSTA NILU  
SIÓDMY PAPIRUS  
OGNISTY BÓG  
FARAON

Tytuł oryginału:

WAR CRY

Copyright © Orion Mintaka (UK) Ltd 2017

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

The moral rights of the author have been asserted

Polish translation copyright © Paweł Korombel 2020

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: © David Paire/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8125-985-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub



w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

*Dedykuję tę książkę mojej żonie Mokhiniso za te dziesiątki lat, kiedy dawała mi mnóstwo szczęścia i inspirowała mnie, i za te wszystkie lata, które nadejdą. Kocham Cię, moja Fireball.*

Dwa miesiące minęły od wypowiedzenia wojny i jesienne słońce, które świeciło na czystym, błękitnym niebie nad Bawarią, było tak wspaniałe, jakby nawoływało: „Kufle w dłoń, niech brzmią radosne pieśni!”. Lecz Oktoberfest odwołano już jakiś czas temu, a luksusowa limuzyna z odkrytym dachem, pokonująca krótki podjazd willi w Grünwaldzie pod Monachium, miała przynieść wieści, których w żadnym razie nie można by nazwać radosnymi.

Auto się zatrzymało. Szofer otworzył drzwi od strony pasażera, z limuzyny wysiadł dystyngowany, blisko siedemdziesięcioletni mężczyzna i kamerdyner poprowadził go do domu. Chwilę potem hrabina Athala von Meerbach podniosła wzrok, gdy adwokat rodziny, Viktor Solomons, został wprowadzony do salonu. Mimo że włos miał przyprószony siwizną i poruszał się nie tak żwawo jak niegdyś, to nienaganny krój garnituru, lśniąca biel idealnie wykrochmalonego kołnierzyka koszuli i nieskazitelny blask butów wskazywały, że ich właściciel jest gotów działać równie precyzyjnie, bystrze i wnikliwie jak zawsze.

Solomons zatrzymał się przed fotelem Athali i z szacunkiem skłonił głowę.

– Dzień dobry, pani hrabino – powiedział.

Zdawał się przygaszony, co było całkowicie zrozumiałe, jak uświadomiła sobie Athala. Ukochany syn Solomonsa, Isidor, przebywał daleko na froncie. Żaden rodzic nie mógłby zachować beztroski, wiedząc, że los jego dziecka jest na łasce bogów wojny.

– Dzień dobry, Viktorze, co za niespodziewana przyjemność widzieć cię tutaj. Zechciej spocząć. – Athala kruchą dłonią wskazała fotel naprzeciwko. Odwróciła się do kamerdynera, który wprowadził gościa i teraz oczekiwał dalszych poleceń. – Braun, proszę, podaj kawę *Herr Rechtsanwalt* Solomonsowi. Masz ochotę na ciasto, Viktorze? Może trochę strudla?

– Nie, dziękuję, pani hrabino.

Athala dosłyszała w głosie Solomonsa posępny ton i starszy pan wydawał się dziwnie uciekać wzrokiem. Przynosi złe wieści, pomyślała. Czy chodzi o chłopców? Coś im grozi?

Nakazała sobie spokój. Okazywanie strachu nic nie da, zwłaszcza w obecności służby.

– To wszystko, Braun – powiedziała.

Kamerdyner opuścił salon. Athala nagle zapragnęła jeszcze na chwilę odwlec te złe wieści.

– Powiedz mi, jak się wiedzie Isidorowi? Mam nadzieję, że nic mu nie zagraża.

– Och, nie, dziękuję za troskę, pani hrabino – odrzekł z roztargnieniem Viktor, jakby część jego umysłu była zajęta innymi myślami. Jednak ogromna duma z ukochanego syna kazała mu dodać: – Wie pani, dywizja Isidora służy pod komendą samego następcy tronu, księcia Wilhelma. Niebywałe! Zaledwie tydzień temu dostaliśmy od niego list, w którym pisze, że przeszedł chrzest bojowy. Jego dowódca, major, oświadczył, że Isidor spisał się znakomicie pod ogniem nieprzyjaciela.

– Och, nie wątpię. Isidor to niepospolity młodzieniec. A więc... o co chodzi, Viktorze, z czym przybywasz?

Solomons wahał się chwilę, zbierając myśli, po czym z westchnieniem odparł:

– Obawiam się, że muszę powiedzieć to wprost, pani hrabino. Ministerstwo Wojny w Berlinie poinformowało mnie dzisiaj, że pani mąż, hrabia Otto von Meerbach, nie żyje. Generał von Falkenhayn uznał, że lepiej, by usłyszała pani tę wiadomość od kogoś, kogo pani zna, niż zwykłą drogą telegraficzną lub od obcego oficera.

Athala bezwładnie osunęła się na fotel i przymknęła powieki, niezdolna wydobyć z siebie ani słowa.

– Wiem, że to musi być bardzo bolesne – dodał Solomons.

Tymczasem Athala odczuwała coś wręcz przeciwnego niż ból. Przemożną ulgę. Nic złego nie spotkało jej synów. I w końcu, po tych wszystkich latach, była wolna. Mąż nie mógł już w żaden sposób jej skrzywdzić.

Szybko wzięła się w garść. Od dzieciństwa wpajano jej, że bez względu na okoliczności jej delikatne, porcelanowe rysy twarzy powinny wyrażać jedynie spokojną, dystygowaną elegancję. Teraz druga natura nakazała jej ukryć za tą maską prawdziwe uczucia, tak jak pod powierzchnią stawu skrywa się niestrudzona praca nóg łabędzia, dzięki której z pozorną swobodą sunie on po rozmigotanym lustrze wody.

– Jak zginął? – spytała.

– W wypadku lotniczym. Poinformowano mnie, że był zaangażowany w misję najwyższej wagi w służbie dla cesarstwa niemieckiego. Szczegóły są tajne, ale otrzymałem pozwolenie, by przekazać pani, że do wypadku doszło nad Brytyjską Afryką Wschodnią. Graf leciał swoim nowym wspaniałym statkiem powietrznym *Assagaj*<sup>1</sup>, który odbywał dziewiczy lot.

– A więc to Brytyjczycy go zestrzelili?

– Nie wiem. Nasz ambasador w Bernie otrzymał od brytyjskiego ambasadora tylko informację, że hrabia nie żyje. Anglicy chcieli w ten sposób dać wyraz szacunku i czci, należnych pani świętej pamięci małżonkowi. Przypuszczam, że nie mają żadnych jednostek lotnictwa wojskowego w Afryce, więc musimy zakładać, że doszło do jakiegoś wypadku. Gaz, który unosi te sterowce, jest najwyraźniej bardzo podatny na warunki zewnętrzne.

Athala spojrzała Solomonsowi prosto w oczy i spytała z wielkim spokojem:

– Czy na pokładzie *Assagaja* była ona?

Solomons, podobnie jak każdy, kto miał choćby znikomą wiedzę o śmietance towarzyskiej Niemiec, doskonale wiedział, kim jest owa „ona”. Hrabia von Meerbach od dawna słynął z romansowania na lewo i prawo, ale w ostatnich latach był wręcz opętany na punkcie pewnej pani, czarującej piękności o lśniących czarnych włosach i fiołkowych oczach, Evy von Wellberg. Błagał Athalę o rozwód, aby móc ożenić się z Evą, lecz hrabina odmawiała: katolickie wychowanie nie pozwalało jej zerwać sakramentu małżeństwa. Tak więc wypracowali kompromis. Athala zamieszkała razem z synami w swojej willi o idealnie klasycznych proporcjach, w eleganckim miasteczku na południowy zachód od Monachium, gdzie można było spotkać sam kwiat bawarskiej socjety. Natomiast hrabia Otto osiadł w swym rodzinnym zamku nad Jeziorem Bodeńskim. Trzymał tam kochankę lub, jak myślała o niej Athala, dziwkę i widywał synów z rzadka, tylko wtedy, gdy mógł albo gdy miał na to ochotę.

– *Assagaj* znajdował się na terenach Meerbach Motorenwerke – odrzekł Solomons, mając na myśli gigantyczne zakłady produkujące silniki, źródło rodzinnej fortuny Meerbachów. – Wyższy urzędnik przedsiębiorstwa, obecny przy starcie sterowca, powiedział mi, że na pokładzie gondoli była kobieta. Ministerstwo Wojny poinformowało mnie, że *Assagaj* roztrzaskał się wraz z całą załogą. Nikt nie przeżył.

Athala pozwoliła, by przez jej twarz przemknął gorzki uśmiezek.

– Nie będę nawet udawać, że jest mi żal.

– Ani ja nie będę pani za to potępiać. Doskonale rozumiem, ile pani wycierpiała przez tę osobę.

– Drogi Viktorze, zawsze byłeś taki dobry i uczciwy. Jesteś... – Przerwała. – Byłeś prawnikiem mojego męża, a jednak nigdy w żaden sposób mnie nie skrzywdziłeś.

– Jestem prawnikiem rodzinnym – skorygował delikatnie Solomons. – I dopóki należy pani do rodziny von Meerbachów, zawsze będę uważał panią za swoją klientkę. A teraz, jeśli mogę spytać, czy jest pani gotowa omówić konsekwencje tragicznego odejścia męża?

– Tak, jestem gotowa – potwierdziła Athala i dopiero wtedy, z niezrozumiałego dla niej samej powodu, odczuła stratę, którą do tej chwili przyjmowała obojętnie.

Mimo wszystkiego, co wycierpiała, zawsze modliła się o to, by mążnek przejrzał na oczy i powrócił na łono rodziny. Teraz jej nadzieje bezpowrotnie runęły. Rozplakała się i zaczęła szukać chusteczki w torebce, którą miała u stóp.

– Mogę pomóc? – spytał Solomons, sięgając do kieszeni.

Podziękowała ruchem dłoni i głowy, nie ufając swojemu głosowi. Wreszcie znalazła chusteczkę, otarła łzy, wzięła głęboki oddech i rzekła:

– Proszę mi wybaczyć.

– Droga pani hrabino, dopiero co utraciła pani męża. Bez względu na przykrości, jakie panią spotkały, był przecież mężczyzną, którego pani poślubiła, i ojcem pani dzieci.

Skinęła głową i powiedziała z żalnością:

– Chyba jednak nie mam takiego kamiennego serca.

– Nigdy pani o to nie posądzałem. Ani przez chwilę.

Podziękowała mu ruchem głowy.

– Proszę mówić dalej... Jak sądzę, zamierzał pan opisać konsekwencje... – nie potrafiła się zdobyć na słowo „śmierć” – tego, co się wydarzyło.

– Owszem. Niestety, nie można odprawić pogrzebu, bo jeśli nawet odnaleziono ciało, Brytyjczycy do tej pory już je pochowali.

– Mój mążnek zginął, służąc na obczyźnie krajowi – rzekła Athala, prostując się, znów wytworna i opanowana. – Zasłużył na stosowne uroczystości pogrzebowe.

– Oczywiście. Myślę, że msza żałobna w jego intencji będzie absolutnie właściwa i rzeczywiście stosowna, na przykład we Frauenkirche w Monachium, a może sądzi pani, że bardziej odpowiednia byłaby msza w rodzinnej kaplicy w Schloss Meerbach czy nawet na terenie Motorenwerke.

– Frauenkirche – zdecydowała bez wahania Athala. – Nie wydaje mi się, by tereny fabryczne były należyty miejscem do uczczenia pamięci hrabiego cesarstwa niemieckiego, a kaplica zamkowa jest zbyt mała, by pomieścić wszystkich, którzy zechcą przybyć. Czy ktoś z pańskiej kancelarii porozumie się z urzędem arcybiskupa, ustali datę i zajmie się organizacją uroczystości?

– Oczywiście, pani hrabino, to żaden kłopot. Czy wolno mi zaproponować Bayerischer Hof jako miejsce przyjęcia po mszy? Jeśli poda pani dyrektorowi hotelu ogólne wymagania, służba hotelowa będzie wiedziała, jak najlepiej spełnić pani oczekiwania.

– Niestety, w tej chwili trudno mi nawet zebrać myśli. – Athala zamknęła oczy, próbując opanować chaos w głowie i sercu. – Co się stanie z moimi synami i ze mną? – spytała po chwili.

– No cóż, wielkość i różnorodność majątku hrabiego oznacza, że testament będzie niezwykle rozbudowany. Zasadniczo jednak rodzinne dobra w Bawarii i większość udziałów w Motorenwerke przechodzą na pani starszego syna, Konrada, wraz z tytułem hrabiego von Meerbach. Pani młodszy syn, Gerhard, otrzyma mniejszościowy udział w spółce. Dochody uzyskiwane z rozmaitych posiadłości będą trafiały na fundusz powierniczy, dopóki każdy z pani synów nie skończy dwudziestego piątego roku życia. Do tego czasu przysługuje im sowite kieszonkowe plus, oczywiście, pokrycie kosztów nauki. Każdy dodatkowy wydatek będzie wymagał zgody zarządców funduszu.

– A kto to będzie?

– W pierwszej kolejności pani i ja.

– Mój Boże, że też Otto udzielił mi tyle władzy.

– Był tradycjonalistą. Uważał, że to matka powinna zajmować się wychowaniem dzieci. Ale zechce pani zwrócić uwagę na określenie „w pierwszej kolejności”. Kiedy Konrad osiągnie wiek dwudziestu pięciu lat i zacznie kierować interesami rodziny, przejmie też rolę zarządcy funduszu powierniczego brata, który wtedy będzie miał lat osiemnaście.

– Czyli przez siedem lat Gerhard, w razie potrzeby, będzie musiał prosić Konrada o pieniądze?

– Tak.

Athala zmarszczyła brwi.

– Niepokoi mnie, że władza nad majątkiem będzie tak nierówno rozłożona między braćmi.

– Pan hrabia wyznawał głębokie przekonanie, że rodzina wymaga silnego przywództwa jednostki. Tak jak naród.

– Ale czy on po prostu... Zakładam, że ja jestem zabezpieczona finansowo.

– O tak, jeśli o to chodzi, nie musi się pani martwić. Zachowa pani majątek swojej rodziny, a ponadto zatrzyma pani wszelkie ruchomości, biżuterię i dzieła sztuki, wszystko, co pozyskała pani w trakcie małżeństwa, i będzie pani do końca życia dostawać sowitą coroczną kwotę na własne wydatki. Będzie pani również mieć swoje miejsce w zarządzie.

– Nie dbam o ten przekłety zarząd – powiedziała Athala. – To chłopcy są dla mnie ważni. Gdzie mamy mieszkać?

– To zależy wyłącznie od pani, czy chce pani przebywać tu, w Grünwaldzie, czy w Schloss Meerbach, czy też korzystać z obu nieruchomości. Pan hrabia wyznaczył specjalny fundusz na utrzymanie zamku i otaczających go terenów oraz na zatrudnianie pracowników koniecznych, by zachować standardy, jakich sam wymagał. A zatem znów pani może być panią na Schloss Meerbach.

– Do dwudziestych piątych urodzin Konrada...

– Tak, wtedy to on stanie się panem na tym zamku.



Kiedy Solomons odjechał, Athala poszła na górę do pokoju, w którym Gerhard spędzał czas. Traktowała go jak dar od Boga, nieoczekiwane dobrodziejstwo, a jego narodziny przyniosły rzadki moment radości w małżeństwie, które dawno porzuciło wszelkie widoki na ratunek. Gerhard został poczęty ostatniej nocy, gdy Athala i Otto spali razem. To było krótkie, pozbawione uczuć zespolenie, a w noc narodzin Gerharda Otto był gdzieś daleko, z Fräulein von Wellberg. Ale to właśnie dlatego Athala tak kochała swoje maleństwo.

Rozważała, jak mu wytłumaczyć, że jego ojciec nie żyje. Jak mówi się coś takiego trzylatkowi? Na razie nie miała serca odrywać Gerharda od jego ulubionej zabawy – stawiania budowli z drewnianych klocków.

Athala zawsze z zafascynowaniem przypatrywała się synkowi, gdy układał jaskrawe, kolorowe cegielki. Miał instynktowne wycucie symetrii. Stawiał klocek po jednej stronie zamku, domu lub chaty (Gerhard zawsze wiedział, co buduje), a potem drugi, taki sam, po przeciwnej stronie.

Nachyliła się i pocałowała synka w głowę.

– Mój mały architekt – szepnęła, na co chłopczyk cały się rozpromienił, bo najbardziej lubił, kiedy mama tak właśnie go nazywała.

Powiem mu, obiecała sobie w duchu Athala, ale nie teraz.

Przekazała synom tę wiadomość, gdy Konrad wrócił ze szkoły. Miał zaledwie dziesięć lat, ale już uważał się za pana domu, dlatego też nie okazał żadnej słabości, słysząc, że ojciec, którego był wierną kopią, nie żyje. Chciał natomiast poznać wszystkie szczegóły tego, co się wydarzyło. Czy ojciec bił się z Anglikami? Ilu ich zabił, nim go pokonali? Kiedy Athala nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytania, wpadł we wściekłość i zwymyślał matkę od głupich.

– Ojciec miał całkowitą rację, że cię nie kochał – rzucił szyderczo. – Nigdy nie byłaś dla niego dość dobra.

Kiedy indziej Athala pewnie wymierzyłaby mu policzek za takie słowa, ale dzisiaj puściła je mimo uszu. Tymczasem złość minęła Konradowi równie szybko, jak się pojawiła.

– Jeśli ojciec nie żyje, czy to znaczy, że teraz ja jestem hrabią? – spytał.

– Tak – potwierdziła Athala. – Ty jesteś hrabią von Meerbach.

Konrad wydał okrzyk radości.

– Jestem hrabią! Jestem hrabią! – skandował, maszerując dokoła pokoju, krępy, mały, rudy wartownik. – Mogę robić, co chcę, i nikt mi niczego nie zabroni!

Zatrzymał się przed budowlą brata, która urosła, klocek po klocek, niemal na wysokość samego budowniczego.

– Hej, Gerdi, popatrz na mnie!

Gerhard podniósł wzrok na starszego brata, uśmiechając się niewinnie.

Konrad kopnął jego wspaniałą budowlę, rozrzucając klocki. Kopnął jeszcze raz i jeszcze, aż ostatecznie zburzył całą konstrukcję i kolorowe gruzy rozsypały się po podłodze.

Twarzyczka Gerharda wykrzywiła się z rozpacz i szlochając, podbiegł do matki.

Athala przytuliła synka, spojrzała na małego hrabiego, stojącego dumnie nad swoim dziełem zniszczenia, i z goryczą zdała sobie sprawę, że została uwolniona od małżonka tylko po to, by popaść w niewolę u jeszcze okrutniejszego tyrana – własnego syna.

Szczuplutka dziewczynka miała na sobie bryczesy, które luźno wisały na jej chudych udach. Krótkie czarne włosy, równo przycięte, zwykle nieujarzmiane opaską czy spinkami, teraz upięła pod dżokejką w mały koczek. Jej piegowata buzia była złotobrązowa, a oczy przejrzyste, idealnie błękitne jak afrykańskie niebo, które oglądało każdy dzień jej życia.

Wszędzie dokoła rozciągały się trawiaste wzgórza z połyskliwymi strumieniami, jakby wyżyny Szkocji przeniesiono do ogrodu Edenu: czarodziejska kraina bezgranicznego urodzaju, niepojętych przestrzeni i fascynujących dzikich zwierząt. Tu leopardy wylegiwały się na konarach drzew, będących także domem dla rozgadanych małp i węży, takich jak opalizująca mamba zielona czy płochliwy, ale śmiertelnie jadowity dysfolid. Wśród wysokich traw kryły się lwy o ostrych kłach i pazurach oraz jeszcze bardziej zabójcze bawoły, których rogi potrafiły wbić się w ludzkie wnętrzości tak łatwo, jak igła krawiecka zagłębia się w delikatne płótno.

Dziewczynka niewiele przejmowała się tymi zagrożeniami, bo nie znała innego świata, a poza tym zaprzętały ją dużo ważniejsze sprawy. Gładziła jedwabisty pysk kucyka, urodzonej w Somali kasztanki, z którą była nierozłączna, od kiedy dostała ją na swoje siódme urodziny, osiem miesięcy temu. Kucyk miał na imię Kipipiri, czyli „motyl”, a w języku suahili słowo to było także nazwą wyniosłej góry na wschodnim horyzoncie, migoczącej w rozedrganym powietrzu jak miraż.

– Patrz, Kippy – odezwała się dziewczynka cichym, łagodnym głosem.  
– Patrz na tych wszystkich wstrętnych chłopaków i na ich ohydne ogiery. Pokażmy im, na co nas stać!

Obeszła kucyka i odtrącając pomoc stajennego, włożyła nogę w strzemię, odbiła się od ziemi i wskoczyła na siodło tak zręcznie jak zawodowy dżokej. Przywarła do szyi Kipipiri, gładząc kucykowi grzywę i szepcząc mu do ucha:

– Fruń, mój skarbie, fruń!

Ogarnięta wirem emocji – duma, oczekiwanie i odurzające podniecenie mieszały się ze zdenerwowaniem, lękiem i rozpaczliwym pragnieniem, by nie się nie ośmieszyć – dziewczynka nakazała sobie

spokój. Dawno się nauczyła, że jej ukochany kucyk wyczuwa jej nastroje, więc za żadne skarby nie chciała, by ze strachu i przejęcia zaczął stawać dęba. Tak jak uczyła ją matka, wzięła długi, głęboki oddech, a następnie powoli, łagodnie wypuściła powietrze, aż poczuła, że jej napięty kark i sztywne barki się rozluźniają. Wyprostowała się i spięła kuca do stępa, podnosząc kurz z ogniście ceglanej ziemi, gdy ruszyła ku bramce startowej parkuru, który zbudowano na jednym z pól klubu polo w dolinie Wanjohi z okazji wyścigów konnych w 1926 roku.

Dziewczynka wpatrywała się w rozstawione, pozornie bez ładu i składu, przeszkody. W głowie miała jedną myśl: „Wygram!”.

Z krokwi podtrzymujących daszek z blachy falistej nad werandą klubu zwisał megafon. Popłynął z niego ostry, metaliczny głos mężczyzny, przepuszczony przez wzmacniacz.

– A teraz ostatnia zawodniczka w klasie dwunastolatków i młodszych, panna Saffron Courtney na Kipi... pipi... piri... – Zapadła chwila ciszy, po czym mężczyzna mówił dalej: – Bardzo przepraszam, obawiam się, że przydużo tych „pipi”.

– I różowego ginu, co, Chalky?! – dobiegł okrzyk spośród widzów rozpartych na drewnianych ławkach rozstawionych na doroczny konkurs skoków, który członkowie klubu urządzali dla swoich dzieci.

– Do bólu prawda, staruszk, do bólu – przyznał konferansjer i ciągnął: – Jak do tej pory mamy tylko jeden czysty przejazd, Percy’ego Toyntona na Raptusie, co oznacza, że wyłącznie Saffron stoi Percy’emu na drodze do zwycięstwa. Jest najmłodszą zawodniczką w tym konkursie, więc proszę o wielkie brawa, żeby podnieść ją na duchu.

Rozległ się ospały aplauz blisko pół setki białych osadników, którzy przyjechali oglądać swoje potomstwo lub po prostu korzystali z okazji, by zostawić farmy i interesy i przyjemnie spędzić ze sobą czas. W ciepłym słońcu wczesnego popołudnia i rozrzedzonym powietrzu, gdyż boisko do gry w polo leżało na wysokości niemal dwóch i pół tysiąca metrów, czuli senność, spotęgowaną jeszcze skutkami ich bohaterskich zmagania z alkoholem. Kilka szczególnie znużonych dekadencckich dusz dodatkowo otumaniało się opium, podczas gdy co bardziej awanturnicze elementy kenijskiej socjety wyraźnie rozpierała energia lub podniecenie, prawdopodobny rezultat zażycia kokainy, którą ostatnio traktowano jak przedkolacyjny koktajl.

Jednak matka Saffron, Eva Courtney, zachowywała trzeźwy umysł. W siódmym miesiącu ciąży, po dwóch poronieniach od urodzenia córki, miała zakaz picia wszelkich napojów wysokowych, prócz okazjonalnej szklaneczki guinnessa na wzmocnienie. Popatrzyła w stronę przeszkód, rozstawionych na jednym z boisk do gry w polo, i ścisnęła dłoń męża.

– Powodzenia, mój skarbie – szepnęła i dodała głośniejszym głosem: – Mam nadzieję, że nie spadnie. – Jej ciemnofioletowe oczy przepełniała matczyna troska. – To tylko dziewczynka, a spójrz na niektóre z tych przeszkód.

Leon Courtney uśmiechnął się do żony.

– Nie martw się, kochanie – uspokoił ją. – Saffron to twoja córka. To znaczy, że jest dzielna jak lwica, śliczna jak różowy flaming i... twarda jak stary nosorożec. Bez szwanku dotrze do mety, zapamiętaj moje słowa.

Eva Courtney uśmiechnęła się i puściła jego rękę, by mógł wstać i podejść do linii boiska. Mój Borsuk, pomyślała. Nie usiedzi, nie potrafi z daleka patrzeć na swoją córeczkę. Musi być jak najbliżej miejsca akcji.

Dała Leonowi przydomek „Borsuk” pewnego ranka kilkanaście lat temu, wkrótce po tym, jak się poznali. Tuż po brzasku pojechali konno na skraj Wielkiego Rowu i Eva dostrzegła zabawne stworzenie wielkości mniej więcej przysadzistego, muskularnego psa. Miało czarne futro na brzuchu i w okolicach tylnych łap, a białe i bladoszare na grzbiecie; rozglądało się po trawie niczym staruszek szukający swoich okularów do czytania.

„Co to jest?”, spytała Leona, a on odparł, że to miodożer, podobny do europejskiego borsuka. Powiedział jej, że ten niezwykły poszukiwacz jest jednym z najbardziej zawziętych i nieustraszonych stworzeń Afryki. „Nawet lew obchodzi go szerokim łukiem – dodał. – Zadrzyj z nim, a gorzko pożałujesz”.

Mógłby mówić o sobie, pomyślała Eva. Leon miał wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat i z trudem zarabiał na życie jako przewodnik safari. Teraz brakowało mu tylko roku do czterdziestki i chłopcę zapalczywość, która niegdyś płonęła mu w oczach, zastąpiła pewnością siebie mężczyzny w kwiecie wieku, przeświadczonego o swojej sprawności jako myśliwego i wojownika. Na jego czole, wokół oczu i ust pojawiły się głębokie bruzdy. Z odwieczną frustracją kobiet, dla których zmarszczki są przykrym znakiem, że młodość i uroda już przemijają, Eva musiała przyznać, że u jej mężczyzny wskazują one na

doświadczenie i autorytet i wręcz czynią go bardziej atrakcyjnym. Był teraz nieco szerszy w ramionach, a w pasie już nie tak szczupły jak kiedyś, ale – kolejna niesprawiedliwość losu! – to tylko przydawało mu siły i mocy.

Rozejrzała się po innych mężczyznach emigranckiej społeczności zebranej w tym zakątku Kenii. Jej wzrok spoczął na Josslynie Hayu, dwudziestopięcioletnim przyszłym hrabim Erroll, dziedzicu Lorda Wyższego Konstabla Szkocji. Wysoki, silnie zbudowany, miał na sobie kilt, który często nosił na cześć swojego dziedzictwa, a przez ramię przerzucił somalijski szal w kolorze czerwonej ochry. Był bardzo przystojny, bożyszczko kobiet, zapatrzonych teraz w jego zaczesaną do tyłu blond czuprynę. Zimne niebieskie oczy o ciężkich powiekach spoglądały na świat, a zwłaszcza na płęć żeńską, z leniwą bezczelnością drapieżnika oceniającego następny posiłek. Hay uwiódł połowę białych kobiet w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, ale Eva знаła ten typ aż za dobrze i była zbyt zadowolona z własnego samca alfa, by choć trochę interesowało ją dołączenie do listy zdobyczy Haya. Poza tym był o wiele za młody i za mało doświadczony, by przykuć jej uwagę. Co do reszty zgromadzonych tu mężczyzn, była to pstra mieszanina arystokratów zbiegłych z nowego świata powojennej Wielkiej Brytanii oraz dumni, choć jednocześnie modlący się o następny zastrzyk gotówki osobnicy, żyjący od przelewu do przelewu, a także poszukiwacze przygód zwabieni do Afryki obietnicą życia, na jakie nigdy nie mieliby nadziei w ojczyźnie.

Leon Courtney był inny. Jego rodzina mieszkała w Afryce od dwustu pięćdziesięciu lat. Władał suahili równie swobodnie jak angielskim, z miejscowymi Masajami rozmawiał w ich języku i znakomicie posługiwał się arabskim – podstawowym narzędziem pracy człowieka, którego ojciec rozpoczął działalność handlową opartą na jednym parowcu nilowym, a obecnie rozciągającą się od kopalń złota Transwalu po egipskie pola bawełny i szyby naftowe na terenach dawnej Mezopotamii. Leon nikogo nie udawał. Nie musiał. Był dokładnie takim mężczyzną, na jakiego wyglądał.

Tak, Borsuku, mam szczęście, pomyślała Eva. Największe szczęście – kocham i jestem kochana.

Saffron na starcie opanowała nerwy. Po prostu muszę pobić Percy'ego! – powiedziała sobie w duchu.

Trzynaste urodziny Percy'ego Toyntona wypadły za tydzień, tak więc ledwo się zakwalifikował do udziału w tych zawodach. Nie tylko był prawie dwa razy starszy od Saffron, ale też on i jego koń byli dużo więksi i silniejsi niż ona i Kipipiri. Saffron nie uważała go za sympatycznego chłopca. Przechwalał się i lubił wykazywać swój spryt kosztem innych dzieci. Tak czy owak, przejechał parkur bez ani jednego błędu. Absolutnie musiała mu teraz dorównać i pokonać go w rundzie dodatkowej.

– Nie wybiegaj myślą za daleko – pouczył ją przy śniadaniu tato. – To bardzo ważna życiowa zasada. Jeśli masz poważne, trudne zadanie do wykonania, nie martw się tym, jak będzie ciężko. Rozłóż je na mniejsze, łatwiejsze części i z każdą po kolei się uporaj, aż na końcu zobaczysz, że dałaś radę. Rozumiesz?

Saffron zmarszczyła czoło i skrzywiła się lekko, myśląc o słowach taty.

– Chyba tak – bąknęła bez wielkiego przekonania.

– No więc trzeba zaliczyć czysty przejazd. To bardzo trudne, prawda?

– Tak. – Skinęła głową.

– Ale gdy przed skokiem patrzysz na daną przeszkodę, z pewnością zawsze myślisz, że dasz radę.

– Zawsze! – przyznała Saffron.

– W takim razie nie myśl, jak trudno zaliczyć czysto cały przejazd. Myśl o jednym łatwym skoku, potem o następnym i następnym... a kiedy dotrzesz do końca, zaliczywszy czysto wszystkie przeszkody, okaże się, że przejazd był bardzo łatwy.

– Och, rozumiem! – powiedziała z entuzjazmem.

Teraz spojrzała na nierówny szereg innych zawodników i ich rodziców, zajmujących miejsca po jednej stronie parkuru, i zobaczyła ojca. Pochwycił jej wzrok i energicznie do niej pomachał, uśmiechając się szeroko, co zawsze było dla niej krzepiące i dodawało jej otuchy. Odpowiedziała mu uśmiechem i skupiła się na pierwszej przeszkodzie, kopercie, zwykłej parze skrzyżowanych drągów, tworzących leżące na

boku „X”. Łatwizna! – pomyślała i poczuła nagły przypływ siły i wiary w siebie. Spięła Kipipiri do kłusa, potem do galopu i klaczka posłusznie minęła linię startu, kierując się ku przeszkodzie.



Leon Courtney za nic w świecie nie okazałby napięcia, które czuł, gdy Saffron ruszyła. Serce pękało mu z dumy. Mogła się zgłosić do ośmiolatków, ale oburzał ją sam pomysł, że miałyby walczyć z przeszkodami dla maluchów, z których najwyższa ledwo sięgała Leonowi do kolan. Tak więc uparła się, że wystartuje w starszej grupie wiekowej, i dla większości widzów już samo to było godne podziwu. Myśl, że mogłaby wygrać, nie mieściła się im w głowie. Ale Leon znał córkę. Do wszystkiego tak podchodziła. Zwycięstwo albo nic.

– Dalej, Saffron – szepnął, nie chcąc krzyknąć, żeby nie spłoszyć kuca.

Skierowała się galopem do pierwszej przeszkody, ściągnęła nieco wodze, po czym rzuciła się do przodu i przefrunęła nad samym środkiem koperty, zaliczając ją z wielkim zapasem. Uśmiechnęła się do siebie. I ona, i Kippy miały silną wolę i były uparte. Jak mówiła jej matka: „Nieźle z was ziółka, dziewczyny, jedna warta drugiej!”.

Kiedy miały sobie coś za złe, katastrofa była jak w banku, ale gdy się jednoczyły i podążały do tego samego celu, mogły zdobyć cały świat. Energia odbicia Kippy, idealne wyczucie równowagi przy skoku i lądowaniu, rytm, w jakim się poruszała, czujne postawienie uszu – wszystko to napełniało teraz Saffron nadzieją, że będzie to dobry dzień.

Ale drugie wyzwanie było znacznie trudniejsze. Podwójny szereg, dwie przeszkody, jedna zaraz po drugiej, tak że koń miał miejsce tylko na jeden krok.

– Dobra, mała! – szepnęła Saffron, gdy Kippy przemknęła nad pierwszą przeszkodą i wykonując idealny skok, zaliczyła drugą.

Zdenerwowanie minęło. Saffron była jednością ze zwierzęciem, kontrolowała całą energię skupioną w mięśniach Kippy, napiętych pod gęstą, ciemną, błyszczącą sierścią.

Zwolniła krok klaczy, obróciła ją o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i nakierowała na trzy kolejne przeszkody. Pierwszą była zwykła biała bramka i kucyk pokonał ją bez trudu. Saffron jak na swój wiek miała długie nogi, choć chude jak u bociana, ale bardzo skróciła strzemiona, dzięki czemu łatwiej unosiła się nad siodłem podczas skoku. Potem był tylko jeden drąg, ale umieszczony ponad gałęziami drzewa zwanego

„płomieniem Afryki”, wciąż obsypanego feerią czerwonych i żółtych kwiatów; i znów Saffron i Kipipiri bez problemu dały sobie radę.

– No niech mnie, Courtney, ta twoja mała fruwa lekko jak piórko – odezwał się jeden z widzów, sprawujący urząd miejscowego sędziego emerytowany major kawalerii Brett, gdy Saffron pokonała okser, przeszkodę złożoną. – I prowadzi konia jak rzadko kto. Piękny widok.

– Dziękuję, majorze – powiedział Leon, kiedy Saffron nakierowała Kipipiri na mur i rów z wodą. – Ale to żadna moja zasługa. Saffron trenuje tylko z matką. Nie uwierzyłby pan, ile godzin Eva spędziła z nią na wybiegu, obie uparte jak oślice, skaczące sobie do gardła jak dwa koty, ale Bóg mi świadkiem, opłaciło się. – Leon uśmiechnął się ze wzruszeniem, myśląc o najdroższych mu istotach. – Pan wybaczy na chwilę – dorzucił, znów bez reszty skupiając się na parkurze.

Nie wiedzieć czemu, klaczka miała okropny zwyczaj „maczania palca w wodzie”, jak to nazywał Leon. Zaliczała najwyższe, najszerze i najstraszniejsze przeszkody, ale przekonanie jej, że woda to przeszkoda, którą trzeba pokonać, a nie staw do kąpieli, często było zadaniem nad siły.

Gdy Saffron koncentrowała się przed czekającym Kippy wyzwaniem, Leon wziął głęboki oddech, próbując uspokoić puls.

Diabli wiedzą, co Saffron tam czuje, pomyślał. Ale jak na nią patrzę, jestem roztrzęsiony.

Jedna przeszkoda na raz, jedna przeszkoda na raz, powtarzała sobie w duchu Saffron, wbijając oczy w mur.

– Dalej, mała! – Spięła Kippy do galopu po spalonej ziemi.

Mur był wysoki. Pokonały go, nie strącając żadnej z drewnianych skrzynek na herbatę, z których zaimprovizowano przeszkodę, ale kucyk potknął się przy zeskoku i Saffron potrzebowała całych swoich umiejętności, by utrzymać go na nogach i nie stracić rozpędu. Kipipiri odzyskała równowagę i rytm i już mknęła w stronę rowu.

Saffron przysięgła sobie, że tym razem za żadne skarby świata nie skąpią się w wodzie. Doprowadziła klaczkę do pełnego galopu, ale źle wymierzyła odskok i wybiły się trochę za wcześnie, jednak miały taki rozpęd, że Kipipiri frunęła jak strzała nad drągiem, zostawiając za sobą rozległą kałużę mętnej, brązowawej wody. Saffron musiała użyć wszystkich sił, by powstrzymać zapał kuczka i znów zrobić zwrot – tym razem ostro w lewo – bo inaczej wypadłyby z parkuru.

Nie mogła złapać tchu, ale w duchu triumfowała. Bezbłędnie! Już prawie koniec!

Przed sobą miała niski płotek, trzy pasiaste drągi, jeden nad drugim. Komitet zawodów zdecydował się na tę wyjątkowo prostą przeszkodę, bo za nią umieszczono ostatnie i największe wyzwanie, wściekle trudny triple bar: zwykłą stacjonatę, mur ze snopków siana zwieńczony drągiem i w końcu okser, ustawione w odległości jednego końskiego kroku. Niektórym zawodnikom ledwo udawało się pokonać stacjonatę i jeszcze ostatnim wysiłkiem przeskoczyć mur, ale po prostu wbijali się w okser, nie umiejąc pokierować koniem. Tylko Percy pokonał cały triple bar, nie zahaczając o żadną przeszkodę.

Saffron musiała zaliczyć potrójny szereg. Zebrała resztki energii, jakie jeszcze miała, i przejechała tuż obok widzów, w myślach powtarzając układ kroków niezbędny do rozpoczęcia tej kombinacji w takim miejscu i z taką szybkością, by wszystko zaliczyć. Prawie nie myślała o przedostatniej przeszkodzie, gdy Kipipiri ją przeskakiwała.

Kiedy tylne kopyta klaczki przelatowały nad drągami, Saffron wydało się, że słyszy za sobą głuchoe stuknięcie. Obejrzała się i zobaczyła, że drąg został trącony, ale wciąż był na swoim miejscu, więc przestała się nim

przejmować. Niemal nie widząc ludzi, których pędem mijała, nie słysząc ich cichych okrzyków, zbliżała się do pierwszej z trzech przeszkód. Idealnie wymierzyła odskok, zaliczyła stacjonatę, utrzymała właściwą długość kroku Kippy przed drugim skokiem, pokonała mur, po czym zebrła wodze tak mocno, że mniej więcej przygotowała klaczkę do skoku – i przefrunęły ponad okserem.

Udało się! Udało! – triumfalnie krzyknęła w duchu Saffron, galopując do mety. Minęła ją i spowolniła Kipipiri do kłusa, wyjeżdżając z parkuru. Zobaczyła, że ojciec biegnie do niej, omijając klaszczących widzów, i zaczęła do niego machać. Ale nie odpowiedział tym samym.

Saffron uniosła brwi. Dlaczego on się nie uśmiecha?

I wtedy usłyszała głos z megafonu, i poczuła się, jakby koń kopnął ją brzuch.

– O Boże! Co za straszliwy pech! Dzielna Saffron Courtney straciła przedostatnią przeszkodę, kiedy była już tak blisko celu. Rany, ten drąg kiwał się całą wieczność, zanim spadł! Tak więc rozетка zwycięzcy przypada Percy’emu Toyntonowi. Świetny przejazd, młody człowieku!

Saffron prawie nie wiedziała, co się dzieje, kiedy stajenny odbierał od niej wodze Kipipiri. W głowie miała tylko jedno: Jak mogłam stracić ten głupi, durny, łatwy drążek? Łzy nagle napłynęły jej do oczu i ledwo cokolwiek widziała, gdy ojciec zdjął ją z siodła i przytulił do piersi, ściskając mocno, zanim postawił ją na ziemi.

Przywarła do niego, obejmując go za nogi, a on gładził ją po włosach.

– Jestem lepsza niż Percy, wiem, że jestem – wykrztusiła przez łzy. Kiedy podniosła głowę, na twarzy miała tyleż wściekłości, co rozpacz. – Przegrałam, tato, przegrałam! – krzyknęła. – Nie wierzę... przegrałam!

Leon dawno się nauczył, że w takich sytuacjach nie ma co przemawiać córce do rozsądku. Temperament miała szalejący jak afrykańska burza, ale złość mijała jej tak samo szybko jak ta burza, a potem Saffron rozjaśniała się niczym słońce nad sawanną i promieniała równie mocno.

Odsunęła się od ojca, zerwała z głowy toczeń, cisnęła go na ziemię i kopnęła daleko.

Leon usłyszał za sobą pełne dezaprobaty chrząknięcie i odwróciwszy się, zobaczył majora Bretta, marszczącego czoło na ten pokaz dziewczęcej złości.

– Powinieneś poczytać tej młodej damie Kiplinga, Courtney.

– Bo zachowuje się jak małpa z *Księgi dżungli*? – spytał Leon.

Major nie dosłyszał żartobliwej nuty, a może uznał, że to nie chwila ani miejsce na żarty.

– Dobry Boże, nie, człowieku, oczywiście, że nie! Mam na myśli tamten wiersz. Wiesz, triumf, porażka, oszuści i tak dalej.

– Ach, ale moja córka jest z Courtneyów i takie szczytne ideały to nie nasz zasięg. Albo triumfujemy, albo przegrywamy.

– No, muszę powiedzieć, że to niezbyt angielska postawa.

Leon się uśmiechnął.

– Pod wieloma względami daleko nam do angielskości. Zresztą ten wiersz, który cytujesz, *Jeżeli...*

– Właśnie ten.

– O ile pamiętam, Kipling napisał go dla syna, który zginął na wojnie, biedaczysko.

– Chyba tak, paskudna sprawa.

– I sedno, ostatni wers, jeśli mnie pamięć nie myli, brzmi tak: „I co więcej, będziesz mężczyzną wtedy”<sup>2</sup>.

– Cholernie dobrze powiedziane.

– Tak, w przypadku chłopca. Ale Saffron jest moją córką. Dziewczynką. I nawet Rudyard Kipling nie potrafiłby zamienić jej w mężczyznę.

– Drogi Leonie, jak miło, że przyszedłeś – powiedziała lady Idina Hay.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł Leon.

Dobrane, niewielkie grono widzów konkursu zaproszono na kolację i pozostanie na noc w domu Hayów, Slains, nazwanego tak na pamiątkę rodzinnego gniazda Josslyna Haya. Leon długo się wahał, czy przyjąć zaproszenie. Idina, drobna, szczupła kobieta o wielkich zniewalających oczach, która dorównywała swojemu małżonkowi pod względem chęci i siły uwodzenia, szybko stała się takim samym źródłem skandali kenijskiej socjety, jakim była wśród londyńczyków. Teraz, po raz trzeci zamężna, z armią kochanków u boku, uwielbiała witać gości, spoczywając naga w zielonej onyksowej wannie; sprawować honoru domu, odziana jedynie w cienki bawełniany szal, związany na piersiach, w miejscowym stylu, bez niczego pod spodem; podsuwać gościom wazę z kluczami do sypialni i zachęcać ich do wyboru, mówiąc, który pokój jest dostępny, i sugerując spędzenie nocy z osobą, którą zastanie się w środku.

„Dla służących to chyba nie do zniesienia – dodała Eva, przekazując tę plotkę Leonowi. – Zbierają brudy, piorą, prasują, ale nie mają pojęcia, komu co zwrócić”.

Jednak tego wieczoru Idina zachowywała się bez zarzutu, ubrana jak na przyjęcie w najelegantszym paryskim salonie, w niewiarygodnie krótką, przezroczystą, lecz nieomal przyzwoitą sukienkę z powiewnego szyfonu w kolorze słomkowym. Leon był przekonany, że jego żona w sekundę rozpoznałaby dzieło sławnego kreatora mody, o którym on sam nigdy nie słyszał.

– Tak mi przykro, że Eva nie mogła się zjawić – powiedziała Idina, jakby czytała mu w myślach.

– No cóż, jest strasznie umęczona tym noszeniem w sobie dziecka – odparł. – Przysięga, że to musi być chłopiec, bo jak mówi, waży dwa razy tyle co Saffy na tym samym etapie. Wróciła do Lusimy z Saffy i klaczką.

– Mam nadzieję, że nie prowadzi auta!

– No wiesz, bardzo chciała. Uparła się, że usiądzie za kierownicą, ale ja nie uległem i oznajmiłem, że to wykluczone. No więc Loikot, mój zarządca, odwiezie ją rollsem. Wróci po mnie jutro.

Idina się roześmiała.

– Tylko ty jeden w Kenii mogłeś wpaść na pomysł, żeby jeździć po tych strasznych nieutwardzonych drogach takim szaleńczo ekstrawaganckim autem!

– Przeciwnie, to wyjątkowo mocna, praktyczna maszyna. Zbudowana jako pojazd pancerny, podczas wojny szalała w Arabii i Mezopotamii. Kiedy nastał pokój, wojsko miało ich w nadmiarze, więc kupiłem jedną. Trochę ją odpućowałem, ale pod spodem to nadal pojazd wojskowy. – Uśmiechnął się szeroko do Idiny. – Jeśli znów zrobi się groźnie, przyspawam trochę blachy pancernej, osadzę na siedzeniu pasażera wieżyczkę z karabinem maszynowym i wyruszam prosto na wojnę.

– Może powinnam sobie kupić jeden taki okaz – odezwała się z namysłem Idina. – Oczywiście mam swoją hispano-suizę. Cudowne auto.

– Z pewnością. Co najmniej tak świetne jak mój royce, a ten srebrny bocian na masce dorównuje stylem Spirit of Ecstasy<sup>3</sup>.

– To prawda, ale Eva powinna raczej przechadzać się po Mayfair w Londynie, niż tłuc się po gruntowych drogach Afryki... Teraz muszę sprawdzić, czy kolację przygotowano jak należy – zakończyła Idina. – To, że się jest pół świata od ojczyzny, nie znaczy jeszcze, że wolno obniżać standardy.

Wyjąwszy zamianę kluczy od pokoi, pomyślał Leon, idąc przebrać się do kolacji. Chyba że tak robi się również w Mayfair.

Goście przyszli na drinka przed kolacją i od razu podzielili się na dwie grupy, według płci – mężczyźni w smokingach, kobiety niczym gromada bajecznie upierzonych kolibrów. Leon Courtney, trzymając szklanek whisky, rozmawiał z grupką mężczyzn, w której stał również gospodarz, Josslyn Hay. Obaj wyróżniali się nie tylko wzrostem, ale też faktem, że wyraźnie byli dominującymi samcami w tym szczególnym stadzie: parą magnesów dla ciekawych kobiecych oczu.

– Coś mi się zdaje, że zarzucę wędkę na Leona Courtneya – obwieściła szanowna Amelia Cory-Porter, świetnie ubrana i mocno umalowana młoda rozwódka z krótkimi, modnie obciętymi włosami, która zdecydowała się zaszyć w kenijskim zakątku, aż ucichnie wrzawa wokół jej małżeństwa, zakończonego z powodu zdrady. – Smaczny z niego kąsek, nie uważasz?

– Strata czasu, kochanie – odparła Idina Hay. – Leon Courtney to jedyny mężczyzna w całej Kenii, który odmawia sypiania z jakąkolwiek inną kobietą niż jego własna żona. Prawdę mówiąc, to niesłychanie denerwujące. Zastanawiam się, czy aby nie tracę wprawę.

Amelia wyglądała na zaskoczoną, jakby zetknęła się z całkowicie nowym i nieoczekiwanym aspektem ludzkich zachowań.

– Odmawia seksu? Naprawdę? Trudno uznać to za naturalne, zwłaszcza gdy jego żona nie jest w stanie go zaspokoić. Chyba nie myślisz, że to skryty homoseksualista?

– Wielkie nieba, skądże! Wiem z dobrego źródła, że za młodych lat biegał za spódniczkami. Ale z chwilą, gdy jego wzrok padł na Evę, zakochał się po uszy i został usidlony.

– Chyba trudno mu się dziwić – rzuciła Amelia, choć na jej twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty. – Widziałam ją podczas konkursu i jest absolutnie piękna. Jak to piszą w romansach... oczy jak dwa głębokie stawy? No więc tak by można powiedzieć. Ale nawet jeśli, to przecież jest w zaawansowanej ciąży. W tych czasach nikt nie oczekuje, że mężczyzna będzie żył jak mnich tylko dlatego, że jego żona ma brzuch jak balon zaporowy.

– No, może Leon Courtney jest po prostu staromodnym dżentelmenem.



– Och, nie mów głupstw. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma czegoś takiego. Ale nieważne, kochanie, opowiedz mi o tej Evie. To bardzo dziwne. Chyba wychwyciłam w jej głosie zaśpiew rodem z hrabstwa Northumberland. Tatuś ciągle polował na tamtych terenach i wszyscy jeździliśmy z nim, więc znam ten akcent od służby, leśniczych i tak dalej. Ale słyszałam, że w rzeczywistości jest Niemką, czy to prawda?

– No cóż – zaczęła Idina, gdy obie nachyliły się do siebie, niczym dwaj spiskowcy dzielący się najgłębszym sekretem – ludzie naprawdę stąd, tacy jak Florence Delamere, którzy siedzą tu od lat, wciąż pamiętają, jak Eva pojawiła się w Nairobi, mniej więcej rok przed wojną. Pewien koszmarny niemiecki przemysłowiec przybył tutaj na najwystawniejsze safari, jakie ludzkie oko widziało, i jeździł na polowania fantastycznym odkrytym automobilem w asyście sznura ciężarówek, które woziły mu wszystkie bagaże. Do tego miał dwa wielkie samoloty, zbudowane przez jego własną spółkę.

– Boże świąty, co za widowisko – powiedziała Amelia, z wyraźnym podziwem dla takiego pokazu władzy i bogactwa.

– To prawda – przyznała Idina. – Oczywiście całe miasto przybyło, żeby obejrzeć te latające maszyny, ale pod koniec dnia równie wiele gadano o uroczym stworzeniu, które paradowało u boku tego przemysłowca. Nie przejmowała się tym, że uchodzi za jego kochankę, i mówiła o sobie „Eva taka-czy-owaka”.

– I to właśnie ta Eva, którą widziałam dzisiaj?

– Owszem. I zgadnij, kim był biały myśliwy służący temu Niemcowi za przewodnika.

– O Boże, Leon Courtney?

– On sam. W każdym razie Eva i przemysłowiec... był chyba absolutnym uosobieniem brutalnego szwaba... wrócili do Niemiec i wydawało się, że tyle ich widziano. Aż tu nagle, wkrótce po wybuchu wojny, w tajemniczy sposób wróciła do Kenii, skacząc ze spadochronem z gigantycznego zeppelinu.

– No nie! Tego już nadto! – skwitowała ze śmiechem Amelia.

– Cóż, tak opowiadają, a słyszałam to już od tylu ludzi, którzy tu wówczas byli, że trudno nie wierzyć. Zeppelin najwyraźniej się rozbił w sercu kraju Masajów, zestrzelony przez...? – Idina urwała, drażniąc się z Amelią.

– Nie! Nie mów! Chyba nie znowu przez Leona?

– Właśnie tak... i spoza szczątków wynurzyła się śliczna jak obrazek i świeża jak pączek róży urocza Eva i padła zemdlona w jego ramiona!

– Szczęściara. Natychmiast padłabym zemdlona w jego ramiona, gdyby tylko zechciał mnie złapać.

– Nie zechce, więc będziesz musiała sobie znaleźć inne męskie ramiona, żeby w nie padać!

– Jesteś pewna? – spytała Amelia, leciutko marszcząc swoje porcelanowe czoło. – Nie ma nic smutniejszego niż poddać się bez walki. Bądź co bądź, Leon jest nie tylko przystojny, ale też diabelnie bogaty. Lusima to chyba jedna z największych nieruchomości w tym kraju.

– Zapłacił za tę ziemię gotówką. Pół miliona funtów za pięćdziesiąt tysięcy hektarów, nie musiał pożyczać ani pensa. Wiem, że to absolutny fakt, bo usłyszałam o tym od człowieka, który pośredniczył w sprzedaży.

– Pół miliona? – Amelii aż dech zaparło.

– No właśnie! Kiedyś zebrałam się na odwagę i spytałam Leona, skąd miał tyle pieniędzy, ale zaczął coś kręcić. Najpierw mówił o „reparacjach wojennych”, a potem powiedział, że to była zapłata za różne patenty, które należały do ojca Ewy.

– Może jest gangsterem i to wszystko wzięło się z jego przestępstw! – wykrzyknęła z przejęciem Amelia. – Och, to byłoby cudowne zostać... jak się to mówi?... laleczką gangstera.

– Jasne, złotko, ale kimkolwiek może być Leon Courtney, na pewno nie jest przestępcą. Osobiście sędzę, że jego pieniądze mają jakiś związek z wojną. – Oczy Idiny nagle rozbłysły szelmowsko. – Posłuchaj, kochanie, będziesz mogła się dzisiaj wykazać. Zmienię usadzenie gości na kolacji i dostaniesz miejsce obok Leona. Jeśli przed koniakiem i cygarami zdołasz z niego wyciągnąć, skąd miał swoją fortunę, naprawdę mi zaimponujesz.

– W porządku! – powiedziała Amelia. – I do tego jeszcze go uwiodę, sama zobaczysz, pal licha żonę.

Idina uniosła brew.

– No, no, moja droga, nie bądź taka zachłanna.

Dzięki połączonym wysiłkom Idiny Hay i jej znakomitej gospodyni, Marie, personel kuchenny w Slains był tak wyszkolony, że żaden zamek nad Loarą nie powstydziliby się podanych na kolację francuskich dań. Wino, którego przechowywanie w tropikach sprawiało wieczne kłopoty, było na równie znakomitym poziomie. Leon już dawno nauczył się ograniczać picie na kenijskich wysokościach, ale miał wrażenie, że jego sąsiadka przy stole, niejaka Amelia Cory-Porter, postanowiła wlać w niego jak najwięcej wina Premier Cru. Była dość atrakcyjna, ale w krzykliwym, nieciekawym dla niego stylu, i zbyt mocno umalowana jak na jego gust. Wyraźnie czegoś od niego oczekiwała, choć Leon nie był do końca pewien, co to może być.

Początkowo myślał, że z nim flirtuje, bo wszystko, co wiedział o kobietach, mówiło mu, że gdyby tylko chciał ją uwieść, z radością by mu uległa. Ale kiedy przystawka, confit z kaczki plus warzywa z ogrodu Slains, ustąpiła miejsca znakomitym stekom z antrykotu w sosie pieprzowym, zdał sobie sprawę, że Amelii chodzi nie o jego ciało – w każdym razie nie w tej chwili – lecz o informację. Oczywiście, dobre maniery wymagały, by okazywać zainteresowanie osobie siedzącej obok przy stole, i każda, nawet najgłupsza, kobieta wiedziała, jak sprawić, by mężczyzna poczuł się najmądrzejszy, najbardziej fascynujący i najdowcipniejszy na ziemi. Amelia jednak nie tyle mu schlebiała, ile szczegółowo wypytywała go o jego życie, z każdą chwilą stając się coraz bardziej dociekliwa, zwłaszcza w kwestii jego służby wojskowej. Leon robił wszystko, by odciągnąć ją od tematu; powiedział, że nigdy nie opowiada o wojnie, i dodał, że z jego doświadczenia wynika, iż każdy mężczyzna, który to robi, jest łobuzem i prawie zawsze kłamcą.

– No, chyba że jest poetą – dorzucił w nadziei, że może jak wiele innych idealistycznie nastawionych młodych kobiet skieruje swoje myśli na Wilfreda Owena, Siegfrieda Sassoona i innych poetów piszących o wojnie.

Amelia jednak nie ustępowała. Była niczym terier, który poczuł w nozdrzach woń wyjątkowo dorodnego zająca.

– Słyszałam niezwykle historie o tym, jak sam zestrzelił pan wielkiego zeppelin. To niebывały wyczyn, ale proszę mi powiedzieć: czy to

prawda?

– Mnie wydaje się to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne – odparł Leon. – Zeppelin to maszyna powietrzna piekielnie trudna do zestrzelenia, proszę zapytać jakiegokolwiek pilota. Ale za bardzo się rozgadałem. Musi mi pani opowiedzieć, co się dzieje w Londynie, co nowego, ciekawego i tak dalej. Moja żona będzie wniebowzięta, jeśli będę mógł jej przekazać jakieś nowinki z ojczyzny.

Leon mówił prawdę, przynajmniej do pewnego stopnia. Zestrzelenie zeppelinu z karabinu maszynowego było wyjątkowo trudnym zadaniem i dlatego między innymi nigdy nie dokonał takiego wyczynu. I rzeczywiście, Eva z radością posłuchałaby o najnowszej modzie, o spektaklach, powieściach i muzyce, o wszystkim, co pochłaniało londyńską socjetę.

Jednakże Amelia nie zamierzała o tym mówić.

– Och, kogo obchodzą głupie fatalaszki i jeszcze głupsze książki? Chcę posłuchać o tym zeppelinie.

Leon westchnął. Nie był to temat, który miałby chęć poruszać, ale jak mógł wyrwać się ze szponów tej kobiety, unikając niewybaczalnego braku ogłady? Właśnie rozważał następny ruch, gdy usłyszał z drugiej strony stołu męski głos, niewątpliwie spotęgowany winem:

– Powiedz no, Courtney, czy to prawda, że jest Masaj, z którym wiąże cię braterstwo krwi?

Głos należał do nowego przybysza na tereny Kenii, który przedstawiał się jako Quentin de Lancey i epatował otoczenie manierami klasy wyższej, chociaż jego powierzchowności daleko było do arystokratycznej. Był otyły i w upale jego twarz szybko pokrywała się potem i czerwieniała, a rzadkie rudawokasztanowe włosy leżały mokrymi strąkami na bladej, pomarszczonej czaszce.

– Coś w tym rodzaju – rzucił wymijająco Leon.

Kiedy był dziewiętnastoletnim podporucznikiem w Trzecim Batalionie Królewskich Strzelców Afrykańskich, sierżantem jego plutonu był Masaj Manyoro. Leon uratował mu w bitwie życie i gdy sam trafił pod sąd wojenny, fałszywie oskarżony o tchórzostwo i dezercję, zeznania Manyora ocaliły mu głowę. Nie było człowieka na ziemi, którego przyjaźń ceniłby sobie wyżej.

– I jak mówią na ciebie czarnuchy? Bongo coś tam, jak obilo mi się o uszy. – Kilkoro gości uśmiechnęło się, jedna z kobiet zachichotała

nerwowo. – Bongo z Bongobongolandii, hę? – dodał Lancey, wyraźnie zachwycony swoim błyskotliwym dowcipem.

– Nadano mi imię M'Bogo – odparł Leon, a mądrzejszy i bardziej trzeźwy mężczyzna niż de Lancey usłyszałby w jego głosie nutę hamowanego gniewu.

– A cóż to znowu za imię? – nie ustępował de Lancey.

– Tak się mówi na wielkiego bawołu. To imię oznacza siłę i ducha walki. Uważam za zaszczyt, że je otrzymałem.

Znów tylko głupiec nie usłyszałby w słowach „siła i duch walki” ostrzeżenia, ale de Lancey pozostał na nie głuchy.

– Och, dajże spokój, Courtney – powiedział tak, jakby on był głosem rozsądku, a Leon zwykłym durniem. – Pewnie, dogadywać się z tymi ludźmi nie zaszkodzi, ale nie udawajmy, że są czymś więcej niż niższą rasą. Parę miesięcy temu pewien gość, którego znam, wybrał się w głąb kraju, szukając dobrego miejsca na założenie farmy. Kiedy zatrzymał się na noc, powiesił przed namiotem lampę naftową. Ani się obejrzał, a pół tuzina czarnuchów wypadło z buszu, nagusieńkich, poza tą czerwoną szmatą, co ją noszą na sobie.

– To *shuka* – wtrącił Leon.

Siedzącej obok Amelii Cory-Porter rozszerzyły się źrenice i zaczęła szybciej oddychać, czując, że ten mężczyzna obok niej szykuje się, by zademonstrować swój autorytet, niewykluczone, że siłą.

– Tak, możliwe, jak zwał, tak zwał, ale biedny gość zmartwiał ze strachu, mało w portki nie popuścił – ciągnął de Lancey. – Okazało się, że negrzy chcieli tylko posiedzieć przy jego namiocie, przewietrzyć przyrodzenie na wietrze, no i wybałuszali gały na lampę... Mój kumpel nie wiedział, gdzie ma oczy podziać! A oni nigdy nie widzieli niczego podobnego, myśleli, że to gwiazda złapana w butelkę.

Leon zdał sobie sprawę, że ściska w pięści serwetkę, co zapowiadało, że jest bliski wybuchu. Opanuj się, pomyślał. Policz do dziesięciu. Nie ma sensu robić z siebie widowiska z powodu tego idioty.

Rozluźnił mięśnie, ku wielkiemu rozczarowaniu Amelii, która z żalem poczuła, że jej rozkoszne napięcie opada.

– To prawda, gdy pierwszy raz widzą białego człowieka i przedmioty, które on posiada, są zaskoczeni – powiedział Leon, przybierając jak najbardziej bezbarwny ton, w nadziei że tym zamknie temat.

– No pewnie – parsknął de Lancey, który z kolei pragnął przedłużyć to wspaniałe uczucie, że jest centrum uwagi całego towarzystwa. – Tym

ludziom nie udało się choćby otrzeć o cywilizację.

Leon westchnął ze zniecierpliwieniem. Do cholery! Zaraz pokażę bufonowi, gdzie jego miejsce.

– Masajowie nie mają w swoim świecie drapaczy chmur, samolotów ani telefonów, to prawda. Ale znają się na rzeczach, o których my nie mamy najmniejszego pojęcia.

– Niby to na jakich?

– Nawet dziecko Masajów potrafi całymi dniami iść po otwartym terenie, tropiąc dzikie zwierzę. Dostrzegą ślad nogi słonia na ziemi twardej jak skała, tam gdzie my widzielibyśmy tylko kurz i kamienie, i umieją dokładnie rozpoznać, jakie zwierzę zostawiło dany ślad. Jeśli masajscy żołnierze, którymi miałem przywilej dowodzić, trafili na trop nieprzyjacielskiego plemienia, od razu wiedzieli, ilu ludzi ono liczyło, kiedy przechodzili i dokąd szli. A jeśli podważasz zdolności umysłowe ludzi Afryki, odpowiedz mi, de Lancey, na pytanie: w ilu językach mówisz?

– Zawsze uważałem, że zdolność porozumiewania się wyborną angielszczyzną całkowicie mi wystarcza.

– W takim razie cała masa Afrykanów, którzy w naturalny sposób władają trzema językami, daleko cię wyprzedza. Znają język swojego plemienia, *lingua franca* narodu, do którego plemię należy, i język swoich kolonialnych panów. A więc taki przykładowy Masaj, który nazywa mnie „M’Bogo”, dorastał, mówiąc po masajsku. Jako młodzieniec trafił do Królewskich Strzelców Afrykańskich, gdzie szeregowi mówią w suahili, i szybko ten język opanował. W ostatnich latach nauczył się płynnie mówić po angielsku. Ci ludzie to nie negrzy ani czarnuchy, jak z upodobaniem ich nazywasz. To dumna, szlachetna rasa wojowników, która wypasała swoje bydło na tych ziemiach od niepamiętnych czasów, i w swoim środowisku absolutnie nam dorównują lub wręcz nas przewyższają.

– Dobrze powiedziane – stwierdził siedzący po drugiej stronie stołu drobny mężczyzna o łysym ciemieniu, z nielicznymi siwymi włosami, patrząc przez okulary w stalowych oprawkach.

– Hm, nadal utrzymuję, że istnieje powód, dla którego my jesteśmy ich panami, a oni nam służą – rzekł z uporem de Lancey. – To tylko banda leniwych dzikusów, a my górujemy nad nimi i umysłem, i ciałem.

Odrzuciwszy opcję zbitcia de Lanceya na kwaśne jabłko, Leon zastanawiał się, jakiej udzielić mu nauki, na którą tamten ze wszech

miar zasłużył, i nagle doznał olśnienia.

– Miałbyś ochotę poddać próbie tezę, którą głosisz? – spytał.

– Och – szepnęła Amelia. – Będzie zabawa!

– Niby jak? – zapytał de Lancey i po raz pierwszy nuta niepewności zadźwięczała w jego głosie, bo raptem uświadomił sobie, że może wpaść w pułapkę.

– Założę się, że jeden Masaj z mojego majątku zdoła prześcignąć trzech białych, których wystawisz przeciwko niemu.

– Masz na myśli wyścig?

– Coś w tym rodzaju. Wyobrażam to sobie w ten sposób... – Leon pochylił się nad stołem tak, by każdy dobrze go słyszał i widział. Chciał, by jego słowa dotarły do wszystkich. – Za tydzień od dziś wszyscy znów spotkamy się na boisku do polo. Dokoła przeciągnie się linę i zawodnicy pobiegną wokół boiska, na zewnątrz liny. Czy to jasne?

– Chyba tak – powiedział de Lancey. – Będą biegali dokoła boiska i jeśli biały człowiek zwycięży, to ja wygrywam zakład, a jeśli twój brudas będzie pierwszy, zwycięstwo jest twoje?

Leon się uśmiechnął.

– Tak naprawdę to byłoby zbyt łatwe dla Masajów. Uznaliby tego rodzaju pomysł za obelgę i stwierdziliby, że taki wyścig może wygrać jeden z ich małych chłopców albo nawet kobieta.

– Słuchaj, staruszkule, mówisz tak, jakbyś nienawidził własnej rasy.

– Wcale nie. Uważam tylko, że albo ktoś jest dobrym człowiekiem, albo nie, i kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy. Najpotworniejszy despota i kłamca, jakiego w życiu spotkałem, był biały. – Leon urwał i rozejrzał się wokół stołu, zauważając dezaprobatę na twarzach gości. – A konkretnie był Niemcem – dodał.

Twarze od razu się wy pogodziły, rozległy się głośne śmiechy i ktoś zawołał:

– Co spotkało tego potwornego szwaba?!

– Wszedł w drogę kuli ze strzelby na słońce.

– Czy tak wyglądała twoja służba wojskowa? – spytał zjadliwie de Lancey. – No cóż, lepsze to niż nic.

Mężczyzna w okularach w stalowych oprawkach odchrząknął. Miał filozoficzne, niemal smutne spojrzenie, a usta układały mu się w wyraz goryczy, jakby był aż nadto świadomy niedoskonałości i ulotności ludzkiego życia. Wokół stołu natychmiast zapadła cisza. Był to wielce szanowny Hugh Cholmondeley, trzeci baron Delamere

i niekwestionowany przywódca białej ludności Kenii. Należał do pierwszych brytyjskich osadników w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, miał dwie wielkie posiadłości i był sławny z racji fortuny, którą wydał, próbując rozwinąć hodowlę bydła i owiec oraz uprawy zbóż na swoich polach, a jednocześnie rozległe obszary pozostawił nietknięte, by zachować tam naturalny stan przyrody. Z oparcia jego krzesła zwisała laska, gdyż kulał po ataku lwa. Ale w jego błędzących daleko oczach kryła się siła.

– Panie i panowie, darujmy sobie wszelkie docinki – powiedział. – Mogę zaświadczyć, że Courtney podczas wojny służył w armii u mego boku, ścigając tego drania von Lettowa po całej Afryce Wschodniej. Może również zaciekawili was fakt, że pani Courtney towarzyszyła nam jako nawigator lotniczy i pilot i na moją osobistą prośbę została nagrodzona Medalem Wojskowym za odwagę na polu walki. Courtneyowie zrobili, co do nich należało, macie na to moje słowo.

Leon skłonił głowę w wyrazie wdzięczności.

– Dziękuję, panie baronie.

– Nie ma za co, drogi chłopcze. Teraz zechciej dokończyć opis tego zakładu. Jak wiesz, w dużej mierze podzielałem twoją opinię o Masajach.

To również wiedzieli wszyscy Brytyjczycy w Kenii. Delamere nawet zbudował swoje domostwo z mułu i słomy, tak jak Masajowie wznosili własne chaty.

– Oczywiście – ciągnął Delamere – uważam, że nasza europejska cywilizacja jest daleko bardziej rozwinięta niż afrykańska. Niemniej każdy Masaj to dzielny mężczyzna i mogę nawet postawić gwintę czy dwie w twoim zakładzie, gdy tylko się dowiem, na czym będzie polegał. Courtney...?

– A więc świetnie. – Sprawy wojny poszły w zapomnienie i wręcz wyczuwało się teraz atmosferę podniecenia, gdy Leon zaczął objaśniać zasady wyścigu. – Proponuję, by trzech białych pobiegło w sztafecie przeciwko pojedynczemu Masajowi. Jeden z nich stanie na starcie obok niego, starter wystrzeli z rewolweru i ruszą wokół boiska. Biały będzie biegł, dopóki się nie podda lub dopóki Masaj go nie zdubluje.

– Czy to wykonalne, Courtney? – zapytał Josslyn Hay. – Boisko do polo jest pewnie ze dwa razy większe niż boiska do piłki nożnej. Spory kawał.

– Może i niewykonalne – odparł Leon. – Chcę tylko, by nikt się nie wykpił spacerkiem. To ma być prawdziwy bieg.



– Słuszna uwaga. Ale przyjmuję, że twoje zasady działają też w drugą stronę. To znaczy przegrywasz, jeśli Masaj zatrzyma się pierwszy albo zostanie zdublowany.

– Oczywiście.

– Rozumiem. I co dalej?

– Dalej drugi zawodnik zajmuje miejsce pierwszego, na tych samych warunkach, potem trzeci. A zakład jest niezwykle prosty. Stawiam pięć tysięcy funtów, de Lancey, że kiedy ostatni z trzech białych mężczyzn zatrzyma się albo zostanie zdublowany, Masaj nadal będzie biegł.

Krew odpłynęła de Lanceyowi z twarzy, gdy skierowały się na niego wszystkie spojrzenia.

– Wiesz, Courtney, pięć tysięcy to trochę przydużo – zaprotestował. – Daleko poza moim zasięgiem, no nie?

– W porządku. – Leon w zamyśleniu pociągnął łyk wina i z trudem powstrzymał szeroki uśmiech, gdy nagle coś przyszło mu do głowy. – Pewnie nie chcesz, żebym zdarł ci ostatnią koszulę z grzbietu, co?

– Bardzo nie chcę, staruszk.

– Ale to właśnie by mi się podobało. Oto moja stawka. Jeśli przegram, nie dam ci pięciu tysięcy funtów. Dam ci dziesięć tysięcy.

Gościom aż dech zaparło ze zdumienia. Idina Hay uśmiechnęła się do siebie. Dziesięć tysięcy funtów, które otrzymała od swojej matki, pozwoliło jej kupić samochód, Slains i suknie, z których była tak dumna, dostarczane prosto od francuskiego projektanta Molyneux.

– A jeśli ty przegrasz, de Lancey – mówił dalej Leon – to rzeczywiście zdejmiesz koszulę z grzbietu oraz wszystkie inne części garderoby i nie włożysz ich z powrotem, dopóki nie okrążysz biegiem całego boiska.

– Co... mam biegać wokoło boiska? Nagusieńki? – wyjąkał de Lancey, podczas gdy inni goście już wyobrazili go sobie w tej sytuacji i przy stole rozległy się śmiechy.

– Nagi, jak cię Pan Bóg stworzył.

– No, to załatwił cię na cacy, de Lancey – odezwał się Joss Hay, szczerząc zęby. – Dziesięć tysięcy funtów przeciwko truchтови wokół boiska, jak tu się nie zgodzić... Jak to elegancko określiłeś? Aha, wietrząc przyrodzenie na wietrze. Założę się, że każda biała kobieta w Kenii przyjdzie tam, żeby tylko móc to zobaczyć.

De Lancey stwierdził, że pozostało mu jedno: udawać, że cały ten zakład to najnormalniejsza rzecz w świecie.

– Niech dobrze zrozumieć... stawiasz dziesięć tysięcy funtów przeciwko mojemu biegowi wokół boiska, że jeden rdzenny Afrykańczyk może pokonać trzech brytyjskich dżentelmenów?

– Właśnie.

– Pojmuję... och, jeszcze tylko jedno. – Urwał na chwilę. – Czy twój człowiek też będzie biegł nagi? Czy to nie w stylu krajowców?

– Zapewne tak – odrzekł Leon. – To jakiś problem?

– Boisz się, że w porównaniu z Masajem wyjdiesz na liliputa, de Lancey? – spytał jeden z mężczyzn, co przyjęło kolejnymi wybuchami śmiechu.

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko myślę o damach. Nie chcę, by czuły się zażenowane.

Widząc, że licznie zgromadzone tu panie wymieniają spojrzenia, wznosząc oczy i kręcąc głowami, Leon zaproponował:

– A więc dobrze, każę mojemu człowiekowi włożyć szorty, co ty na to?

De Lancey rozejrzał się wokół stołu, wiedząc, że jego reputacja w kolonii zależy od tego, co teraz powie. Jak człowiek skaczący do stawu z lodowatą wodą wyprężył się, nabrał głęboko powietrza i podjął wyzwanie.

– W takim razie, Courtney, zakład stoi – powiedział do wtóru wiwatów i wołania o następne drinki.

Wieczorna zabawa zaczęła się w najlepsze.

Leon Courtney wyszedł z Wielkiej Wojny, posiadając nawet większy majątek, niż wyobrażały sobie Amelia i Idina. Kiedyś prawie nędzarz, teraz dysponował środkami, które pozwoliły mu kupić jedną z najświetniejszych posiadłości w Afryce Wschodniej. Nazwał ją Lusima na cześć matki Manyora, której zdolności uzdrowicielki, doradczyni i mistycznej jasnowidzki zaczął z czasem głęboko podziwiać. Leon zamierzał iść w ślady lorda Delamere'a, który dużą część swojej ziemi zachował nietkniętą, jako rezerwat, a resztę przeznaczył pod rolnictwo. Jeśli chodziło o organizowanie wypraw safari, które przyciągały bogatych klientów z Europy i obu Ameryk, Leon czuł się w swoim żywiole, ale rolnictwo to była inna sprawa. Nie mógł nie dostrzec, jak wielu brytyjskich kolonistów straciło wszystko, usiłując pożenić europejskie techniki rolnicze z afrykańskim lądem, z tutejszą pogodą i szalejącymi zarazami. Dlatego też postanowił działać zgodnie z naturą kenijskiego życia, a nie przeciwko niej. Zawarł z Manyorem umowę, na mocy której Masaj i jego liczna rodzina mogli swobodnie korzystać z posiadłości, pod warunkiem że będą też wypasać bydło Leona i dbać o nie jak o własne. Ponieważ Masajowie mierzą wartość człowieka nie pieniędzmi, ale liczbą jego krów i potomstwa, Leon płacił swoim ludziom w ich walucie. Z każdej dziesiątki cielaków, które urodziły krowy Leona, Masajowie zatrzymywali jednego.

Od początku jednak pojawiło się kilka problemów. Masajowie uważają, że wszystkie krowy na świecie są ich i w związku z tym mają oczywiste prawo kraść nie-Masajom ich bydło. Poza tym żywią się krwią i mlekiem swoich zwierząt, więc trzymają krowy, dopóki tylko się da, zamiast sprzedawać je na rzeź. Myśl, że mają zajmować się bydłem innego człowieka, aż przyjdzie czas, by je zabrać, sprzedać i ubić, zdumiewała nawet Manyora, choć podczas służby wojskowej przywykł do przedziwnych brytyjskich zwyczajów.

Z drugiej strony oferta korzystania z rozległych pastwisk, wraz z gwarancją, że stada należące do niego i jego ludu będą się stale powiększały, była zbyt korzystna, aby ją odrzucić. Z upływem lat wiodło mu się coraz lepiej, zwłaszcza gdy się przekonał, ile pieniędzy dostarczają jego krowy i co dzięki nim może nabyć w świecie rządzonym

teraz przez białego człowieka. Układ okazał się też doskonały dla Leona, ponieważ jego stada nigdy nie cierpiały na zarazy, jakie dotykały bydło sąsiadów. Jego Masajowie wiedzieli, które tereny nie nadają się pod wypas z powodu trujących roślin lub owadów przenoszących choroby, i trzymali się łąk porośniętych bezpieczną, słodką trawą. Pilnowali krów swoich i Leona przed atakami lwów i innych drapieżników. Nie cierpieli też głodu, żywiąc się krwią i mlekiem wypasanych krów, na co Leon przymykał oko, od kiedy zdał sobie sprawę, że bydło na tym nie ucierpi.

Po jakimś czasie Manyoro przekazał codzienny nadzór nad posiadłością i zabudowaniami swojemu krewniakowi Loikotowi, który na oczach Leona zmienił się z małego łobuziaka w godnego zaufania i szacunku młodzieńca. Manyoro mieszkał teraz w wiosce, w której wychowała go matka, usytuowanej na szczycie góry Lonsonyo, potężnej skały wznoszącej się ponad równinami, przy wschodniej skarpie Wielkiego Rowu na skraju posiadłości. Dwa dni po kolacji w Slains Leon tam pojechał. U stóp góry zostawił rollsa, strzeżonego przez dwóch służących (mieli za zadanie odpędzać ciekawe zwierzęta, nie złodziei, bo żaden ceniący własne życie człowiek nie tknąłby własności M'Boga i nie ryzykowałby gniewu Manyora), po czym ruszył krętą ścieżką po stromym stoku, wspominając, jak zwykle kiedy tu przyjeżdżał, swoją pierwszą podróż w to miejsce. Konał z głodu i pragnienia, stopy miał zakrwawione i całe w pęcherzach, skórę na piętach zdartą, a rany były tak poważne i bolesne, że udało mu się wspiąć ledwie kilkadziesiąt metrów, gdy upadł i musiał przebyć resztę drogi na *mushila*, noszach dźwiganych przez czterech mężczyzn.

Było to przed dwudziestu laty, jednak wspomnienia tamtych czasów i pierwszego spotkania z Lusimą były tak żywe, jakby minęło zaledwie kilka dni. Pamiętał również czas spędzony tu z Evą, w ich kryjówce przed światem, jak się kochali i pływali w sadzawce Sheba, krystalicznym sanktuarium mieszczącym się pod wodospadem, który opadał ze szczytu góry. Uśmiechnął się, myśląc o tym, jak Eva zbiegała do niego po ścieżce, nie zważając na urwisko tuż obok, a potem rzucała mu się w ramiona. Poczł twardniejącą męskość i to nie wysiłek wspinaczki sprawił, że serce zabiło mu szybciej, a oddech się pogłębił, ale myśl o nagim ciele Ewy w wodzie, tak gibkim i pełnym gracji, o jej nogach oplatających go w pasie i jej miękkich wargach przyciśniętych do jego ust.

Och, Evo, mój skarbie, moja miłości, byłaś wtedy tak piękna, tak delikatna i krucha, a zarazem tak szalona i silna, pomyślał. I uśmiechnął się do siebie, myśląc: I nie chcę kochać się z żadną inną kobietą na świecie, tylko z tobą.

Od tamtej pory obojgu przybyło lat, ale ta góra pozostała niezmienną. Na niższych stokach ścieżkę ocieniały akacje, których konary rozrastały się z pnia jak druty parasola, aż na czubku osiągały kształt szerokiej, ale prawie płaskiej liściastej czaszy. W miarę jak się wspinał, powietrze stawało się chłodniejsze i bardziej wilgotne, a roślinność była coraz bujniejsza. Bauhinie kwitły żywymi barwami różu i fioletu, a w ich wysokich konarach wily gniazda orły i jastrzębie. Leon patrzył na ptaki, które kołowały pod bezkresnym błękitnym niebem, szukając w buszu poniżej śladów zwierzyny.

Kiedy dotarł na szczyt, przywitał go gwar dzieci, uśmiechających się radośnie i piszczących: „M’Bogo! M’Bogo!”. Młoda kobieta, o której Leon wiedział, że jest jedną z nowych żon Manyora, spojrzała na niego z nieskrywanym uznaniem – było zwyczajem Masajów, że mężczyzna dzielił się swymi żonami z cenionymi gośćmi, lecz tylko wtedy, gdy gość przypadł do gustu kobiecie. Do niej należało ostatecznie i decydujące słowo.

Kiedy Leon poznał Manyora, ten miał tylko jedną żonę, bo regulamin wojskowy nie pozwalał na więcej. Urodziła trzech wspaniałych synów i dwie córki. Jednakże Masajowie byli tradycyjnie poligamistami i Leon, nie precyzując tego w umowie, pozwolił im żyć na swojej ziemi zgodnie z ich zwyczajami. Ponieważ Manyorowi świetnie się powodziło, miał teraz cztery żony i kilkanaścioro dzieci. Wszyscy żyli pod rozkazami i nadzorem tej pierwszej, najstarszej. To zawsze była dobrze prosperująca społeczność, której członkowie mieli pod dostatkiem jedzenia i mieszkali w starannie zbudowanych chatach. Kiedy Leon zjawiał się tu po raz pierwszy, kobiety pyszniły się przepięknymi ozdobami z kości słoniowej i paciorkami, a bydło było tłuste, o lśniącej sierści. Tak pozostało, ale teraz Leon dostrzegł kilka lamp naftowych, a także – przed największą i najbogatszą chatą – coś, co wyglądało tu absurdalnie: ogrodowe fotele z rattanu i stolik ze szklanym blatem.

Na jednym z foteli siedział Manyoro, popijając z butelki jasne piwo Bass. Musiał być już po pięćdziesiątce, jak uświadomił sobie Leon, i z latami znacznie przybrał na wadze, co było widomym znakiem władzy i powodzenia. A przy tym nie miał w sobie ani śladu słabości i gdy witając Leona, wstał z miejsca, z nich dwóch to on był wyższy.

– Widzę cię, Manyoro, mój bracie – rzekł po masajsku Leon.

Twarz Manyora rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– I ja widzę ciebie, M’Bogo, i moje serce śpiewa z radości.

Manyoro wyjął z metalowego kubła na śmieci, napełnionego lodowatą źródlaną wodą, butelkę piwa i podał ją Leonowi. Ten przyjął ją z najwyższą przyjemnością, spragniony po wspinaczce.

– Jesteś jedynym znanym mi Masajem, który zawsze ma pod ręką skrzynkę piwa – powiedział, biorąc zimną, mokrą butelkę.

– Więcej niż skrzynkę, możesz być pewien – odparł Manyoro. – Tego się nauczyłem w wojsku. W kantine podoficerskiej serwowali piwo. – Oblizwał ze smakiem wargi. – To najlepsza rzecz, jaką wy, Brytyjczycy, przywieźliście do Afryki. Na zdrowie!

– Na zdrowie!

Obaj podnieśli butelki w toaście, po czym przez dłuższą chwilę w milczeniu delektowali się piwem. W końcu zaczęli rozmawiać po angielsku o swoich żonach i dzieciach. Leon niemal czuł się zażenowany, że w tym towarzystwie może pochwalić się tylko jedną żoną i jednym dzieckiem, chociaż Manyoro pragnął usłyszeć wieści o jego synu, którego, jak był pewien, Eva nosiła pod sercem, i o znakomitym występie Saffron na zawodach konnych.

– Ach, ta mała ma ducha swojego ojca – stwierdził z aprobatą, dowiedziawszy się, jak Saffron zareagowała na przegraną. – Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak twój lud może mówić o „godnej przegranej”. Jak klęska może być godna? Czemu mężczyzna miałby się szczycić porażką? Panienska Saffron ma rację, czując gniew i wstyd. Dzięki temu nie popełni błędu za drugim razem, nie przegra. Ach, musisz być z niej dumny, bracie. Kiedy dorośnie, będzie tak piękna jak jej matka.

– Ale nie tak piękna jak masajska dziewczica, co? – zauważył Leon, znając niewzruszone przekonanie Manyora o wyższości kobiet jego plemienia nad wszystkimi innymi.

– Nie, to niemożliwe – przyznał Manyoro. – Ale będzie wielką piękną pośród swojego ludu i z tym duchem walki w sercu... Wierz mi, M’Bogo, trzeba będzie silnego mężczyzny, by zdobyć jej serce.

Następnie przeszli do ostatnich wydarzeń w Lusimie. Chociaż Manyoro rzadko schodził z góry, a posiadłość obejmowała ponad pięćdziesiąt tysięcy hektarów, nadal wiedział o wszystkim, co się tam działo, i Leon nigdy nie musiał dyscyplinować pasterzy. W tym

wyjatkowo rzadkim przypadku, gdy któryś dopuścił się błędu, Manyoro zajmował się sprawą, zanim Leon nawet o niej usłyszał.

– A więc, *bwana*, co cię tu dzisiaj sprowadza? – spytał Manyoro, zwracając się do Leona „panie” nie ze służalczości, ale z szacunku.

– Przychodzę do ciebie z prośbą, która, mam nadzieję, wzbudzi twoje zainteresowanie – odrzekł Leon. – Dwa dni temu jadłem kolację w domu *bwana* Haya i rozmawiałem z człowiekiem o nazwisku de Lancey. Wyrażał się pogardliwie o Masajach. Mówił, że to niższa rasa, gorsza od jego białego plemienia.

– W takim razie ten człowiek jest nie lepszy niż pawian, a do tego bardzo głupi. Powinien uważać się za szczęściarza, że go nie słyszałem, kiedy mówił te słowa.

– Owszem – przyznał Leon. – Ja jednak znam prawdę. Więc zapewnilem go, że moi masajscy bracia są dumnymi wojownikami, którzy rządzą tą ziemią od zarania dziejów, i zaproponowałem mu sposób, w jaki mógłbym dowieść ich siły.

Manyoro uśmiechnął się szeroko.

– Czy będzie walka? Wiele czasu upłynęło, odkąd mój assagaj zakosztował krwi. Wciąż jęczy: „Daj mi krwi, bo jestem spragniony!”.

Leon powstrzymał śmiech, udając, że jest oburzony taką żądzą krwi.

– Sierzancie Manyoro! Czy zapomniałeś swoją przysięgę, że będziesz bronić mojego ludu? Czy przeszedłeś na stronę buntowników Nandi, wijących się jak wąż w pyle?

Manyoro wzruszył z żalem szerokimi ramionami.

– Masz rację, M’Bogo, dałem słowo i go dotrzymam. Ale proszę, nie porównuj mnie z Nandi, nawet w żartach. To najpodlejszy lud na świecie.

– Przepraszam – powiedział Leon, przypominając sobie, że to strzała Nandi, wbita w nogę Manyora, po raz pierwszy przywiodła go do Lusimy. – Ale zapewniam cię, że ani ty, ani żaden z twoich ludzi nie będzie wezwany do walki. Ostrza masajskich wojowników mogą spać spokojnie. Potrzebuję tylko kogoś, kto dobrze biega.

Leon zaczął tłumaczyć, o co chodzi. Ale Manyoro zareagował inaczej, niż Leon się spodziewał. Wyzwanie wcale go nie rozbawiło, a tym bardziej nie zachęciło do współzawodnictwa. Wydawał się dotknięty.

– Wybacz mi, M’Bogo, ale jestem do głębi duszy urażony. Czemu wystawiłeś tylko trzech białych przeciwko jednemu Masajowi? To zbyt łatwe. Dziesięciu to byłoby wyzwanie jak należy, a może dwudziestu.

– Teraz to ty obrażasz mój lud, Manyoro. Nie wszyscy jesteśmy słabi, nie każdemu z nas brakuje wytrzymałości. Targałem cię na plecach prawie pięćdziesiąt kilometrów do tej góry, kiedy byłeś tak ciężko ranny, że nie mogłeś iść.

Manyoro skinął głową.

– To prawda. Ale ty nie jesteś tacy jak inni. Masz siłę bawołu. Dlatego mój lud uważa cię za równego sobie.

– Jestem dumny z tego zaszczytu – powiedział Leon. – I postawiłem to wyzwanie, żeby Masajowie mogli się cieszyć szacunkiem, na jaki zasługują.

– Może któregoś dnia – odparł Manyoro i nagle Leon usłyszał głos dumnego mężczyzny, którego lud zepchnięto do drugorzędnej pozycji na własnej ziemi. – Ale lepsze to niż nigdy. Kogo de Lancey wybierze, by ścigał się z moim człowiekiem?

– Nie będą to ludzie, których musiałbyś się obawiać, ale należy im się szacunek. De Lancey rozesłał wieści. Zbierze niezłych twardzieli, już ty się nie martw. Wiesz, nie jesteśmy bandą bogatych nierobów, którzy tylko palą odurzające zioła i zabawiają się z kobietami.

Manyoro przez chwilę się zastanawiał.

– Mówisz, że stracisz dziesięć tysięcy funtów, jeśli ludzie de Lanceya wygrają? – zapytał.

– Tak.

– Czyli jeśli mój człowiek wygra, zaoszczędzi ci tę sumę. On odwali całą robotę. Czy nie powinien dostać nagrody za swoje wysiłki?

Leon skrzywił się w duchu. Manyoro, brat czy nie brat, zawsze chciał wydusić jak najwięcej z każdych negocjacji.

– Słuszna uwaga – przyznał. – Co sugerujesz?

– Mężczyzna, który dokona wielkiego wyczynu, powinien mieć żonę, której obecność będzie świadczyć o jego triumfie.

– Przykro mi, ale nie mogę mu jej zapewnić.

– To daj mu bydło, które zwabi pannę młodą, a jej ojcu każe pomyśleć: „Oto mężczyzna, który zasługuje na to, by mieć u swego boku moją córkę”.

– Znakomicie, dam mu byka i trzy krowy... – Leon wyczytał z wyrazu twarzy Manyora, że oferta, którą on uważał za niebywale hojną, jakoś nie zadowoliła Masaja. A potem go olśniło i aż się zdziwił, że mógł być taki głupi. – Byk i pięć krów również dla ciebie, chociaż cały świat wie, że masz już tyle bydła, że nawet nie zauważysz przybytku.



Manyoro uśmiechnął się z zadowoleniem, zarówno z powodu oferty, jak i tego, że Leon zrozumiał, co należy uczynić.

– Ach, M'Bogo, Masaj zawsze zauważy nową krowę. Akurat ty powinieneś o tym wiedzieć!

– Więc mogę liczyć na to, że przyprowadzisz jednego ze swoich najlepszych ludzi?

– Możesz liczyć na to, że przyprowadzę Masaja. I możesz liczyć, że wygra twój zakład. A czy będzie to mój najlepszy człowiek, nie umiem powiedzieć. Moi najlepsi ludzie mogą uznać, że wyzwanie jest zbyt łatwe. Ale nie obawiaj się, M'Bogo, twoje pieniądze są bezpieczne... zresztą tak jak moje pięć krów i byk. Teraz chodź ze mną. Wiesz, że jest tu pewna osoba, która rozszalałaby się jak burza, gdybyś odszedł, nie zobaczywszy się z nią.

– Nigdy nie śmiałybym tak postąpić.

– No to chodź...

Lusima Mama siedziała na pniaku wielkiego kiedyś drzewa jak cesarzowa na tronie. Widząc Leona, wstała, a jej twarz rozjaśnił przepełniony miłością, macierzyński uśmiech, bo od kiedy Leon uratował życie Manyora, stał się jej synem.

Nie wiedział, ile dokładnie lat ma Lusima, ale prawdopodobnie miała nie mniej niż siedemdziesiąt, a zapewne sporo więcej. Dwadzieścia lat temu wydawała się odporna na przemijanie czasu, lecz nawet jej czarodziejskie moce nie mogły go zatrzymać. Teraz jej włosy były białe, nagie piersi nieco bardziej obwisłe i mniej pełne niż kiedyś, a wytatuowany brzuch, ze skórą jak pomarszczona bibułka, nieco zwiotczał. Ale nosiła się wysoko i trzymała prosto jak zwykle, chodząc z kocią gracją, a spojrzenie jej ciemnych oczu, mimo że wokół nich pojawiły się zmarszczki, nadal przeszywało Leona do głębi.

Jak zawsze, gdy się z nią spotykał, ogarnęło go poczucie wielkiego spokoju i bezpieczeństwa. Przebywanie w jej towarzystwie było jak wstąpienie do sanktuarium, w którym czuł się bezpieczny i otoczony troską. Odpowiedział na jej uśmiech ciepło i otwarcie, wyciągając ramiona, by ją objąć.

Ale wtedy zobaczył błysk w jej oku. Przystanęła, cała sztywna, z napięciem na twarzy, jakby nagle dostrzegła niebezpieczeństwo; jakby diabeł przeciął jej szlak i zło czało się między drzewami, czekając tylko, by zaatakować.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony tą zmianą, wiedząc, że nastąpiła w momencie, w którym Lusima skupiła na nim wzrok.

– To... to nic, dziecko. – Jej uśmiech był wymuszony. – Chodź, niech cię uściskam.

Leon nie ruszył się z miejsca.

– Coś się wydarzyło. Coś widziałaś. Wiem, że widziałaś. – Urwał, zbierając odwagę, jakby nadal był chłopcem, a nie dorosłym mężczyzną u szczytu sił. – Nigdy mnie nie zwodziłaś, Lusima Mama. Nigdy. Ale obawiam się, że teraz mnie zwodzisz.

Opuściła ręce i przygarbiła się, a kiedy znów podniosła wzrok, Leon ujrzał, że czas jednak odcisnął piętno na jej twarzy.

– Och, moje dziecko – szepnęła, potrząsając lekko głową. – Zostaniesz poddany bolesnej próbie. Doświadczysz bólu, jakiego nigdy dotąd nie doznałeś. Nastaną chwile, w których dalsze życie wyda ci się niemożliwe, kiedy będziesz się modlił o uwolnienie przez śmierć. Ale musisz mi wierzyć... – Wzięła Leona za rękę i popatrzyła na niego płonącym, błagalnym wzrokiem. – Pewnego dnia zaznasz spokoju, szczęścia i radości.

– Ale ja już mam to wszystko! – wykrzyknął Leon. – Mówisz mi, że to utracę? Jak? Powiedz, na Boga... co się stanie?

– Nie mogę ci powiedzieć. To nie leży w mojej mocy. Wizje nawiedzają mnie pod postacią zagadek i niewyraźnych obrazów. Widzę nadciągającą nad ciebie burzę. Widzę sztylet w twoim sercu. Ale wyjdiesz z tego cało. Obiecuję ci.

– Ale Eva... i Saffron... i nasze nienarodzone dziecko. Co z nimi?

– Doprawdy, nie wiem. Widzę krew. Czuję w tobie wielką pustkę. Chciałabym, żeby było inaczej. Pragnęłabym cię okłamać. Ale nie mogę, M'Bogo, nie mogę cię oszukiwać. Widzę krew.

Przez kilka następnych dni Leona wciąż ściskało w żołądku i nie mógł pozbyć się uczucia niepokoju, które towarzyszyło mu nieprzerwanie, jak pies przy nodze, choć za wszelką cenę starał się nie myśleć o przepowiedniach Lusimy, zwiastujących nieszczęście. Nie wątpił w absolutną prawdziwość słów Masajki, bo w przeszłości zbyt wiele razy miała rację, by teraz mógł jej nie wierzyć. Doświadczenie nauczyło go jednak, że nie można nic zrobić, aby odmienić to, co szykuje los. Nie było więc sensu zamartwiać się sprawami, nad którymi nie miał władzy. Lecz i tak, gdy Eva wspomniała mu, że odczuwa zawroty głowy, uparł się, że zawiezie ją do doktora Thompsona.

Przed wojną doktor Hector Thompson i jego żona właściwie sami zapewniali całej społeczności emigranckiej opiekę medyczną. Jednakże gdy stworzono Szpital Europejski, ten zajął się białą społecznością i Thompsonowie przeszli na częściową emeryturę, prowadząc na odludziu niewielką praktykę. Doktor, sympatyczny, budzący zaufanie Szkot z burzą siwych włosów i starannie przystrzyżoną brodą, zmierzył Evie ciśnienie i mruknął:

– Hm, sto trzydzieści pięć na osiemdziesiąt pięć, trochę za wysokie. Powiedz mi, moja droga, czy ostatnio miałaś jakieś inne objawy oprócz tych zawrotów? Na przykład bóle głowy albo zaburzenia widzenia?

– Nie.

– Żadnych mdłości ani wymiotów?

– Od kiedy minęły poranne mdłości, nie, a to było kilka miesięcy temu.

Lekarz chwilę się zastanawiał.

– W przeszłości miałaś kłopoty z donoszeniem ciąży i nie chcemy, żebyś znów straciła dziecko. Z drugiej strony, żyjemy w tropikalnym klimacie, znacznie wyżej nad poziomem morza, niż Boży projektant przewidział to dla nas, Brytyjczyków, jest więc wiele przyczyn, dlaczego możesz czuć się kiepsko. Doradzam maksimum odpoczynku i minimum wysiłku. Do tego aspiryna. Bierz dwie w razie bólów głowy albo mdłości, a jeśli te objawy będą utrzymywały się ponad kilka godzin, daj znać. Nie wahaj się wzywać mnie nawet w środku nocy. Po to tu jestem.

Zakład z de Lanceyem, jeszcze wczoraj tak ważny, teraz stał się dla Leona całkiem nieistotny.

– Odwołam ten zakład, Evo – oznajmił, gdy wrócili do domu po wizycie u doktora Thompsona. – Jeśli de Lancey zażąda, bym mu zapłacił, to zapłacę. Teraz pragnę tylko zostać tu z tobą i dbać o to, żebyś się dobrze czuła.

– Ale ja czuję się dobrze – odrzekła z naciskiem. – Miałam zawroty głowy, to wszystko, i słyszałaś, co powiedział doktor Thompson, to pewnie zwykłe objawy choroby wysokościowej. Chcę, żebyś wygrał ten zakład. I chcę tam być, żeby zobaczyć, jak wygrywasz.

– Nie ma mowy! – zaprotestował Leon. – Musisz unikać wszelkiego wysiłku, tak powiedział lekarz.

Roześmiała się.

– Być zawieszoną do klubu to raczej żaden wysiłek, podobnie jak siedzieć tam w wygodnym fotelu, ustawionym w cieniu. A zresztą jak myślisz, co będą robić Thompsonowie w tym wielkim dniu? Będą oglądać bieg, jak cała okolica. Więc jeśli już przypadkiem trochę źle się poczuję, to najlepiej, żebym była wtedy właśnie tam. Prawda?

Leonowi trudno było podważyć logikę żony. I tak tydzień później on, Eva i Saffron, która z przejęciem podskakiwała na myśl o tym wydarzeniu, wyruszyli przed świtem i teraz jechali w chłodnej porannej mgle do klubu polo w dolinie Wanjohi. Loikot podążał za nimi, prowadząc ciężarówkę wypełnioną wszystkim, czego rodzina mogła tego dnia potrzebować, i wioząc służbę domową i pracowników posiadłości – tyle osób, ile zmieściło się w kabinie i na platformie, a niektórzy po prostu wisieli na burtach.

Wydawało się, że cała kraina podróżuje. Farmy i przedsiębiorstwa stały opuszczone przez właścicieli i pracowników. W sklepach i restauracjach widniały na drzwiach wywieszki z napisem: „Zamknięte”, przy czym wielu szefów kuchni i sklepikarzy po prostu przeniosło swoją działalność na teren klubu, gdzie wyrósł zaimprovizowany targ z kramami, oferującymi parasolki, składane krzesła i oranżadę, obok palenisk, nad którymi obracały się na rożnach całe barany i połcie wołowiny, podczas gdy na grillach skwierczały steki i kiełbaski.

Nie tylko koloniści przybyli obejrzeć to widowisko. Kiedy tylko wśród rdzennej kenijskiej ludności rozeszła się wieść, że jeden z nich będzie walczył z białymi panami, plemienne antagonizmy poszły w ką, przynajmniej chwilowo, i wydawało się, że połowa krajowców jest w ruchu – Masajowie, Kikuju, Luhja, Meru; przybywali pieszo, wozami zaprzężonymi w woły, autobusami i czym się tylko dało, by dołączyć do tego wielkiego wydarzenia.

Koloniści zebrali się po jednej stronie boiska, wokół którego miał się odbyć wyścig, przed budynkiem klubu, a rdzenni Kenijczycy po drugiej. Samo boisko pozostawało puste, tak by zawodnicy byli przez cały czas widoczni, co miało zapobiec jakimkolwiek oszustwom. Szefowie drużyn stali na środku, z białymi biegaczami oczekującymi swojej kolejki. Major Brett był tu sędzią, podczas gdy konstable z afrykańskiej policji, nadzorowani przez białego sierżanta, zajęli miejsca wzdłuż całej trasy, by informować o wszelkich odstępstwach od zasad fair play, a także utrzymywać porządek wśród widzów.

– Będę szczery, Courtney, nie jestem uradowany tym całym zamieszaniem, które zawdzięczamy twojemu cholernemu zakładowi – powiedział Brett zaraz po tym, jak Leon z Evą i Saffron pojawili się w klubie.

– Nie miałem pojęcia, że przybędzie tak wiele ludzi – odrzekł Leon.

– No tak, ja też nie. Jestem uczciwym człowiekiem i muszę odegrać swoją rolę, więc przyjmuję do wiadomości, że nie mogłeś przewidzieć, iż prywatny zakład dwóch dżentelmenów podczas kolacji wzbudzi tak wielkie zainteresowanie.

– No właśnie.

– Niemniej jednak obawiam się, że może dojść do sporych zamieszek, jeśli krajowiec przegra. Masajowie łatwo wybuchają, zwłaszcza po alkoholu. Oczywiście, zakazałem sprzedawania go krajowcom, ale nie wątpię, że znajdą sposób, aby coś wypić. I jeśli pomyślą sobie, że tak czy owak spiskowaliśmy, by ich człowiek przegrał... no, to tylko mam nadzieję, że nie będziesz miał niczego poważnego na sumieniu, kiedy słońce dziś zajdzie.

Leon przez chwilę się zastanawiał, czy krew, o której mówiła Lusima, to nie krew widzów. Poczul ulgę, bo wtedy nie dotyczyłoby to jego rodziny, ale też zaraz ogarnął go wstyd z powodu tych myśli.

Major Brett uznał milczenie Leona za jego odcięcie się od wszelkiej odpowiedzialności.

– Na litość boską, człowieku, chyba nie wierzysz, że trzech Anglików nie da rady jednemu krajowcowi?

Ta myśl od czasu do czasu nękała Leona.

– Nie ryzykowałbym dziesięciu tysięcy funtów, majorze, gdybym nie myślał, że Masaj wygra.

Brett z dezaprobatą pokręcił głową.

– Nie przepadam za de Lanceyem. Właściwie drań z niego, jednak ma rację, mówiąc, że bardziej cenisz czarnego człowieka niż własną rasę. Sam pewnie tak ostro bym się nie wyraził. Ale się nie myli.

Major wyjął fajkę, napełnił ją tytoniem, starannie ubił, zapalił i zaciągnął się, rozpalając żar. Leon szukał wzrokiem Manyora, ale pierwsi zjawili się biali zawodnicy.

– O wilku mowa – powiedział Brett, patrząc za plecy Leona. – Przybył de Lancey. Wygląda na to, że ze swoją drużyną.

Leon obejrzał się i rzeczywiście zobaczył de Lanceya, który już był zaczerwieniony i spocony, chociaż słońce ledwo zaczęło przebijać się

przez chmury, rankami zwykle wiszące nad doliną. Za nim szło trzech mężczyzn ubranych w różne połączenia tenisówek, wysokich butów, szortów, kamizelek, koszul, apaszek i pulowerów. Dwaj nieśli na szyjach prawdziwe kolce, zawieszane na sznurówkach. Jeden był w swetrze z granatowymi paskami przy wycięciu w serek i w pasie, z literami OUAC w laurowym wieńcu na piersiach. Drugi miał niemal identyczny sweter, tyle że paski były bladoniebieskie, a napis brzmiał CUAC. Leon wiedział, że barwy symbolizują zawodników z Oksfordu i z Cambridge, a skrót UAC z pewnością oznaczał akademicki klub lekkoatletyczny.

Nigdy nie wiadomo, może to skoczkowie w dal albo oszczepnicy, pomyślał, pocieszając się w duchu, gdy de Lancey podał mu wilgotną, zwiotczałą dłoń. Leon nie pamiętał, by ktoś witał się tak słabym uściskiem.

– Cześć, Courtney, mam nadzieję, że zadbałeś o pieniądze – wycedził de Lancey. – Zwerbowałem taką drużynę, że na południe od Suezu lepszej nie znajdziesz. Przedstawić ci?

– Ależ proszę – powiedział Leon.

– No to gra! Więc najpierw chciałbym cię poznać z Jontym Sopwithem, chociaż wszyscy mówią na niego „Wielbłąd”, wiesz, po myśliwcu<sup>4</sup>.

Leon skinął głową.

– Tak, nawet my, Afrykanie, słyszeliśmy o tej maszynie. Miło poznać, Sopwith.

Wymienili uścisk dłoni, tym razem znacznie mocniejszy. Sopwith miał bladą cerę, rude włosy i błękitne oczy. Jego wysoki wzrost, długie nogi i szeroki tors wskazywały, że jest dobrym biegaczem, a serce i płuca dają mu spore możliwości. Wyglądał na niespełna dwadzieścia pięć lat, więc był na tyle młody, że wojna go ominęła, ale był w najlepszym wieku dla sportowca.

– Absolwent Oksfordu, jak mniemam – dodał Leon.

– Tak, proszę pana. Biegałem w reprezentacji przez całe trzy lata.

– Na jakim dystansie?

– Nieźle mi szło na pół mili, kilka startów w mistrzostwach krajowych, dwa razy byłem w finale.

A więc otarł się o mistrzostwo. Nic dziwnego, że de Lancey wydaje się taki pewny siebie, pomyślał Leon.

– A to jest doktor Hugo Birchinall – oznajmił dumnie de Lancey, gdy mężczyzna w swetrze z błękitnymi paskami wyciągnął rękę do uścisku. –

Pracuje w Szpitalu Europejskim, jego specjalnością w Cambridge były sprinty.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedział Leon, lustrując wzrokiem Birchinnalla.

Jak przystało na specjalistę w sprintach, Birchinnall był nieco niższy od Sopwitha, ale potężniej zbudowany, szerszy w biodrach i w barkach. Krótkie ciemne włosy i śniada cera nadawały mu wygląd bardziej ponury, niemal groźny, w porównaniu z raczej chłopcym Sopwithem.

Krzywy uśmiech pojawił się na twarzy de Lanceya, jakby na znak, że chociaż już przedstawił dwóch doskonałych lekkoatletów, najlepszego zostawił na koniec.

– A teraz ostatni członek naszej drużyny. To nie Anglik, przyznaję, ale biały i bardzo z tego dumny, co, jak się pewnie zgodzisz, jest zasadniczym elementem naszego zakładu. A więc, Courtney, mam zaszczyt przedstawić ci dżentelmena, który niedawno przybył do Kenii w poszukiwaniu możliwości jako farmer, pan... a może powinienem rzec *mijnheer*... Hennie van Doorn. Tak jak ty, staruszkule, jest z pochodzenia trochę Afrykaninem.

Van Doorn nie podał Leonowi ręki.

– Jest pan krewnym tego drania Seana Courtneya? – spytał z gardłowym afrykanerskim akcentem.

– To mój daleki kuzyn, czemu pan pyta?

– Bo straciłem większość rodziny w wojnie z Brytyjczykami, ot czemu. Leon wiedział, że tamten ma na myśli wojnę burską, a nie tę ostatnią.

– Mój ojciec zginął, walcząc z ludźmi pokroju generała Courtneya – mówił dalej van Doorn. – Matka i młodszy brat umarli w obozie koncentracyjnym w Bloemfontein. Teraz nie mam żadnej rodziny. Nawet dalekich kuzynów.

– Szczerze współczuję, że pańska rodzina tak ucierpiała – powiedział Leon. – Ale urodziłem się w Egipcie. Ojciec zarabiał, handlując na Nilu, a kiedy poszedł na wojnę, chodziło o Mahdiego i Chartum. Nie przyłożyliśmy ręki do tego, co się wydarzyło w Afryce Południowej.

– Ma pan tu wielką posiadłość, prawda?

– Owszem.

– My mieliśmy *'n klein plaas*, małą farmę. Była na Wysokim Weldzie, na wysokości tysiąca sześciuset metrów, niewiele niżej niż tu. Co dzień miałem chodzić do szkoły, sześć kilometrów w jedną stronę, sześć z powrotem. Co dzień. Jednak przeważnie nie szedłem, bo musiałbym



wyruszać przed wschodem słońca, a nie uśmiechało mi się maszerować przez otwarty step po ciemku, kiedy te wszystkie dzikie zwierzęta tylko tam czekały, żeby pożreć małego Henniego na śniadanie. Leżałem w łóżku do wschodu słońca, ale tu był kłopot, bo jak spóźniałem się do szkoły, nauczyciel mnie tłukł, a jak wracałem do domu, ojciec tłukł mnie jeszcze bardziej. Dlatego do szkoły musiałem biec. Co dzień. Sześć kilometrów w jedną stronę, sześć z powrotem. Na wysokości tysiąca sześciuset metrów. Więc może ten pański *kaffir* da radę pokonać tych *rooinek*<sup>5</sup> Anglików. Ale wierz mi, Courtney, mnie nie pokona.

Leon nie mógł zaprzeczyć, że de Lancey zebrał silną trójkę, która miała mu przynieść dziesięć tysięcy funtów. Ale gdzie byli Manyoro i człowiek, którego miał przyprowadzić?

Rozejrzał się, szukając w tłumie dwóch wysokich, władczych Masajów, których się spodziewał, kroczących dumnie w jego kierunku. W tym momencie usłyszał okrzyk z drugiej strony boiska: „M’Bogo!”. Odwrócił się i zobaczył Manyora wynurzającego się z gromady krajowców. Jak miał w zwyczaju, gdy wybierał się między białych ludzi, przypiął do ochrowej *shuka* odznakę regimentu Królewskich Strzelców Afrykańskich. Świeciła tak jasno, jakby sierżant Manyoro siedł na capstrzyk. Poniżej zawiesił swoje liczne medale za waleczność, kampanie przeciwko nieprzyjacielowi i długą służbę. Przekaz był jasny jak słońce: „Służyłem Imperium Brytyjskiemu z honorem i dzielnie i zasługuję na szacunek”.

Leon już miał go powitać, ale zdumienie odebrało mu mowę. Bo towarzyszem Manyora nie był dumny Masaj, który zdobył prawo, by mienić się wojownikiem, zabijając lwa, uzbrojony tylko w assagaj. Nie, towarzyszył mu drobny chłopak, może dwudziestoletni, a może nawet młodszy. Był dużo niższy niż przeciętny Masaj, lśniący czubek jego ogolonej głowy ledwo sięgał ramienia Manyora. Masajowie zwykle byli dużo wyżsi i szczuplejsi niż typowi Europejczycy, ale ten niepozorny krajowiec był nie tyle szczupły, ile wychudzony, co jeszcze podkreślały absurdalnie wielkie wojskowe szorty, które pewnie pożyczył mu Manyoro, przewiązane w pasie sznurkiem i sięgające do połowy jego cienkich jak patyki ud. Ta niedopasowana część garderoby powiewała na nim, gdy siedł, tak że wyglądał jak dziecko, które wskoczyło w stare babcine reformy.

– Widzę cię, Manyoro – odezwał się Leon i nie próbując nawet ukryć irytacji w głosie, dodał po angielsku: – Obiecałeś mi świetnego człowieka. Manyoro spojrzał na niego beznamiętnie.

– Nie, nie obiecałem ci świetnego człowieka, bracie – powiedział. – Ty zażądałeś takiego. A ja odparłem, że moi najlepsi ludzie uznaliby, że to wyzwanie urąga ich godności. Tak więc daję ci biegacza i *bwana* de Lancey niech zdecyduje, czy chce, aby ten wyścig się odbył.

– Trudno oczekiwać z jego strony protestów, prawda? – rzucił znacząco Leon.

– A więc mam go zabrać? Jak chcesz, możesz poddać się bez walki.

Leon zmusił się, by zachować spokój, zanim on sam czy Manyoro powiedzą słowo za dużo i znajdą się w sytuacji, z której już trudno będzie się wyplątać.

– No dobrze, w takim razie przedstaw mi go.

– M'Bogo, to jest Simel – rzekł Manyoro, odwracając się do Masaja. – Syn jednej z moich sióstr. Simel, złóż wyrazy szacunku mojemu bratu M'Bogo. Kiedy biegniesz dla niego, biegniesz dla mnie i całego naszego ludu. Nie zawieź nas.

– Widzę cię, Simelu – powiedział Leon.

– Widzę cię, M'Bogo, i obiecuję, że będę biegł dla ciebie jak wiatr nad trawą, który dmie bez ustanku cały dzień.

Kto wie, możliwe, pomyślał Leon. Bo kiedy przyjrzał mu się uważniej, zobaczył, że pod absurdalnym sznurkiem, utrzymującym szorty w pasie, kryje się płaski, dobrze umięśniony brzuch. I chłopak z pewnością był zdrowy. Stał wyprostowany jak gwardzista, oczy miał pełne życia i młodzieńczego optymizmu. No cóż, nie ma wyjścia, pomyślał Leon. Lepiej przedstawię go przeciwnikom.

Zaprowadził Simela do obozu de Lanceya, gdzie wzniesiono ogromny namiot, a w nim rozstawiono kilka prycz, na których zawodnicy mogli nabrać sił przed biegiem lub odpocząć po nim. Stały tu również leżaki dla de Lanceya i jego koleś – zbieraniny opojów, cwaniaków i mężczyzn utrzymywanych przez rodziny ze starego kraju, na ile mógł to ocenić Leon – oraz dla kobiet, które ze sobą przywieźli. Niekończący się strumień tragarzy wnosił skrzynki szampana i tuskera, pierwszego piwa warzonego w Kenii. Naszykowano już palenisko, by przygotować jedzenie dla tej czeredy. Zawartość wielkiego żelaznego gara osiągnęła temperaturę wrzenia i wokół rozchodziła się woń grillowanych

kielbasek, a wszystkiego doglądało parę miejscowych kobiet. Zapowiadało się późne, ale obfite śniadanie.

Uwagę Leona zwróciła twarz jakby znajomej mu kobiety. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że to Amelia Cory-Porter, jego niedawna sąsiadka przy stole. Uprzejmie jej pomachał, a ona ostentacyjnie udawała, że go nie dostrzega. Leon roześmiał się pod nosem, cytując w duchu Congreve'a: „Piekło nie zna nienawiści sroższej niż nienawiść kobiety wzgardzonej”, czyż nie tak? Wet za wet, nie okazałem jej zainteresowania, więc rozbiła namiot w obozie de Lanceya. Przynajmniej będzie nakarmiona jak należy.

– Oto mój zawodnik – oznajmił de Lanceyowi Leon, gdy wreszcie go znalazł.

Niemal widział, jak pracują trybiki w mózgu de Lanceya, usiłującego ocenić, czy to nie jakaś pułapka. Simel szeroko się do niego uśmiechnął, życzliwie i łagodnie. Był tak drobny, że jego trzech rywale, którzy wyłonili się z różnych zakątków obozu, chcąc sprawdzić, z kim przyjdzie im się ścigać, wyglądali przy nim jak mistrzowie wagi średniej przy początkującym zawodniku wagi muszej.

De Lancey raz jeszcze zmierzył wzrokiem Simela, ale nie dostrzegł w nim żadnego zagrożenia.

– No dobrze – powiedział. – Szykujcie się.

Jonty Sopwith biegał już na tyle długo, by wiedzieć, że dobrzy sportowcy trafiają się w różnych kształtach i rozmiarach. Mały Masaj zrobił na nim wrażenie długodystansowca. Podzielił się tą myślą z Hugo Birchinalem, a ten przyznał mu rację.

– Według mnie to klasyczny nilotyczny ektomorf. To znaczy chudzielec, Wielbłądzie – dodał, wiedząc, że Sopwith studiował gospodarkę lądową, więc nie mógł znać terminów z dziedziny fizjologii. – Z racji niewielkiej masy ciała tracą oni ciepło szybciej niż postawniejsi faceci, tacy jak ja. To pomaga im pokonywać długie dystanse, bo się nie przegrzewają, tak jak my, niczym silnik w samochodzie.

– Więc załatwmy to najszybciej, jak się da – powiedział Sopwith. – Wyskoczę ostro do przodu. Będzie musiał zdecydować, czy dotrzymać mi kroku, czy nie. Jeśli nie, to zostanie w tyle. A jeśli będzie biegł równo ze mną, to na pewno go wykończę, jak Bobby’ego Snellinga w mistrzostwach w dwudziestym pierwszym, pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam. Staruszek Snelling wisiał ci na tyłku do ostatniego zakrętu, wtedy znów wyskoczyłeś do przodu, a on praktycznie padł na miejscu. Biedny gość, nie zostało w nim nawet śladu energii.

– No właśnie. Słuchaj, myślę, że starczy mi pary na dobry kilometr, co najmniej. Więc dam z siebie wszystko, a jak poczuję, że wysiadam, to ci go przekażę.

– Wtedy ja wskoczę i przejmę gościa. Świetna robota, Wielbłądzie. Cholernie dobry plan.

– Załatwimy to sami, co? Żeby potem nie było gadki, że dwóch gości, co się otarło o reprezentację, nie dało rady bez plebsu.

– Jasne.

Wysoki jasnoskóry Jonty Sopwith stał na linii startowej obok drobnego Simela. Wymienili uścisk dłoni i Sopwith powiedział: „Powodzenia, staruszk” – bo było przyjęte, że rywala trzeba traktować uprzejmie i z szacunkiem, nawet jak zamierza się wgnieść go w czerwoną afrykańską glebę.

Starter dał znak i obaj mężczyźni ruszyli do przodu, przy wtórze głośnych okrzyków zachęty rdzennych Kenijczyków z jednej strony boiska i osadników z drugiej. Jonty Sopwith, tak jak mówił, zaczął w morderczym tempie. Przedstawiając się Leonowi Courtneyowi, zaniżył swoje osiągnięcia, gdyż miał ogromną szansę dołączyć do brytyjskiej reprezentacji na olimpiadzie w Paryżu, dwa lata wcześniej, ale kontuzja kolana uniemożliwiła mu udział w zawodach. Nie bez powodu zatem był pewny, że pokona Simela, i to szybko.

Przez kilka sekund Simel próbował dotrzymać kroku mężczyźnie o włosach koloru kwiatów płomienia Afryki, ale zaraz przypomniał sobie, co powiedział mu Manyoro, kiedy szli na linię startu. „Nie próbuj prześcignąć żadnego z nich. Tylko biegnij. I wciąż biegnij. Pomyśl sobie: wracam biegiem do góry Lonsonyo, do Lusimy Mamy, więc muszę biec cały dzień. I nie pozwól, by biały człowiek sprawił, że zaczniesz biec szybciej albo wolniej, niż chcesz. Musisz być antylopą gnu, nie gepardem. Po prostu biegnij”.

Teraz Simel zrozumiał sens słów Manyora. Ten mężczyzna, który się tak uprzejmie przedstawił, próbował go nakłonić, żeby biegł szybko jak gepard. Ale gepard nie może długo biec z najwyższą prędkością. Jeśli od razu nie dopadnie swojej zdobyczy, przystaje, zbiera siły i dopiero po jakimś czasie próbuje znowu. Gnu natomiast nie zatrzymuje się ani na chwilę, biega cały dzień ze swymi braćmi i siostrami od horyzontu po horyzont.

Teraz będę antylopą, pomyślał Simel i zaczął biec wolniej, długimi, pozornie swobodnymi krokami – jego stopy były lekkie jak kopyta antylopy – trzymając ręce przy klatce piersiowej.

W ciągu paru sekund odległość między biegaczami zwiększyła się do pięciu metrów. Potem do dziesięciu i dwudziestu. Na werandzie owacje białych stały się głośniejsze. Pochlebcy klepali de Lanceya po plecach, a kobiety piskliwie dopingowały Jonty’ego Sopwitha.

Ten człowiek jest lepszy, niż mówił, pomyślał Leon. Kroki Sopwitha była znacznie dłuższe i bardziej sprężyste niż Simela, niczym ogiera w galopie.

Hugo Birchinall już się rozgrzewał. Idą na szybkie wykończenie, pomyślał Leon. Średniodystansowiec go złamie, a sprinter dobije. Dobra taktyka. Może nawet zadziałać.

Popatrzył na Manyora. Ten w skupieniu, bez emocji wpatrywał się w Simela.

– Widzisz, jak mu idzie? – spytał Leon, patrząc na Sopwitha, który wyprzedził już Simela prawie o pięćdziesiąt metrów.

– Oczywiście.

– I uda mu się?

Manyoro spojrzał na biegnących, potem na Birchinalla.

– Tak z pewnością myśli. Wznosi pieśń zwycięstwa, nim lew padnie pod oszczepem.

– To nigdy nie jest mądre.

– Nie, M’Bogo, nie jest.

Jonty Sopwith pokonał ostatni zakręt i podążył do linii mety, kończąc pierwszą rundę. Przed sobą, po prawej stronie, widział osadników tłoczących się przed budynkiem klubu. Obejrzał się przez ramię i zobaczył odległą postać Simela, który dopiero wchodził w zakręt, pozostając pół długości boiska w tyle, i ten dystans coraz bardziej się zwiększał.

– A teraz, cwaniaczku, przekonamy się, jak ci to posmakuje – mruknął Sopwith.

I znów przyspieszył, olimpijskiej klasy lekkoatleta, upajający się danym mu przez Boga talentem.

Simela przeszył dreszcz niepokoju, kiedy zobaczył, że przeciwnik znów przyspiesza. Nie wyglądało na to, że się męczy jak gepard. Wręcz przybywało mu sił. Simel usłyszał głębokie westchnienie, niemal jęk, dolatujące z boku boiska, ze strony jego ludu, szybko wchłonięte przez okrzyki i wivaty białych *bwana* i ich kobiet.

Opanowując pragnienie, by dogonić tamtego, powiedział sobie, że nie wszystko jeszcze stracone. Nadal czuł się tak świeżo jak na początku biegu i chociaż dystans między nim a tamtym się zwiększał, nadal nie sięgał nawet połowy obwodu boiska. Kiedy Simel przebiegał obok białych, kilku z nich obrzuciło go wyzwiskami. Te słowa nic dla niego nie znaczyły, bo nie znał angielskiego. Ale nie musiał. Nie ulegało wątpliwości, że grymasy, wzniesione pięści, wrzaski mężczyzn i piski kobiet wyrażają wrogość czy wręcz nienawiść.

Nagle doznał olśnienia: ci ludzie się mnie boją. Trzęsą się ze strachu, że mogę być tak dobry jak oni, a nawet lepszy.

Uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że biali ludzie słusznie się boją. Simel przez całe życie się wstydził, że jest taki mały, ale teraz miał szansę udowodnić, że potrafi zrobić dla swojego ludu tyle samo, co wielu innych mężczyzn.

Jestem Masajem, pomyślał. I muszę pokazać tym ludziom, co to znaczy.



W klubie Saffron podskakiwała z przejęcia i cienkim, piskliwym głosem dopingowała masajskiego biegacza, budząc pełne nagany spojrzenia wszystkich pań wokoło. Ale miała kłopot. Bardzo trudno było jej oglądać wyścig, bo dorośli zasłaniali widok.

Kazano jej pozostać z matką, wskazując miejsce obok jej fotela. Eva starała się zachować spokój, by tracić jak najmniej energii. Chociaż nie pozwoliła się traktować Leonowi jak kaleka i nie dała zamknąć w domu, nie mogła lekceważyć wskazówek lekarza, mimo że najchętniej zerwałaby się na równe nogi i tak jak córka dopingowała tego człowieczka, który miał odnieść zwycięstwo dla jej męża.

Kiedy biegacze zniknęli w odległym końcu boiska, Saffron spojrzała na matkę i zwróciła się do niej błagalnym głosem:

– Mamusiu, proszę, mogę pobiec do taty na środek boiska?

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, kochanie – odparła Eva, biorąc ją za rękę. – Nie chcę, żebyś zgubiła się w tym tłumie. Jeszcze cię zdeptają. I nie jestem pewna, czy tatuś będzie chciał się tobą zajmować, kiedy próbuje się skupić na biegu.

– Och, dam radę przebić się przez tych wszystkich ludzi! – powiedziała z uporem Saffron, patrząc lekceważąco na otaczającą ją zewsząd żywą barierę dorosłych. – I obiecuję, że będę grzeczna, nie przeszkodzę tacie. – Wbiła w matkę spojrzenie wielkich błękitnych oczu, jakby chciała zaczarować ją wzrokiem, i powtórzyła: – Mamusiu, proszę... błagam!

Eva się uśmiechnęła. Współczuję każdemu mężczyźnie, który spróbuje się oprzeć tym oczom, pomyślała, widząc nagle, jak Saffron będzie wyglądać, gdy stanie się kobietą. Ja na pewno nie potrafię się oprzeć.

– Czy solennie mi obiecujesz, że będziesz ostrożna? – spytała.

– Tak, mamusiu. – Saffron skinęła głową, patrząc na Evę z najgłębszą szczerością.

– I obiecujesz, że będziesz grzeczna i że nie sprawisz tacie żadnego kłopotu?

– Tak, mamusiu.

– No dobrze, więc idź.

– Dziękuję, dziękuję! – zapiszczała Saffron, obsypując matkę pocałunkami. – Jesteś najlepszą, najmiłą, najśłodszą mamusią na całym świecie!

– Aha, jeszcze jedno...

Saffron zatrzymała się w pół kroku.

– Tak...?

– Powiedz tacie, żeby się o mnie nie martwił. Musi się skupić na biegu. Powiedz mu, że dostałam bardzo wygodny fotel i cała masa służących dba o mnie i sprawdza, czy czegoś nie potrzebuję. Czuję się bardzo dobrze. Zapamiętasz to wszystko?

– Tatuś nie musi się martwić, bo masz wygodny fotel i czujesz się dobrze.

– Znakomicie. A teraz leć!

Eva odprowadziła córkę wzrokiem. Dziewczynka zniknęła w tłumie, nieustraszenie przedzierając się między dorosłymi. Nagle Eva jęknęła cicho. Zamknęła oczy i opuściła głowę, gdy ostry jak strzała ból przeszył jej czoło, między oczami.

To tylko drobiazg, powiedziała sobie w duchu, chociaż po chwili poczuła lekkie mdłości. Pewnie migrena. Nie ma się czym przejmować.

Przemknęło jej przez myśl, czy nie wysłać kogoś z obsługi, by powiadomił o tym Leona, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł.

Nie, nie mogą mu przeszkadzać. Ma inne, dużo ważniejsze, sprawy na głowie.

Saffron prześliznęła się pod sznurem, przecięła wyznaczony do biegu tor i wparowała na boisko, zanim ktokolwiek ją zatrzymał. Na chwilę przystanęła i rozejrzała się. Minął zaledwie tydzień od dnia, kiedy na tym właśnie boisku skakały z Kippy, ale wydawało się, że to było wieki temu. Wszystko wyglądało inaczej. Wokół wielkiego namiotu zgromadził się tłum. Poszukała tam wzrokiem ojca, ale nagle dostrzegła go z boku, rozmawiającego z Manyorem. Zdała sobie sprawę, że wcześniej patrzyła na obóz przeciwnika, więc teraz popędziła we właściwym kierunku.

– Widzę cię, księżniczko – powiedział Manyoro, zauważając biegnącą Saffron.

Zatrzymała się kilka kroków od niego i z największą powagą odpowiedziała po masajsku:

– Widzę cię, wujku Manyoro.

Twarz wysokiego, dostojnego Masaja rozjaśniła się w czułym uśmiechu, bo traktował tę białą dziewczynkę tak samo jak potomstwo każdego ze swoich masajskich braci i sióstr.

– Cześć, tato! – zawołała Saffron, odwracając się do ojca.

– Saffy! – wykrzyknął Leon. Porwał ją na ręce i wyrzucił w powietrze, śmiejąc się, gdy zapiszczała z radości. Przytulił ją, pocałował w czubek głowy i postawił z powrotem na ziemi. – No to co cię tu sprowadza? – spytał.

– Mamusia powiedziała, że mogę przyjść – rzekła Saffron, żeby było jasne, że ma pozwolenie. – Nie mogłam oglądać biegu z klubu, bo ci wszyscy ludzie mi zasłaniali. Ale obiecałam mamie, że będę bardzo, ale to bardzo grzeczna i nie sprawię ci żadnego kłopotu. Wcale.

– Hm... jakoś w to wątpię. Ale powiedz mi, jak się czuje mama.

Saffron sumiennie przekazała wiadomość od Evy, niemal słowo w słowo.

– Dobrze – powiedział Leon. – Bardzo się cieszę, że mamie jest tam wygodnie. I brawo dla ciebie, że tak ładnie wszystko zapamiętałaś.

Saffron uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z pochwały.

– Jak się nazywa twój biegacz, tato? – spytała.

– Simel.

– Jest bardzo mały.

Leon się zaśmiał.

– Owszem, też tak sobie pomyślałem, kiedy go zobaczyłem. Ale muszę przyznać, że nieźle daje sobie radę.

Saffron spojrzała na biegaczy, których teraz dzielił odcinek nieco dłuższy niż przeciwległa prosta. Sopwith zakończył drugie okrążenie, gdy Saffron prowadziła negocjacje z matką i biegła do ojca, i był w połowie trzeciego. Wydawało się teraz, że nie tyle biegnie przed Simelem, ile raczej go dogania.

– Czy ten pan zrówna się z Simelem? – spytała Saffron.

– Mam nadzieję, że nie, skarbie. Ale jak mu się nie uda, to pan Birchinall... ten, który robi tam skłony i wymachy i wygląda na strasznie zawziętego... przejmie pałeczkę.

– Och – powiedziała z namysłem Saffron. – To nie wydaje się całkiem uczciwe.

– Cóż, sam zaproponowałem takie zasady.

– Ale one są okropne dla Simela. Zaraz tam pobiegnę i mu pokibicuję.  
– Popędziła w najdalszy kąt boiska i czekała na Simela. Gdy znalazł się blisko, krzyknęła: – Dawaj, Simel! Dawaj, Simel! – I zaczęła biec obok niego.

Zdołała dotrzymać mu kroku tylko przez moment, ale jej widok i słowa zachęty dodały otuchy jego zwolennikom i znów głośniejsze zaczęły krzyczeć, zagrzewając go do dalszego wysiłku.

Jednakże Manyoro patrzył gdzie indziej.

– Spójrz na *bwana* Sopwitha, bracie. Skrócił krok i zwolnił.

– Na Boga, racja – przyznał Leon. Wziął ze sobą lornetkę i teraz spojrzał przez nią na Sopwitha, który wkrótce miał minąć linię mety po raz trzeci. – Ciężko dyszy. To pewnie przez wysokość, nie jest przyzwyczajony.

– Ale Simel biegnie dalej – powiedział Manyoro.

Tymczasem miejsce na trasie zajął Birchinall, na końcu prostej przed klubem, i dopingował kolegę z drużyny. Sopwith zdobył się na ostatni wysiłek i dobiegł do Birchinalla, który stał z wyciągniętą do tyłu ręką, jakby czekał na pałeczkę. Sopwith klepnął go w dłoń i padł na czworaki na trawę, z opuszczoną głową, dysząc ciężko.

Przyszła kolej na Birchinalla, który okazał się zupełnie innym rodzajem sportowca. Biegł niczym rasowy sprinter, wyprostowany, mocno pracując rękami i unosząc wysoko kolana, i nagle odległość między nim a Simelem wydała się zmniejszać, tym razem szybciej.

Widzowie po stronie kolonistów wrzaskiem wspierali swojego biegacza. Runęli na ograniczającą tor linię i nieliczni konstable, których wyznaczono do pilnowania tej strony – nikt nawet nie pomyślał, że biali ludzie mogliby nie przestrzegać porządku – nagle byli zmuszeni powstrzymać falę krzyjących, wymachujących pięściami farmerów i biznesmenów.

W odległości przeciwległej prostej, dokładnie przed kibicami Simela, Birchinnall zmniejszył dystans o kolejne pięćdziesiąt metrów. Pokonał szerokość boiska i zakręt poprzedzający prostą przed klubem, gdy Simel dopiero minął linię mety.

Małego Masaja ogarnął niepokój. Nerwowo obejrzał się przez ramię, ale nadal nie zwiększył tempa.

– Na litość boską, człowieku, dawaj! – krzyknął Leon, choć wiedział, że Simel na pewno nie usłyszy go w tej wrzawie.

Manyoro pokręcił głową.

– Nie, musi zachować spokój. To jego jedyna nadzieja.

– Powiedz to de Lanceyowi. Myśli, że ma już forszę w ręku.

Rzeczywiście, obóz przeciwny już świętował. Z namiotu wyniesiono skrzynkę szampana, służba zaczęła otwierać butelki i napełniać kieliszki. Szykowano się do toastów za zwycięstwo.

Simel pokonał zakręt u końca prostej przed klubem – oczy miał rozszerzone strachem przed porażką, ale trzymał się instrukcji Manyora, bo wodza bał się bardziej niż przegranej.

Birchinall zbliżał się coraz bardziej, wciąż zmniejszając odległość i wciąż utrzymując swoje tempo, chociaż dawno przekroczył dystans, który biegał na zawodach. Na twarzy miał wyraz dzikiej wściekłości człowieka, który mimo krańcowego wyczerpania nadal walczy, ignorując paraliżujący ból mięśni, wyskakujące z piersi serce i rozpaczliwe wołanie płuc o łyk powietrza.

Zamierzał wygrać, nawet gdyby miało go to zabić. Wiedział o tym. Wiedział o tym tłum. Wiedział Simel.

Odległość między nimi malała. Dwadzieścia metrów... piętnaście... dziesięć...

Simel słyszał coraz bliższy tupot nóg Anglika i jego chrapliwy oddech, jakby miał tuż za sobą dzikie zwierzę.

Nie zdołał się powstrzymać. Przeszedł w sprint.

Birchinall jeszcze bardziej zwiększył tempo, biegnąc znacznie szybciej niż normalnie, szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Wciąż się zbliżał.

Simel zamknął oczy, ledwo świadomy tego, że nadal biegnie, szykując się na chwilę, w której Birchinall go prześcignie.

Wtem usłyszał nagły okrzyk bólu. Otworzył oczy, znów się obejrzał i zobaczył Hugo Birchinalla na ziemi. Anglik zwijał się z bólu, rozpaczliwie masując ścięgno z tyłu prawego uda, najwidoczniej zerwane wskutek nadmiernego wysiłku.

Simel zwolnił niemal do chodu. Po raz kolejny się obejrzał, nie wiedząc, co robić. Drugi człowiek cierpiał. Przecież należało mu pomóc. Ma zawrócić czy biec dalej?

Zdezorientowany tym, co się wydarzyło, bez tchu po dodatkowym wysiłku, by się utrzymać o włos przed Birchinalem, Simel nie zauważył, że Leon i Manyoro krzyczą i wymachują rękami. Teraz obaj pędzili w róg boiska, gdzie upadł Birchinall. Tuż za nimi biegła Saffron, dalej de Lancey i Jonty Sopwith. Masaj ledwo przestawiał nogi, a widząc to, de Lancey wrzasnął: „Sędzia! Sędzia! On się zatrzymał!”. Ale jego głos

całkiem zginął w pandemonium, jakie wybuchło w obu obozach kibiców.

W tym momencie Birchinall dał pokaz wielkiej odwagi i ducha walki. Skrzywiony z bólu, dźwignął się z ziemi i znów ruszył za Simelem, kuśtykając i podskakując na zdrowej nodze. Widok tak dzielnego biegacza, teraz tylko parodii dawnego wyczynowca, doprowadził do łez wiele zgromadzonych na werandzie klubu kobiet i całkiem sporo mężczyzn, którzy ukradkiem ocierali oczy lub nagle musieli wysiąkać nos.

Jednak Simel zareagował całkiem inaczej. Wiedział, że ranne zwierzę jest najbardziej niebezpieczne, więc na widok zbliżającego się Birchinalla, choć ten włókł się powoli i niezdarnie, jego współczucie wyparowało. Teraz miał okazję, by zwiększyć dystans, i nie zamierzał jej stracić.

Nie widział nawet, że Birchinall w końcu pogodził się z przegraną, a jego miejsce zajął van Doorn. Zanim Afrykaner dobiegł do miejsca, w którym Birchinall ostatecznie się poddał, Simelowi udało się wyskoczyć do przodu o kilkaset metrów.

Minęło ledwie dziesięć minut i Simel przebył już dwie trzecie drogi, by udowodnić, że nawet najmniejszy Masaj jest znacznie lepszy od każdego białego człowieka.

Siedząca w fotelu na werandzie Eva zapadła w lekką drzemkę, która przyniosła jej krótką ulgę od coraz silniejszego bólu głowy i mdłości. Ale dręczyły ją niespokojne, chaotyczne sny, przepełnione poczuciem tak ogromnego zagrożenia, że się ocknęła.

Odniosła wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Nie wolno mi przeszkadzać Leonowi, pomyślała, czując oszołomienie, jakby za dużo wypila, chociaż przez cały dzień nie tknęła niczego mocniejszego niż herbata z cytryną. Dwie aspiryny powinny mi pomóc, pomyślała.

Uśmiechnęła się słabo do przechodzącej kelnerki.

– Czy mogłabyś mi podać wodę gazowaną, proszę?

– Oczywiście, proszę pani – odrzekła kelnerka.

– Dziękuję bardzo – szepnęła Eva i wyczerpana, odchyliła się na oparcie fotela.



Hennie van Doorn był zgorzkniałym, nieustępliwym twardzielem, jak każdy pionier Afrykaner. Jego rodzina przez pokolenia walczyła o zdobycie, utrzymanie i uprawę ziemi na płaskowyżach. Zmagali się z samą ziemią, z przyrodą i z ludami, które pragnęły tego terytorium dla siebie – czy byli to Zulusi, którzy od początku uważali je za własne, czy Brytyjczycy, napędzani nienasyconą żądzą nowych terenów, większego imperium. Afrykanerzy modlili się do Boga, który był równie twardy i bezlitosny jak oni, Boga, który nauczył ich pielęgnować urazy, szukać zemsty i pozostawiać nadstawianie drugiego policzka słabszym, bardziej łatwowiernym ludziom niż oni.

Simel czuł groźbę emanującą z tego białego człowieka. Bardzo się różnił od tamtych dwóch, był jak ryczący lew lub rozzłoszczona żmija. To nie był ktoś, komu zerwie się ścięgno jak Birchinallowi. Wszystko w Henniem van Doornie mówiło światu, że zamierza on zwyciężyć. Nic innego nie wchodziło w grę. Za każdym razem, gdy Simel się oglądał, van Doorn był odrobinę bliżej.

Słońce się wznosiło i rosnący upał sprawiał, że coraz więcej ludzi szukało choćby skrawka cienia, czy to w klubie, czy pod drzewami, czy pod parasolem. Ale obaj zawodnicy wciąż biegli. Dla Leona sam fakt, że van Doorn tak długo odwleka dopadnięcie ofiary, był niezwykle fascynujący. Miał wrażenie, że widzi pająka, który godzinami snuje sieć, wiedząc, że owady, jego ofiary, nieuchronnie w nią wpadną i zginą, gdy utka ostatni krąg. I Simel w końcu zaczął słabnąć.

Leon i Manyoro coraz żywiej dopingowali Simela. Za każdym razem, kiedy ich mijał, podchodzili do trasy, z drepczącą obok Saffron, i gdy dziewczynka podtrzymywała na duchu swojego bohatera, Leon klaskał i wykrzykiwał słowa zachęty, a Manyoro wydawał po masajsku instrukcje, motywując Simela i doradzając mu, jak najlepiej zachować siły. Początkowo Leon rozumiał każde słowo, bo od ponad dwudziestu lat płynnie mówił w tym języku. Ale potem Manyoro przeszedł na dialekt, który był Leonowi zupełnie obcy.

– Co mu powiedziałeś? – spytał.

Wielki mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nic takiego, M'Bogo.

Leon miał zamiar drążyć dalej, ale nagle zauważył, że regularny jak metronom krok Simela uległ skróceniu. Z instynktem łowcy, który czuje, że zwierzyna słabnie, van Doorn przyspieszył – jak gdyby przybyło mu sił. Odległość między zawodnikami malała coraz szybciej.

Leon westchnął i wzniósł oczy ku niebu, jakby szukał boskiej interwencji. Coś zwróciło jego uwagę. W oddali, za najdalszymi wzgórzami nad zachodnim horyzontem, pojawiła się masa burzowych chmur, które sunęły po niebie w ich kierunku.

Idzie deszcz, pomyślał Leon. Może to nasza jedyna nadzieja.

Simelowi głowa chwiała się na boki i biegł przed siebie coraz mniej sprężystym krokiem. Czuł, że van Doorn się zbliża, i coraz częściej się oglądał. Afrykaner z szerokim uśmiechem patrzył na Masaja, rozkoszując się rychłym triumfem i wciąż zwiększając tempo.

Zbliżali się do przeciwległej prostej. Van Doorn był już nie więcej niż trzydzieści kroków za Masajem i wciąż zmniejszał ten dystans. Simel widział przed sobą Manyora, *bwana* Courtneya i jego córeczkę stojących z boku. Niemal się z nimi zrównał i gdy odległość między nim a van Doornem znów skróciła się o połowę, wódz skinął nieznacznie głową. To był znak, ustalony przy poprzednim okrążeniu, i Simel już wiedział, co ma zrobić.

Nagle ożył, jak człowiek budzący się z długiego, ciężkiego snu. Otrząsnął się z odrętwienia, poderwał głowę, wydłużył krok. Po kilkunastu metrach wrócił do pełnego tempa. Kenijczyków znów ogarnął entuzjizm, gdy zobaczyli, że pozorne wyczerpanie Simela to sztuczka mająca wyprowadzić przeciwnika w pole. Wyli z radości, widząc spryt Masaja i głupotę białego człowieka. Na każdego, który wiwatował na cześć Simela, przypadał inny, który głośno szydził z van Doorna.

Afrykaner nie zwracał na nich uwagi. Bez reszty skupił się na biegu. Już się nie uśmiechał, tylko krzywił z wysiłku, próbując doścignąć Simela. Ale nie wystarczyło go doścignąć. Musiał go wyprzedzić. Był już tak blisko zwycięstwa, że tylko ono mogło go zadowolić.

Simel nigdy nie zaznał podobnego bólu. Ciało mu płonęło, każdy oddech był rozpaczliwym rżeniem, jego płuca wciąż domagały się powietrza, a serce waliło o żebra jak armia doboszy tłukąca pałkami.

Biegł już tyle czasu. I gdyby utrzymywał równe, miarowe, spokojne tempo, mógłby biec dalej. Ale było inaczej. Teraz biegł jak gepard. A gepard nie potrafi biec długo.

Simel zaczął zwalniać – i tym razem nie dlatego, że udawał zmęczenie.

Ból głowy stał się nie do zniesienia. Eva próbowała znów poprosić kelnerkę o wodę, ale jej głos zginął w krzykach, wiwatach i tupaniu tłumu. W uszach jej huczało, jakby fale rozbijały się o skały, i widziała przed sobą migotliwe błyski, jak gdyby ktoś świecił jej prosto w oczy latarką.

– Na pomoc! – usiłowała zawołać, lecz z jej ust wydobył się słaby, niezrozumiały jęk.

Chwilę później kelnerka, która mijala jej fotel, krzyknęła tak głośno, że zdołała się przebić przez gwar. Ludzie na werandzie obejrżeli się i ze zgrozą zobaczyli nieprzytomną kobietę, bezradnie podrygującą, jak marionetka w rękach szalonego lalkarza. Na froncie jej sukni rosła ciemnoszkarłatna plama.

– Lekarza! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Na litość boską, niech ktoś ściągnie lekarza!

Van Doorn wyczerpał wszelkie siły. Nagle zobaczył, że Masaj przed nim zwalnia, i zrozumiał, że jeśli wytrzyma jeszcze trochę, tylko kawałek, to uda mu się zwyciężyć.

Ale jak to zrobić? Słońce i upał dawały mu się we znaki. Wargi miał spieczone, w kącikach czuł zaschłą pianę. Kręciło mu się w głowie, widok rozmazywał się przed oczami, a w uszach szumiało, jakby był bliski zemdlenia.

Nie! – pomyślał. Nie poddam się. Tylko słabi dopuszczają do siebie ból i cierpienie. Pokonam tego przeklętego czarnucha!

Zdobył się na jeszcze jeden wysiłek i zmusił swoje wyczerpane ciało do dalszego biegu, nie zważając na błagania mięśni, by zwolnił.

Odległość między biegaczami znów zmalała.

– No cóż, zrobił, co mógł – stwierdził Leon.

– Simel jeszcze nie przegrał, tato! – zauważyła z uporem Saffron, do końca nie chcąc się poddać.

– Obawiam się, że twój ojciec ma rację – powiedział Manyoro z wyraźną nutą zawodu w głosie. – Simel walczył z sercem i odwagą lwa. Pokonał dwóch myśliwych, ale trzeciego nie zdołał. Nie ma w tym żadnej hańby.

– Mówcie sobie, co chcecie – odparła Saffron, krzyżując ręce na piersiach i mierząc obu mężczyzn gniewnym wzrokiem. – Ja myślę, że on wygra.

Leon westchnął z żalem. Miał publicznie przegrać dziesięć tysięcy funtów, i to na rzecz takiego człowieka jak de Lancey... Niech to będzie dla ciebie nauczka, pomyślał. Żebyś więcej nie robił głupich zakładów przy stole.

Twarze Afrykańczyków, jeszcze przed chwilą radosne, teraz sposepniały. Zapadła cisza – czekano na finał.

I nagle gdzieś w tłumie pojedynczy głos zaśpiewał:

„My jesteśmy młode lwy!”

Dołączyło do niego kilka innych głosów, trochę niepewnie.

„Na nasz ryk ziemia drży!”

A potem kolejne, mocniej.

„Nasze oszczepy to nasze kły!”

I jeszcze następni:

„Nikt nie dorówna nam, nikt!”

Na twarzach Leona i Manyora pojawiły się radosne uśmiechy. To była pieśń lwów, przekazywana masajskim chłopcom jako część nauczania prowadzącego do męskości. Śpiewali ją ich ojcowie i bracia, tak jak któregoś dnia zaśpiewają ją oni, wyruszając do ataku na słabsze plemiona, by rabować ich bydło i kobiety, lub stawiając czoło potężnemu lwu, uzbrojeni tylko w assagaje. Ta pieśń sławiła siłę i dawała siłę. Leon dołączył do chóru Masajów, a głosy osiągnęły bogatą, dźwięczną, triumfalną harmonię, jeden z cudów Afryki, od aksamitnych basów po najwyższe, piskliwe falsety.

„Lękaj się nas, o dzika zwierzyno!”

Lękaj się nas, o obcych kraino!”

Po drugiej stronie boiska Simel usłyszał nawołujące głosy swojego ludu i następne wersy wydyszał razem z nimi:

„Kobiety, niech żadna nam w twarze nie patrzy!  
Porazi was piękno naszych twarzy!”

Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, że odzyskał siły, i jakby niesiony w powietrzu samą pieśnią, biegł bez najmniejszego wysiłku, nieważki, jak gdyby jego dusza opuściła ciało i patrzyła z wysokości.

Masajowie, widząc, jak ta pieśń wspomaga Simela, zaczęli śpiewać jeszcze głośniejsze, by poczuł, że wszyscy są jednością.

„Jesteśmy braterstwem lwów!  
Jeden połączył nas chów!  
Masajów ród!”

Simel pokonał finałową prostą, mijając tłum białych panów, którzy ledwie zauważali jego plemię. Przepęniały go dźwięki pieśni, dodawały mu sił i pomagały biec dalej.

Nie widział tłumu, który wybiegł mu na spotkanie, i kiedy ktoś złapał go w ramiona i przerwał czar pieśni, Simel próbował się uwolnić.

– Nie! Nie! – wykrzyknął. – Nie mogę stanąć.

Ale usłyszał głos Manyora i poczuł siłę jego uścisku.

– Spokojnie, mały wojowniku – powiedział wódz. – Spokojnie. Już po bitwie. Zwyciężyłeś. Popatrz... odwróć się i popatrz.

Simel posłusznie obejrzał się na tor. Zobaczył leżącego człowieka i biegnących do niego ludzi. Zdał sobie sprawę, że to van Doorn, i przez jedną straszliwą chwilę myślał, że ten człowiek nie żyje.

– Zabiłem go? – wydyszał, chociaż z takim trudem łapał powietrze, że ledwo mówił.

– Nie – uspokoił go Manyoro. – Patrz. Wstaje.

Simel zmrużył oczy i faktycznie – leżącemu biegaczowi już udzielano pomocy i powoli dźwigał się na nogi.

– Dobrze – wysapał Simel. – Cieszę się.

– Wygrałeś – powiedział Manyoro. – Biegłeś jak prawdziwy Masaj, prawdziwy wojownik.

Simel się uśmiechnął. I dopiero wtedy zemdłał, śmiertelnie wyczerpany.



Saffron nadal była pełna podniecenia, jakie czuła w ostatnich minutach biegu, i radości ze zwycięstwa Simela. Ale widząc, jak Masaj mdleje, okropnie się wystraszyła. Dopiero gdy zamrugał i rozejrzał wkoło, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest, jej niepokój pierzchnął i zaczęła podskakiwać jak szalona, wiwatując na całe gardło. Manyoro tymczasem podniósł Simela, a biali widzowie dołączyli do hałaśliwych wiwatów na cześć tego niebywałego wyczynu i tak wspaniałego triumfu.

– Niech będzie dziesięć krów! – zawołał Leon do Manyora. – Simel sobie zasłużył. I dla ciebie też dziesięć!

Tłum krajowców przedarł się przez kordon policji, która sama była zbyt zajęta wiwatowaniem, by ich zatrzymać, i teraz parli przez boisko w kierunku klubu, tańcząc i podskakując z radości.

Pośród tego pandemonium Saffron nagle zdała sobie sprawę, że mama też powinna tutaj być i cieszyć się razem z tatą.

Chyba powinnam po nią pójść, pomyślała.

Wtedy zobaczyła przepychającego się doktora Thompsona. Tylko on jeden ze wszystkich ludzi, czarnych i białych, nie uczestniczył w tej radości. Z posępną twarzą usiłował przedrzeć się przez tłum, który blokował mu drogę.

Rozglądał się na boki, wyraźnie kogoś szukając. Zauważył Saffron. Często leczył ją z przeziębień i bólów brzucha, opatrywał jej siniaki i skaleczenia, więc od razu ją poznał i ruszył ku niej.

– Witaj, Saffron – odezwał się, bez zwykłego uśmiechu. I zanim zdążyła się przywitać, spytał: – Gdzie twój ojciec?

– Tam, obok Manyora. – Wskazała ręką. – Czy coś się stało?

Nie odpowiedział i nagle ogarnęło ją straszliwe przeczucie, niemal pewność. Pociągnęła lekarza za rękaw i spytała:

– Mamie nic nie jest?

Spojrzał na nią z poważną miną, otworzył usta, ale zaraz je zamknął, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Odwrócił się, patrząc na jej ojca, i zaczął przepychać się przez tłum ludzi czekających na swoją kolej, by mu pogratulować.

Saffron przyglądała się, jak lekarz rozmawia z jej tatą. Zauważyła, że z twarzy ojca znika radość, a pojawiają się smutek i powaga. Ojciec

odwrócił się do Manyora i coś powiedział. Obaj na nią popatrzyli i obaj ruszyli z miejsca: ojciec z doktorem Thompsonem w kierunku klubu, a Manyoro do niej.

Wiedziała, co to oznacza. Tato szedł do mamy, która musiała być naprawdę chora, bo inaczej i on, i lekarz nie byłiby tacy zmartwieni. Manyoro miał się zająć nią.

Uwielbiała tego Masaja. Ale kochała matkę i musiała ją zobaczyć, bez względu na to, jak była chora. Po prostu musiała.

Błyskawicznie przeleciało jej przez głowę: Czarni nie mogą wchodzić do klubu. Chyba że służba. Więc jeśli uda mi się tam dobiec przed Manyorem, nie będzie mógł wejść za mną.

Patrzyła na niego. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. A potem odwróciła się i popędziła przed siebie; przemykała między dorosłymi, podczas gdy Manyoro musiał iść powoli i ostrożnie, przepraszając kolonistów, by go przepuścili. Saffron wiedziała, że to okrutne z jej strony zmuszać tak dumnego i dostojnego mężczyznę jak on, by tylko z powodu koloru skóry poniżał się wobec białych, który nie dorastali mu do pięt. Ale nie miała wyboru. Musiała zobaczyć matkę.

Pędziła przed siebie, wciąż się obawiając, że poczuje ciężar ręki Manyora na ramieniu, aż dotarła do schodków werandy. Wbiegła po nich, wiedząc, że gdy tylko znajdzie się na górze, będzie bezpieczna. Dopiero wtedy się obejrzała, by sprawdzić, gdzie jest Manyoro.

Nietrudno było go dostrzec, bo co najmniej o głowę przewyższał otaczających go kolonistów. Patrzył na nią z wyrazem zawodu i czegoś, czego Saffron nigdy u niego nie widziała. Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co to może być, i zdała sobie sprawę, że to cierpienie. Manyoro zaciśniętą pięścią uderzał się w pierś.

Cierpi z mojego powodu, pomyślała, odwracając się i idąc do miejsca, w którym zostawiła mamę. Jej fotel stał pusty, ale torebka leżała tam gdzie wcześniej, na stoliku obok, razem z książką *Zielony kapelusz*.

Saffron przypomniała sobie, jak pierwszy raz ją zobaczyła, kilka dni temu.

– Komu chciałoby się czytać książkę o kapeluszu? – zwróciła się do mamy.

– To nie o kapeluszu – odparła ze śmiechem mama. – To bardziej o kobiecie, która go nosi. Nazywa się Iris Storm i jest bardzo zuchwałą, pozbawioną skrupułów panią.

– To znaczy niegrzeczną?

– Nie, to raczej postać tragiczna... ktoś piękny i godny podziwu, ale skazany przez los na cierpienie.

– Aha... – Saffron nie bardzo wiedziała, o czym mama mówi, ale pojaśniała z radości, gdy ta nachyliła się do niej, z szelmowskim uśmiechem i błyskiem w oku.

– Chciałabyś poznać pewien sekret? – spytała szeptem.

– Och, tak, tak! – zawołała Saffron, która uwielbiała sekrety, i domyśliła się, że mama ma dla niej coś naprawdę fajnego.

– A więc Iris Storm to wymyślona postać, ale opowieść jest oparta na losach kogoś, kto istnieje naprawdę.

– I to cały sekret? – spytała z rozczarowaniem Saffron.

– Część sekretu – powiedziała Eva. – Druga część jest taka, że to ktoś, kogo znasz.

To była zupełnie inna historia. Saffron aż wytrzeszczyła oczy.

– Kto?

– Nie mogę powiedzieć, bo nie byłoby sekretu... ale... – Mama tajemniczo zawiesiła głos. – W tej książce Iris Storm jeździ wielką żółtą hispano-suizą ze srebrnym bocianem na masce. Co o tym myślisz?

Saffron w skupieniu zmarszczyła czoło. Nagle ją olśniło. Widziała taki wielki żółty samochód z bocianem.

– Wiem, wiem! – zapiszczała przejęta. – To...

– Cii... – Mama przyłożyła palec do ust. – Ani słowa. To sekret.

Saffron uwielbiała te chwile, które należały tylko do niej i do mamy, jakby obie żyły w swoim wspólnym świątku – chociaż, oczywiście, tato i Kippy też mieli w nim swoje miejsce. Teraz uśmiechnęła się do siebie, biorąc książkę i wkładając ją ostrożnie do torebki, żeby zakładka nie wypadła i żeby mama nie musiała szukać miejsca, gdzie skończyła czytać.

– Hej... panienko! – zawołał ktoś. – Co robisz z tą torebką?

Saffron odwróciła się i zobaczyła obcego mężczyznę, który patrzył na nią spod oka.

– To torebka mojej mamy – powiedziała. – Chcę jej ją zanieść. – Umilkła i nagle ogarnięta strachem, dodała: – Tylko nie wiem, gdzie mama jest.

Nieznajomy spochmurniał i rozejrzał się, jakby szukał drogi ucieczki.

– Moja mama to Eva Courtney – wyjaśniła Saffron. – Nie wie pan, gdzie poszła?

– Ach... no... muszę zmykać – rzucił mężczyzna i szybko wmieszał się w tłum.

Wszędzie wokół byli ludzie, ale Saffron czuła się zupełnie sama. Bardziej sama niż kiedykolwiek w życiu. Żałowała, że nie ma obok Manyora, żeby się nią zaopiekował. Przy nim zawsze czuła się bezpieczna.

Podeszła kelnerka, przykucnęła i wyciągnęła do niej rękę.

– Chodź, zabiorę cię do twojej matki – powiedziała.

Saffron podała jej rękę. Dotyk tej ciepłej, gładkiej dłoni trochę podniósł ją na duchu. Weszła do klubu, nadal mocno przyciskając do piersi torebkę mamy. W środku był bar, gdzie dzieci nie powinny wchodzić, pełen panów, którzy mówili o wyścigu, rozliczali się z zakładów, głośno domagali się piwa. Nikt nie zwrócił uwagi na Saffron, gdy kelnerka przeprowadziła ją przez salę i otworzyła drzwi, na których widniała drewniana tabliczka z napisem: KOMITET KLUBU.

– Panienska wejdzie – powiedziała cicho kelnerka, łagodnie popychając Saffron.

Saffron wślizgnęła się do środka, wiedząc, że to miejsce nie dla niej, i nie chcąc nikomu przeszkadzać.

Wokół stołu na środku pokoju stały trzy osoby. W głębi, plecami do niej, kobieta. Saffron rozpoznała żonę doktora Thompsona. Obok niej tato, też plecami do drzwi. Między nimi, po drugiej stronie stołu, dojrzała siwą głowę doktora Thompsona. Patrzył na coś przed sobą. Obok niego stał jeszcze ktoś i gdy Saffron wyciągnęła szyję, zobaczyła, że to biegacz, doktor Birchinall, nadal w szortach i białym swetrze, ale z bandażem na kontuzjowanym udzie.

Dopiero wtedy Saffron spostrzegła, że mama leży na stole, bez butów, i to nad nią pochylają się ojciec i Birchinall.

Mama poruszała nogami w górę i w dół, jakby potrząsała nimi czy kopła, ale robiła to bardzo dziwnie – Saffron nigdy czegoś takiego nie widziała.

Skulona, na palcach, obeszła pokój, aż znalazła się przy drugim końcu stołu. Stała bokiem, nie podnosząc głowy, by nie pochwycić czyjegoes spojrzenia. Ale w końcu się obróciła i popatrzyła na stół.

Mama leżała na plecach, z rękami po bokach. Thompsonowie stali przy głowie mamy i przygniatali jej ramiona do stołu. Tato przytrzymał nogi mamy. Przyciskali ją tak dlatego, że rzucała się na lewo i prawo, cała podskakując, a nogi i ręce strasznie się jej trzęsły.

Saffron nie rozumiała nic z tego, co się tu działo – dlaczego mama tak się rusza i dlaczego ma oczy otwarte, ale jakby niczego nie widzi. Jej piękna twarz, która zawsze patrzyła na nią z taką miłością, była teraz tak okropnie wykrzywiona, zupełnie nie do poznania. Sukienkę mama miała podwiniętą, a między nogami i na stole widniały mokre ciemne plamy. I jęczała, strasznie, jak ranne zwierzę, i Saffron już nie mogła dłużej tego wytrzymać.

– Mamusiu! – wykrzyknęła i rzucając torebkę, podbiegła do stołu.

– Kto pozwolił tu wejść tej małej?! – zawołał doktor Thompson. – Natychmiast ją zabierzcie!

Tato puścił dygoczące nogi mamy. Podszedł do Saffron, tak zły i zrozpaczony, że się rozpląkała, i tym razem, kiedy ją złapał za ramiona, nie był rozradowany ani miły, tylko patrzył na nią z gniewem i tak ją ścisnął, że aż bolało.

– Mamo! – krzyknęła znów Saffron i po raz trzeci: – Mamo! Chcę być z mamą!

Ale nic to nie pomogło. Tato wyniósł ją z pokoju i choć tłukła pięściami i kopała, głośno krzycząc: „Puść mnie! Puść mnie!” – wciąż mocno ją trzymał, idąc przez bar.

Przedarł się przez tłum na werandzie i zszedł po schodkach do Manyora.

I dopiero wtedy Leon Courtney postawił córkę na ziemi, chociaż nadal trzymał ją za ramiona, żeby nie uciekła. Spojrzał na Manyora z wściekłością w oczach, a w jego głosie nie było śladu braterskich uczuć, gdy warknął:

– Chyba ci mówiłem, żebyś jej pilnował.

Manyoro nie powiedział ani słowa. Wziął tylko Saffron za rękę, ściskając trochę łagodniej niż ojciec, ale i tak mocno. Leon Courtney poczekał chwilę, by sprawdzić, czy córka na pewno jest pod kontrolą, po czym odwrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do klubu.

Saffron patrzyła za nim, czując się całkiem opuszczona i w ogóle nie rozumiejąc, co się dzieje. Jej świat, jeszcze parę minut temu taki bezpieczny i szczęśliwy, teraz rozlatywał się na kawałki. Mama była strasznie chora. Ojciec nie cierpiał jej, Saffron. Nic nie było takie, jakie powinno być, i nic z tego nie miało sensu.

W tym momencie pierwsze krople deszczu spadły jej na głowę i rozbiły się na czerwonej ziemi wokół. Huknął grom, a parę sekund później niebo rozdarła błyskawica. Wiatr załopotał sukienką Saffron

i w jednej chwili ulewny deszcz zmył z twarzy łzy, a ryki burzy  
pochłonęły płacz.

– Co z nią?! – krzyknął po raz setny Leon z siedzenia kierowcy, odwracając głowę do tyłu rolls-royce’a.

Starał się przekrzyczeć wytężoną pracą silnika i łomot deszczu. Z tyłu samochodu padła taka sama odpowiedź jak za każdym razem.

– Jest bardzo słaba, panie Courtney. Ale żyje. – Za nim siedział doktor Hugo Birchinall, trzymając w ramionach Evę. – To wojowniczką, proszę pana, może pan być z niej dumny. Ale czy mogę coś panu doradzić... jako lekarz?

– Słucham.

– Pańska żona jest w bardzo złym stanie. Nie ma gwarancji, że przeżyje. Ale na pewno nie przeżyje, jeśli się rozbijemy. Więc proszę się skupić na prowadzeniu. To pomoże panu odwrócić uwagę od innych spraw.

Leon nic nie odpowiedział, ale znów spojrzał na drogę. Birchinall miał rację. Sama próba dotarcia do Nairobi w taką pogodę była czystym aktem desperacji. I nie chodziło o odległość. Gdyby podróż z Gilgil do kenijskiej stolicy biegła po płaskiej, prostej drodze, sześciocyndrowy, siedemdziesięciopięciokonny silnik rollsa szybko by sobie z nią poradził. Ale wyglądało to inaczej.

Jak większość zachodniej Kenii, Gilgil leżało na obszarze Wielkiego Rowu, ogromnego rozdarcia skorupy ziemskiej, które biegło gigantycznym łukiem na południe, prawie sześć i pół tysiąca kilometrów od etiopskiego wybrzeża Morza Czerwonego, przez serce Afryki Wschodniej, do Oceanu Indyjskiego nad Mozambikiem.

Jednak Nairobi znajdowało się poza granicami Wielkiego Rowu i samochodem można było tam dotrzeć tylko pełną zwirową drogą, która biegła po skalistej skarpie tworzącej brzeg doliny, na wysokości ponad dziewięćset metrów. Droga przyłgnęła do boku tego gargantuicznego naturalnego muru, wijąc się, szukając wszelkich możliwych punktów zahaczenia i nieustannie wznosząc się ku szczytowi.

Po bokach nie było barier czy choćby słupków wskazujących, gdzie urywa się droga, a zaczyna ostry spadek w pustkę. Tu i ówdzie jakieś drzewo uczepiło się kamienistej gleby i paru przedsiębiorczych czy może tylko lekkomyślnych przekupniów postawiło szałas, by sprzedawać

jedzenie i napoje na nielicznych płaskich skrawkach ziemi, szerokich ledwie na kilka metrów, między drogą a brzegiem urwiska.

W jasny, słoneczny dzień, kiedy nawierzchnia była sucha, widok z drogi na bezkresny Wielki Rów był tak wspaniały, że usprawiedliwiał nerwowość, którą czuł nawet najbardziej opanowany kierowca czy pasażer, pokonując tę drogę. Lękliwi mogli się pocieszyć, że ten przerażający odcinek ich podróży wynosi niewiele ponad półtora kilometra. Lecz podczas ulewy mogło to być równie dobrze tysiąc kilometrów, bo nikt przy zdrowych zmysłach nawet nie próbował pokonać czegoś, co szybko przemieniało się w zdradzieckie połączenie błotnistej drogi i pędzącego strumienia. Z nieba nie padał zwykły deszcz. To były rozpedzone wodospady. Fragmenty nawierzchni spływały wtedy w dół i żadna gospodyni, która zapraszała gości z obszaru Wielkiego Rowu, nie musiała przypominać, że w razie złej pogody przyjęcie jest zawieszane co najmniej na tydzień.

Ale Eva Courtney nie mogła czekać tygodnia, a nawet dnia. Jedyłą jej nadzieją był szpital, a najbliższy znajdował się w Nairobi.

„Postaram się ich zawiadomić, że jedziecie – powiedział doktor Thompson. – Birchinall, opiekuj się w drodze panią Courtney. Courtney, módl się, żeby ten twój wymuskany samochód był tak mocny, jak zawsze mówiłeś. I niech Bóg ma was w swojej opiece, bo potrzebujecie całej troski, jaką może was otoczyć”.

Wyruszyli, ledwo minęło południe. Evie przeszedł pierwszy atak, chociaż należało się spodziewać następnych. Jej twarz straciła swój zwykły złoty blask i nabrała odcienia upiornej, sinej bieli. Niemniej jednak Eva wydawała się spokojna, jakby spała, gdy zaniecono ją na noszach do samochodu i położono na tylnej kanapie. Leon ustąpił trochę i pozwolił Saffron zbliżyć się do matki i szepnąć jej do ucha: „Kocham cię”, ale odmówił, gdy córka błagała, żeby mogła jechać z nimi do szpitala. Zabrano ją, chociaż kopała i krzyczała, i odwieziono ciężarówką do Lusimy, razem z Manyorem, Loikotem i służbą.

Pierwszy odcinek drogi, biegnący dnem doliny na południowy wschód, był stosunkowo prosty. Deszcz padał zbyt gęsty, by wycieraczki rollsa mogły sobie z nim poradzić, ale Leon znał drogę tak dobrze, że wystarczył mu byle punkt orientacyjny, by się rozeznać w okolicy. I na szczęście prawie nie było ruchu. Rozpaczliwie szukając jakiegoś tematu, byle tylko nie rozmawiać o stanie Ewy, zagadnął Birchinalla:



– Ta burza w samą porę przyszła na ratunek pańskiemu de Lanceyowi.

– Co pan ma na myśli?

– No, wątpię, by w taką pogodę rozebrał się do naga i biegał wkoło boiska. A nawet gdyby, nikt nie zostałby na dworze, żeby go oglądać.

– Cieszę się, że pański zawodnik wygrał – powiedział Birchinall. – To z jego strony niebywale odważne, że porwał się na takich jak my. Człubym się okropnie, gdyby van Doorn dał radę i pokonał go na finiszu. Szczerze mówiąc, nie przepadam za tymi Burami. Banda bez wdzięku, zgodzi się pan?

– To prawda. Ale pewnie odparliby, że wdzięk to luksus, na jaki ich nie stać. I należy oddać mu sprawiedliwość, że nie jest jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent innych białych, którzy byli tam dzisiaj. To Afrykanin z krwi i kości, nie osadnik, nie kolonista.

– Jak pan, z tego, co słyszałem... Proszę wybaczyć, że to mówię.

– Oczywiście, że wybaczam, to dla mnie komplement. Stąd przede wszystkim wziął się ten idiotyczny zakład, z poczucia, że jestem Afrykaninem. Chryste, żałuję, że w ogóle wyzwalem de Lanceya. Spędzilibyśmy dzień w domu, spokojnie. Eva byłaby zdrowa jak ryba. Nigdy sobie nie wybaczę tego, co ją spotkało. Nigdy!

– Niech pan tak nie mówi. Pańska żona ma rzucawkę ciążową. Mogła ją dopaść w każdej chwili, wszędzie. Los zrządził, że zdarzyło się to w miejscu, z którego jest znacznie bliżej do Nairobi niż z pańskiej posiadłości, i że pod ręką było dwóch lekarzy. Jeśli już, to ten zakład zwiększył szanse pańskiej małżonki, nie zmniejszył.

Droga zaczęła się wspinać; mijali kępy agaw sizałowych o szpiczastych liściach i wilczomleczy kandelabrowych, których soczyste odrosty wyrastały z pnia niczym miriady zielonych świec. W miarę jak się wznosili, widzieli coraz większy obszar Wielkiego Rowu, usiany wzgórzami.

– Zdumiewające, prawda? – odezwał się Birchinall. – Jak u zarania czasu. Co za potęgą przyrody!

Leon wiedział, co lekarz ma na myśli. Słońce całkiem zniknęło i ciemność rozświetlały tylko błyskawice, uderzające raz po raz w górskie grzbiety, które odznaczały się głęboką czernią na tle purpurowego i ciemnoszarego nieba. Wydawało się, że to niewidzialni bogowie ciskają z wysokości pioruny, jakby ich bezkresna władza kryła iskrę życia, ale też niszczycielską moc śmierci.

Biegająca zakosami droga znów się podniosła i nagle znaleźli się na brzegu skarpy, na odcinku drogi niewiele szerszym niż samochód, gdzie nawierzchnia była najbardziej zdradziecka, wystawieni na wiatr i deszcz. Leon kazał zamontować w samochodzie możliwie najsilniejsze reflektory, ale światła ledwo przenikały gęsty, zalany strugami wody mrok. Leon widział jedynie mały kawałek przed maską, dalej była tylko ciemność i zupełnie nie dawało się ocenić, czy to czerń drogi czeka na błysk światła, by się pojawić, czy też przepaść urwiska, czyhająca, by ich pochłonąć.

Leona korciło, żeby wcisnąć gaz, bo każda minuta podróży zmniejszała szanse Ewy na przeżycie. Co jakiś czas dobiegały go jęki żony i zdał sobie sprawę, że słyszy je rzadko nie dlatego, że Eva skarży się rzadko, ale dlatego, że docierają do niego tylko wtedy, gdy chaos na zewnątrz chwilowo się uspokaja. Im byli wyżej, tym droga stawała się bardziej zdradziecka.

Spływająca potokami woda porywała kamienie, które uderzały o koła i podwozie, żłobiła wyboje w niedawno jeszcze dość gładkiej nawierzchni. Tam gdzie żwir został zmyty, ziemia zmieniła się w błoto i była śliska jak lód. Leon wielokrotnie czuł, że samochód sunie w poprzek drogi, i musiał walczyć z kierownicą, by odzyskać panowanie nad autem i jechać dalej do przodu.

Czy to koniec? – pytał się w duchu. Czy to właśnie ta katastrofa, którą przepowiedziała Lusima Mama? Ale jak to możliwe? Powiedziała, że będę żył, choć w jej ustach brzmiało to niczym przekleństwo. Już lepiej, żebym zginął razem z Ewą.

Przepędził tę myśl. Nie! Bez względu na wszystko, co się wydarzy, muszę żyć. W ostateczności choć jedno z nas musi się zaopiekować Saffy. O Boże, daj nam obojgu to szczęście. Proszę, błagam, niech moja ukochana Eva przeżyje.

Czy wierzysz w Boga? – spytała Saffron Manyora, kiedy wracali do Lusimy, podczas tej samej burzy, ale dużo bardziej przyjaznymi drogami.

– Oczywiście. Wierzę w Ojca, Syna i Ducha Świętego – odrzekł Manyoro, o którego edukację zadbali misjonarze.

– Już się do nich modliłam. Modliłam się i modliłam, żeby mamusia poczuła się lepiej. Macie innego boga, masajskiego, żebym też mogła się do niego pomodlić?

– Tak, mamy boga, nazywamy go Ngai. Stworzył całe bydło na świecie i dał je, co do ostatniego cielaka, Masajom. Kiedy pijemy krew i mleko naszych krów, jest tak, jakbyśmy pili też krew Ngai.

– Chrześcijanie wierzą, że piją krew Jezusa, prawda?

– Tak, i dlatego my wierzymy w waszego Boga. Myślę, że jest prawdziwym Ngai. – Manyoro roześmiał się głośno, zadowolony z przebiegłości swojej teologii. – Żona Ngai nazywa się Olapa – dodał. – Jest boginią księżyca. Do niej też możesz się pomodlić.

– Dziękuję.

– Poza tym wierzymy, że każdy na świecie ma opiekuńczego ducha, który został wysłany, żeby nad nami czuwać i strzec nas od złego. Kiedy będziesz się modlić, poproś opiekuńczego ducha twojej matki, żeby był silny i czujny, żeby ją chronił.

Saffron pomodliła się więc do Boga, Jezusa, Ngai i Olapy. Modliła się za mamę i jej opiekuńczego ducha. Obiecała Bogu, że będzie zawsze grzeczna i nigdy już nie zrobi niczego złego, żeby tylko mama była zdrowa.

Potem opowiedziała Manyorowi o wszystkich swoich modlitwach, a kiedy skończyła je wyliczać, zapytała:

– Myślisz, że to coś da?

Pielęgniarka stojąca przy głównym wejściu Szpitala Europejskiego w Nairobi zmrużyła oczy, oślepiona reflektorami nadjeżdżającego samochodu. „Wypatruj wielkiego auta, które ma na masce figurkę kobiety ze skrzydłami”, powiedział jej doktor Hartson. Ale światła tak ją oślepiły, że nie widziała maski wozu. Skręcił na podjeździe i wtedy zobaczyła go z boku – rzeczywiście miał na przodzie figurkę skrzydlatej kobiety. Pielęgniarka odwróciła się i przez podwójne wahadłowe drzwi wbiegła do szpitala.

– Są, panie doktorze! – krzyczała, pędząc korytarzem. – Już są!

Gdy Leon zajeżdżał pod markizę osłaniającą wejście, dostrzegł, jak pielęgniarka znika w budynku. Przez ostatnie kilometry nie pytał o nic Birchinalla, w obawie że usłyszy coś, co okaże się nie do zniesienia. Ale teraz, gdy silnik zakaszłał i zgasł, Leon nie mógł się już powstrzymać.

– Oddycha? – spytał.

– Tak – potwierdził Birchinall. – Ale ma bardzo słaby puls.

– Bogu dzięki – szepnął Leon, czując ulgę, że dowieźli Evę żywą do szpitala.

– Chyba będzie pan musiał pomóc ją wynieść. Ja nie dam rady przez tę nogę.

– Oczywiście.

Wysiadł z rollsa w chwili, kiedy drzwi szpitala się otworzyły i pojawił się sanitariusz pchający nosze na kółkach. Za nim wyszli pielęgniarka i mężczyzna w białym kitlu lekarskim. Leon rozpoznał Franka Hartsona, jedyne szpitalnego chirurga. Spotkali się kilkakrotnie na gruncie towarzyskim i Hartson wydał mu się porządnym, inteligentnym człowiekiem, chociaż może nie najbystrzejszym, jakiego znał. Teraz w jego rękach miało się znaleźć życie Evy.

Leon podbiegł do tylnych drzwi samochodu i otworzył je szeroko, gdy nosze zatrzymały się kilka metrów dalej. Postawił nogę na progu i wsunął ręce pod łopatki Evy.

– Mam nogi, *bwana* – powiedział sanitariusz.

– Na trzy podnosimy – zarządził Leon. – Raz... dwa... trzy!

Unieśli z tylnej kanapy przelewające im się przez ręce ciało Evy i Leon patrzył ze zgrozą, jak jej głowa opadła bezwładnie na jego ramię.

Oczy miała zamknięte. W kącikach ust zaschła ślina. Kiedy spojrzał na sukienkę żony, zobaczył, że jest przesiąknięta krwią i moczem. Poczł ostrą woń.

– Och, moje biedactwo – szepnął.

Położył ją na noszach, a sanitariusz zapiął pasy. Leon wziął Evę za rękę i patrzył na tę twarz, która od tak dawna urzekała go bez reszty.

– Trzymaj się, najdroższa. Niech Bóg będzie z tobą. Kocham cię bardzo – powiedział i przez sekundę jakby widział, a może tylko chciał widzieć, że jej powieki drżą i na ustach pojawia się cień uśmiechu.

– Przepraszam, panie Courtney, ale naprawdę musimy zawieźć pańską żonę na operację – odezwał się Hartson.

– Rozumiem. – Leon z wysiłkiem puścił palce Ewy.

– W aucie jest doktor Birchinall – powiedział Hartson do pielęgniarki.  
– Potrzebuje kul. Proszę mu je podać i potem zaraz przyjść na salę operacyjną. – Odwrócił się do sanitariusza. – Przekaż siostrze przełożonej, że muszę operować jak najszybciej. Trzeba natychmiast przygotować panią Courtney. Jasne?

– Tak, panie doktorze.

– No to ruszaj.

Kiedy sanitariusz poprowadził nosze do budynku, Hartson spojrzał na Courtneya.

– Przykro mi, że musimy się spotykać w takich okolicznościach. Hm, nie wiem, ile Thompson powiedział panu o stanie żony...

– Nic więcej ponad to, co podczas pierwszej wizyty. Dzisiaj nie mogliśmy spokojnie porozmawiać, przy tych konwulsjach.

– Oczywiście. No więc sytuacja wygląda następująco. Jak może Birchinall panu wyjaśnił, jesteśmy całkiem pewni, że pańska żona cierpi z powodu rzucawki, nazywanej ciężowym nadciśnieniem tętniczym. Mówiąc prościej, ma bardzo wysokie ciśnienie krwi i nadmiar białka we krwi i w moczu. Drgawki to charakterystyczny objaw tego stanu. Ale muszę pana ostrzec, że rzucawka ciężowa może również prowadzić do niewydolności nerek, zawału serca, zapalenia płuc i wylewu krwi do mózgu. I niestety, czasami kończy się to śmiercią.

– Na litość boską, dlaczego Thompson nie zaradził temu wcześniej, skoro była taka chora? – spytał Leon, nie panując nad gniewem w głosie.

– Przy tych środkach, którymi dysponował, nie mógł przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja. Symptomy początkowe, takie jak zawroty i bóle głowy oraz lekkie mdłości, mogą występować przy różnych chorobach,

z których wiele jest stosunkowo niegroźnych. A pańska żona jest w ciąży i mieszka na dużej wysokości. Mogła czuć się niedobrze i mieć bóle głowy, jednak wcale nie musiały to być jednoznaczne powody do niepokoju. Zalecenia Thompsona były jak najbardziej słuszne. To zwykły, przeklęty pech, że tak naprawdę działo się coś poważnego.

– I co teraz może pan zrobić?

– Gdyby sytuacja była pod kontrolą, dałbym jej coś na obniżenie ciśnienia, ale obawiam się, że zwykłe leki nie wystarczą. Jeśli wyrazi pan zgodę, spróbuję przyspieszyć poród przez cesarskie cięcie. Muszę pana uprzedzić: istnieje duże ryzyko, że stracimy dziecko, i nieco mniejsze, ale jednak poważne, że pańska żona też nie przeżyje operacji. To w znacznej mierze zależy od stopnia powikłań narządowych, do jakich już doszło.

Leon starał się opanować emocje, które wypierały jego racjonalny umysł, i zrozumieć to, co mówił Hartson, ogarnąć ten spokojny, wygłoszony z angielską flegmą wywód, zawierający straszne, tragiczne wieści. Chciał czegoś, z czym mógłby walczyć, wroga, którego mógłby pokonać, bo na Boga, jakie miał prawo mienić się mężczyzną, skoro nie potrafił ochronić swojej żony i dziecka? Ale nic nie dało się zrobić, ponieważ ta wojna toczyła się w niej, poza jego zasięgiem.

– Czy wyraża pan zgodę? – spytał doktor Hartson.

Leon skinął głową.

– Proszę robić to, co uważa pan za najlepsze, doktorze. A gdyby musiał pan wybierać... – Urwał, dławiąc się słowami, które miał wypowiedzieć, i ledwie powstrzymując łzy. – Na litość boską, niech pan ratuje moją żonę.

– Zrobię, co będę mógł, obiecuję panu – odrzekł Hartson. Już się odwracał, by odejść, ale jeszcze popatrzył na Leona. – W korytarzu niedaleko jest poczekalnia. Może pan tam usiądzie? Każę przynieść panu herbaty, mocnej i słodkiej, żeby podnieść panu poziom cukru we krwi, dobrze?

Odszedł kilka kroków w głąb korytarza, gdy Leon zawołał za nim:

– Doktorze...?

Hartson się zatrzymał.

– Tak?

– Powodzenia.

Lekarz nic nie powiedział, tylko przeciągle spojrział na Leona, po czym ruszył do sali operacyjnej.

Leon odprowadził go wzrokiem, ciężko westchnął i poszedł szukać poczekalni.

Godziny mijały. W poczekalni stały cztery podniszczone fotele i Leon przysiadł na każdym, starając się znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł wytrzymać, tak by nie musiał wstawać i krążyć wkoło, żeby tylko pozbyć się napięcia, od którego wnętrzości miał napięte jak skóra na bębnie. Pośrodku pomieszczenia stał niski drewniany stolik, na którym leżało bezładnie kilka starych egzemplarzy „Puncha” z oślimi rogami, obok brudnej bakelitowej popielniczki. Leon sięgał po kolejne numery, przerzucał strony, patrzył tępo na rysunki, ledwo je widząc, a tym bardziej nie doceniając ich humoru. Minęło dobre pół godziny, zanim pojawiła się herbata. Wypił ją w dwie minuty. Cukier dodał mu energii, tak jak mówił doktor Hartson, ale to jedynie wzmogło niepokój Leona.

Kiedy wychodził z klubu, Thompson wcisnął mu do ręki paczkę papierosów Player’s Navy Cut, mówiąc: „To może się przydać”.

„Nie palę”, odparł Leon, ale w zamieszaniu Thompson już tego nie usłyszał, więc Leon wsadził papierosy do kieszeni spodni i całkiem o nich zapomniał. Teraz wyjął zgniecioną, pomiętą paczkę. Thompson wetknął do niej kartonik zapalek z reklamą: „Sklep Wielobranżowy Hendersona, Gilgil, Kenia”.

Leon dorastał pośród zapachu tanich cygar, bo jego ojciec, Ryder Courtney, zawsze trzymał takie cygaro w zębach, prowadząc łódź w górę i w dół Nilu lub wyklócając się z ludźmi, z którymi handlował. Kiedy synowi i ojcu zrobiło się za ciasno pod jednym dachem, Leon opuścił dom rodzinny w Kairze i zaczął szukać szczęścia w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, jak nazywano wtedy Kenię. Woń cygar zawsze kojarzył z ojcem i ze wszystkim, od czego chciał uciec – palił tylko na wojnie, jak praktycznie każdy żołnierz brytyjskiej armii, by zabić czas i zmniejszyć napięcie długich godzin monotonii i obaw poprzedzających bitwę. W dniu, w którym opuścił wojsko, rzucił palenie, ale teraz zdał sobie sprawę, że doktor Thompson wcisnął mu papierosy jako remedium – by pomogły mu przetrwać bezradne oczekiwanie na wiadomości, które mogą okazać się bardzo złe.

Leon zapalił papierosa, poczuł znajome doznanie w płucach, gdy wypełnił je dym, i rozluźniając się, wydmuchał go powoli. W paczce było jeszcze osiem sztuk i w ciągu następnych dwóch godzin wypalił



wszystkie. Powietrze w poczekalni zgęstniało od dymu, ubranie Leona śmierdziało, w ustach miał paskudny smak, a popielniczka wypełniła się niedopałkami.

Nagle poczuł przemożną potrzebę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Opuścił poczekalnię, pokonał korytarz i otworzywszy dwuskrzydłowe drzwi, wyszedł na zewnątrz. Przed szpitalem rozpościerał się ładny ogród, ograniczony z trzech stron podjazdem, a z czwartej murem ciągnącym się wzdłuż drogi. Wokół stały ławki dla pacjentów i gości. Burza minęła, zapadła noc i powietrze było chłodne i orzeźwiające jak woda w górskim strumieniu. Leon przetaił jedną z ławek, usiadł i wyciągnął nogi. Z odchyłoną do tyłu głową podziwiał majestatyczne, nieskończone piękno gwiazd południowego nieba. Na drodze nie było żadnego ruchu i słyszało się jedynie brzęczenie owadów wśród drzew i krzewów. Leon zamknął oczy i przez chwilę doświadczał uczucia głębokiego spokoju i rozluźnienia, pozbywając się napięcia mięśni.

Wtedy usłyszał trzaśnięcie drzwi.

Otworzył oczy, wyprostował się i popatrzył w kierunku szpitalnego wejścia. W ostrym, białym świetle, rozjaśniającym przestrzeń pod markizą, siedł do niego doktor Hartson. Ramiona miał zgarbione, krok ciężki i otaczała go aura, jaką Leon widział u żołnierzy, którzy właśnie ponieśli klęskę i stracili swoich towarzyszy broni.

Domyślił się, jakie wieści niesie doktor Hartson, idąc tu przez trawnik tak powoli, z trudem, i nagle wydało mu się, że wszystkie gwiazdozbiory zniknęły z nieba, a jego pochłonęła czerń. Bo utracił słońce, księżyc i gwiazdy, które rozjaśniały mu życie.

Tymczasem Hartson już do niego podszedł. Wiedział, że nie musi mówić, co się stało.

– Tak strasznie mi przykro, stary. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, ale...

Może mówił dalej, lecz do Leona Courtney'a nie dotarło już żadne słowo. Tama, którą miał w sobie, pękła i uszy wypełnił mu własny szloch.

Saffron leżała w swoim pokoju w Lusimie przez wiele godzin, zanim zapadła w niespokojny sen, z majakami pełnymi gniewu, niebezpieczeństw i straszliwego poczucia, że straciła coś, czego w żaden sposób nie może odnaleźć. Nagle się ocknęła. Ktoś był w jej pokoju, na pewno. Usiadła, otworzyła szeroko oczy, rozglądając się na boki i nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku, ale chociaż wrażenie czyjejs bliskiej obecności nie zniknęło, niczego nie widziała ani nie słyszała.

Zapaliła lampkę nocną.

Pokój okazał się pusty. Drzwi były zamknięte.

I nagle to wrażenie, że ktoś tu jest, zniknęło tak szybko, jak się pojawiło, i Saffron w chwili absolutnej jasności umysłu zrozumiała.

– Mamo! – krzyknęła. – Mamo! Wróć!

Ale mama odeszła i nigdy już nie miała powrócić. Saffron teraz to wiedziała i wraz z tym utraciła wszelką otuchę i poczucie bezpieczeństwa, które dawała jej matka. Rozpoczął się zupełnie nowy rozdział jej życia.

Kiedy Saffron miała trzynaście lat, Leon wysłał ją do Roedean, szkoły z internatem dla dziewcząt w Parktown.

– Czas, żebyś rozpoczęła porządną naukę – powiedział. – Kiedy mnie zabraknie, ty będziesz zarządzać posiadłością i wszystkimi rodzinnymi interesami. Musisz się więcej nauczyć o gotowaniu, szyciu i układaniu kwiatów.

– Ale dlaczego muszę jechać aż do Afryki Południowej? – zaprotestowała Saffron. – Przecież w Kenii też na pewno są dobre szkoły.

– Pewnie, że są. Ale się rozpytałem i wygląda na to, że żadna nie oferuje dziewczętom nauki na takim poziomie, jaki jest w Roedean. To siostrzana placówka słynnej szkoły dla dziewcząt w Anglii. I chyba dosłownie siostrzana: trzy siostry założyły szkołę w Anglii, a potem czwarta popłynęła do Afryki Południowej i razem ze swoją koleżanką założyła szkołę w Johannesburgu. To było trzydzieści lat temu, a od tamtej pory tylko rosła w siłę i naprawdę jest pierwszorzędną. Poza tym, Saffy... – głos Leona złagodniał, gdy zaczął mówić bardziej z serca niż z głowy – to nie życie dla ciebie, plątać się po posiadłości, mając za towarzystwo tylko mnie i służbę.

– Ale ja lubię się plątać po posiadłości! To mój dom. I tu wszyscy są moją rodziną – odparła błagalnie Saffron.

– Wiem, skarbie, i wszyscy tutaj kochają cię jak własną córkę. Ale musisz przebywać w towarzystwie dziewcząt w twoim wieku i potrzebujesz kobiet, na których mogłabyś się wzorować i od których mogłabyś się uczyć. Są rzeczy, których ja nauczyć cię nie mogę. Rzeczy, które wiedzą tylko kobiety. I... no... wiesz...

Tak, oczywiście, Saffron wiedziała. W końcu tak wiele rozmów z ojcem rozbijało się o tę wielką wyrwę w ich życiu, tam gdzie powinna być matka. Ojciec nigdy nie znalazł innej kobiety, która by ją zastąpiła. Wiele pragnęłoby zostać panią Leonową Courtney, właścicielką jednej z największych, najlepiej zarządzanych i najpiękniejszych posiadłości w Afryce Wschodniej. Kilka kobiet dotarło aż do Lusimy i robiły, co mogły, by zrobić dobre wrażenie na ojcu, przymilając się do jego córki.

„Jak jeszcze jedna głupia kobieta powie mi, że na pewno zostaniemy przyjaciółkami na śmierć i życie, to zacznę wrzeszczeć”, zwierzyła się

Saffron swojej Kippy podczas jednej z ich codziennych pogaduszek od serca (choć prawdę mówiąc, klaczkę interesowało tylko jabłko, które jej młoda pani chowała za plecami). Ale każda z tych kobiet zniknęła po kilku dniach, tygodniach, a w jednym przypadku po trzech miesiącach, i Saffron już dawno przestała zwracać na nie jakąkolwiek uwagę.

To jednak wcale nie znaczyło, że kochała ojca mniej albo że dom ją nudził. Lusima była magicznym królestwem, w którym ona była następczynią tronu, i nie chciała przebywać nigdzie indziej. Dlatego walczyła, posługując się każdym logicznym argumentem, jaki tylko umiała znaleźć, i grając na uczuciach taty, lecz nic to nie dało. Ojciec podjął decyzję, a gdy Leon Courtney podjął decyzję, żadna siła na świecie nie mogła jej zmienić.

Wyjazd do Roedean oznaczał, że Saffron po raz pierwszy miała opuścić dom. Leon wiedział, że to będzie dla niej trudne, więc chciał tak ubarwić tę podróż, by córka jak najdłużej nie zatęskniła za domem. Dlatego nie zabrał jej parowcem do Durbanu, portu leżącego najbliżej Johannesburga, tylko zarezerwował bilety na ostatni odcinek najnowszej trasy linii Imperial Airways z Anglii do Afryki Południowej. I nie wziął jej do Johannesburga. Niebawem po Bożym Narodzeniu 1932 roku polecili do Kapsztadu.

– Pomyślałem, że czas, byś poznała południowoafrykańską gałąź naszej rodziny – powiedział. – Zaczynając od naszej krewnej Centaine.

– Dziwne imię – skwitowała Saffron.

– Francuskie, oznacza „sto”. Tak więc *une centaine d’années* znaczy „stulecie”.

– To jeszcze dziwniejsze imię. Kto nazywa dziewczynę „Stulecie”?

– Ktoś, kto ma córkę urodzoną w pierwszej godzinie pierwszego dnia pierwszego roku stulecia i kto jest Francuzem. Panieńskie nazwisko Centaine brzmi de Thiry. Mojego kuzyna Michaela poznała we Francji, kiedy stacjonował tam podczas wojny, służąc w Królewskim Korpusie Lotniczym. Był pilotem myśliwca.

– Zakochali się w sobie?

– Tak.

– Jakie to romantyczne! – Wyobraźnia Saffron natychmiast wyczarowała obraz dziarskiego przystojniaka w mundurze pilota i ślicznej francuskiej *mademoiselle*, padających sobie w ramiona, chociaż dziewczynka nadal zbyt mało wiedziała o miłości, by mieć pojęcie, co mogło zdarzyć się potem. – Uważam, że Centaine to śliczne imię – powiedziała z charakterystycznym dla niej zdecydowaniem. Ale nagle coś ją uderzyło. – Powiedziałeś, że Michael latał myśliwcem, ale nie mówiłeś, że spotkamy się z nim w Afryce Południowej. Więc...

– Tak, zginął. Cholerni Niemcy go zestrzelili.

– A jak ona wylądowała w Afryce Wschodniej?

– Michael i Centaine się pobrali – zaczął Leon. Po prawdzie zawsze wątpił, czy doszło do zawarcia małżeństwa, ale rodzina przyjęła Centaine jako swoją i wszelkie wątpliwości dyskretnie zamieciono pod

dywan. – Kiedy zginął, Centaine była z nim w ciąży, a ponieważ nie miała rodziny we Francji, zdecydowano, by wysłać ją do Afryki Południowej, bo tam będzie bezpieczniej dla niej i dla dziecka, kiedy przyjdzie na świat.

– To w Afryce Południowej nie było wtedy wojny?

– Nie działo się nic niepokojącego. Afryka Południowo-Zachodnia był niemiecką kolonią, więc mieszkało tam mnóstwo zwolenników kajzera. Również Burowie, którzy nie cierpieli Brytyjczyków. Niemcy zamierzali pomóc Burom w powstaniu i podbiciu Afryki Południowej, ale... nigdy do tego nie doszło. – Głównie dlatego, że twoja matka i ja do tego nie dopuściliśmy, pomyślał Leon. – Tak czy owak, w Afryce Południowej było o wiele, wiele mniej walk niż we Francji – ciągnął – więc tu miało być dla Centaine bezpieczniej, gdyby nie...

– Och, co? – spytała Saffron, z każdą chwilą bardziej zainteresowana losami Centaine.

– Niemiecki okręt podwodny storpedował statek, którym płynęła Centaine. Jakoś przeżyła i fale wyrzuciły ją na brzeg Afryki Południowo-Zachodniej.

– A więc ocalała!

– Tak, ale to nie był koniec jej kłopotów, bo jak powinnaś wiedzieć, jeśli uważałaś na lekcjach geografii, tamtejsze wybrzeże jest częścią pustyni Namib, jednej z najstarszych i najbardziej suchych pustyni na świecie. Dlatego nazywają to miejsce Wybrzeżem Szkieletowym. Nie ma tam wody, pożywienia, niczego. W każdym razie nie dla białych ludzi.

– To jak udało jej się przeżyć?

– Uratowali ją pewien Buszmen i jego żona. Buszmeni mają niezwykłą zdolność radzenia sobie na pustyni i dzięki nim Centaine nie zginęła. A kiedy podróżowała z nimi, znalazła diament. Po prostu leżał sobie na ziemi.

– Diament! – wykrzyknęła Saffron. – Kto zostawia diament na środku pustyni?

– Nikt go nie zostawił. – Leon się roześmiał. – To był nieoszlifowany diament, a nie brylant. Leżał tam od początku świata. Tak więc Centaine zgłosiła swoje prawo do tej ziemi i wszystkich jej minerałów, a potem okazało się, że tam, gdzie znalazła pierwszy diament, jest też dużo innych. W ten sposób została właścicielką kopalni diamentów.

Szafirowe oczy Saffron zrobiły się wielkie jak spodki.

– Boże! Ta Centaine musi być najbogatszą kobietą na świecie! – wykrzyknęła.

– Tak, była niezwykle bogata, to prawda. Ale teraz są ciężkie czasy dla wszystkich i rynek diamentów przeżywa kryzys, zresztą jak każdy rynek, prawdę mówiąc. Centaine miała szczęście, że udało jej się w ogóle zatrzymać kopalnię, ale z tego, co wiem, wystawiła na sprzedaż swój dom pod Kapsztadem. Chyba z całym dobytkiem, obrazami, meblami, srebrami rodzinnymi, wszystkim. Również dlatego chcę się z nią zobaczyć. Może zdołam jej pomóc.

Saffron uznała, że sprawa jest bardzo smutna, więc postanowiła poruszyć inny temat.

– A możesz mi opowiedzieć coś o jej dziecku? To chłopiec czy dziewczynka? Jak ma na imię? Ile ma lat?

– Jej syn ma na imię Shasa i chyba musi być teraz piętnastolatkiem. Myślę, że dzieli was jakieś półtora roku.

– Jaki on jest? – spytała Saffron.

Tak naprawdę chodziło jej o to, czy jest przystojny, lecz nie odważyła się zapytać wprost.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparł Leon. – Centaine spotkałem kilka razy, ale jej syna nie widziałem. Jednak na pewno będziesz mogła z nim pogadać do woli.

Kiedy Leon i Saffron wylądowali na lotnisku Winfield, po wschodniej stronie Kapsztadu, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, był ogromny żółty daimler stojący na płycie lotniska, zaledwie dwadzieścia metrów od miejsca, w którym zatrzymał się ich samolot.

– Spójrz, tato, na ten samochód! – wykrzyknęła Saffron, wskazując daimlera. – Jest jeszcze większy i bardziej żółty niż hispano-suiza lady Idiny.

Zanim Leon zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi kierowcy. Tej klasy samochody zwykle prowadzili szoferzy w uniformach, ale tu zamiast szofera wyłoniła się kobieta tak niezwyklej urody, że Saffron stanęła jak wryta i tylko z zachwytem się w nią wpatrywała.

– Czy to... to Centaine? – wyjąkała.

– Tak, to ona – potwierdził Leon.

Już po pierwszym spojrzeniu Saffron poczuła bezgraniczny podziw dla Centaine. Była tak piękna jak królowe na ilustracjach w jej dawnych książkach z bajkami, szczupła i pełna gracji, niczym leśna nimfa, o krótkich, nienagannie obciętych, kruczoczarnych włosach i oczach tak hipnotyzująco przepastnych, że wydawały się też prawie czarne. Ale Centaine fascynowała nie tylko urodą. Również poruszała się niczym królowa, a zarys jej szczęki wskazywał na niebywale silną wolę.

Saffron przeżyła niemal połowę życia, nie mając przy sobie kobiety, na której mogłaby się wzorować, i teraz, gdy patrzyła na Centaine, doznała znajomego, chociaż już odległego uczucia. I zdała sobie sprawę, że w dzieciństwie przeżywała to samo na widok swojej pięknej, wytwornej matki: jej uroda i wdzięk budziły w niej identyczny zachwyty i pragnienie, aby kiedyś może, tylko może, choć trochę ją przypominać.

Leon ruszył, by się przywitać, i gdy podszedł do Centaine, ta uśmiechnęła się, odsłaniając nagle inną stronę swojej osobowości: uroczej, rozkosznej kobietki, skłonnej do flirtu z mężczyzną.

Ale by z nich była para, pomyślała Saffron, patrząc na swojego wysokiego, silnego, przystojnego ojca obok tej zachwycającej kobiety. Zszokowana tą nieoczekiwaną myślą, skarciła siebie: nie bądź głupia!

W tym momencie ktoś jeszcze wyłonił się z auta. I teraz już Saffron miała do przemyślenia coś znacznie ważniejszego.



Shasa Courtney wcale nie miał ochoty wlec się z matką na lotnisko, by powitać kenijską kuzynkę. Po pierwsze, wysyłano ją do Roedean, a wszyscy wiedzieli, że dziewczyny z Roedean to głupie, krostowate kujonki, wszystkie w okularach i wiecznie z nosem w książce. Chłopcy ich nie interesowali. Chciały tylko wdrzeć się na uniwersytet i im, mężczyznom, sprzątnąć sprzed nosa posady. Po drugie, ta Saffron miała dopiero trzynaście lat, podczas gdy jemu brakowało tylko paru miesięcy do szesnastu i wkrótce miał wrócić do Bishops, gdzie był starostą. Jakim cudem mogłaby wzbudzić jego zainteresowanie?

I nagle zobaczył wysiadającą z samolotu dziewczynę. I to musiała być Saffron, bo poza siwowłosą babcią, uwieszoną ramienia równie wiekowego staruszka, z samolotu nie wyłoniła się żadna inna osoba płci żeńskiej. Ale przecież ta dziewczyna – istota o lśniących, ciemnobrązowych, rozwianych na wietrze włosach, ubrana w sukienkę, którą wiatr tak oblepiał wokół jej nóg, że Shasa widział zarys szczupłych bioder, płaskiego brzucha i grzesznego, kuszącego, nieskończenie tajemniczego trójkątka pośrodku – ta dziewczyna, która teraz go dostrzegła, zauważył to, i patrzyła na niego, wręcz wbijała w niego wzrok, jakby potrafiła przejrzeć go na wskroś... ta dziewczyna nie mogła być Saffron Courtney. A może jednak była?

– Centaine! Jak cudownie znów cię widzieć – odezwał się Leon.

– I ciebie, Leonie – odrzekła, całując go w oba policzki z elegancką czułością znakomicie wychowanej Francuzki.

Cofnął się o krok i obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

– Wyglądasz... – Już miał wygłosić konwencjonalny komplement, ale ciepło jej uśmiechu i blask w oczach sprawiły, że zmienił zamiar. – Wyglądasz na niesłychanie szczęśliwą. Dobre wieści?

– Tak! – potwierdziła.

– Powiesz, jakie konkretnie?

– Później. – Wzięła go pod ramię i odwróciła się w stronę auta. – Twoja córka to prawdziwa piękność. Niebawem będzie doprowadzać mężczyzn do szaleństwa. Może lepiej, żebyś zamiast do szkoły posłał ją do klasztoru!

– Spokojnie, staruszko! – odparł Leon. Jak każdy kochający ojciec zawsze uważał za oczywiste, że jego córka jest najładniejsza na świecie. Ale nigdy, nawet myśląc hipotetycznie o dalekiej przyszłości, nie traktował Saffron jako kobiety mogącej wzbudzać pożądanie mężczyzn. Jednak teraz podążył za wzrokiem Centaine i patrzył na przywitanie Saffron i Shasy. – Na Boga, naprawdę widać rodzinne podobieństwo – powiedział.

– Mhm... – przyznała Centaine.

I rzeczywiście, tych dwoje młodych ludzi było tak do siebie podobnych, że wyglądali raczej jak rodzeństwo niż kuzynostwo. Może oczy Shasy były w głębszym odcieniu błękitu niż oczy Saffron, ale oboje mieli identyczne ciemne włosy i szczupłą budowę ciała. On dopiero wyrastał z niemal dziewczęcej urody, lecz nie był jeszcze mężczyzną. Ona nadal miała w sobie coś z urwisa, chociaż widać już było pierwsze oznaki kobiecości: biodra lekko się zaokrąglały, zaczęły się uwydatniać piersi.

– Popatrz, popatrz, oceniają się – powiedziała Centaine.

– Jak młode lwy.

– Ciekawa jestem, kiedy uświadomią sobie, że łączy ich ten sam smutek: Shasa bez ojca, Saffron bez matki. Oboje tyleż bogaci, co biedni.

– Otrząsnęła się z tych myśli. – Chodź! Pewnie jesteś znużony lotem. Zawiozę cię do Weltevreden.

– Zwolniłaś szofera? Tylu moich znajomych musiało to zrobić – powiedział Leon, mając nadzieję, że jego ton jest na tyle współczujący, że ta uwaga nie zabrzmiała nietaktownie.

Centaine wybuchnęła śmiechem.

– Na Boga, nie! Szofer to nie dla mnie. Żaden mężczyzna nie będzie miał nade mną kontroli. Nawet z kierowcy!

Saffron i Shasa przegadali całą drogę z lotniska do posiadłości Centaine: rozmawiali o jego szkole i spekulowali na temat jej szkoły. Oboje musieli przyznać, że ich uprzedzenia były bezpodstawne. Zgodnie z przewidywaniami Centaine, szybko ustalili, że każde straciło rodzica. Żadne z nich nie chciało o tym mówić, ale oboje mieli za sobą podobne ciężkie przeżycia i poczuli, bez słów, że coś ich łączy.

Saffron była oczarowana Weltevreden. Podobnie jak Lusima, posiadłość rozpościerała się między wzgórzami, ale tu została odebrana matce naturze już jakiś czas temu. Europejczycy od wieków zamieszkiwali tereny wokół Kapsztadu i w ten czy inny sposób ucywilizowali pejzaż; ziemia wydawała się żyźniejsza, trawa kikuyu – bardziej zielona. Weltevreden miało nawet winnicę, a dookoła stały śliczne bielone chaty.

– Tato, spójrz, boisko do gry w polo! – wykrzyknęła Saffron.

– Aha – wtrącił chłodno Shasa – mamy drużynę, Weltevreden Invitation. Powiem więcej, przed paroma tygodniami wygraliśmy tu w lidze młodzieżowej. Strzeliłem decydującą bramkę.

– Kocham polo! – oznajmiła Saffron.

– Jak masa dziewcząt – skwitował chłopak. – To trochę jak za starych czasów. Wiesz, średniowieczne panny, które patrzyły na zmagających się rycerzy, te sprawy.

– Nie, nie chodzi mi o samo patrzenie, choć nie mam nic przeciwko temu. Ale prawdziwa przyjemność jest dopiero wtedy, kiedy grasz w polo.

– Przecież ty nie możesz grać w polo! – stwierdził. – Jesteś... no, jesteś dziewczyną!

Żadne z nich nie widziało, że Leon przewraca oczami, słysząc, jak straszliwy błąd popełnił właśnie ten młody człowiek, ani nie zauważyło uśmiechu Centaine, która poczuła, że jej niezachwiana lojalność wobec syna musi ustąpić wsparciu dla przedstawicielki jej płci.

– A właśnie, że gram! – zaprotestowała Saffron. – I jeszcze ci pokażę!

Zanim kłótnia zdążyła się rozwinąć, Centaine zawołała:

– Jesteśmy na miejscu!

Służba – mężczyźni w białych marynarkach i kobiety w eleganckich czarnych uniformach – czekała już, by ich powitać, gdy wysiedli z auta.

– Witajcie w Weltevreden – powiedziała Centaine.

Saffron z zachwytem patrzyła na pełnowymiarową kopię francuskiego *château*, przy której Lusima wyglądała jak stodoła. Gości poprowadzono przez chłodny cichy korytarz, z obrazami na ścianach.

– Te obrazy są cudowne – powiedziała Saffron.

– Dziękuję, moja droga – odparła Centaine. – Jeśli chcesz, mogę pokazać ci inne, które wiszą w całym domu. Myślę, że też ci się spodobają.

– Och, tak, na pewno.

– *Mater* ma pejzaż namalowany przez gościa, który nazywał się Alfred Sisley, obrazek posiadłości, gdzie się urodziła, i jeden van Gogha, pole pszenicy – wtrącił chełpliwie Shasa.

Centaine spojrzała na niego karcąco, po czym odwróciła się do gości.

– Na pewno chcielibyście się odświeżyć i przebrać, zanim...

– Tak naprawdę – przerwała jej Saffron i teraz z kolei ona zarobiła gniewne spojrzenie ojca – to chciałabym zagrać w polo z Shasą. Jeśli nie przeszkadza mu, że będzie grał z dziewczyną.

– Och, może być – mruknął.

– No, nie możesz grać w tej sukience – zauważyła Centaine. – Wybierz sobie któreś z moich bryczesów i butów do konnej jazdy. Nie obiecuję, że będą pasować, ale lepsze to niż nic. Pokażesz panie Courtney, gdzie są moje stroje do konnej jazdy? – zwróciła się do pokojówki.

– Tak, proszę pani. Tędy, panienko.

– No, to ja też się przebiorę i wracam za parę minut – rzucił Shasa i popędził na górę do swojego pokoju.

– Saffy nigdy nie usiedzi w jednym miejscu. Ale przyznam, że ja nie miałbym nic przeciwko temu, by wziąć kąpiel, ogolić się i przebrać, a potem może dostać szklaneczkę whisky – powiedział Leon, gdy został sam z Centaine.

– Oczywiście – odrzekła. Spojrzała na stary stojący zegar, którego tykanie teraz, gdy dzieci wyszły, było dobrze słyhać. – Jest za kwadrans szósta, więc zanim się odświeżysz, słońce będzie... jak to wy, Anglicy, mówicie? Nad nokiem rei?

– Dokładnie tak.

– Idealna pora na drinka.

Leon Courtney opadł w gościnne objęcia skórzanego fotela, który mógłby tu trafić prosto z klubu przy Pall Mall, z wdzięcznością wziął od lokaja kryształową szklankę z singel malt, podaną na srebrnej tacy, i spojrzał na Centaine. Miała teraz na sobie zdobioną kryształkami wieczorową suknię, a w dłoni trzymała kieliszek martini.

– A więc powiedz mi o tym swoim uśmiechu – odezwał się Leon. – Od kiedy przyjechaliśmy, prawie nie schodzi ci z twarzy, a nie wierzę, że jego powodem jest tylko nasza miła obecność.

– Nie, nie tylko – przyznała Centaine. – Chociaż naprawdę cieszę się, że tu jesteście.

– Mówiąc szczerze, myślałem, że zastanę cię zrujnowaną. W rodzinie mówiło się po cichu, że wezwałaś ludzi z Sotheby's i wszystko jest na sprzedaż. Ale nigdy w życiu nie spotkałem osoby, która będąc zrujnowana, wyglądałaby tak promiennie.

– Historyjki na mój temat były prawdziwe. – Centaine wypila łyk martini i odstawiła kieliszek na stolik obok. – Tkwiałam po uszy w kłopotach. Kto ich nie ma w obecnych czasach?

– Faktycznie.

– Ale na giełdzie los się do mnie uśmiechnął. Tak się złożyło, że kiedy rząd Afryki Południowej odstąpił od parytetu złota, miałam masę akcji spółek kopalnianych.

– Aha, rozumiem – rzucił w zamyśleniu Leon. – Spryciara.

Przez lata wiele walut światowych utrzymywało standard złota, czyli były wymienne, przynajmniej teoretycznie, na złoto. To sprawiało, że miały sztucznie zawyżoną wartość, gdy po krachu giełdowym 1929 roku cały świat Zachodu pogrążył się w kryzysie gospodarczym. Kiedy kraje odrzucały standard złota, ich waluty mogły słabnąć, dzięki czemu ich towary były znacznie tańsze za granicą, dlatego wzrastał eksport, co oczywiście służyło gospodarce. Afryka Południowa jako jeden z ostatnich krajów utrzymywała standard złota, przez co kurs funta południowoafrykańskiego był znacznie wyższy niż funta brytyjskiego, więc złoto, brylanty i wełna z Afryki Południowej były tak drogie, że już nikt nie chciał ich kupować. Decyzja o odejściu od standardu złota, która pozwoliła wyznaczyć prawdziwą wartość funta

południowoafrykańskiego, zapadła kilka dni wcześniej. To natychmiast zmieniło sytuację handlową kraju. Udziały spółek kopalnianych nagle strzeliły w górę. Każdy, kto kupił w dołku, nagle osiągnął niewiarygodny zysk.

– Nie będę pytał, jak tego dokonałaś – powiedział Leon, chociaż instynkt handlowca podpowiadał mu, że musiała mieć poufne informacje o tej decyzji rządu. – Po prostu tylko ci pogratuluję, że zachowałaś się jak prawdziwa Courtney. Zawsze potrafiłszy zgarnąć fortunę. Pierwsi Courtneyowie wzbogacili się w służbie Korony, napadając na hiszpańskie statki.

– Rabując innych... Na tym wyrosło całe brytyjskie imperium – skomentowała z gorzkim uśmiechem Centaine.

– Tak... i podbijając Francję.

– *Touché!* – Roześmiała się.

W tym momencie drzwi salonu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło dwoje rozgrzanych, zarumienionych nastolatków, całych pokrytych kurzem, z włosami zlepionymi od potu.

– No i jak poszło?

– Pokazałam mu! – zawołała triumfalnie Saffron. – Zmusiłam go, żeby ustąpił.

– Tylko dlatego, że ci na to pozwoliłem – odparował Shasa.

– Shasa, uspokój się i opowiedz, co się wydarzyło – nakazała Centaine.

– No więc, *mater*, poszliśmy do stajni i wyjaśniłem jej, że mam dwa kuce: Puddinga, naprawdę spokojnego i doświadczonego, i Rekina, który jest szybszy i silniejszy, ale szalony i naprawdę trudny do opanowania. I powiedziałem, że może sobie wybrać, którego woli dosiąść. Myślałem, że weźmie Puddinga...

– Ale ja wybrałam Rekina! – wykrzyknęła Saffron.

– No jasne. – Leon był tego pewien od chwili, gdy usłyszał, jakie są kuce.

– I trochę pograliśmy, poodbijaliśmy piłkę i było fajnie, a Shasa był całkiem niezły...

– Lepszy niż „całkiem niezły”! – zaprotestował chłopak, pełen oburzenia, ale też zgodnie z prawdą.

– I wtedy piłka poleciała na środek boiska, i oboje się do niej rzuciliśmy – powiedziała Saffron.

– Rzuciliśmy się na siebie – wtrącił Shasa. – Tak jak ja rzuciłem się na Maxa Theunissena w finale, pamiętasz, *mater*?

Centaine nagle pobladła. W polo „rzucić się na kogoś” oznaczało najazd w pełnym galopie prosto na zawodnika drużyny przeciwnej i Shasa ten właśnie numer zrobił w tamtym zwycięskim meczu. To była jedna z najbardziej przerażających chwil w życiu Centaine, gdy jej syn, jakby ogarnięty szałem, skierował Rekina na młodego Theunissena i jego kuca. Gdyby konie zderzyły się w pełnym biegu, z pewnością oba czekała śmiertelna kontuzja, a jeźdźcy zostaliby ciężko ranni lub nawet mogliby zginąć. Dosłownie w ostatniej chwili Theunissen nie wytrzymał nerwowo i odskoczył, a Shasa oddał uderzenie obok niego, wbijając piłkę do bramki.

Była wstrząśnięta tym, że zastosował ten sam manewr wobec gościa, młodszej od niego dziewczynki, a do tego ich krewnej.

– Co ty zrobiłaś? – spytała zduszonym głosem. To było pytanie retoryczne. Zanim zdążył odpowiedzieć, zerwała się na równe nogi, wbiła wzrok w syna i wykrzyknęła: – Jak śmiałaś? Jak śmiałaś...?! To niewybaczalnie głupie, nieodpowiedzialne i niebezpieczne zachowanie. Oboje macie szczęście, że nie jedziecie teraz do szpitala. Natychmiast idź do swojego pokoju. Natychmiast!

Shasa wręcz zdrętwiał ze strachu. Przygryzał dolną wargę, żeby się nie rozpłakać.

– Przepraszam – odezwała się nagle cichutko Saffron – ale to nie była wina Shasy. To ja na niego najechałam. A on odskoczył w bok... I wiem, Shasa, że wcale nie jesteś strachajłą, chociaż wtedy tak powiedziałam. Tylko nie chciałaś, żeby coś mi się stało.

W salonie zapadła cisza. Leon chwilę się wahał, nie chcąc być panem w cudzym domu, ale skoro tylko on jeden zachował spokój, musiał zabrać głos.

– A więc uporządkujmy to, zgoda? – zaproponował. – Saffron, dobrze postąpiłaś, wyznając prawdę. Ale nie powinnaś była atakować Shasy. Naraziłaś was na niebezpieczeństwo, choć oboje wiemy, że zrobiłaś to tylko dlatego, że bardzo chciałaś dorównać mu, bo jest chłopakiem, i popisać się przed nim. Ale w rezultacie wpakowałaś go w kłopoty i to popisywanie się zupełnie ci nie wyszło. Jesteś mu winna przeprosiny.

Saffron skrzywiła się, zdając sobie sprawę ze swego błędu.

– Przepraszam cię, Shasa – powiedziała. – Nie chciałam pakować cię w kłopoty.

– W porządku.



– A co do ciebie, Shasa – ciągnął Leon – niech to będzie dla ciebie nauuczka. To jednocześnie niegrzeczne i wyjątkowo niemądre zachować się nie po dżentelmeńsku wobec damy, zwłaszcza damy z rodu Courtneyów, bo wierz mi, chłopcze, one zawsze oddają wet za wet. Prawdę mówiąc, ze wszystkich młodych ludzi na ziemi ty powinieneś wiedzieć najlepiej, do czego jest zdolna kobieta. Na litość boską, pomyśl o swojej matce i o wszystkim, co osiągnęła. Czy wątpisz w jej możliwości tylko dlatego, że jest kobietą?

– Nie.

– I jest ci przykro, że wątpiłeś w Saffron?

– Tak.

– Dobrze. W takim razie załatwione i koniec sprawy. A teraz, Saffron, po tym ciężkim dniu chyba powinnaś wziąć kąpiel i może, jeśli grzecznie poprosisz ciocię Centaine, dostaniesz kolację do pokoju. Lekka kolacja i wcześniej do łóżka, oto czego ci trzeba, skarbie.

– Znakomity pomysł – podchwyciła Centaine. – I myślę, że to stosuje się też i do ciebie, Shasa. Kąpiel, kolacja i sen... a jutro zaczniemy nowy dzień.

Shasa i Saffron poszli razem na górę, do swoich pokoi. Kiedy dotarli na podest, przystanęli jeszcze na chwilę.

– Wiesz, że nie ustąpiłabym, galopując do tej piłki – odezwała się Saffron. – Nawet gdybyś nie odskoczył.

– Wiem – odrzekł Shasa. – I nie odskoczyłbym, gdyby to ktoś inny na mnie najeżdżał.

– Wiem – powiedziała.

W ten sposób każde z nich zachowało swoją dumę i rozeszli się do pokoi, oboje czując, że ich honor i godność nie ucierpiały, i wiedząc, że teraz pozostaną przyjaciółmi na całe życie.

Saffron było smutno wyjeżdżać z rajskiego zakątka Weltevreden. Jako jedynaczka, bez matki, byłaby szczęśliwa, mając obok siebie rówieśnika, z którym mogłaby się bawić, i kobietę, na której mogłaby się wzorować. Po sielance w posiadłości Centaine przytłoczyły ją wielkość, hałas i zamęt Johannesburga. Miasto było pięć razy większe od Nairobi, liczyło ćwierć miliona mieszkańców i wszyscy poruszali się z szybkością i zaaferowaniem, jakich Saffron nigdy wcześniej nie widywała, jakby każdy musiał natychmiast załatwić coś niesłychanie ważnego.

– To johannesburska giełda – powiedział Leon, gdy mijali ozdobny budynek z wielkimi marmurowymi kolumnami na froncie, zajmujący cały kwartał Hollard Street. – Tu handlują spółki kontrolujące połowę światowego złota i diamentów.

– Wygląda jak pałac – stwierdziła Saffron.

– No i na swój sposób jest pałacem. To siedziba Mammona, bożka pieniądza.

Przy lunchu Leon krótko wytłumaczył córce, jak działają akcje i giełda, i był zaskoczony, że tak szybko wszystko pojęła. Do tej pory dzień wydawał się udany. Leon kupił Saffron pudełko na smakołyki, na którym nawet wypisano eleganckimi wielkimi literami jej imię i nazwisko. Ponieważ kiedyś, jeszcze przed wojną, był przewodnikiem safari i prowadził niezliczone grupy turystów i myśliwych po dzikich terenach Brytyjskiej Afryki Wschodniej, teraz czuł się jak na swoim gruncie, omawiając zakup najlepszych kufrów do przewiezienia rosnących stosów bagaży Saffron.

Po wyjściu z restauracji, w której zjedli lunch, udali się do sklepu z odzieżą dla uczennic. Nagle rozmowa skupiła się na sukienkach, bluzkach, fartuszkach i innych elementach damskiej odzieży i cała wiedza Leona ustąpiła miejsca oszołomieniu. Gdy kierowniczka sklepu, która nie musiała nawet spoglądać na listę, by wiedzieć, co zawiera, przeszła do tematu spodenek gimnastycznych, na jego twarzy pojawił się wyraz, którego Saffron nigdy wcześniej nie widziała.

O rany, tato się rumieni! – pomyślała, rozpaczliwie starając się zachować obojętną minę. Jest tak zażenowany, że nie wie, gdzie podziać oczy.

– Może byłoby najlepiej, gdy pan usiadł sobie w fotelu, a panna Courtney i ja wszystko już same załatwimy – zaproponowała kierowniczka. – Rozumiem, że mam pańskie pozwolenie na wybór garderoby, jaka będzie niezbędna panience w Roedean?

– Tak, tak, wszystko, co tam potrzebne, świetny plan – wymamrotał Leon.

Saffron nie mogłaby przysiąc, ale była niemal pewna, że kierowniczka, wcześniej raczej wystraszona, puściła do niej oko, gdy odeszły, by zająć się tymi tajemniczymi aspektami kobiecego życia, które najlepiej trzymać w ukryciu przed wzrokiem niewiele pojmujących mężczyzn.

Dziewczynka miała uczucie, jakby była wprowadzana w tajniki jakiegoś zaklętego, ale ekscytującego, nowego świata, gdy kierowniczka, panna Halfpenny, przyjrzała się uważnie jej klatce piersiowej, po czym oznajmiła:

– Ktoś już powinien kupić ci stanik, młoda damo. – Westchnęła. – Ale to zadanie matki...

– Nie mam matki – odparła Saffron. – Umarła, kiedy miałam siedem lat.

– Bardzo mi przykro, ale tego właśnie się obawiałam. Kiedy dziewczynka wchodzi z ojcem do sklepu... – Urwała i znów westchnęła. – Nie szkodzi, uporamy się z tym, prawda? Wiele dzieci straciło matkę albo ojca, a nawet oboje rodziców, po tej wojnie i po hiszpance, i Bóg wie czym jeszcze. Ale jakoś dają sobie radę i jestem pewna, że ty też sobie poradzisz. Tylko pozwól, że ci pomogę, a przygotujemy ci wszystko co trzeba.

Saffron od lat słyszała, że powinna być dzielna, ale w głosie panny Halfpenny wyczuła również prawdziwą dobroć i troskę. Sprzedawczyni zaczęła przebierać w osłoniętych szklę szufladach, szukając biustonoszy, majtek, pończoch, i od czasu do czasu przykładała bieliznę do nieforemnej jeszcze, nastoletniej figury Saffron, a także sprawdzała rozmiary i odkładała kolejne sztuki na jeden stos albo na drugi, znacznie większy, rzeczy do przymierzenia. Opowiadała przy tym, czego Saffron może się spodziewać w Roedean, jakich będzie miała nauczycieli, jakie koleżanki.

– Twój ojciec nie mógł wybrać lepszej szkoły. Z moich obserwacji wynika, że dziewczyny w Roedean to bystre, niezależne, nowoczesne

młode damy. Wiele z nich idzie potem na uniwersytet. I wszystkim się wpaja, że powinny być zdolne same się utrzymać.

– Tato powiedział, że muszę lepiej opanować gotowanie, szycie i układanie kwiatów.

Panna Halfpenny z aprobatą skinęła głową.

– Twój tato ma rację. I na pewno myśli o twojej matce i o tym, czego ona by dla ciebie chciała, i robi, co może, żebyś była szczęśliwa.

– Nie wpadłam na to – przyznała Saffron.

Ale od chwili, gdy usłyszała te słowa panny Halfpenny, jej nastawienie wobec nowej szkoły uległo zmianie. Postanowiła zrobić wszystko, co mogłoby także uszczęśliwić jej matkę, więc gdy pojawiła się w Roedean w połowie stycznia, na początku nowego roku szkolnego, z całą energią rzuciła się w wir życia szkoły. Jej znakomite warunki fizyczne i waleczny duch sprawiły, że okazała się istnym demonem w hokeju na trawie i siatkówce, a dzięki temu, że szybko rosła, dostawała wiele męskich ról w teatrze szkolnym. Potrzebowała ze dwóch semestrów, by przystosować się do szkoły z internatem, gdzie dziewczęta nie tylko razem się uczą, ale też dzielą sypialnie i łazienki oraz wspólnie jadają posiłki. Jednak Saffron szybko zyskała przyjaciółki, bo wszystkie się przekonały, że chociaż ma gwałtowny temperament, nie jest złośliwa i nigdy nie kłamie – mówiła dokładnie to, co myślała, bez względu na konsekwencje, i kiedy raz zdecydowała się na jakiś sposób postępowania, nie schodziła z obranej drogi, choćby się waliło i paliło. Jeśli przodkowie patrzyli na nią z wysokości, musieli się uśmiechać, bo żaden Courtney nigdy nie zachowywał się inaczej.

Wkrótce po powrocie z Afryki Południowej Leon musiał jechać do Nairobi, by uporać się z różnymi obowiązkami administracyjnymi, jakie narzucało zarządzanie posiadłością. Wziął pokój w klubie Muthaiga, oazie skupiającej śmietankę towarzyską regionu. Siedziba klubu, mimo jego wysokiego statusu, nie była szczególnym okazem architektury – był to zaledwie rozrośnięty bungalow z różowym tynkiem kamyczkowym i pomalowanymi metalowymi framugami okien (drewniane szybko zgniłyby w tropikalnym klimacie), a przy wejściu stało parę klasycznych kolumn, dających poczucie kolonialnego luksusu. W środku szło się po wypolerowanych na błysk parkietach, wśród kremowych i zielonych ścian. Jak pewnego razu zauważył Hugh Delamere w rozmowie z Leonem: „Skrzyżowanie mojej dawnej prywatnej podstawówki z wygodnym domem starców”.

Wróciwszy pewnego wieczoru do klubu, po ciężkim dniu z prawnikami i księgowymi, Leon opadł na jeden z obitych perkalem foteli, które stały w sali klubowej. Natychmiast pojawił się kelner w liberii i przyjął zamówienie na gin z tonikiem. Zaledwie chwilę później przyniósł drinka, a Leon podpisał rachunek na kolorowej kartce: w klubie nic tak prostackiego jak pieniądze nigdy nie przechodziło z rąk do rąk. Leon pociągnął łyk schłodzonego drinka, odstawił szklanekę na stolik, odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy, zapominając o trudach całego dnia.

Nagle usłyszał znajomy głos:

– Dobry wieczór, Courtney, nie będzie ci przeszkadzało, że się przysiadę?

– Ależ bynajmniej, Joss – odrzekł Leon.

W ciągu ostatnich kilku lat wiele zmieniło się w życiu Josslyna Haya. Przede wszystkim był teraz dwudziestym pierwszym hrabią Erroll, odziedziczywszy ten tytuł po śmierci ojca, wraz z honorowym urzędem Lorda Wyższego Konstabla Szkocji. Jednakże nie odziedziczył żadnego majątku, ponieważ ojciec nie był zamożny, a brak pieniędzy doprowadził niebawem do rozwodu nowego hrabiego z lady Idiną. Jego druga żona, Molly, podobnie jak Idina, była bogatą rozwódką i tak jak poprzednio, Joss nie widział żadnego powodu, by dochowywać

małżeńskiej przysięgi. Prezentował się jak zawsze: blond włosy zaczesane do tyłu, głowa lekko przechylona, tak że jego na wpół przymknięte niebieskie oczy spoglądały nieco z ukosa na osobę, z którą rozmawiał. Ogromna większość kobiet nie potrafiła się oprzeć tym szafirowym oczom, zwłaszcza gdy dostrzegały w nich pożądanie.

Zdaniem Leona, Joss Erroll, jak teraz lubił się przedstawiać, był pozbawionym zasad łobuzem, bez względu na swój tytuł, i gdyby tylko zerknął w kierunku Saffron, Leon popędziłby go batem do portu w Mombasie i cisnął na pierwszy lepszy wypływający parowiec. Ale w tej chwili nie miał nic przeciwko jego towarzystwu. Było z pewnością miłsze niż wielu innych białych osadników.

– Słyszałeś o tej sprawie ze Stowarzyszeniem Oksfordzkim? – spytał Joss, kiedy tylko podano mu drinka.

– Jakiej sprawie?

– Cholernie to podejrzane, wierz mi. – Joss wyjął papierosa z płaskiej srebrnej papierośnicy, postukał nim w stolik, zapalił i siadając wygodniej, z rozkoszą się zaciągnął. – Debatowali nad wnioskiem: „Stowarzyszenie w żadnym wypadku nie będzie walczyło za króla i ojczyznę”.

– O, do diabła! Mam nadzieję, że wniosek przepadł ze szczętem.

– Niestety nie, staruszkule. Przeszedł... trzysta głosów do stu pięćdziesięciu. Czyli większością dwa do jednego.

Leon był wręcz przerażony.

– Serio mówisz, że ci faceci, kwiat angielskiej młodzieży, niby najbystrzejsi, najlepsi ze swojego pokolenia, ogłosili, że w żadnym razie nie będą walczyć za ojczyznę?

– Na to wygląda – odrzekł Joss. – Szwaby, komuchy, a nawet ci przekłęci Francuzi mogą wylądować na naszych brzegach, przemaszerować przez cały kraj, gwałcić nasze kobiety i nadziewać na widły niemowlęta, a najbystrzejsze umysły kraju tylko mówią: „Ależ proszę bardzo, róbcie, co chcecie”.

– Nie wierzę. Oczywiście, ostatnia wojna była krwawa. I jak mówią niektórzy, położyła kres wszystkim innym wojnom. Ale ten bojaźliwy pacyfizm to czyste tchórzostwo i zdrada. Bywają czasy, kiedy po prostu trzeba bronić narodu i każdy mężczyzna musi odpowiedzieć na wezwanie.

– Całkowicie się z tobą zgadzam, Courtney. Ale ty i ja jesteśmy zwykłymi prostaczkami. Nie tak jak te intelektualne typki z Oksfordu czy

Cambridge.

– Cóż, gwarantuję ci, że nie ma groźniejszego durnia niż sprytny dureń – powiedział Leon. – Ale na litość boską, jakim cudem stowarzyszenie poparło ten wniosek?

Joss leniwie zaciągnął się papierosem.

– Och, to ci się dopiero spodoba... – Uśmiechnął się chytrze. – Wnioskodawca, niejaki Digby, jeśli się nie mylę, powiedział, że wszyscy powinniśmy iść za przykładem sowieckiej Rosji, która jest jedynym krajem walczącym o pokój... Ciekawy paradoks, pomyślałem sobie, walka o pokój.

– Może czerwoni właśnie walczyli o pokój, kiedy rzucili się do krwawej rewolucji i zamordowali cara i jego rodzinę – zauważył Leon.

– Ach, tak, to musiało być to. Ależ z nas durnie, że nie zauważyliśmy ich pokojowych intencji. W każdym razie, kiedy szanowny Digby się wypowiadał, jego wniosek poparł jakiś filozof, Joad... nigdy o nim nie słyszałem, ale to ponoć wschodząca gwiazda w kręgach filozoficznych... i wygłosił pogląd, że gdyby Wielka Brytania kiedykolwiek miała być celem inwazji, nie byłoby sensu walczyć zbrojnie z wrogiem. Powinniśmy przeprowadzić pokojową, wyzbytą z przemocy kampanię, jak szanowny Gandhi w Indiach.

– O Boże – jęknął Leon. – Wyobrażasz sobie, co się stanie, jak ci ludzie dopną swego? Nieprzyjacielskie samoloty zaczną bombardować Londyn, ich czołgi rozjadą cały rząd, a naszą jedyną obroną będą Joad i banda pacyfistów z Oksfordu, siedząca pośrodku drogi i zawodząca pokojowe pieśni!

– Spójrz na to z lepszej strony, Courtney. Większość ludzi nie wali do Oksfordu.

– Hm, pocieszające spostrzeżenie. Co powiesz na jeszcze jednego drinka?

Następnego wieczoru Leon napisał kolejny list do Saffron. Przekazał jej żywy opis debaty, o której rozmawiał z Errollem, i bez ogródek oznajmił, że w najwyższym stopniu potępia zarówno wynik tej debaty, jak i oksfordzkich studentów, którzy głosowali za wnioskiem. „Niniejszym ostrzegam Cię, córko, że gdyby kiedykolwiek jakiś student czy absolwent Oksfordu starał się o Twoją rękę, nie wpuszczę go do domu. Z pewnością czytając te słowa, myślisz: Och, staruszek tylko żartuje, jak zwykle – i może masz rację. Ale jestem wstrząśnięty, że ten ponoć wspaniały uniwersytet stał się gniazdem komunistów, zdrajców



i pacyfistów, i w jak najsurowszych słowach wyrażę swoją dezaprobatę, gdybyś miała jakiegokolwiek kontakty z tymi ludźmi”.

Po tygodniu Saffron otrzymała ten list. Nigdy nie poświęcała specjalnej uwagi uniwersytetom, a tym bardziej Oksfordowi, ale wieść, że studenci zachowali się tak prowokacyjnie i tak wzburzyli starsze pokolenie, pobudziła jej ciekawość.

– Proszę pani – zwróciła się do swojej wychowawczynie – czy dziewczęta mogą iść do Oksfordu?

– Jak najbardziej, Saffron – odrzekła nauczycielka. – Żadna z naszych wychowanek nie dostała się do Oksfordu, w każdym razie do tej pory. Ale nasza siostrzana szkoła w Anglii regularnie wysyła dziewczęta na egzaminy wstępne do Oksfordu i Cambridge, i to z dużym powodzeniem.

– Więc gdybym była w innym Roedean, mogłabym się dostać do Oksfordu?

Nauczycielka się roześmiała.

– No, chyba tak, Saffron. Ale musiałybyś przykładać się do nauki dużo bardziej niż teraz. Na słynnych angielskich uniwersytetach przewidziano niewiele miejsc dla młodych kobiet, więc konkurencja jest naprawdę niezwykle ostra.

Niektórym nastolatkom te słowa mogłyby wybić z głowy myśli o wyższym wykształceniu. Ale nie Saffron. Wizja przepłynięcia połowy świata, by walczyć w konkursie, w którym zwycięzca bierze wszystko, przepełniła ją podnieceniem i entuzjazmem.

– Czy pomogłam ci w jakimś stopniu, moja droga? – spytała nauczycielka.

– O tak, proszę pani – potwierdziła z uśmiechem Saffron. – Bardzo mi pani pomogła!

Ze wszystkiego, co Saffron odkryła po przyjeździe do nowej szkoły, najbardziej zaskoczyło ją to, że lekcje sprawiają jej o wiele więcej przyjemności, niż się spodziewała. Daleko jej było do intelektualistki, która woli myśleć, niż działać, ale miała bystry umysł i łatwo przyswajała sobie nowe informacje, a ponieważ lubiła towarzyszące temu uczucie satysfakcji, nie ustawała w pracy. Jednak, niestety, w jej życiu tyle się działo, że nie zawsze mogła się uczyć – w każdym razie jej zdaniem – dlatego też semestralne świadectwa roily się od uwag nauczycieli, że gdyby tylko panna Saffron w pełni skupiała się na

zajęciach i dokładała wszelkich starań, rezultaty byłyby doskonałe. Lecz teraz miała cel, który chciała osiągnąć. A kiedy Saffron coś sobie postanowiła, dążyła ku temu z determinacją, której terier mógłby jej pozazdrościć.

W połowie stycznia 1934 roku przyleciała z ojcem do Johannesburga na początek nowego roku szkolnego. Wcześniej zapewniła go, że wyśmienicie da sobie radę sama, bo już latała bez opieki z Afryki Południowej do Kenii i z powrotem podczas ferii w połowie roku, ale się uparł. „Co ze mnie byłby za ojciec, gdybym nie odebrał córki ze szkoły, przynajmniej raz w roku – powiedział. – Poza tym, kto zapłaci za te wszystkie twoje zakupy, jak mnie nie będzie?”

To był argument, którego Saffron nie potrafiła odeprzeć, ponieważ należało się po raz kolejny wybrać do centrum Johannesburga, by kupić jej nowe ubrania w miejsce tych, które zniszczyła, zużyła lub z których wyrosła. Kiedy weszli do znanego im sklepu, Leon uchylił kapelusza przed panną Halfpenny, uśmiechnął się do niej ujmująco, mówiąc, jak miło znów ją widzieć, i posłusznie się wycofał, gdy rzekła: „Ojciec może nas teraz zostawić. My, damy, całkiem dobrze poradzimy sobie same”.

Na tę odprawę poczuł nieoczekiwane ukłucie zawodu. Ale było coś jeszcze. Ni to słodycz, ni to gorycz z powodu słów: „My, damy”. Tak powiedziała panna Halfpenny i miała rację. Saffron zmieniała się w młodą damę. Już nie była jego małą córeczką. I Leon poczuł tyleż dumy z kobiety, którą stawała się jego córka, ile smutku, że musi pożegnać tę dawną dziewczynkę.

Osiem tysięcy kilometrów od Johannesburga, w Meerbach Motorenwerke, wielkim bastionie przemysłu zajmującym kilkanaście kilometrów kwadratowych na południowym wschodzie Bawarii, kierownik kadr, Oswald Paust, właśnie kończył składać zarządowi firmy doroczne sprawozdanie.

– Po wielu miesiącach ciężkiej pracy niemal już uporaliśmy się z oczyszczeniem firmy ze wszystkich Żydów, jak również innych niepożądanych ras, z pracowników posiadających wszelkie mentalne lub fizyczne ułomności, choćby najdrobniejsze, oraz z seksualnych i politycznych dewiantów – obwieścił dumnie. – Mogę teraz powiedzieć, że Żydzi, którzy stanowili cztery i dwie dziesiąte procent naszej siły roboczej, zniknęli całkowicie z wszystkich naszych fabryk, warsztatów, pracowni projektowych, magazynów i biur...

Dalsze jego słowa zostały zagłuszone, bo członkowie zarządu, na znak aprobaty, zaczęli walić dłońmi w stół, wokół którego siedzieli.

– Jak mówiłem... – ciągnął Paust – jest jeszcze sześć przypadków tak zwanych *Mischlinge*, to znaczy mieszańców, Żydów w połowie albo co najmniej w jednej czwartej, po rodzicach lub po dziadkach. Obecnie prowadzę rozmowy z przedstawicielem Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS, by ustalić, czy fakt, że żaden z nich nie ma żydowskiego wyglądu i nie praktykuje żydowskiej religii ani zwyczajów, uprawnia ich do specjalnego traktowania. Jestem głęboko wdzięczny Herr Sturmbannführerowi Meerbachowi za pomoc w tym względzie.

Kolejne uderzenia dłoni w wielki dębowy blat i potężna, ponura postać, zasiadająca u szczytu stołu, skinęła głową na znak, że to jej przypada ten hołd.

– Oczywiście, ta praca nie przebiegła bez kłopotów – powiedział Paust tonem człowieka, który wziął na swoje barki wielki ciężar, ale chętnie go dźwiga. – Stosunkowo łatwo było pozbyć się komunistów, ponieważ wiedzieliśmy, kim są wichrzyciele i przywódcy strajkowi. Ci ludzie nigdy nie ukrywali swojej przynależności. Jednak ustalenie dewiacji osób podejrzanych o homoseksualizm wymagało starannego i kosztownego śledztwa. Niemniej okazało się, że nieco ponad jeden procent naszej siły roboczej to czynni homoseksualiści, i w konsekwencji stracili oni pracę.

Należy przy tym zauważyć, że zwalniając pracowników z tych dwóch grup, straciliśmy ludzi o wysokich kwalifikacjach, tak że wydziały prawny, księgowy, handlowy, projektowy i badawczy zostały bardzo osłabione, a odnowienie tak doświadczonego i nazwijmy to, utalentowanego personelu może potrwać kilka miesięcy. Oczywiście nie jest niczym zaskakującym, że Żydzi, z natury zachłanni i kłótlivi, zwykle sięgają po pracę w dziedzinie prawa i finansów, a homoseksualistom zniewieściałość przydaje pewnego artystycznego rozmachu, na przykład w projektowaniu afiszy reklamowych czy nawet kadłubów statków powietrznych. Ale jestem przekonany, że członkowie zarządu zgodzą się, że wszelkie chwilowe straty finansowe spółki są niczym w obliczu świadomości, iż wszyscy nasi pracownicy to porządni, zdrowi Aryjczycy.

Tym razem walenie w blat stołu było znacznie mniej entuzjastyczne. Może członkom zarządu zależało na utrzymaniu najwyższej czystości rasowej, seksualnej i politycznej, ale jednak bardziej interesowało ich utrzymanie jak najwyższych dochodów. Sturmbannführer SS Konrad Meerbach pozbył się arystokratycznego „von” na rzecz nazistowskiej rangi, ale pozostał prezesem zarządu spółki noszącej jego nazwisko. Wyraźnie zirytowany brakiem entuzjazmu na wnioski końcowe Pausta, tak mocno walnął w stół swoją wielką lwią łapą, porośniętą gęstym rudym włosem, że aż zabrzęczały filiżanki stojące przed członkami zarządu.

– Dziękuję, Paust – powiedział, wstając. Był jeszcze młody, dopiero trzydziestolatek, ale jego budowa: potężnie umięśnione barki, szeroka klatka piersiowa i masywny kark, a także spojrzenie spode łba, jak u boksera wagi ciężkiej, oraz sposób bycia człowieka przywykłego do dominacji nadawały mu władczości dużo starszego mężczyzny. – Doceniam pańskie wysiłki i jestem pewien, że wszyscy moi koledzy z zarządu zechcą do mnie dołączyć, przyklaskując pańskim osiągnięciom. – Kilka razy mocno zaklaskał w dłonie, nakłaniając sześć z ośmiu osób obecnych na naradzie Rodzinnego Funduszu Meerbachów, by poszły za jego przykładem i wyraziły swój aplauz.

Tymi dwojgiem, klaskającymi w najlepszym razie zdawkowo, byli znerwicowana kobieta w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, której palce zwykle trzymały długą czarną cygarniczkę, i siedzący obok niej młody człowiek. Miał na sobie – zamiast oficjalnego garnituru i koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, jak wszyscy obecni tu mężczyźni – marynarkę z szarozielonego tweedu, flanelową koszulę i wełniane

krawat oraz popielate spodnie z wełny czesankowej. Wyglądał na wykładowcę uniwersyteckiego lub jakiegoś intelektualistę – ani jedno, ani drugie nie było już teraz w Niemczech powodem do dumy – a wrażenie swobody potęgowała ciemnoblonde czupryna, z uporem spadająca mu na czoło, bez względu na to, jak często odrzucał ją na bok. Mógł sobie jednak pozwolić na to, by traktować Konrada Meerbacha bardziej nonszalancko niż pozostali, gdyż był jego młodszym bratem, Gerhardem, a siedząca obok kobieta, wdowa, hrabina Athala, była matką ich obu.

– Jest pan wolny – powiedział Konrad i Paust pośpiesznie wymknął się z sali. Konrad nadal stał. Popatrzył w jedną stronę długiego stołu i w drugą, przebiegając wzrokiem po skierowanych ku niemu twarzach. – Jestem wstrząśnięty, panowie, naprawdę wstrząśnięty tym, że ktokolwiek z zebranych tutaj... choćby jedna osoba... – dodał z naciskiem, przy każdym słowie stukając palcem w stół – mógłby pomyśleć, że ważniejsze jest zgarnięcie kilku reichsmarek niż wykonanie pracy, dla której Führer poświęcił całe życie, czyli oczyszczenie rasy aryjskiej. Każdy uznałby was za Żydów, skoro stawiacie pieniądze ponad wszystko inne, gdy wiemy, że naszym pierwszym obowiązkiem jest służba Führerowi. Prędzej bym oddał wszystkie te fabryki, ziemie, które je otaczają, nawet *Schloss*, noszący nazwę mojego rodu, wszystkie te wielkie dzieła sztuki i meble, więcej, wszystko, co posiadam, niż rozstał się z tym...

Konrad wskazał partyjną odznakę w klapie marynarki: czarną swastykę na białym tle, otoczoną czerwonym kręgiem i złotym wieńcem.

– Tę złotą odznakę, przyznawaną za wyjątkowe zasługi dla partii, przypiął mi do piersi sam Führer, bo pamięta mnie z moich młodych lat, wtedy bogatego paniczyka, niespełna dwudziestolatka, który dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku dołączył do marszu przez Monachium...

O Boże, znów się zaczyna... – jęknął w duchu Gerhard.

– ...i stanął ramieniem w ramię obok innych mężczyzn, dumnych, że mogą się nazwać narodowymi socjalistami... i nie rozbiegliśmy się, gdy policja do nas strzelała. O tak, Führer pamięta tych, którzy wtedy przy nim stali i dziś nadal są mu wierni. To dlatego łączę moją rolę głowy tej wielkiej spółki z jeszcze większym zaszczytem, jakim jest służba na posterunku osobistego sekretarza Gruppenführera SS Heydricha, i dlatego mam ten przywilej, że cieszę się zaufaniem najwyższych czynników partyjnych

i rządowych. I tu wracam do punktu wyjścia, panowie i matko, bo zawsze i wszędzie stawiam ponad wszystko partię i nigdy się z tym nie kryję... Otóż mogę wam teraz powiedzieć, że zakłady Meerbach Motorenwerke czeka niebawem okres największego rozkwitu.

Wziął się pod boki i popatrzył triumfalnie po sali, w której kolejny raz zahuczały uderzenia rąk o blat stołu.

– W ciągu najbliższych czterech, pięciu lat Rzesza przystąpi do militarnej ekspansji, która sprawi, że jej wrogowie zadrżą ze strachu. Niemieckie fabryki będą budować tysiące samolotów i dziesiątki tysięcy czołgów. Czasy, kiedy nasz naród był zmuszony skłonić głowę przed aliantami, odejdą na zawsze, podobnie jak Żydzi, których zdrada podkopała siły naszego kraju i doprowadziła nas do klęski. I wszystkie te myśliwce, bombowce i transportowce, samoloty wojskowe, jakich świat nie widział, będą potrzebowały silników. Wszystkie te nowe czołgi, zaprojektowane znacznie, znacznie doskonalej niż jakiegokolwiek inne czołgi na tej planecie... bo kto może się równać z niemieckim geniuszem technicznym?... również będą potrzebowały silników. I kto dostarczy te silniki? Kto inny niż przedsiębiorstwo oczyszczone z Żydów, komunistów i zbrojców, przedsiębiorstwo, którego lojalność wobec partii jest niezbita, krótko mówiąc, takie przedsiębiorstwo jak Meerbach Motorenwerke!

Konrad skłonił głowę, ze skromnością przyjmując aplauz, jaki wzbudziły jego słowa, po czym usiadł, a gdy znów zaległa cisza, powiedział:

– A więc przejdźmy do następnych, już prywatnych, punktów narady. Herr Lange, może zechce pan nas zapoznać z obecnym stanem Rodzinnego Funduszu Meerbachów.

Niski mężczyzna w okularach zajrzał do dokumentów, które miał przed sobą, i rozpoczął długi, niebywale szczegółowy wywód o kapitale, dochodach i wydatkach, wygłaszany płaskim, nosowym, jednostajnym głosem. Jego monotonna intonacja nie mogła jednak ukryć pewnego istotnego, niepodważalnego faktu. Meerbachowie byli wyjątkowo zamożni: nie tak zwyczajnie bogaci, ale obdarzeni fortuną porównywalną z majątkami Rothschildów, Rockefellerów i Fordów. Posiadłość Meerbachów rozciągała się na ponad trzydziestu kilometrach przy brzegu Jeziora Bodeńskiego. Bankowe depozyty we Frankfurcie, Zurychu, Londynie i Nowym Jorku dorównywały rezerwom finansowym wielu krajów.

Kiedy wyliczanie faktów i liczb dobiegło końca i omówiono inne punkty narady, Konrad oznajmił:

– No dobrze, myślę, że teraz możemy zrobić przerwę na wielce zasłużony obiad. Chyba że jest jeszcze jakaś sprawa, którą ktoś chciałby poruszyć?

Jego ton jednoznacznie sugerował, że nie powinno być żadnych spraw, i panowie w garniturach żywo pokręcili głowami.

Ale Gerhard von Meerbach uniósł rękę.

– Prawdę mówiąc, mam prośbę – powiedział.

– Och, czyżby, a jaką to? – warknął Konrad tonem dalekim od braterskiej miłości.

– Chciałbym trochę więcej pieniędzy.

Kiedy Oliver Twist poprosił o dokładkę jedzenia, nie wywołał tak pełnej grozy reakcji, jakim był wspólny zdławiony jęk mężczyzn siedzących wokół stołu.

– Więcej pieniędzy? – szyderczo powtórzył Konrad. – Twoje kieszonkowe jest absolutnie wystarczające. Jesteś daleko lepiej sytuowany niż wszyscy twoi kolesie obiboki, te studenci. Zresztą myślałem, że wy, komuniści, nie interesujecie się pieniędzmi ani dobrami materialnymi.

– Po raz tysięczny, Konnie, nie jestem i nigdy nie byłem komunistą. Poza tym nie rozumiem, dlaczego wy ich tak nienawidzicie. Należysz do partii narodowosocjalistycznej. Komuniści uwielbiają Rosję albo, jak każą ją nazywać, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Ty jesteś socjalistą, oni są socjalistami. Wybacz, ale nie widzę żadnej różnicy.

Te słowa miały go sprowokować i Konrad nie doskoczył do brata, nie porwał go za kłapy i mu nie przyłożył – jak na to zasługiwał – tylko dlatego, że wiedział, o co chodzi. Biorąc głęboki oddech, by odzyskać panowanie nad sobą, spytał:

– Ile chcesz? I na co?

– Proszę o pięć tysięcy reichsmarek. Chcę kupić mercedesa.

– Więc chcesz wydać pieniądze na samochód konkurencji?

– Myśl o tym jako o szpiegostwie przemysłowym. Chcę wiedzieć, na co konkurencję stać.

– Ale możesz kupić znakomity samochód za dużo mniej niż pięć tysięcy.



– Nie chcę znakomitego samochodu. Chcę najlepszego. I chcę go dlatego, że jestem von Meerbachem i w przeciwieństwie do ciebie, Konradzie, znam się na technologii i przywiązuję do niej znaczenie. Może jesteś dobrym partyjniakiem, ale czy potrafisz rozłożyć silnik, oczyścić go, dokonać przeglądu, a potem na powrót złożyć? Ja potrafię. I samochód, którego pragnę, mercedes pięćset K, może wygląda na samochodzik dla playboyów i ich przyjaciółeczek, ale ma pięciolitrowy doładowany silnik o mocy stu dwudziestu kilowatów, osiągający ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ma też najbardziej zaawansowane na świecie zawieszenie. A przy tym jest niewątpliwie i niepodważalnie niemiecki. Samego Führera wożą różnymi modelami mercedes-benza. Jak możesz mieć zastrzeżenia, skoro chcę takiego samego samochodu, jakim on jeździ?

Konrad Meerbach patrzył na młodszego brata stalowoniebieskimi oczami. Może potrafisz rozłożyć silnik, braciszku, pomyślał. Ale nigdy nie byłeś w kwaterze głównej Gestapo przy Prinz-Albrecht-Strasse numer osiem, obok biura Heydricha, gdzie pracuję, kiedy jestem w Berlinie, i nie widziałeś rozkładanego na części człowieka, nie widziałeś jego umysłu i duszy... Jak to się wyraziłeś? Aha, rozłożyć, oczyścić i na powrót złożyć. Ale ja widziałem. Słyszałem ludzi wrzeszczących z bólu i błagających o łaskę. Widziałem, jak zdradzają swoje przekonania, przyjaciół, rodzinę, wszystkich i wszystko, byle tylko ból się skończył. I nie sądzę, żebyś ty, z całą swoją arogancją, przywilejami i studencikowatym mędrkowaniem, zachował się inaczej.

– Dobrze – burknął. – Bierz swoje pieniądze. Ale nie miej do mnie pretensji, jak rozwalisz ten durny samochód.

Konferencja się skończyła. Konrad pierwszy opuścił salę, inni za nim. Athala von Meerbach położyła kościstą dłoń na ramieniu młodszego syna, zatrzymując go na chwilę. Dawno temu była wielką piękną o popielatoblonde włosach, wysokich kościach policzkowych i delikatnych rysach, które sprawiały, że inne kobiety czuły, że przy niej ich powierzchowność, choćby najbardziej atrakcyjna, wydaje się wulgarna i prostacka. Ale nieudane małżeństwo i połowa życia spędzona w samotności i rozczarowaniu zniszczyły Athalę – jej policzki wychudły, pojawiły się zmarszczki, a pod zmiętą, na wpół przezroczystą skórą widać było żyłki. Teraz spojrzała na Gerharda i rzuciła:

– Zaczekaj sekundkę.

Przystanął.

– Tak, matko?

Patrzyła na niego wzrokiem kobiety, która słyszała zbyt wiele męskich kłamstw, wymówek i zmyśleń, by nie wychwycić kolejnego fałszu.

– Powiedz mi, kochany chłopcze, na co tak naprawdę potrzebujesz tych pieniędzy?

Leon po tym, jak odwiózł Saffron do szkoły, nie polecił z powrotem do Nairobi, ale udał się do Durbanu, gdzie wsiadł na pierwszy statek pasażerski płynący na północ. Jeszcze w Johannesburgu dostał telegram od swojego brata Davida, który był dyrektorem naczelnym Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney, firmy założonej przez ich ojca. Treść telegramu była prosta.

### SYTUACJA FIRMY ROZPACZLIWA STOP PRZYSZŁOŚĆ RODZINY ZAGROZONA STOP PROSZE PRZYJEDZ DO KAIRU NAJSZYBCIEJ

– Może przyszłość twojej części rodziny jest zagrożona, braciszku, ale nie mojej – mruknął Leon, gdy dostał telegram. – Ja mam tylko dziesięć procent twojej firmy, ale sto procent swojej, i bardzo dobrze.

Ponad dwadzieścia pięć lat minęło od dnia, w którym Leon opuścił dom rodzinny, i od tamtej pory nie pokazał się w Kairze. To, że uparcie odmawiał powrotu i pogodzenia się z ojcem, było jednym z niewielu spornych punktów z Evą. Straciwszy w dzieciństwie ojca, nie mogła znieść myśli, że mężczyzna, którego kocha, z całą świadomością odciął się od swojego.

„To tylko twój upór – mówiła do Leona. – Wystarczy, żebyś pojechał do Kairu, uściskał mu rękę i pogodził się”.

„Dlaczego ja mam jechać? – odpowiadał. – Jest bogaty jak Krezus. Może przyjechać do Kenii, kiedy tylko chce”.

„Dlatego, że to ty wyjechałeś. I dlatego, że jest tak samo uparty jak ty, i jeden z was musi okazać się na tyle dorosły, by zakończyć tę głupią kłótnię”.

„Pojadę, kiedy ta cholerna wojna się skończy”, wymawiał się Leon. Ale wojna się skończyła i zamienił jedną wymówkę na inną: „Jak mogę jechać, kiedy jesteś w ciąży?”. Potem zjawiała się Saffron i bez względu na to, ile razy Eva mówiła: „Pojadę z tobą. Czuję się znakomicie i mała doskonale znosi podróże” albo: „W takim razie ja zostanę tu z Saffron, świetnie poradzimy sobie do twojego powrotu” – to nadal nie wystarczało, by zmusić Leona, żeby zrobił pierwszy krok na północ, do Kairu.

Potem ojciec zmarł i został pochowany, zanim wiadomość o jego odejściu dotarła do Leona. Możliwość pogodzenia się przepadła na zawsze i Leon gorzko żałował, że nie zrobił niczego, kiedy jeszcze był na to czas. Eva miała rację. To wszystko przez jego upór i głupią dumę, a teraz, kiedy sam był ojcem, zdał sobie sprawę, jak bardzo Ryderowi musiało go brakować i jak bardzo matka musiała cierpieć z powodu tego konfliktu.

Statek, którym Leon płynął do Mombasy, potem kierował się do Suez, tak więc Leon po prostu przedłużył bilet i zatelegrafował do brata w Kairze:

W DRODZE STOP INFORMUJ CO SIE DZIEJE NA ADRES BRABANTIA  
LINIA P&O

Podróż na północ, wokół przylądka Horn i przez Morze Czerwone do Kanału Sueskiego, zajęła trzy tygodnie, podczas których Leon co dzień przesiadywał w kajucie radiotelegrafisty, dyktując telegramy do Kairu lub odbierając odpowiedzi. Sytuacja była bardzo jasna i aż nazbyt typowa dla tamtych czasów. Przez dziesięć powojennych lat Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney rozrastało się, budując swoją markę na dziedzictwie założyciela. Gdy Leon, najstarszy syn Rydera Courtneya, odciął się od rodziny, a Francis, drugi syn, wyniósł z wojny ranę tak ciężką, że nie mógł pracować na pełnych obrotach, odpowiedzialność za kierowanie spółką spadła na Davida, trzeciego syna, nazwanego imieniem dziadka ze strony matki, Davida Benbrooka, który zginął, broniąc rodziny podczas oblężenia Chartumu. Kiedy gospodarka światowa przeżywała boom i samochody, dzięki masowej produkcji, stały się dostępne dla milionów nowych klientów, a przemysł samolotowy też rozwijał się w zawrotnym tempie, David doszedł do wniosku, że ze wszystkich rodzinnych inwestycji najlepsze długofalowe perspektywy mają przedsięwzięcia na perskich polach naftowych. W związku z tym zaciągnął spore pożyczki, by zapłacić za wiercenie szybów naftowych i szukanie nowych złóż, a także za flotę tankowców, przewożących ropę do rafinerii w Wielkiej Brytanii i innych krajach Europy. Ta strategia przyniosłaby pokaźne zyski, gdyby nie krach na giełdzie nowojorskiej w 1929 roku, co doprowadziło do straszliwego załamania gospodarki światowej. Dostawy ropy rosły, bo wszystkie spółki naftowe nadal się rozwijały, ale zapotrzebowanie nagle zmalało i wtedy rynek się załamał, a ceny ropy spadły poniżej minimum.

Wspierany przez Francisca i Dorianą, najmłodszego z braci Courtneyów, David zachował spokój. Nie rozwiązał umów ze stoczniovcami. Renegocjował nowe, niższe ceny, wiedząc, że tamci wolą maksymalnie ograniczyć zyski niż całkowicie stracić zamówienia. Wykupił nawet kilku swoich współników z perskich pól naftowych, którzy nie mieli takich zapasów kapitału jak on, i to za ułamek prawdziwej wartości akcji. Rozum mu podpowiadał, że świat znów zacznie działać normalnie, popyt na ropę wzrośnie i ceny odbiją się od dna.

Ale świat nie wracał do normalności. Kryzys tylko się pogarszał. Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney zmieniło się z myśliwego w ściganą zwierzynę. Narosłych długów nie dawało się spłacać i spółka stanęła w obliczu losu, który zgotowała innym: sprzedaż za minimalną cenę i oddanie każdego pensa bankierom. Pozostała nadzieja, że ktoś przyjdzie na ratunek. I w oczach młodszego brata tym kimś był Leon.

Gerhard von Meerbach szedł ulicą prowadzącą do stacji rozrządowej – podniósł kołnierz kurtki, chroniąc się przed lodowatym zimowym wiatrem, i nasunął czapkę na oczy. Ludzkie głosy oraz sporadyczny warkot samochodów osobowych i ciężarówek ginęły w huku lokomotyw i wagonów przetaczanych do obsługi dziesiątek tysięcy pasażerów, którzy za kilka godzin mieli opuścić monachijski Dworzec Główny, leżący trzy kilometry dalej. To było Laim, twarda, bezwzględna robotnicza dzielnica, gdzie nieskazitelnie czyste ulice elegantszych części miasta ustępowały popękany chodnikom, pełnym rozrzuconych gazet, gnijących warzyw i psich ekskrementów. Wszędzie tłoczyli się ludzie: niektórzy spokojnie zajmowali się swoimi sprawami, inni stali oparci o futryny lub latarnie i paląc papierosy, obserwowali, jak kręci się ten świat; jeszcze inni pokazywali palcami, krzyczeli i przeklinali z tutejszym twardym akcentem, tak że zdenerwowany Gerhard wołał się nie odzywać, by nie zdradzić swojego arystokratycznego pochodzenia.

Na tę okazję włożył swoje najstarsze, najlichsze ubranie, które jeszcze w latach studenckich nosił na wykładach, placach budowy i niezliczonych nocnych wyprawach do zadymionych barów i kabaretów. Z czasem czarny materiał nabrał zielonkawego połysku i na łokciach pojawiły się łaty, a gdyby uważniej spojrzeć, przy kieszeniach spodni dostrzegłoby się niewprawny ścieg dawnej dziewczyny, ratującej jego garderobę po studenckich wygłupach. Do tego miał na sobie swoją najstarszą koszulę, bez sztywnego kołnierzyka, który normalnie powinien być do niej przypięty, oraz brudny od smaru kaszkiet, pożyczony od mechanika obsługującego park samochodowy ich rodziny.

Minął zakład krawiecki, gdzie na szybie ktoś wysmarował wapnem gwiazdę Dawida i obok napis: „Żydy”. Niżej wisiał afisz krzyczący: „Nie kupować od Żydów!”. Zakład zamknięto, na drzwiach wisiała kłódka. Kurz pokrywał manekiny na wystawie, jeden był przewrócony. Żydzi chyba się już wynieśli.

Z *Bierkeller* dolatywał smród piwa i dobiegała pijacka śpiewka przy akompaniamencie akordeonu. Stojący przed piwiarnią mężczyzna rozejrzał się ukradkiem, po czym wcisnął Gerhardowi do ręki wydrukowaną domowym sposobem ulotkę.

– Wyglądasz na przyjaciela – powiedział i szybko wycofał się w ciemność.

Gerhard spojrział na ulotkę zatytułowaną: „Dziennik ISK”<sup>6</sup>. Nagłówek głosił: „ISK na autostradach!”. Pod nim widniało zdjęcie pracowników budujących nowy odcinek drogi szybkiego ruchu między Frankfurtem a Darmstadtem, pierwszej takiej na świecie, będącej dumą i radością Adolfa Hitlera. Artykuł poniżej mówił o niskich zarobkach robotników i koszmarnych warunkach mieszkaniowych. Ale oni nie odpuszczają, pisał dziennikarz. Organizują protesty, zwalniają tempo pracy, nawet wypisują hasła na kładkach ponad drogą.

Gerhard zatrzymał się jak wryty. Czy to mogła być prawda? Kroniki filmowe były pełne relacji o nowej autostradzie i nigdy nie mówiono o niezadowoleniu robotników, których zawsze pokazywano z szerokim uśmiechem na twarzy, trudzących się dla dobra ojczyzny. Nikt też nie wypowiadał się publicznie na temat haseł wypisywanych na murach. Nie, nikt by się na to nie zdobył, pomyślał Gerhard, gniotąc ulotkę i wrzucając ją do najbliższego kosza na śmieci. Potem też się rozejrzał, jak przed chwilą aktywista ISK, jak wszyscy w Monachium, mieście, w którym zrodziło się Gestapo, w którym oczy i uszy policji politycznej zawsze były czujne, jak zresztą wszędzie. Aby dojechać na Laimer Platz, Gerhard złapał tramwaj; po drodze obserwował wsiadających i wysiadających pasażerów, a potem, gdy ruszył dalej na piechotę, sprawdzał, czy nikt za nim nie idzie. Na Fürstenrieder Strasse zatrzymywał się co krok, patrząc w witryny sklepowe, jak to widywał na filmach, by zobaczyć, czy ktoś go nie śledzi. Ale nie zauważył nikogo, więc szedł dalej tam, dokąd zmierzał.

W końcu dotarł na miejsce i pokonał kilka popękanych kamiennych schodków, prowadzących do czynszowej kamienicy. Woda z zatkanej rynny zalała cegły wokół drzwi, tam gdzie spływała po murze, i zaprawa się wykruszyła, rozpaczliwie potrzebując remontu. Frontowe drzwi były uchylone. Gerhard pchnął je i wszedł do zastawionego rowerami korytarza. Na tablicy wisiała lista lokatorów, dalej biegła klatka schodowa. Zobaczył nazwisko przy ostatnim numerze, 12b: Solomons.

Och, Izzy, jak mogło do tego dojść? – pomyślał, wspominając czasy, w których matka zabierała go w gości do Solomonsów, do ich wspaniałej willi przy Königinstrasse naprzeciwko Englischer Garten.

W jadalni dumnie spoczywały w serwantce wojenne odznaczenia Isidora Solomonsa, złotego chłopca rodziny. Walczył dla Niemiec



z równą godnością i męstwem, jak każdy żołnierz armii cesarza, i ponieważ cudem przeżył, gdy wielu wokół poległo, awansował ze skromnego Leutnanta na Obersta, pułkownika. Służył w 15. Bawarskiej Dywizji Piechoty, części Piątej Armii, pod rozkazami następcy tronu, księcia Wilhelma. Odręczny list pochwalny księcia, opisujący jego męstwo w bitwie, zajmował honorowe miejsce w szafce, obok legendarnego orderu Pour le Mérite, tak zwanego Niebieskiego Maxa. Było to najwyższe odznaczenie, jakie mógł otrzymać niemiecki żołnierz, i zostało przyznane Solomonsowi za niezwykłą odwagę pod ostrzałem na polach Verdun i bezinteresowną gotowość ryzykowania własnego życia, by chronić podkomendnych.

Solomons nie lubił opowiadać o swoich wojennych przejściach. Ale Gerhard pamiętał, jak w pewien sylwestrowy wieczór siedział na wielkich marmurowych schodach Schloss Meerbach, patrząc na przybywających gości. Panów poproszono, by założyli swoje odznaczenia. Isidor Solomons wkroczył, wysoki, posępny i nieskazitelnie elegancki, z przypiętym do piersi, na czarno-białej wstążce, niebieskim krzyżem ze złotymi dębowymi liśćmi. Na krzyżu był napis: *Pour le Mérite*. Mężczyznom wystarczyło spojrzeć na odznaczenie i już witali Solomonsa z szacunkiem należnym królom, a kobiety lgnęły do niego jak ćmy do światła, podczas gdy inni mężczyźni, bogatsi, obdarzeni większą władzą czy nawet sławniejsi – jako że lista gości obejmowała wielu sławnych aktorów, pisarzy, malarzy i muzyków – przechodzili niezauważeni.

Teraz Solomons był skazany na człapanie po tych schodach, po których wchodził Gerhard. Farba łuszczyła się z przesiąkniętych wilgocią ścian, a trwały smród gotowanej kapusty i potu mieszał się z odorem dobiegającym z ustępów – po jednym na dwa piętra, zauważył Gerhard, wspominając lśniące marmurowe łazienki w starej willi Solomonsów.

W końcu dotarł na najwyższą kondygnację. Przeszedł wąskim korytarzem, w którym ledwo się mieścił, i zastukał do drzwi oznaczonych 12b.

– Wejdz, mój drogi – powiedział nonszalancko Isidor, jakby nic się nie zmieniło.

Wprowadził Gerharda do zagraconego salonu, pełnego wytwornych mebli, które ten pamiętał z Königinstrasse, a które tutaj zupełnie nie pasowały. Solomons był nieskazitelnie ubrany, ogolony i uczesany, jakby

pozostał jednym z najelegantszych prawników w Monachium. Zatoczył łuk ręką, wskazując pokój, w którym nie było ani pyłku kurzu, a na kanapie leżała starannie złożona pościel. Widocznie jeden z członków rodziny używał salonu jako sypialni.

– Dobrze wyglądasz – zauważył Gerhard. – Jakbyś właśnie wybierał się do kancelarii.

Solomons wzruszył ramionami.

– Robi się, co można, żeby utrzymać poziom. Prawdę mówiąc, staram się nie wyjść z wprawy... nieoficjalnie. W tej okolicy zawsze znajdują się ludzie potrzebujący pomocy prawnej. Większości nie stać na honorarium, ale mam zajęcie i... hm, powiedzmy, że niektórzy z moich klientów potrafią sprawić, żeby nikt nas tu nie prześladował. W tych czasach to bardzo wiele warte.

– Claudia w domu? – spytał Gerhard. – Dzieci pewnie są w szkole.

– Prawdę mówiąc, dzieci uczą się teraz w domu. Dano nam jasno do zrozumienia, że nie są mile widziane w szkole. Zresztą i tak trudno byłoby mi znaleźć na to środki... A odpowiadając na twoje pytanie, Claudii akurat nie ma. Wysłałem ją z dziećmi i moją matką do parku. Uznałem, że najlepiej będzie, jak porozmawiamy sami. Mam nadzieję, że to ci odpowiada.

– Jak najbardziej... oczywiście – rzucił Gerhard, starając się utrzymać pozory swobodnej rozmowy, jak za dawnych dni. Ale okazało się to niemożliwe. – Izzy... panie Solomons... tak bardzo mi przykro. Wstyd mi, że widzę pana w tej sytuacji.

– Nonsens, drogi chłopcze, nie przejmuj się. Mamy sypialnię, kuchnię, wspólną łazienkę i toaletę piętro niżej. Oczywiście, daleko temu do Königinstrasse, ale to wręcz pałac w porównaniu z moją ziemianką pod Verdun. I goszczę tu dużo mniej szcurków.

Gerhard się roześmiał. Solomons był ponad dwadzieścia lat od niego starszy, właściwie mógłby być jego ojcem. Pozycję prawnika rodziny odziedziczył po swoim ojcu, zmarłym pod koniec wojny. Gerhard dorastał bez ojca, bo miał tylko trzy lata, kiedy ten zginął na samym początku wojny, i potrzebował dorosłego mężczyzny, do którego mógłby się zwrócić o radę, lub po prostu pary uszu chętnych, by wysłuchać jego problemów. Isidor Solomons – bystry, obyty, znakomity prawnik, bezgranicznie lojalny wobec Meerbachów i posiadający wrodzoną mądrość, godną jego nazwiska – był naturalnym wyborem.

– Konrad nie powinien cię zwalniać. Powinien postawić się partyjnym kolegom, żeby zapewnili ci wyłączenie spod ustaw antyżydowskich. Na litość boską, dostałeś Maxa.

Solomons wzruszył ramionami i uśmiechnął się cierpko, ze smutkiem.

– Jak widać, Pour le Mérite to już nie to samo co kiedyś. Nie mam pretensji do Konrada. Tak naprawdę nie mogłem dalej pracować jak należy i nic nie wskazywało, że będzie lepiej. Zapamiętaj moje słowa, Gerhardzie. To, co się wydarzyło, jest dopiero początkiem.

– W takim razie powinien zadbać, żebyś otrzymał godną odprawę. Po tych wszystkich latach, tylu pokoleniach, przynajmniej to moja rodzina powinna zrobić dla twojej.

– Cóż, to prawda. Ale Konrad musi myśleć o własnej karierze. Słyszałem, że pracuje teraz bezpośrednio dla Heydricha, jako ktoś w rodzaju adiutanta?

– Zgadza się. Jest jego osobistym sekretarzem. Teraz, gdy Heydrich ma pod sobą całą Policję Bezpieczeństwa, pracują w Berlinie. Konrad wszędzie z nim podróżuje. Był nawet w górskim domku Führera w Berchtesgaden.

– Podwieczorek na tarasie z Adolfem i Ewą, jak uroczo!

– Podejrzewam, że wcale nie tak uroczo. W każdym razie mogę cię zapewnić, że przynajmniej jeden z nas wie, co to jest dług honorowy. Udało mi się dostać pięć tysięcy reichsmarek z mojego funduszu powierniczego. Zarząd myśli, że kupuję mercedesa. Miejmy nadzieję, że nigdy nie będą chcieli go obejrzeć.

– Dziękuję, Herr von Meerbach – powiedział Solomons, nagle o wiele bardziej oficjalnym tonem, gdy Gerhard wyjął z kieszeni kopertę i podał mu ją. – Jesteś zbyt hojny. Większość ludzi nie zarabia tyle w rok. Nie masz pojęcia, jak bardzo to nam pomoże.

– Większość ludzi to nie von Meerbachowie ani nie Solomonsowie – odparł Gerhard i po chwili milczenia dodał: – Nie wiem, co z tym zrobisz, nie chcę wiedzieć. Ale cokolwiek zrobisz i dokądkolwiek się udasz, życzę ci powodzenia. I... – Westchnął. – Nie chodzi tylko o te rodzinne historie, chociaż mówiłem szczerze. To sprawa osobista. Dopóki będę żył, nigdy nie zapomnę twojej dobroci ani tych wszystkich chwil, w których zadałeś sobie trud, by mnie wysłuchać i udzielić mi pomocy. Nigdy.

Solomons ojcowskim gestem położył dłoń na ramieniu Gerharda.

– Jesteś dobrym człowiekiem, ale to nie są czasy dla dobrych ludzi. Więc pamiętaj, musisz być tak twardy i tak zdeterminowany, a jeśli będzie trzeba, tak bezlitosny jak źli ludzie, których przybywa w całej Europie. Musisz zwalczać ich ogień ogniem, bo inaczej zatriumfują i wszystko będzie stracone. Powiedz mi, czy znasz dzieła Williama Butlera Yeatsa?

Gerhard pokręcił głową.

– To irlandzki poeta, bardzo dobry, jak sędzę. Napisał wiersz *Drugie przyjście*. Oczywiście pisze po angielsku, ale mam niemieckie tłumaczenie. – Solomons podszedł do chybotliwego drewnianego regału i wyjął cienki tomik, którego zniszczona okładka dumnie świadczyła o tym, że jest lubiany i czytano go wielokrotnie. – Yeats napisał to w dziewiętnastym roku, gdy krew po ostatniej wojnie jeszcze nie wyschła, ale on już, niczym prorok, widział, że zbliża się następna – powiedział Solomons, kartkując książkę, aż znalazł właściwą stronę. – *Ach so, mam! Posłuchaj tych paru strof, Gerhardzie, bo wiele mówią. „Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; / Czysta anarchia szaleje nad światem. / Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół /Zatapiając obrzędy dawnej niewinności; / Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych / Kipi żarliwa i porywcza moc”<sup>7</sup>*. Jesteś jednym z najlepszych, Gerhardzie. Jednym z naprawdę najlepszych. Więc musisz mieć niezłomne przekonania i tyle wiary w dobro, ile najgorsi mają w zło, które czynią. I przeżyj. Na litość boską, Gerhardzie, zrób to co ja pod Verdun i przede wszystkim, obojętnie, co się wydarzy... przeżyj.

Czterej bracia Courtneyowie umówili się na lunch w hotelu Shephard w Kairze, gdzie Leon zatrzymał się po przyjeździe pociągiem z Suez. Pogoda była przyjemnie ciepła, co na standardy kairskie oznaczało: rozkosznie chłodna. Leon zarezerwował stolik na tarasie i przyszedł wcześniej – sączył teraz gin z tonikiem, przyglądając się życiu ulicy. Patrzył na Europejczyków w garniturach i kapeluszach, na Arabów w zwiewnych szatach, na ulicznych sprzedawców zachwalających swój towar, gdy szli, dźwigając kosze z migdałami i brzoskwiniami, na uliczników błagających o parę piastrów. Konne powozy walczyły o przejazd z osłami, wózkami ciągniętymi przez ludzi i samochodami, których kierowcy wściekle trąbili. Stroje kobiet zmieniły się, od kiedy Leon był tu ostatnio, pojawiło się więcej aut i rowerów i smród spalin mieszał się z odwiecznymi woniami kurzu, wielbłądziego łajna, dymu drzewnego i przypraw, wiszącymi w powietrzu od niepamiętnych czasów, ale istota miasta pozostawała taka sama.

A co z braćmi? Czy w ogóle ich pozna po tylu latach?

Przy stoliku pojawił się kelner w białej marynarce i oznajmił:

– Przybyli pańscy goście, *effendi*.

Leon popatrzył w głąb tarasu i zobaczył trzech idących ku niemu mężczyzn. Davida rozpoznał od razu. Jako chłopiec był wysoki i patykowaty – i taki pozostał, chociaż teraz dobiegał czterdziestki. Jego blond włosy, najjaśniejsze w rodzinie, były równie zmierzwione i chyba nietknięte grzebieniem teraz, kiedy był poważnym człowiekiem interesu, jak wtedy, gdy chodził do szkoły. Również Dorian dało się natychmiast rozpoznać. Ciemnowłosy, zgrabny, lekkiej budowy ciała, które poruszało się jak na sprężynach, odziedziczył artystyczny talent matki. Nim skończył dziesięć lat, kreślił cudownie złośliwe karykatury starszych braci lub malował akwarelowe pejzaże, które mogłyby uchodzić za dzieło dorosłego malarza. Sądząc po wygniecionym lnianym garniturze piaskowego koloru, spodniach, które podtrzymywał nie skórzany, ale materiałowy pasek, i granatowej koszuli rozpiętej pod szyją, ukazującej bawełnianą apaszkę, Dorian nadal był rodzinnym artystą.

Pozostawał Francis, z trzech braci najbliższy Leonowi wiekiem; może zbyt bliski, bo Leon zawsze miał wrażenie, że raczej budzi w nim rywalizację niż braterską miłość. Ale od tamtej epoki minęło prawie trzydzieści lat i w tym czasie była wojna, na której Francis wycierpiał więcej niż każdy z nich i też zmienił się bardziej.

Ale czy była to zmiana na lepsze, czy na gorsze? To jest klucz do mojego planu, pomyślał Leon, gdy przyglądał się Francisowi, który lekko kulał, idąc o lasce. To klucz do przetrwania całego Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney.

Davy jest rozsądnym człowiekiem, myślał Leon. Jeśli zobaczy, że gram fair, przyjmie warunki. Dorian pójdzie za nim. Ale co z tobą, Frankie? Który kierunek wybierzesz?

Kapitan Francis Courtney służył w Śródziemnomorskich Siłach Ekspedycyjnych, które w kwietniu 1915 roku wylądowały na przylądku Helles w zachodniej Turcji. Po północnej stronie przylądka były wody Morza Egejskiego, po wschodniej Dardanele, cieśnina, którą odbywał się ruch morski między Morzem Śródziemnym a Morzem Czarnym. Dardanele była w rękach cesarstwa otomańskiego, sojusznika Niemiec. Gdyby przeszła w ręce aliantów, zapewniłaby bezpośrednią łączność między brytyjskimi oddziałami w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie a Rosjanami, sojusznikami Brytyjczyków, na odległych brzegach Morza Czarnego. Pierwotnym celem kampanii dardanelskiej, jak początkowo nazywano tę operację, było wprowadzenie do bitwy francuskich i brytyjskich pancerników, które zdobyłyby przejście przez cieśninę. W oczach Winstona Churchilla (lub „tego cholernego durnia Winstona”, jak Leon Courtney określał go od tamtej pory) operacja wydawała się prosta. Imperium osmańskie chyliło się ku upadkowi, było nieskuteczne i osłabione wewnętrznymi rewoltami. Królewska Marynarka Wojenna był największą siłą morską, jaką widział świat.

Niestety, połączenie wodnych pól minowych i tureckiego ostrzału z brzegów rozbiło alianckie floty i zmusiło je do poniżającego odwrotu. Zdecydowano się zaatakować Turków na lądzie i rozpoczęto drugą fazę kampanii. Wzięły w niej udział wojska brytyjskie, francuskie, hinduskie, australijskie i nowozelandzkie – i to właśnie siły i straty tych ostatnich pokazały heroiczny wysiłek prostych żołnierzy i całkowitą strategiczną klęskę ich dowódców. Działo się to na półwyspie Gallipoli i nawet przy standardach Wielkiej Wojny, będącej krwawą katastrofą, na Gallipoli doszło do niewyobrażalnej klęski. Wbrew temu, co sądziła opinia publiczna, ofiarę dwóch trzecich rannych i zabitych poniosły oddziały brytyjskie, tworzące znaczącą większość armii alianckiej. I jednym z rannych był Francis Courtney.

Ku rozczarowaniu ojca słabe wyniki Francisa w trakcie szkolenia podstawowego spowodowały, że uznano go za „niezdatnego na oficera” i wysłano do szeregów armii. Do czasu kampanii na Gallipoli był starszym szeregowym w kwatermistrzostwie regimentu, urzędnikiem odpowiedzialnym za kontrolę stanu magazynowego. Może Ryder Courtney uważał taki obrót spraw za żaloszny, jednak Francis był w siódmym niebie. Według niego zaszczyt rozpoczęcia służby wojskowej w randze podporucznika byłby dużo gorszy, zważywszy na przerażająco wysoki procent uszkodzeń ciała wśród niższych rangą oficerów. Niech tamci atakują sobie okopy i strzelają, a on był znacznie szczęśliwszy w magazynach kwatermistrzostwa, wypełniając papierki i dbając o porządek w rachunkach. Ale pod sam koniec klęski na Gallipoli pojawił się na froncie niejaki Garden, świeżo przybyły z Egiptu kapitan Specjalnej Brygady Inżynierów Królewskich. Przywiózł ze sobą trzy tysiące butli chloru, który zdaniem jakiegoś mędrka siedzącego za biurkiem kilka tysięcy kilometrów dalej, w londyńskim Ministerstwie Wojny, mógłby zostać użyty, aby wysadzić Turków z ich pozycji i zmienić klęskę w triumf. Pomysł okazał się nie tylko niemoralny, ale też niepraktyczny. Bryzy wirujące wokół przylądka Helles były nazbyt zmienne i chmura gazu równie dobrze mogła polecieć do Turków, jak i wrócić do Brytyjczyków. Co gorsza, tureckie pozycje były wyżej niż alianckie, a chlor, gaz cięższy od powietrza, raczej opadał, niż się wznosił.

Tak więc plan odrzucono i butle z chlorem zmagazynowano aż do czasu, kiedy można będzie odesłać kapitana Gardena do Aleksandrii. Zupełnym przypadkiem zabłąkany turecki pocisk wybuchł w pobliżu magazynu, w którym złożono butle, i odłamek szrapnela przeszył jedną z nich. W tym czasie Francis Courtney przeprowadzał akurat inspekcję magazynu, sprawdzając zgodność dokumentacji ze stanem faktycznym. Przechodził obok butli z chlorem, gdy pocisk uderzył. Wybuch powalił Francisa na ziemię, wywołując wstrząs, choć nie raniąc go, ale z przebitej butli wydostał się gęsty strumień chloru.

Piekący ból przeszył Francisowi oczy i gardło, a potem jakby gigantyczna łapa zacisnęła się na jego torsie i płucach, tak że zaczął się



dusić. Jakoś dźwignął się na nogi i zataczając się, odszedł od miejsca wybuchu, co uratowało mu życie. Niemniej dostał ataku kaszlu i wymiotów. Był oślepiiony łzami, które napływały mu do oczu, gdy jego organizm walczył z tym podrażnieniem. Usta natomiast zareagowały odwrotnie: wyschły z pragnienia, a język cały spuchł i był obłożony. Francis padł na ziemię i znaleźli go dopiero sanitariusze z noszami. Leżał na boku, głowa pękała mu z bólu, a usta miał szeroko otwarte, bo rozpaczliwie usiłował pozbyć się płynów, które zalewały mu płuca. Pobladła twarz nabrała zielonkawożółtej barwy i w ciągu następnych kilku godzin, pod wpływem działania gazu i braku tlenu, różne części ciała makabrycznie zmieniły kolor: twarz stała się jaskrawofioletowa, a paznokcie trupio sine. Był wyczerpany, a jednocześnie niespokojny – wciąż łapał powietrze i z powodu braku oddechu miał ataki strachu graniczącego z paniką. Bolało go całe ciało, gwałtownie protestujące przeciwko tym cierpieniom; niekończące się ataki kaszlu, wymiotów i biegunki następowały jeden po drugim, w różnej kolejności.

W końcu zasnął. Po przebudzeniu czuł się znacznie lepiej. Ale po kilku godzinach druga fala cierpienia zalała jego umęczone ciało – linie obronne organizmu pękły, poddając się ostremu zapaleniu oskrzeli. Kaszel wrócił i wkrótce białe chusteczki, które trzymał przy ustach, pokryły się zieloną flegmą zmieszaną z krwią. Temperatura wzrosła powyżej czterdziestu stopni. Przez kilka godzin Francis leżał nieprzytomny i lekarze w lazarecie byli pewni, że dołączy do ciągle rosnącej listy zmarłych. Ale gdy już stracono nadzieję, gorączka spadła. Francis przeżył.

„Uratowało go to, że jest Courtneyem – napisała w liście matka, donosząc Leonowi o tym, co się stało. – Frank po prostu jest zbyt uparty, żeby umrzeć, a twój ojciec nie przyjmuje do wiadomości odmowy. Przedarł się aż do Ministerstwa Wojny, by dostać zgodę na przetransportowanie Franka do Aleksandrii, a potem wychodził ze skóry, żeby zajęli się nim najlepsi lekarze i pielęgniarki Lewantu. Mamy nadzieję, że z Boską pomocą Frank się wyliże”.

Był to jednak długi proces. Rekonwalescencja trwała cztery lata: w szpitalu, w sanatorium i wreszcie w domu. W końcu wyszedł z tego, choć znacznie słabszy, z nadwrażliwością na ostre światło: stąd laska i ciemne okulary. Ale w porównaniu z wieloma innymi weteranami – ociemniałymi, kalekimi, bez rąk, bez nóg – którzy stali się jakże

straszliwie znajomym widokiem na powojennych ulicach – Francis Courtney wykił się tanim kosztem.

– Cieszę się, że widzę cię w tak dobrym stanie, Frank – powiedział Leon tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że mówi to szczerze.

Francis zareagował tak, jakby usłyszał obelgę. Mruknął lekceważąco i wykrzywił usta w gorzkim grymasie.

– Aha, nie wróciłeś, kiedy twój brat leżał ranny przez całe miesiące. Ani nawet kiedy umierał twój ojciec. Ale wystarczyło, że nad twoimi pieniędzmi zawisło niebezpieczeństwo, i jesteś w te pędy. Wybacz, nie robi to na mnie wrażenia. – W gardle mu świszcząco, a gdy skończył, odkaslnął sucho, chrypliwie, co Leon uznał tyleż za oznakę gniewu, ileż jakiegoś czysto fizycznego niedomagania.

– Spokojnie, Frank – osadził brata David. – Nie ma potrzeby rozgrzebywać starych ran, prawda?

Leon nie dał się sprowokować.

– No cóż, tak czy siak, dobrze cię widzieć – rzekł, wyciągając rękę.

Francis demonstracyjnie zignorował ten gest.

– Bardzo dziękujemy za to, że pokonałeś taki kawał drogi, Leonie – odezwał się pojednawczo David. – Mam wielką nadzieję, że do czegoś dojdziemy. Dla wspólnego dobra.

Jego uścisk dłoni był mocny i przekonujący – uścisk człowieka, który zwykł brać na siebie odpowiedzialność i dotrzymywać słowa.

Dorian cofnął się na moment, patrząc na Leona, jakby przymierzał się do malowania jego portretu.

– Hm... – mruknął w końcu. – Nieco naruszony zębem czasu, ale w sumie ten sam starszy brat. – Uśmiechnął się od ucha do ucha i ku zaskoczeniu Leona objął go serdecznie. – Dobrze cię widzieć, staruszk.

– Ciebie również – odrzekł Leon. Wskazał stolik. – Może usiądziemy i zamówimy jakieś drinki? Robią tu cholernie dobry gin z tonikiem, co ta pusta szklanka potwierdza.

– Brzmi świetnie – stwierdził David.

Dorian przez chwilę się zastanawiał.

– Ja proszę martini z wódką, jeśli można, starszy bracie.

– Ależ oczywiście. A ty, Frank?

– Johnnie walker, czysty, bez lodu, podwójny.

Przyniesiono drinki, dania zostały zamówione, podane i zjedzone. Potoczyła się normalna rozmowa czterech mężczyzn, jak wśród braci, którzy od dawna nie widzieli jednego z nich. Leon pytał o matkę

i siostry, o życie różnych członków rodziny. David był żonaty, miał dwoje dzieci, dziesięcioletniego chłopca i siedmioletnią córkę. Francis był kiedyś żonaty, ale jego Marjorie dawno temu go zostawiła i nie znalazł sobie nikogo nowego. Natomiast Dorian wciąż nie związał się z żadną kobietą i najwyraźniej wolał skakać z kwiatka na kwiatek.

– Nie wierzę, że zdarzyło mu się namalować portret kobiety, nie zabierając jej do łóżka – zauważył David.

– Och, to już przesada – zaprotestował Dorian. – Jeden facet kilka lat temu poprosił mnie o namalowanie jego matki. Powiedział, że ona chce, by ją pamiętano, kiedy już odejdzie. Była fantastyczną staruszką, co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, ale wciąż na chodzie i centrum sterowania bez jednego zgrzytu.

– No nie mów, chyba nie... – Leon się roześmiał.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknął Dorian, urażony samą sugestią. – Właśnie o to mi chodzi. Są pewne granice... Chociaż muszę przyznać, że coś tam chodziło mi po głowie – dodał po chwili.

– Naprawdę nie wydaje mi się, że absolutny brak seksualnej wstrzemięźliwości Doriana to ciekawy czy pożądaný temat konwersacji – odezwał się z irytacją Francis. – Czy możemy przystąpić do naszej sprawy? Po to tu jesteśmy, czyż nie? I bądź szczery, Leonie, nie pokonywałbyś pół świata, żeby ją omawiać, gdybyś nie myślał, że możesz zarobić na naszym nieszczęściu. Więc powiedz nam, co konkretnie proponujesz.

Leon spojrział na brata. Zrozumiał, że Frank nosi najgłębsze blizny w duszy, nie na ciele. Tam doznał największej i najgroźniejszej szkody.

Nie dał się sprowokować Francisowi do pośpiechu lub zniecierpliwienia. Wezwał kelnera i zamówił dla wszystkich kawę, po czym rzekł:

– No dobrze, czemu nie miałbym zacząć od podsumowania sytuacji, tak jak ją widzę. A potem możemy przedyskutować, co z tym zrobić. Mam swoje pomysły, ale wy też na pewno macie swoje.

– Brzmi sensownie – stwierdził David. – Strzelaj.

– A zatem... Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że moim zdaniem działałeś całkiem rozsądnie, Davy. Jest dla mnie absolutnie oczywiste, że zapotrzebowanie na produkty ropopochodne będzie tylko rosło... nawet statki będą zapewne napędzane ropą, tak jak dzisiaj węglem... i nie mogłeś przewidzieć tego cholernego, niekończącego się kryzysu, skoro absolutnie nikt go nie przewidział. Tak więc nie ma co wzajemnie się oskarżać. Z drugiej strony, nie można uciekać przed faktem, że Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney jest w opałach. Nie chodzi tylko o ropę. Wszystkie inwestycje ojca w przemysł wydobywczy w Afryce Południowej są w fatalnym stanie. W obecnych czasach złoto i diamenty to ostatni towar, który ludzie kupują. Nawet ceny egipskiej bawełny spadły. I oczywiście transport morski dosłownie utknął, bo nikogo nie stać na handel. W warunkach kompletnego zastoju każdy boi się zrobić jakikolwiek ruch. A całkowity dług firmy wynosi nieco ponad sześć milionów funtów, wedle moich przybliżonych obliczeń...

– Sześć milionów dwieście trzydzieści dziewięć tysięcy czterysta siedemdziesiąt dwa funty siedemnaście szylingów i dziesięć pensów, oto dokładna suma, kiedy ostatnio liczył nasz główny księgowy – powiedział David.

– No, siedemnaście szylingów i dziesięć pensów nie powinno być problemem – wtrącił Dorian.

– A stopa oprocentowania wynosi średnio osiem procent rocznie – zauważył Leon.

– Mniej więcej – potwierdził David.

– Co oznacza, że Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney musi znaleźć mniej więcej pół miliona funtów rocznie na spłatę odsetek, bez rat kapitałowych, a jest to niemożliwe, skoro żadne z przedsięwzięć firmy nie przynosi dochodów.

– Bardzo ci dziękujemy, Leonie, za poinformowanie nas o tym, co już wiemy – powiedział Francis.

– Frank, chłopie, chwila moment. Widzicie, wydaje mi się, że sama wielkość długu przedsiębiorstwa jest naszym atutem w rozmowach z bankierami. Każdy kredytodawca, nawet półgłówek, zdaje sobie sprawę, że gdy zostaniemy zmuszeni do sprzedaży firmy, dostaniemy psie pieniądze i będą mogli mówić o szczęściu, jak odzyskają jedną dziesiątą tego, co włożyli. Dla nich będzie o wiele lepiej, jeśli się utrzymamy.

– Frank ma rację, Leonie – odezwał się David. – Sami doszliśmy do tego i miesiącami wbijałem to do głowy bankierom. I właściwie tylko dzięki temu nie wystąpili o przejęcie naszej firmy. Ale wciąż nas cisną.

– No tak... Gdyby wiedzieli, że mają zagwarantowaną spłatę odsetek przez, powiedzmy, cztery lata... absolutnie zagwarantowaną... byliby znacznie spokojniejsi, prawda? I gdyby wiedzieli, że ich inwestycja jest bezpieczniejsza, może byliby bardziej skłonni renegotjować warunki pożyczki. Przecież odsetki są teraz znacznie niższe, niż kiedy zawieraliście umowy. Amerykanie zeszli do jakichś dwóch procent. Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy nakłonić naszych kredytodawców do czterech procent, jeśli tylko będą wiedzieli, że je dostaną.

– Ale przecież ich nie dostaną! – zauważył Francis. Im bardziej był rozjuszony, tym głośniej mówił. – To bez znaczenia, czy odsetki wynoszą osiem procent czy cztery, czy gównem do kwadratu, nie jesteśmy w stanie ich spłacić, do cholery!

– Chyba lepiej, żeby nie dowiedział się o tym cały Kair, nie sądzicie? – spytał retorycznie Leon. – A zresztą to nieprawda. Może wy nie jesteście w stanie ich spłacić. Ale ja tak.

– Czym? – spytał z goryczą Francis. – Czarodziejską fasolą?

– Nie, złotymi suwerenami. Mówię o milionie funtów.

– I masz ten milion funtów? W złocie? Myślisz, że ci uwierzymy? Co zrobiłeś, wykopałeś skarb piratów?

Leon wzruszył ramionami.

– Nie czas na szczegóły, ale niech będzie, że wykopałem skarb, równie dobrze można tak to nazwać.

David uniósł brwi.

– To twoje złoto, Leonie, zakładając, że je masz... jest legalne? Chodzi mi o to, czy nie wszedłeś w jego posiadanie w sposób niezgodny z prawem?

– Nie obrabowałem banku, bądź spokojny. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, jest to łup wojenny zabrany wrogowi naszego narodu. Co, jak z pewnością potwierdziłby nasz drogi, świętej pamięci ojciec, świadczy o tym, że tradycja rodzinna nie umiera.

– Znakomita tradycja rodzinna Courtneyów ledwo zalegalizowanego piractwa... Nie tak mówił? – powiedział z szerokim uśmiechem Dorian. – Musisz przyznać, Davy, że staruszek był absolutnym łobuzem i łajdakiem. Oczywiście na swój przemiły, jak najbardziej uroczy sposób. Byłby wniebowzięty na wieść, że jego najstarszy syn z takim rozmachem poszedł w jego ślady. Milion funtów w złocie, co? Tato byłby z ciebie dumny, Leonie... i trochę zazdrosny, śmiem twierdzić.

– Założmy, że dasz nam te pieniądze – odezwał się Francis. – Czego chcesz w zamian?

– Dobre pytanie, Frank. Próbowałem to sobie obmyślić. Po pierwsze, zastanawiałem się, czy w ogóle ruszyć palcem. Niech nie zabrzmie to bezdusznie, ale powiem bez ogródek: to, czy Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney padnie, tak naprawdę mnie nie obchodzi... w każdym razie pod względem finansowym. Z drugiej strony, wy, moi drodzy, znajdziecie się wtedy w wielkich kłopotach. A dziedzictwo ojca szlag trafi, co znaczy dla mnie więcej, niż sądzicie. Jednak najbardziej dręczy mnie to, że nasza matka i nasze siostry zostaną bez środków do życia, na co w żadnym wypadku nie mogę się zgodzić. Więc spółka musi być uratowana. Ojciec przekazał każdemu z was po dwadzieścia pięć procent firmy, bo zostaliście w Kairze i można było oczekiwać, że poprowadzicie interes. Mój udział wyniósł tylko dziesięć procent, bo oszedłem... i zanim coś powiesz, Frank, oświadczam, że nigdy nie miałem z tego powodu pretensji. A mama, Penny i Becca dostały po pięć, co aż nadto wystarczyło im na porządne utrzymanie... Oczywiście, mógłbym dać każdej z nich dość pieniędzy, żeby wyrównać stratę udziałów przedsiębiorstwa. I tak, na krótką metę byłoby to dla mnie dużo tańsze, ale długofalowo bez widoków na zysk, a jestem absolutnie przekonany, że spółka ma przed sobą znakomitą przyszłość, jeśli zdoła

przetrwać obecny kryzys. Tak więc moja propozycja wygląda następująco: dam firmie milion funtów. A w zamian dostanę jeszcze czterdzieści pięć procent udziałów, co oznacza, że w sumie będę miał pięćdziesiąt pięć procent. Muszę być większościovym udziałowcem, żeby zyskać pewność, że moja inwestycja jest chroniona.

– Toż to rozbój w biały dzień! – wybuchnął Frank. Spojrzał po braciach. – A nie mówiłem? To po prostu złodziej, do cholery! – Popatrzył z wściekłością na Leona. – Draniu! Świetnie wiesz, że firma jest warta o niebo więcej!

– Nie, w tej chwili nie jest więcej warta – zauważył cierpko David.

– No właśnie – powiedział Leon, usilnie starając się zachować spokój. – W ten sposób zachowacie nadal udziały i będziecie je mieli tak długo, aż zobaczycie, że ich wartość się zwiększa, dzięki czemu wzrosną wasze zyski. Słuchaj, Frank, ryzykuję praktycznie wszystkie moje płynne aktywa. Jeśli pójdzie źle, też mogę znaleźć się na lodzie. Dlatego domagam się solidnej premii albo pasuję i zostawiam swoje pieniądze bezpieczne w bankowym skarbcu.

– Jak mielibyśmy ci przekazać te czterdzieści pięć procent? – spytał Dorian.

– Poprzez przeniesienie na mnie części swoich udziałów. Sami zdecydujecie, kto ile da. Myślę, że Davy powinien zachować drugi największy udział, bo to na jego biedną głowę spadnie problem, co robić, żeby całe przedsięwzięcie wypaliło. Nie chcę, by kobiety zbyt ucierpiały, i nawiasem mówiąc, pokryję ich koszty utrzymania przez cztery lata, bo jednym z moich warunków jest to, że nikt, również ja, nie dostanie w tym czasie dywidendy. Oczywiście wy trzej możecie domagać się wynagrodzenia za swoją pracę. I znów Davy dostanie najwięcej.

Leon rozejrzał się po braciach. David wyjął z marynarki notatnik i zaczął liczyć, jakie będą skutki propozycji Leona. Dorian rozparł się na krześle, niedbale paląc papierosa i robiąc słodkie oczy do ładnej kobiety przy stoliku obok, której mąż siedział tyłem i nie miał o niczym pojęcia. Francis ze złością zgasił papierosa i wezwał gestem kelnera.

– Whisky – zażądał. – Tylko cholernie mocnej.

– Zgadzam się z Leonem, że nasze panie powinny przekazać jak najmniej – odezwał się David, patrząc na swoje obliczenia. – Sugeruję dwa procent, po równo. Z tego wynika, że my, panowie, musimy znaleźć trzydzieści dziewięć procent, co wychodzi po trzynaście na każdego. Bardzo miło, że oferujesz mi więcej, Leonie, ale powinniśmy to zrobić po

równy albo wcale. Tak przy okazji, przyjmuję, że nie zobaczymy ani pensa z tych twoich pieniędzy.

– Nie, cała suma przejdzie na rachunek spółki – odparł Leon. – Jak się nam uda zmniejszyć o połowę wysokość odsetek, milion funtów powinno wystarczyć na pokrycie bieżących spłat przez cztery lata, a jeśli do tej pory sytuacja się nie polepszy, to już naprawdę będzie bez znaczenia, że przedsiębiorstwo Courtneyów pójdzie na dno, bo cały świat szlag trafi.

– Wybacz moją ograniczoną wiedzę w zakresie finansów – powiedział Dorian – ale jeśli dobrze rozumiem, twoja propozycja sprowadza się do tego, że lepsza połowa sześciopensówki niż nic.

– Zgadza się.

– Jeśli jednak sprawy obrócą się na lepsze, dostaniesz o wiele więcej sześciopensówek niż my. Uznaję argument, że ryzykujesz swoje pieniądze. Ale my rezygnujemy z przywileju pierworództwa, oddajemy naszą miskę soczewicy czy co tam ten gość w Biblii oddał. Myślę, że jeśli sprawy się ułożą, twoje pieniądze będą zupełnie bezpieczne i twój udział nagle wystrzeli grubo ponad milion funtów, powinniśmy odzyskać trochę naszej soczewicy. Nie wiem, czy jasno się wyrażam.

– Mama zawsze powtarzała, że nie jesteś taki naiwny, jakiego udajesz, Dorianie – powiedział z uśmiechem Leon. – I teraz widzę, że miała rację. No dobrze, oto moja propozycja. Jeśli kiedyś w przyszłości Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney stanie na nogi i jak mówisz, jego wartość wystrzeli, będziecie mogli odkupić połowę przekazanych mi udziałów za cenę nominalną plus cztery procent odsetek za każdy rok, kiedy należały do mnie.

– Na Boga, czy nie ma końca twojej chciwości? – spytał szyderczo Francis. – Domaganie się odsetek od własnych braci? Na pewno nie jesteś Żydem, Leonie? Sam Shylock byłby z ciebie dumny.

– Czy nie ma końca twojej goryczy, Frank? – spytał Leon, bardziej ze smutkiem niż z gniewem. – W sytuacji, o której mówił Dorian, udziały będą dużo więcej warte niż kiedyś... dwa, może dziesięć razy więcej. A zatem jeśli chcę czterech procent, zapłacicie je bez uszczerbku dla własnych kieszeni i nadal pozostanie wam spory zysk. Staram się tylko nie stracić swoich pieniędzy, biorąc pod uwagę, że mogą leżeć w banku i zarabiać na sobie.

– Jak myślisz, Davy? – spytał Dorian.



– Myślę, że to uczciwa oferta. Leon może osiągnąć bardzo pokaźny zysk, jeśli sprawy pójdą dobrze, co jest jak najbardziej sprawiedliwe, zważywszy na okoliczności. I daje nam szansę udziału w tym zysku. A skoro w tej chwili nie mamy żadnej szansy na jakikolwiek zysk, uważam tę propozycję za absolutnie przyzwoitą.

– Więc przyjmujesz moje warunki, Davidzie? – spytał Leon.

– Tak. Będziemy potrzebować prawników, żeby przygotowali dokumenty, ale w zasadzie możesz liczyć na moją zgodę.

– Dorian?

– Och, w tej rodzinie ja jestem tylko artystą obibokiem. Jeśli Davy mówi „tak”, ja też mówię „tak”.

– A co z tobą, Frank? Tu trzeba jednomyślnej zgody. Nie możemy kłócić się od samego początku. Plan nie ma szansy powodzenia, jeśli wszyscy go nie zaakceptujemy.

– Nie ufam ci – odparł Francis. – Jestem pewien, że znajdziesz sposób, żeby nas wykiwać.

– Po to mamy prawników – zauważył David. – Oni się postarają, żeby nikt nikogo nie wykiwał i żeby wszystkie umowy były uczciwe i jawne.

– Ale czemu miałbym kogoś wykiwać? – spytał Leon. – Robię to z powodów, które wymieniłem: żeby zachować dziedzictwo ojca, żeby pomóc matce i dziewczętom, a także, owszem, ponieważ myślę, że jest tu autentyczna biznesowa szansa... dla nas wszystkich. Posłuchajcie, jeśli mi nie ufacie, w tej chwili wstaję od stołu, odchodzę i nigdy więcej nie usłyszycie słowa o moich nikczemnych zamiarach.

– Leon ma rację, Frank – odezwał się David. – Jemu niepotrzebne jest Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney, ale nam bardzo potrzebny jest milion funtów.

– Czyli powinniśmy przyjąć jego warunki dlatego, że ma nas w garści, o tym mówisz?

– Nie, powinniśmy przyjąć jego warunki dlatego, że nikt nie zaoferuje nam lepszych, i dlatego, że musimy postąpić właściwie, a nie kierować się osobistymi urazami. Jesteśmy to winni naszym rodzicom i siostrom.

Na dnie szklanki Francis Courtneya zostało jeszcze trochę szkockiej. Wypił, głośno odstawił szklankę i wbił nieprzyjazne spojrzenie w Leona.

– No cóż, widzę, że nie mam innego wyjścia jak przyjąć twoje warunki. Podpiszę papiery, które podsuną mi prawnicy. Będę robił dobrą minę do złej gry. Jak zawsze. Ale nie myśl, że to mi się podoba, mój drogi bracie. Bo mi się nie podoba. Ani trochę.

Wkrótce potem, gdy bracia Courtneyowie zaczęli się rozchodzić, Dorian na chwilę został, by zamienić jeszcze słowo z Leonem.

– Spotkasz się z matką, jak już tu jesteś? – spytał.

– Oczywiście. Tak naprawdę chciałem ją dzisiaj zaprosić na kolację. Tylko stwierdziłem, że lepiej najpierw uporać się z tą sprawą.

– Tak, to sensowne. Słuchaj, przepraszam za Franka. Ostatnio potrafi zachowywać się całkiem nedorzecznie.

Leon wzruszył ramionami.

– No cóż, musiał znieść piekło... to zatrucie, odejście żony. Każdy zrobiłby się drażliwy.

– Hm... jasne, masz rację, ale to nie takie proste. To nie gaz zmienił Franka. Jemu się pogorszyło, kiedy wydobrzał.

– Jak to?

– Myślę, że w pewien sposób lubił rolę rodzinnego inwalidy. Był w centrum uwagi. Ojciec wychodził ze skóry, żeby Frank wyzdrowiał... oczywiście zrobiłby to dla każdego z nas, dla ciebie również, Leonie. Więc na Franka wciąż chuchano i dmuchano i czuł się wyjątkowy. Ta jego „separatka rekonwalescenta” to był istny teatr. Zasłony w oknach, Frank w łóżu bóleści, lekko pokasłujący. Tylko Marjorie mogła go odwiedzać.

– To musiało być dla niej strasznie ciężkie. Chyba trudno ją winić, że nie dawała sobie rady.

– Fakt – przyznał Dorian. – Ale co dziwne, wtedy jeszcze nie było jej tak ciężko. Okazała się fantastyczną, równą dziewczyną, kiedy Frank leżał w szpitalu. Kłopoty zaczęły się wtedy, gdy wrócił do domu.

– Dlaczego?

– Nie było żadnych przeszkód, żeby prowadził normalne życie, ale jemu wyraźnie to nie odpowiadało. Nagle ludzie przestali obdarzać go taką uwagą. Wszyscy mówili tylko: „Świetnie, że jesteś, staruszk” i szli do swoich spraw. A on chyba nie umiał sobie z tym poradzić. Myślę, że gaz popsuł mu bardziej głowę niż całą resztę. Frank zmienił się psychicznie. Przecież za dawnych czasów wcale nie był takim złym gościem. Ale teraz chodził wiecznie ponury i użalał się nad sobą.

A potem, oczywiście, ojciec zachorował... – Dorian urwał, spojrzął na Leona i dodał ze smutkiem: – Naprawdę powinieneś był przyjechać.

– Wiem... uwierz mi, wiem. Niczego tak bardzo nie żałuję jak tego, że się na to nie zdobyłem.

– Trudno, teraz nie ma co o tym gadać. W każdym razie... tak jak mówiłem... tato zachorował i oczywiście wszyscy skupili się na nim.

– I Frank dlatego poczuł się opuszczony? Niemożliwe.

– Obawiam się, że tak. A że zgorzkniał, to pewne. To właśnie odstręczało Marjorie. Nie mogła znieść tego człowieka, którym się stał. I gdybyś chciał wiedzieć, zmiana, jaka w nim zaszła, była powodem tego, że nie znalazł sobie nowej żony.

Leon westchnął ze smutkiem.

– To takie żalosne. Wygląda na to, że wpakował się w błędne koło. Im bardziej jest zgorzkniały, tym mniej ludzie się do niego garną, a to tylko sprawia, że staje się jeszcze bardziej zgorzkniały.

– I niebezpieczny – powiedział Dorian. – Na razie akceptuje twój plan. Wie, że nie ma wyboru. Ale nie sądzę, by życzył mu powodzenia. Myślę, że chce, żebyś się wyłożył, nawet jeśli to by oznaczało, że on też wszystko straci.

– Och, daj spokój. Niemożliwe, żeby aż tak się zagalopował. Kiedy tylko pieniądze zaczną spływać, oprzytomnieje.

– Nie, nie oprzytomnieje. W tym rzecz. Jeśli pieniądze się pojawią, to będzie znaczyło, że miałeś rację, a na dodatek że będziesz dostawał więcej niż my. Mnie to zupełnie nie rusza, potrzebuję tylko farb, płótna i miejsca, w którym mogę złożyć na noc głowę. I Davy też nie będzie tego przeżywał, bo porządny z niego gość i rozumie, że to jedyny sposób na uratowanie firmy. Ale Frank jest inny. Wolałby raczej, żebyśmy wszyscy ponieśli klęskę, niż żeby tobie się powiodło.

– Rozumiem.

– Mam nadzieję, bracie. Więc posłuchaj mojej rady, chociaż to ja jestem z was najmłodszy. Miej oczy otwarte. I z tyłu głowy.

Leon zjadł kolację z matką, ciesząc się, że może odbudować relacje, które przez ponad ćwierć wieku polegały jedynie na wymianie listów – sporadycznych od niej i jeszcze rzadszych od niego. Matka płakała. Leon czuł mnóstwo emocji, których nie potrafił do końca nazwać. To była jedna z tych sytuacji, kiedy bardziej niż kiedykolwiek brakowało mu Ewy: ona pomogłaby mu uporządkować chaos w sercu i w głowie. To wszystko przejmowało go teraz niepokojem. Nie było sensu kłaść się spać – wiedział, że nie zaśnie. Poszedł więc do hotelowego baru, usiadł na wysokim stołku i zamówił koniak.

– Trochę to smutne pić samemu, nie sądzi pan?

Głos był kobiecy, akcent amerykański. Dopiero po chwili Leon zdał sobie sprawę, że kobieta mówi do niego. Odwrócił się na stołku i ją zobaczył. Mogłaby nazywać się Jean Harlow – platynowe włosy, usta w łuk Kupidyna, wielkie uwodzicielskie oczy i czarna koktajlowa sukienka, w pełni odsłaniająca mlecznobiałe ramiona i ledwo kryjąca wspaniały biust. Ta blond seksbomba nie wyglądała zbyt subtelnie. Ale żaden mężczyzna z krwi i kości nie zaprzeczyłby, że jest efektowna.

– Zamierza pan coś powiedzieć, może poprosić, żebym usiadła, czy też będzie pan tak stał całą noc, wpatrując się we mnie jak sroka w gnat?

Leon się uśmiechnął.

– Proszę wybaczyć. Zaskoczyła mnie pani. Myślam byłam... gdzie indziej.

– Więc proszę przywołać je tutaj i spytać, czego się napiję. Do diabła z tym, oszczędzę panu zachodu. Hej, Joe! – Skinęła na barmana. – Wiesz, co chcę, prawda?

– Oczywiście, pani Kravitz. Old fashioned, z bourbonem, nie ze szkocką, trochę wody i wisienka.

– Mądry chłopiec.

– Dobry wieczór, pani Kravitz – powiedział Leon. – Nazywam się Courtney... Leon Courtney.

– Dobry wieczór, panie Courtney. Na imię mam Mildred, chociaż wolę, by zwracać się do mnie „Millie”.

– A co z panem Kravitzem, jak on się do ciebie zwraca?

– Och, czy ja wiem? „Skarbeczku”, jak ma dobry nastrój. „Ty durna suko”, jak ma zły.

– Czy do nas dołączy?

– Boże, tylko nie to! O ile wiem, błądzi gdzieś po pustyni, wpatrując się w piramidy i starożytne mumie. Ale jak go znam, to równie dobrze może być teraz w jakimś kairskim burdelu.

– Jest archeologiem?

– Hymie Kravitz archeologiem? Ha! To dopiero pomysł. Nie jest żadnym -ologiem, wierz mi. Na pewno nie, chyba że takim od lizania tyłków. Nie, mój Hymie jest szyczą w wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer. Jego szef, pan Thalberg, producent, wpadł na pomysł filmu z akcją osadzoną w starożytnym Egipcie. Wiesz, Tutanchamon, Kleopatra i tak dalej. Może weźmie na reżysera Cecila B. DeMille’a. I kombinuje, żeby kręcić właśnie tu, w Egipcie. Rozumiesz, żeby zachować koloryt, te sprawy. W każdym razie kazał Hymiemu rozejrzeć się tutaj. No i po dziesięciu minutach stało się jasne, że hollywoodzkiej produkcji nie da się w tej dziurze zrobić. Ale Hymie nie może od razu powiedzieć tego wprost, musi się trochę postarać. No więc biega, szuka plenerów i zaczepia ludzi, którzy mają jakieś pojęcie o dawnych Egipcjanach.

– I zostawił cię w tym hotelu? Nierozsądnie. Musisz być nieźle znudzona.

– Lepiej bym tego nie ujęła, Leonie. Myślałam, że będzie romantycznie. Wiesz, ja i Hymie na Nilu, na wielbłądach, pozowanie przed piramidami i Bóg wie co jeszcze. Zamiast tego tkwię tylko w tym cholernym hotelu. Do diabła, na tyłku mogę siedzieć u siebie, w Bel Air. Jaki to ma sens? Ale co z tobą i... panią Courtney?

– No cóż, przyjechałem tu w interesach. I jestem wdowcem. Żona zmarła kilka lat temu.

– O rety, przepraszam. Cholera, czasem coś palnę.

– Nie przejmuj się tak. Nie chciałaś źle.

– Może taki napis powinnam sobie zamówić na grób. „Tu leży Millie Kravitz, która nie chciała źle”.

– Albo na przykład: „Niezła z niej była dziewczyna”.

Millie spojrzała na Leona znad drinka.

– Oj, cwany z ciebie lis, Leonie Courtney.

Wiedział bez dwóch zdań, że wylądują w łóżku. Wypili po jeszcze jednym drinku i poszli do jego pokoju.

– Coś mi się zdaje, że twoje interesy kwitną – stwierdziła Millie na widok luksusowego apartamentu.

Zrzuciła swoje chybotliwe szpilki i okazało się, że sięga mu ledwo do ramienia, ale nie narzekał. Mimo że drobna, każdy centymetr jej ciała był stworzony do rozkoszy. Figura w kształcie idealnej klepsydry, pupa pełna, krągła, jędrna, wręcz prosząca o pieszczotę, uszczypnięcie lub klapsa, zależnie od sytuacji, talia tak szczupła, że zdawało się, iż gdyby mężczyzna się postarał, mógłby tę kobietę złamać na pół. Kiedy zsunięta przez nią suknia ześlizgnęła się z jej ciała i opadła na podłogę, Leon zobaczył, że piersi Millie zawdzięczają swój kształt tylko sobie, nie stanikowi ani sukience: były pełne, delikatne i kuszące.

Patrząc na nią, uśmiechnął się szeroko i poczuł narastające podniecenie.

– Widzę, że jesteś blondynką od stóp do głów.

Spojrzała w dół, na swój jasny wzgórek Wenery.

– No, woda utleniona szczypie jak diabli, ale dywanik musi pasować do zasłon.

Leon nie odpowiedział. Objął ją, przyciągnął do siebie i położył na łóżku, a ona nie spuszczała z niego wzroku. Czasami bywał czuły i delikatny, pieścił kobietę i całował, stopniowo doprowadzając ją do takiego podniecenia i pożądania, że ciała ich obojga pragnęły się zjednoczyć. Ale nie tym razem. Wziął ją szybko, bo tego chciał i czuł, że ona też chce. To nie miało być romantyczne. To był czysty zwierzęcy instynkt i wszystko przebiegało gwałtownie i szybko, ale z krzyków Millie i z tego, jak jej szkarłatne paznokcie wbijały mu się w plecy, jak rozpaczliwie się wyginała, wpuszczając go w siebie coraz głębiej i głębiej, wiedział, że ona też pragnie właśnie tak. Kiedy jęki, miotanie się i żądza Millie osiągnęły szczyt i poczuł, jak jej opasujące go uda drżą, przestał się powstrzymywać, nie myśląc już o niczym innym poza własną rozkoszą, i wchodził w nią coraz szybciej, mocniej, ostrzej, aż osiągnął pełne uwolnienie i opadł na łóżko obok niej.

Leżeli, spoceni i wyczerpani, wpatrując się w sufit.

– Boże, ależ było mi to potrzebne – wydyszała Millie.

– Mnie też.

Przytuliła się do niego, kładąc głowę na jego ramieniu i obejmując nogą jego udo. Błądziła palcami po włosach na jego torsie. Nagle cofnęła rękę, jej oddech zmienił rytm i po chwili Leon zdał sobie sprawę, że Millie płacze.

– Co się dzieje? – spytał.

– Och, nie wiem. – Pociągnęła nosem. – Po prostu to było cudowne i naprawdę bardzo tego potrzebowałam. Ale chyba potrzebuję czegoś innego, rozumiesz? Czegoś więcej.

– No tak.

– I nie dostanę tego od ciebie, prawda? A to wielka szkoda, bo jesteś cholernie przystojny, draniu, i bardziej naładowany niż Hymie... pod wieloma względami.

– Dziękuję za komplement.

– Wierz mi, skarbie, dziękuję. Ale muszę wziąć na wstrzymanie. Kto by chciał, żeby cizia wypłakiwała mu się w łóżku? Ale... wiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Tak, Millie, dokładnie wiem, o co ci chodzi – powiedział Leon.

Zasnęli objęci. Kiedy się obudził, słońce przeświecało w szparze między zasłonami i był w łóżku sam. Na poduszce leżała kartka z hotelowego notatnika. Leon przetarł oczy, sięgnął po nią i przeczytał:

Miło było poznać, panie C., całusy, M.

Szukał jej podczas śniadania w hotelowej restauracji i przed lunchem w barze, ale zniknęła bez śladu. Wsiadając do taksówki, która miała go zawieźć na stację, skąd jechał pociągiem do Suez, już wiedział, że nigdy więcej nie zobaczy Millie Kravitz. Ale wiedział też, że miała rację. On również potrzebował czegoś więcej.



Pod koniec lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, po tym, jak zbił fortunę na produkcji silników parowych, pradziad Gerharda von Meerbacha został zaproszony na polowanie do zamku Hohenschwangau, świeżo wzniesionej wiejskiej siedziby króla Bawarii, Maksymiliana II. Zamek stał na górskim szczycie, w miejscu dawnej średniowiecznej fortecy, i stylem nawiązywał do pierwotnej budowli. Otaczały go strzeliste, zwieńczone blankami mury, po których goście mogli spacerować, spoglądając na lodowate krystaliczne wody Alpsee, jeziora obmywającego podnóża grani, lub wpatrując się w niebotyczne skały, ciągnące się w zwartych szeregach daleko jak okiem sięgnąć. Pomiedzy murami stał potężny czworoboczny donżon. Sprawiał wrażenie, jakby potrafił sobie poradzić z każdą nacierającą armią. Średniowieczny styl utrzymano w środku obszernej wieży, gdzie w komnatach wisiały malowidła, które ukazywały królów i królowe, wiodących swój baśniowy żywot. Ciężkie drewniane meble były rzeźbione w stylu gotyckim. Jednak dawny koloryt okazywał się zwodniczy, bo zamek miał wszelkie wygody i luksusy, jakie mógł zaoferować wiek dziewiętnasty.

Zamek króla zrobił takie wrażenie na von Meerbachu seniorze, że natychmiast postanowił zbudować podobny, tyle że jeszcze większy, i nazwać go swoim imieniem. Schloss Meerbach wzniesiono w równie widowiskowej scenerii, na brzegach Jeziora Bodeńskiego, nieopodal miasteczka Friedrichshafen, na zachód od Monachium. Zamek był najznakomitszą rezydencją królestwa Bawarii, dopóki następcą Maksymiliana, Ludwik II, znany jako Ludwik Szalony, nie zaczął wznosić budowli tak ekstrawaganckich i okazałych, że nawet najbogatsi poddani nie mogli temu dorównać.

Gerhard von Meerbach urodził się w Schloss Meerbach. Znał każdy centymetr kwadratowy tego zamku, od najgłębszych, przypominających średniowieczne lochy piwnic, którymi cztery pokolenia ojców von Meerbachów straszyły nieposłusznych synów, po służbówki wciśnięte na poddaszu. Im Gerhard był starszy, tym bardziej czuł, że nienawidzi tej budowli.

Monumentalna skala Schloss Meerbach miała w sobie coś przytłaczającego. W głównych salonach, wyłożonych boazeriami, które z czasem poczerniały od dymu świec, lamp gazowych i cygar, wisiały ogromne portrety von Meerbachów, zmarłych i żywych. Mieli charakterystyczny wygląd. Podobnie jak nazwany ich imieniem zamek, byli potężni i imponujący, ale ich siła wydawała się stworzona po to, by onieśmielać i upokarzać słabszych, a nie ich chronić.

Ojciec Gerharda, hrabia Otto, dał się sportretować w stroju lotnika przed dwupłatowcem napędzanym jednym z silników rotacyjnych, które wzniosły Meerbach Motorenwerke i rodzinną fortunę na niebotyczny poziom. Stał na rozstawionych nogach, z rękami na biodrach, wbijając wzrok w każdego, kto oglądał portret – jakby sprawdzał, kto ośmielił się sprzeciwić. Gerhard miał zaledwie trzy lata, gdy ojciec zginął, i zachował nieliczne wspomnienia o nim, ale czuł, że musiał się go panicznie bać, bo nie potrafił bez drżenia patrzeć na tę surową, nieczulą twarz z rudym zarostem. I pozostał mu w pamięci strach, a nie ból utraty ojcowskiej miłości.

Gerhard był całkiem innym typem, jeśli chodzi o wygląd, podobnym do rodziny ze strony matki. Chociaż nie wyglądał na cherlaka, był znacznie szczuplejszy, raczej smukły niż krępy, o przystojnych, regularnych rysach twarzy. Jego oczy o barwie popielatego marmuru miały niezwykłą właściwość (co Gerhard odkrył, widząc, jak wpatrują się w nie kobiety, które uwodził): zmieniały kolor zależnie od światła wokół, od błękitu po orzechowy. Również jego poczucie estetyki było dalekie od gotyckiej pompatyczności Schloss Meerbach. Był dzieckiem modernistycznej epoki, wykształconym na architekta, który projektuje białe ściany, jeśli w ogóle one są, i wielkie okna wpuszczające potoki światła, a formy sprowadza do czystej, geometrycznej prostoty.

Jednak nawet Gerhard musiał przyznać, że czasami, gdy przyjmowano gości, okazałość zamku przydawała rodzinie splendoru. Tego wieczoru Konrad Meerbach pokazał się jako człowiek, którego wpływy łączą stare Niemcy z nowymi. Jako najstarszy syn arystokratycznej rodziny miał prawo używać tytułu hrabiego von Meerbach, jednak zrezygnował z niego, oświadczając, że taka oznaka dziedzicznych przywilejów stoi w sprzeczności z jego narodowosocjalistycznymi zasadami. Był gospodarzem uroczystej kolacji, na którą przybyli najświetniejsi członkowie starych arystokratycznych rodzin Bawarii, najbogatsi przemysłowcy regionu

i ich nowi nazistowscy panowie, pochłonięci wznoszeniem fundamentów Tysiącletniej Rzeszy. Gościem honorowym był sam Gruppenführer SS Reinhard Heydrich, nowo mianowany dowódca Gestapo, czyli państwowej tajnej policji, i SD, czyli Sicherheitsdienst, agencji wywiadowczej NSDAP.

Pojawienie się Heydricha przypomniało Gerhardowi efekt, jaki kilkanaście lat temu wywołał Niebieski Max Izzy'ego Solomonsa. W tym wypadku siłę magnetyczną miało nie odznaczenie za odwagę, ale czarny mundur Heydricha, a ściślej – kurtka. Krótka, przypominająca frak z obciętymi połami. Jedynym kolorowym elementem była jaskrawoczerwona opaska ze swastyką na lewej ręce. Na ramionach Heydrich miał srebrne epolety z frędzlami, oznaczające rangę, którą również wskazywały wyhaftowane na kołnierzyku trzy srebrne dębowe liście Gruppenführera. Na prawej piersi srebrna trupia czaszka szczyrzyła zęby do całego świata w makabrycznym uśmiechu.

Gerhard w żadnej mierze nie był zwolennikiem nazistów, ale jego wyrobione oko nie mogło nie dostrzec geniuszu zła, z jakim zbudowano cały wizerunek NSDAP – od rozmachu zjazdów w Norymberdze, z tak zwaną katedrą światła, utworzoną przez potężne reflektory, które rzucały w niebo nad Zeppelinfeld słupy światła, niczym gigantyczne kolumny, po przeszywające spojrzenie tej srebrnej trupiej czaszki – by podkreślić ideę absolutnej, nieuniknionej dominacji nad światem. I Heydrich, cudowne dziecko partii, mógł wprowadzić tę ideę w czyn z entuzjazmem, jakiego brakowało większości nazistowskich przywódców.

Gerhard zawsze uważał, że Hitler, Himmler i Goebbels to tylko godna śmiechu parodia rasy panów, o której z takim zapalem rozprawiali. Heydrich natomiast był inny. Wysoki, szczupły, elegancki, olśniewający jak gwiazdor filmowy, z zaczesanymi do tyłu blond włosami, o zwężonych, zagadkowo patrzących oczach, delikatnie ukształtowanym, ale orlim nosie i zaskakująco pełnych, zmysłowych ustach. Pochodził z arystokratycznej rodziny – jego ojciec był odnoszącym umiarkowane sukcesy śpiewakiem operowym i kompozytorem – i bez wątpienia miał w sobie charyzmę. Gerhard z przykrością myślał, że gdyby spotkał Heydricha w innych okolicznościach, możliwe, że uznałby go za bardzo sympatycznego. W rozmowie nie miotał się, nie tłukł pięścią w stół i nie strofował obecnych. Śmiał się, uprzejmie pozwalał innym się wypowiadać i był

niemal do przesady szarmancki wobec pań, które siedziały po obu jego stronach. Dopiero kiedy uważniej posłuchało się tego, co ten przystojny szatan o słodkim jak miód głosie mówił, można było dostrzec zimne, wykalkulowane zło czające się za tą uroczą fasadą, niczym żmija między kwiatami.

Gerhard planował, że gdy tylko kolacja dobiegnie końca, wymknie się do swojego pokoju. Chociaż został nauczony tego, że przy stole należy prowadzić miłą rozmowę z każdym w każdych okolicznościach, niewiele łączyło go z obecnymi tu gośćmi i chciał napisać list do swojej dziewczyny w Berlinie, by przelać na papier wrażenia z tej kolacji, dopóki miał je świeżo w pamięci. Ale kiedy dyskretnie skierował się ku drzwiom wielkiego salonu, do którego udali się wszyscy goście, poczuł klepięcie w ramię.

To był jego brat, Konrad, dumnie noszący mundur Sturmbannführera SS, odpowiednika majora w wojsku.

– Zechciej pójść ze mną – powiedział z zimną uprzejmością, jakby mówił do zatrzymanego na ulicy podejrzanego, a nie do członka rodziny.

– Dzięki, ale właśnie wybierałem się do łóżka – odparł Gerhard, udając, że nie słyszy groźby w głosie Konrada.

– Źle mnie zrozumiałeś. To nie jest zaproszenie. To rozkaz. Chodź ze mną. No już.

Członkowie rodziny von Meerbachów nie robili scen przy gościach. Tak więc Gerhard udał się za Konradem, uśmiechając się do pary, którą mijał, gdy opuszczał salon, i ruszył po marmurowej posadzce wielkiego korytarza do dębowych drzwi, nabijanych wewnątrz czarnymi ćwiekami. Były to drzwi gabinetu Konrada, ale ku zdziwieniu Gerharda brat zapukał i poczekał, aż ze środka dobiegł okrzyk: „Wejść!”.

Gerhard wszedł za bratem. Dokładnie naprzeciwko drzwi, za biurkiem, które od ponad stu lat należało do głowy rodziny von Meerbachów, siedziała znajoma złotowłosa postać. Mężczyzna wstał i wyciągnął rękę.

– Ach, Herr von Meerbach, dziękuję, że pan do nas dołączył. Wydaje mi się, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Nazywam się Reinhard Heydrich. Zechce pan usiąść?

Gerhard uścisnął wyciągniętą dłoń i zajął miejsce na jednym z dwóch krzeseł przed biurkiem. Brat usiadł na drugim.

Za wszelką cenę starając się zachować opanowanie przed obliczem najpotężniejszego funkcjonariusza tajnej policji w Niemczech, Gerhard

spytał:

– Czy mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam przyjemność tego spotkania, Herr Gruppenführer?

Heydrich uśmiechnął się, jakby to było zwyczajne towarzyskie spotkanie.

– Och, do tego przejdziemy za chwilę – odrzekł. – Ale najpierw proszę opowiedzieć mi coś o sobie. Ma pan dwadzieścia trzy lata, zgadza się?

– Tak.

Gerhard zauważył leżącą przed Heydrichem otwartą bladyszczą tekturową teczkę z kilkoma zadrukowanymi kartkami. Mój Boże, czy to moja teczka? – pomyślał. Do tego doszły Niemcy?

– I studiuje pan architekturę w Berlinie?

– Owszem. Jestem studentem na Wydziale Architektury Berlińskiego Uniwersytetu Sztuk Pięknych.

– A przedtem spędził pan trzy lata w Bauhausie, uczelni w Dessau, znanej kiedyś jako Akademia Sztuk Pięknych i Szkoła Rzemiosł Artystycznych.

– Tak.

– Mogę spytać, co zainteresowało pana w Bauhausie?

– Oczywiście. Byłem ogromnym wielbicielem jej pierwszego dyrektora, Waltera Gropiusa, i głoszonych przez niego zasad modernizmu. Jednakże zanim się tam dostałem, jego miejsce zajął Ludwig Mies van der Rohe. Moim zdaniem, jeszcze wybitniejszy architekt. Poza tym niektóre największe artystyczne umysły naszych czasów nauczały w Bauhausie. Każdy z mojego pokolenia, kto interesuje się sztuką, uważał to za naturalny wybór.

– Rozumiem, że do „największych artystycznych umysłów” zalicza pan takich ludzi jak Paul Klee, Wassily Kandinsky i László Moholy-Nagy?

– Owszem.

– Przyjmuję, że jest pan świadom, iż teraz uważamy ich prace za śmieci i dowód degeneracji?

– Jestem tego świadom. Oczywiście ta szczególna analiza krytyczna nie była jeszcze dokonana, gdy składałem podanie o przyjęcie do Bauhausu.

Heydrich przez chwilę wbijał wzrok w Gerharda, jakby się zastanawiał, czy uznać ostatecznie zdanie za niedopuszczalne szyderstwo, po czym wprowadził do akt krótką notatkę.

– Te modernistyczne śmieci mają silne wpływy semickie, zgodzi się pan z pewnością – zauważył Heydrich, odkładając pióro.

Gerhard jednak się nie ugiął.

– Z całym szacunkiem, Herr Gruppenführer, rzeczywiście, Moholy-Nagy to Żyd z pochodzenia, ale inni, których pan wymienił, Żydami nie byli. Faktycznie, na wydziale spotykało się ludzi, których opinie na temat Żydów można by uznać za przychylne. Za moich czasów w Bauhausie na pewno studiowało bardzo niewielu Żydów, jeśli w ogóle jacyś.

Heydrich zmarszczył brwi, po raz pierwszy okazując niepewność. Gerhard robił, co w jego mocy, by się nie uśmiechnąć. Nie wiedziałeś o tym, co? – spytał w duchu. I co teraz powiesz?

Heydrich odchrząknął i zajrzał do teczki.

– Nadal był pan studentem Bauhausu, kiedy szkoła przeniosła się do Berlina...

– Tak.

– Gdzie została zamknięta z przyczyn politycznych.

– Ściśle mówiąc, Mies sam ją zamknął, choć otrzymał pozwolenie na dalszą działalność.

– Wolne żarty, Herr von Meerbach. Gestapo zamknęło szkołę. Maria Ludwig Michael Mies, *alias* Mies van der Rohe, znany bliskim współpracownikom jako Mies, urodzony dwudziestego siódmego marca tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku w Aachen, w Prusach... – Heydrich na moment przerwał, aby Gerhard docenił głębię jego wiedzy i zrozumiał, co to oznacza – złożył prośbę u swojego poprzednika w Berlinie i otrzymał odpowiedź odmowną. Wtedy pojął, że kontynuowanie działalności jest w gruncie rzeczy niezbyt mądre z jego strony. Obecnie nie może znaleźć pracy w kraju. Ludzie nie chcą tej „modernistycznej” architektury, którą pan tak bardzo ceni, Herr von Meerbach. Proszę to sobie dobrze zapamiętać. Ale wracając do naszego tematu. Agenci Gestapo w Berlinie słusznie uważali Bauhaus za siedlisko wywrotowej propagandy komunistów, którzy aktywnie promowali antyniemieckie idee, i stąd też ta uczelnia nie mogła być tolerowana przez państwo. Czy jest pan komunistą?

Gerhard nie zdołał się powstrzymać. Wybuchnął głośnym śmiechem.

– No nie, pan też! Jak powiedziałem pańskiemu współpracownikowi, mojemu bratu, nie jestem komunistą. Proszę na mnie spojrzeć, Herr Gruppenführer. Oto ja, w rodzinnym zamku, ubrany do kolacji we frak. Czy według pana wyglądam na komunistę?

– To poważna sprawa i bardzo panu radzę tak ją traktować. Żądam odpowiedzi na moje pytanie. Czy jest pan komunistą?

– Nie, nie jestem i nigdy nie byłem komunistą ani nie głosowałem na partię komunistyczną. Tak, w Bauhausie studiowało wielu sympatyków komunizmu, jak na każdym uniwersytecie w kraju. Ale ja do nich nie należałem ani też nie pozwolono im stworzyć w Bauhausie żadnej organizacji. I jeśli musi pan wiedzieć, powiem panu, w co naprawdę wierzę: we współczesną architekturę opartą na najnowszych osiągnięciach inżynierii, nauki i wytwórstwa, w połączeniu z przemysłowym dziedzictwem mojej rodziny oraz z niemieckimi na wskroś zasadami rzemiosła i jakości, jakie reprezentuje Niemieckie Stowarzyszenie Rzemieślników, którego jestem członkiem. Chcę wyburzyć dzielnice nędzy w naszych przemysłowych miastach i stworzyć czyste, przestronne, zdrowe domy dla zwykłych, ciężko pracujących niemieckich rodzin. Co, do diabła, ma to wspólnego z komunizmem?

Kiedy to zadane żarliwym tonem pytanie zawisło w powietrzu, Heydrich odchylił się w fotelu, mierząc Gerharda zimnym, sceptycznym spojrzeniem – tak jak kolekcjoner motyli mógłby wpatrywać się w przyszpilony do tablicy okaz.

– Czy zdaje pan sobie sprawę ze swojej pychy i arogancji? – spytał spokojnym, wyzbytym emocji głosem, który był dużo bardziej niepokojący niż wściekły wrzask. – Sam fakt, że akurat pan, zaledwie student, pozwala sobie tak do mnie mówić w obecności swojego brata, nie zastanawiając się, na jak wielkie ryzyko naraża pan siebie oraz jaki wstyd i hańbę sprowadza na własną rodzinę... Proszę mi wierzyć, Herr von Meerbach, żaden przeciętny Niemiec nie byłby na tyle nierozsądny, by przemówić do mnie takim tonem.

– Przepraszam, jeśli pana uraziłem, Herr Gruppenführer – rzekł Gerhard z szacunkiem, ale nadal patrząc Heydrichowi w oczy. – Nie było to moim zamiarem. Chciałem jedynie ustalić prawdę. Nie jestem komunistą.

– Jest pan jednak wielbicielem Żydów.

To określenie uderzyło Gerharda jak cios pałką esesmana.

– Pro...proszę...? – wyjąkał. – Co pan ma na myśli?

– Dokładnie to, co pan słyszy. Jakies pięć tygodni temu, rankiem siódmego marca... przypadkiem w dzień moich urodzin... pojechał pan na przedmieścia Monachium i wsiadł do tramwaju jadącego na Laimer

Platz. Stamtąd udał się pan na Fürstenrieder Strasse, po drodze usiłując w beznadziejnie amatorski sposób sprawdzić, czy jest pan śledzony. Oczywiście, że był pan śledzony, nawet jeśli najwyraźniej pan o tym nie wiedział. Przystanął pan, biorąc egzemplarz zakazanej komunistycznej propagandy...

– Niczego nie brałem! – zaprotestował Gerhard. – Ten człowiek wcisnął mi do ręki ulotkę.

– I zanim ją pan wyrzucił, przeczytał ją pan z wyjątkowym zainteresowaniem jak na kogoś, kto nie ma żadnych komunistycznych sympatii. Następnie udał się pan do budynku, w którym obecnie mieszka dawny adwokat pańskiej rodziny, Żyd Solomons. Czy zaprzeczy pan, że tak było?

– Wie pan, że nie mogę temu zaprzeczyć. Tak było. I proszę o wybaczenie, jeśli znów wydam się arogancki, ale pozwolę sobie spytać, czy rozmowę z kimś, kto lojalnie służył zarówno mojej rodzinie, jak i krajowi, uważa się za przestępstwo tylko dlatego, że jest Żydem?

– Nie – przyznał Heydrich. Po chwili namysłu dodał: – Dziękuję panu. Uświadomił mi pan, że musimy zaostrzyć prawa regulujące stosunki między Aryjczykami a Żydami. Ale nawet teraz można pana oskarżyć o dostarczenie Żydowi środków finansowych, dzięki którym mógłby opuścić Niemcy bez zezwolenia.

– Nie bardzo rozumiem.

– Och, niech pan nie udaje. Dał pan Solomonsowi pięć tysięcy marek. Podjął pan nedorzeczną próbę przekonania zarządu pańskiego funduszu powierniczego, że potrzebuje pan pieniędzy na zakup eleganckiego samochodu... jakby student, nawet z pańskiej rodziny, miał rozbijać się mercedesem klasy GT... co wzbudziło czujność pańskiego brata, który nie uwierzył w tę bajeczkę. Bardzo słusznie poinformował mnie o tym i został pan objęty obserwacją.

Gerhard gwałtownie odwrócił się do Konrada.

– Zdradziłeś mnie? Własnego brata? Jak mogłeś?

– Zrobił to dlatego, że jest patriotą i dobrym nazistą – rzekł Heydrich, zanim Konrad zdążył odpowiedzieć. – I może dlatego, że jest troskliwym bratem i chce pana uratować, zanim będzie za późno.

– Uratować przed czym? Jak rozmowa z człowiekiem, który otrzymał Niebieskiego Maxa za odwagę w walce pod Verdun, może być przestępstwem? Isidor Solomons był pułkownikiem, odznaczonym przez samego księcia Wilhelma. Według mnie to wzorowy Niemiec.



– To brudny Żydek, chciwy i zdradziecki spiskujący szczur, jak reszta jego rasy – wysyczał Konrad.

– Jak możesz tak mówić? – Gerhard podniósł głos, bo słowa brata nie mieściły mu się w głowie. – Był naszym przyjacielem. Gościliśmy w jego domu. Staliśmy tutaj, ty i ja, kiedy opowiadał nam historię swojego orderu, i oczy wyskakiwały nam z orbit, gdy wyjął go ze szkatułki i pokazał. Uważałeś go za bohatera. Tak było! Jak możesz temu zaprzeczyć?

– Byłem dzieckiem. Teraz jestem dorosły, dowiedziałem się prawdy o Żydach. To tylko podludzie, śmieci. Wszyscy...

Heydrich podniósł rękę, by przerwać Konradowi.

– Nie, Sturmbannführer, pański brat ma rację. Musimy być świadomi istnienia czegoś, co moglibyśmy nazwać „dobrym Żydem”. Ludzie mogą znać takie osoby, na przykład rodzinnego lekarza lub zasnę kobietę, która ceruje ich ubrania, lub tak jak jest w tym przypadku, bohatera wojennego. Gotowi są myśleć: „Hm, Herr Levy albo Frau Goldschmidt nie są tacy źli. Nie mogą być tacy źli, jak mówią naziści”. Do nas należy uświadomienie im, że te zdrowe jabłka to wyjątki i cała reszta jest zgniła. A ponieważ nie da się odróżnić garstki zdrowych od mrowia zgniłych, wszyscy oni muszą być potraktowani tak samo. Ale wracając do tego konkretnego Żyda, Isidora Solomonsa, i jego rodziny. Czy przypadkiem orientuje się pan, Herr von Meerbach, gdzie oni są teraz?

– Zakładam, że nadal mieszkają w tym samym mieszkaniu przy Fürstenrieder Strasse.

Heydrich westchnął.

– Doprawdy? Myśli pan, że Solomons i jego nasienie nadal tkwią w tamtej obrzydliwej nędznej czynszówce... takiej właśnie, jakie chciałby pan wyburzyć i zastąpić jasnymi modernistycznymi domami... skoro ma on w portfelu pięć tysięcy reichsmarek, a do tego całe złoto i brylanty, które, zapewniam pana, gdzieś ukrył? Nie. Proszę strzelać jeszcze raz.

– Nie wyglądał mi na człowieka, który ukrywa brylanty. Gdyby tak było, czemu mieszkałby w takich warunkach?

– Ponieważ, Herr von Meerbach, Solomons jest Żydem. A Żydzi przekonali się, że ich chciwość, lichwiarstwo i haniebna perfidia nieuchronnie sprowadzają na nich słuszny gniew porządných ludzi, między którymi żyją. Dlatego zawsze, ale to zawsze, mają środki, by uciec jak szczury, których są nieodrodnymi braćmi. A brylanty, takie

małe i lekkie, lecz takie cenne, idealnie nadają się, by trzymać je przy sobie. Więc proszę mi łaskawie powiedzieć: gdzie jest teraz Solomons?

– Nie wiem. Przysięgam panu, Herr Gruppenführer, na własne życie, że nie wiem.

Serce waliło Gerhardowi mocno, adrenalina uderzała do krwi jakby w odpowiedzi na groźbę, którą uosabiał Heydrich, i na strach, jaki budził. Poczuł, że pot spływa mu pod pachami.

– Mówię prawdę. Przysięgam! – dodał, nie potrafiąc ukryć drżenia w głosie.

– Jak pan myśli, Sturmbannführer? Czy podejrzany mówi prawdę?

– Myślę, że to śmierzący kłamca – powiedział Konrad, podczas gdy słowo „podejrzany” wciąż rozlegało się echem w głowie Gerharda.

Spojrzał na starszego brata i zobaczył w jego wykrzywionych rysach twarzy nienawiść. Nigdy specjalnie za sobą nie przepadali. Mieli zupełnie różne charaktery. Ale Gerhard nigdy nie podejrzewał, że Konrad płonie taką zacieklą nienawiścią.

– Nie kłamię – oświadczył. Czuł się tak bezradny, że mało nie wykrzyczał tych słów. – Nie wiem, dokąd udali się Solomonsowie, i nie wiem, że w ogóle opuścili Monachium. Dałem mu trochę pieniędzy, bo uważałem, że zasługuje na wsparcie naszej rodziny po wszystkim, co dla nas zrobił. Dałem mu tyle, ile mogłem, chociaż to o wiele mniej, niż zasłużył. Nie pytałem go, na co zamierza to przeznaczyć, a on mi nie powiedział.

Heydrich milczał.

Pozwolił Gerhardowi mówić i przyglądał się, jak ociera on pot z czoła. W końcu rzekł:

– Właściwie panu wierzę. Solomons to zbyt dobry prawnik, by powiedzieć coś, co mogłoby pogrozić pana lub też, co z jego perspektywy ważniejsze, jego samego. Dlatego jestem przekonany, że nie wie pan, dokąd ten Żyd się udał. Jednak, na szczęście, ja wiem. On i jego rodzina jakieś trzy tygodnie temu przekroczyli granicę szwajcarską, naturalnie bez wymaganych dokumentów, i mieszkają teraz w Zurychu, gdzie Solomons znalazł zatrudnienie w kancelarii prawnej Grünspan i Aaronsohn, żydowskiej oczywiście. Sądzę, że przygotował sobie tę posadkę, zanim zniknął, co więcej, zanim przyjął od pana pieniądze. Hm... zastanawiam się, czy je zwróci?

– Nie prosiłbym go o to.

– Dobrze się składa, bo musiałby wtedy złamać zasady swojej religii.

Konrad zarechotał służalczo na ten żart zwierzchnika, a Heydrich mówił dalej:

– Szwajcarskie władze pytały nas, czy życzymy sobie deportacji Solomonsa, i rozważywszy wszystko, zdecydowaliśmy, że to nie jest konieczne. Pańskie peany o zasługach wojennych Solomonsa mogłyby znaleźć odbicie w prasie, zwłaszcza u zagranicznych korespondentów. Żołnierz, który dzielnie walczy dla swojej ojczyzny, jest bohaterem w każdym języku, nawet jeśli kiedyś był wrogiem. Gdyby Solomonsowi coś się przytrafiło, musielibyśmy się z tego tłumaczyć. Niech więc lepiej pozostanie w Szwajcarii, gdzie na pewno będzie siedział cicho, bo wie, że jeśli choć pomyśli o tym, by sprawić nam kłopot, szybko możemy go osiągnąć i zrobić z nim porządek. Pan jednak sprawił nam kłopot i jest pan tutaj. Będę wobec pana szczery, Herr von Meerbach, Rzesza nagradza lojalnych obywateli, ale bezlitośnie karze wichrzycieli i odszczepieńców. Dwa lata temu mój komendant, Reichsführer SS Heinrich Himmler, utworzył obóz w pobliżu miasteczka Dachau, tuż pod Monachium. Zna pan to miejsce?

– Wiem, że jest miasteczko Dachau. Nie wiedziałem o tamtejszym obozie.

– Nie? Pozwoli pan, że wyjaśnię. Ten obóz jest przeznaczony dla osób niepożądanych ze względów politycznych i społecznych, dla komunistów, kryminalistów, zboczeńców seksualnych, intelektualistów... miłośników żydostwa. Krótko mówiąc, będą trafiać tam ludzie, dla których nie ma miejsca w zdrowej aryjskiej społeczności. Reżim jest surowy. Więźniowie są całkowicie odcięci od świata zewnętrznego: żadnych wizyt i listów, żadnych gazet i radia, żadnych kontaktów między więźniami a społeczeństwem, które sami porzucili. Każdego dnia praca przymusowa. W Dachau nie ma niedziel ani świąt. Racje pokarmowe to absolutne minimum, potrzebne do przeżycia, tak że w Dachau nie ma tłustych więźniów. Dyscyplina jest surowa, kary brutalne. Ten, kto popełni choćby drobne wykroczenie, ma związane ręce za plecami, po czym wieszka się go na haku trzy metry nad ziemią. Wisi tak w męce, a ramiona powoli wyłamują się ze stawów. Za poważniejsze przestępstwa natychmiast dokonuje się egzekucji, bez sądu i bez prawa apelacji. – Heydrich przerwał, a po chwili zwrócił się do Gerharda: – Pan jest blady, Herr von Meerbach. Będzie pan tak dobry, Herr Sturmbannführer, i przyniesie bratu szklanę wody? Chyba dobrze mu zrobi.

Konrad potrzebował niecałych trzech minut, by opuścić gabinet, pójść do salonu, znaleźć jeden z kryształowych dzbanków ze schłodzoną wodą, napełnić szklanę i wrócić do Heydricha i Gerharda. Przez ten czas Heydrich się nie odzywał. Siedział całkowicie nieruchomo i tylko patrzył z gadzim chłodem na młodego człowieka, pozwalając, by obraz Dachau zapadł Gerhardowi w świadomość i rozpałił mu wyobraźnię scenami potwornych cierpień.

Gdy brat postawił przed nim szklanę, Gerhard opróżnił ją jednym haustem.

– Lepiej? – spytał Heydrich. – Teraz proszę mnie bardzo uważnie wysłuchać, Herr von Meerbach, bo od tego zależą pańskie życie i reputacja pańskiej rodziny. Mogę pana w tej chwili aresztować i wysłać prosto do Dachau. Spędzi pan tam dzisiejszą noc i już nigdy nie postawi nogi za ogrodzeniem, jeśli tak rozkażę. Rozumie pan?

– Tak. – To była tylko jedna sylaba, ale Gerhard miał tak ściśnięte gardło, że ledwie zdołał ją wydusić.

– Jednak jest sprawa, która, poza pańską zdradą związaną z Isidorem Solomonsem, może doprowadzić do, że tak powiem, krępującej sytuacji. Meerbach Motorenwerke to fundamentalna część naszego przemysłu zbrojeniowego. Co więcej, oddanie, jakie pański brat przejawia wobec nazistowskich ideałów, to bardzo wyraźny sygnał dla innych członków społecznej i przemysłowej elity, że ich klasa jest tak samo częścią nowego porządku Niemiec jak każda inna i że oczekuje się od niej tyle lojalności, ile oni sami się spodziewają od swoich podwładnych. W istocie wizja ukarania pana, i to publicznie, w taki sposób, by wszystkie warstwy ludności jasno pojęły, że nikt nie stoi ponad prawem Rzeszy i nikt nie może uciec przed jej sprawiedliwością i srogą karą, jest bardzo nęcąca. Jak zapewne się pan domyśla, tego rodzaju przesłanie spotkałoby się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony niższych warstw społecznych naszego narodu. Ale smutna rzeczywistość wygląda tak, że Rzesza w równym stopniu potrzebuje rodzin wielkich przemysłowców, jak one potrzebują nas, i choć może bywa konieczne wzbudzanie strachu, by zapewnić sobie ich współpracę, bardziej pożądane jest mieć w nich sojuszników, a nawet, jak w przypadku pańskiego brata, entuzjastycznych zwolenników. I znów częśćka mnie rozkoszuje się pomysłem, by uczynić z was jakby Kaina i Abła Rzeszy: dobry, szlachetny brat i podły zdrajca rodzinnego honoru. Nawet teraz...

Heydrich westchnął.

– Ach, co za opowieść zrobiłby z tego Goebbels! Ale ma pan szczęście. Pański los był na szali, gdy tu przyjechałem. Wtedy jednak poznałem pańską matkę. Cóż za czarująca dama, tak dumna z obu synów, ale owdowiała tak młodo. Ta kobieta już straciła męża, powiedziałem sobie. Czy teraz mogę pozbawić ją syna? Tak więc w końcu postawiłem na inne rozwiązanie problemu. Chciałby pan wiedzieć jakie?

– Tak... proszę. – Gerhard z przerażeniem uświadomił sobie, że mówi niemal błagalnym tonem.

– No dobrze, oto ono. Pan, Gerhardzie von Meerbach, stanie się modelowym obywatelem Rzeszy. Może pan kontynuować swoje studia architektoniczne, ale nie na Berlińskim Uniwersytecie Sztuk Pięknych. Wyślę pana na praktykę do Alberta Speera, pierwszego architekta Rzeszy. Będzie pan pracował przy wznoszeniu budowli ku chwale Niemiec, ucząc się prawdziwych, nazistowskich zasad architektury, takich, jakie przedstawił sam Führer. W wolnym czasie zajmie się pan działalnością, która doskonale łączy się z dumną historią pańskiej rodziny, znanej z dostarczania silników dla naszego lotnictwa wojskowego.

– Chce pan, żebym pracował w naszej fabryce? – spytał Gerhard. Heydrich się roześmiał.

– No cóż, jeśli bardzo panu zależy... Ale nie, miałem coś innego na myśli. Jak niewątpliwie się pan orientuje, artykuł sto dziewięćdziesiąty ósmy traktatu wersalskiego zakazuje Niemcom posiadania wojskowych sił powietrznych. To absurdalne ograniczenie naszego prawa do samoobrony i jeszcze jeden z wielu znakomitych powodów, dla których Führer całkowicie i ze szczerem odrzucił traktat. W związku z tym na razie jedynie szkolimy rezerwistów Luftwaffe, lecz gdy przyjdzie chwila pokazać światu prawdziwą moc Trzeciej Rzeszy, będziemy mieli wystarczająco dużo żołnierzy, by zdobyć absolutną przewagę w powietrzu. Pan też zostanie jednym z tych rezerwistów. Będzie pan spędzał soboty i niedziele oraz dużą część letnich miesięcy, ucząc się pilotażu. I z dumą nosząc mundur Luftwaffe. Nigdy, w pracy, na szkoleniu czy w towarzystwie rodziny i znajomych, nie odstąpi pan nawet na milimetr od linii partyjnej. Będzie pan oddawał nazistowskie pozdrowienie, wołał: „Heil Hitler!” i czynił to z przekonaniem. Jeśli w rozmowie pojawi się temat Żydów, nie dopuści pan, by ktokolwiek z większym zapalem niż pan potępiał tę rasę i jej podłe, przebiegłe metody postępowania. Jeśli rozmowa zahaczy o sztukę, surowo

napiętnuje pan dekadencję abstrakcyjnych bohomazów, które niczym nie wyrastają ponad to, co mała mogłaby nachlapać farbą na płótnie.

– Chce pan mojej duszy – powiedział Gerhard.

– Tak – potwierdził Heydrich. – Chcę pańskiej duszy i gdyby zdecydował pan, kierując się jakimiś fałszywymi zasadami lub odruchem szlachetności, że woli raczej się poświęcić, niż ulec, dodam jeszcze jedno. Jeśli zostanie pan oskarżony jako polityczny odszczepieniec lub zwolennik Żydów, nie skończy się na panu. Wszyscy pańscy przyjaciele, koledzy studenci, kobiety, które pan kochał, wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli z panem coś wspólnego, będą dokładnie prześwietleni przez Gestapo. Aresztujemy ich i przesłuchamy. Ich własność będzie poddana szczegółowej rewizji. I jeśli znajdziemy cokolwiek, choćby najmniejszy drobiazg, co sugerowałoby, że są osobami niepożądanymi, dołączą do pana w Dachau. W ten sposób pogrąży pan nie tylko siebie. Pogrąży pan również ich. A zatem... Przyjmuje pan moje warunki?

– Jaki mam wybór?

– Nie ma pan żadnego. Chcę, aby niniejszym, w obecności brata, uroczyście oświadczył pan, że całym sercem opowiada się po stronie sprawy nazistowskiej. Teraz.

Gerhard z trudem przełknął ślinę. Miał ochotę splunąć Heydrichowi w twarz, powiedzieć mu, żeby wsadził sobie gdzieś swoje żądania, i do diabła z konsekwencjami. Nie obchodziło go, jak wygląda życie w Dachau. Lepiej cierpieć w obozie i pozostać sobą, niż żyć wygodnie, ale w zakłamaniu. Nie mógł jednak zdradzić przyjaciół. Nie mógł skazać ich na obóz.

– Przyjmuje pańskie warunki – oznajmił, czując się tak, jakby oddał duszę samemu diabłu.

– Dziękuję – powiedział Heydrich. – To nie było takie trudne, prawda?

Wstał i wyprężył się, a Konrad natychmiast poszedł za jego przykładem. Heydrich popatrzył ostro na Gerharda.

Gerhard również wstał.

Heydrich podniósł rękę i wykrzyknął:

– Heil Hitler!

– Heil Hitler! – powtórzył za nim Konrad.

Zapadła cisza. Trwała sekundę, po czym trzecia ręka uniosła się w powietrze, oddając nazistowski salut.

– Heil Hitler! – zawołał Gerhard von Meerbach.

W maju 1934 roku Francis Courtney udał się do Anglii. Wsiadł na statek płynący z Aleksandrii do Pireusu, ateńskiego portu, a dalej podróżował pociągiem. Wiedział, że starszy brat coraz częściej wybiera lot samolotem, ale Francis bardzo jasno dał do zrozumienia członkom rodziny, że potępia taką rozrzutność. „Szastanie pieniędzmi na lewo i prawo znakomicie pasuje do Leona. Ukradł nam nasze udziały, to może sobie pozwolić na samolot. Ale ja jestem zadowolony, podróżując w skromniejszym stylu, jak przystało angielskiemu dżentelmenowi”.

„Nie wiedziałem, że któryś z nas jest Anglikiem czy dżentelmenem – odparł Dorian. – Ale jeśli tak właśnie chcesz dotrzeć do Anglii, kimże jestem, by ci tego zabronić”.

Głównym celem podróży Francisa było spotkanie z chirurgiem, doktorem Haroldem Gilliesem. Francis miał drobny problem z przeszczepem skóry: niewielki fragment najwyraźniej obumarł i powstała ropiejąca ranka, którą należało ciągle opatrywać. Ale to nie był jedyny powód, dla którego jechał do Londynu. Chciał się spotkać z kimś jeszcze: z Oswaldem Mosleyem, przywódcą Brytyjskiej Unii Faszystów – lub Czarnych Koszul, jak lubili siebie nazywać.

Jego nazwisko słyszało się coraz częściej wśród mężczyzn rozprawiających o polityce w kairskim klubie sportowym, gdzie Frank od czasu do czasu lubił zagrać w golfa, domagając się forów z racji odniesionych na wojnie ran.

– Oczywiście, że facet jest rzadki łajdak – oświadczył jeden z kumpli Franka, importer mocnych alkoholi, Desmond „Prosiak” Peters, gdy szli do pierwszego dołka. – Wiem z pewnego źródła, że ożenił się z córką Curzonów, chyba na imię ma Cynthia, dla pieniędzy i teraz łajdaczy się na boku z jej siostrzyczką i macochą.

– Do diabła – rzucił trzeci uczestnik rozgrywki, handlarz bawełną, Hatton. – Facet ma tupet, nie można powiedzieć.

– I kondycję – dodał Frank.

Kiedy śmiech ucichł, Prosiak mówił dalej:

– Ale Mosley nie jest głupcem. Był posłem za torysów, za socjalistów też, i mówiono mi, że byłby lepszym premierem niż ktokolwiek inny z obu tych partii. Tyle że na pewno nie rządziłby po staremu,

rozumiecie? Czasy są zbyt poważne, wymagają radykalnych kroków, jak sam twierdzi, i kto by się z nim nie zgodził, he?

– Nikt, kto ma choć kroplę oleju w głowie – przyznał Frank. – Widać jak na dłoni, że świat schodzi na psy, cholera. Kapitalizm dogorywa. Czerwoni tylko czyhają, żeby przejąć całą władzę nad światem. A ci cholerni Żydzi mają gdzieś, kto wygra, bo trzymają łapę i na bankach, i na czerwonych.

– Koszerni myślą tylko o dwóch sprawach: o sobie i o swoich pieniądzech, niekoniecznie w tej kolejności – zauważył Hatton, do wtóru pomruków aprobaty.

– Nie tylko to. Popatrzcie na kolonie, czarnuchy są nie lepsze od Żydków. Gandhi w Indiach, ten niewdzięczny człowieczek, domaga się niepodległości po wszystkim, co zrobiliśmy dla tego kraju.

– I o to właśnie chodzi Mosleyowi, jak rozumiem – zauważył Prosiak. – Czas, żebyśmy najpierw pomyśleli o sobie i znaleźli przywódcę z prawdziwego zdarzenia. Mówi, że jest trzecia droga, nie kapitalizm i nie komunizm, ale faszizm. I jeśli spojrzeć, jak ten cały Hitler poczynił sobie w Niemczech, to trudno odmówić mu racji, nie sądzicie? Ale na Boga, on wygląda śmiesznie, a w czasie Wielkiej Wojny był ledwie kapralem, prawda?

– Napoleon też nie zaczynał wysoko, a poszło mu nie najgorzej – zauważył Hatton.

– Hitler znów stawia Niemcy na nogi – dodał Frank. – To naprawdę imponujące. Przywraca ludziom szacunek do samych siebie.

– No właśnie! I to samo chce zrobić Oswald Mosley w Wielkiej Brytanii, wspomnijcie moje słowa – powiedział Prosiak.

– Za kilka tygodni jadę do starego kraju, bo muszę się zająć tym cholernym przeszczepem skóry. Myślę, że tu i ówdzie dowiem się czegoś o Mosleyu.

– Chyba mógłbym ci pomóc, Frank. Paru ludzi, z którymi robię interesy w Londynie, to faceci z wyższych sfer i zwolennicy Czarnych Koszul, najbliżsi kumple samego Mosleya. Daj mi znać, kiedy jedziesz, to załatwię ci wejście do samego szefa.



Gillies zrekonstruował kawałek przeszczepionej skóry, a następnie Frank spędził dwa tygodnie w nadmorskim sanatorium w Eastbourne. Przed południem siódmego czerwca, czując się lepiej niż kiedykolwiek w ostatnich miesiącach, wsiadł w pociąg do Londynu, wynajął pokój w skromnym, ale porządnym hotelu, po czym wybrał się do hali wystawowej Olympia przy Hammersmith Road w zachodnim Londynie, gdzie Mosley zorganizował wiec.

Miało się tam stawić dwanaście tysięcy zwolenników faszystów. Ale przeciwko nim szykowały się tysiące protestujących, zwołanych przez londyński komitet obwodowy Partii Komunistycznej. We wszystkich londyńskich gazetach, w kronice filmowej i radiu BBC apelowano do robotników w stolicy o „przeciwstawienie się wszelkimi sposobami faszystowskiemu zagrożeniu”.

Tego samego dnia gazeta „Daily Worker”, organ komunistów, ostrzegła Czarne Koszule, że „zadrżą w zderzeniu z robotniczą kontrmanifestacją”.

Czarne Koszule ze swojej strony dały jasno do zrozumienia, że nie mają zamiaru odwoływać wiecu ani w jakikolwiek sposób się cofnąć. Lewica i prawica szły na wojnę i żadnej strony nie obchodziło, że ktoś jeszcze może przy tym ucierpieć.

Frank wysiadł na stacji Olympia, zaledwie kilka metrów od hali wystawowej, ale okazało się, że pokonanie tego krótkiego odcinka wcale nie jest łatwe, bo trzeba było jak najszybciej przebiec obok gniewnego tłumu oponentów, którzy trzymali protestacyjne transparenty i wymachiwali czerwonymi szturmówkami z godłem Związku Radzieckiego, złotym sierpem i młotem. Po drugiej stronie stali najeżeni faszyści, w czerni od stóp do głów, gotowi odpłacić ciosem w głowę lub kopniakiem w brzuch za każde wyzwisko. Między tymi dwiema grupami wąski szereg umundurowanych na niebiesko policjantów, w tym kilku konnych, usiłował zapewnić bezpieczne przejście osobom postronnym, które trafiły w to zamieszanie.

Ogłuszający hałas, ścisk i obezwładniające wrażenie chaosu, który lada chwila może przejść w anarchię, tylko wzmogły entuzjazm Franka wobec idei Mosleya. Każdy, kto wzbudzał tego rodzaju nienawiść ludzi, których Frank nie cierpiał, musiał działać w słusznej sprawie. A zachowanie tłuszczy tylko podkreślało rozpaczliwą potrzebę porządku i dyscypliny, jaką silny człowiek powinien narzucić ludziom dla ich własnego dobra, i do diabła z demokracją i prawami człowieka. To były stare idee, idee, które zawiodły. Czasy wymagały czegoś zupełnie nowego.

Szedł równym krokiem, coraz bardziej zdenerwowany, nie ustępując tłumowi, który chciał zmusić takich jak on do biegu, gdy nagle poczuł na policzku coś mokrego. Podniósł rękę, otarł twarz i zobaczył na palcach ciepłą spienioną plwocinę. Został opluty.

Wzburzony taką zniewagą, odwrócił się w lewo i kilka metrów dalej zobaczył kobietę. Niechlujnie ubrana, stała w grupie mężczyzn – wszyscy byli w rozpiętych pod szyję koszulach, z gołymi głowami. I wszyscy się z niego śmiali. Dziewczyna, patrząc mu prosto w oczy, udała, że znów go opluwa. I ponownie się roześmiała.

To było ponad jego wytrzymałość. Szybkim krokiem podszedł do nich, wspierając się na lasce, której stalowa końcówka zgrzytała na chodnikowych płytach.

– Nie wyłóż się, tatuśku! – krzyknął do niego jeden z mężczyzn.

Frank z wściekłością wykrzywił twarz, uniósł laskę i zamachnął się na dręczycieli. Rozorał policzek dziewczynie. Wrzasnęła i zgięła się w pół. Gdy przycisnęła rękę do rany, spomiędzy palców pociekła krew. Mężczyźni doskoczyli do Franka. Opędzał się laską, ale nie ustępowali i jeden uderzył go pięścią w bark, aż odrzuciło go do tyłu. Tak jak poprzednio Frank, nacierali ze ślełą furją, żądni zemsty. Nagle ogarnął go potworny strach. Sprowokował tych chuliganów i teraz chcieli się zemścić. Znow opędził się laską, lecz jeden z tamtych złapał ją i wyrwał mu z dłoni. Frank skulił się jak bokser przyparty do lin, zgarbił ramiona i zasłonił rękami głowę. Oczekiwał ciosu, gdy poczuł, jak ktoś chwyta go za ramię i odpycha w bok. Upadł plecami na chodnik. Kiedy uniósł się na łokciu, zobaczył, że banda Czarnych Koszul rzuciła się na demonstrantów, młócąc ich z wyćwiczoną, brutalną skutecznością. Frank poczołgał się po leżący dalej kapelusz i włożył go na głowę. Wstał niepewnie. Czarne Koszule przepędziły oponentów. Jeden z faszystów wyłonił się z zamieszania, trzymając laskę Franka.

– Pańska, proszę pana? – spytał. Mówił z akcentem klasy niższej, ale z szacunkiem, jak sierżant do oficera.

– Tak, tak, dziękuję.

– To świństwo, że napadli na takiego dżentelmena. Nie pozwolimy na to!

– Słusznie, młody człowieku – powiedział Frank i dotknął róna kapelusza, po czym ruszył dalej.

W hali też trwały utarczki, bo niektórym demonstrantom udało się kupić bilety i dostać na teren wiecu. Rozpoczęcie opóźniało się o pół godziny, potem o czterdzieści pięć minut, aż wreszcie, po niemal godzinie, światła nagle przygasły. Rozległ się ryk, gdy gigantyczne punktowe reflektory przecięły powietrze gęste od dymu z niezliczonych papierosów, które palili uczestnicy wiecu, czekając na tę chwilę. Jasne białe smugi ukazały krwście czerwone flagi Brytyjskiej Unii Faszystów z partyjnym symbolem: białą błyskawicą w niebieskim kręgu. Flagi niosło dwudziestu mężczyzn, idących dwójkami, poczet Czarnych Koszul pod komendą dowódcy. Kroczyli środkowym przejściem, mijając tysiące zwolenników, którzy unosili ręce w faszystowskim pozdrowieniu.

Z tysięcy gardeł wydobyły się okrzyki skandujące:

– MOS-LEY! Mos-ley, Mos-ley, Mos-ley!

Reflektory skierowały się na poczet i wyłowiły mężczyznę, który za nim podążał, człowieka, który zgromadził tych ludzi tutaj i na ulicach:

samego Oswalda Mosleya.

Wszystko w jego wyglądzie służyło temu, by stworzyć wrażenie siły i męskości. Mosley miał trzydzieści siedem lat, czyli był w kwiecie wieku. Wysoki, wyprostowany, w czarnych spodniach z szerokim czarnym skórzanym paskiem, w obcisłym czarnym golfie na wyprężonej piersi, dumnie zadarł głowę, bardziej jak wstępujący na arenę gladiator niż szykujący się do wygłoszenia mowy polityk. Włosy i wąsy miał czarne jak cały strój. To był brytyjski Hitler.

Frank uległ powszechnej hysterii, wznosił rękę w faszystowskim salucie, a potem klaskał i wrzeszczał, gdy Mosley wyszedł przed tłum i wstąpił po schodkach na podium, z którego miał przemawiać. Dopiero wtedy Frank dostrzegł, że Mosley lekko kuleje, ale to odkrycie w żadnym stopniu nie osłabiło jego przekonania, że oto jest przywódca, którego kraj i imperium tak rozpaczliwie potrzebują.

Poczet sztandarowy ustawił się przed podium.

– Poczet, salut! – krzyknął dowodzący, jak na wojskowej paradzie.

Czarne Koszule natychmiast opuściły drzewca równolegle do podłogi, szpicami w kierunku tłumu. Tu i ówdzie dało się słyszeć pojedyncze głosy sprzeciwu, które jednak Mosley i jego Czarne Koszule zignorowali.

– Poczet sztandarowy, spocznij! – zakomenderował dowódca i chorążowie jak jeden mąż stanęli w swobodnym rozkroku.

Mosley nadal milczał, nieruchomy, czekając, aż zgromadzeni się uspokoją.

Szum i gwar wreszcie ucichły i ludzie usiedli, zajmując miejsca na podłodze. Wtedy Mosley przemówił:

– Tysiące naszych rodaków, mężczyzn i kobiet, przybyły wysłuchać naszej sprawy i tysiące dołączyły do naszych szeregów – obwieścił z wyraźnym akcentem klasy wyższej, ale bez pretensjonalnego zaśpiewu.

Miał głęboki dźwięczny głos i doskonałą dykcję wielkiego szekspirowskiego aktora, dzięki czemu jego słowa nabierały szczególnego znaczenia. Sama ich melodia dodawała mu autorytetu w oczach tych ludzi, którym od urodzenia wpajano szacunek dla wyżej postawionych i posłuszeństwo wobec przywódców.

– Ten ruch jest młodą siłą w życiu politycznym naszego kraju, czymś, co idzie dalej i głębiej niż wszystko, co dotąd znała ta ziemia – ciągnął Mosley, a siedzący w połowie hali Olympia Frank Courtney poczuł się

kimś wyjątkowym, ponieważ był częścią tego ruchu, trybikiem maszyny, która miała przemienić imperium.

Nagle czar prysł, bo kilka osób zerwało się na nogi, wygrażając pięściami w kierunku podium i krzycząc na Mosleya.

Uśmiechnął się uspokajająco, ze swobodą i pewnością siebie, gdy porządkowi dopadli wichrzycieli i wywlekli ich z hali.

– Nie zwracajcie uwagi na te drobne przeszkody – powiedział. – Ja nie mam zamiaru się nimi przejmować i wy też nie powinniście.

Tłum zaryczał z aprobatą, pewny siebie do granic bezczelności, tak jak ich przywódca. Nic nie przeszkodzi Mosleyowi wygłosić swojej przemowy, a im wysłuchać jego słów.

– Ten wiec symbolicznie pokazuje, jak Czarne Koszule wzrosły w siłę przez pierwsze dwadzieścia miesięcy swego istnienia – kontynuował Mosley. – W tym czasie faszyzm w Wielkiej Brytanii rozwinął się szybciej niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie. Nie dlatego, że nasz naród był zmuszony go przyjąć. Nie pod batem gospodarczej konieczności, jak w innych krajach, ale dlatego, że ludzie pragną nowego wyznania wiary i nowego porządku na naszych ziemiach.

Przemowa trwała godzinę i Mosley wygłaszał ją bez notatek, bez zająknięcia i powtórzeń, ani na chwilę nie tracąc siły i ciągłości argumentacji. Frank był wniebowzięty. Czuł się, jakby całe życie czekał, by wysłuchać tych słów, które właśnie padały. Odbierał ich głęboki sens. Trafiały do jego gorzkiego poczucia krzywdy i niesprawiedliwości, obiecując świat, w którym on mógł być jednym ze zwycięzców, jednym z nowych panów. Prosiak dotrzymał słowa i napisał do swego znajomego z otoczenia Mosleya, a ten postarał się, by Franka wpisano na listę gości niewielkiego przyjęcia, które po wiecu miało się odbyć na zapleczu. Frank poczuł się tym bardziej uprzywilejowany, gdy warta Czarnych Koszul, nie kryjąc zazdrości, rozstała się, by mógł przejść.

Frank odnalazł owego znajomego i przedstawił się.

– Panie Courtney, jakież to wspaniałe, że przebył pan taki szmat drogi z Egiptu tylko po to, aby się z nami spotkać. Oswald pragnie pana poznać. Bardzo chce nawiązać kontakt z koloniami. Każda wyciągnięta do nas dłoń jest niesłychanie cenna.

Kilka minut później Frank znalazł się przed obliczem tego wielkiego człowieka. Mosley robił równie imponujące wrażenie w bezpośrednim kontakcie, jak wtedy, gdy przemawiał do tysięcy swoich zwolenników – tyle że efektowne krasomówstwo ustąpiło miejsca nieodpartemu

wdziękowi. Skupił całą uwagę na Franku, a widząc jego łaskę, zapytał, jak doszło do inwalidztwa.

– Zuch – skwitował wyjaśnienie Franka. – Służył pan z honorem krajowi i chyłę przed panem czoło. Sam mam trochę niesprawną nogę, jak może pan zauważył. Dostało mi się w szesnastym roku, kiedy służyłem w Królewskim Korpusie Lotniczym. Żałuję, że nie mogę się poszczycić raną odniesioną w walce, ale prawda wygląda tak, że rozbiłem samolot, popisując się przed moją matką i siostrą, jaki to ze mnie pilot. Cholerna głupota, nie sądzi pan? – Zanim Frank zdążył odpowiedzieć, Mosley już mówił dalej: – Ale słyszałem, że przed panem obiecująca przyszłość w Kairze. Zapewniam pana, że doceniam każdą pomoc, jaką nasza sprawa może tam otrzymać. Musimy pociągnąć za sobą całe imperium, jeśli mamy zwyciężyć. Przepraszam na chwilę...

Mosley odwrócił się i skinieniem ręki przywołał najpiękniejszą kobietę, jaką Frank kiedykolwiek widział. Smukła i pełna wdzięku, jak ożywiona we współczesnej sukni Wenus Botticellego, o blond włosach w odcieniu ciemnego miodu i jasnoniebieskich oczach, nad którymi rysowały się idealne łuki brwi. Nos miała prosty, delikatny i leciutko zadarty, szkarłatne usta lekceważąco wydęte i zmysłowe, a jej podbródek, trochę zbyt wyrazisty, by uznać go za konwencjonalnie ładny, tylko potęgował wrażenie, że jest ona istotą wyższego rzędu.

– Kochanie, chodź i poznaj pana Courtneya – odezwał się Mosley. – Zamierza dokonać dla nas wspaniałych rzeczy w Kairze. Panie Courtney, pozwoli pan, że przedstawię. Pani Diana Guinness.

– Jakże miło mi pana poznać – zagruchało wcielenie kobiecego uroku. – Każdy, kto walczy w imię naszej sprawy, zawsze będzie moim przyjacielem.

– Zapewniam, pani Guinness, że absolutnie możecie na mnie liczyć – oświadczył Frank.

Klasnęła w dłonie, spojrzała mu głęboko w oczy i zaszemrała:

– Bardzo dziękuję, panie Courtney.

Chwilę potem Mosley i jego kochanka zniknęli, nie oglądając się za siebie. Zrobili swoje. Frank Courtney duszą i ciałem oddał się brytyjskiemu faszyzmowi.

Pewnego pięknego popołudnia w środku lata Gerhard von Meerbach wdrapał się do ciasnego kokpitu szybowca Grunau Baby stojącego na pasie startowym prywatnego lotniska kompleksu Meerbach Motorenwerke. Pochylił głowę, żeby nie uderzyć o rozpięte nad kokpitem skrzydło, połączenie materiału i sklejki, utrzymujące w powietrzu lekki jak piórko szybowiec. Był to ford model T wśród latających jednostek, o budowie niewiele bardziej skomplikowanej niż dziecięcy model do składania, z balsy i papieru, ale otworzył niebo tysiącom Niemców. Dzięki niemu naród, który na mocy traktatu wersalskiego nie miał prawa dysponować siłami powietrznymi, mógł wykształcić następne pokolenie lotników.

Gerhard zapiął pasy, nałożył skórzany hełm i zapiął pasek pod brodą. Sprawdzał, czy klapy działają jak należy. Następnie dał ręką znak, że jest gotowy.

Pracownik obsługi lotniska uniósł białą flagę i tysiąc metrów dalej na pasie startowym podniosła się druga flaga, dając znać, że sygnał odebrano. Drugi sygnalista stał przy potężnej ciężarówce Mercedes L6500, na której umieszczono wyciągarkę, naturalnie napędzaną silnikiem Meerbach, który rozgrzewał się przez ostatnie kilka minut, by osiągnąć pełną moc. Przerzucono dźwignię, koła zębate ruszyły i bęben wyciągarki zaczął się powoli obracać i stopniowo nabierać prędkości.

Lekka, ale wytrzymała stalowa lina biegła od wyciągarki do nosa szybowca. Przez kilka sekund bęben jedynie wybierał luz. Wreszcie Gerhard poczuł szarpnięcie naprężonej liny, a potem powiew na twarzy, gdy grunau baby zaczął sunąć po pasie. Powiew zmienił się w wicher, kiedy szybowiec osiągnął prędkość startową osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, po czym, tak jak żagle wydymają się pod dotknięciem bryzy, skrzydło odpowiedziało na ruch powietrza i Gerhard poczuł pierwszy cudowny moment swobody, gdy szybowiec, pokonując siłę grawitacji, oderwał się od ziemi i wzleciał w powietrze.

Kiedy wysokościomierz wskazał pięćset metrów, Gerhard uwolnił zaczep liny i ta opadła na ziemię. Teraz w końcu był już naprawdę wolny.

Bajeczne legiony alpejskich szczytów, bujne zielone łąki i oszałamiający blask Jeziora Bodeńskiego były wspaniałe, gdy patrzyło się z okien Schloss Meerbach. Tworzyły wciąż zmieniające się tło koloru, światła i form, widoczne podczas spacerów, biegów narciarskich lub polowań na terenie posiadłości. Ale nic nie mogło się równać z urodą i majestatem przyrody oglądanej z powietrza. A lot szybowcem, jak stwierdził Gerhard, był najczystsza formą latania w przestworzach. Silnik wydawał przeraźliwy hałas, wprawiał samolot w nieustanny dygot, pluł duszącymi spalinami. Natomiast szybowiec był cichy niczym wzlatujący orzeł, którego niewidzialne gorące prądy powietrza unoszą w górę i w dal.

Twarz Gerharda rozpromieniła się w radosnym uśmiechu. Dzięki, Konradzie! – pomyślał. Dzięki, Gruppenführerze Heydrich! Nie macie pojęcia, jaki podarunek mi sprawiliście, rozkazując latać!

Tu, w tej radosnej samotności, był uwolniony od ciężarów świata w dole. W ciągu ostatnich trzech miesięcy jego życie uległo zmianie. Musiał zerwać z wieloma starymi znajomymi, bojąc się, że może na nich ściągnąć wizytę Gestapo. Inni, w tym najbliżsi koledzy, porzucili go sami, oburzeni jego kapitulacją przed bigoterią i nikczemnością nazistowskiej ideologii. Dla nich nagłe pojawienie się odznaki partyjnej na ramieniu Gerharda i jego przejście do biura projektowego Alberta Speera były dowodem zdrady sumienia, politycznych ideałów i architektonicznej kreatywności. „Zepsuty bogaty dzieciak zawsze pozostanie sobą – parsknął jeden z najstarszych, najbliższych kumpli Gerharda. – W końcu nie można się oprzeć, no nie? Dostajesz wszystko na tacy, przywileje, awans, miejsce u szczytu stołu. I nie potrafisz odmówić”.

Gerharda dręczyło to, że nie może powiedzieć prawdy. Nienawidził się za każdym razem, gdy z aprobatą kiwał głową lub wyrażał poparcie dla antyżydowskiej uwagi, którą rzucał jakiś gość zasiadający przy rodzinnym stole. W pracy niewiele się odzywał, bo sprawdzał najpierw w myślach, czy jego słowa będą zgodne z nazistowską linią. Konrad zagadnął go kiedyś:

– W Berlinie mieszkają cztery miliony ludzi. Jak myślisz, ilu trzeba gestapowców, żeby utrzymać ich wszystkich w ryzach?

– Nie wiem – odparł Gerhard. – Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia tysięcy?

– Nie, kompletnie się mylisz. W całym Berlinie jest ledwie pięciuset funkcjonariuszy. Ale z drugiej strony jest ich też cztery miliony. Na tym polega geniusz systemu. Każdy pilnuje każdego. Każdy jest policjantem.



Nie masz pojęcia, ile informacji codziennie do nas trafia. Niezliczeni ludzie donoszą na sąsiadów, współpracowników, znajomych, nawet na członków rodziny. Ledwo nadążamy z wprowadzaniem do akt tych wszystkich oskarżeń.

Konrad popatrzył na Gerharda – to jego pełne pychy i wyższości miażdżące spojrzenie było równie wyraźne jak niewypowiedziana groźba: obserwujemy cię, wszędzie mamy oczy i uszy, nigdzie nie jesteś bezpieczny. To może być ta ładna dziewczyna, która pracuje jako sekretarka, lub przyjacielski facet, który zaprasza cię na kieliszek, albo twoja dozorczyńni. To może być absolutnie każdy. Nigdy się przed nami nie ukryjesz. Nigdy!

Ale tu, wysoko na bawarskim niebie, nie było nikogo, kto by go szpiegował, nikogo, kto by doniósł o jego niezależnych myślach lub wybuchu nieprzemyślanych słów. Tu, w górze, mógł odzyskać część prawdziwego „ja”. I podczas gdy jego wzrok błędził po tej bajecznej scenerii, sięgając do odległego brzegu jeziora po szwajcarskiej stronie – jakże kusilo go czasem, by skierować nos szybowca w to bezpieczne miejsce i zostawić za sobą zmartwienia! – myśli często wracały do pocztówki, którą dostał zaledwie dziesięć dni po spotkaniu z Heydrichem. To była typowa turystyczna widokówka, z lokomotywą przewożącą pasażerów, jak głosił napis, do najwyższej położonej kolejki górskiej na świecie, na szczycie góry Rothorn. I wiadomość była równie niewinna:

*Cześć, Gerd, wpadnij do Szwajcarii. Tutejsze dziewczęta są jeszcze ładniejsze niż góry! Napisz, co u Ciebie. Gdybyś czegoś potrzebował, to tylko daj znać. Mamy tu dużo serów, czekoladek i kapitalnych zegarków.*

*Twój kumpel, Maxi*

Gerhard od razu się zorientował, że Maxi to Isidor Solomons, dumny posiadacz Niebieskiego Maxa. Dzięki Bogu, że kartka dotarła po mojej rozmowie z tym draniem z SS, pomyślał teraz. Za żadne skarby świata nie potrafiłbym okłamać Heydricha, że nie wiem, gdzie jest Izzy. Od razu by mnie przejrzał.

„Gdybyś czegoś potrzebował...” – to było najważniejsze zdanie, znak, że Izzy poczuwa się do długu honorowego. Któregoś dnia Gerhard mógł

go o coś poprosić. Jednak do tego czasu nie zamierzał nikomu o tym wspominać. I kiedy szybowiec wrócił na ziemię i znów zaczęło się prawdziwe życie, nie pozwolił sobie nawet pomyśleć o Isidorze Solomonsie.

Do początku trzeciego roku w Roedean Saffron miała cudowne wrażenie, że w szkole jest jak w domu i że tam, w rodzinnej posiadłości, również wszystko dobrze się układa. Leon też czuł się znakomicie, choćby dlatego, że zadowolenie córki sprawiało mu radość, chociaż nie mógł jej dzielić z Evą.

– No to jedziemy się spotkać z niezastąpioną panną Halfpenny – powiedział, wyrównując krawat, zanim weszli do sklepu. – Jaka szkoda, że spławił mnie dziesięć sekund po naszym przyjeździe. Świetna kobietka, muszę przyznać.

– Tato, doprawdy...! – wykrzyknęła z udawanym oburzeniem Saffron. – Nie możesz tak mówić o panie Halfpenny. To nie jedna z twoich przyjaciółeczek. Zaczniemy od tego, że jest dla ciebie o wiele za stara.

Leon roześmiał się, otwierając przed Saffron drzwi samochodu.

– Córeczko, sądzę, że panna Halfpenny ma zaledwie trzydziestkę. A gdybyś tego nie zauważyła, ja w tym roku będę obchodził... czy raczej opłakiwał... swoje czterdzieste siódme urodziny. Trzydziestoletnia kobieta tobie może się wydawać wiekowa, ale dla mnie to dziełatka.

Kiedy jechali do centrum Johannesburga, Saffron rozmyślała o słowach ojca. Nigdy nie oceniała wyglądu panny Halfpenny, chociażby dlatego, że kierowniczka sklepu ubierała się raczej porządnie niż atrakcyjnie. Ale gdy teraz zastanowiła się nad tym, zrozumiała, o co chodziło ojcu. Panna Halfpenny miała śliczne kasztanowe włosy, chociaż ściągała je w surowy kok. I mimo że trudno było ją nazwać piękną – miała za długi nos i zbyt wydatne kości policzkowe – jej rysy były kształtne, symetryczne i delikatne. Do tego ładne migdałowe oczy i chociaż jej fach nie sprzyjał beztrudnie, Saffron wystarczająco wiele razy widziała jej uśmiech, by zobaczyć, jak twarz panny Halfpenny się rozjaśnia.

Rozważywszy to wszystko teoretycznie, Saffron pragnęła kontynuować swoje obserwacje, mając ich obiekt przed oczami. Ale gdy wraz z ojcem dotarła do sklepu, okazało się, że panna Halfpenny już tu nie pracuje.

– Jej matka gorzej się poczuła i panna Halfpenny musiała wrócić do Anglii, żeby się nią zaopiekować – powiedziała nowa kierowniczka. – Ale

z przyjemnością zajmę się potrzebami panienki. Proszę tędy...

– No dobrze, zostawiam to pani – rzekł Leon, wyraźnie mniej wesoły niż wtedy, gdy wchodzili do sklepu.

Saffron była niewiele bardziej radosna, udając się za nową kierowniczką w kierunku wieszaków i szuflad.

Nie był to najlepszy początek nowego roku nauki, ale od tamtej pory stan rzeczy się poprawił i teraz, zaledwie trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem, Saffron siedziała w samolocie podchodzącym do lądowania w Nairobi. Zdała już egzaminy z języka angielskiego i literatury, z matematyki, przyrody, historii, geografii, języka francuskiego, łaciny i (ku wielkiemu oburzeniu Saffron na samą myśl, że jest egzaminowana z przedmiotu, który ojciec tak lekceważył) z umiejętności prowadzenia gospodarstwa domowego. Była całkiem pewna, że zaliczyła wszystko co najmniej bardzo dobrze, a nawet z wyróżnieniem. Gdyby wzięto ją na tortury, może wyznałaby przez zaciśnięte zęby, że nawet lubiła zajęcia z gotowania i wręcz napawało ją dumą ciasto z ananasem, które upiekła na egzaminie.

Ale to wszystko już minęło. Miała szesnaście lat, skończyła szkołę i we własnym mniemaniu była praktycznie dorosłą kobietą. Ojciec przyjedzie po nią na lotnisko. Kippy, teraz za stara, by służyć pod wierzch, ale nadal otoczona staranną opieką stajennych, czekała na nią w Lusimie. I do tego Saffron mogła spodziewać się niespodzianki. Radosny uśmiech pojawił się na jej twarzy.

Dom! – pomyślała z uniesieniem. Już prawie jestem w domu!

Czy mogę zabrać filiżankę, panno Courtney? – spytał steward Imperial Airways, zwracając się do wytwornej, młodej damy w wieku szesnastu lat, którą obsługiwał. Niemal krzyczał, by usłyszała go przez ryk czterech silników rotacyjnych rejsowego samolotu. – Wkrótce lądujemy w Nairobi.

Saffron uśmiechnęła się do mężczyzny w eleganckim białym uniformie. Czapka z daszkiem nadawała mu wygląd oficera marynarki, którego przypadkiem obsadzono w roli stewarda Imperial Airways.

– Oczywiście, Symons, proszę! – odkrzyknęła, podając mu filiżankę. – Dzisiaj kawa była dobra jak nigdy.

Symons uśmiechnął się.

– Zaparzyłem mocną, taką, jaką panienka lubi. Już prawie w domu, co?

– Tak. – Po trzech latach tych samolotowych podróży Saffron przywykła do krzyku, jakiego wymagała podniebna rozmowa. – Przed wylotem dostałam telegram od ojca. Podobno w domu czeka na mnie niespodzianka. Trochę się denerwuję, bo nie wiem, czy jest przyjemna, czy nie. Mam nadzieję, że przyjemna.

– Na pewno tak. Założę się, że kupił panience coś zupełnie wyjątkowego na Gwiazdkę. Kiedy ojciec mówi o panience, jak z nami lata, wiadomo, że chciałby sprawiać jej tylko same przyjemności. Pęka z dumy, chociaż proszę nie zdradzić, że to powiedziałem!

– Nie zdradzę, ale dziękuję, że mi to mówisz, Symons. To bardzo miłe.

Steward rozjaśnił się w szerokim uśmiechu i wrócił do kuchenki w ogonie samolotu. Wraz z kolegami, którzy byli na stałe zatrudnieni w Afryce przez Imperial Airways – pilotami, nawigatorami, mechanikami i obsługą naziemną – poznał bardzo dobrze Saffron w ciągu ostatnich trzech lat, gdy latała między Nairobi a Roedean na północy Johannesburga.

Atalanta Imperial Airways zatrzymała się na pasie lotniska w Nairobi. Kiedy Saffron opuściła samolot i przeszła przez odprawę paszportową, rozejrzała się po małym terminalu, który był i halą przylotów, i odlotów. Dostrzegła ojca i popędziła do niego z entuzjastycznym okrzykiem: „Tato!”. Ale kiedy uwolniła się z jego objęć – i minęła ta cudowna, tak długo oczekiwana chwila ulgi i poczucia absolutnego bezpieczeństwa, które spływało z uścisku jego ramion wraz z męskim zapachem, gdy przytuliła głowę do jego piersi – zobaczyła kobietę czekającą cierpliwie na koniec przywitania ojca z córką, wyraźnie gotową sama się przywitać.

Miała na sobie luźną lnianą tunikę do kolan, białą, ozdobioną małymi jaskrawymi kwiatkami wokół szyi i na mankietach rękawów trzy czwarte. Pod nią luźne spodnie, również białe, zebrane w kostkach. Na nogach zwykle sandały. Krótkie siwe włosy były przewiązane jedwabną chustką. Kobieta miała ciemne okulary i otwartą słomkową torbę na skórzanym pasku, zawieszoną na ramieniu. Siwe włosy sugerowały dojrzały wiek, ale jej szczupła figura, styl ubierania się – jakiego Saffron nigdy wcześniej nie spotkała – i postawa emanowały żywiołową młodością.

Kto to może być? – zastanawiała się dziewczyna. Przyszła jej do głowy przerażająca myśl. Czy to jest ta niespodzianka taty? Chce mi przedstawić swoją nową żonę?

Kobieta pochwyciła jej wzrok, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Witaj, moja droga. Jestem Saffron Courtney.

Saffron zakręciło się w głowie. Co ona mówi?

– Saffron, poznaj... Saffron – odezwał się Leon, widząc jej konsternację. – To twoja babcia, kochanie. Moja matka. Dostałaś imię po niej.

Och, chwala Bogu! – pomyślała dziewczyna z ogromną ulgą, ale i z zaskoczeniem. Nigdy wcześniej nie widziała dziadków, a ta kobieta w żadnym razie nie wyglądała na zgrzybiałą staruszczkę, jak Saffron zawsze wyobrażała sobie babcie.

– Bardzo, bardzo się cieszę, że mogę cię w końcu poznać – powiedziała jej babcia. – Chodź, niech cię uściskam.

Saffron podbiegła do niej i spowił ją przedziwny, korzenny, tajemniczy zapach, jakby perfum wykradzionych z najtajniejszych komnat sułtana. Z każdą sekundą czuła, że ulega urokowi swojej nowo poznanej babci.

– Cudownie się ubierasz – powiedziała. – Jest środek lata, a ty wyglądasz, jakbyś cały dzień przesiedziała w cieniu.

Starsza pani się uśmiechnęła.

– Dziękuję, moja droga, to słodkie, co mówisz. Prawda wygląda tak, że całe życie mieszkałam w Afryce Północnej i dawno temu zdałam sobie sprawę, że trzeba mieć absolutnie źle w głowie, żeby ubierać się tak jak w zimne, deszczowe dni w Anglii, skoro obok ciebie rozciąga się Sahara. Wiem, wszyscy twierdzą, że biała kobieta nie może przeżyć w słońcu... Czy wciąż panuje ten zwariowany zwyczaj, że dziewczętom każe się nosić kapelusze podszyte grubym czerwonym filcem?

– O tak, tutaj masa dziewcząt je nosi – powiedziała Saffron. – Ale ja nigdy nie nosiłam.

– Bo pochodzisz z rodziny, która wie, jak powinno się żyć w Afryce. Sama poszłam za przykładem kobiet, które widziałam, podróżując przez Mezopotamię, Etiopię, Egipt, Maroko... wszędzie, prawdę mówiąc... i przystosowałam miejscowe stroje do własnego gustu i potrzeb. Widzisz, jestem malarką. Noszę ubrania, w których wygodnie mi się pracuje. Żadnych gorsetów, żadnych pończoch. Żadnych bzdur, chyba że trzeba się wystroić na jakąś okazję.

– Zgadzam się – przyznała Saffron. – To cudowne, kiedy można wyskoczyć ze szkolnego żakietu i krochmalonej sukienki i spędzić wolne dni w spodniach do jazdy konnej albo szortach.

– Moja wnuczka! A teraz, zanim się stąd ruszymy, musimy zdecydować, jak będziemy się do siebie zwracać. Wiem, że niektóre babki są szczęśliwe, słysząc „babuniu” czy „babusiu”, a nawet „babuńciu”, chociaż nie przy ludziach na poziomie, że tak dodam. Ja jednak wolę być „babcią”. Możemy to ustalić?

– Jak najbardziej, babciu – odrzekła Saffron, ciesząc się, że ma szansę wypowiedzieć to słowo.

– Dobrze. A ty, mój synu, możesz mówić mi „matko” albo „mamo”, gdyby wzięło nas na jakieś szczególne czułości.

– Tak, matko – powiedział ze znużeniem Leon, nie zauważając, że matka mrugnęła do Saffron.

– A więc ustalone – podsumowała starsza pani. – Teraz możesz nas zabrać na lunch.



Myślałem, że zjemy u Stanleya – powiedział Leon, jadąc z lotniska w kierunku Delamere Road, gdzie teraz stał hotel New Stanley. – Muthaiga to nieodpowiednie miejsce dla matek i córek. Ostatnio z tego lokalu zrobił się istny dom wariatów. Faceci huśtają się na lampach, udając małpy, upijają się i rozbierają do naga.

– Och, ale ja uwielbiam takie wygłupy! – wykrzyknęła Saffron.

Wieczór, który spędziła w klubie Muthaiga przed wylotem do Johannesburga, był jednym z najjaśniejszych momentów całej podróży do szkoły.

– A ja jestem pewny, że twoja babka nie uwielbia.

– Ależ, Leonie...! – zaprotestowała jego matka. – Przecież nie jestem trzęsącą się starą panną. Wyszłam za mąż w wieku piętnastu lat, a wcześniej przeżyłam oblężenie Chartumu i praktycznie widziałam na własne oczy śmierć mojego biednego ojca, no i miałam kilka przygód z twoim ojcem, o czym nie będę się rozwodzić ze względu na tę młodą damę.

– Babciu! – sapnęła Saffron, natychmiast zapominając o Muthaidze. – Jak mogłaś wyjść za mąż w wieku piętnastu lat? To przecież nie jest legalne!

– Twój dziadek i ja wzięliśmy ślub w Abisynii. I muszę powiedzieć, że było to prawdziwe wydarzenie. Sam cesarz i cesarzowa byli obecni.

Saffron wybałuszyła oczy, zdumiona i zachwycona.

– Cesarz... i cesarzowa? – powtórzyła.

– O tak, moja droga, cesarzowa Miriam i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Podobnie jak tobie, podobał jej się mój styl ubierania, a nawet zwracała się do mnie po radę, chociaż w jej oczach byłam starą panną. Widzisz, wyszła za mąż w wieku trzynastu lat.

– Rany.

– Ile ty masz lat, Saffron?

– Szesnaście, babciu.

– Znakomity wiek. Miałam szesnaście, kiedy twój ojciec się urodził.

– Och! – Teraz Saffron zrozumiała, dlaczego babka wygląda tak niezwykle młodo.

– Hm, tak czy owak – podjął Leon, usiłując sprowadzić rozmowę na bezpieczniejszy grunt – Mayence i Fred Tate, którzy prowadzili hotel od niepamiętnych czasów... niezły gość, ten Fred, często spotykaliśmy się podczas wojny... właśnie odnowili lokal i muszę przyznać, że odwalili kawał dobrej roboty, i...

– Byłaś zaskoczona, kiedy dziadek poprosił cię o rękę? – spytała Saffron, nie zważając na ojca.

– No cóż, to nie tak, że musiał mnie o cokolwiek prosić – odparła babcia. – Widzisz, stało się tak, że...

– Naprawdę nie sędzę, żeby Saffron chciała wysłuchiwać tej historii – wtrącił Leon.

– Chcę, właśnie że chcę!

Saffron umościła się wygodniej na skórzanej kanapie, czując się tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i leżała bezpiecznie w łóżku, a mama czytała jej bajkę na dobranoc.

– Moja siostra Amber i ja – kontynuowała babcia – miałyśmy zamieszkać z Ballantyne'ami, rodziną brata twojego dziadka Penroda, w ich szkockiej posiadłości i być wychowywane przez guwernantkę, jak grzeczne Brytyjki. Miałyśmy popłynąć z Dżibuti statkiem *Singapur*. Ale byłam po uszy zakochana w Ryderze Courtneyu...

– Ile on miał lat, babciu?

– Nieco ponad dwa razy więcej niż ja, ale mnie to nie obchodziło. Wiedziałam, że jest miłością mojego życia. Wiedziałam to w głębi serca i nie zamierzałam go zostawiać. Więc uciekłam i statek musiał odpłynąć beze mnie. Ryder w końcu mnie odnalazł... po tym, jak nakierowałam go na fałszywy trop do Abisynii, co wtedy wydawało mi się strasznie sprytne...

Babcia zawadiacko się uśmiechnęła i Saffron nagle zobaczyła psotną, buntowniczą, ale cudowną dziewczynę, jaką kiedyś musiała być.

– Biedaczysko usiłował się boczyć, widziałam jednak, że to tylko pozory, bo w głębi serca kocha mnie tak samo jak ja jego, ale jeszcze o tym nie wie. Oznajmiłam mu, że się pobieramy i że wszystko jest w porządku, bo już ustaliłam to z cesarzową. Pobłogosławiła cały plan i zgodziła się poprzeć nasz związek, więc tak naprawdę nic nie stało na przeszkodzie, żebyśmy wzięli ślub, i wtedy, chwala mu... – Teraz uśmiech na twarzy babci był smutny i Saffron wydało się, że widzi łzę w kąciku jej oka. – Ten kochany człowiek powiedział, że to nie taki

najgorszy pomysł na świecie, i pocałował mnie, i byłam najszczęśliwszą dziewczyną na ziemi.

– Och, babciu... – Saffron westchnęła. – To taka urocza historia.

– Poczekaj, kochanie, to tylko cząstka o wiele dłuższej opowieści i śmiem twierdzić, że usłyszysz jeszcze niejedno, zanim wyjadę.

– Proszę, proszę, to musi być cudowne!

– No, jesteśmy – powiedział z ulgą Leon, zajeżdżając przed hotel.

Był to pomalowany na biało trzypiętrowy budynek. Przy wejściu po bokach widniały dwie wieże zwieńczone małymi kopułami, przez co wyglądały jak para młynków do pieprzu. Łuki na froncie hotelu sięgały pierwszego piętra, a na wszystkich balkonach stały kosze jaskrawych kwiatów. Mieli zjeść lunch na dworze, ale zanim *maître d'hôtel* wskazał im stolik, Leon powiedział:

– Jedna chwila. – I zwrócił się do matki i córki: – Chodźcie ze mną.

Zaprowadził je do starej akacji, a gdy podeszły bliżej, zobaczyły, że pień otaczają korkowe tablice, gęsto pokryte listami, telegramami albo po prostu zapisanymi kartkami.

– To sławna akacja hotelu New Stanley, nieoficjalny urząd pocztowy Nairobi. Jeśli chcecie się porozumieć z kimś w Kenii, a nie znacie jego adresu, wystarczy przybić tu wiadomość i wcześniej czy później trafi ona do adresata.

– Moja wiadomość brzmi: „Jestem głodna. Kiedy lunch?” – powiedziała starsza pani.

– Ja też umieram z głodu – przyłączyła się do niej Saffron.

Jedzenie okazało się doskonałe, jak zawsze w Kenii, gdzie ziemia była tak żyzna i klimat tak łagodny, że owoce i warzywa rosły przez cały rok, a dzięki wielkim pastwiskom nie brakowało znakomitej wieprzowiny, jagnięciny i wołowiny. Babcia zapytała Saffron o jej wyniki sportowe i dowiedziała się, że wnuczka była kapitanem szkolnej drużyny hokeja na trawie i siatkówki, a także zwyciężała w turniejach tenisowych.

– Poza tym jeździ konno jak rzadko który dżokej. Potrafi zestrzelić dzikiego ptaka w locie, jakby się urodziła z wiatrówką w ręce. I nie tylko prowadzi samochód, ale też umie zmienić koło, dolać oleju lub wody...

– I wiem, do czego służy pończocha, kiedy trzaśnie pasek wentylatora chłodnicy! – dodała Saffron.

– Nie pozwolilibym jej szaleć autem po posiadłości, gdyby nie umiała sobie poradzić z najprostszymi awariami – oznajmił Leon. – Nie może być bezradna, jak coś w aucie wysiądzie parę kilometrów od domu.

– Aha... – mruknęła w zamyśleniu starsza pani. – A powiedz mi, Saffron, czy osiągnięciami naukowymi też możesz się pochwalić?

– Myślę, że mogę, babciu. Teraz czekam na wyniki egzaminów końcowych. Chyba nie powinny być takie złe.

– Co oznacza, że liczy na celujące od góry do dołu – wtrącił z dumą Leon.

– Dobrze... dobrze... – skwitowała starsza pani, chociaż jak na kobietę, która właśnie się dowiedziała, że jej wnuczka jest wzorem nie tylko sportsmenki, ale też uczennicy, wydawała się dziwnie nieporuszona. – Powiedz mi, moja droga, skoro jesteś tak znakomicie wyedukowana, co wspólnego ma ta trójka: Elsa Schiaparelli, Main Rousseau Bocher i Madeleine Vionnet?

Saffron była zbita z tropu. Zerknęła na ojca, ale on tylko wzruszył ramionami, jakby mówił: „Nie mam zielonego pojęcia”.

– Mmm... – Rozpaczliwie grzebiąc w pamięci, Saffron przypomniiała sobie, że babka jest malarką, i spróbowała strzelać. – Są artystami?

– Można tak powiedzieć. W pewien sposób są. Ale jakimi artystami?

– Eee... eee... – W głosie Saffron zabrzmiała nuta paniki. – Rzeźbiarzami? Malarzami? – Gorączkowo zastanawiała się, co to za artyści.

– Wszyscy to *couturiers* – powiedziała starsza pani, a widząc na twarzy Saffron konsternację, dodała: – Projektanci mody, twórcy pięknych, drogich, szytych na zamówienie sukni i wieczorowych kreacji dla bogatych i modnych kobiet.

– Och – szepnęła Saffron, całkowicie załamana.

– A ty, moje drogie dziecko, wyglądałabyś oszalamiająco w każdej ich kreacji i wychodziliby ze skóry, żeby cię mieć za klientkę. Wiesz, jaka jesteś śliczna, Saffron...? Nie, nie wiesz, widzę to po twojej twarzy. – Odwróciła się do syna. – Leonie, twoja córka to cudo. Zadbaleś o nią jak żaden ojciec. Zapewniłeś jej świetną edukację. Kochasz ją równie gorąco jak ona ciebie. Jednego nie zrobiłeś, bo nie mogłeś. Nie pokazałeś jej, jak być kobietą.

– Gdyby Eva nie umarła... – zaczął Leon i umilkł.

Starsza pani położyła rękę na ramieniu syna.

– Wiem, kochanie, wiem... Poniosłeś straszliwą stratę i było prawdziwym bohaterstwem, że tak wychowałeś córkę, a przy okazji zadbaleś też o swoją matkę i siostry. Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney kwitnie.

Leon uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tak, ostatnio sprawy mają się lepiej. Świat jeszcze długo nie stanie mocno na nogach. Ale myślę, że wysforowaliśmy się przed stawkę. Wszyscy bankierzy zostali spłaceni przed terminem, więc nie mamy długów. Ale to Davy’emu wypada dziękować, mamó. On odwalił całą ciężką robotę. Ja tylko podpisywałem czeki.

– No, nie udałooby mu się, gdybyś nas nie uratował. Pięknie się zachowałeś, Leonie, nawet jeśli nie każdy to docenia. A teraz zabieram Saffy na drobne zakupy.

– Jakie? – spytała dziewczyna, zastanawiając się, czy babcia jakimś cudem sprawi, że drogie, ręcznie szyte suknie pojawią się w skromnych sklepikach Nairobi.

– Świąteczne! – obwieściła stanowczo starsza pani. – Kupiłaś już coś ojcu?

– Właściwie... nie.

– Tak myślałam. A więc, Leonie, zostajesz na filiżankę dobrej kawy i pogaduszki z kumplami przy barze... jestem pewna, że znasz połowę tutejszej klienteli... i ogólnie spędzasz miło czas, dopóki panie nie wrócą. Saffron?

– Tak, babciu?

– Za mną!

Saffron była zachwycona nagłym pojawieniem się w jej życiu tej niezwyklej kobiety. Najpierw Centaine, teraz babka Saffron. Jedna po drugiej zaczęły wyrastać wokół niej, tworząc prawdziwą rodzinę. Udała się z babką do Stanley Arcade, nowego pasażu handlowego tuż nieopodal hotelu. W sklepie z męską odzieżą zaczęła szukać jedwabnego krawata, który nadawałby się na prezent, a babcia tymczasem buszowała gdzie indziej. Saffron właśnie oglądała kilka pięknych krawatów, zastanawiając się, który spodobałby się ojcu, kiedy usłyszała chrapliwy, kobiecy głos:

– Ty musisz być córką Courtneya. Ależ wyrosłaś!

Saffron odwróciła się i ujrzała kobietę w typie, który aż za bardzo rozplecił się w Kenii. Kiedyś wyraźnie była niebrzydka, a sądząc po jej wyniosłej minie, ekstrawagancko ułożonych jasnoblond włosach i grubej warstwie makijażu, nadal wierzyła, że czas jej się nie ima. Jednak zgubne połączenie nadmiaru słońca i drinków przez więcej lat, niż chciałyby się przyznać, sprawiło, że cerę miała szorstką i twardą, niczym skóra krokodyla, z której zrobiono jej torebkę. Wokół oczu widniały głębokie zmarszczki, a górna warga była pobrużdżona od trzymania niezliczonych papierosów.

– Przepraszam – odezwała się Saffron. – Chyba nie zostałyśmy sobie przedstawione.

– Śmiem twierdzić, że na pewno – powiedziała nieznajoma. – Nazywam się Amelia Cory-Porter. Kiedyś przelotnie poznałam twojego ojca. Prawdę mówiąc, mocno się do mnie przystawiał.

Nie wierzę, pomyślała Saffron, a potem gorycz w głosie kobiety naprowadziła ją na myśl: Założę się, że to ty się do niego przystawiałaś. I założę się też, że cię spławił.

– Czyżby? – rzuciła. – Hm, to ciekawe.

Amelia Cory-Porter spojrzała na nią z wyrazem twarzy, który Saffron rzadko, jeśli w ogóle, spotykała – z czystą złośliwością.

– Na Boga, arogancka i pewna siebie jak tatuś. No, no, śliczna jak obrazek i tarza się w pieniądzach. Kto by zgadł, że twoja matka była dziwką.

Te słowa podziały na Saffron jak uderzenie w brzuch, jakby straciła całe powietrze w płucach. Prawie nie mogła oddychać.

– Nie, to nieprawda – wykrztusiła z trudem.

– Och, moja droga, to jak najbardziej prawda, niestety. Żyła z tego, że rozkładała nogi przed pewnym grubym Niemcem, aż postanowiła znaleźć sobie młodszego kochasia i wzięła na cel twojego ojczulka. Podobno nie miał pojęcia, kto go omotał.

– Nie, wcale nie była taka. – Saffron załkała. – Nie była!

Przez łzy zobaczyła, że odchodzi babcia, i usłyszała, jak pyta:

– Na Boga, co tu się dzieje?

– Ona... ona powiedziała, że mama była dziwką – wyszlochała Saffron.

– No, chyba już pójdę – rzuciła Amelia Cory-Porter.

– Ani kroku! – rozkazała starsza pani głosem, który potrafiłby zatrzymać w miejscu prezydentów i generałów. – Na Boga, jak śmiesz doprowadzać do łez tę młodą, słodką dziewczynę, wygadując takie ohydztwa?

– Ohydztwa czy nie, ale to szczerą prawdą. Jej matka była niemiecką dziwką. Puszczając się i... zdradzała swój kraj.

Babka zrobiła krok w stronę Amelii.

– Śmiem twierdzić, że ty sama wiesz niejedno o sypianiu z mężczyznami dla pieniędzy, chociaż jak na ciebie spojrzeć, to dzisiaj pewnie trudno ci już wzbudzić czyjeś zainteresowanie.

– Nie będę tu stała i wysłuchiwała tych obelg.

– Będziesz tu stała, dopóki ja ci każę. A teraz słuchaj, damulko spod latarni. Jak jeszcze raz, choć raz, spróbujesz rozpowszechnić te swoje plugastwa, nasza rodzina dobiegnie do ciebie wszystkimi sposobami, jakie tylko zna prawo, i zrujnujemy cię ze szczętem. Jasne?

– Nie muszę wysłuchiwać takich gróźb...

– Pytam ponownie: czy jasno zrozumiałaś, co ci grozi, jeśli choćby raz wyskoczysz z tą swoją plugawą obmową?

Wydawało się, że Amelia Cory-Porter flaczeje jak balon z zatrutym gazem, przekłuty ostrym kolcem.

– Tak – wymamrotała.

– Dobrze. A teraz słuchaj... mój syn, Leon Courtney, jest w tej chwili niecałe dwieście metrów stąd. To wyjątkowo przyzwoity, honorowy dżentelmen, ale kiedy usłyszy, co powiedziałaś jego córce, może nie wytrzymać i zmieszać cię z błotem, tak jak na to zasługujesz.

– E... Chyba już pójdę – powtórzyła Amelia, chociaż nie była w stanie ruszyć nogą.

– Tak, myślę, że powinnaś, i gdybym była na twoim miejscu, poszłabym szybko i jak najdalej stąd. Więc wynocha. I módl się do Boga, żebym nigdy więcej nie ujrzała cię na oczy.

– Dziękuję, babciu – szepnęła Saffron, patrząc, jak Amelia Cory-Porter chyłkiem umyka ze sklepu. – Ale muszę wiedzieć, czy te wszystkie ohydne rzeczy, które ona mówiła... czy to prawda.



Leon odczekał, aż spokojnie wrócą do Lusimy i zjedzą lekką kolację, i dopiero wtedy zabrał matkę i córkę do swojego gabinetu, najbardziej osobistego i intymnego zakątka domu. Mahoniowe biurko stało przy wykuszowym oknie, frontem do pokoju. Jedną ścianę zapełniały półki z książkami, drugą zdominował otwarty kominek. Nad nim wisiał portret Evy, namalowany rok po urodzeniu Saffron. Twórcą był biały Rosjanin, Wasiljew, który uciekł przed rewolucją, wylądował na brzegach Kenii i zarabiał na skromne utrzymanie, sprzedając swoje obrazy emigranckiej społeczności i turystom. Nie udawał artysty, malował, żeby mieć na życie, ale tą swoją pracą prześcignął samego siebie, idealnie uchwyciwszy urodę i radość życia Evy. Oto była młoda kobieta, w szczęśliwym związku, z uwielbianym dzieckiem, żyjąca w raju i zachowana na wieczność w całej swojej doskonałości.

Leon zadbał o to, by Saffron i matka usiadły wygodnie, i podał im drinki: matce mocną whisky bez lodu, a córce mały gin z dużą ilością toniku i cytryną. Sobie nalał koniaku i stanął przy kominku. Z jakiegoś powodu uznał, że tej historii nie może opowiedzieć na siedząco. Potrzebował swobody ruchu, rozładowania napięcia, jakie ona wywoła. Smakował koniak, patrząc na portret Evy. Nawet teraz, prawie dziesięć lat po jej odejściu, jego uczucie nie przygasło.

– Proszę, wybacz mi, moja miłości – szepnął do obrazu, po czym odwrócił się do swoich słuchaczek. – Zawsze miałem nadzieję, być może naiwnie, że nigdy nie będę musiał wyjawiać tego, co chcecie teraz wiedzieć – zaczęła. Mówił powoli, starannie dobierając słowa i utrzymując pewien formalny ton. – Po części dlatego, że to, co usłyszycie, dotyczy spraw uznanych oficjalnie za tajne. Łamię prawo, przekazując je wam, i wy złamiecie prawo, jeśli wspomnicie o nich komukolwiek i kiedykolwiek. I naprawdę mam na myśli „komukolwiek” i „kiedykolwiek”. A więc przede wszystkim muszę prosić was, abyście przyrzekły mi pod słowem honoru, że nigdy nikomu nie powtórzycie ani słowa z tego, co dzisiaj tu padnie. Przyrzekasz, Saffron?

– Tak, ojczy – powiedziała z równą jak on powagą.

– I ty, matko?

– Tak, oczywiście, kochanie, zrozumiałam.

– No dobrze... Był drugi powód, dla którego miałem nadzieję, że ta chwila nigdy nie nastąpi, Saffron... otóż wiedziałem, jak bardzo poruszyłoby to twoją matkę. Była miłością mojego życia, równie odważna jak piękna. Dała mi więcej szczęścia, niż myślałem, że to możliwe. Dała mi ciebie, kochanie, najwspanialszą córkę, jaką mógłby sobie wymarzyć każdy ojciec, i kochała cię całym sercem, podobnie jak mnie.

– Wiem, tato – szepnęła Saffron, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Poza tym była prawdziwą patriotką. Już wiecie, że podczas wojny służyła imperium brytyjskiemu i została odznaczona za odwagę.

– Tak...

– Ale nie wiecie tego, że służyła brytyjskiemu imperium również przed wojną.

– Mogę zapytać jak? – wtrąciła starsza pani.

Leon skinął głową.

– Tak, dziś wieczorem możesz. – Pociągnął kolejny łyk koniaku. – Eva była szpiegiem i agentem wydziału Biura Tajnej Służby zajmującego się szpiegostwem za granicą. Dzisiaj mówią na to Tajna Służba Wywiadowcza. Mam nadzieję, że teraz rozumiecie, dlaczego to wszystko jest ściśle tajne.

– Wielkie nieba – odezwała się starsza pani.

– Jakiego rodzaju szpiegiem? – spytała Saffron.

– Dojdę do tego, ale najpierw musisz się czegoś dowiedzieć o pochodzeniu Evy. Urodziła się w hrabstwie Northumberland. Jej ojciec, Peter, był Anglikiem, ale matka Niemką... pamiętaj, Saffron, że w tamtych czasach Anglię i Niemcy łączyły bardzo silne więzi i nasze dwa kraje nie były wrogami. Jej rodzice, choć niezamożni, kochali się nawzajem i kochali również ją, tak więc dorastała w szczęśliwym otoczeniu. Ale gdy miała dwanaście lat, nagle oboje zachorowali na polio. Matka Evy umarła... – Leon spojrzał na Saffron. – Tak, wiem, myśl, że twoja mama też zmarła młodo, jest prawie nie do zniesienia. Ojciec Evy przeżył, ale został inwalidą. Utracił władzę w nogach i był skazany na fotel inwalidzki.

Leon przerwał i dopił koniak. Postawił kieliszek na kominku, popatrzył na portret, jakby tam szukał moralnego wsparcia, i mówił dalej:

– Jak wiesz, Saffy, twoja matka była inteligentną dziewczyną i miała szansę iść na Uniwersytet Edynburski, ale odrzuciła tę ofertę, bo chciała

zostać w domu i opiekować się ojcem.

Leon smutno się uśmiechnął.

– Co się stało, tato? – zapytała Saffron.

– Och, nic. Tylko przypomniałem sobie, jak twoja mama mówiła, że nazywała ojca „Grzywaczem”, bo nie miał ani jednego włosa na głowie. W każdym razie Grzywacz był genialnym inżynierem i wynalazcą i wpadł na fantastyczny pomysł silnika wewnętrznego spalania o dużej mocy. Opatentował swoje projekty, jednak nie miał pieniędzy na prace rozwojowe i wdrożenie wynalazków do produkcji. Ale pewien niemiecki przemysłowiec miał te pieniądze. Zaproponował Grzywaczowi współpracę i pomachał mu przed nosem umową. Grzywacz, jak to naukowiec, nie wiedział nic o umowach, a nie stać go było na prawnika, więc podpisał papiery i tym samym zrzekł się wszelkich praw do dzieła swojego życia i do swoich patentów. Niemiec się ulotnił i jeszcze bardziej powiększył swoją już ogromną fortunę, a biedny Grzywacz umarł w biedzie.

Nie ma potrzeby mówić jej, w jaki sposób umarł, stwierdził w duchu Leon. A strzelił sobie w łeb z dubeltówki, Eva musiała zmywać krew ze ściany.

– Twoja matka miała wtedy szesnaście lat... była w twoim wieku... i została sama jak palec, bez pensa przy duszy i bez nikogo, kto by się nią opiekował.

– Ależ to okropne! – zawołała Saffron. – Czemu ten Niemiec jej nie pomógł? Zarobił fortunę na wynalazkach Grzywacza. Było go stać.

– Owszem, ale był mężczyzną o najtwardszym, najgorszym, najokrutniejszym sercu, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać.

– Spotkałeś go? Jak?

– Czekaj, kochanie. Wszystko w swoim czasie... Otóż młoda Eva musiała znaleźć źródło utrzymania, więc poszła do pracy jako robotnica w pobliskiej fabryce. Ale któregoś dnia na jej progu pojawiła się pewna kobieta, pani Ryan, mówiąc, że знаła matkę Evy, dowiedziała się o tragicznych wydarzeniach ostatnich lat i chce pomóc. Eva zamieszkała u niej w Londynie. Pani Ryan wierzyła święcie w wielkość imperium brytyjskiego. Nieustannie mówiła, jakim jest ono błogosławieństwem dla świata i co to za przywilej mu służyć, jeśli zostanie się wezwanym. I Eva się z nią zgadzała, bo teraz nagle mogła korzystać z wszelkich dobrodziejstw mieszkania w stolicy imperium. Miała własny pokój, ładne meble, eleganckie sukienki, nauczycielkę dobrych manier, trenera

jazdy konnej oraz własnego konia, klacz Hyperion. Ogólnie rzecz biorąc, stała się prawdziwą panną z wyższych sfer. Uczyła się również niemieckiego. Pani Ryan bardzo stanowczo się przy tym upierała: codzienne lekcje niemieckiego. Jednak twoja matka nie wiedziała jednego: że podlega szkoleniu. Widzisz, sieć szpiegowska może na wiele sposobów pozyskiwać informacje. Może infiltrować wrogie struktury, działając pod przykrywką. Może przekupywać lub szantażować personel nieprzyjaciela, by zdradził swoją sprawę. Może bić lub torturować porwanych wrogów. A może też wykorzystywać ustawiczną pogoń płci męskiej za tym, żeby imponować kobietom, uwodzić je i zdobywać, zwłaszcza te wyjątkowo urodziwe. Oczywiście, Eva była niezrównanie piękna, ale też bardzo inteligentna... pamiętaj, że mogła iść na studia. I płonęła pragnieniem, by pomścić ojca i wyrównać krzywdy, jakich doznał. Wszystko to sprawiało, że była niezwykle użyteczna dla Tajnej Służby Wywiadowczej, bo tymczasem polityczne wiatry zmieniły kierunek. Niemcy nie kryły, że chcą rzucić wyzwanie Wielkiej Brytanii i zawładnąć tą największą potęgą świata. Armia niemiecka błyskawicznie rosła w siłę, podobnie jak przemysł zbrojeniowy, w części należący do tego samego człowieka, który ukradł projekty Grzywacza Barry'ego. Tak więc Eva Barry dostała nową tożsamość. Stała się wyniosłą niemiecką arystokratką, Evą von Wellberg. Przedstawiono ją człowiekowi, który zrujnował jej ojca, i... – Leon urwał, wziął głęboki oddech i dokończył: – Została jego kochanką.

Saffron nie mogła się powstrzymać.

– Więc była dziwką! – wykrzyknęła z płaczem. – Tamta wstrętna kobieta miała rację.

Babcia objęła ją ramieniem.

– Nie, kochanie, nie była... twój ojciec wcale tego nie mówi. Czasem my, kobiety, mamy bardzo trudny wybór. Robimy, co musimy, żeby przetrwać, jak moje siostry, kiedy były więźniarkami Mahdiego po upadku Chartumu. Lub robimy to, czego od nas wymaga ojczyzna. Nie możemy walczyć pięścią lub karabinem jak mężczyźni, więc...

– Więc stajemy się prostytutkami?

– Dość tego! – warknął Leon. – Nie pozwolę ci tak mówić o matce. Robiła paskudne rzeczy i wiedziała, że są paskudne, ale przede wszystkim wiedziała, że trzeba je zrobić. Spójrz na mnie... spójrz na mnie, dziewczyno!

Saffron uniosła głowę z ramienia babki i popatrzyła na ojca.

– W służbie dla ojczyzny zabiłem tylu ludzi, że lepiej o tym nie myśleć – powiedział Leon. – Zabiłem ich tymi rękami. Umierali, z płaczem wzywając swoje matki i wykrwawiając się w pył. Więc jeśli twoja matka była prostytutką, ja jestem mordercą, i to wielokrotnym. Ale wiedziałem, że robię to w słusznej sprawie, służąc mojemu królowi, walcząc o wolność i przyzwoitość, tak jak moja ukochana Eva. I oburza mnie, że taka nikczemna kreatura jak Amelia Cory-Porter śmie rzucać podłe oskarżenia na twoją matkę, która miała więcej dobroci i prawości w małym palcu, niż ta wypacykowana baba ma w całym swoim ciele.

Na chwilę zapadło milczenie. Saffron patrzyła na ojca, usiłując objąć rozumem wszystko, co powiedział. Tyle tego było. I nigdy nie słyszała ojca mówiącego z tak nieskrywanym wzburzeniem. Uspokoila oddech i przestała płakać.

– Proszę... – powiedział Leon, wyjmując z kieszonki i podając córce jedwabną chusteczkę.

Otarła łzy i oddała mu chusteczkę. Pociągnęła nosem, uśmiechnęła się dzielnie i powiedziała:

– Przynajmniej teraz wiem, co ci kupić na Gwiazdkę.

– Chusteczek nigdy za dużo – przyznał Leon.

– Mogę zapytać, jak skończyła się historia Evy i tego tajemniczego Niemca? – odezwała się babka.

– Przyjechali na safari do Afryki Wschodniej na kilka miesięcy przed wojną. Byłem ich przewodnikiem. Eva i ja zakochaliśmy się w sobie. Kiedy safari się skończyło, musiała wracać do Niemiec i oboje baliśmy się, że to może być koniec naszej miłości. Ale wtedy wybuchła wojna i Niemcy stworzyli plan, że przyłączą się do dawnych burskich buntowników w Afryce Południowej i wzniesą powstanie przeciwko brytyjskiej władzy. Buntownicy potrzebowali broni i pieniędzy na żołd. Ten Niemiec miał środek transportu, do którego nie umywały się konwencjonalne jednostki: *Assagaj*, potężny statek powietrzny, większy niż zwykle sterowce. On chciał sam dowodzić tą akcją i nie wiedząc, że Eva jest szpiegiem, uparł się, by mu towarzyszyła. Nie miałem działka, którym mógłbym go zestrzelić, więc zarzuciłem na silniki sieci rybackie, tak że oplotły śruby, uniemożliwiając mu lot.

– Ale mama była na pokładzie! – wykrzyknęła Saffron.

– Nie powinno jej tam być. Zobaczyłem ją dopiero wtedy, gdy podjąłem tę akcję.

– I nie przerwałeś jej?

– Nie, oczywiście. Nie miałem wyboru. To był mój obowiązek. Oboje to rozumieliśmy.

– Ale mama przeżyła... jak?

– Tak, że tamten cholerny Niemiec jeden jedyny raz w życiu zachował się przyzwoicie. Założył jej spadochron i wyrzucił ją z pokładu.

– A sam zginął?

Leon przez chwilę się zastanawiał. Czy miał jej powiedzieć? Po co jeszcze bardziej pogarszać sprawę? Ale jak mógł pozwolić, żeby cała wina spadła na Evę?

– Nie – odparł. – Też użył spadochronu. Zaplątał się w gałęzie drzewa tuż nad ziemią. Twoja mama znalazła go miotającego się bezradnie jak ryba na haczyku, ale nie miała serca zabić go z zimną krwią. Nadeszli jego ludzie i ją pojмали. Właśnie szykował się, żeby zadać jej bardzo nieprzyjemną, bolesną śmierć, kiedy się tam zjawiłem.

– Czy... – Saffron nie potrafiła skończyć zdania.

– Tak, zabiłem go. Posłałem draniowi kulę w pierś i nigdy nie miałem z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Zasłużył na swój los. Smaży się w piekle i powinien uważać się za szczęściarza, że to ja dotarłem tam pierwszy, a nie Manyoro, bo umierałby dużo dłużej, nieskończenie dłużej, i w prawdziwych męczarniach.

– Ach, Leonie, jesteś wykapany ojciec... – Starsza pani westchnęła. – Ta opowieść bardzo by mu się spodobała i zrozumiałaby doskonale i ciebie, i Evę. Ale powiedz mi, ile pieniędzy było na pokładzie tego sterowca?

– Około pięciu milionów marek niemieckich, w złotych monetach.

– Ile to funtów szterlingów?

– Niecałe dwa miliony.

– Czy ktoś kiedykolwiek je odzyskał?

– Tak.

– Kto?

Leon nie odpowiedział.

– Aha... – mruknęła jego matka, kojarząc fakty i sumę.

– Och... – Nagle Saffron zrozumiała, dlaczego żyła w takim dostatku. Zmarszczyła brwi, poruszona pewną myślą. – Tato?

– Tak?

– Nie powiedziałaś nam, jak tamten Niemiec się nazywał.

Leon milczał przez dłuższą chwilę.

– Chyba teraz nie ma żadnego powodu – odezwał się wreszcie – żeby wam tego nie powiedzieć, skoro już tyle wiecie... A więc dobrze, nazywał się von Meerbach. To był hrabia Otto von Meerbach.

Trzy dni przed Bożym Narodzeniem, gdy wszyscy siedzieli przy śniadaniu, służący przyniósł Leonowi telegram wysłany przez dyrektorkę Roedean.

### Z PRZYJEMNOSCIA PODAJE WYNIKI EGZAMINOW SAFFRON STOP CZTERY CELUJACE STOP SZESC Z WYROZNIENIEM (W TYM PGD SMIECH)

– Dobra robota, wspaniale się spisałaś, dziewczyno! – wykrzyknął z radością Leon, ściskając rękę córki. – Jestem z ciebie ogromnie dumny. – Odchylił się na oparcie krzesła i jeszcze raz rzucił okiem na blankiet. – Jednego nie rozumiem – dodał ze zdziwieniem. – Co to, na Boga, jest PGD? I co w tym śmiesznego?

Teraz z kolei zdziwiła się Saffron.

– Nie mam pojęcia, tato. Mogę spojrzeć?

Leon wręczył córce telegram i patrzył, jak na jej twarzy pojawiło się skupienie, potem groza, połączona z wytrzeszczeniem oczu, aż wreszcie Saffron jęknęła:

– Och, nie! – Po czym wybuchła niepowstrzymanym śmiechem.

– Przepraszam – odezwał się – ale czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co tu chodzi, na Boga?

– Och, tato, nie martw się! – wykrzyknęła Saffron, nie przestając się śmiać. – PGD to skrót od „prowadzenie gospodarstwa domowego”. Panna Lawrence wie, że nie cierpiałam stania przy kuchni. Więc jest powód do śmiechu, że dostałam całkiem niezłą ocenę.

– Dostałaś więcej niż „całkiem niezłą ocenę”. Dałbym sobie uciąć palec za jedno „z wyróżnieniem”.

– Mógłbyś dostać najlepszą ocenę z każdego przedmiotu, drogi chłopcze, gdybyś tylko był łaskaw włożyć nieco więcej pracy w swoją edukację – wtrąciła jego matka. – Kłopot zawsze był nie z twoją głową, tylko z twoją chęcią, by jej używać.

– No tak, rzeczywiście byłem obibokiem – przyznał Leon. – A więc, Saffron, skoro już masz te wspaniałe oceny z egzaminów, co dalej?



Chyba wracasz do Roedean, by przygotowywać się do egzaminów wstępnych, prawda?

– I tak, i nie – odparła tajemniczo Saffron.

– Co to znaczy? – spytał.

– Tak, chcę się przygotowywać do egzaminów... ale nie tutaj, tylko w Roedean w Anglii. – Widziała, że ojciec już zamierza się odezwać, ale mówiła dalej, bo postanowiła sobie, że nie pozwoli mu dojść do słowa, dopóki sama nie przedstawi swoich argumentów, zwłaszcza że opracowała je niezwykle starannie, tak by nie mógł się sprzeciwić. – Chodzi o to, że dużo myślałam o tym, co chcę robić, i było mi tak strasznie smutno, kiedy powiedziałaś, że mama nie poszła na studia, chociaż była taka mądra. To okropne, że nigdy nie miała szansy pokazać, co mogłaby osiągnąć jako studentka. Dlatego myślę, że to naprawdę ważne, bym wykorzystała swoje zdolności i możliwości najlepiej, jak się da.

– Zgadzasz się – powiedział Leon, choć w jego głosie było wahanie, zdradzające, że domyśla się, iż jego sprytna córeczka szykuje mu wielką pułapkę, licząc, że on w nią wpadnie.

– No więc rozmawiałam z niektórymi nauczycielkami w Roedean i powiedziały mi, że jest siostrzana szkoła w Anglii. Podobno ma niezwykle wysoki poziom i wysyła tabuny dziewcząt na różne uniwersytety, także do Oksfordu i Cambridge.

– Nie pójdziesz do Oksfordu! – warknął Leon, nagle widząc jasno, do czego córka zmierza. – To gniazdo tchórzy, zdrajców i czerwonych. Absolutnie zabraniam ci tam iść!

Saffron jęknęła w duchu. Nie zapomniała listu ojca na ten temat, ale miała nadzieję, że może choć raz w życiu złagodzi trochę swoją opinię.

– Na litość boską, tato, wszyscy ludzie, którzy głosowali w tamtej głupiej debacie, na pewno już skończyli studia. Dla mnie liczy się tylko to, że Oksford jest jednym z największych uniwersytetów na świecie.

– W takim razie idź na inny największy uniwersytet na świecie.

– Nie mogę. Tylko w Oksfordzie jest kierunek, który mnie interesuje.

– Jaki, wymachiwanie białą flagą?

– Och, na litość boską, Leonie, nie bądź śmieszny – prychnęła starsza pani. – Skąd te durne wyobrażenia?

– Wcale nie są durne, matko. Pewnie świetnie wiesz, że Stowarzyszenie Oksfordzkie uchwaliło, że jego członkowie nigdy, w żadnych okolicznościach, nie będą walczyć za króla i ojczyznę.

Wybacz, ale to po prostu nie do przyjęcia. Zbyt wielu wspaniałych młodych ludzi zginęło, walcząc o naszą wolność, w tym moi najlepsi przyjaciele. To obraza dla ich poświęcenia, że następne pokolenie zamienia się w bandę cholernych pacyfistów.

– Czyżby? – spytała. – A ja myślę, że pacyfizm to jedyna słuszna moralnie reakcja na okropności, jakie niesie wojna. Zapominasz, mój drogi, że ja dobrze znam tamte czasy. Widziałam dom mojego dzieciństwa w ruinie. Wojna zabrała mi ojca, a także, pośrednio, najstarszą siostrę. Kiedy zostałam matką, mój drugi syn zmienił się z dobrego, kochającego, uroczego chłopca w zgorzkniałego człowieka o zwichrowanym umyśle. Jestem pewna, że gdyby, niech Bóg broni, przyszedł czas, w którym imperium brytyjskie potrzebowałoby obrony przed kolejną hordą barbarzyńców, młodzi Anglicy zrobią, co do nich należy, tak jak zawsze robili. Ale na razie pozwólmy im stanąć w obronie pokoju. Nie ma na ziemi kobiety, która by temu nie przyklasnęła.

Saffron spoglądała to na ojca, to na babcię, jak widz meczu tenisowego, który śledzi piłkę fruującą z jednego końca w drugi. Leon wziął głęboki oddech, aby się opanować.

– Posłuchaj, mamó – odezwał się spokojnie – widziałem, jak ohydna potrafi być wojna, jak wiele krzywd wyrządziła w Afryce Wschodniej. Bóg jeden wie, o ile była gorsza dla tamtych biedaków w okopach. I tak, to straszne patrzeć, co się dzieje z Frankiem. Ale młodzi mężczyźni po prostu nie powinni odwracać się plecami i mówić: „To nie dla mnie”. Słyszając to, my, weterani, zadajemy sobie pytanie, po co było tamto wszystko.

– Po to, żeby można było swobodnie dyskutować, opowiadać się po którejś stronie i głosować, kochanie – odrzekła jego matka znacznie łagodniejszym, cieplejszym tonem. – Walczyliście po to, żeby ci młodzi ludzie mogli przedstawiać swoje zdanie. A ty jeszcze walczyłeś po to, żeby twoja córka mogła wybrać w życiu swoją własną drogę. Saffron, powiedz nam, dlaczego chcesz iść do Oksfordu i dlaczego twój ojciec miałby wyłożyć niewątpliwie sporą sumę, żebyś mogła to zrobić.

– Tato ma swoją posiadłość i różne interesy – zaczęła Saffron – i kiedyś będzie potrzebował kogoś, kto by je prowadził, a że nie ma syna, to... to pomyślałam, że powinnam być przygotowana na wypadek, gdybym miała się tym zająć. I w Oksfordzie jest kierunek, który nazywa się FPE, co jest skrótem od Filozofia, Polityka i Ekonomia, i myślę, że to ogromnie ciekawe i poza tym bardzo użyteczne.

– Biorąc pod uwagę fakt, że interesy twojego ojca sięgają od pól złotoonośnych i kopalni diamentów w Afryce Południowej po pola naftowe Mezopotamii, wiedza ekonomiczna faktycznie będzie niezwykle ważna – potwierdziła starsza pani. – I ponieważ posiadłości w Abisynii, które jego ojciec otrzymał od samego cesarza zaraz po naszym ślubie, są teraz zagrożone przez tego upiornego człowieczka, signora Mussoliniego, powiedziałabym, że wiedza polityczna też może okazać się przydatna. Studia filozoficzne pomogą ci w logicznym myśleniu i wzbogacą cię moralnie. Świetny wybór, Saffron. To pierwszorzędny pomysł.

– Dziękuję, babciu. Ale czy, tato... czy ty naprawdę masz to wszystko?

– Tak, mam udziały w rodzinnym przedsiębiorstwie, które jest właścicielem tych firm.

– Nie wiedziałam, że tego jest tak... dużo. Myślałam, że to tylko posiadłość i... prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co jeszcze.

– O to właśnie mi chodziło, Saffy. Nie chciałem, żebyś wyrosła na zepsutą, bogatą smarkulę, która myśli tylko o pieniądzach i o tym, na co je wydać. Nie na tym powinno polegać życie.

– Wcale nie myślę, tato, że pieniądze są takie ważne, naprawdę.

– No, są ważne, kiedy ich nie masz, zapewniam cię. Ale wiem, o czym mówisz, kochanie, i bardzo się cieszę, że tak do tego podchodzisz. Czyli, mamu, wyraźnie pochwalasz plan Saffron, by iść do Oksfordu, chociaż wyobrażam sobie, jak trudno się tam dostać, więc nie zakładajmy, że na pewno się uda. Co myślisz o tym, żeby najpierw poszła do szkoły w Anglii?

Starsza pani się uśmiechnęła.

– No cóż, cieszę się, że mnie o to pytasz, bo ja sama pozbawiłam się tej szansy. Pamiętaj, że byłam zakochana po uszy, a wybranek mojego serca tkwił w Afryce, więc sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Nie zamierzasz po cichu wyjść za mąż za dużo starszego ukochanego, co, Saffy?

– Nie, babciu, absolutnie nie zamierzam! – odparła ze śmiechem Saffron.

– No to dobrze. Cud, że moje małżeństwo tak się udało. Ale odpowiadając na twoje pytanie, Leonie, myślę, że to znakomity pomysł. Obojętnie, czy pieniądze są dobre, czy nie, Saffron odziedziczy ich całe mnóstwo, a także pozycję społeczną, która za tym idzie. Musi nauczyć się zachowywać jak angielska dama, nie jak afrykański urwis.

– Mamo, jesteś zbyt surowa! – zaproponował Leon. – Saffron jest cudowną dziewczyną.

– Oczywiście, że jest. Ale gdyby teraz wylądowała na eleganckim przyjęciu koktajlowym w Mayfair, czułaby się tam tak obco i byłaby tak bezradna jak londyńska młoda dama rzucona w sam środek afrykańskiego buszu.

– Już wolałabym raczej ten busz... – wtrąciła Saffron.

– Jestem o tym przekonana i nie wątpię, że w buszu poradziłabyś sobie bez mrugnięcia okiem. Ale musisz się nauczyć, jak dawać sobie radę w świecie, który tylko mieni się cywilizowanym, bo tak naprawdę to też dżungla. Drapieżnicy obu płci mają równie ostre kły jak lew czy gepard, i równie dziki apetyt.

– To brzmi strasznie. Teraz już nie jestem przekonana, czy chcę tam jechać.

– Jasne, że chcesz. Życie w takich miastach jak Londyn czy Paryż lub nawet Kair potrafi być cudownie stymulujące, podniecające, ekscytujące... Och, moja droga, co ja bym dała, żeby być taka młoda i śliczna jak ty. Cały świat legnie u twoich stóp i zaznasz najcudowniejszego uczucia na świecie. Musisz tylko poznać zasady tej gry. A nigdy się ich nie nauczysz, mieszkając na krańcu świata.

– Chcę tylko uciec od takich okropnych starych bab jak Amelia Cory-Porter. Nie cierpię tego tutejszego stylu życia, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, wsadzają nos w nie swoje sprawy i rozsiewają ohydne plotki o innych.

– Obawiam się, że kobiety jej pokroju znajdziesz wszędzie, gdziekolwiek pojedziesz – powiedziała babcia. – Podobnie jak mężczyźni, którzy są kanalami i draniami. Ale w wielkim mieście jest inaczej. Masz więcej miejsca dla siebie. Nikt nie będzie cię wciąż obserwował, tak jak w małej społeczności.

– W takim razie chcę jechać... Proszę, tato, czy uważasz, że mógłbyś się zgodzić?

– Hm... – mruknął Leon i Saffron rozpromieniła się, bo już wiedziała, że nie będzie protestował. – Jeśli mnie pamięć nie myli – ciągnął – w Wielkiej Brytanii rok szkolny zaczyna się we wrześniu. A to oznacza, że będziesz mogła podjąć naukę nie wcześniej niż za dziewięć miesięcy. Pytanie brzmi: co miałabyś robić do tej pory?

– Czemu muszę czekać aż do września, żeby wrócić do szkoły? – zapytała Saffron. – Wtedy będę miała siedemnaście lat, a dziewiętnaście,

kiedy skończę szkołę. Będę za stara na siedzenie w ławce. Wolałabym zacząć od razu.

– Ale spóźniłaś się na rozpoczęcie, więc będziesz w tyle za innymi dziewczętami – zauważył Leon.

– Czyli po prostu muszę więcej pracować i nadgonić materiał. I wolę to, niż zostać klasową starą panną.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy być starą panną, moja droga – stwierdziła babcia. – Ale przyjmuję twój argument. – Po chwili namysłu zwróciła się do syna: – Musisz z nią jechać, Leonie. A kiedy będziesz w Londynie, zostań tam na kilka miesięcy. Jako jeden z twoich udziałowców, chociaż ubożuchny, uważam, że czas, by Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney otworzyło biuro w Londynie. Mógłbyś się tym zająć, gdy Saffron będzie zaliczać pierwsze dwa semestry, a potem, w lecie, może pojechalibyście w podróż po Europie.

– Byłoby cudownie! – wykrzyknęła Saffron.

– A więc załatwione.

– Chwileczkę – wtrącił Leon. – Nie wiemy, czy Saffron może iść do szkoły w Anglii. Mogą nie mieć miejsca. A nawet jeśli będą mieli, potrzeba kilku tygodni na zorganizowanie wszystkiego. Nie może tak po prostu zjawić się tam i oznajmić: „Chcę się tu uczyć!”.

– Kochany chłopcze – odezwała się starsza pani – żyjemy w nowoczesnym świecie. Są telegramy i telefony, żeby się porozumieć, są samoloty, żeby w kilka dni znaleźć się pół świata dalej. Stać cię na pomysłowość, Leonie. Skontaktuj się z kierowniczką szkoły w Johannesburgu, poproś, żeby pociągnęła za sznurki, i dyskretnie przekaż szkole darowiznę jako prezent pożegnalny, jeśli to pomoże usunąć przeszkody. Kiedy tylko się postarałeś, zawsze potrafiłeś osiągnąć swój cel. Więc...

– Postaram się – powiedział Leon.

Leon zadzwonił, zatelegrafował, pociągnął za sznurki i zarezerwował bilety. Drugiego stycznia 1936 roku, cztery dni przed rozpoczęciem semestru, on i Saffron znaleźli się w Londynie. Ale córka po kilku dniach pobytu w wielkim mieście zaczęła się zastanawiać, czy podjęła właściwą decyzję. Było zimno, mokro i szaro. Chodniki pokrywała brudna śnieżna breja. Z okna hotelu miała widok na Green Park, ale patrząc na jednolitą szarość zeschniętych liści, nagich drzew i ścieżek, Saffron jęknęła: „To nie zielony park, tylko szary”.

Wydawało się, że słońce nigdy tu nie świeci, nawet za dnia, a nocą opadała gęsta, dusząca mgła, ciężka od woni oparów benzyny samochodowej i spalanego węgla, tak że po ciemku widać było zaledwie na kilka metrów. Brudne powietrze wręcz wnikało w mury budynków i wszystkie wielkie budowle, do których ojciec sumiennie ją prowadził – pałac Buckingham, opactwo Westminster i katedra Świętego Pawła, wielkie domy towarowe i gmachy Whitehallu – miały odcienie od gołębiej szarości po czerń tak głęboką, jakby były wyciosane z węgla, a nie wzniesione z cegły i kamienia. Ta szarość odbijała się w ubiorach ludzi, bladej ich twarzy i nijakości smaku tego, co jedli. Nawet resztki ostatnich bożonarodzeniowych dekoracji, nadal wiszące w witrynach sklepowych lub przewieszane nad brukami, wydawały się wypłukane ze swych świątecznych kolorów. I chociaż Saffron była początkowo oczarowana wielkością Johannesburga, Londyn był miastem na zupełnie inną skalę.

Jadąc z lotniska Croydon do śródmieścia, pokonywali kilometry identycznych ulic, zabudowanych identycznymi szeregowcami, i mijali jedno miejskie centrum za drugim. Każde skupione wokół stacji metra, każde z własnym ratuszem, biblioteką, łaźnią, sklepami, pubami i restauracjami, każde z mnóstwem ulic bardziej zatłoczonych, niż Saffron kiedykolwiek widziała – a przy tym każde było tylko jednym z wielu przedmieść tego ogromnego miasta.

Leon starał się pokazać córce wszystko, co ten ośrodek imperium miał najświetniejszego do zaoferowania. Zarezerwował luksusowy apartament w Ritzu, z osobnymi sypialniami. Były tam wielkie łóżka, z materacami tak grubymi i miękkimi, że zadowolilyby najbardziej

kapryśną księżniczkę, a w łazienkach błyszcząły polerowane marmury ścian i podłóg, lśnił chrom baterii wanien i umywalek. Zabrał ją do londyńskiego teatru rozrywki Palladium na występy grupy estradowej Crazy Gang i chociaż Saffron z początku nie miała pojęcia, kim są artyści ani dlaczego publika z takim zachwytem przyjmuje ich dowcipy i żarty, dała się ponieść atmosferze i niebawem śmiała się i klaskała jak wszyscy. Leon odkrył też przyjemność bywania w herbaciarniach Lyon's Corner House, których było zatrzęsienie w centrum Londynu. „Oni umieją tu parzyć herbatę – stwierdził z aprobatą. – Dobra, mocna, w zwykłych kubkach, przypomina mi to, co pijaliśmy w wojsku”. Ale mimo to, chociaż i Saffron, i on starali się nadrabiać miną, obojgu tłukła się po głowie jedna myśl: Chcę wracać do Kenii.

Jednak zaszli już za daleko, by teraz zmienić zdanie, choć każdemu z nich przyszłoby to bez trudu. Starali się więc cieszyć tym, czym mogli. Leon po raz kolejny wybrał się z Saffron na zakupy – po szkolne mundurki i wszelkie niezbędne rzeczy. Zapytał w Ritzu, gdzie w Londynie można kupić tego rodzaju artykuły, i wskazano mu czołowego dostawcę szkolnego wyposażenia, Daniela Neala, którego flagowy sklep mieścił się przy Portman Square, na północ od Oxford Street.

– Rany, ale to ogromne! – wykrzyknęła Saffron, gdy wysiedli z taksówki i znaleźli się przed potrójną witryną, której każda część miała szerokość typowej londyńskiej rezydencji i każdą zdobiły manekiny nienagannie ubranych uczniów.

Sklep zajmował parter i piętro połowy wielkiego nowoczesnego budynku, ciągnącego się przez cały bok placu.

– Myślę, że znajdziemy tu wszystko, czego potrzebujesz – powiedział Leon, pragnąc tylko, by zrobić te zakupy w jednym miejscu i w możliwie najkrótszym czasie. – Chodź, przekonajmy się.

Weszli i stanęli bezradnie, rozglądając się i próbując odgadnąć, gdzie mają szukać potrzebnych im rzeczy. W oddali dostrzegli kobietę w eleganckiej czarnej sukience. Odwrócona plecami do nich, wydawała polecenia jednej ze sprzedawczyń.

– To jest to, osoba zorientowana – stwierdził Leon i ruszył w jej kierunku.

Kobieta tymczasem odesłała swoją podwładną, ale najwyraźniej będąc perfekcjonistką, która musi poprawić nawet najmniejszy błąd, gdy

go zauważy, pochyliła się nad stołem, by wyrównać o milimetry stos wystawionych swetrów.

– Przepraszam panią – odezwał się Leon. – Córka i ja potrzebujemy pomocy.

Kobieta wyprostowała się i odwróciła. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie osoby, która zdaje sobie sprawę, że widzi znajomą postać, ale ponieważ otoczenie jest inne niż kiedyś, nie może przypomnieć sobie, kto to jest.

Podobne zdziwienie – które u obojga zaczęło przechodzić w zakłopotanie, bo czuli to samo – ogarnęło Leona i przez chwilę oboje tylko wpatrywali się w siebie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Nagle Saffron uświadomiła sobie, kim jest ta kobieta.



– Panna Halfpenny! To ja, Saffron Courtney... z Johannesburga. Chodziłam do Roedean.

Twarz kierowniczkę od razu rozjaśniła się ciepłym, ujmującym uśmiechem.

– Oczywiście! Pamiętam panienkę... i ojca panienki też.

– Leon Courtney – rzekł, wyciągając rękę. – Mam wrażenie, że nie byliśmy sobie przedstawieni.

– Harriet Halfpenny... – Zmarszczyła brwi. – Hm... nie wiem, czy wypada mi tak poufale mówić do klientów, ale doprawdy, to nieoczekiwana przyjemność znów państwa spotkać. Mogę spytać, co państwa tu sprowadza?

– To samo, co sprowadziło nas do poprzedniego sklepu, w którym się spotkaliśmy: szkolne mundurki Saffron.

– Mogę spytać, do której konkretnie szkoły panienka się wybiera?

– Do tej samej, Roedean – odrzekła Saffron. – Tyle że w Anglii.

– Rozumiem. A więc będą potrzebne granatowy żakiet, granatowa spódniczka, biała bluzka i krawat w kolorach szkoły.

– Nie wiem, do której konkretnie mnie przyjmą. Wszystko potoczyło się strasznie szybko – powiedziała Saffron.

– Nie szkodzi, jestem pewna, że panienka dostanie właściwy krawat już w samej placówce. Będą też potrzebne buty, skarpetki, strój gimnastyczny, oczywiście, oraz koszule nocne. Przykro mi, ale tych ostatnich mamy ograniczony asortyment, więc sugeruję Selfridgesa albo Johna Lewisa, jeśli chce panienka mieć szerszy wybór, i to samo dotyczy szlafroków i bielizny.

– O Boże... – jęknął Leon.

Panna Halfpenny spojrzała na niego, po czym zerknęła na Saffron, a ta lekko wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Nie, wciąż tylko tata i ja.

– Czy chce pan, żebym się wszystkim zajęła, panie Courtney? – spytała panna Halfpenny. – O ile dobrze pamiętam, dawniej panna Saffron i ja nieźle radziłyśmy sobie same.

Leon już miał się zgodzić, ale nagle zmienił zdanie.

– Myślę, że pójdę z wami. Kiedy przypomnę sobie o wszystkich niebezpieczeństwach, którym stawiałem czoło w wojsku, ucieczka przed odrobiną zakupów wydaje się niepoważna.

– Dobrze powiedziane, proszę pana! – Panna Halfpenny klasnęła w dłonie.

Ten komplement chyba sprawił Leonowi dużą przyjemność i Saffron, patrząc, jak oboje uśmiechają się do siebie, pomyślała nagle, że szkolne mundurki to wcale nie najważniejszy punkt tych zakupów.

Przypomniała sobie, jak starannie ojciec się ubierał i szykował w te dni, kiedy jechali do Johannesburga, do sklepu ze szkolnymi strojami, i jaki był zawiedziony na wieść, że panna Halfpenny była zmuszona wrócić do Anglii. Pomyślała o wszystkich kobietach mówiących, że będą jej przyjaciółkami. Ale panna Halfpenny już jest moją przyjaciółką, uznała w duchu. Bardzo ją lubię, bo wiem, jaka potrafi być miła.

Kiedy chodzili po sklepie, Saffron starała się, jak mogła, wciągnąć ojca w rozmowę z panną Halfpenny i była zachwycona, gdy mówił coś, co budziło jej rozbawienie, lub gdy ona rzucała: „Ależ tak, panie Courtney”. Dziewczyna zobaczyła ojca z zupełnie nowej strony. W towarzystwie panny Halfpenny był rozluźniony, bardziej skory do śmiechu z samego siebie, a nawet do flirtu, co było tym słodsze, że wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, jak się zachowuje.

Przy niej jest szczęśliwy, pomyślała Saffron. Tylko co ludzie by powiedzieli, gdyby Leon Courtney ożenił się ze sprzedawczynią sklepową? No ale czy to ważne, co inni myślą? Pasuje do niego i jedynie to się liczy. Zresztą jest kierowniczką, a nie zwykłą sprzedawczynią. Poza tym tato nie cierpi snobów i już.

Zanim panna Halfpenny odbiła na kasie wszystkie zakupy, a zastęp pomocnic spakował je do toreb, Saffron zdecydowała, że jej zadaniem jest trzymać tych dwoje dorosłych razem tak długo, aż w końcu zrozumieją, co dla nich najlepsze. Właśnie zastanawiała się, jak to przeprowadzić, gdy panna Halfpenny zauważyła:

– Straszna masa tych toreb. Jeśli nie chcecie państwo się obciążać, mogę je posłać na państwa londyński adres.

– Dziękuję – powiedział Leon. – Jesteśmy w...

– Och, nie przejmuj się, tato, na pewno damy sobie radę – przerwała mu Saffron, absolutnie przekonana, że jeśli panna Halfpenny się dowie, że mieszkają w Ritzu, natychmiast uzna, że to dla niej za wysokie progi, i porzuci wszelką myśl o romansie.

– No cóż, skoro nie przeszkadza ci taszczenie tych toreb...

– Ależ skąd – zapewniła go Saffron i czując, że trzeba kuć żelazo, póki gorące, dodała: – Czy zechciałaby pani po pracy wypić z nami herbatę, panno Halfpenny? Byłoby tak miło pogawędzić z kimś, kto zna Afrykę. A tato bardzo polubił te herbaciarnie Lyon's Corner House.

– Całkowicie pana rozumiem, to urocze lokale – powiedziała panna Halfpenny. – Ale pracuję do piątej, a państwo mogą na pewno lepiej spędzić to popołudnie, niż siedzieć ze mną przy herbacie.

Gdy Leon się nie odezwał, Saffron mocno kopnęła go w kostkę, jakby nakłaniała konia, aby ruszył z miejsca. Stojąca za kontuarem panna Halfpenny nie mogła tego widzieć.

– Nonsens! – wykrzyknął Leon, szlachetnie tłumiąc pragnienie, by odpłacić córce tym samym. – Nie wyobrażam sobie większej przyjemności.

Panna Halfpenny zastanawiała się przez chwilę.

– Czy Piccadilly Circus państwu odpowiada? – zapytała.

– Jak najbardziej. To tuż obok naszego hotelu.

– No to dobrze – powiedziała panna Halfpenny, znów rzeczowa jak zwykle. – Znają państwo Trocadero przy Piccadilly Circus? Ma imponującą bramę wejściową z wielkimi kolumnami i frontonem jak grecka świątynia. To prawdziwa atrakcja turystyczna. I podają tam herbatę Lyon's, więc powinna państwu smakować.

– W takim razie Saffron i ja czekamy na panią o wpół do szóstej w tym imponującym wejściu. Może być?

– Już się cieszę na tę cudowną przyjemność – odrzekła Harriet Halfpenny.

– Witam państwa w Troc – powiedziała panna Halfpenny, gdy się spotkali.

– Ładnie pani wygląda – zauważył Leon.

– Dziękuję.

– Ma pani śliczne włosy – dodała Saffron. – Takie rozpuszczone są cudowne.

Od razu dostrzegła, że panna Halfpenny rozpuściła włosy, które teraz opadały kasztanowymi lokami wokół jej owalnej twarzy. Umalowała rzęsy i kredką podkreśliła oczy, nałożyła pomadkę na usta i róż na policzki. Saffron była zachwycona. Chciałaś wyglądać pięknie dla niego, pomyślała. I tak jest!

– Aha, więc w tym rzecz. Wiedziałem, że coś jest inaczej – powiedział Leon. – Naprawdę ładnie. Ale zdaje się, że jest tutaj wiele sal. Którą pani sugeruje?

– To zależy – odparła panna Halfpenny. – Saffron – zagadnęła mniej oficjalnie – lubisz muzykę i taniec?

– O tak, ale marna ze mnie tancerka. Nigdy tak naprawdę nie nauczyłam się tańczyć.

– No to czas zacząć. Chodźcie za mną.

Wnętrze Trocadero bardziej przypominało wielki gmach operowy niż herbaciarnię. Majestatyczną, wyłożoną czerwonym chodnikiem klatkę schodową ozdobiono ściennymi malowidłami ukazującymi króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu. Wznosiła się w sercu tego budynku, wokół brązowego posągu jakiejś bogini, która trzymała w górze coś przypominającego płonącą pochodnię. Z ogromnych donic i urn u stóp schodów i na podeście piętra wyrastały palmy. Przy wejściu do okazałego baru widniał napis: „Tylko dla panów”.

– Jak widzę coś takiego, strasznie mnie korci, by tam wejść – szepnęła Saffron do panny Halfpenny, gdy przechodzili obok.

– Nie sądzę, żebyśmy dużo traciły – odparła kobieta.

Saffron słyszała grający gdzieś w budynku jazz-band. Im bardziej zbliżali się do głównej sali, tym głośniejsz brzmiała muzyka. Małe okrągłe stoliki, obleżone przez ludzi, wypełniały gęsto lokal, a jedyną wolną przestrzenią był lśniący parkiet taneczny. Saffron zadarła głowę

i zobaczyła orkiestrę siedzącą na antresoli, która biegła wokół całej sali. Tam też stały stoliki, tak że goście mogli z góry obserwować, co dzieje się na parkiecie.

– Chodźmy tam! – zawołała Saffron.

– Przepraszam na chwilę – rzucił Leon i udał się na poszukiwanie kierownika sali.

– A więc... to jest Sala Imperialna – powiedziała panna Halfpenny do Saffron. – Co o niej sądzisz?

– Wspaniała! Tak się cieszę, że zaproponowała pani, żebyśmy tu przyszli.

– Och! Chyba jesteśmy potrzebne. Twój ojciec nas wzywa.

Faktycznie, Leon machał do nich z oddali. Obok niego stał pulchny wąsaty mężczyzna w czerni.

– Ach, *cosi belle signorine!* – wykrzyknął *maître d'hôtel*. – Nie zdradził mi pan, signor, że pańska żona i córka są tak piękne.

– No cóż... – zaczął Leon, po czym urwał i rzekł: – Urocze, nieprawdaż?

Świetnie, tato! – pochwaliła go w myślach Saffron, gdy ruszyli na górę, w ślad za *maître d'hôtel*.

– Jedna chwileczka – poprosił, kiedy znaleźli się na antresoli.

Pstryknął palcami i jakby w cudowny sposób natychmiast pojawili się dwaj kelnerzy. Potokiem słów i gestów zaczął wydawać im polecenia i po chwili, za sprawą kolejnego cudu, w pustce tuż przy balustradzie wyrósł stolik okryty wykrochmalonym białym obrusem, na którym rozłożono wypolerowane sztuce i lśniące kieliszki.

– Czy państwo mają ochotę się czegoś napić? – zapytał *maître d'hôtel*, kiedy wszyscy już usiedli przy stoliku.

Leon spojrział na zegarek.

– Cóż... jest prawie szósta. O wiele za późno na herbatę, nie sądzicie, panie? Butelka szampana będzie jak najbardziej stosowna.

Kubełek z lodem pojawił się na stoliczku obok, kelner od win wkrótce zręcznie wyjął korek i nalał szampana całej trójce – Saffron była zachwycona, że ojciec nie powstrzymał kelnera przy jej kieliszku – po czym włożył butelkę do lodu.

– Na zdrowie! – Leon uniósł swój kieliszek. – Za Afrykę... i Londyn... i za panią, panno Halfpenny. Gdzież bylibyśmy bez pani?

– Na pewno w mniej miłym miejscu – powiedziała Saffron, też unosząc kieliszek.

Popijali szampana, przez cały czas żywo rozmawiając.

– Myślę, że przyszła pora, żebym nauczyła cię kilku tanecznych kroków, Saffron – rzekła w końcu panna Halfpenny.

– Co? Na oczach tych wszystkich ludzi?

– Śmiało – zachęcił ją ojciec. – Odwagi.

– Obiecujesz, że nie zaczniesz się śmiać, jak będę beznadziejna?

– Obiecuję. Zostanę tutaj i popatrzę z daleka.

Panie zeszły na parkiet, gdzie kilka par już tańczyło – orkiestra grała walca.

– Ja będę mężczyzną – powiedziała panna Halfpenny. – Zaczniemy od tego, że kładziesz prawą dłoń na mojej lewej... dobrze. Potem lewa ręka na moje prawe ramię... świetnie. Teraz tylko patrz na moje stopy i staraj się naśladować kroki, jakbyś spoglądała w lustro. I do tańca!

Wkroczyły na parkiet, ale po kilku krokach Saffron beznadziejnie się pogubiła. Panna Halfpenny musiała uważać, żeby nie zostać zdeptana.

– Nigdy się nie połapię! – jęknęła Saffron.

– Na pewno dasz radę. Próbujemy jeszcze raz.

Za szóstą próbą Saffron powtórzyła krok podstawowy. Pod koniec drugiego utworu poruszała się niemal wdzięcznie. Kiedy melodia dobiegła końca, Saffron zerknęła na antresolę i zobaczyła, że ojciec klaszcze. Skinął głową na znak aprobaty. Kiedy muzyka znów zabrzmiała, wstał i ruszył do schodów. Panna Halfpenny też to zauważyła. Zeszły na skraj parkietu, czekając na Leona. Po chwili do nich dołączył.

– Dobra robota, Saffron – powiedział. – Szybko złapałaś, w czym rzecz. Gratuluję. Pozwól, że teraz spróbuje twój stary, niezdarny ojciec. Czy mogę mieć tę przyjemność i poprosić panią do następnego tańca, panno Halfpenny?

– Jak najbardziej. Będzie mi miło.

Poprowadził ją na parkiet i Saffron zobaczyła, że ojciec ani nie jest niezdarny, ani nie wygląda na starca. Prowadził pannę Halfpenny pewnie, a ona, jak zauważyła dziewczyna, rozluźniła ramiona i nieznacznie, ale wystarczająco przysunęła się do niego. Przechyliła głowę i uniosła wzrok, tak że ich oczy się spotkały, i Saffron dostrzegła, że między tym dwojgiem pojawia się iskra porozumienia.

Pobiegła na górę, prawie fruując w powietrzu, tak szczęśliwa, jakby to ona się zakochała. Po tych wszystkich latach ojciec w końcu kogoś znalazł. Podniosła oczy, jak gdyby do nieba. Zadała sobie w duchu

pytanie, czy matka na nich patrzy. Jeśli tak, na pewno też musi być szczęśliwa.

Szkoła zarezerwowała dwa wagony w pociągu do Brighton, odjeżdżającym z dworca Victoria, i na peronie roiło się od uczennic i żegnających je rodziców. Tak jak pozostałe dziewczęta, Saffron była już w mundurku, ponieważ regulamin szkolny obowiązywał od drzwi pociągu. Leon, gdy już dał napiwek bagażowemu, który zaniósł walizki Saffron do wagonu, odwrócił się do niej i powiedział:

– Powodzenia, córeczko. Mam nadzieję, że pierwszy semestr będzie fantastyczny. Tylko nos w książki, zasuway pełną parą, bądź tak urocza, jak to potrafisz, a jestem pewny, że zanim się obejrzysz, znajdziesz tam swoje miejsce.

– Nie martw się, wszystko będzie w porządku – odrzekła Saffron. – I, tato...

– Tak?

– Ja naprawdę bardzo lubię pannę Halfpenny.

– W takim razie jest nas dwoje, bo ja też całkiem ją lubię.

– Wiem. I wcale mi to nie przeszkadza.

– Ach, nie przeszkadza ci? – Leon się uśmiechnął. – Co za łaskawość z twojej strony! No, teraz chodź, uściskaj ojca.

Saffron przytuliła się do niego, stanęła na palcach, by pocałować go w policzek, i ostatecznie się pożegnali. Chwilę potem wsiadła do pociągu i natychmiast zaczęła myśleć o szkole i czekającym ją semestrze, prawie całkiem zapominając już o ojcu, który został na peronie.

Pierwszym problemem okazało się znalezienie wolnego miejsca. We wszystkich przedziałach było pełno dziewcząt gadających jedna przez drugą, bo po kilku tygodniach świątecznej przerwy nadrabiały zaległości w rozmowach. Wreszcie trafiła na przedział, w którym siedziała tylko jedna dziewczyna, jasna blondynka. Saffron zauważyła, że jej strój jest jak spod igły, podczas gdy mundurki innych dziewcząt wydawały się znoszone, niektóre wręcz niechlujne. Ona sama czuła się trochę sztywno w swoim nowiutkim mundurku i doskonale zdawała sobie sprawę, że jest przedmiotem badawczej obserwacji i szeptów dziewcząt, które spekulowały, kim jest ta nowa. Ale może jednak nie będzie w tej szkole całkiem sama. Otworzyła drzwi i weszła do przedziału.



– Nie przeszkadza ci, że tu usiądę? – spytała, wskazując miejsce naprzeciwko blondynki.

– Ależ nie, proszę, siadaj – odrzekła dziewczyna.

Mówiła trochę nerwowo i z obcym akcentem, chociaż Saffron nie potrafiła go nigdzie umiejscowić.

– Cześć – powiedziała. – Jestem Saffron Courtney.

– Dzień dobry, Saffron. Nazywam się Francesca von Schöndorf.

– Och, Niemka?

Francesce zrzęda mina.

– Tak. – Westchnęła, jakby wiedziała, że nie jest to mile widziana informacja.

– Też jesteś nowa? – spytała Saffron.

– Nie, już zaliczyłam jeden semestr w Roedean.

– Ja dopiero zaczynam. Przedtem byłam w Roedean w Afryce Południowej.

– To w Afryce jest Roedean? – Francesca wydawała się zdumiona. – Nie wiedziałam o tym. Więc jesteś Południowoafrykanką, *ja*?

– Nie, przyplłynęłam z Kenii. A jak jest w tej szkole?

– Ciężko, muszę powiedzieć – przyznała Francesca. – Nauczyciele są świetni, to prawda, i miejsce jest niebywale, tuż nad morzem, wysoko na... jak się to mówi... *Klippen*?

– Na klifach?

– Tak, oczywiście, na klifach. I morze jest piękne, chociaż często wydaje się szare, bo niebo też jest szare...

Saffron się roześmiała.

– Wiem! W Anglii wszystko jest szare!

Francesca po raz pierwszy się rozluźniła i na jej twarz wypłynął uśmiech.

– Też tak uważam!

– A jakie są dziewczyny?

Uśmiech przeszedł w grymas.

– Nie takie dobre... To znaczy wiele z nich jest bardzo miłych. Ale są takie, co mnie nie lubią.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo jestem Niemką. Może straciły ojców na wojnie albo myślą, że wszyscy Niemcy to potwory, w każdym razie dają mi odczuć, że nie jestem mile widziana.

– To wredne! Moim zdaniem po prostu lubią się znęcać. Tylko szukają wymówki, żeby dać w kość innym dziewczynom, no i uwzięły się na ciebie, bo jesteś Niemką.

– Tak, to całkiem prawdopodobne. Oczywiście nie mogę powiedzieć rodzicom, co się dzieje. Nie uwierzyliby mi, bo mają wielu znajomych i rodzinę w Anglii. Mój ojciec zna cesarza Wilhelma Drugiego, a babką cesarza była oczywiście królowa Wiktoria. Tak się składa, że moja babcia też była Angielką.

– Co za zbieg okoliczności! Moja babcia była Niemką.

– Serio? Nie żartujesz sobie ze mnie?

– Skądże. Była mamą mojej mamy. Nigdy jej nie poznałam, bo umarła, kiedy mama była jeszcze dziewczynką.

– Och, to okropne. Ale twoja mama może ci o niej opowiedzieć, prawda?

Saffron wzruszyła ramionami.

– Nie, mama umarła, jak miałam siedem lat.

– Och, przepraszam cię.

– Nie musisz. Skąd miałaś wiedzieć? Ale opowiedz mi o swojej rodzinie. To niesamowite, że twój ojciec zna cesarza. Musi być bardzo wysoko postawiony.

Okazało się, że naprawdę jest nie byle kim. Jak dowiedziała się Saffron, von Schöndorfowie byli starą bawarską rodziną, ale mimo posiadanych pałaców i zamków wcale nie byli aż tak bogaci i potężni jak kiedyś i coraz częściej musieli sprzedawać rodzinne portrety, pamiątki i ziemie, by związać koniec z końcem. Potem natomiast Francesca z zachwytem wysłuchiwała opowieści Saffron o Lusimie i była oczarowana, gdy Saffron opisywała swoje spotkania z nosorożcami, słoniami i nawet lwami, jakby to były codzienne wydarzenia.

Przegadały całą drogę do Brighton i rozmawiały dalej w autobusie, który zawiózł je do szkoły. Trzymały się razem, gdy wszystkie uczennice przechodziły przed nauczycielami, którzy – jak kazał zwyczaj – stali w szeregu, z każdą wymieniając uścisk dłoni. Potem Francesca, Chessi, jak mówili na nią bliscy, oprowadziła Saffron po całej szkole. Teraz każda z nich wiedziała, że ma kogoś, z kim zawsze może pogadać. Początek nowego roku szkolnego nie wydawał się już taki straszny.

Leon wracał do Ritza przez Green Park, zadowolony, że może rozprostować nogi i pozbyć się nerwowej energii, która go przepełniała. Na Boga, pomyślał, emocjonuję się jak uczeń. Do cholery, muszę się wziąć w garść!

Kiedy Saffron była zajęta pakowaniem, wysłał do sklepu Daniela Neala posłańca z listkiem do panny Halfpenny, w którym zapraszał ją na kolację do Ritza. Posłaniec miał przykazane poczekać na odpowiedź i niezwłocznie dostarczyć ją do hotelu.

„Dziękuję za zachwycające, chociaż dość niespodziewane zaproszenie – odpisała panna Halfpenny starannym kobiecym charakterem pisma. – Muszę je rozważyć. Wyślę Panu odpowiedź, gdy tylko będę mogła”.

Zanim pojechał z Saffron na dworzec, żadna odpowiedź nie dotarła. Dopóki córka nie wsiadła do pociągu, Leon był zaabsorbowany wyłącznie jej odjazdem, ale gdy padły ostatnie słowa pożegnania, od razu zaczął myśleć – podobnie jak Saffron – o czymś innym: w jego przypadku o pannie Halfpenny. Wyszedł z parku na Piccadilly, skręcił w prawo i ledwie się powstrzymał, by nie przebiec ostatnich metrów – przez ulicę i arkady hotelu, do głównego wejścia i holu recepcyjnego.

– Czy jest dla mnie jakaś wiadomość? – spytał w recepcji, starając się, by zabrzmiało to swobodnie.

Młodzieniec za kontuarem musiał się mocno skupić, gdy przeszukiwał najgłębsze zakamarki pamięci, zanim w końcu odparł:

– Coś mi dzwoni, proszę pana. Przepraszam na chwilę.

Odszedł, by skonsultować się z dużo starszym, bardziej okazałym pracownikiem hotelu. Wrócił z karteczką. Patrząc na nią, wyrecytował:

– Był do pana telefon od panny Halfpenny, proszę pana. Mówi, że z przyjemnością przyjmuje pańskie zaproszenie i spotka się z panem na kolacji o ósmej.

– Znakomite wieści! – powiedział Leon i wcisnął mu w dłoń dziesięcioszylingowy banknot.

– To niesłychanie hojne z pańskiej strony, proszę pana, jestem wielce zobowiązany. I pozwalam sobie życzyć panu bardzo miłego wieczoru.

Leon odwiedził hotelowego fryzjera, który przystrzygł mu włosy i ogolił zarost najdokładniej, jak na to pozwoliła umiejętnie prowadzona

brzytwa. Wcześniej już Leon zadbał o to, by wyprasowano mu koszulę i odświeżono smoking, tak że gdy o wpół do ósmej szedł na dół, ujrzał w lustrze uosobienie męskiej elegancji. W recepcji był ten sam młody człowiek, który skwapliwie zobowiązał się, że gdy tylko panna Halfpenny przyjdzie, on wskaże jej Salę Palmową. Leon poszedł do restauracji i wybrał stolik w najdyskretniejszym zakątku, jaki udało mu się znaleźć, co było niełatwym zadaniem w biało-różowo-złotej przestrzeni o szklanym suficie i ścianach wyłożonych lustrami, tak by wszyscy goście widzieli innych i sami byli widziani. Zamówił szkocką z lodem i czekał na przybycie swojego gościa.

Harriet Halfpenny wysiadła, dała szylinga portierowi, który otworzył jej drzwi taksówki, i przez moment stała na chodniku, by opanować emocje. Podniosła głowę i weszła do Ritza, tak jakby to ona była właścicielką tego hotelu. Najpierw udała się do szatni, gdzie zostawiła płaszcz, który nagle wydał jej się żenująco tani i sfatygowany, chociaż był tak ciepłą i praktyczną częścią jej garderoby. Następnie poszła do damskiej toalety, by jeszcze przejrzeć się w lustrze. Zwłoka, z jaką odpowiedziała na zaproszenie Leona Courtneya, bynajmniej nie wypływała z niechęci do tego spotkania. Po prostu nie wyobrażała sobie, że wkroczy do Ritza w sukience, którą nosiła w pracy. W porze lunchu pobiegła do Selfridges i wydała sumę znacznie przekraczającą jej możliwości, skazując się tym samym na życie o chlebie i wodzie przez następny miesiąc, ale kupiła wieczorową suknię z zielonego jedwabiu. Zdawała sobie sprawę, że nie ma ciała boskiej uwodzicielki, lecz była wysoka, miała smukłe ręce i długie nogi, a dzięki temu, że długo grała w miejscowym klubie netballu, zachowała szczupłą sylwetkę. Biust miała kształtny i raczej pełniejszy, niż można by się spodziewać po jej drobnej figurze i wąskich biodrach. Kiedy teraz przejrziała się w lustrze, stwierdziła, że sukienka leży bardzo dobrze, podkreślając to co należy. W porządku, dziewczyno, powiedziała do swojego odbicia. Mierz wysoko.

Podeszła do recepcji i nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy młody człowiek za kontuarem się odezwał:

– Pan Courtney oczekuje pani z najwyższą przyjemnością.

Udała się do sali. Musiała zacisnąć usta, by nie otworzyć ich na widok przepychu tego wnętrza. Palmy, od których wzięła się nazwa sali, stały na jej obrzeżach, ale oko Harriet uwiodła przede wszystkim wielka, stojąca pośrodku kompozycja kwietna z ogromnymi różowymi różami, które zdawały się ignorować zimę za oknem.

Poszukała wzrokiem Leona Courtneya. I oto był, w odległym kącie; już wstawał na przywitanie. Na Boga, ale z ciebie przystojniak, pomyślała. Wysoki, barczysty, w nienagannie skrojonym smokingu, prezentował się imponująco. Ale to jego twarz najbardziej ją urzekła. Mocno opalona, tak że twarze Europejczyków wokół sprawiały wrażenie

bladych i ziemistych. Odcinały się w niej silne, proste zęby, a także zmarszczki wokół jego szczerych ciemnych oczu. Och, te oczy! Były w nich siła, inteligencja i ciepło, może zapowiedź gniewu, ale też cień smutku.

Oto mężczyzna, któremu umarła żona, i nie zastąpiła jej żadna kobieta, chociaż Bóg wie, ile musiało próbować. Więc dlaczego to ona, stara panna, sprzedawczyni sklepowa, roi sobie, że ma szansę tam, gdzie inne poległy? Było to absurdalne, a przynajmniej powinno być. Ale Harriet widziała, jak się jej przyglądał, myśląc, że ona tego nie widzi. Zauważyła radość Saffron podczas ich spotkania i to, jak wiele aprobata córki znaczy dla ojca. To Saffron odegrała rolę miłosnego posłańca, wzięła na siebie rolę swatki. Ale to wszystko tak naprawdę nie miało znaczenia. Liczyło się tylko uczucie, które ją wypełniło, gdy ujął jej rękę na parkiecie w Troc, wyraz jego oczu, gdy na nią spoglądał, i... och... dowód jego podniecenia, gdy przylgnął do niej całym ciałem.

Teraz na nią patrzył i szeroki uśmiech rozjaśniał mu twarz, wyraz niezmaconej chłopięcej radości. Cieszy się na mój widok! – pomyślała. Przywitali się, nie bardzo wiedząc, czy mają podać sobie dłonie, czy się ucałować, i w ogóle co robić.

– Proszę mi przypomnieć, co powiedziałem na pani widok tamtego wieczoru w Troc? – spytał Leon.

– Powiedział pan, że ładnie wyglądam.

– Tak? – Znów na nią popatrzył i teraz jego spojrzenie niosło zupełnie nowe przesłanie, którego Harriet nie widziała wcześniej. Były w nim zachłanność i drapieżność, przenikające ją tak głęboko, że musiała chwycić się krzesła, w obawie, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. – Hm, wygląda pani nie tyle ładnie, moja droga, ile absolutnie zachwycająco.

Puls Harriet bił jak szalony, gdy Leon nadal przeszywał ją wzrokiem. Czuła płynny żar między udami, a diabełek w jej głowie mówił: „Po prostu rzuć mnie na stół i weź mnie!”. Ale Leon znów się uśmiechnął i czar tej chwili prysł.

– Na początek zamówiłem dla nas szampana – oznajmił Leon. – Jak wtedy... tylko że okazja jest nieco bardziej ekscytująca.

Harriet usiadła i kiedy sącząc musujący napój, prowadziła uprzejmą konwersację, jak obytej w świecie damie przystało, była już opanowana.

– Zatrzymuje się pan tutaj, przyjeżdżając do Londynu?

– Saffron i ja wzięliśmy apartament. Jeśli mam być szczery, to dla mnie wyjątkowa ekstrawagancja. W głębi duszy jestem zwykłym

obskurnym Afrykaninem.

– Nie wygląda pan obskurnie.

Wzruszył ramionami.

– Człowiek wnosi z wojska to, że kiedy trzeba, w mig wskakuje się w elegancki strój. Prawdę mówiąc, byłbym tak samo szczęśliwy, śpiąc pod gwiazdami, przy miłym ognisku. Ale w Anglii ani pogoda, ani miejsce na to, więc obozuję w hotelu. Poza tym córka dobrze się tu czuła.

– To cudowna dziewczyna.

– Tak, to prawda... – Leon urwał i znów spojrzał na Harriet, może nie tak wygłodniałym wzrokiem jak wcześniej, ale jego oczy zachowały ciemny blask i powagę, gdy rzekł: – Ona też panią uwielbia. To jest... och, to jest pierwszy raz, kiedy tak o kimś myśli... od śmierci matki.

Harriet dobrze wiedziała, że Leon mówi tyleż o Saffron, co o sobie.

– Panie Courtney...

– Na litość boską, proszę mówić mi „Leon”.

– Dobrze, Leonie...

– Czy powinienem nadal zwracać się do pani „panno Halfpenny?” – spytał z kpiącym spojrzeniem, wpadając jej w słowo.

– Nie – zachichotała – mów do mnie „Harriet”.

– W porządku, a zatem Harriet. Ale co zaczęłaś mówić, kiedy tak niegrzecznie ci przerwałem?

– Tylko to, że bez wątplenia jesteś człowiekiem sukcesu. Latasz sobie z Afryki do Anglii i zamawiasz apartament w Ritzu. Twój smoking jest uszyty bez zarzutu...

– Przez wspaniałego hinduskiego dżentelmena w Nairobi, który żąda za to tyle co nic...

– Hm, obojętnie, skąd go masz, rozumiesz, o czym mówię. Natomiast ja jestem tylko trzydziestopięcioletnią starą panną, która pracuje w sklepie. I nie bardzo wiem, jak mogłabym zasługiwać na twoją uwagę.

– No cóż, jeśli ty jesteś trzydziestopięcioletnią starą panną, to ja czterdziestoośmioletnim wdowcem, więc trafił swój na swego – odparł Leon. – Co do pracy w sklepie, to pozwól, że ci powiem, co o tym myślę. Szanuję każdego, kto rano wstaje i przez cały dzień ciężko pracuje za uczciwą płacę. Podziwiam, że to robisz, a w dodatku tak piekielnie dobrze, i dodam, że jesteś o wiele lepsza niż jakaś wielka pani z wyższych sfer, która żeruje na swoim tatusiu, mężu lub funduszu powierniczym i nigdy w życiu nie pracowała. Posłuchaj, Harriet, pozwól, że wyłożę karty na stół. Wiem... do diabła, pewnie wiedziałem od

pierwszego dnia w Johannesburgu... że jesteś nie tylko najbardziej atrakcyjną kobietą, jaką poznałem od Bóg wie kiedy, ale też najlepszą kobietą. Jesteś silna i niezależna, ale też dobra, zabawna i ciepła. Widziałem wtedy, jak patrzysz na Saffron, jak się nią zajmowałaś i jak dzięki tobie czuła się swobodnie. Pomyślałem o wszystkich innych kobietach, które znałem, bo nie byłem mnichem, wierz mi. Żadna z nich, choć bardzo się starały, nie miała tak dobrego kontaktu z Saffron jak ty, i to od pierwszej chwili. To powiedziało mi masę o tym, jaka jesteś.

– Dziękuję – szepnęła Harriet, której nagle zebrało się na płacz.

– Nie musisz mi dziękować. To ja powinienem dziękować tobie. Kiedy za trzecim razem jechałem z Saffron do Johannesburga, postanowiłem sobie, że wezmę się w garść i zaproszę cię na drinka, kolację czy coś. Ale jakaś kobieta w sklepie powiedziała mi, że wróciłaś do Anglii. Plułem sobie w brodę, nie mogąc uwierzyć, że byłem tak głupi i pozwoliłem ci odpłynąć. Ale teraz jesteś tutaj i dajesz mi jeszcze jedną szansę. I wierz mi, Harriet, zamierzam ją wykorzystać. – Zamilkł na chwilę. – To wszystko, co mam do powiedzenia – dorzucił i uśmiechnął się do niej słodko, autoironicznie.

– Rozumiem. Nie musisz dodawać nic więcej.

– Dobrze. A teraz może coś zamówimy? Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

Harriet nie przespalała się z Leonem Courtneyem tamtej nocy, chociaż bardzo tego pragnęła. Odmawiając sobie takiego mężczyzny jak on, ograniczyła czułości do krótkiego pocałunku, kiedy się żegnali, podczas gdy portier wzywał taksówkę. Po ich drugiej wspólnej kolacji pozwoliła Leonowi się odwieźć i zaznała niebywałej rozkoszy, mogąc się z nim długo całować i czując jego dłonie badające niemal każdy centymetr jej ciała, w taksówce, którą jechali do jej skromniutkiego szeregowca w labiryncie staromodnych uliczek Fulham. Odziedziczyła domek po matce, która umarła rok po jej powrocie do Anglii. Czuła wstyd, że odejście matki sprawiło jej ulgę – ale w końcu mogła swobodnie kierować własnym losem.

Na następnej randce poszli do kina, jak para zakochanych nastolatków. Wybrali film *39 kroków*. Wszystkie koleżanki Harriet go zachwalały, ale ona wyszła z sali, niewiele z niego pamiętając, bo przez większą część projekcji ona i Leon się obściskiwali, zamiast oglądać przygody Roberta Donata na ekranie.



Spotykali się w ten sposób przez kolejne dwa tygodnie, oboje szczęśliwi do nieprzytomności, ale coraz bardziej udręczeni poczuciem niespełnienia. Leon był hojny, serdeczny i zabawny i nigdy, ani razu, nie dał jej do zrozumienia, że oczekuje czegoś w zamian za kolacje, na które ją zapraszał, a potem za suknie, które wkładała na kolacje, a jeszcze potem za kolczyki i naszyjnik z pereł do sukni. „Bez ciebie byłbym sam, znudzony, bez żadnego pomysłu, jak spędzić czas i dokąd się wybrać – powiedział. – Z tobą jestem najszcześliwszym mężczyzną w Londynie”.

Harriet wciąż nie mogła się doczekać, by opowiedzieć Leonowi, co zabawnego jej się przydarzyło lub jaki przeczytała artykuł, który mógłby go zaciekawiać, czy nawet wyzalić się, gdy trafiła na jakąś wyjątkowo nieprzyjemną klientkę. Była zafascynowana jego życiem w Afryce i gdy mówił o Lusimie, marzyła, by odwiedzić tę posiadłość. Nie dlatego, że byłoby to dla niej zupełnie nowe doświadczenie – bardziej dziki, piękniejszy świat, pełen niezwykłych zwierząt i ludzi – ale dlatego, że to było jego miejsce na ziemi, które tak kochał, a ona chciała być częścią tej miłości.

– Masz ochotę spędzić weekend na wsi? – zapytał pewnego dnia Leon. – Jestem zaproszony na zjazd wszystkich moich angielskich krewnych. Mają dom w Devonie. Wielki Bór, jak go nazywają, to rodzinna własność od siedemnastego wieku. Sam nigdy tam nie byłem, ale podobno to bardzo piękne miejsce. – Przerwał i z żartobliwym zafrasowaniem pogładził podbródek. – Hm... mam nadzieję, że zdążyli naprawić kanalizację i ogrzewanie. Może nawet zainstalowali takie udziwnienie jak toalety.

Harriet roześmiała się.

– Myślałam, że jesteś zawziętym miłośnikiem natury, który przepada za spaniem pod gwiazdami. Czemu martwią cię kanalizacja i ogrzewanie?

– Chyba osłabłem, od kiedy cię poznałem.

– Osłabłeś na umyśle, to pewne.

– Tak czy owak, pojechałabyś ze mną?

– Jesteś pewien? Nie chcę psuć rodzinnego spotkania.

– Nonsens, niczego nie zepsujesz. Opowiedziałem im o tobie i nie mogą się doczekać, żeby cię poznać. Możemy wyruszyć w piątek po południu, kiedy skończysz pracę, i obiecuję odwiedzić cię z powrotem całą i zdrową w poniedziałek rano. Proszę... naprawdę bardzo bym chciał, żebyś pojechała. I zanim spytasz... tak, oczywiście, dostaniesz osobny

pokój. Nie jesteśmy małżeństwem, a angielscy członkowie klanu Courtneyów mają bzika na punkcie etykiety. Chociaż śmiem twierdzić, że nasze pokoje nie będą zbyt oddalone...

Harriet nigdy nie była na przyjęciu w wiejskiej posiadłości, ale naczytała się dość książek, by wiedzieć, że chociaż reguły towarzyskie są tam na pozór ściśle przestrzegane, to kiedy zgasną światła, praktycznie wszystko może się zdarzyć. Zaproszenie Leona było deklaracją intencji.

– Tak – powiedziała. – To brzmi cudownie. Pojadę z rozkoszą.

Wielki Bór stał wśród nadmorskich pofałdowanych wzgórz. Trawniki opadały do niskiego klifu, skąd biegła ścieżka do piaszczystej zatoczki. W chłodny bezwietrzny dzień późnego stycznia, gdy niebo, odbijające się w płaskiej tafli morza, było tak czyste jak w środku lata, wydawało się, że to idealne miejsce dla dwojga kochanków, którzy spacerowali, trzymając się za ręce – dla mężczyzny, by bezpiecznie sprowadził swoją kobietę po stromych, kamiennych stopniach, i dla nich obojga, by mogli stanąć ramie przy ramieniu, wpatrzeni w wodny przestwór.

Teraz obejmowali się inaczej, jak dwoje kochanków, gdy ich ciała już się zespoliły w tym doskonałym, naturalnym dopasowaniu jednego kształtu do drugiego, które powiedziało im, że zostali dla siebie stworzeni. Harriet przyciągnęła do siebie Leona jeszcze bliżej i westchnęła z zadowoleniem. Westchnienie przeszło w ziewnięcie.

– Już się mną znudziłaś?

– To tylko znużenie. – Głos miała stłumiony, bo wtuliła usta w jego płaszc. – Zupełnie mnie wyczerpałeś, ty grzeszny człowieku.

– Świeże morskie powietrze powinno cię obudzić. No już... – Odsunął ją od siebie. – Mocne wdechy, tak jest! – Harriet zrobiła, co kazał, ale na tym się nie skończyło. – A teraz trochę gimnastyki. Dziesięć pajacyków... Raz! Dwa!

– Nie, nie mogę! – Ziewnęła demonstracyjnie.

– No dobrze, niech ci będzie, wygrałaś... leniuchu – powiedział Leon. Znów ją objął. – Ale musisz przyznać, że bardzo przyjemny jest powód tego wyczerpania.

– Mhm... – przytaknęła, a on się pochylił i pocałował ją w czubek głowy.

– Tak bardzo cię kocham, Hattie, mój skarbie.

Podniosła ku niemu wzrok.

– Ja też cię kocham. Całym sercem. I uwielbiam to, jak mnie całujesz, jak mnie dotykasz i gładzisz, i... – Położyła rękę na jego kroczu i łagodnie je masowała, aż poczuła pod palcami naprężenie, i rzekła: – To uwielbiam najbardziej. Uwielbiam, kiedy we mnie jesteś. I uwielbiam twój smak, i uwielbiam twój zapach.

Leon mruknął jak rozleniwiony, syty lew.

– Chcesz poznać pewną tajemnicę? – spytała, a gdy skinął głową, rzuciła: – Pamiętasz tamtą naszą pierwszą wspólną kolację, tylko my dwoje w Ritzu?

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Kiedy się przywitaliśmy, tak na mnie popatrzyłeś, że... mogłeś mnie mieć tam i wtedy.

– Zamierzam cię mieć teraz – powiedział Leon. Zaprowadził ją na suchy fragment plaży. Zdjął płaszcz, rozścielił go na piasku i Harriet się położyła. – Chryste! – mruknął, kładąc się na niej. – Zimno jak cholera. Odmrozę sobie ptaszka.

Zaśmiała się cicho.

– Głuptas. Czemu nie włożysz go tam, gdzie będzie mu ciepło?

Sięgnął w dół i rozchyliła uda, a on uniósł jej biodra, tak żeby mogła podciągnąć spódnicę i zsunąć majtki. Odszukał palcami jej miękkie, gorące, wilgotne i uległe centrum. Ona z kolei odszukała guziki jego rozporka i rozcięcie bokserek, ujęła jego członek, a kiedy Leon pozbył się krępującego go ubrania, wprowadziła go w siebie, jęcząc z rozkoszy.

Teraz już nie czuł zimna. Nie obchodziło go, że są na otwartym terenie i gdyby ktoś z rodziny zszedł z klifu, z pewnością by ich zobaczył. Teraz liczyły się tylko jego miłość i pożądanie wobec tej kobiety. Chciał, by poczuła jedno i drugie tak mocno, że słowa nie mogły tego wyrazić. Chciał, żeby znalazła przyjemność w tym, co jej dawał, i całym sobą skupił się na niej, czujny na każde jej westchnienie, na każdy jej ruch. Całował ją, a ona odpowiadała mu tym samym; granice między nimi się zatarły niczym farby akwarelowe na kartce i połączyli się w jedno, by stworzyć coś zupełnie nowego. Teraz była jego kobietą i już nigdy nic ich nie rozdzieli.

– Wyjdź za mnie – powiedział. – Proszę, błagam. Wyjdź za mnie.

– O Boże – jęknęła. – Tak. – A potem powtórzyła to kilka razy, coraz głośniej. – Tak, tak, tak, tak, tak!

Członkowie rodzinnego zjazdu byli zachwyceni tym, że tak radosne wydarzenie uświetni ten weekend. Z piwnic przyniesiono szampana, strzeliły korki i wzniesiono toasty za szczęśliwą młodą parę. Kiedy Leon i Harriet przyjechali do Wielkiego Boru w piątkowy wieczór, dla angielskich krewnych Leona byli nieznajomymi. Ale tworzyli tak uroczą i dobraną parę, a ich szczęście było do tego stopnia zaraźliwe, że zanim doszło do pożegnań w niedzielne popołudnie, wszyscy poczuli się jak jedna rodzina.

– Stokrotne dzięki, że z nami wytrzymaliście – powiedział Leon do gospodarza, sir Williama Courtneya, podczas gdy służba wkładała bagaże jego i Harriet do samochodu, którym mieli dojechać na londyński pociąg.

– Drogi chłopcze, to była czysta przyjemność. Nie co dzień można pod swoim dachem ogłosić czyjeś zaręczyny. Zanim minie tydzień, całe Devon będzie o tym gadało, zapamiętaj moje słowa. Świetna robota, stary. Harriet to wspaniała dziewczyna. Znalazłeś sobie babkę, jakich mało.

Tymczasem Harriet żegnała się z lady Courtney.

– Musicie obiecać, że przed wyjazdem do Kenii jeszcze nas odwiedzicie – powiedziała gospodyni, ściskając rękę Harriet na znak, że to szczerze zaproszenie, a nie zwykła uprzejmość.

– Obiecujemy, z największą chęcią – odrzekła Harriet, myśląc o tym, jakie to dziwne i cudowne stać się połową „my” po tylu latach, kiedy było tylko „ja”.

– I koniecznie przywieźcie ze sobą Saffron. Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać.

Promiennie uśmiechnięci, machali na pożegnanie i radość towarzyszyła im aż do stacji Exeter. Ale gdy usiedli w swoim przedziale pierwszej klasy i pociąg ruszył, a zmierzch otulił wiejskie okolice Devonu, Harriet stała się milcząca i jakby przybita.

Początkowo Leon myślał, że jest po prostu wyczerpana. Żadne z nich nie spało przez cały weekend więcej niż kilka godzin, a o nocach dało się powiedzieć wszystko, ale nie to, że były spokojne. Ale potem stwierdził,

że najwyraźniej coś ją dręczy. Po raz pierwszy widział Harriet tak przygnębioną – i to głęboko go zaniepokoiło.

– O co chodzi, kochanie?

Westchnęła.

– Nie wiem...

Leon zbyt dobrze znał się na kobietach, by choć na chwilę uwierzyć w to „nie wiem”. Ale również wiedział, że nie ma sensu naciskać.

– Hm, jeśli coś cię dręczy, możesz mi powiedzieć. Bardzo cię Kocham, Harriet Halfpenny, i nic, co powiesz, nie może tego zmienić.

– Obawiam się, że to może – odparła, patrząc na niego z takim smutkiem, że Leon musiał wziąć ją w ramiona.

– Kochanie moje – rzekł, całując ją we włosy i delikatnie głaszcząc, by za wszelką cenę ją przekonać, że jest bezpieczna, kochana i chroniona. Rozplakała się i Leon po raz kolejny był rad, że zawsze nosi przy sobie chusteczkę. Odczekał, aż Harriet się uspokoi, odsunął ją na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy, i szepnął: – Proszę, powiedz mi. Chcę ci tylko pomóc.

– Tak się boję, że poczujesz się mną rozczarowany.

– Nigdy!

– Powiedziałabym ci, zanim poprosiłeś mnie o rękę, ale... – Harriet zdobyła się na słaby uśmiech. – Zaskoczyłeś mnie.

– Skoro o tym mowa, siebie też zaskoczyłem! Ale to była przemiła niespodzianka, nie uważasz?

– O tak... najmiłsza. Jest jednak coś, co muszę ci powiedzieć, i jeśli sprawi to, że zmienisz zdanie, nie będę cię winić ani nie wezmę ci tego za złe.

W głosie Leona pojawiło się napięcie.

– Co to jest? Na litość boską, kochanie, proszę, mów. Naprawdę mnie niepokoisz.

– No cóż, to bardzo proste – rzekła Harriet, zebrawszy się w sobie. – Kiedy byłam bardzo, bardzo młoda, podczas wojny, miałam ukochanego. Zamierzaliśmy się pobrać, ale zginął w ofensywie stu dni, zaledwie miesiąc przed zawieszeniem broni. Ale jeszcze wiosną przypłynął do domu na przepustkę i... no... zaszłam w ciążę, a potem... straciłam dziecko... i... i... och, Leonie... nie będę mogła dać ci dziecka!

Jej determinacja, by opowiedzieć tę historię, zniknęła i Harriet z płaczem oparła głowę na piersi Leona.

– Och, Harriet, ty głuptasku, ty cudowna, piękna dziewczyno, to dla mnie nie jest żaden problem. Żaden.

Podniosła wzrok, ledwie wierząc w to, co usłyszała.

– Naprawdę?

– Naprawdę... Co więcej, zastanawiałem się nawet, jak ci powiedzieć, że nie chcę, byśmy mieli dzieci. Myślałem, że będziesz ogromnie zawiedziona. Powód częściowo jest taki, że powoli zaczynam się starzeć i nie uśmiecha mi się być ojcem, który bardziej pasowałby na dziadka swoich dzieci. Ale przede wszystkim chodzi o to, że już straciłem kobietę, którą bardzo, bardzo kochałem i która nosiła moje dziecko, i po prostu nie zniósłbym, gdybym w podobny sposób miał stracić i ciebie. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, jakiś głos w głowie mówi mi, że to ja zabiłem Evę.

– Ale nie zrobiłeś tego. Nie wolno ci tak myśleć. – Harriet wyciągnęła do niego rękę i role się odwróciły: teraz to ona pocieszała jego.

– Wiem, że to głupie, ale nic na to nie poradzę. I gdybyś zaszła w ciążę... no cóż, szczerze mówiąc, nie wiem, jak bym sobie z tym poradził. Dlatego nie musisz się przejmować. Los obdarzył mnie cudowną córką i ona mi wystarcza. Od ciebie chcę tylko ciebie. Uważam, że jesteś doskonała, i pragnę być z tobą do końca życia.

– Myślę, że jesteś tak samo głupi jak ja – powiedziała Harriet, przytulając się do swojego mężczyzny.

– W takim razie tworzymy idealną parę, prawda?

Saffron dostała w szkole tydzień wolnego, by mogła pojechać na ślub ojca. Leon zawarł małżeństwo w ratuszu w Chelsea, gdzie Saffron była jednocześnie pierwszą druhną i jedynym gościem, bo była to bardzo kameralna uroczystość. Następnie zjedli lunch w Troc, gdzie pan i pani Courtneyowie zatańczyli po raz pierwszy jako para małżeńska. Zmianę miał ten sam *maitre d'hôtel*, który zajmował się nimi kiedyś. Od razu rozpoznał dżentelmena z dwiema *belle signorine* i uśmiechnął się szeroko, gdy Harriet podniosła lewą rękę, na której miała złotą obrączkę i pierścionek zaręczynowy z szafirem i brylantami, który Leon kupił jej u Garrarda w Mayfair, w domu jubilerskim, który przez ostatnie dwieście lat obsługiwał brytyjską rodzinę królewską. Harriet odpowiedziała radosnym uśmiechem, mówiąc: „I tym razem naprawdę jestem jego żoną!”.

Z Troc udali się na dworzec Victoria: Saffron miała pociąg powrotny do szkoły, a Leon i Harriet wsiadali do Simplon Orient Expressu, by jechać do Wenecji. Najpierw jednak Saffron i Harriet udały się do damskiej toalety na osobistą babską pogawędkę.

– Chciałam ci podziękować – odezwała się Harriet, gdy stały przy lustrach, poprawiając makijaż. – Jestem pewna, że masa dziewcząt z twoją pozycją byłaby z gruntu przeciwna pomysłowi, by ich ojciec znalazł sobie żonę, i wręcz plułyby jadem. Nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczy, że byłaś taka miła i otwarta.

– Och, plułabym jadem... naprawdę bym pluła, gdybym tylko chciała – odparła Saffron i obie się roześmiały. – Ale na ciebie nie, bo wiedziałam, że nie jesteś taka jak inne. Niczego od niego nie żądałaś. Nie próbowałaś się do mnie przymilać. – Wzięła Harriet za rękę. – Myślę, że jesteś cudowna, Harriet... Och, czy mogę tak do ciebie mówić?

– Oczywiście! Tak mam na imię i na pewno nie powinnaś już mówić do mnie „panno Halfpenny”.

– No, może czasem powiem, tak dla żartu.

– Ani się waż!

– W każdym razie jestem zachwycona, widząc, jaki tata jest szczęśliwy, od kiedy cię poznał, i to wspaniałe, że ze wszystkich kobiet na świecie, które mogłyby zostać moją macochą, trafiłam właśnie na



ciebie. Mam nadzieję, że czeka was fantastyczny miesiąc miodowy, i tego wam życzę. Tylko jedno mnie smuci...

Przez twarz Harriet przemknął wyraz niepokoju.

– Och, co takiego? – spytała.

– Wiesz, chciałabym tam być, kiedy pierwszy raz zobaczysz Lusimę. To takie magiczne miejsce.

– Też bym chciała, żebyś tam była. Ale nie wyjedziemy przed Wielkanocą. Muszę pracować do końca okresu wypowiedzenia...

– Naprawdę musisz? Nie możesz po prostu odejść?

– Mogę. Ale sprawiłabym zawód swojemu pracodawcy, a koleżanki byłyby zaważone pracą. Nie chcę tak postępować. Poza tym koleżanka, która mnie zastąpi, musi się wszystkiego nauczyć.

– Chyba lubisz troszeczkę się rządzić... w możliwie najsympatyczniejszy sposób – zauważyła ze śmiechem Saffron.

– No tak, to prawda – przyznała Harriet. – W każdym razie twój ojciec musi zorganizować nowe biuro i pewnie urządzimy tu sobie jakieś gniazdko, żebyśmy mieli się gdzie zatrzymywać, przyjeżdżając do Londynu. Może pomogłabyś mi je urządzić. Wybrałybyśmy razem zasłony, dywany i wszystko inne.

– Z rozkoszą!

– W porządku, a więc ustalone. Zajmiemy się tym przed naszym wyjazdem, a potem już niedługo ty przyjedziesz na letnie wakacje. Kenia wciąż będzie dla mnie zupełną nowością, więc oprowadzisz mnie po całej Lusimie i zabierzesz we wszystkie swoje ulubione miejsca.

– Dobrze, obiecuję – powiedziała Saffron. – A teraz już lepiej wracajmy do stolika. Tato będzie się martwić, gdzie jesteś. Chodźmy, pani Courtney, mąż czeka na panią.

– Pani Courtney... – szepnęła Harriet, nadal oswajając się z nowym nazwiskiem. – Kto by pomyślał.

Jako architekt Albert Speer opowiadał się za wszystkim, co modernišci pokroju Gerharda von Meerbacha, ucznia Bauhausu, mieli w największej pogardzie. Jego dzieła spoglądały nie w przyszłość, ale wstecz. Zamiast nowoczesnych domów i miejsc pracy pragnął wznosić wielkie kopie starożytnych greckich i rzymskich budowli, i to na monumentalną skalę, tak by przyćmiły najpotężniejsze klasyczne świątynie czy amfiteatry. I robił to nie po to, by poprawić życie zwykłych ludzi, ale żeby rozśławić swojego pana i władcę, Adolfa Hitlera.

Jakkolwiek Gerhard się zżymał, musiał jednak przyznać, choćby tylko w duchu, że jest głęboko podekscytowany, znalazłszy się w jądrze niemieckiej władzy. Sam Führer miał się za niespełnionego artystę i architekta, więc osobiście doglądał wszystkich planów, które sporządzał Speer, gdyż zakładały całkowitą przebudowę, wręcz przeobrażenie Berlina. Bez względu na to, jakie ulice lub budynki pojawiały się na drodze, Speer i jego zespół, w którym teraz znalazł się Gerhard, mieli wolną rękę w projektowaniu i wszystko mogło zostać zrównane z ziemią, jeśli tylko nowe propozycje zyskają uznanie Hitlera.

Skala planów Speera dała Gerhardowi wgląd w rozmach ambicji Hitlera, ponieważ to, co teraz tworzono, miało być stolicą nie kraju ani nawet powiększonej Rzeszy, ale stolicą globalnego imperium. W innym miejscu Berlina architekt Werner March doglądał budowy stadionu olimpijskiego, przewidzianego na sto tysięcy widzów. Speer czuł się sfrustrowany, gdyż March pracował w betonie, stali, cegle i zaprawie, podczas gdy on był ograniczony do ołówka i płachty papieru, ale mógł to sobie powetować, proponując budowle, do których wspinały się stadion Marcha nawet się nie umywał.

Majestatyczny, triumfalny bulwar, nazwany Aleją Wspaniałości, miał przeciąć centrum miasta. Jego początek wyznaczał Łuk Triumfalny – wielokrotnie większy od tego w Paryżu czy od Bramy Brandenburskiej – który prowadziłby do Wielkiego Placu, zajmującego trzysta pięćdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych otwartej przestrzeni. Wzdłuż jednego boku miał stać pałac Führera, wspanialszy niż Wersal. Dokładnie naprzeciwko Łuku Triumfalnego, w głębi Wielkiego Placu, powstanie Wielka Hala, którą zaprojektowano według rysunków samego Hitlera,

wysoka na dwieście metrów, o obwodzie kopuły dwustu pięćdziesięciu, tak ogromna, że należało znaleźć sposób, by zapobiec tworzeniu się chmur pod kopułą i opadom deszczu na ludzi w środku – co było jednym z zadań, jakie wyznaczono Gerhardowi.

Rzemieślnicy miesiącami składali model – wielkości pokoju – całego projektu, obejmującego duże dzielnice nowego miasta, wszystkie ulice i główne budynki.

Pewnego dnia pod koniec lutego 1936 roku Speer poinformował zespół, że sam Führer odwiedzi ich pracownię, by obejrzyć model i plany.

– Wódz żyje obecnie pod wielkim napięciem – wyjaśnił Speer. – Są sprawy, których nie wolno mi wyjawiać, ale które w niedalekiej przyszłości zmienią pozycję Rzeszy, sprawiając, że naród niemiecki znów zajmie należne mu miejsce w Europie. Führer dźwiga na swych barkach cały ciężar odpowiedzialności za naszą wspaniałą przyszłość. Potrzebuje odprężenia i zasługuje na to, by uwolnić się od tego ciężaru choćby na kilka krótkich chwil. Jest naszym wielkim przywilejem, że możemy mu to zapewnić. Dlatego wzywam wszystkich: zróbcie, co tylko w waszej mocy, aby nasz wspaniały wódz mógł cieszyć się tą wizytą.

To wezwanie wprowadziło cały personel w gorączkowy szal przygotowań. Kobiety popędziły do toalet, by zrobić się na bóstwa dla pana i władcy. Mężczyźni wkładali marynarki, poprawiali krawaty i przyczesywali włosy, zastanawiając się, jaką postawę przybrać. „Jak się zachować?”, pytali jeden drugiego. Czy Hitler oczekuje pewnych siebie, zdeterminowanych pracowników, którym może powierzyć tworzenie swojej stolicy? Czy też mają być pełni szacunku, skromni i nie odzywać się słowem, dopóki on do nich nie przemówi?

I wtedy nagle się pojawił, natychmiast rozpoznawalna postać, znana już na całym świecie, ale tym razem w tweedowym garniturze, a nie w brunatnej wojskowej kurtce, jak zwykle – teraz wielki architekt, nie wielki przywódca.

Gerharda wręcz sparaliżowało, tak jak wszystkich. Gdyby sam Jezus Chrystus się tu nagle pojawił, nie bylibyśmy tak zafascynowani, pomyślał, nagle zdając sobie sprawę, że zachowuje się nie inaczej niż inni. Przed obliczem Führera nie było mowy o niezależności lub sceptycyzmie.

Wcześniej Speer nakazał im, by w trakcie tej wizyty pracowali. „Wódz pragnie oglądać aktywność i postępy”, powiedział. Gerhard

oderwał więc wzrok od Hitlera i skupił się na desce kreślarskiej. Rysował przewody wentylacyjne do Wielkiej Hali, gdy tuż za plecami usłyszał kasznięcie, wyraźnie mające zwrócić jego uwagę.

Odwrócił się. Niecałe dwa metry dalej stał Adolf Hitler z Albertem Speerem u boku. Gerhard zeskoczył z wysokiego stołka i odruchowo pozdrowił Führera okrzykiem: „Heil Hitler!”.

Hitler odpowiedział nieznacznym machnięciem ręki, a Speer oznajmił:

– To jeden z naszych najbardziej obiecujących młodych pracowników, Gerhard von Meerbach.

– Z tej rodziny producentów silników? – zapytał Hitler, patrząc na Gerharda.

– Tak, *mein Führer*. Mój brat, Konrad, jest obecnym hrabią Meerbach.

– Von Meerbach to nie tylko obiecujący architekt, ale też pilot ochotnik Luftwaffe.

Hitler z aprobatą pokiwał głową.

– Widzisz, Speer, oto narodowy socjalizm w najlepszej postaci. Mamy tu młodego człowieka z arystokratycznej rodziny, który jednak nie marnuje czasu w świecie uprzywilejowanych. Pomaga budować Rzeszę, ale też bronić Rzeszy. – Zrobił krok i dobrotliwie klepnął Gerharda w ramię. – Dobra robota, młodzieńcze – powiedział, a jego niebieskie oczy spoczęły na Gerhardzie, który wręcz skamieniał. Urok osobisty Hitlera działał hipnotyzująco. Przebywając z wodzem oko w oko, człowiek był absolutnie przekonany o jego wielkości i pragnął tylko jednego: służyć jego sprawie. – *Ach so*, widzę, że pracuje pan nad Wielką Halą. No to niech pan mi powie, von Meerbach, co pan myśli o moim projekcie tego budynku?

I Gerhard jak automat wyskandował jedyne możliwe słowa w tej sytuacji.

– Myślę, że jest wspaniały, *mein Führer*!

Saffron i jej nowa przyjaciółka Chessi von Schöndorf już na samym początku swojej przyjaźni zawarły umowę. Chessi pomoże Saffron w nauce niemieckiego, a ta w zamian nauczy ją suahili. „To dopiero zaskoczę rodziców! – powiedziała Chessi. – Wysłali mnie do Anglii, żebym poprawiła swój angielski, ale teraz będę mogła udawać, że jedyna w Roedean mówię po afrykańsku. Nie połapią się, w czym rzecz”.

Saffron przyznała, że to doskonały plan. W rzeczywistości Chessi nauczyła się tylko dwóch słów. *Hujambo*, czyli „cześć, jak się masz?”, i *sijambo*, co było zwyczajową odpowiedzią i znaczyło „świetnie”. Kiedy inne dziewczyny usłyszały, jak obie mówią do siebie *hujambo* i *sijambo*, ich prywatny żart stał się natychmiastową modą w całej szkole – czterysta pięćdziesiąt angielskich uczennic i kilka zagranicznych udawało księżniczki Zulusów lub Masajów, wyobrażając sobie, że mówią po afrykańsku.

Szał minął po kilku tygodniach, ale do tego czasu jego pomysłodawczynie zostały już uznane za najpopularniejsze na swoim roku, co jeszcze bardziej wzmocniło pozycję Saffron, która dzięki swoim umiejętnościom na boiskach sportowych, w połączeniu z urodą, stała się obiektem uwielbienia setek adoratek – jak nazywano młodsze dziewczęta zauroczone starszymi koleżankami. Popularność zawsze osiągała Saffy, nie musiała się o nią starać. Z kolei dla Chessi ta nagła akceptacja ze strony dziewcząt, które dotąd odnosiły się do niej chłodno, była nowym, fantastycznym doświadczeniem. Natychmiast dała sobie spokój z suahili i zanurzyła się po uszy w ekscytującym życiu towarzyskim. Saffron jednak trzymała się obranego kursu, stopniowo szlifując niemiecki, aż mogła niemal swobodnie rozmawiać z Chessi, chociaż ciągle jeszcze musiała sięgać do angielskich słów i wyrażeń.

Po całych tygodniach, podczas których wydawało się, że semestr wielkanocny będzie trwał wiecznie, raptem – nie wiadomo kiedy – się skończył. Pierwszą połowę czterotygodniowych ferii Saffron spędziła w Londynie z Leonem i Harriet. Kupili mieszkanie przy Chesham Court, w apartamentowcu, który przerobiono z wiktoriańskiej rezydencji, w centrum Belgravii, kilka minut spacerem do Sloane Square w jednym

kierunku i do Knightsbridge w drugim: dokładnie w sercu jednej z najelegantszych i najatrakcyjniejszych części miasta.

„Możesz się tu zatrzymać, jak zechcesz spędzić wieczór czy dwa w mieście – powiedział Leon córce. – Zatrudniliśmy na pół etatu gospodynię, panią Perkins. Powiadom ją kilka dni przed przyjazdem, a odświeży całe mieszkanie. Przypuszczam nawet, że przygotowuje kolację, jeśli ją grzecznie poprosisz”.

Saffron, tak jak obiecała, pomogła Harriet w urządzeniu mieszkania i spędziły tydzień na buszowaniu po takich domach towarowych jak Peter Jones czy Harrods i w niezliczonych sklepach z antykami, a także u tapicerów, sprzedawców dywanów, materiałów i mebli, u dostarczycieli bielizny pościelowej, zasłon i wszelkiego rodzaju bibelotów. Kupowały też ubrania, bo Harriet potrzebowała garderoby odpowiedniej do swego nowego życia w tropikach, od domowych strojów w stylu safari po suknie wieczorowe na doroczny tydzień wyścigów konnych w Nairobi, kiedy to w klubie Muthaiga (a nikt nie zatrzymywał się gdzie indziej) oczekiwano, że damy będą się pojawiać każdego wieczoru w nowej kreacji. Saffron z kolei już dostała od swoich nowych koleżanek pierwsze zaproszenia na przyjęcia urodzinowe i weekendy na wsi, więc potrzebowała wszystkiego, od sukienek wyjściowych po stroje do jazdy konnej.

Leon odegrał scenę rozpaczony na widok rachunków, które jego kobiety mu przedstawiły, ale obie wiedziały, że tylko udaje. Z natury był hojny i sprawiało mu przyjemność rozpieszczanie żony i córki, które w zamian dawały mu tyle szczęścia. Mając świadomość, że Saffron sama będzie musiała o siebie zadbać przez długie miesiące w Londynie, gdy on wyjedzie do Afryki, Leon otworzył dla niej rachunek w banku Coutts, najprawdziwszy, z książeczką czekową, by mogła pobierać trzydzieści funtów miesięcznie kieszonkowego. Kiedy Saffron usłyszała, jaka to suma, aż wytrzeszczyła oczy – ze zdumienia i z wdzięczności. Powiedział też, że może korzystać z rachunku, który otworzył u Harrodsa, pod dwoma warunkami: po pierwsze, ma kupować tylko to, co naprawdę jej potrzebne, a nie to, na co przyjdzie jej ochota, i po drugie, musi go listownie informować o każdym zakupie powyżej pięciu funtów, dzięki czemu będzie mógł sprawdzić, czy dotrzymuje pierwszego warunku.

– Traktuję cię jak dorosłą, nie jak dziecko, i daję ci dostęp do dorosłych pieniędzy. Teraz od ciebie zależy, czy będziesz je wydawać po dorosłemu.

Saffron uznała to za rozsądne. Doceniała zaufanie, jakim ojciec ją obdarzył, i rozumiała, że wymaga od niej odpowiedzialności. Postanowiła go nie zawieść.

– Zapamiętaj – dodał jeszcze. – Nie chciałbym, żeby moja córka sprawiała wrażenie ubogiej krewnej. Ale nie chciałbym też, żeby zachowywała się jak rozpuszczona smarkula. Dlatego znajdź pośrednią drogę i jej się trzymaj.

Saffron, Harriet i Leon spędzili drugi tydzień ferii wielkanocnych w Wielkim Borze, gdzie sir William i lady Violet zapewnili Saffron, że zawsze będzie tu mile widziana w przerwie semestralnej lub podczas wakacji – bo z przyczyn praktycznych nie mogła wyjeżdżać do Kenii częściej niż raz czy dwa razy w roku. Dzieci Courtneyów, Philippa i Michael, byli, odpowiednio, sześć i cztery lata starsi od niej. Mike był w połowie szkolenia oficerskiego w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, a Philly, żona maklera z City, oczekiwała właśnie pierwszego dziecka i zajmowała się ich domem z muru pruskiego, w stylu Tudorów, na przedmieściach Surrey.

– Obawiam się, że jesteśmy już tylko parą starych dziadków – powiedziała lady Violet, która miała dopiero jakieś czterdzieści pięć lat i nadal zachowywała delikatną, jasną urodę angielskiej młodej damy. – Ale wokoło wiele rodzin ma dzieci w twoim wieku i zawsze dużo się dzieje: konne przejażdżki, żeglowanie, mecze tenisowe i tym podobne rzeczy, więc już się postaramy, żebyś się nie nudziła, siedząc tu tylko z nami.

Courtneyowie mieli też pół tuzina koni. Saffron szczególnie zachwyił potężny ogier, którego gęsta, kasztanowa sierść lśniła jak dobrze wypolerowany mahoniowy stół.

– Ach, to Tanqueray, koń Mike’a do polowania – powiedziała lady Courtney. – Mike mówi na niego „Tank”, bo to ogromna bestia. W kłębie ma ponad metr siedemdziesiąt.

– Czy Mike bardzo miałby mi za złe, gdybym dosiadła Tanqueraya? – spytała Saffron.

Zanim udały się do stajni, włożyła bryczesy i toczek, na wszelki wypadek, gdyby nadarzyła się okazja do jazdy.

– Jesteś przekonana, że to dobry pomysł, moja droga? To koń dla mężczyzny. Mike ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i grał w szkolnej drużynie rugby, w rozgrywkach hrabstwa, ale nawet on mówi, że czasem musi użyć wszystkich sił, żeby zapanować nad Tankiem.

– Ja mam prawie sto siedemdziesiąt pięć centymetrów – oznajmiła Saffron. – Wszyscy w szkole nazywają mnie „Tyczką Grochową”, bo taka jestem wysoka. Mogę dosiąść dużego konia.



Tuż za stajnię był padok, gdzie parę lat wcześniej, gdy dzieci Courtneyów były w wieku, kiedy uwielbiały oglądać zawody konne, ustawiono kilka przeszkód, które teraz powoli rozpadały się i gniły. Saffron wskazała w tamtą stronę.

– Może mogłabym go tam zabrać, żeby trochę pokłusował, i sprawdziłabym, czy nie jest dla mnie za wielki – powiedziała. – Nie poniesie mnie, bo cały padok jest ogrodzony.

– Hm... – mruknęła z namysłem Violet. – Jak uważasz, Leonie? Czy Saffy da radę?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odparł. – Ale pamiętaj, Saffron, spokojnie i powoli, słyszysz?

– Tak, tato.

– Tylko wolny kłus, a jak będzie cię słuchał, skrócony galop. Ale nic więcej!

– Dobrze, tato.

– No cóż, skoro jesteś tego pewny, Leonie – rzuciła Violet, dając jasno do zrozumienia, że uważa to przedsięwzięcie za bardzo nierozsądne.

Nakazała stajennemu osiodłać Tanqueraya i wkrótce na wyłożonym kocimi łbami dziedzińcu rozległ się stukot kopyt. Saffy podeszła do Tanqueraya i koń spojrzał na nią z czymś w rodzaju pogardy. Najwyraźniej zapatrywał się równie sceptycznie jak lady Violet na to, że to wysokie chuchro płci żeńskiej potrafi dać sobie z nim radę. Saffron chwilę stała przy jego potężnym, jak wyrzeźbionym łbie i gładziła twarde, umięśnione policzki, cały czas do niego mówiąc, żeby przyzwyczaił się do jej głosu. Kiedy podczas lunchu debatowano o wyprawie do stajni, przygotowała się, dyskretnie chowając do kieszeni niedojedzone jabłko. Teraz wyjęła je, upewniła się, że Leon i Violet, zajęci rozmową, nie zwracają na nią uwagi, i podsunęła koniowi pod nos. W mgnieniu oka wyczuł i połknął tę łapówkę. Saffy pogładziła go jeszcze raz i poprosiła stajennego, by ją podsadził.

– Na pewno, panienko? Proszę się nie pogniewać, ale to diabeł, jakich mało.

– Na pewno, dziękuję.

Postawiła stopę na złączonych rękach chłopaka i wskoczyła na siodło. Sekundę potem, zanim ogier miał możliwość zaprotestować, skierowała go przez dziedziniec do wysokiej bramki prowadzącej na padok. Stajenny pobiegł przodem, by otworzyć bramkę. Leon i Violet ruszyli za nimi, stanęli przy ogrodzeniu i patrzyli, co się dalej wydarzy.

– Mam tylko nadzieję, że nic się jej nie stanie – rzekła z obawą Violet.

Leon oparł stopę na dolnej belce i przechylił się nad ogrodzeniem.

– Ja bardziej martwię się o konia. Nie ma pojęcia, co go czeka.

Saffron kłusowała, tak jak przyrzekła... ale tylko przez kilka sekund. Przeszła do skróconego galopu, lecz również jedynie na chwilę. Potem się pochyliła i ze słowami: „Dobra, mój mały, zobaczmy, na co cię stać” spięła konia do cwału, najeżdżając na pierwszą przeszkodę.

Krzyknęła z zachwytem. Po raz pierwszy od trzech miesięcy, od przybycia do Anglii, czuła się absolutną panią sytuacji. Przez następne pięć minut prowadziła ogiera po padoku w jedną i w drugą stronę i najeżdżała na przeszkody pod każdym możliwym kątem, w każdej możliwej sekwencji, wczuwając się w konia i poznając jego swoiste przyzwyczajenia i narowy, by znaleźć idealny wspólny rytm, tak jak żeglarz znajduje równowagę między łodzią a wiatrem.

W przypadku zwierząt, nie inaczej niż w przypadku ludzi, władzę najlepiej narzucać jako coś nieuniknionego, z takim przekonaniem, że strona poddana jej nie kwestionuje. Ludzie z radością podążają za przywódcą, który emanuje absolutną pewnością siebie i wydaje się kontrolować przeznaczenie – swoje i narodu. Także konie słuchają ręki i ostrogi jeźdźcy, który w ten sposób narzuca władzę. Saffron nigdy nie zastanawiała się, jak ani dlaczego potrafi zapanować nad wierzchowcem. Po prostu wiedziała, bez cienia wątpliwości, że da radę, i konie, na których jeździła, też doskonale to wiedziały.

– O rany – szepnęła lady Violet Courtney, gdy Tanqueray przegalopował obok niej, z Saffron dosiadającą go niczym dżokej. – Ta dziewczyna pędzi jak wiatr.

– Zgadza się – przyznał Leon, uśmiechając się z dumą. – Poczekaj tylko, aż zobaczysz, jak strzela.

Dwa tygodnie po wizycie Hitlera w pracowni Speera niemiecka armia wkroczyła do Nadrenii. Od zakończenia wojny ten wielki pas niemieckiego terytorium po obu stronach Renu był – na mocy traktatu wersalskiego – neutralną, zdemilitaryzowaną strefą, do której niemieckie wojska miały wstęp wzbroniony. Do 1930 roku była okupowana przez oddziały francuskie i angielskie. Teraz Hitler rzucił wyzwanie siłom ententy i zademonstrował, że może mu to ujsć na sucho, bo jego jednostronna akcja nie spotkała się z żadną odpowiedzią. Nadrenia znów była prawdziwie niemiecka i nikt nie mógł na to nic poradzić.

Niezależnie od swoich politycznych zapatrywań Gerhard był patriotą i on też poczuł nieprzytomną radość, jaka ogarnęła przeważającą część niemieckiego narodu w przededniu triumfu Hitlera. Młody von Meerbach trzy czwarte życia strawił w cieniu klęski i idącej za nią hańby. Cudzoziemcy sporządzili traktat, który odmawiał Niemcom środków samoobrony i narzucił reparacje wojenne, które zubożyły ten niegdyś bogaty naród. Gerhard, w odróżnieniu od wielu swoich rodaków, nigdy nie cierpiał niedostatku, ale w równym stopniu czuł poníženie rzuconej na kolana ojczyzny. Teraz, tak jak wszyscy Niemcy, cieszył się z odrodzenia narodowej dumy.

Dopóki wkroczenie do Nadrenii pozostawało świeże w świadomości ludzi, Hitler zarządził ogólnonarodowe referendum. Urządzono je zamiast zwykłych wyborów, żądając tylko jednej odpowiedzi, „tak” lub „nie”, praktycznie na dwa pytania: czy pochwalasz remilitaryzację Nadrenii i czy akceptujesz wybór następujących kandydatów (poza kilkoma pozornie i całkowicie fałszywie „niezależnymi” wszyscy byli członkami partii nazistowskiej) do parlamentu Rzeszy? Na czterdzieści pięć milionów głosujących ponad czterdzieści cztery miliony odpowiedziało „tak”.

Gerhard był jednym z nich. Rankiem, po tym, jak napłynęły wyniki referendum, miał odbyć lot ćwiczebny nowym myśliwcem. Zaprojektował go genialny inżynier Willy Messerschmitt, pracujący dla spółki Bayerische Flugzeugwerke – kolejnego bawarskiego przedsiębiorstwa, z którym Meerbach Motorenwerke miało od dawna

powiązania, dlatego Gerharda zaproszono, by przetestował nową jednostkę. Dostała nazwę Bf 109 i jak Gerhard natychmiast zdał sobie sprawę, stanowiła niemal kompletną rewolucję w projektowaniu myśliwców.

Samolot był wąski, a jednocześnie emanował siłą i charakterem; wyposażony w szerokie, nieco uniesione, kwadratowe na końcach skrzydła i szklaną osłonę kabiny, która zabezpieczała pilota przed siłami przyrody, ale też zapewniała znakomitą widoczność. Myśliwiec miał jednak kilka minusów. Kokpit był ciasny dla mężczyzny wzrostu Gerharda i przy lądowaniu samolot szorował ogonem po podłożu, a zadzierał nos, przez co pilot nie widział drogi, kołując na pas startowy. Poza tym należało się przyzwyczaić do jednopłatowej jednostki, większej i cięższej niż wąż, ale zwrotne dwupłatowce z otwartymi kokpitami, do których przywykli weterani Luftwaffe.

– Zachowują się jak banda starych bab, narzekają, że wszystko idzie w diabły i nic nie jest takie jak za dawnych czasów – powiedział Messerschmitt do Gerharda. – Ale ty jesteś młody. Nie masz pojęcia, jak było kiedyś. Myślę, że ci się spodoba.

Miał rację. Od momentu wzbicia się w powietrze Bf 109 okazał się rewelacją: szybki, zwrotny i tak mocny, że bez względu na to, jak ostro Gerhard rzucał nim po niebie, reagował bez zarzutu.

Gerhard był zawiedziony tylko tym, że prototyp miał silnik brytyjskiego rolls-royce'a kestrela.

– O Boże, Willy, czemu się do nas nie zwróciłeś? – spytał Gerhard. – Mogliśmy wyprodukować silnik godny tak wspaniałego projektu.

Pod koniec lotu, gdy wracał na lotnisko i napędzane adrenaliną podniecenie towarzyszące podniebnym akrobacjom ustąpiło miejsca głębokiemu zadowoleniu, jakie zawsze czuł w powietrzu, zaczął myśleć o wszystkim, co w ciągu ostatniego miesiąca spotkało jego ojczyznę i jego samego.

Nadrenia była tylko pierwszym krokiem na znacznie dłuższej drodze obranej przez Hitlera. Obrazowały to plany przebudowy Berlina. Analizując własną reakcję na obecność Hitlera i radość całego narodu z nowego sukcesu wodza, Gerhard jasno zdawał sobie sprawę, że Führer jest w mocy poprowadzić Niemcy do każdego celu, jaki sobie zamarzy. Jeśli sądzić po Bf 109 Willy'ego Messerschmitta i po tym, że projektanci czołgów i okrętów wojennych konstruowali podobnej klasy uzbrojenie do użycia na lądzie i morzu, niemieckie siły zbrojne otrzymają

narzędzia, dzięki którym zdołają wykonać każde zadanie wyznaczone przez wodza. Ta perspektywa wydawała się na pierwszy rzut oka wspaniała, ale był też inny wizerunek nazizmu: ten, który Gerhard ujrzał owej nocy w gabinecie ojca, kiedy Heydrich, siedząc za biurkiem starego hrabiego von Meerbacha, odmalował obraz zupełnie innych Niemiec, gdzie rząd ma władzę absolutną, jednostki są bezsilne, a Żydzi, komuniści czy homoseksualiści – w istocie każdy, kto nie mieści się w nazistowskiej wizji przyzwoitego Niemca – mogą być prześladowani, karani i zabijani bez prawa obrony. Takie miało być imperium, którym Hitler rządziłby ze swojego nowego pałacu w nowym Berlinie.

Leon zorganizował w Londynie oddział Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney i przekonał się, że wszystko działa tak, jak powinno. Przyszedł czas, by zabrać młodą żonę do Kenii. Jak zawsze Leon wybrał drogę powietrzną.

– Nigdy w życiu nie leciałam samolotem, zawsze wybierałam statek – powiedziała Harriet do Saffron, gdy obie stały w sypialni mieszkania przy Chesham Court, pośród otwartych kufrów i walizek oraz porzrzucanych ubrań. – A teraz lecę aż do Afryki.

– Nie przejmuj się. Może będzie hałas i nieprzyjemny zapach, czasem też może rzucać, a niektórym nawet robi się niedobrze, chociaż mnie nigdy się to nie przytrafiło – odparła Saffron, po czym widząc przerażenie na twarzy Harriet, szybko dodała: – Ale jestem pewna, że tobie nic nie grozi. I tylko zaczekaj, aż przeleciecie nad Alpami, miniecie piramidy i pojawią się Wielkie Rowy Afrykańskie. Nawet jeśli poczujesz się trochę gorzej, natychmiast o tym zapomnisz, gdy tylko wyjrzysz za okno i zobaczysz te wszystkie widoki.

Po kilku dniach również Saffron udała się w podróż pociągiem do Norymbergi, gdzie Chessi von Schöndorf i jej rodzice mieli ją odebrać. Mniej więcej w tym czasie, gdy Gerhard von Meerbach oblatywał messerschmitta, Saffy przesiadała się na dworcu w Kolonii i szła przez halę pełną umundurowanych niemieckich żołnierzy. Tydzień wcześniej sam Führer paradował ulicami tego miasta na czele potężnej kolumny ubranych na szaro oddziałów i stacja nadal była obwieszona szkarłatnymi nazistowskimi banerami z okazji tamtego wielkiego dnia, a wszędzie widniały plakaty wychwalające osiągnięcia narodowego socjalizmu.

Norymberga była jeszcze bardziej nazistowska jako miejsce wielkich corocznych zjazdów, o których Saffron czytała i które nawet oglądała w kronikach filmowych, jeszcze w Afryce. Ale na peronie czekała już Chessi, wydając wielki pisk radości na jej widok, po czym nastąpiły uściski, chichoty i okrzyki: *Hujambo? Sijambo!* Von Schöndorfowie nie mogli zgotować jej cieplejszego i bardziej uroczego powitania i Saffron musiała zadać sobie wiele trudu, by jak najgrzeczniej przekonać ich, że naprawdę nie muszą mówić po angielsku i że jej właśnie bardzo zależy

na ćwiczeniu języka niemieckiego. Pojechali do Ratzbony, miasta, które leżało najbliżej gniazda rodzinnego von Schöndorfów, i gospodarze pokazali jej wąskie uliczki, zabudowane wysokimi średniowiecznymi domami o stromych dachach, starą katedrę z dwiema zdobionymi wieżami i wiekowy most na Dunaju. „Jak w bajce! – stwierdziła z zachwytem Saffron. – Nigdy w życiu nie widziałam piękniejszego miasta!”

Przez następne dziesięć dni mieszkała u Schöndorfów niczym członek rodziny i uderzyło ją, jak bardzo ich życie przypomina to, które widziała u Courtneyów w Devonie. Oczywiście jedzenie było nieco inne. Pierwszego dnia zeszła na śniadanie i zobaczyła ser, wędliny, razowy chleb i kawę, podczas gdy Courtneyowie nigdy nie zaczynali dnia bez sporej miski owsianki, cynaderek na ostro, bekonu, kiełbasek, pomidorów, grzybów i, naturalnie, porządnej filiżanki herbaty, a jeśli ktoś miał ochotę, była jeszcze góra tostów z marmoladą. Ale poza tymi gastronomicznymi szczegółami wiejskie życie tu i tam, pełne spacerów, przejażdżek konnych, długich rozmów w deszczowe popołudnia i śpiewów przy pianinie wieczorami, tak naprawdę się nie różniło. I chociaż ojciec Chessi był może nieco sztywny i surowy, jego miłość do córki i jej trzech młodszych braci nie odbiegała niczym od uczucia, jakim Leon darzył Saffron.

Pewnego wieczoru hrabia von Schöndorf oznajmił, że w miejscowej świetlicy odbędzie się projekcja filmu. Po kolacji wszyscy domownicy, państwo i służba, załadowali się do przeróżnych pojazdów i ruszyli do wioski. Kiedy weszli do świetlicy, od razu było widać, że nie ma osoby, bez względu na wiek i płeć, która by nie znała von Schöndorfów – powitano ich niemal jak rodzinę królewską i wskazano im specjalnie zarezerwowane miejsca. Okazało się, że to film Charliego Chaplina, *Światła wielkiego miasta*. Był niemy i dzięki temu, nie tworząc bariery językowej, mógł bawić w równym stopniu wszystkich i wszędzie. Tak oto mieszkający w Ameryce angielski komik swoimi wygłupami doprowadzał do ataków śmiechu dwustu niemieckich wieśniaków, by po chwili wzruszać ich do łez niedolą młodziutkiej niewidomej kwiaciarki, z którą niepozorny włóczęga, w meloniku i z laseczką, się zaprzyjaźnił.

Kiedy Saffron i jej nowi niemieccy przyjaciele wracali do domu, pomyślała o wspólnocie ludzkości, jakże oczywistej przez fakt, że reakcja jej, angielskiej dziewczyny, na film niczym się nie różniła od zachowania każdego siedzącego tam Niemca. Nie chcieli niczego poza tym, by żyć

w pokoju i zwyczajnie wieść swoje życie, czego chciał też każdy człowiek i w Anglii, i w Kenii. Ich przywódcy na pewno zdawali sobie z tego sprawę. I na pewno nie prowadzili znów świata ku wojnie.



Ludzie od tysięcy lat mieszkali w mieście, które Egipcjanie nazywali al-Qahira. Faraonowie, Macedończycy i Rzymianie przyszli i odeszli. Koptowie, Żydzi i zwycięscy Arabowie stworzyli swoje społeczności. Ale dla Francisa Courtneya Kair był i na zawsze pozostał miastem brytyjskim. Frank dorastał w wielkim domu, nieopodal spokrewnionej rodziny Ballantyne'ów, w bogatej dzielnicy willowej, zwanej Miastem Ogrodów, której ciche kręte ulice obsadzono cienistymi drzewami, a wokół zbudowano wille i rezydencje kolonialnej elity. W tych domach życie zasadniczo toczyło się na modłę brytyjską i gdy braci Courtneyów przyjęto do klubu sportowego Gezira – znajdującego się na wyspie pośrodku Nilu, na której powstała wielka dzielnica mieszkaniowa i handlowa, Az-Zamalik – grali w tenisa, krykieta i polo jak inni angielscy dżentelmeni na całym świecie, wszędzie tam, gdzie dotarli.

Jednak teraz Francis stopniowo poznawał inny Kair. Znacznie bardziej tłoczny i brudny, ale też mocniej tętniący życiem; uderzał do głowy korzennymi woniami, gęstą, ciemną, turecką kawą i dymem z powszechnej tu sziszy. To tam, w wielkiej tajemnicy, podejmując niezliczone środki ostrożności, by upewnić się, że nikt go nie śledzi, Francis Courtney, członek zarządu Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney, podpora brytyjskiej społeczności w Kairze, zjawił się trzykrotnie w pokoiku na tyłach skromnej restauracji w podejrzanym zaułku, żeby spotkać się z Hassanem al-Banną, założycielem Bractwa Muzułmańskiego.

Al-Banna był dziesięć lat starszy od Francisa, ale tak jak Oswald Mosley, miał swoją płomienną wizję. I poruszyła ona Francisa, podobnie jak wizja Mosleya. Dwa lata po objawieniu, jakiego doznał na wiecu Brytyjskiej Unii Faszystowskiej w Earls Court, Francis zdał sobie sprawę, że nie tylko pragnie, by powstała nowa, lepsza, czystsza Brytania, ale pragnie też, by ta stara uległa zniszczeniu. Wyrastało to nie z idealizmu, lecz z nienawiści i urazy. Te emocje miały korzenie w jego uczuciach wobec braci, zwłaszcza wobec Leona. Z czasem objęły wszystko, co Francis zawsze brał za oczywiste, a teraz znienawidził: koktajlowe przyjęcia pełne kobiet, które nie chciały iść z nim do łóżka; sporty, których nie mógł dłużej uprawiać; znajomych, których liczba malała

z każdym rokiem; rodzinne interesy, które znów kwitły i – mimo że miał w nich niewielkie udziały – czyniły go bogatszym, niż był kiedykolwiek w życiu. A jednak ten wzrost zamożności Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney i jego ekspansja wzmagają tylko rozgoryczenie Francisa, bo przez to Leon stawał się jeszcze bogatszy.

Francis pragnął zdemolować do fundamentów cuchnący gmach brytyjskiej władzy w Egipcie. A wraz z nim chciał pogrzebać w ruinach egipskich Żydów. Hassan al-Banna podzielał te pragnienia. Jak wielu rewolucjonistów, pochodził ze stosunkowo bogatej, uprzywilejowanej rodziny i pracował jako nauczyciel w Ismailii, mieście nad Kanałem Sueskim, i tam też założył Bractwo Muzułmańskie. Od tej pory potępiał rządy kolonialnych panów, niewiernych, na islamskich ziemiach i wzywał współwyznawców, by szykowali się do wielkiego dżihadu, który pozwoli im przejąć własny los w swoje ręce.

Pierwszym, który zwrócił uwagę Francisa na marzenia al-Banny o wielkim powstaniu, był Prosiak Peters.

– Zapamiętaj moje słowa, Courtney – powiedział pewnego długiego gorącego popołudnia przy trzecim różowym ginie – brudasy znów się jeżą. Mój kumpel, który pracuje przy kanale, mówił mi, że jest taka nowa banda, Bractwo Muzułmańskie, które prowadzi kampanię między robotnikami, buntuje ich przeciwko niewiernym, wbija tym prostakom do łbów, że powinni żyć w czystości i wierze, czytać Koran od rana do nocy... Bóg wie, jakie inne bzdury. W każdym razie wynik jest taki, że doły aż kipią. Na razie jeszcze nic poważnego się nie dzieje. Ale tylko czekać.

– Niech mnie diabli, Prosiak, cholernie nieciekawa wizja – odparł Frank, jednak w głębi duszy był zaintrygowany.

Zaczął wokół rozpytywać, a gdy się dowiedział, że al-Banna przeniósł się do Kairu, napisał do niego, podpisując się „Wielbiciel”, i zaproponował wsparcie finansowe dla bractwa.

Hassan al-Banna był skrajnie nieufny, obawiając się pułapki. Ale gdy po pierwszej dotacji, w wysokości pięciuset funtów, przyszła następna i policja nie wyważyła mu drzwi, wysłał pośrednika na spotkanie z tajemniczym darczyńcą, po czym osobiście spotkał się z Courtneyem.

– Pańska dotacja niesłychanie mi pomogła – powiedział al-Banna. – Przesłanie wyzwolenia i wiary, głoszone przez bractwo, szerzy się coraz bardziej. Mamy przyjaciół w całej *umma*, w Egipcie i poza nim. Rozmawiamy, planujemy, razem przygotowujemy dżihad. Spójrz na

północ, mój przyjacielu. Patrz, co czyni Czarna Ręka. Zobacysz, ile zawdzięczamy twoim pieniądzom.

Francis już wiedział, że *umma* to cała wspólnota islamska, bez podziału na państwa. W Wielkanoc 1936 roku, kiedy Arabowie w Palestynie pod wpływem islamskiej bojówki, nazywającej siebie „Czarna Ręka”, podjęli pierwsze kroki ku otwartej rebelii przeciwko brytyjskiemu panowaniu i rozpoczęli strajk generalny, zrozumiał, o czym mówił al-Banna. Ale nie była to jedyna wieść, jaką miał dla niego przywódca Bractwa Muzułmańskiego.

– Nie tylko ty, mieszkaniec Dar-al-Harab, imperium niewiernych, nazywanego przez nas Domem Wojny, angażujesz się w tę wspólną sprawę – powiedział al-Banna. – Inni też przyznają, że naszego największego wroga, gorszego nawet niż Brytyjczycy, można znaleźć w Syjonie. Przybyli do mnie z ofertą pomocy, tak jak ty, i pozwoliłem sobie skierować ich do ciebie, wierząc, że możesz być ich przyjacielem, jak jesteś moim. Wkrótce nawiążą z tobą kontakt.

Niedługo potem Francis Courtney został zaproszony jako członek zarządu Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney na oficjalne przyjęcie w ambasadzie Niemiec, wydane na cześć wizyty niemieckiej delegacji handlowej w Egipcie. Składała się z urzędników Ministerstwa Handlu Rzeszy, którym licznie towarzyszyli znamienici ludzie interesu. Jak zauważył Francis, niemal każdy z nich nosił w klapie smokingu znaczek NSDAP.

Jeden z ministerialnych urzędników, Manfred Erhardt, przedstawił Francisa paru najbardziej wpływowym biznesmenom, jasno dając im do zrozumienia, że Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney to świetnie prosperująca, wpływowa i potencjalnie użyteczna spółka, a Francis Courtney jest w niej najważniejszym członkiem zarządu i udziałowcem. „Herr Courtney może zaopatrzyć nasze fabryki w ropę naftową, nasze tkalnie w bawełnę i nasze kochanki w brylanty”, obwieścił urzędnik kolegom delegatom, a wybuch śmiechu, który nastąpił po tej rekomendacji, zbudował wielce korzystny nastrój podczas kilku bardzo obiecujących rozmów.

– Dziękuję panu – powiedział potem Francis. – To było diablo uprzejme. Mogliśmy strawić lata, usiłując zyskać dostęp do niemieckiego rynku, i nie osiągnęlibyśmy tyle co w ten jeden wieczór.

– Nie ma o czym mówić, mój drogi – odparł Erhardt. – Rozumiem, że mamy wspólnych przyjaciół i wspólne interesy, które... jak by to ująć...

wykraczają poza świat handlu, czyż nie?

– Och, tak, jak najbardziej. Przypuszczam, że śledził pan rozwój ostatnich wydarzeń w Palestynie?

– Oczywiście, z wielkim zainteresowaniem. Teraz nie wypada mi dłużej pana zatrzymywać. Ale jestem pewny, że zainicjowane dzisiaj partnerstwo między Przedsiębiorstwem Handlowym Courtney a Trzecią Rzeszą przyniesie korzyść obu stronom. I mam też nadzieję, że w najbliższych tygodniach i miesiącach pan i ja będziemy mogli podjąć dalszą dyskusję na temat wspólnych interesów.

– A więc zatrzymuje się pan w Kairze?

– Tak, na jakiś czas. – Erhardt uśmiechnął się przyjaźnie. – Jak by to powiedział Anglik? Ach, tak... Jeszcze na siebie wpadniemy, stary.

Pan Brown był najwyraźniej człowiekiem niezwykle wpływowym, bo bardzo swobodnie i bez cienia ostentacji mówił o swoich spotkaniach z premierami, od Gladstone'a – pan Brown był bardzo młodym człowiekiem podczas czwartej i ostatniej administracji tego wielkiego męża stanu – do obecnego lokatora domu przy Downing Street 10, Stanleya Baldwina. Jego opinie okazywały się roztropne i wyważone, ale też odkrywcz.

– Pan Baldwin służył już dwóm królom Anglii w pierwszym roku sprawowania swojego urzędu i wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby niebawem miał służyć trzeciemu – zauważył pewnego czerwcowego wieczoru 1936 roku podczas kolacji przy jednym z najświetniejszych książęcych stołów Anglii.

Począł z tą uwagą, aż wyszły damy, bo jak lubił powtarzać: „Jest głupotą, a nawet niesprawiedliwością oczekiwać od płci pięknej tyleż dyskrecji, co urody”. (Prawdę mówiąc, swoją karierę pan Brown w ogromnej mierze zawdzięczał kobiecej zdolności wydobywania tajemnic od kompletnie niedyskretnych mężczyzn. Ale też w niewielkiej mierze był tym, kim się wydawał).

– A niech to, człowieku, co też ty opowiadasz! – wykrzyknął książę, dając znak lokajowi, by dolał porto do jego kieliszka. – Jego królewska mość jest przecież w kwiecie wieku. Nie ma żadnego powodu przypuszczać, że długo nie pociągnie. Przeżyje nas wszystkich, śmiem twierdzić.

– Z całym szacunkiem, wasza książęca mość, nie sugerowałem, że król umrze, lecz chodziło mi jedynie o to, że nie będzie dłużej naszym monarchą.

Pół roku później Edward VIII faktycznie abdykował, rezygnując z tronu dla miłości do wielokrotnej cudzołożnicy, na której liście kochanków znalazł się również, jeśli informacje pana Browna były prawdziwe, niemiecki ambasador w Berlinie, Joachim von Ribbentrop.

Na innej kolacji, tuż przed Bożym Narodzeniem, ten sam książę oznajmił swoim gościom:

– Powiem wam coś naprawdę dziwnego. Pewien facet, nazywa się Brown, siedząc tu, przy tym stole, jakby nigdy nic zapowiedział, że

Edward niebawem zrezygnuje z tronu. Zrobił to, zanim sprawa ujrzała światło dzienne. Niemal go wyśmiałem, twierdząc, że mówi bzdury. No cóż, to pokazuje, jak bardzo można się pomylić, prawda? Zabawny facet, ten Brown. Niech mnie szlag trafi, jeśli ktoś wie, czym dokładnie się zajmuje, ale wygląda na to, że zna wszystkie poufne informacje.

– A wiecie – zauważył jeden z gości – że nie jestem pewien, czy ktoś kiedykolwiek zwrócił się do niego po imieniu? Nawet nie wiem, jak ma na imię. Czy to nie dziwne?

– Pan Brown jest niezwykle czarujący – odezwała się atrakcyjna markiza, którą na wyraźne życzenie księcia usadzono obok niego. – Oczywiście, musi liczyć sobie co najmniej siedemdziesiąt lat, ale nadal ma ten uroczy, niesforny błysk w oku.

– No cóż, ja dobiegam siedemdziesiątki. Mam nadzieję, że błysk w moim oku wciąż jest uroczy! – wtrącił książę.

– Nie powiedziałabym, że uroczy. Już prędzej jest niesforny.

Książę był zachwycony. Kiedy śmiech ucichł, rozmowa wróciła do kryzysu w domu Windsorów.

– Chciałbym wiedzieć, jak mamy szanować króla, który nie potrafi wydusić dwóch słów na krzyż, żeby nie gulgotać jak indyk – rzekł książę.

Dopiero później, gdy panie przeszły do salonu, gdzie czekały na panów, aż skończą rozmawiać, jeden z nich znów wspomniał o panu Brownie.

– Podoba mi się w nim to, że słucha, co ktoś do niego mówi. Jakże często udajemy zaniepokojenie, wysłuchując najpotworniejszych nudziarzy, gadających w kółko o sobie, podczas gdy jego naprawdę interesuje twoje życie i twoje zdanie. I ani się obejrzyś, zaczniesz mówić mu rzeczy, których normalnie nikomu za żadne skarby świata byś nie zdradził. Coś mi się wydaje, że facet był w swoim czasie niezłym kobieciarzem.

Rzeczywiście, pan Brown potrafił słuchać jak mało kto. Wiedział, iż w zamian za zaproszenie oczekuje się od niego, że będzie zabawiać towarzystwo, więc zawsze miał w zanadrzu wachlarz ploteczek ze sfer rządowych i parlamentarnych, gotów rozłożyć go przed gospodarzami – czy byli to właściciele okazałych domów przy Park Lane, czy rektorzy Oksfordu lub Cambridge, którzy regularnie zapraszali go na wytworne kolacje. Dawno już zresztą zauważył, że wcale nie musi wiele mówić – wystarczy, że to, co powie, zrobi odpowiednie wrażenie. A kiedy milczał, skupiał uwagę na słowach innych.

Półtora roku po abdykacji króla pan Brown zaczął słyszeć tu i ówdzie strzępki rozmów o wyjątkowej dziewczynie, która przyleciała do Anglii z głębi Afryki i spowodowała nie lada zamieszanie w zamkniętym świecie angielskiej klasy wyższej, gdzie każdy znał każdego, wszyscy chodzili do tych samych szkół i chłopcy służyli w tym samym regimencie, a dziewczęta pojawiały się na tym samym balu debutantek. Wszystkie najważniejsze rodziny były spowinowacane i zwłaszcza kobiety potrafiły z wszelkimi szczegółami opisać więzy krwi i koligacje łączące je z takim czy innym wielkim posiadaczem ziemskim lub tytanem polityki. Tak więc gdy pojawiał się ktoś nowy, obdarzony talentami, które wyróżniały go ze stada, błyskawicznie trafiał na języki.

Tak właśnie było z Saffron Courtney.

– Ostatnio bawiłem w Devonie, gdzie spędziłem weekend z Gilbertem i Gladys Aclandami w Huntsham – zwrócił się emerytowany generał do pana Browna, gdy obaj, sącząc sherry, siedzieli w klubie oficerskim przy Pall Mall, „flagowym”, jak nazywali go członkowie.

– Co tam u Aclanda? – spytał pan Brown.

– Bez zmian. Znakomity facet, porządny do szpiku kości. Najdumniejszy jest z tego, że przez te lata, kiedy był posłem z Tiverton, na posiedzeniach izby ani razu nie otworzył nawet ust. „Nie znajdziecie ani śladu mojego nazwiska w raportach z obrad”, mówi. Stuprocentowy Acland!

– Ale podobno w komisji się nie obijał. Dużo działał za kulisami.

– No i był cholernie dobrym żołnierzem. Służył w Afryce Południowej i na wojnie jako pułkownik regimentu, dali mu Krzyż Wojskowy. Jest też szefem koła łowieckiego w Tiverton i za mojego pobytu prowadził polowanie w Huntsham. Aclandowie mieli jeszcze jednych gości, Courtneyów, znasz ich? Sir William i lady Violet, mieszkają w Wielkim Borze, urocza para.

– Chyba gdzieś się spotkaliśmy – powiedział pan Brown, nadstawiając ucha na nazwisko „Courtney”.

– Wzięli ze sobą młodą krewną, Saffron Courtney. Uczy się w Roedean, jej rodzice siedzą w Kenii, a ona lata do nich w przerwach semestralnych, jakoś tak. Cóż, starzeję się, ty pewnie też, Brown, ale muszę powiedzieć, że gdybym znów był młodym porucznikiem, którego rozpira energia, poderwałbym tę młodą Courtneyównę. Na Boga, urocza z niej klaczka. Wysoka, zauważ, mojego wzrostu, ale te jej

śleпка jak bławatki i usta jak różyczka... Dużo by się dało, żeby znów być młodym, co?

– Nie wiesz przypadkiem, kim są jej rodzice? – spytał Brown, myśląc: Czyżby to mogła być córka Ewy?

– Śmieszna sprawa, Violet coś wspominała, niech pomyślę... Tak, zgadza się. Staruszek to Leon Courtney. Kiedyś biały łowca, jak mi się zdaje. Znasz ten gatunek, zarabia na chleb, niańcząc bogatych turystów na safari. Teraz wygląda na to, że sam jest bogaty jak Krezus. Chociaż nikt nic nie wie na pewno. Stracił pierwszą żonę, matkę dziewczyny, ale ostatnio znów się ożenił. Młoda Saffron podobno uwielbia swoją macochę.

Tak, to ona! Po tych wszystkich latach, pomyślał pan Brown i zapytał zdawkowym tonem:

– Polowałeś?

– Chodziło mi to po głowie. Nie zaprzeczam, korciło jak diabli, ale obawiam się, że konne polowania to już nie dla mnie. Żałuję, że nie pojechałem, bo kiedy wszyscy wrócili, gadali tylko o tym, jaki popis dała Courtneyówna.

– To znaczy?

– No, rzecz w tym, że nikt czegoś podobnego nie widział. Dosiadła cholernie wielkiego ogiera, którego Courtneyowie trzymają dla syna, ponad metr siedemdziesiąt w kłębie, koń absolutnie nie dla dam. Wielu facetów, co zęby zjadło na parkurach, stare kawaleryjskie wygi, spekulowało, że jak ją zrzuci, sama będzie sobie winna, dosiadła takie monstrum. No i pokłusowali do zagajnika, gdzie, jak mówili miejscowi chłopci, widziano lisy. Wszyscy czekali, jak to zwykle. Pod tym względem polowanie jest jak wojna: niekończące się wyczekiwanie i nagle wszyscy rzucają się do akcji. Ale tak czy siak, psy złapały trop, dały głos i bierz go! Wszyscy ruszyli, jasne?

– Absolutnie.

– Hm, nie wiem, czy orientujesz się, jak wygląda polowanie w tamtej części Devonu...

– Nie za bardzo.

– Zupełnie inaczej niż gdzie indziej. Widzisz, tamtejsze pola są zwykle rozgraniczone nie murami czy żywopłotami, ale skarpami. Wysokości mniej więcej człowieka, są bardzo strome, na szczycie dość szerokie, by koń mógł zebrać się do zeskoku. Oczywiście, nienawykli do tego rodzaju



przyjemności potrzebują trochę czasu, żeby opanować technikę i dać sobie radę.

– Wyobrażam sobie.

– Ale nie nasza panna Courtney. Ten wielki ogier pokonał skarpe jednym skokiem, a mała nawet nie mrugnęła. Acland powiedział, że śmignęła jak najlepszy dżokej na najlepszym koniu na najtrudniejszym torze. Najwyraźniej dziewczyna ma wrodzony talent. Wspaniały dosiad, odważna jak lew, ale niestety, bez żadnego pojęcia, jak się zachować. Pewnie nic dziwnego, jeśli zważyć, że dorastała w afrykańskim buszu. Podobno wyprzedziła dojeżdźaczy i zrównała się z prowadzącym polowanie. Trudno sobie wyobrazić większą gafę. Acland musiał potem zamienić słówko z Billem Courtneyem, prosząc go, żeby zapoznał swoją młodą krewną z zasadami. Ale nie potrafił się na nią gniewać. Nikt by nie potrafił. Fantastyczna amazonka, rozumiesz?

– Znałem jej matkę – powiedział pan Brown z nietypową dla niego nutą wzruszenia w głosie, której nie zdołał ukryć, czego zresztą natychmiast pożałował.

– Też była taka piękna? – spytał generał.

Pan Brown stwierdził, że w końcu może pociągnąć tę grę.

– Niewątpliwie, największa piękność, jaką moje oczy widziały.

– Rozumiem... znałeś ją dobrze, co?

Pan Brown wzruszył ramionami – enigmatycznie, ale znacząco.

– Ty cwany lisie! – powiedział generał i powtórzył: – Och, dużo by się dało, żeby znowu być młodym.

Saffron wróciła do Kenii na letnie wakacje i zastała Lusimę w stanie gorączkowej aktywności. Zespół hinduskich budowniczych i dekoratorów – w Kenii osadnicy zawsze najmowali Hindusów do budowy i konserwacji swoich domów, tak jak do służby brali Somalijczyków – urządzał biuro i pomieszczenie sypialne dla służby w jednej z przybudówek, podczas gdy Harriet nadzorowała całkowitą przemianę wnętrza. Pierwszą reakcją Saffron był szok: Harriet napisała, że przeprowadza „drobny remont”, ale Saffron nie miała pojęcia, że chodzi o zmiany na taką skalę.

– Nie planowałam tego – wyznała Harriet, widząc zdziwienie dziewczyny. – Ale kiedy zaczęłam się zajmować jednym pokojem, żeby wyglądał ładnie... hm, chodź ze mną. Pokażę ci, o co mi chodzi.

Zaprowadziła Saffron do salonu, gdzie przede wszystkim rzucały się w oczy podwójne balkonowe drzwi prowadzące na taras, z którego roztaczał się widok na ogród i wspaniałe góry Aberdare w oddali. Saffron najpierw uderzyło to, że pokój się rozjaśnił, po czym dostrzegła poszczególne elementy przemiany: odmalowane na biało wnętrza okienne, ozdobne gzymsy na szczytach ścian i suficie, nowy bladnoróżowy dywan, świeże tapety i wielkie wazy pełne pięknych róż z ogrodu. Zauważyła też coś jeszcze: Harriet nie zmieniła portretów na ścianach ani stojących na fortepianie oprawionych zdjęć, których część ukazywała rodzinę z czasów, gdy Eva jeszcze żyła. Nowa pani domu zaznaczyła swoją osobowość, ale uszanowała wszystko, co wydarzyło się, zanim tu przybyła.

– Bardzo ładnie – stwierdziła Saffron.

Harriet odetchnęła z ulgą.

– Tak się cieszę, że ci się podoba. Martwiłam się, jak na to zareagujesz. A teraz chodźmy do jadalni.

Saffron poszła za nią do pomieszczenia, w którym zjadła tyle posiłków, zawsze siedząc na swoim krześle, zawsze patrząc ponad stołem na stary mahoniowy kredens, w którym trzymano porcelanę i sztuce. Wszystkie meble zostały wyniesione, bo Hindusi mieli niebawem rozpocząć remont. Teraz tym wyraźniej było widać, jakie

stare i spłowiałe są zasłony, jaki wydeptany jest dywan, jak zabrudziła się farba nad listwami przypodłogowymi.

Saffron od razu zrozumiała, dlaczego remont musiał objąć cały dom. Ale też widząc, jak zaniedbany jest ten pokój, który zawsze tak lubiła, poczuła, że zbiera jej się na płacz, i zagryzła wargę.

– Och... – zdołała tylko wydusić z siebie.

– Wiem – powiedział Leon, wchodząc za nią do jadalni. – Teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo zapuściłem ten dom.

– Nie, to nie twoja wina, tato. Ty po prostu... – Saffron urwała, szukając stosownego słowa.

– Nie zwracałem na to uwagi – ciągnął ojciec. – Po prostu zachowałem się jak typowy mężczyzna, skupiony na interesach, posiadłości i wszystkich sprawach, które mnie interesowały, a zaniedbałem dom i to, co w nim było.

– Wymieniłam całą pościel – powiedziała Harriet. – Prześcieradła były tak zużyte, że prześwitywały, a ręczniki... hm, im mniej o nich mówić, tym lepiej.

– Kupowanie pościeli to nie moja bajka – przyznał Leon. – I powiem ci coś jeszcze, Saffy: jedzenie też się poprawiło.

– No tak, wczorajsza kolacja była doskonała. Porozmawiałam z *mpishi* i jego *toto* – powiedziała Harriet, a Saffron i Leon wymienili spojrzenia, rozbawieni tym, jak szybko Harriet nauczyła się suahili, przynajmniej w zakresie terminologii kuchennej. – Z mojego doświadczenia wynika, że służba lubi mocną rękę, bo wtedy wie, że jest ktoś, kto pilnuje porządku w domu. Jeśli gotują dobrze, zawsze pamiętam, żeby ich pochwalić, a jeśli coś zaniedbają, to usłyszą co trzeba. Myślę, że wszyscy się rozumiemy.

– Mam wrażenie, że napędzasz im nieziemskiego stracha, kochanie – powiedział Leon. – Jednak są ci oddani, więc w sumie jest tak, jak być powinno. Ale do rzeczy. Szukałem was, bo nagle mnie oświeciło, że może przez ostatnie dziesięć lat reszta posiadłości też po cichu niszczała, tak jak dom. A ponieważ do mojego gabinetu ma wpaść ożywczy huragan pod postacią Harriet Courtney, uznałem, że jest dobra pora na pełny przegląd. Wyruszamy jutro o brzasku, Manyoro i ja, tylko we dwóch, pieszo, ze spaniem pod gwiazdami. Będzie jak za dawnych czasów.

– Żałuję, że nie wzbudza w tobie równie wielkiego entuzjazmu perspektywa spędzenia czasu ze mną – poskarżyła się żartobliwie

Harriet, a jej uśmiech wskazywał, że ona doskonale wie, jak Leon uwielbia jej towarzystwo.

– Powiedziałaś, że zmieniasz wystrój gabinetu? – spytała Saffron z nutą niepokoju w głosie. – A co zamierzasz zrobić z... – spojrzała przeproszająco na Harriet i dokończyła: – z portretem mamy?

– Bardzo dobre pytanie – stwierdził Leon. – Długo rozmawialiśmy o tym z Harriet. Nie wydaje mi się, że mężczyzna powinien rozpoczynać nowe życie z drugą żoną, gdy wspomnienie pierwszej nadal błąka się po domu niczym duch pokutujący.

– Ale mama nie jest...

– Zaczekaj! Prr, Saffron, daj mi skończyć... Uwielbiam ten obraz tak samo jak ty. I dlatego, zgodnie z sugestią Harriet, poprosiłem Wasiljewa, by zrobił mniejszy portret mamy, który gdzieś powiesimy, choć jeszcze nie wybrałem miejsca. Dawny portret starannie opakujemy i przechowamy, żebyś mogła zawiesić go u siebie, kiedy będziesz na tyle dorosła, aby mieć własny dom.

– A my zamierzamy zamówić nowy portret... nas – powiedziała Harriet, podchodząc do Leona i biorąc go pod ramię.

Oboje patrzyli na Saffron i zdała sobie sprawę, że choć tego nie mówią, proszą ją o zgodę.

To odwrócenie ról było czymś nowym, ale ich szczęście i nadzieja, że stanie się jego częścią, wydawały się tak szczerze, że całkowicie uległa.

– Myślę, że to wspaniały pomysł – powiedziała. – Ale kiedy portret będzie gotowy, nie powinniście chować go w gabinecie. Należy powiesić go w jadalni, żeby wszyscy mogli go oglądać.

– No tak, to jest pomysł – przyznał Leon. – A teraz, niech mi panie wybaczą, muszę przygotować ekwipunek na moją wielką pieszą wędrówkę po całej posiadłości.

– Twoje pojawienie się tutaj tak wiele zmieniło – powiedziała Saffron, gdy znów zostały same. – Lusima jest jak tajemniczy ogród, znów powracający do życia.

– Och, uwielbiałam *Tajemniczy ogród*, kiedy byłam małą dziewczynką! – wykrzyknęła Harriet.

– Ja też, i zawsze płakałam, kiedy ojciec Colina wracał do domu, chociaż znałam to już na pamięć. Myślę, że tak naprawdę wyobrażałam sobie, że to mama do mnie wraca.

– Nigdy nie poznałam swojego ojca. Porzucił matkę, zanim się urodziłam. Wciąż się zastanawiam, czy jest tam gdzieś i czeka, żeby się

ze mną spotkać...

Saffron podbiegła do Harriet i mocno ją objęła. Harriet przytuliła ją, a po chwili spytała:

– To co, idziemy obejrzeć twój pokój? Nie odważyłam się niczego dotknąć bez twojego pozwolenia i obiecuję ci, że jeśli coś będzie tam zmieniane, to tylko za twoją zgodą.

Następnego dnia Saffron obudziła się przed świtem. Wciągnęła szorty i sweter, zeszła do kuchni, zaparzyła sobie herbatę i wzięła kubek na dwór. Powietrze nadal było chłodne, pierwsze światło nowego dnia rysowało bladą złotą linię wzdłuż wschodniego horyzontu. Saffron usiadła na tylnych schodkach i podciągnęwszy kolana do piersi, grzała ręce o kubek z herbatą.

Powoli ta strona domu budziła się do życia, gdy pierwsi *toto* wyłaniali się z sypialni, by upiec bułeczki na śniadanie. Szeroko uśmiechali się do Saffron, która witała chłopców po imieniu, bo знаła ich od maleńkości. Rozmawiali w suahili, od czasu do czasu wtrącając coś po arabsku – Saffron pytała ich o rodziny, niektóre mieszkające w Somalii, tysiące kilometrów stąd, i wysłuchiwała ich odpowiedzi z taką samą ciekawością, jakby słuchała swojej koleżanki.

W końcu pojawił się powód, dla którego zerwała się tak wcześnie.

– Wujek Manyoro! – wykrzyknęła i popędziła w jego kierunku, jak gdyby nadal była małą dziewczynką.

Przywitali się, po czym przyjrzał jej się z poważną, niemal surową miną i rzekł:

– Zmieniłaś się, moja mała księżniczko. Stałaś się kobietą. – Wielki uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Teraz będę cię nazywał „moją królową” – dodał.

Pojawił się *toto* i z szacunkiem podał Manyorowi kubek mocnej, czarnej, bardzo słodkiej kawy, bez której Manyoro nie wyobrażał sobie początku dnia. Wielki Masaj przysiadł na stopniach obok Saffron.

– A więc co sprawiło, że czekasz tu na mnie, na dworze, w chłodzie poranka, skoro mogłaś leżeć w ciepłym łóżku w domu? – spytał.

– Muszę coś wiedzieć.

– A co mianowicie?

– Co myślisz o Harriet? Podoba ci się? Myślisz, że wszyscy w posiadłości ją polubią?

– Hm... – powiedział w zamyśleniu, siorbiąc kawę. – Z twojego głosu domyślałam się, że ty bardzo ją lubisz i chcesz, żebyśmy powiedział „tak”.

– A ty nie chcesz tego powiedzieć? – zapytała z nagłym niepokojem Saffron.

Manyoro znów pociągnął łyk kawy, po czym odrzekł:

– Wiesz, że bardzo kochałem twoją matkę. Była kobietą mojego brata, więc była dla mnie jak siostra.

– Tak, wiem.

– Kiedy odeszła, w życiu mojego brata zgasło światło. Chodził jak człowiek, mówił jak człowiek i wydawał się człowiekiem, ale tak naprawdę był tylko pustą skorupą. Utrata twojej matki wydarła mu serce.

– Wiem...

– Przez wszystkie tamte lata czułem jego smutek i też byłem smutny. Mam swoje żony i dzieci i dzięki nim jestem szczęśliwy. Chcę, żeby mój brat też był szczęśliwy. Teraz ma nową panią Courtney... – Zamilkł i Saffron prawie nie mogła wytrzymać napięcia, aż Manyoro powiedział: – I teraz światło wróciło w oczy mojego brata. Teraz jego serce znów bije. Każdy tutaj to czuje. Wódz znów ma kobietę. Dzięki niej znów jest mężczyzną. I dlatego ludzie tu są szczęśliwi. Dlatego ja jestem bardzo, bardzo szczęśliwy.

– Och, Manyoro, tak się cieszę! – zawołała Saffron, obejmując ramionami jego potężny biceps. – Czuję to samo. To jak z domem. Nie zdawałam sobie sprawy, jak zmarniał, dopóki nie zobaczyłam, jak odmłodził dzięki Harriet. I tak naprawdę nie wiedziałam, jaki tato jest smutny, dopóki nie zobaczyłam, jaki jest z nią szczęśliwy.

– W dodatku to silna kobieta... To mi się podoba. Taki mężczyzna jak M'Bogo potrzebuje u swego boku kobiety, która dorównuje mu siłą. – Zaśmiał się pod nosem. – *Mpishi* mówił mi coś o swojej nowej pani. Powiedział, że jest bardzo zasadnicza. Wszystko musi być zrobione dokładnie tak jak trzeba, jak ona każe.

– Wiem. – Saffron zachichotała. – Widziałam, jak wydaje rozkazy.

– Tak więc zadał sobie pytanie: „Co będzie, jeśli nie zrobię dokładnie tak, jak pani mówi? Zauważy to czy nie?”.

– O rety...

– No i kiedyś, szykując kolację, zrobił wszystko idealnie, wszystko jak być powinno... poza ziemniakami. Miał zrobić gotowane, a on je upiekł. Najlepiej jak umiał. Ale tak czy siak, były pieczone, a nie gotowane.

– I co dalej?

– Kolację podano. Wszystko zostało zjedzone. Potem pani Courtney przyszła do kuchni. Pochwaliła *mpishi* i *toto* za posiłek, mówiąc, że jedzenie było wyborne, a obsługa doskonała. Ruszyła do wyjścia, ale już

w drzwiach odwróciła się i powiedziała do *mpishi*: „Tylko jak jeszcze raz podasz ziemniaki nie takie jak trzeba, porozmawiam z *bwana* Courtney i poproszę, żeby cię zwolnił”.

– Och, nie! – Saffron nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, żeby Harriet mogła być tak surowa. – To musiało być straszne dla *mpishi*!

– Wcale nie, był w siódmym niebie. Powiedział mi: „Od kiedy pierwsza *memsahib* umarła, byłem jak niewidzialny. Teraz oni znów mnie widzą i wszystko jest jak należy”. I ma rację, wszystko jest jak należy. – Wstał i oznajmił: – Muszę cię teraz zostawić. Twój ojciec będzie się zastanawiał, gdzie jestem. Nie mogę pozwolić, żeby na mnie czekał. To bardzo by rozgniewało panią Courtney i mogłaby mnie zwolnić!

Manyoro wszedł do domu, zaśmiewając się pod nosem z własnego żartu. A Saffron nadal siedziała na schodkach, jaśniejąc ze szczęścia.



Gerhard von Meerbach i jego brat Konrad nie mieli w zwyczaju spędzać wspólnie czasu, zwłaszcza gdy mogli tego uniknąć. Ale pewnego pięknego letniego wieczoru, gdy powietrze było ciepłe i nieruchome, Konrad znalazł się przypadkiem na przyjęciu urządzonym na tarasie, nad brzegiem Sprewy, by uczcić zakończenie wszystkich niezbędnych przygotowań przed igrzyskami olimpijskimi, które miały ruszyć w mieście już za dwa tygodnie. Konrad ucieszył się z zaproszenia, ponieważ było to głównie spotkanie dygnitarzy Rzeszy, a dopiero potem urzędników, rzemieślników i wykonawców, którzy wykonali całą robotę. Miał na sobie mundur SS, tym bardziej imponujący, że ostatnio pojawiły się na nim srebrne liście dębu. Dzięki nim Konrad z jeszcze większą pewnością siebie odpowiadał na zachwycone spojrzenia kobiet, które mijał.

Dobrze wiedział, że między bogactwem i władzą mężczyzn a urodą kobiet zawsze i wszędzie istnieje niezawodny związek. Zebrani tu dzisiaj mężczyźni mieli największą władzę w Rzeszy, a zaproszone panie były odpowiednio urodziwe. Ciepła pogoda skłoniła wiele z nich do włożenia lekkich jedwabnych sukni odsłaniających ramiona i dekolty, a często plecy, tak że materiał ledwo zakrywał szczyty pośladków i zdawało się, że pod spodem nie może być żadnej bielizny. W takie noce Konrad był wdzięczny swojej żonie Trudi, która zgodziła się pozostać w Bawarii, gdzie zajmowała się ich dwuletnim synkiem i niedawno narodzoną córeczką. Trudi była śliczną, uległą, pozbawioną wyrazu blondyneczką, której największą zaletę stanowiły rodzinne powiązania. Bratem jej dziadka był Gustav von Bohlen und Halbach, czyli Gustav Krupp, jak teraz się mienił za zgodą samego cesarza, ożeniony z dziedziczką wielkiego producenta stali i uzbrojenia, Friedricha Kruppa. Skoligacenie się z najpotężniejszą przemysłową dynastią Niemiec było korzystne i dla osobistej pozycji Konrada, i dla interesów Meerbach Motorenwerke. Natomiast dla jego życia seksualnego korzystne było to, iż żona przebywała kilkaset kilometrów dalej, w pięknym domu na terenach Schloss Meerbach, podczas gdy sam mógł uganiać się za kobietami w Berlinie.

Rozważał właśnie, którą z nich wziąć na celownik, gdy zauważył znajomą postać w eleganckim, choć nazbyt swobodnie uszytym garniturze, uśmiechając się uroczo do trzech ślicznotek, rozanielonych jego towarzystwem.

No nie, to niemożliwe, jęknął w myślach Konrad. O Boże, to on. Niech go szlag!

Zacisnął zęby i przywołał na twarz blady uśmiech: warto było się poświęcić, jeśli dzięki temu pozna te kobiety.

– Gerd, co za miła niespodzianka spotkać cię tutaj. Braciszku, zechciej mnie przedstawić twoim uroczym znajomym.

– Oczywiście – powiedział Gerhard, a młode kobiety uśmiechnęły się kokieteryjnie do postawnego oficera SS, który właśnie pojawił się na scenie. – Konnie, pozwól, że przedstawię ci Gerdę, Sabi i Janę. Drogie panie, to mój starszy brat, Standartenführer SS, hrabia Konrad Meerbach.

Konrad stuknął obcasami i skłonił głowę.

– Jestem zaszczycony, mogąc panie poznać.

Gerhard uśmiechnął się, bo wszyscy i wszędzie zachwycali się kochającym młodszym bratem, który z takim podziwem przedstawiał swojego wspaniałego starszego brata.

– Zjawiasz się w idealnym momencie, Konnie. Właśnie zamierzałem opowiedzieć paniom o moim niedawnym spotkaniu z samym Führerem.

– Z kim? – Konrad nie zdołał ukryć zaskoczenia i niedowierzania. Przemądrzały szczeniak odprawiał jakąś błazenadę. Wykluczone, żeby mówił prawdę. – To żart? Powiem ci, Gerhardzie, że w bardzo złym stylu.

– Spokojnie, staruszkule, to najszczęśliwsza prawda. Miałem honor i przywilej poznać Führera, kiedy odwiedzał pracownię architektoniczną Speera, w której pracuję. Nawet poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że jestem najlepszym przykładem narodowego socjalizmu.

Konrad czuł, jak samozadowolenie, które jeszcze chwilę temu przepełniało go całego, ulatuje w berlińską noc, pozostawiając gorzki i pustkę. Przez lata chełpił się swoją bliską znajomością z najpotężniejszymi ludźmi w nazistowskiej hierarchii – i była to prawda. Na co dzień pracował z Heydrichem, często rozmawiał z Himmlerem i został przedstawiony Bormannowi i Goebbelsowi.

Zdarzało mu się przebywać w jednym pomieszczeniu z Hitlerem. Ale nigdy nie zamienił z nim ani słowa.

– A dlaczego podszedł akurat do ciebie? – zapytał Konrad, za wszelką cenę starając się, by trucizna nie przeniknęła z serca do słów, bo nie zyskałby uznania tych kobiet, gdyby dostrzegły, że zazdrości bratu.

– Hm, miałem zaszczyt pracować nad planami przekształcenia Berlina w stolicę godną Rzeszy. To projekt bardzo drogi sercu Führera, więc...

Gerhard opowiedział, jak doszło do spotkania z Hitlerem. Konrad z bólem stwierdził, że brat mówi prawdę, tym bardziej że wyraźnie się delektował, opisując, jak Hitler gratulował mu tego, że jest jednocześnie budowniczym i obrońcą Rzeszy.

– Jak to możliwe, że jesteś architektem i pilotem Luftwaffe? – spytała jedna z dziewcząt, chyba ta o imieniu Jana.

Bo mu rozkazałem, do cholery! – zaklął w myślach Konrad.

– Och, jestem tylko rezerwistą, pilotem myśliwca w wolnym czasie – powiedział z fałszywą skromnością Gerhard, a dziewczyny praktycznie rozpląnęły się przed nim z zachwyty.

– Lubisz latać? – zaszczebotała Sabi, wlepiając w Gerharda spojrzenie swoich sarnich oczu.

– Uwielbiam. Nigdy nie czuję większego spokoju, panowania nad własnym losem i chwały tej cudownej planety, niż wtedy, gdy jestem wysoko na niebie, wolny jak ptak. To najcudowniejsze uczucie, jakie można sobie wyobrazić.

Podczas gdy dziewczyny wzdychały z podziwem, Konrad rozważał ironię sytuacji. Wysłał Gerharda do roboty, której ten powinien nie cierpieć, kazał mu dołączyć do sił zbrojnych, do których jego charakter wolnego ptaka zupełnie się nie nadawał. A ten drań został pieścioszkiem Führera – Gerhard właśnie powrócił do swojej opowieści o tamtym spotkaniu i odtwarzał słowo w słowo rozmowę o Wielkiej Hali.

– To wyjątkowe nudziarstwo, masa gadania o przewodach wentylacyjnych i cyrkulacji powietrza – powiedział.

– Jak może być nudne przytaczanie słów Führera? – odezwała się Sabi.

– Czy to prawda, że spotkanie z nim jest nieporównywalne z niczym na świecie? – spytała Gerda.

– Tak – potwierdził Gerhard – to szczerza prawda. To absolutnie wyjątkowe przeżycie.

Konrad nie sądził, że brat może go jeszcze bardziej zaskoczyć, ale te pienia pod adresem Hitlera przebiły wszystko.

– Dobrze słyszę? Mój sceptyczny, buntowniczy brat potwierdza, że Führer jest największym człowiekiem naszych czasów?

– Potwierdzam, że ma zupełnie wyjątkową moc – odrzekł Gerhard. – Kiedy na mnie spojrział, stojąc tak blisko jak wy teraz, poczułem coś, czego wcześniej nigdy nie zaznałem, i w tamtej chwili mógł powiedzieć wszystko, a uwierzyłbym mu bez zastrzeżeń, mógłby kazać mi skoczyć w ogień i bym skoczył. I jestem absolutnie przekonany, że każda z was czułaby dokładnie to samo, będąc na moim miejscu.

W małej grupce zapadła cisza. Wszyscy milczeli, nie bardzo wiedząc, co wypada teraz powiedzieć. Konrad odchrząknął.

– Hm, muszę iść. Trzeba pogadać z ludźmi, pozłatwiać sprawy... dla mnie to roboczy wieczór, trudno. Miło było cię spotkać, Gerd. Gratuluję ci tego niezwykłego spotkania z Führerem. To rzadki przywilej. Moje panie...

Skłonił się i odszedł. Nie było sensu zostawać. Po prostu nie miał żadnej szansy konkurować z Gerhardem.

Stanął przy balustradzie na skraju tarasu i patrzył na rzekę, chłonąc ten widok. W zamyśleniu zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Powoli wracał mu dobry nastrój. Może ten wieczór zdawał się triumfem Gerharda. Ale jeśli się dobrze zastanowić, to on, Konrad, był prawdziwym wygranym. Bo doprowadził do tego, że buntownik został zmuszony, dosłownie pod karą śmierci, by pójść po wyznaczonej mu linii partyjnej, i stał się nazistą z krwi i kości. Nawrócenie Gerharda na sprawę Hitlera tamtego popołudnia w pracowni Speera było współczesnym odpowiednikiem nawrócenia świętego Pawła na chrześcijaństwo, gdy napotkał Chrystusa w drodze do Damaszku.

Teraz należysz do nas, braciszku, pomyślał Konrad, wyrzucając peta w mętne wody Sprewy. Należysz do Adolfa Hitlera!

Gerhard spytał Sabi, czy ma ochotę wpaść do jego pokoju, po czym spytał o to samo Janę. Wsunął do ręki dziesięć reichsmarek jednemu z kelnerów roznoszących napitki i dostał butelkę znakomitego francuskiego szampana. Zabrał kobiety do swojego apartamentu, gdzie szybko uporali się z bąbelkami, a potem z butelką wódki czekającą w barku. Następnie Gerhard znalazł w lodówce prawie pełną butelkę doskonałego rieslinga, więc zaniósł ją do sypialni, gdzie dziewczęta, chichocząc, zrzuciły szpilki i wysliznęły się ze swoich sukienek. Gerhard kolejno spełnił męski obowiązek wobec każdej i oparty o miękkie zagłówek wielkiego łóżka, patrzył, jak się zabawiają, całują, pieszczą nawzajem, aż w pełni odzyskał siły i znów do nich dołączył.

Kiedy przeszli wszelkie możliwe pozycje i układy, Jana i Sabi, wyczerpane, zasnęły po bokach Gerharda. On jednak był całkowicie rozbudzony i mimo fizycznego zmęczenia nie mógł sobie znaleźć miejsca w łóżku. Wysunął się z pościeli i patrzył, jak dziewczęta przewracają się przez sen, aż spoczęły zwinięte w kłębek, dwie śliczne rozpieszczone koteczki w koszu, płatanina miękkich krągłości, złotych i kasztanowych loków, cieplej, słodkiej skóry. Wszedł na balkon i nieświadomie robiąc to samo co jego brat, zapalił papierosa i popatrzył na uśpione miasto.

Gerhard wiedział, że został skorumpowany. Może nie całkiem, ale nawet jeśli nie sprzedał duszy – nie tak, by stracić szansę odkupienia – to pozwolił, by użyto jej do spraw, w które nie wierzył. W zamian jego obecna pozycja uległa wzmocnieniu, gdyż osobista aprobata Führera wyróżniła go i otworzyła przed nim nowe perspektywy, i tak jak pieśniarz, który po jednym genialnym występie staje się gwiazdą, teraz on był uważany za człowieka z przyszłością – w partii i w Rzeszy. Może nie był tak sławny, ale jak zademonstrowały to kobiety w jego łóżku, czerpał z życia te dodatkowe korzyści, które zwykle przypadają sławom.

Pocieszał się dwiema myślami. Po pierwsze, gdy wznosił się w powietrze, był czysty i nieskalany, tak jak jego prawdziwe „ja”. Po drugie, opisując wrażenie, jakie wywarł na nim Hitler, zachował ostrożność. Widział, jak wściekły był Konrad, kiedy dowiedział się, że Hitler w pewien sposób pobłogosławił jego młodszego brata, czego on

sam nigdy nie dostąpił. Ale też dostrzegł, jak na twarz Konrada powraca wzdorliwa pewność siebie, gdy słuchał jego słów, które musiał odebrać jako mowę pochwalną urzeczzonego, olśnionego wyznawcy. Sam był zachwycony hipnotycznymi zdolnościami Hitlera, stąd nie mieściło mu się w głowie, że Gerhard wcale ich nie wychwala, że w istocie jest przerażony tym, jak Hitler zdołał go uwieść, i że teraz zrozumiał tę jego szatańską magię uroku, który spadł na całą ojczyznę.

Ale czy ja mogę się wyzwolić? – zapytał sam siebie Gerhard. Czy mam siłę woli i odwagę, by mu się oprzeć?

I właśnie dlatego wciąż był tak rozbudzony i nie mógł zasnąć – ponieważ odpowiedź na to pytanie brzmiała „nie”.

Saffron wróciła we wrześniu do Roedean i przysiadła fałdów na ostatni rok z kawałkiem. Po zakończeniu semestru jesienno, dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia, stwierdziła ze zdziwieniem, że prawie martwi ją wyjazd na święta do Kenii: nie dlatego, że nie chciała się spotkać z ojcem i Harriet, ale dlatego, że przez to ominie ją wiele balów i przyjęć, na które zaprosiły ją szkolne koleżanki i ich rodziny. Wróciła do Lusimy, gdzie zakończono wszystkie prace remontowe, i okazało się, że Harriet stworzyła miniaturową galerię rodzinnych portretów, która biegła wzdłuż schodów, od holu wejściowego do pokoi na piętrze. Skontaktowała się z babką Courtney w Kairze, która przysłała miniaturowy, wykonany ołówkiem portret Leona w wieku chłopięcym i kilka jego starych fotografii z rodzicami i braćmi. Centaine dołożyła fotografię Saffron i Shasy, zrobioną cztery lata wcześniej w Kapsztadzie, i zdjęcie samego Shasy, w stroju do polo, tuż przed olimpiadą w Berlinie, na której miał reprezentować Afrykę Południową. Były też zdjęcia z dzieciństwa samej Harriet, a także jej fotografia ze wszystkimi sprzedawczyniami w sklepie wyposażenia szkolnego, gdzie po raz pierwszy ujrzała Leona i Saffron. I dyskretnie umieszczony pomiędzy tym wszystkim rysunek twarzy Ewy, którą Wasiljew skopiował z portretu własnego pędzla. Przydał jej wyraz smutku, nieobecności, jakby łagodnego żalu, że nie może znaleźć się osobiście pośród nich. Włączając w ten sposób Ewę do szerokiego rodzinnego kręgu, Harriet uhonorowała jej znaczenie dla Leona i Saffron, ale jednocześnie nie pozwoliła, by przeszłość rzucała cień na teraźniejszość.

Saffron była wzruszona serdecznością tego gestu i wysiłkiem, jaki włożyła Harriet w zgromadzenie tych wszystkich zdjęć i portretów. Ale teraz nie ulegało już wątpliwości, kto jest panią Lusimy. Harriet pełniła honory pani domu na uroczystym świątecznym podwieczorku dla pracowników posiadłości i ich rodzin, na którym każde dziecko dostało prezent. Z okazji przyjazdu Saffron wydano też kolację dla miejscowych rodzin, które znała od dziecka. Dziewczyna była zaskoczona tym, do jakiego stopnia panie z emigranckiej społeczności nie tylko zaakceptowały Harriet jako jedną ze swoich, ale też nawet uznawały jej

przywództwo. Oczywiście, była żoną jednego z najzamożniejszych w całym kraju osadników, lecz sama pozycja nie powściągnęłaby uszczypliwych uwag, wskazujących Harriet na jej miejsce, oraz bardziej lub mniej delikatnych przytyków, że nie tak dawno pracowała w sklepie. Jednak w jej sposobie bycia było tyle pewności siebie i ledwie maskowanej nieustępliwości, że wszelkie zastrzeżenia gasły, zanim jeszcze się pojawiły. Nie tylko odmieniła wygląd Lusimy i radykalnie podniosła standard gospodarstwa domowego – od znakomitego jedzenia, przez perfekcyjną obsługę, po kosz idealnie wyprasowanych ręczników do rąk w nieskazitelnie czystej toalecie dla gości (gdzie na ścianach zawisły zabawne komiksowe rysunki, a na głębokich parapetach pojawiły się niewielkie wazoniki z pachnącymi kwiatami) – ale też sprawiła, że ludzie zaczęli widzieć w innym świetle Leona. Przedtem był traktowany jak były biały myśliwy: przystojny, nawet czarujący, jeśli tylko chciał, ale nadal nieokrzesany najemnik, który przypadkiem, w tajemniczych okolicznościach, wszedł w posiadanie fortuny. Teraz szybko zyskiwał nową tożsamość – dżentelmena, posiadacza ziemskiego i filara lokalnej społeczności.

Gdy po kolacji Saffron, leżąc już w łóżku, rozmyślała o tym wieczorze, uderzyło ją, że ona sama też się zmieniła. Dzięki temu, że mogła korzystać z mieszkania przy Chesham Place, spędzała w Londynie weekendy, przerwy semestralne i dni oczekiwania na samolot do Kenii. Coraz lepiej poznawała to miasto i żyła teraz zupełnie inaczej niż kiedyś w Kenii. Spotykała się z koleżankami w modnych restauracjach i kawiarniach, na lunchu lub podwieczorku. Uświadomiły jej, jaka to przyjemność chodzić na zakupy, nawet jeśli było to tylko buszowanie po najlepszych sklepach, lustrowanie innych klientek czy szukanie na półkach i wieszakach tego, co modne lub nie, odpowiednie lub nie. Kupowała takie czasopisma jak „Vogue”, „Tatler” i „The Queen” i знаła już nazwiska najbardziej wziętych kreatorów mody w Londynie i Paryżu, a także nazwiska pięknych kobiet – aktorek i arystokratek – które nosiły suknie tych projektantów i chodziły na przyjęcia, gdzie należało być idealnie ubraną, żeby choć trochę się liczyć. I z każdym przyjęciem, na które sama chodziła, Saffron coraz bardziej uświadamiała sobie, że chociaż może nie znać tej czy tamtej damy, zna jej młodszą siostrę lub bratanicę.

W okresie Wielkanocy 1937 roku Saffron znów spędziła dwa tygodnie u Schöndorfów w Bawarii, po czym w czerwcu zdała maturę,



a w grudniu egzaminy wstępne do Oksfordu i Cambridge, czego oba uniwersytety wymagały. Tym razem spędziła ferie świąteczne w Anglii – przez dziesięć dni bawiła się na przyjęciach w Londynie, a następnie udała się pociągiem do krewnych w Devonie, po czym wróciła do Londynu, skąd pojechała sleepingiem do Edynburga, by powitać Nowy Rok ze swoimi szkockimi krewnymi, Ballantyne’ami. Dwa miesiące później dowiedziała się, że została przyjęta do college’u Lady Margaret Hall w Oksfordzie i może studiować politykę, filozofię i ekonomię, zgodnie ze swoimi zamierzeniami.

Pierwsze miesiące 1938 roku Saffron spędziła w Londynie. Było dla niej oczywiste, że Niemcy znów wyrastają na europejską potęgę i stosunki Wielkiej Brytanii z Rzeszą, czy to pokojowe, czy inne, będą wiodącym tematem następnych kilku lat. Postanowiła udoskonalić swój niemiecki, którego nauczyli ją Chessi i jej rodzina, i zapisała się na prywatne lekcje – trzy razy w tygodniu – w South Kensington. Jej ciotka Penny Miller, starsza z dwóch sióstr Leona, na samym początku wojny została wdową i nie wyszła powtórnie za mąż. Penny, podobnie jak Dorian, odziedziczyła artystyczne talenty po babci Courtney. Właśnie przeniosła się z Kairu do Londynu i wynajmowała pracownię z mieszkaniem przy Tite Street w Chelsea.

To była barwna, artystyczna dzielnica i znajomymi Penny byli malarze, poeci, muzycy i aktorzy bez pensa przy duszy, ale za to kipiący emocjami, czy to twórczymi, czy politycznymi, czy erotycznymi. Przed Saffron otwierał się całkiem nowy świat i niebawem się dowiedziała, że na spotkania u ciotki Penny też należy się ubrać wieczorowo, tak jak na koktajlowe przyjęcia w domach koleżanek. Ale w równej mierze uwielbiała luźne, swobodne życie, późne kolacje w tanich greckich knajpkach i niekończące się rozmowy o znaczeniu życia i miłości, prowadzone przy butelce cierpkiego czerwonego wina, jak i najmodniejsze bale w Eaton Place czy Park Lane, gdzie na chodnikach zbierały się tłumy przechodniów, chcące zobaczyć dziewczęta w eleganckich sukniach i rodzinnych klejnotach, przybywające, by przetańczyć noc do muzyki orkiestry Ambrose’a. A w każde piątkowe popołudnie Saffron zawsze stała na peronie jednej z wielkich londyńskich stacji, skąd jechała na wieś, gdzie czekały na nią polowania, strzelanie do rzutków, tańce i przyjęcia, gdyż nikt, nawet najwięksi radykałowie z kręgu ciotki Penny, nie spędzał weekendu w Londynie, jeśli tylko mógł uciec z miasta.

Gdy zima przechodziła w wiosnę i pierwsze mecze krykieta obwieściły nadejście kolejnego angielskiego lata, Leon i Harriet przyjechali do Anglii. Leon zajmował się interesami w biurze na Ludgate Hill, a Harriet pomagała Saffron przygotować się do letniego sezonu. Zapowiadała się cała seria wydarzeń, zarówno prywatnych, jak i publicznych – tenis w Wimbledonie, regaty w Henley, mecze krykieta między uczniami Eton i Harrow (co do jednego materiał na mężów dla debiutujących w wielkim świecie panien) – umożliwiającą pannom z dobrych domów pokazanie się w towarzystwie i wejście na rynek małżeński.

Saffron nie miała najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż: najpierw chciała skończyć Oksford i rozpocząć, chociaż jeszcze nie wspomniała o tym ojcu, karierę biznesową. Niemniej trzymała się ogólnych reguł. Była na corocznym balu królowej Charlotty, gdzie wszystkie dziewczęta dygały najpierw przed wielkim tortem, a potem przed samym królem, i została przez Violet przedstawiona dworowi. Aby dostąpić tego zaszczytu, dziewczyna musiała mieć osobę wprowadzającą i Violet nie posiadała się z radości, mogąc odegrać tę rolę.

W lipcu Saffron, Penny i Harriet przekonały Leona, by towarzyszył im na londyńskiej wystawie niemieckich ekspresjonistów, artystów o międzynarodowej sławie, w tym Kokoschki i Kandinsky'ego, w Niemczech zakazanych przez nazistów. W tym samym miesiącu Hitler z wściekłością zaatakował ich jako „żałosnych nieszczęśników, którzy wyraźnie cierpią z powodu wad wzroku. Mogą mieszkać i pracować, gdzie im się żywnie podoba, byle nie w Niemczech”.

– Trudno powiedzieć, abym przepadał za panem Hitlerem, ale wydaje się, że tu ma rację – wymruczał Leon, patrząc na obrazy, z których większość w jego oczach podpadała pod kategorię „sześciolatek lepiej by się spisał”, a w skrajnych przypadkach zasługiwała na określenie „małpiarstwo”.

Nagle jednak zatrzymał się przed dziełem Magnusa Zellera. Karteczka obok informowała, że dzieło nazywa się „Hitlerstaat” (Państwo Hitlera). Pejzaż ruin, wśród których armia niewolników, poganiana batami przez umundurowanych na czarno esesmanów, ciągnęła gigantyczny wóz z monumentalnym posągiem siedzącego władcy, faraona. Obraz był namalowany w ponurych szarościach i brązach i ożywiały go tylko jaskrawe plamy nazistowskich flag furkoczących u stóp wielkiego władcy.

Leon stanął jak wryty przed obrazem; nie odrywając od niego oczu, nie mówił ani słowa. W końcu odwrócił się do córki i zapytał:

– Byłaś tam... powiedz mi, czy to wszystko tak się skończy?

Saffron wspomniała banery i plakaty propagandowe, jakie widziała w Niemczech. Każdego roku było ich coraz więcej i wyrażały coraz większą wrogość: nie sławiły osiągnięć nazistowskiego rządu, tylko atakowały jego wrogów, zwłaszcza Żydów. Było też coraz więcej antyżydowskich napisów na murach i wystawach sklepowych – a może tak jej się wydawało, bo teraz rozumiała je znacznie lepiej. Choć przypominała sobie także przyjaźń i gościnność von Schöndorfów oraz innych Niemców, których miała okazję tam poznać. Jednak widziała również te czarne mundury.

– Nie wiem – odparła wreszcie. – Ale boję się, że to możliwe.

Dwa dni potem była w domu przy Chesham Place, gdy ojciec wrócił z biura.

– Rozmawiałem z Hartleyem Graingerem – rzekł. – Powiedziałem mu, by nie odnawiał naszych umów z Niemcami, kiedy wygasną. Na razie nie ma potrzeby robić dramatycznych gestów, więc nie zerwiemy bieżących umów. Tyle że nie podpiszemy już żadnej nowej, to wszystko. Twój wujek Francis nie będzie zadowolony. Handel z Niemcami to jego ukochane dziecko. Ale myślę, że masz rację, Saffy. Myślę, że zbliża się burza i czas szykować się na najgorsze.

Przez ostatnie dwa lata pan Brown wszędzie wokół słyszał wzmianki o Saffron Courtney. W Oksfordzie uważano ją za drugą Zulejkę Dobson, powieściową *femme fatale* Maxa Beerbohma, która tchnąc życie w skostniałe uniwersyteckie otoczenie, doprowadza studentów do szaleństw namiętności. W Szkocji, witając Nowy Rok u Ballantyne'ów, podczas tradycyjnego polowania na bażanty wzbudziła wielkie zdumienie swymi strzeleckimi umiejętnościami, a w Devonie zadziwiła wszystkich jeździecką sprawnością i odwagą. Na jakimś domowym przyjęciu ktoś powiedział do pana Browna: „Pomocnik łowczego oznajmił Ballantyne'owi: »Ta młódka zawstydziła każdego Szkota, który wie, do czego służy strzelba«”.

– Oczywiście, ta Courtneyówna jest absolutnie zachwycająca – przyznała lady Diana Cooper, jedna z wielkich piękności nieco wcześniejszej epoki, nadal urodziwa, mimo przekroczonej już czterdziestki; mówiła panu Brownowi o Saffron na przyjęciu koktajlowym przy Berkeley Square. – Ale mnie zwłaszcza ujmuje styl, w jakim wydaje pieniądze. To całkiem oczywiste, że ma ich całe mnóstwo. Zapewniam pana, że każda kobieta, patrząc na nią, od razu widzi, że wszystkie jej suknie są szyte ręcznie, i to nie przez jakieś dorabiające sobie staruszki. Niedawno rozmawiałam z Hardym Amieciem i wręcz rozpląwał się nad tym, jak to cudownie móc ją ubierać. Eddie Molyneux uwielbia ją do tego stopnia, że gdyby mógł, wykorzystywałby ją jako modelkę. Ma nieco chłopięcą figurę, co zachwyca tych wszystkich pedziów, bo stroje układają się o wiele bardziej elegancko, jeśli nie trzeba walczyć z nadmiarem krągłości. Ale jej powściągliwość jest godna podziwu.

– Co pani ma na myśli?

– No cóż, to bardzo młode stworzenie, wychowane w koloniach. Nie dorastała w wytwornym otoczeniu, wśród dobrze ubranych kobiet, które wiedzą, co to znaczy *comme il faut*. To po części stanowi o jej uroku. Ma w sobie pewną dzikość. Odnosi się wrażenie, że bez mrugnięcia okiem wybrałyby się na lwy. Można by więc sądzić, że okaże się trochę wulgarna, skłonna do przesady.

– Będzie nieco zanadto się popisywać?

– Otóż to. Drogi panie Brown, rozmowa z panem to prawdziwa przyjemność. Pan zawsze rozumie, co ma się na myśli.

– Robię, co w mojej mocy, lady Cooper. Ale jak wyraża się ten brak wulgarności?

– No, przez swój brak! – Roześmiała się. – Chodzi mi o to, że kiedy się widzi Saffron Courtney, na usta zawsze cisną się słowa: „Proszę, oto świetnie ubrana dziewczyna”. Buty zawsze pasujące do sukienki i do okazji. Torebki świetne. Biżuteria znakomita, ale dyskretna. Tak, to słowo do niej pasuje: dyskretna. Albo ktoś jej to powiedział, albo sama do tego doszła, że z jej urodą i tą oszałamiającą osobowością wystarczy, żeby stroje były tylko tłem, szykownym, ale tłem.

– Waham się, czy wolno mi poczynić pewną obserwację względem pań, zwłaszcza dotyczącą ich stosunku do innych kobiet...

– Pańskie wahanie świadczy o pana roztropności. Nie jest to temat, na który mężczyźni mieliby do powiedzenia cokolwiek użytecznego.

– Ale pozwoli pani, że ośmielę się zasugerować, tylko jako hipotezę...

Lady Diana uśmiechnęła się.

– No dobrze, tę jedną hipotezę, bo przyznaję, że jest pan bardzo spostrzegawczy... jak na mężczyznę.

– Sądzę, że inteligencja panny Courtney jest oczywista. Dopatruję się tej cechy po swobodzie, z jaką pani i inne damy, z którymi rozmawiałem, jesteście skłonne ją komplementować. Wyobrażam sobie, że dziewczyna jej pokroju, bogata, piękna, znakomita sportsmenka... przybywszy do Anglii... No cóż, takie stworzenie mogłoby wzbudzić niemałą zawiść u przedstawiolek swojej płci. Oczywiście nie u pani, lady Cooper, bo pani i tak nie ma sobie równych...

– Powiedział to pan w samą porę.

– Ale inne panie, zwłaszcza z pokolenia panny Courtney, a może też kilka lat starsze, mogłyby czuć się rozdrażnione konkurencją, którą ona dla nich stanowi, i byłyby skłonne rozgłaszać złośliwe plotki lub krytykować jej zachowanie. Wie pani, o czym mówię.

– Niestety, tak. Śmiem rzec, że sprowokowałam to i owo, gdy byłam w wieku Saffron Courtney.

– A jednak, mimo że przez ostatni rok czy dwa lata wywarła ogromne wrażenie w towarzystwie, nie słyszałem na jej temat jednego złego słowa, może poza wyrazami zawodu z ust matek, których synom nie udało się zdobyć jej serca.

– Tak... – powiedziała w zamyśleniu lady Diana – nikt nawet nie wspomniał o romansie. To niezwykle w przypadku tak atrakcyjnej dziewczyny.

– Jest bardzo młoda, ma zaledwie dziewiętnaście lat.

– To prawda, ale mimo to...

– Może po prostu nie udaje jej się znaleźć mężczyzny, który byłby dla niej odpowiedni. Doświadczenie mówi mi, że kobiety... proszę raz jeszcze wybaczyć mi zuchwałość... lubią, kiedy mogą podziwiać mężczyzn, którzy je przerastają.

– Na pewno lubimy, kiedy przerastają nas w sensie dosłownym. Nie znoszę mężczyzn niższych ode mnie, a dziewczyna tak wysoka jak Courtney ma ograniczony wybór.

– Nie wierzę, że oddałaby serce czy rękę jakiemukolwiek mężczyźnie, który nie byłby równie nadzwyczajny jak ona. Dlatego jej poszukiwania, obawiam się, mogą długo potrwać.

– Panie Brown, nie miałam pojęcia, że potrafi pan być taki sentymentalny. Podejrzewam, że czuje pan lekką słabość do Saffron Courtney.

– Może słabość starszego pana. Chociaż zaznaczam, że to tylko spekulacje. Tak naprawdę nigdy nie spotkałem tej dziewczyny.

– No to musimy coś z tym zrobić!

Tak, pomyślał pan Brown, ja rzeczywiście muszę.

Rodzice Saffron – bo teraz traktowała Harriet jak matkę – zatrzymali się w Anglii do września i towarzyszyli jej, gdy pojechała do Oksfordu, by rozpocząć nowe życie jako studentka. Był idealny pierwszy dzień jesiennego semestru. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie i „miasto rozmarzonych wież” prezentowało się w całej okazałości. Wiekowe budynki, oglądające już niezliczone pokolenia studentów, patrzyły na pierwszoroczników, przejętych i pełnych ambicji, ale też na zdenerwowania i niepewności nowo przybyłych, dla których wszystko jest nieznajome. Krążyli po dziedzińcach college’ów, szukając klatek schodowych prowadzących do ich nowych pokoi.

– Zazdroszczę ci – powiedziała Harriet. – Mieć szansę przyjechać w takie miejsce i studiować z najwspanialszymi umysłami świata... To najcudowniejsza szansa, jaką można sobie wyobrazić.

– Jestem z ciebie dumny – oświadczył Leon, gdy wraz z Harriet zbierał się już do odjazdu. – Powiedziałaś, że się dostaniesz. Pracowałaś jak szatan i dokonałaś tego. Dobra robota. Teraz musisz wynieść z tych studiów jak najwięcej, bo zapewniam cię, że jeśli skończysz Oksford, nie wykorzystując wszystkiego, co ci oferuje, będziesz tego żałować przez resztę życia.

Saffron wiedziała, że ojciec ma rację. Jednak podczas pierwszych tygodni nie mogła nie zadać sobie pytania, czy ta cała oksfordzka edukacja zasługuje na tak wielką sławę, jaką się cieszy, przynajmniej w odniesieniu do kobiet. Nauczycielki akademickie, które opiekowały się żeńskim college’em, chyba miały obsesję na punkcie czyhających na ich podopieczne zagrożeń ze strony targanych niepohamowanymi żądzami studentów. Młodzi mężczyźni mogli składać wizyty wyłącznie po południu i wczesnym wieczorem, a dziewczyna, jeśli już spacerowała z chłopcem, to tylko wtedy, gdy każde z nich prowadziło swój rower.

Saffron uważała się za inteligentną, ale nie mogła pojąć logiki tego zarządzenia.

– Chodzi o to, żeby rower zawsze był między tobą a nim – wyjaśniła jej nieco zaleźniona dziewczyna podczas pierwszej kolacji w college’u. – Dzięki temu jest między wami bariera.

– Hm, rozumiem... – powiedziała Saffron, która odbyła niezliczone spacerunki po miejskich ulicach i wiejskich drózkach w towarzystwie znajomych mężczyzn, nierzadko wyraźnie nią oczarowanych, bez odgradzania się od nich jakimikolwiek pojazdem kołowym. A potem, nie mogąc się powstrzymać, bo jej rozmówczyni wyglądała na niezwykle przejętą i pełną strachu przed płcią przeciwną, dodała: – Z moich doświadczeń wynika, że kiedy tylko mężczyzna zobaczy, jak strzelam, zaraz przestaje się narzucać.

– Och! – wykrzyknęła nerwowo tamta i przez kilka minut siedziała, niezdolna wziąć czegokolwiek do ust, próbując pojąć, jak na świecie może istnieć tak przedziwna i niepojęta osoba jak ta obok.

– Moja starsza siostra – zapiszczała druga dziewczyna – jest w Somerville College. Ma taki świetny sposób, że jak jedzie taksówką z facetem, który za bardzo się przystawia, to ona szuka sprzedawcy kasztanów, każe taksjarszowi stanąć i mówi do faceta: „Mam straszną ochotę na kasztany, kupisz mi?”. Oczywiście, nie może jej odmówić. Kupuje te kasztany, jada dalej, a jak on znów próbuje ją pocałować, wsadza mu gorącego kasztana do ust. I co? Jest załatwiony!

Saffron była oszołomiona tym, że można traktować mężczyzn jak obce, wrogie stworzenia, którym trzeba za wszelką cenę stawiać opór. Lubiła męskie towarzystwo i tradycyjne męskie podchody i zawsze uważała, że potrafi dorównać mężczyznom, tak jak kiedyś potrafiła dorównać chłopcom. Oczywiście, zawsze też lubiła ładnie wyglądać i tańczyć z przystojnym, eleganckim kawalerem. Jako wysokiej i dość silnej dziewczynie, nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż znalezienie się w ramionach miłego mężczyzny, który był wyższy i silniejszy od niej. Całowała się z wieloma, a jeszcze liczniejsi ją adorowali. Lecz nie oddała się żadnemu.

Nie chodziło tu o pruderię, traktowanie dziewictwa jako czegoś mistycznego czy też chęć zachowania go dla męża. I na pewno nie brakowało jej ochoty na seks, tego była pewna. Ale po prostu wiedziała, że nie będzie szczęśliwa, dopóki nie znajdzie mężczyzny, który w niczym by jej nie ustępował, a nawet ją przerastał. Nie wyobrażała sobie, że miałyby się ograniczać ze strachu, iż mąż nie dorównuje jej inteligencją, niezależnością, zamożnością czy też innymi darami losu, które potrafiły też być brzemieniem. Często myślała, jakie to niesprawiedliwe, że te wszystkie sprawy, które utrudniały jej znalezienie mężczyzny, bardzo ułatwiłyby jej znalezienie kobiety, gdyby była mężczyzną. Student płci



męskiej i dziedzic kenijskiej posiadłości mógłby liczyć na kolejkę dziewcząt od początku do końca głównej ulicy miasta – i tylko wybierać w nich i przebierać.

Z nią było inaczej. Była jak dominująca lwica, gotowa połączyć się jedynie z samcem alfa. Saffron wiedziała, że jej samiec gdzieś na nią czeka. Ale dopóki go nie znajdzie, musiała uzbroić się w cierpliwość, nawet jeśli czasami każdy centymetr jej ciała i głęboki pierwotny instynkt wołały: „Chcę mężczyzny!”.

– Mój drogi, potrzebujesz żony – powiedziała pewnego popołudnia Athala von Meerbach do Gerharda, gdy oboje spacerowali po lesie wokół Schloss Meerbach.

Jęknął sfrustrowany i zniecierpliwiony.

– Tylko nie ty też, matko! Konrad ciągle mi powtarza, że moim obowiązkiem dobrego Niemca i członka partii jest znalezienie miłej aryjskiej żony i płodzenie żołnierzy i matek przyszłości. Zawsze mu mówię, że jeszcze nie znalazłem odpowiedniej Aryjki... i to prawda. Nie znalazłem.

– Nie dziwi mnie to, skoro wciąż gonisz za takimi dziewczynami jak to blond stworzonko, ta córka piekarza.

– Ona ma na imię Jana, matko.

Ku zaskoczeniu samego Gerharda przygoda z dwiema młodymi dziewczynami przeszła w romans z jedną z nich. Tak naprawdę wcale jej nie kochał, ale miło spędzał z nią czas w łóżku i poza nim, tak że mieli za sobą przyjemny rok. Jana zawsze wiedziała, że nie ma co liczyć na przyszłość z Gerhardem, i w końcu go rzuciła, po czym wyszła za mąż za sympatycznego pracownika berlińskiej policji kryminalnej. Trudno powiedzieć, by złamała Gerhardowi serce, ale brakowało mu Jany i bez niej jego wielkie łóżko nagle wydało mu się puste.

– Jej ojciec jest szanowanym rzemieślnikiem – dodał. – Zapominasz chyba, że teraz żyjemy w socjalistycznym kraju. Pogląd, że jakaś klasa przewyższa inną, jest już niedopuszczalny.

– Politycy przychodzą i odchodzą, ale wielkie rodziny trwają wiecznie.

– Rzesza będzie trwać tysiąc lat. Führer tak oświadczył. Lepiej, żeby nasza rodzina się do tego przyzwyczaiła.

Athala spojrzała na syna. Nic nie powiedziała. Nikt nie mówił niczego, co mogłoby być zinterpretowane jako krytyka Führera lub rządu. Ryzyko podsłuchu i donosu było zbyt wielkie nawet w przypadku hrabiny na terenie jej własnego zamku. Ale Gerhard widział, że matka nie podziela tego rodzaju bzdurnych opinii.

– Posłuchaj, mamó – rzekł łagodniejszym tonem – prawda jest taka, że nie sądzę, bym w tej chwili w ogóle mógł się ożenić. To byłoby

niewłaściwe z mojej strony. Pracuję dla Herr Speera, a większość wolnego czasu zabierają mi obowiązki rezerwisty Luftwaffe. Jak mógłbym poświęcać należny czas żonie? Jak kiedykolwiek mogłaby poznać moje prawdziwe „ja”?

To było maksimum tego, co Gerhard odważył się zdradzić na swój temat – a mianowicie że żył w kłamstwie. Każda kobieta, która by go poślubiła, wierząc, że jej ukochany mężczyzna jest naprawdę taki, jaki się wydaje – że jego odznaka partyjna, praca przy tworzeniu nowego Berlina według planów Führera i pełna poświęcenia służba w siłach zbrojnych ojczyzny są mu drogie – poślubiłaby kłamcę. To po prostu nie byłoby uczciwe. Nie mógł wymagać od żadnej, by oparła swój związek na wielkim oszustwie.

Athala przystanąła, wzięła syna za rękę i spojrzała mu w oczy.

– Rozumiem, synku. Ale jesteś dobrym człowiekiem, życzliwym i hojnym. Taki jesteś naprawdę i każda kobieta byłaby szczęśliwa, mając takiego męża. Niech Bóg ma w opiece duszę twojego ojca, ale jemu było do tego daleko.

– Może. Ale miał władzę, energię i bezbrzeżną pewność siebie. Mężczyzna może zająć bardzo daleko, jeśli zanadto się nie przejmuje uczuciami innych.

– Możliwe... ale ty nie jesteś mężczyzną tego pokroju i ogromnie mnie to cieszy. Teraz posłuchaj, szykuję na sobotni wieczór kolację, nic szczególnego, tylko kilkanaście osób. Zaprosiłam von Schöndorfów. Mają śliczną córkę, Francescę. Nie wiem, czy jej kiedyś nie poznałeś...

Gerhard się roześmiał.

– Mój Boże, matko, pamiętam Chessi, przecież to jeszcze dziewczynka! Nie możesz swatać mnie z dzieckiem!

– Była dziewczynką. Ale już nią nie jest, tak jak ty już nie jesteś nieśmiałym uczniakiem, nastolatkiem z pryszczami. Ona ma chyba dziewiętnaście lat i jak na swój wiek jest całkiem wyrobiona towarzysko. Von Schöndorfowie wysłali ją na naukę do Anglii. Poznała tam bardzo inteligentnych ludzi. Jeszcze się zdziwisz.

Gerhard westchnął.

– No dobrze. Posadź Chessi obok mnie. Obiecuję być miły, ale absolutnie nie przyrzekam, że padnę przed nią na kolana i się oświadczę.

– Cóż, po prostu ją poznaj. Nigdy nie wiadomo, może spodoba ci się bardziej, niż myślisz.

– Czy ja muszę jechać na tę kolację do Meerbachów? – jęknęła Chessi von Schöndorf. – Konrad to cham, a jego biedna żona w ciąży tylko potulnie milczy.

Siedziała na łóżku, trzymając na kolanach tacę ze śniadaniem. Matka Chessi, która przysiadła na skraju materaca, od czasu do czasu brała winogrono z miseczki.

– Mają jeszcze jednego syna... – odparła hrabina von Schöndorf, a po chwili dodała: – I ten nie ma żony.

– Jeśli choć trochę przypomina brata, to będzie gadał w kółko tylko dwie rzeczy: że silniki Meerbachów są najlepsze na świecie i że Führer jest najlepszym wodzem na świecie.

– Pst! – syknęła matka. – Kiedy się nauczysz, że nie jesteś już w Anglii? Nie możesz mówić wszystkiego, co ci ślina na język przyniesie!

– Dobrze, przepraszam... ale jesteśmy w moim pokoju. Tu nikt nas nie słyszy.

– Skąd wiesz? A teraz do twojej informacji, poznałaś Gerharda, kiedy byłaś małą.

– Nie pamiętam.

– Nieważne, rzecz w tym, że wcale nie jest nudziarzem. Pracuje jako architekt, a w wolnym czasie pilotuje myśliwce Luftwaffe.

Wyraz twarzy Chessi powiedział matce, że nastawienie córki może się zmienić. Postanowiła to wykorzystać.

– Jest twórczy, elegancki i odważny.

– A przystojny?

– Och, to będziesz musiała ocenić sama.

Chessi przez chwilę się namyślała.

– Mogłabym włożyć tę sukienkę od Hartnella... wiesz, tę, którą kupiła mi Saffy.

– Wciąż mnie dręczy, że ona tyle wydaje. Nie powinnaś jej pozwolić. To nie w porządku.

– Ale ona się uparła, *Mutti*! Powiedziała, że w ten sposób chce się odwdziaczyć za te wszystkie pobyty u nas. A sukienka jest taka śliczna...

– Tak, jest śliczna, a ty wyglądasz w niej uroczo. Żaden mężczyzna nie potrafiłby ci się oprzeć.

– Oczywiście, że nie! – Chessi się uśmiechnęła. – Ale jeśli to von Meerbach, nawet von Meerbach, który jest pilotem i architektem, i wielkim naukowcem, i Bóg wie kim jeszcze, ja na pewno będę potrafiła oprzeć się jemu.

W ten sobotni wieczór Athala von Meerbach skinieniem ręki przywołała syna i rzekła:

– Gerhardzie, poznaj hrabiego i hrabinę von Schöndorf.

– To dla mnie wielka przyjemność – powiedział. – Jak miło ze strony państwa, że przyjęliście nasze zaproszenie. Zachowałem bardzo radosne wspomnienia z odwiedzin u państwa, kiedy byłem chłopcem.

– A to ich córka, Francesca...

Gerhard spojrział na dziewczynę, którą wybrano mu na żonę, i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Urwis z włosami splecionymi w warkoczyki i piegami na nosie przemienił się w urzekającą blond boginię, przy której Jana była jak komiksowa piękność przy Wenus Botticellego. Zawsze myślał, że Schöndorf jest biedny jak mysz kościelna, ale jego córka miała na sobie kreację godną hollywoodzkiej gwiazdy: blad różowa jedwabna suknia odsłaniała ramiona, podkreślała pełne piersi – Gerhard musiał zadać sobie wysiłek, żeby patrzeć wyżej – i opinała szczupłą talię, opadając kaskadą lśniącego materiału do podłogi.

*Mein Gott!* – pomyślał, ale zaraz wziął się w garść, pocałował Francescę w rękę i rzekł:

– To niezwykła przyjemność gościć cię, hrabianko. Kiedy matka oznajmiła mi, że dzisiaj tu będziesz, zauważyłem: „Przecież to jeszcze dziewczynka!”. – Von Schöndorfowie uprzejmie się roześmiali, a Gerhard ciągnął: – Na co moja matka odparła: „Ty ośle! Francesca jest dorosłą i piękną kobietą”.

Francesca wydawała się trochę zakłopotana, ale zachwyceni rodzice patrzyli na nią z dumą.

– Matko, myliłaś się całkowicie – powiedział Gerhard i przez chwilę, tak jak zamierzał, jego ostry ton zaniepokoił pozostałych. Jednak zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, dodał: – Francesca nie jest tak zwyczajnie piękna. Jest absolutnie urzekająca.

Francesca oparła się na ramieniu matki. Można to było odczytać jako wyraz zażenowania z powodu takiego komplementu. Ale to była konieczność: dziewczynie zmiękły kolana.

Patrzyła na Gerharda, gdy matka przywołała go z drugiej strony salonu, w którym goście zebrali się na drinki przed kolacją. Rozmawiał teraz z kobietą dobre kilka lat starszą od niego. Był we fraku, ale jego poza – ręka w kieszeni, ciężar ciała oparty na jednej nodze, druga lekko odstawiona – sprawiała, że wydawał się tak rozluźniony, jakby miał na sobie wygodną starą marynarkę i luźne spodnie. Uśmiechnął się do matki i grzecznie przeprosił swoją rozmówczynię, a kiedy niedbałym krokiem szedł przez salon, po drodze witając się z gośćmi, ona spoglądała za nim, jak gdyby nie mogła oderwać od niego oczu.

Rozumiem cię! – pomyślała Chessi. Gerhard von Meerbach był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, i gdy się do niej zbliżał, uświadomiła sobie, że jego urok polega na połączeniu kilku całkiem odmiennych cech. Poruszał się z chłodną pewnością siebie brawurowego lotnika, był wysoki i szczupły, a ciemnoblonde włosy opadały mu na jedno oko, tak że Francesca z trudem się powstrzymała, by ich nie odgarnąć. Ale jego oczy i usta, kiedy znalazł się na tyle blisko, że mogła się im przyjrzeć – ach, jak bardzo im się przyglądała! – zadawały kłam pierwszemu wrażeniu, że jest lekkoduchem. Oto był mężczyzna, który potrafił patrzeć i czuć, więcej, oto był ktoś zraniony. Zbolały. Nie potrafiła powiedzieć, skąd to wie, ale z całą pewnością wiedziała. I nagle zapragnęła tylko jednego: uwolnić go od tego bólu.

W oddali rozległ się gong.

– No, czas na kolację – powiedział Gerhard. – Francesco, uczynisz mi ten wielki zaszczyt i pozwolisz, że to ja będę ci towarzyszył do stołu?

Podał jej ramię i bez namysłu je przyjęła. Weszli do jadalni, mijając wiele zachwyconych oczu, bo tworzyli przepiękną parę. A za ich plecami dwie matki spojrzwały na siebie i wymieniły dyskretne uśmiechy, mówiące: „Cel osiągnięty!”.

Pan Brown miał niewielu przyjaciół, jeśli w ogóle ich miał: nie pozwalał sobie na luksus ujawniania swojej tożsamości, co tworzy podstawę prawdziwej przyjaźni. Lecz wielu jego znajomych byłoby zaskoczonych odkryciem, że ten spokojny dżentelmen, tak powściągliwy w zachowaniu, tak stroniący od ekstrawaganckich gestów lub efektownych wejść czy wszelkiej teatralności, w istocie uważał się za kogoś w rodzaju impresaria. Bądź co bądź, pracował w zawodzie, który polegał na tym, by dostrzegać, wydobywać, kształtować, a wreszcie wykorzystywać talenty. Przeczesał kraj w poszukiwaniu wspaniałych młodych ludzi: najinteligentniejszych, najwytrzymalszych, najprzystojniejszych, a nawet – jak on sam – wyjątkowo dobrze umięających wtapiać się w otoczenie. Zwracał uwagę na to, jak inni na nich reagują, badał ich charaktery i opinie, po czym ich przesłuchiwał, tak samo jak broadwayowski lub hollywoodzki producent sprawdzając, czy nadają się do roli, którą dla nich przewidział.

Jednak różnica między panem Brownem a innymi zawodowymi łowcami talentów polegała na tym, że te obiekty obserwacji były nieświadome jego zainteresowania aż do ostatniego etapu, gdy zostały wybrane i zobowiązywały się do absolutnej tajemnicy. Eva Barry, inteligentna, niezwykle piękna dziewczyna ze skromnego domu w hrabstwie Northumberland, była jednym ze znalezisk pana Browna i służyła tak jemu, jak i krajowi z wyjątkowym oddaniem, poświęceniem i odwagą. Teraz, ćwierć wieku po tym, jak Eva zaczęła dla niego pracować, pan Brown jechał pociągiem do Oksfordu, gdzie zamierzał się przekonać, czy jej córka może okazać się równie użyteczna.

Doskonale wiedział, że jest wielce nieprawdopodobne, by Saffron Courtney zgodziła się poświęcić swoje dziewictwo dla kraju, tak jak jej matka. Eva była zrozpaczoną biedaczką, wystarczająco pragnącą zemsty, by prostytuować się w łóżku człowieka, który zniszczył jej ojca, hrabiego Ottona von Meerbacha, jeśli to miałyby zniszczyć jego. Z tego, co pan Brown dowiedział się o Saffron, jej sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Los obdarzył ją zarówno inteligencją, jak i bogactwem. Śmierć matki była tragicznym zrzędzeniem losu, za który nikt nie ponosił winy. Jej



ojciec żył i miał się dobrze, a jego relacje z Saffron były pod wieloma względami fundamentem jej życia.

Jednakże to nie znaczyło, że pewnego dnia nie okaże się użyteczna, a ten dzień mógł nadejść raczej za kilka miesięcy niż lat. Hitler po raz kolejny rzucił Europie wyzwanie, sprawdzając, czy będzie gotowa go powstrzymać. Wysłał swoje wojska do Czechosłowacji. I po raz kolejny bezczelność uszła mu płazem. Neville Chamberlain, który rok wcześniej zastąpił Stanleya Baldwina na fotelu premiera, udał się z premierem Francji Édouardem Daladierem do Monachium na spotkanie z Hitlerem i jego kompanem, włoskim dyktatorem Mussolinim. Chamberlain i Daladier oddali wolność Czech w nadziei na „Pokój z honorem. Pokój w naszych czasach”, jak to określił Chamberlain.

Polityczny rywal Chamberlaina, Winston Churchill, ostro to skrytykował: „Mieście wybór między wojną a hańbą. Wybraliście hańbę i będziecie mieli wojnę”. Ale ludzie byli zwyczajnie wdzięczni za byle okrucieństwo nadziei, że może zapobiegnie się wojnie. Jak powiedziano w jednej z kronik filmowych, pokazujących przejazd limuzyny Chamberlaina ulicą, wzdłuż której stali obywatele niemieckiej Rzeszy, wiwatując i machając rękami: „Niech nikt nie mówi, że zapłacono zbyt wysoką cenę za pokój na świecie, dopóki nie zajrzy w swoją duszę i nie znajdzie w sobie gotowości do wojny i narażenia życia najbliższych mu i najdroższych osób, i dopóki nie oszacuje całkowitych kosztów, jakie może musiano by ponieść, w postaci śmierci i zniszczeń”.

Tu nie ma żadnego „może”, pomyślał pan Brown, oglądając te kadry, ponieważ od czasu do czasu lubił pójść do miejscowego kina. Wojna wybuchnie. Pytanie tylko kiedy.

Biorąc pod uwagę to, a także odwieczną prawdę, że choć wojnę zawsze wszczynają starcy, to walczą młodzi, pan Brown rozglądał się za świeżą krwią, niezbędną, gdyby rozpoczęły się działania wojenne. I na podstawie wszystkiego, czego się dowiedział, stwierdził, że Saffron Courtney jest osobą, której szuka.

Kiedy tłum studentów pierwszego roku wysypał się z Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Oksfordzkiego, mała grupka zatrzymała się przy opartych o mur rowerach. Młody mężczyzna zawołał do jednej z bardzo niewielu kobiet, które właśnie wychodziły z wykładu „Neoklasyczny paradygmat Marshalla i Pigou”:

– Hej, Courtney! Zobaczymy się dziś po południu w bibliotece?

Saffron odwróciła się i uśmiechnęła do swojego kolegi Quentina Ederdy’ego. Chociaż udawał głupkowatego bogacza, tak naprawdę był wściekle inteligentnym chłopakiem ze skromnego domu w Dudley w hrabstwie West Midlands. Zdobył stypendium i nie krył swoich ambicji, by zostać kiedyś kanclerzem skarbu w rządzie Partii Pracy.

– Przykro mi, ale nie mogę – odparła. – Manners chce, żebym pogadała z nim o moim eseju. Proponuje mi herbatkę z racuchami.

– Hm... to brzmi podejrzanie. Lepiej uważaj. Kiedy mężczyzna podsuwa dziewczynie gorące racuchy z masłem, zbiera się do skoku.

Saffron się roześmiała.

– Trudno mi sobie wyobrazić Mannersa w roli uwodziciela. Chyba w ogóle nie jestem w jego typie.

– Faktycznie. Nie biega za dziewczynami, trzeba przyznać. A więc myślę, że zamierza podjąć ostatni rozpaczliwy wysiłek, by wyrwać cię z okowów absurdałnej, przestarzałej wiary w przyszłość kapitalizmu i skierować na słuszną drogę ku socjalizmowi.

– Tak, to bardziej prawdopodobne. W swoim eseju nie zgadzam się z Keynesem i sugeruję, że rozwój gospodarczy byłby lepiej stymulowany, gdyby rząd ułatwił prywatnym spółkom branie kredytów, zamiast marnować środki na nieskuteczne wydatki publiczne.

– Mój Boże, Courtney, czasem widzę, że za tą śliczną fasadą kryje się umysłowość wyzyskiwacza, którego jedynym pragnieniem jest jeszcze bardziej wdeptać biedotę w piach.

– A ty, drogi Quentinie, chcesz tylko być sowieckim komisarzem, mówiącym ludziom, co dla nich dobre. Ale ponieważ ja widziałam, jak faktycznie można uratować stanowiska pracy i podnieść pensje, jeśli w czasie kryzysu gospodarczego ratuje się przed zatonięciem zasadniczo zdrowe spółki, po prostu dając im dostęp do kredytu i pozwalając

działać, aż znowu rozkwitną, to myślę, że w moim systemie biedni lepiej dadzą sobie radę.

– Powodzenia w przekonywaniu Mannersa. On całuje ziemię, po której stąpa John Maynard Keynes. No, muszę jechać...

Odprowadzając go wzrokiem, gdy odjeżdżał na rowerze, Saffron pomyślała, jakie to dziwne, że można tak kogoś lubić i tak zasadniczo się z nim nie zgadzać. Quentin Edercy chciał stworzyć nowe społeczeństwo, w którym ludzie tacy jak ona nie korzystałoby już z przywilejów bogactwa i własności, a zwykli ludzie, tacy jak ci, wśród których on się wychowywał, mieliby uczciwy udział w dobrobycie, do którego stworzenia się przyczynili. Co do samej istoty Saffron nie mogła się nie zgodzić z tymi zasadami: trudno byłoby jej powiedzieć, że wierzy w nierówności społeczne. Ale w głębi serca była Afrykanką, przyzwyczajoną do świata drapieżników i ich ofiar, w którym życie było wieczną walką o przetrwanie i zawsze zwyciężali silniejsi. Dlatego, choć sympatyzowała z ideami powszechnego pokoju i równego podziału dóbr, po prostu wątpiła, że kiedykolwiek się urzeczywistnią. Natomiast wierzyła w działanie zgodne z ludzką naturą, uznając, że człowiek to stworzenie nastawione na konkurencyjność, niekiedy ułomne, a więc czasem pozostaje tylko ratować, co się da, z nieudanego przedsięwzięcia.

Idąc uliczką New College Lane do college'u, powtarzała w myślach ten argument i zastanawiała się, jak mogłaby przekonać doktora Jeremy'ego Mannersa, błyskotliwego wykładowcę, który nadzorował jej zajęcia z ekonomii. Minęła stróżówkę i frontowy dziedziniec. Zmierzch otulał miasto i w kaplicy college'u zapalały się światła, zamieniając średniowieczne witraże w szereg wielobarwnych latarni. Saffron pokonała ścieżkę wokół owalnego trawnika w centrum dziedzińca i dalej łukowate przejście w głębi – i znalazła się na Dziedzińcu Ogrodowym, nazwanym tak, bo z jednej strony wychodził na ogrody, jeden z cudów Oksfordu. Gdyby to było letnie popołudnie, Saffron miałaby z okien doktora Mannersa widok na rozległy trawnik (po którym, inaczej niż na frontowym dziedzińcu, studenci mogli się przechadzać), obrośnięte drzewami wzgórze z boku i wiekowe mury otaczające całość, obsadzone wspaniałą roślinnością, która wybuchała feerią kolorów, gdy kwitły krzewy, kwiaty i zioła.

Jednak teraz nie kwitły. Było zimne, deszczowe popołudnie i gdy Saffron jak najszybciej pokonywała ścieżkę i schody na drugie piętro,

miała w głowie tylko obraz płonącego kominka, kubka parującej herbaty i tak, świeżo usmażonych racuchów.

Zapukała do grubych dębowych drzwi i usłyszała głos swojego opiekuna naukowego:

– Proszę!

Wkroczyła do wielkiego pokoju zastawionego regałami pełnymi książek, a wszędzie wokół leżały kolejne książki, otwarte i zamknięte, czasopisma i prace naukowe oraz arkusze papieru kancelaryjnego zapisane przez studentów lub ręką samego Mannersa. Stały też tutaj oprawione w ramki fotografie gospodarza z przyjaciółmi i kolegami akademickimi, a nawet z politykami, którzy zasięgali jego rady w sprawach gospodarki.

Manners był wysokim, tęgim mężczyzną po czterdziestce, z rozwichrzoną rudą czupryną, siwiejącą na skroniach. Miał na sobie workowate tweedowe spodnie, sweter z grubej wełny, a pod nim koszulę i krawat.

– Ach, Saffron, jak dobrze, że do nas dołączasz – odezwał się i dopiero teraz spostrzegła, że w pokoju jest jeszcze jeden mężczyzna, siedzący tak cicho w jednym z foteli, które Manners ustawił przed kominkiem, że wydawał się ledwo obecny.

Był niski, szczupły, ubrany w idealnie skrojony grafitowy garnitur, białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i granatowy krawat bez żadnych klubowych czy uczelnianych emblematów. Sądząc po siwych włosach i zmarszczkach, był w mocno zaawansowanym wieku. Ale spojrzenie, jakim ją objął, wyrażało niezwykłą żywość umysłu, niepokojący chłód i bezkompromisowość.

Podniósł się z otchłani fotela, gestem odrzucając pomoc Mannersa.

– Saffron, to jest pan Brown – przedstawił go Manners. – Stary kumpel i dodam, prawdziwa szara eminencja Whitehallu. Zna absolutnie wszystkich, którzy się liczą w rządzie, i to od... ilu już lat... pięćdziesięciu, Brown?

Pan Brown uśmiechnął się nieznacznie i wzruszył lekko ramionami.

– Och, nie liczę lat, Manners, ale tak, płaczę się tam już długo. – Spojrzał na Saffron. – Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, moja droga – rzekł, ściskając jej rękę.

– Usiądź, Saffron, proszę – powiedział Manners. – Może herbaty? Racucha?

Saffron poprosiła o jedno i drugie.

– Sądzę, że winien pani jestem przeprosiny, panno Courtney – zwrócił się do niej starszy pan. – Manners zaprosił tu panią pod fałszywym pozorem. Ale zapewniam panią, że pani esej jest doskonały.

– Moim zdaniem argumentacja jest wzorcowa – odezwał się Manners. – I ciekawie wykorzystano materiał dowodowy z pierwszej ręki... rzadko zdarza się studentka, która potrafi podeprzeć swoją tezę bezpośrednią relacją o środkach, jakie podjęła rodzinna firma dla uratowania się przed bankructwem... Całość naprawdę robi wrażenie. Oczywiście, nie zgadzam się z żadnym słowem, od pierwszej litery po ostatnią kropkę. Niemniej jednak oceniam pani pracę na dobry z mocnym plusem... niezła robota.

– Więc po co tu jestem? – zapytała Saffron, patrząc to na jednego, to na drugiego.

– Właściwie to pan Brown prosił o to spotkanie – powiedział Manners.

– Czy wolno spytać dlaczego?

Starszy pan znów nieznacznie się uśmiechnął.

– Ależ oczywiście, panno Courtney. Otóż rząd jego królewskiej mości zawsze potrzebuje najinteligentniejszych i najlepszych młodych ludzi w kraju. Stąd też jednym z moich zadań jest wyszukiwanie osób szczególnie obiecujących i chociaż może o tym nie wiesz – dodał, porzucając oficjalną formę „pani” – jesteś tematem rozmów wielu osób starszych od ciebie.

– Naprawdę? – bąknęła Saffron, nieco zaskoczona.

– O tak. Słyszałem o wszystkim, od twoich umiejętności myśliwskich po dobry smak w doborze garderoby. A Manners wychwalał twoje zdolności naukowe. Tak się składa, że rzuciłem okiem na twój esej. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Zgadzam się z Mannersem, że praca jest dobrze skonstruowana, i zgadzam się także z tobą, że to rynek, nie państwo, jest głównym motorem skutecznej gospodarki.

– Jak człowiek Whitehallu może mówić coś takiego? – wtrącił Manners.

– Może, ponieważ wie, jacy są ludzie Whitehallu, i nie pozwoliliby im zastąpić nawet przekupki na targu.

Saffron z trudem opanowała chichot, widząc na twarzy swojego wykładowcy wyraz absolutnej zgrozy.

– Dziękuję, panie Brown – powiedziała.

– Ależ nie ma za co, moja droga. Och... jeszcze nie wspomniałem o jednym. Obawiam się, że zaczyna dopadać mnie starość.

– O co chodzi?

– Po prostu był jeszcze jeden szczególny powód, dla którego chciałem się z tobą spotkać. Widzisz, kiedyś znałem twoją matkę, dawno temu. Prawdę mówiąc, poznałem ją całkiem dobrze, kiedy tutaj przybyła.

Brawo, dziewczyno! – pomyślał pan Brown. Dokładnie zrozumiałaś, o czym mówię, i kompletnie cię to zaskoczyło, lecz opanowałaś się w sekundę.

Spojrzał na Mannersa, ale tamten nie zauważył niczego niezwykłego – widział jedynie oczywiste zaskoczenie na wieść o nieoczekiwanej więzi łączącej dwoje ludzi, którzy nigdy wcześniej się nie spotkali.

– Dobry Boże, Brown, słowem mi o tym nie wspomniałeś! – wykrzyknął Manners. – Nie aranżowałbym tego spotkania w takiej tajemnicy, gdybym wiedział, że jesteś starym przyjacielem rodziny.

– Aż tak bym tego nie nazwał – odparł pan Brown. – Ale owszem, znałem Evę Barry, jak się nazywała, zanim wyszła za ojca Saffron. Muszę przyznać, że była wyjątkową młodą damą. Wiesz, Manners, otrzymała Medal Wojskowy za odwagę podczas kampanii w Afryce Wschodniej. Ministerstwo Wojny zgłaszało swoje zastrzeżenia, normalne u tych sztywniaków, ale Delamere się uparł, powiedział, że miała tyle samo odwagi co mężczyźni, którzy służyli pod jej dowództwem. Oczywiście to było parę lat po tym, jak ją poznałem.

Pan Brown kierował te słowa do Mannersa, ale całą uwagę skupiał na Saffron. Chciał się przekonać, jak dziewczyna zareaguje, gdy da teraz jasno do zrozumienia, że znał Evę w czasach, gdy była szpiegiem. I Saffron wyraźnie wiedziała wszystko o tamtych czasach, bo nie zadawała żadnych oczywistych pytań, które młoda kobieta, zwłaszcza taka, która tak wcześnie straciła matkę, normalnie zadałaby każdemu, kto kiedyś tę matkę znał.

Gdy cię przeszkolimy jak należy, nie będziesz popełniała takich błędów, pomyślał pan Brown. Ale to był tylko nieistotny drobiazg. Dziewczyna w każdym calu przypominała swoją matkę. Nie tylko była równie piękna, a może nawet piękniejsza, jeśli to możliwe, ale miała też taki sam silny kręgosłup jak Eva. Pan Brown widział to w jej ciemnoniebieskich oczach, które teraz patrzyły na niego z zimną, nieprzejednaną wściekłością, chociaż usta uśmiechały się słodko. Saffron znała całą historię, to było oczywiste, i w sposób naturalny wyciągnęła natychmiast słuszny wniosek, że to pan Brown ponosi odpowiedzialność za wszystko, co jej matka była zmuszona zrobić.

Pozwolił Mannersowi zaproponować jeszcze herbaty lub kolejnego racucha – „Więcej masła? Dżemu truskawkowego?” – po czym zwrócił się do Saffron:

– Czy mam rację, że w ciągu ostatnich kilku lat odwiedziłaś parę razy Niemcy?

– Tak. Moja przyjaciółka ze szkoły to Niemka, Francesca von Schöndorf.

– Co myślisz o tym kraju?

– Hm, mam takie samo zdanie na temat Niemiec – odparła po chwili namysłu – jak doktor Manners na temat mojego eseju. Kraj jest piękny, kultura... wie pan, architektura, muzyka, literatura i tak dalej... wspaniała, a wszyscy ludzie, których miałam okazję poznać, byli czarujący. Ale nie zgadzam się z żadnym słowem nazistowskiej propagandy, od pierwszej litery do ostatniej kropki.

Manners wybuchnął śmiechem i klasnął w dłonie.

– Ależ to zasługuje na celujący!

– Dlaczego tak uważasz? – spytał Brown.

– Bo to takie nienawistne... dosłownie przesycone nienawiścią – odrzekła Saffron. – Wręcz przeraża to, jak poniżani są Żydzi. I jest w tym taka arogancja siły... te wszystkie wielkie czerwone banery ze swastykami, ci ohydni mężczyźni, dumnie parady w swoich wymyślnych mundurach, strugający waśniaków. Z każdym moim pobytem było coraz gorzej.

– Myślisz, że Niemcy chcą wojny?

– Nie, wydaje mi się, że przeciętny Niemiec jest przerażony wizją kolejnej wojny. Dopiero gdy człowiek się tam znajdzie, rozumie, ilu mężczyzn stracili na wojnie. Więcej niż my. Ale nieważne, czego oni chcą, prawda? Ważne jest to, co Hitler im podsuwa.

– Ach, tak, Führer... powiedz mi: co twoi gospodarze o nim sądzą? Wyobrażam sobie, że ktoś noszący nazwisko von Schöndorf należy do tak zwanych wyższych sfer.

– Tak, to wyższe sfery. A co oni sądzą o Hitlerze... – Saffron sięgnęła pamięcią wstecz, usiłując trafnie przedstawić zdanie rodziców Chessi o przywódcy ich kraju. – Myślę, że czują się tak, jak czułyby się wyższe sfery u nas, gdyby rodzina królewska zniknęła, a jej miejsce zająłby jakiś upiorny żaloszny kapral ze śmiesznym wąsikiem. Ludzie byliby wstrząśnięci. Nie mogliby uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. I dokładaliby wszelkich starań, by żyć tak, jakby on po prostu nie istniał.



– Wielu członków angielskich wyższych sfer patrzy z sympatią... prawdę mówiąc, ze zbyt wielką sympatią... na Herr Hitlera – zauważył Brown.

– Tak, ale tylko dlatego, że jest władcą Niemiec. Nie bardzo by im się podobało, gdyby zaprowadził swoją tyranię tutaj.

Pana Browna uderzyły pewność siebie i bezpośredniość opinii Saffron. Można było tego oczekiwać od inteligentnej studentki Oksfordu, chociaż może nie od studentki pierwszego roku. Ale nawet najbliżskotliwsza intelektualistka, prywatnie wygłaszająca niesłychanie zdecydowane opinie, najpewniej przestrzegałaby ograniczeń, jakie narzuca damom dobre wychowanie. Nie chodziło o to, że Saffron mówiła podniesionym głosem czy napastliwie. Pytał ją wprost. Ona odpowiadała wprost. Wyraźnie nie wyobrażała sobie, że mogłaby zachowywać się inaczej.

Twoja matka przeciwnie, pomyślał pan Brown. Była równie piękna jak ty, równie dzielna, równie bystra. Ale nie miała twojej wiary w siebie, przynajmniej na początku. To twój wielki przywilej, moja droga.

Spojrzał na zegarek.

– Boże mój, która to godzina? Naprawdę muszę iść. Bardzo dziękuję, Manners, za twoją gościnność, szczerą jak zawsze.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Panno Courtney, bardzo miło się z tobą rozmawiało. Myślę, że jesteś godną uwagi młodą kobietą, i byłbym zachwycony kolejną szansą rozmowy z tobą. Jeśli przypadkiem znów wybierzesz się do Niemiec, z wielkim zainteresowaniem wysłucham twoich obserwacji.

– To niesłychanie pochlebne – powiedziała Saffron ze stosownym, wyrażającym wdzięczność uśmiechem. – Z radością się nimi podzielę, chociaż jestem przekonana, że wie pan o wiele więcej o tym kraju, niż mnie kiedykolwiek będzie dane się dowiedzieć.

– Ach, nic nie dorówna parze świeżych oczu... No to zmykam. Nie kłopotz się, Manners, znajdę drogę do wyjścia.

Z tymi słowami pan Brown wyszedł na drewniany podest i schodząc na parter, pomyślał: Znajdziemy sposób, żeby cię wykorzystać, Courtney. O tak, na pewno któregoś dnia się przydasz.

Pod koniec semestru, gdy Saffron pakowała się przed wyjazdem na Boże Narodzenie, dostała list od Chessi von Schöndorf. Był w jej zwykłym gadatliwym stylu, pełen wieści o rodzinie i pytań o studenckie życie w Oksfordzie. Ale wspaniałą wiadomością było to, że zaproszono ją, by dołączyła do grupy znajomych, którzy zaraz po świętach wybierali się na dwa tygodnie do St. Moritz. „Oczywiście jeżdżenie na nartach będzie cudowne, chociaż wiem, że ciebie to nie interesuje!”, napisała Chessi, wywołując uśmiech Saffron, bo od trzech lat był to stały powód do żartów podczas jej wizyt w Niemczech. Chessi, jak wszyscy w jej rodzinie, pierwszy raz przypięła narty, kiedy ledwo nauczyła się chodzić, a Saffy nigdy nie błyszczała wielkimi umiejętnościami na śniegu. Obie czuły się tym zaskoczone, bo wcześniej nie było sportu, do którego Saffron nie miałaby wrodzonego talentu, ale z jakichś przyczyn – ustaliły, że musiało to wynikać z jej afrykańskiego dzieciństwa – okazała się jedynie przyzwoitą narciarką, chociaż na stoku nie brakowało jej odwagi. Chessi była w siódmym niebie, odkrywając, że w końcu jest pole, na którym może przyćmić niezrównaną do tej pory przyjaciółkę, i Saffron świadomie pohamowała swoją zaciekle ambitną naturę, ponieważ wydawało jej się ze wszech miar sprawiedliwe, by choć raz to Chessi zdobyła poklask. Ale po chwili Saffron już zapomniała o jeździe na nartach, bo pojawiła się naprawdę interesująca wiadomość.

*A teraz, Saffy, moja droga przyjaciółko, muszę zdradzić Ci najcudowniejszą w świecie wiadomość: JESTEM ZAKOCHANA! On nazywa się Gerhard i pochodzi z bardzo dobrej rodziny (również bardzo bogatej, jak wciąż powtarza mi Mutti!). Z zawodu jest architektem, ale w wolnym czasie pilotuje myśliwce Luftwaffe. A więc jest artystą ORAZ dzielnym żołnierzem, ORAZ jest wysoki, przystojny jak gwiazdor filmowy i ma śliczne oczy, dobre i łagodne. Och, Saffy, kiedy na mnie patrzy, czuję się jak w niebie!!! Dołączy do nas pod koniec naszego pobytu w St. Moritz i myślę, że może poprosi mnie o rękę, a jeśli to zrobi, powiem TAK, bo tak bardzo go kocham i chcę być z nim na zawsze!*

Saffron niemal słyszała uszczęśliwiony głos Chessi, jakby siedziały tu razem i chichotały z podniecenia, omawiając każdy najdrobniejszy szczegół – co Gerhard powiedział i co zrobił, i co to wszystko oznacza. To było zupełne przeciwieństwo jej oksfordzkiego życia, pełnego fascynujących, ale bardzo poważnych, zasadniczych dyskusji z wykładowcami i kolegami, z których wszyscy zamierzali naprawiać świat. Odpisała Chessi, gratulując jej szczęścia, zapewniła, że nie wyobraża sobie, by nie miała być pierwszą druhną na jej ślubie, po czym dodała:

*Na Boże Narodzenie i Nowy Rok wyjeżdżam do Szkocji z Ballantyne'ami, co zapowiada się uroczo, ale znaczy też, że będę musiała się opędzać od mojego krewnego Rory'ego. Pamiętaj, opowiadałam Ci o nim w Wielkanoc. Jest zarządcą posiadłości, a nie dzielnym żołnierzem, jednak to bez wątpienia przystojniak. Problem w tym, że jest bardzo słodki i naprawdę go lubię, ale tak po przyjacielsku. Mam tylko nadzieję, że nie zacznie się do mnie przystawiać, kiedy w święta wypije za dużo. Bo jeśli tak, to będę musiała dać mu w twarz – i co wtedy?!*

Rory bardzo się postarał. Zadał sobie trud i na odwrocie starej tapety odmalował drzewo genealogiczne swojej rodziny. Po południu w Nowy Rok rozwinął to arcydzieło na stole w bibliotece i udowodnił Saffron, że tak naprawdę nie łączą ich więzy krwi, bo siostra jej babki wyszła za brata jego dziadka, tak więc nie ma żadnej przeszkody, by się pobrali.

– Nie żebym się oświadczał czy coś – dodał.

– To doskonale – odrzekła – bo gdybyś mi się oświadczył, musiałabym ci odmówić, a strasznie bym tego nie chciała, ponieważ wtedy nie moglibyśmy być tak dobrymi przyjaciółmi. Jesteś świetnym kumplem i bardzo się cieszę, że należysz do mojej rodziny, nawet jeśli nie łączą nas więzy krwi. Ale nie jestem w tobie zakochana. Nie dlatego, że coś zrobiłeś albo czegoś nie zrobiłeś. Po prostu nic takiego do ciebie nie czuję.

– Podejrzewam, że w Oksfordzie jest jakiś mózgowiec, do którego robisz słodkie oczy, szczęściarz!

– Nie bądź śmieszny, nie ma żadnego mózgowca! Ani niemózgowca.

– No to może wciąż mam szansę.

Saffron nie skomentowała tego.

– Chodź, wracajmy do salonu – rzuciła. – Zaraz podwieczorek. Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie się podziewamy.

Ku zaskoczeniu Saffron na srebrnej tacy czekał na nią telegram. Jej pierwszą myślą było, że coś złego stało się ojcu lub Harriet, ale kiedy go otworzyła, okazało się, że przyszedł z hotelu Badrutt's Palace w St. Moritz.

ZABAWA WUNDERBAR STOP ON PRZYJEZDZA ZA DWA DNI STOP  
PODEKSCYTOWANA STOP ZALUJE ZE CIE TU NIE MA USCISKI CHESSI

– Wiesz, byłem w St. Moritz – rzekł Rory, kiedy Saffron opowiedziała mu o telegramie. – Świetne miejsce. Mogę z dumą powiedzieć, że zaliczyłem tor saneczkowy Cresta Run. Nie ma wątpliwości, to najbardziej przerażająca rzecz, jaką zrobiłem w życiu, ale była to cholernie dobra zabawa. Pamiętasz ten mój sweter do krykieta, ten z bordowymi paskami przy kołnierzu... to mój sweter Klubu Saneczkarskiego St. Moritz. Dowód, że zaliczyłem tor, i mój powód do dumy!

Szelmowski uśmiezek pojawił się na twarzy Saffron i oczy jej rozbłysły, bo nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

– A tak z ciekawości, jak można się stąd dostać do St. Moritz?

– Och, bardzo prosto, mogę ci powiedzieć dokładnie, bo już to przerabiałem. W południe wsiadasz do Latającego Szkota i jedziesz z Edynburga na King's Cross, gdzie jesteś około wpół do siódmej. Stamtąd metrem do dworca Victoria, wskakujesz w nocny pociąg i docierasz promem do Paryża. Mniej więcej o dziewiątej rano jesteś na gare du Nord... Nie nudzę cię tą wyliczanką?

– Ależ bynajmniej. Mów dalej, proszę.

– No, potem musisz przejechać przez Paryż do gare de Lyon i złapać pierwszy pociąg do Zurychu, gdzie jesteś za jakieś pięć godzin. Stamtąd dostajesz się do miasta Chur, znów się przesiadasz, na szczęście już ostatni raz, i jedziesz prościutko do St. Moritz, gdzie lądujesz akurat na drinka przed kolacją.

– To brzmi cudownie – stwierdziła Saffron. – Myślisz, że twoi rodzice będą bardzo źli, jeśli jutro wyrwiemy się do Szwajcarii?

– Przepraszam... że co?

– Powiedziałam, że powinniśmy wybrać się do St. Moritz. To byłaby cudowna niespodzianka dla Chessi i będziesz mógł mi pokazać ten tor saneczkowy. Też chciałabym spróbować zjechać.

– Ale... ale nie możesz!

– A to niby czemu?

– Bo jesteś dziewczyną. Kobietom zakazano zjazdów jakieś dziesięć lat temu. Absolutnie im nie wolno.

– Tym lepiej – skwitowała to Saffron. – Teraz to już na pewno chcę zjechać.

Po telefonie do biura podróży Thomas Cook, nazajutrz z samego rana, okazało się, że można zarezerwować pociągi i nawet hotel w St. Moritz, ale zajmie to co najmniej dzień. Niecałą dobę potem Saffron wkroczyła do biura podróży, z podążającym za nią Rorym, zapłaciła za dwa bilety do St. Moritz i z powrotem, odebrała je i poinformowano ją, że w Palace Hotel wszystko jest zajęte, ale znaleziono dwa pokoje w Suvretta House. „Jestem przekonana, że uzna je pani za bardziej niż satysfakcjonujące”, powiedziała pracownica biura, bez wątpienia szanowana obywatelka Edynburga. Jej zasznurowane wargi wskazywały, że wyczuwa coś, czego nie aprobeuje, choć jeszcze nie wie, co to może być.

Saffron wysłała telegram do Chessi:

JUZ JADE DO CIEBIE CAŁUJE SAFFY CMOK

Wsiadła z Rorym w pociąg do Londynu; zjedli kolację, przespali się i zjedli śniadanie w drodze do Paryża; na gare de Lyon wstąpili do dworcowej kawiarni na *croque monsieur* i filiżankę kawy, a kiedy dojechali do dworca w St. Moritz, obsługa hotelowa już tam na nich czekała.

Saffron zjadła obfitą kolację, po czym natychmiast się położyła i spała jak suseł do wpół do dziewiątej. Zamówiła śniadanie do pokoju i kiedy siedząc w łóżku, piła gorącą czekoladę i patrzyła przez okno na cudowny widok doliny schodzącej do zamarzniętego jeziora, rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam?! – zawołała.

– To tylko ja – usłyszała stłumiony głos Rory’ego. – Mogę wejść?

– Tak! – odpowiedziała, otulając się szczelniej szlafrokiem, by ukryć choćby najmniejszy ślad rowka między piersiami.

– Rany, jeszcze nie wstałaś? – rzucił Rory, widząc, że Saffy nadal wyleguje się w łóżku. – Myślałem, że od razu popędzisz do swojej przyjaciółki.

– Na to za późno. Wiem, co robi Chessi, kiedy tylko ujrzy stok. Jest na nim najpóźniej o ósmej rano. Czyli zobaczę ją dopiero wieczorem i pomyślałam sobie, że byłoby fantastycznie, gdybym mogła jej opowiedzieć, jak zjechałam po torze saneczkowym Cresta Run.

– Chyba nie myślisz wciąż o tym, żeby zjechać? Miałem nadzieję, że ten pomysł wywietrzył ci z głowy.

– A niby czemu miał mi wywietrzeć? Przetrzęsnęłam szafę twoją i twojego taty, wybierając męskie ubrania. Do czego innego mogłyby mi się przydać?

– Ale naprawdę, Saffy, możesz sobie coś złamać.

– Równie dobrze mogę sobie coś złamać na nartach, jak mnóstwo ludzi, więc lepiej nie próbuj mnie powstrzymywać.

– Wiem, nikt nie będzie mnie obwiniał, jak sobie coś złamiesz, ale bez mojej pomocy nie zjedziesz z tego toru.

– Och, tym się nie martw – odparła Saffron. – Nikt nie będzie cię obwiniał, że nie potrafiłaś przemówić mi do rozsądku. Nikt tego nie potrafi. Tylko spytaj mojego biednego ojca.



– W porządku. To twój pogrzeb i nie będziesz mogła mieć do mnie pretensji, jak sobie skręcisz ten swój głupi kark. W takim razie spotkajmy się w holu o dziesiątej. Poznam cię z Herr Zuberem.

– Och, brzmi tajemniczo, kto to taki?

– Człowiek, bez którego pozwolenia ani ty, ani nikt inny nawet się nie zbliży do Cresta Run, choćbyś była mężczyzną na dwieście procent.

Saffron zjadła śniadanie, wzięła prysznic i włożyła swoją najładniejszą bieliznę. Skoro już muszę wyglądać jak mężczyzna, to chociaż pod spodem chcę się czuć jak kobieta, stwierdziła. Spięła włosy w kok i naciągnęła na głowę wełnianą męską czapkę. Była wzrostu przeciętnego mężczyzny, więc to nie stanowiło problemu, a gruby wełniany sweter pod wiatrówką sprawiał, że wydawała się bardziej postawna, i ukrywał jej ładne, choć niezbyt duże piersi. Jednak jej twarz nie miała w sobie nic męskiego, co oczywiście było doskonałe, lecz akurat nie tego dnia. Owinęła szyję szalikiem, zasłaniając nim usta, a oczy i długie gęste rzęsy ukryła za ciemnymi okularami.

Kiedy już zrobiła, co mogła, by wyglądać jak mężczyzna, musiała również stosownie się zachowywać, poruszać i mówić. Wzrost przez lata skazywał ją na odgrywanie męskich ról w szkolnych przedstawieniach: znakomicie wcielała się w Romea, choć pragnęła być Julią. Ale teraz, nieoczekiwanie, tamte doświadczenia bardzo jej się przydały. Stała przed lustrem, wsunęła ręce do kieszeni i lekko się przygarbiła. Mężczyźni to mają dobrze, że tak mogą! – pomyślała. My musimy zawsze być wyprostowane, unosić głowę i trzymać nogi razem, kiedy siadamy. Nie możemy się rozluźnić, tak jak oni. Więc pamiętaj: kolana rozstawione, jak siadasz!

Kilka razy przeszła tak po męsku przez pokój, starając się nie kołysać biodrami. Następnie przećwiczyła głos. Postanowiła, że będzie się odzywać tylko w razie absolutnej konieczności. Obniżyła głos, na ile tylko mogła, i mruknęła kilka razy „tak” i „nie”, a potem: „Niech tam”, „Yhm”, „Jasne”, „Spadam”.

Przecież cała masa mężczyzn ogranicza się tylko do tego, pomyślała i przysięgła sobie, że pod żadnym pozorem nie zachichocze, nie zapiszczy i nie nazwie niczego „uroczym” albo „cudownym”. Była na sto procent pewna, że kiedy tylko pomknie w dół toru, będzie się drzeć jak opętana, ale gdy osiągnie prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, już nikt jej nie zatrzyma, dopóki nie znajdzie się na dole.

Po raz ostatni spojrzała w lustro, po męsku wzruszyła ramionami i poszła na spotkanie z Rorym i tajemniczym Herr Zuberem.

Gerhard również zjawił się w St. Moritz poprzedniego wieczoru, ale musiał przejechać tylko dwieście kilometrów ze Schloss Meerbach. Po tym, jak kiedyś udawał, że potrzebuje pieniędzy na zakup mercedesa, nabył kilka lat temu nowszy model, elegancki jaskrawoczerwony dwumiejscowy kabriolet 540K, z białymi oponami i jasnobieżowymi, prawie barwy miodu, skórzanymi siedzeniami, i nigdy tego nie pożałował: pędząc tym samochodem po nowych autostradach, czuł niemal taki sam dreszcz jak wtedy, gdy siedział za sterami Bf 109. Gerhard postanowił nie zatrzymywać się w hotelu Badrutt's Palace, uznając, że nie powinien spotykać się z Chessi, dopóki się jej nie oświadczy: wydawało mu się to jakoś bardziej romantyczne. Po drodze z Berlina przespał się w domu rodzinnym, dzięki czemu mógł sobie zrobić dogodną przerwę w podróży, a także zawiadomić matkę, że jedzie oświadczyć się Francesce von Schöndorf.

Tak jak się spodziewał, Athala była uradowana.

– Och, tak się cieszę waszym szczęściem! – wykrzyknęła, ściskając syna. – Już w pierwszej chwili, kiedy tylko zobaczyłam was razem, pomyślałam, że cudownie do siebie pasujecie. Ona jest taka piękna, taka czarująca. Będzie wspaniałą żoną, a ty, mój chłopcze, musisz być dla niej dobrym mężem.

– Oczywiście, matko. Inaczej po co bym się z nią zenił?

Gerhard rzeczywiście tak myślał. Naprawdę chciał być dobrym mężem. Może ojciec i starszy brat nie przywiązywali wagi do przysięgi małżeńskiej, uznając, że nie stoi ona na przeszkodzie ich seksualnym kontaktom z innymi kobietami. Ale on chciał zachowywać się inaczej. Będzie traktował żonę z szacunkiem, na jaki zasługiwała. I nie spodziewał się w tym względzie żadnych trudności. Chessi była tak urocza i tak słodka i naprawdę tworzyli doskonałą parę: wszyscy to mówili.

Gdyby tylko trochę bardziej ją kochał. Och, całkiem ją lubił i nigdy by nie powiedział, że czegoś jej brakuje, chociaż szkoda, że była taką żarliwą katoliczką i upierała się przy trwaniu w dziewictwie aż do nocy poślubnej. Był pewien, że gdyby poszli do łóżka, nie dręczyłaby go...

może nie wątpliwość, bardziej wahanie, czy namiętność, którą odczuwa, jest taka, jaka zawsze powinna towarzyszyć prawdziwej miłości.

Oczywiście bardzo ciężko pracował i wiele wolnych chwil spędzał w Luftwaffe, więc miał mało czasu czy miejsca w głowie na myślenie o miłości. Jednak poczciwa Chessi była tak przejęta, tak zachwycona perspektywą poślubienia go, że miała dość miłości za nich oboje. Niemniej jakiś bardzo cichy, spokojny, ale uparty głos z tyłu głowy wciąż zadawał mu pytanie, czy on jest równie mocno przekonany do tego pomysłu jak ona.

No cóż, teraz za późno, by się nad tym zastanawiać. Niebawem poprosi Chessi o rękę, a jaki mężczyzna nie zazdrościłby mu tego, że będzie się budził obok niej przez resztę życia? Gerhard dołożył wszelkich starań, aby trzymać ją z daleka od Konrada; nie dlatego, by żywił choć najmniejszą obawę, że brat mógłby mu ją odebrać – zresztą Chessi z pewnością nie zareagowałaby na jego umizgi – ale dlatego, że sama obecność Konrada była jak żółć lub trucizna i wszystko stawało się gorsze, mniej radosne, niż być powinno. Kiedy już się pobiorą, Konrad pozna Chessi na weselu, nie wcześniej.

A więc dziś wieczorem poprosi ją o rękę i wszystko będzie dobrze. Tak, dzięki temu wszystko się zmieni. Tymczasem zamierzał spędzić dzień, odnawiając znajomość ze swoją dawną kochanką, piekielną suką, którą poznał trzy lata wcześniej, ale miał ochotę spotkać się z nią znowu. Na Boga, potrafiła być ostra wobec mężczyzny. Ale niech ją szlag, warta była każdego!

Herr Zuber był kościstym siwym mężczyzną, którego rodzina mieszkała w St. Moritz od niepamiętnych czasów, i prowadził w centrum miasta sklep, oferujący nie tylko normalny narciarski sprzęt, ale też szczególny ekwipunek niezbędny saneczkarzom na Cresta Run. Strój zaczynał się od skórzanego kasku z nausznikami, zapinanego pod brodą. Dalej były ochraniacze na łokcie i rękawice, coś pośredniego między grubymi zimowymi rękawiczkami a częścią rycerskiej zbroi. Metalowa płytko chroniła grzbiet ręki i kłykcie przed bezpośrednim kontaktem z twardym, chropowatym lodem. Kolejna para ochraniaczy zabezpieczała kolana, a całości dopełniały wysokie buty ze stalowymi noskami, z których sterczały dwa ostre ząbkowane szpice.

– Czasem coś takiego przydałoby się na parkiecie, no nie? – zażartował Rory, na co Saffron skinęła głową i mruknęła:

– Mhm!

Wydawało jej się, że całkiem nieźle udaje mężczyznę, ale gdy wychodziła, Herr Zuber się odezwał:

– Pozwolę sobie życzyć powodzenia, *Fräulein*. Zawsze podziwiałem kobiety, które mają prawdziwą odwagę.

Jak wryta zatrzymała się w drzwiach i już chciała zwymyślać Zubera za te słowa, ale stwierdziła, że mądrzej będzie się dowiedzieć, co jej nie wyszło. Może dzięki temu nie powtórzy takiego błędu.

– Skąd pan wiedział? – zapytała.

– Nie było trudno... Musiała pani zdjąć... nie wiem, jak się na to mówi... – Wskazał na swoje oczy. – *Sonnenbrille*.

– Okulary przeciwsłoneczne.

– *Ach so...* I pani oczy... żaden mężczyzna nie może mieć takich pięknych oczu.

– Dziękuję... Będę pamiętała, żeby przez cały czas być w tych okularach.

– Poza tym pani ręce. Proszę lepiej nie zdejmować rękawiczek, bo ma pani takie... wąskie palce, *sehr hübsch*.

– Co to znaczy? – spytał Rory.

– Herr Zuber był strasznie miły, powiedział, że mam śliczne palce. *Vielen dank*.

– *Bitte*, proszę, *Fräulein*. A w końcu nie dało się nie wyczuć pani perfum. Nie wiem, co to za perfumy, ale żaden mężczyzna tak nie pachnie. No, chyba że jest... jak by tu powiedzieć...? Nie całkiem mężczyzną?

– O rany, moje Shalimar! Musiałam się skropić po prysznicu, nawet o tym nie myśląc.

– Mam małą *Toilette* w głębi sklepu. Z umywalką. Jak pani przemyje twarz, zapach zniknie. Jeśli nie zdejmie pani okularów ani rękawic, może uda się pani zjechać. Opowie mi pani wszystko, jak będzie pani oddawać ekwipunek. A na razie, *viel Glück*... powodzenia!

Saffron opłukała szyję i skórę za uszami. Następnie, wracając do swojej roli, włożyła okulary przeciwsłoneczne i rękawice. Gdy oboje wyszli ze sklepu, nie zauważyli wysokiego mężczyzny, który nadchodził z przeciwnej strony. Rory wciągnął nosem powietrze i powiedział:

– Nic już nie czuć. Doskonale. No to w drogę!

Poszli szlakiem biegnącym wzdłuż Cresta Run. Rory uznał, że ma jeszcze jeden sposób, by uratować ją przed niechybną śmiercią.

– Nie będziemy się wlekli na samą górę – oznajmił. – W połowie trasy jest specjalne miejsce startowe dla nowicjuszy. Pierwsze kilka razy każdy stamtąd rusza. Tak właściwie to przepis.

– Podobnie jak zakazu startu kobiet, jego też nie zamierzam się trzymać – odparła ostro. – Więc lepiej powiedz, co mnie czeka na drodze.

– Niech ci będzie. – Westchnął. – Tor ma długość tysiąca dwustu metrów, różnica wysokości wynosi sto pięćdziesiąt siedem metrów. Przeciętny spadek dwanaście procent, wierz mi, że to sporo, a największe stromizny są dużo gorsze. Słuchaj, Saffy, naprawdę nie wydaje mi się, że to dobry pomysł...

– Dość tego! Podjęłam już decyzję. Teraz po prostu mi pomóż. Powiedz, co mam robić, żeby zjechać w jednym kawałku.

– Zapieraj się nogami. Powinnaś dać radę. Kontroluj zjazd, wbijaj czubki butów w lód i na początku jedź wolno, aż wyczujesz krzywizny toru. Nie wstydź się, nie myśl, że głupio wyglądasz. Będzie dużo bardziej głupio, jak popędzisz za szybko i rozwalisz się, zamiast dojechać na dół w jednym kawałku i w równym tempie.

– Poradziłbyś to samo mężczyźnie?

– Tak, naprawdę bym poradził. I powiedziałbym mu, że ten tor jest pełen zasadzek i niespodzianek. Niektóre zakręty są specjalnie tak ukształtowane, żeby wyrzucić człowieka poza tor, jeśli nie będzie całkowicie panował nad sankami. I tu dochodzimy do Shuttlecock...

– A co to?

– Najtrudniejszy zakręt na trasie, Saffron, zakładając, że dojedziesz tak daleko. Choć pewnie ci się to nie uda, skoro jesteś na tyle szalona, żeby startować z samej góry...

Saffron zmierzyła Rory'ego spojrzeniem, którego nie powstydziałaby się gorgona.

– No dobrze... – ustąpił. – Startujesz z samej góry, mijasz Stable Junction, potem Church Leap, gdzie obok stoi malowniczy wiejski kościółek... następnie bierzesz kilka zakrętów, mijasz start dla

początkujących i wjeżdżasz w prostą, Junction Straight. I teraz, jeśli nie będziesz ostrożna, możesz nabrać takiej prędkości... ty i każdy nowicjusz, mężczyzna również!... że dalej sobie nie poradzisz. Suniesz w górę i robisz zakręt w prawo na wzniesieniu Rise, opadasz po drugiej stronie, śmigasz pod mostkiem, Nani's Bridge, pokonujesz zakręt Battledore i masz przed sobą Shuttlecock, czyli to, przed czym cię ostrzegałem.

– Zakręt, na którym się wylatuje?

– Właśnie. Do tego on służy, do wyrzucania gości, którzy przesadzili z prędkością. Jest jak zawór bezpieczeństwa, żeby niżej nie doszło do jeszcze większego nieszczęścia. Jest nawet Klub Shuttlecock dla ludzi, którzy tam wylecieli. Noszą krawaty klubowe i w ogóle.

– Ja mogłabym mieć podwiązki Shuttlecock.

– Nie mówiłbym tego, będąc w zasięgu słuchu któregoś z tych facetów.

– A tak przy okazji, co się dzieje, jak wypadniesz po złej stronie toru i zlecisz z góry?

Rory ze smutkiem pokręcił głową.

– Obawiam się, że wtedy niewiele da się zrobić. Jest specjalny cmentarzyk, w dole przy jeziorze, tylko dla tych, którzy się załatwili na Cresta Run. Smutny koniec, no nie?

– No... no tak... smutny – mruknęła Saffron i Rory zobaczył, że tym razem jest naprawdę wstrząśnięta.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Tylko żartowałem. Nie ma żadnego cmentarza. Z boku toru są siatki, kiedy spadek jest zbyt groźny, więc każdy, kto wypadnie, ląduje w siatce. Patrz – wskazał w górę stoku – tam, wyżej, na zakręcie, widzisz?

– Ty draniu! – wykrzyknęła. – Chętnie bym ci przyłożyła tymi metalowymi rękawicami. Nauczyłybyś się, że okrucieństwo nie popłaca!

Szli dalej i Saffron od czasu do czasu widziała niewyraźny zarys leżącej na brzuchu postaci, śmigającej obok. Metalowe płozy sanek z furją łomotały o lód.

– Punkt startowy dla nowicjuszy – objaśnił Rory, gdy mijali grupkę początkujących, którzy stali z boku toru, słuchając instrukcji starego wygi.

– Żegnajcie, nowicjusze! – zawołała Saffron, idąc dalej w górę.



Wreszcie doszli do startu Cresta Run. Prezentował się nadzwyczaj skromnie. Drewniana chata służyła za magazyn sanek i miejsce schronienia sędziego czasowego, który odnotowywał wszystkie zjazdy. W środku stał żelazny piecyk, przy którym saneczkarze mogli się ogrzać w naprawdę zimne dni. Jednak tego dnia była piękna alpejska pogoda, niebo było bezchmurne, błękitne, słońce świeciło oślepiająco i wszędzie leżał gruby śnieg. Grupka saneczkarzy, wszyscy w kaskach, rękawicach, wysokich butach i ochraniaczach, siedziała na drewnianej ławce, stojącej przodem do szczytu toru, który był zablokowany deską połączoną zawiasami z bocznym słupkiem. Mężczyzna w swetrze z emblematem Klubu Saneczkarskiego St. Moritz stał przy desce, pełniąc funkcję startera.

Nikt nie miał wstępu na tor, dopóki nie opuścił go poprzednik – zaliczając zjazd albo leżąc gdzieś w śniegu, z boku toru. W tym momencie do chaty doszedł sygnał, starter uniósł deskę i ruszył następny saneczkarz.

Jeden z mężczyzn siedzących na ławce przyglądał się Rory'emu i Saffron ze szczególną ciekawością, gdy szli w jego kierunku. Saffron poczuła, że się rumieni. Pewnie na nią patrzył, uznając, że coś jest nie tak, jak być powinno. Wtem mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Wiem! – zawołał. – Jesteś Ballantyne, zgadza się? Byłeś tu w trzydziestym siódmym.

– Zgadza się. A ty musisz być...

– Holland Moritz.

– No przecież, Moritz... Czy to nie ty lubiłeś opowiadać paniom, że sam święty Moritz był twoim przodkiem?

– Może wstawiłem taką gadkę raz czy dwa – przyznał tamten.

Saffron zmusiła się, by odwrócić wzrok i nie wpatrywać się zbyt natrętnie w idealnie białe zęby, opaloną twarz i błyszczące ciemnobrązowe oczy.

– A kim jest twój kumpel? – spytał Moritz.

– Och, to mój kuzyn, S... – Rory urwał na chwilę – Stephen Courtney.

– Miło poznać, Steve – powiedział Moritz, mocno ściskając jej dłoń.

– Ciebie też – odrzekła, starając się nie skrzywić, gdy uścisk Moritza niemal zmiądzzył jej rękę.

Tuż za nim kolejny mężczyzna wziął swoje sanki i stanął na starcie. Deska poszła w górę. Mężczyzna zrobił rozbieg, trzymając sanki przed sobą, po czym rzucił się na nie, z głową zaledwie kilkanaście centymetrów nad lodem, i popędził w dół, by pokonać pierwszy zakręt.

– Jesteś tak samo szybki jak twój kuzyn? – zwrócił się Moritz do Saffron.

– Prawdę mówiąc, Stephen to nowicjusz. Jest pierwszy dzień na torze.

– Ach, tak? I zjeżdżasz z samej góry?

Saffron kiwnęła głową.

– Mhm.

Moritz gwizdnął z podziwem.

– No, to masz jaja ze stali, muszę ci przyznać.

– O tak, jaja Stephena to mocna rzecz – potwierdził Rory.

Saffron znów kiwnęła głową i znów coś mruknęła.

– Chwytam, nie chce ci się gadać. Nie dziwię się, pierwszy dzień na torze i w ogóle. Tylko zjedź na sam dół, a zobaczysz, jakie to świetne. Poczujesz się, jakbyś latał, i od razu będziesz chciał wrócić na górę i to powtórzyć. Och, moja kolej...

Moritz pobiegł na start znacznie szybciej niż jego poprzednik, rzucił się z sankami na lód i pomknął w dół jak wystrzelony z procy.

– Niech cię nie zmyli ten jego amerykański luz i wdzięk – powiedział Rory. – Trudno o lepszego saneczkarza niż Holland Moritz. Wygrywa każde zawody, w których startuje. Cholernie miły gość i saneczkarz pierwsza klasa.

– Teraz moja kolej – powiedziała Saffron.

– Tak szczerze, jesteś absolutnie pewna, że masz na to ochotę?

Saffron spojrzała na tor. Nagle spadek nie wydawał się już ledwie dwunastoprocentowy. Zobaczyła pionową rurę, która przez tysiąc dwieście metrów miała ją trzymać w lodowych szponach, obtłukując na kwaśne jabłko i w każdej sekundzie napełniając przerażeniem, aż na dole wypluje, jeśli w ogóle raczy wypluć, szczątki człowieka.

Miała duszę na ramieniu.

– Tak, jestem pewna – powiedziała.

– No dobrze, tylko nie próbuj naśladować pana Moritza, nie startuj z naskoku. Podejdź spokojnie, postaw sanki, ułóż się na nich i dopiero

wtedy lekko odepchnij nogą. Wystarczy, że ruszysz, choćby jak najwolniej. Tor zrobi za ciebie resztę.

– Panie Courtney, tor czeka – obwieścił starter.

Saffron wzięła sanki i zdziwiła się, że są takie lekkie. Metalowy wyścielany korpus, niewiele większy od tacy do herbaty, do tego stalowe płozy. I to marne urządzenie miało ją zwieźć po torze Cresta Run?

– Panie Courtney...? – zapytał starter.

– Już idę – mruknęła Saffron.

Zrobiła dwa kroki, minęła uniesioną deskę, pochyliła się, wyciągając do przodu ręce, tak że sanki znalazły się jakieś trzydzieści centymetrów nad lodem, wzięła ostatni, głęboki oddech i rzuciła się przed siebie. Poczula uderzenie sanek o lód i opadła na nie, a gdy minęły krawędź startową, lód zaczął przemykać pod płozami – i Saffron już pędziła w dół.

Szybkość – oto co ją oszołomiło, przytłoczyło, pozbawiło kontroli nad sobą i własnym losem, przepełniając czystym strachem i gorączkowym podnieceniem, jakiego do tej pory nie zaznała. Saffron jeździła konno szybko, zmuszając wierzchowce do maksymalnego wysiłku, i pokonywała przeszkody, które wydawały się nie do pokonania. Prowadziła ciężarówkę po bezdrożach afrykańskiej sawanny, nie dbając o wyboje czy kopce termitów, na których w każdej chwili mogła się rozbić, i kierowała samochodami po wąskich drózkach Devonu, gdzie były same ślepe zakręty i każdy groził kraksą. Na wakacjach z Schöndorfami rzucała się na łeb na szyję z najbardziej stromych stoków w bawarskich Alpach, nie przejmując się, że robi to bez wdzięku.

Ale nigdy nie gnała z taką szybkością.

Najpotworniejsza była bliskość lodu. Ta bliskość i ogłuszający łoskot tłukących o lód sanek, wzmacniany jeszcze przez lodowe ściany i tak przenikliwy, że zdawało się, iż ten dźwięk przebija jej czaszkę i wwierca się do mózgu. Ciskało nią z boku na bok, jakby była uwięziona w gigantycznym shakerze. Gdy sanki pokonywały wzniesienia, wzlatywały i z łomotem opadały na tor, powietrze uciekało jej z płuc, tak że musiała walczyć o każdy oddech, co jeszcze potęgowało jej panikę. Teraz zrozumiała, z jakiego powodu zakazano zjazdów kobietom: kiedy tłukła o sanki piersiami, było to naprawdę bardzo bolesne. Wcześniej powiedziała sobie, że bez względu na to, co mówi Rory, ona nie zwolni. Ale gdy pędziła długą prostą – Czy to już Junction Straight? Do diabła, nie wiem, gdzie jestem! – rozpaczliwie usiłowała wbić ostre szpice butów w nawierzchnię toru, żeby chociaż trochę zmniejszyć tę szybkość, tę straszliwą, obezwładniającą szybkość.

Ale okazało się to niemożliwe. Gnała coraz szybciej. Poczuła, że sanki lecą w prawo, przemknęła pod niskim mostkiem, wpadła w następny zakręt. Sanki pędziły w stronę brzegu trasy, wznosząc się wyżej niż do tej pory, tak że Saffron była pewna, że zaraz wyleci poza tor. Odchyliła się w drugą stronę, w dół stoku, na ile starczyło jej odwagi, ale nic to nie dało.

Sanki wciąż mknęły w górę. Widziała boczną krawędź toru. Przygotowała się na nieuniknione wypadnięcie z niego, ale niewidzialna

ręka jakby złapała sanki i cisnęła z powrotem w dół. Udało mi się! – powiedziała do siebie Saffron i na ułamek sekundy się rozluźniła.

Zaraz potem sanki znów wspięły się ku krawędzi, szybciej niż wcześniej, biała graniczna linia zarysowała się wyraźnie na tle błękitnych przestworzy, ale tym razem nie było żadnej niewidzialnej ręki i Saffron nie wróciła na środek toru. Tym razem została wyniesiona w górę, bardzo wysoko. Sanki poleciały w jedną stronę, ona w przeciwną – i zawisała w powietrzu, jakby potrafiła latać. Ale siła przyciągania była nieubłagana i Saffron runęła bezwładnie, wzbijając wielką, białą fontannę śniegu.

Gerhard szedł w górę ścieżki, do linii startowej Cresta Run, kiedy z jego lewej strony dobiegł przeraźliwy krzyk. Odwrócił się i zdążył zobaczyć lecące w jedną stronę sanki i lecącego w przeciwną stronę saneczkarza. Wylądował w zaspie zaledwie dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie stał Gerhard. Nie ruszał się, wyraźnie oszołomiony upadkiem.

Gerhard podbiegł do niego i wyciągnął rękę. Uczył się angielskiego w szkole, a podczas dwóch wcześniejszych pobytów w St. Moritz przyswoił sobie kilka odpowiednich powiedzonek. Przyjeżdżał tutaj jedynie po to, by spróbować szczęścia na Cresta Run (gdyby chciał tylko jeździć na nartach, miał wiele gór w pobliżu swojego rodzinnego domu), a tu nie dało się uniknąć rozmowy z Anglikami z klasy wyższej. Dlatego odruchowo odezwał się po angielsku:

– Pozwól, że ci pomogę, staruszk.

Saneczkarz chwycił go za rękę i Gerhard pomógł mu stanąć. Mężczyzna był szczupłej budowy, o zaskakująco delikatnych dłoniach i... Gerhard puścił go i stał jak sparaliżowany, niezdolny przemówić, bez tchu w piersiach, wpatrując się w najpiękniejsze oczy, jakie widział w życiu: migdałowego kształtu, przejrzyste błękitne jak niebo, z długimi, gęstymi czarnymi rzęsami. Miał wrażenie, jakby trafił go piorun, i zdał sobie sprawę, że to nagłe, głębokie uczucie przenika bezpośrednio z jednej duszy do drugiej.

I to od mężczyzny do mężczyzny.

Krew pulsowała mu w żyłach, gdy patrzył w te oczy, które nie uciekały w bok i wydawały się równie urzeczone. Nagle serce uderzyło mu w piersi jeszcze mocniej, gdy pomyślał: Nie, to niemożliwe! Nie jestem homo! Przecież miałem tyle kobiet. Nie mogę być... a może?

W końcu tamten otrząsnął się z oszołomienia. Przyłożył rękę do twarzy i niemal równie zaniepokojony jak Gerhard, powiedział:

– Gdzie moje okulary... spadły mi... widziałeś je?

Gerhard się rozejrzył. Okulary przeciwsłoneczne leżały na śniegu zaledwie kilka kroków dalej. Podniósł je i podał właścicielowi, a ten łagodnie szepnął: „Dziękuję” i uśmiechnął się nieśmiało. Tak nieśmiało i pięknie, że Gerhard przysięgłby, że... Nie, jak to możliwe? – pomyślał.

Tylko mężczyźni mogą zjeżdżać po torze Cresta Run. Takie są przepisy. A Anglicy są tacy jak my, Niemcy. Trzymają się przepisów.

– Hm, poszukam swojego kuzyna. Będzie się martwił. No wiesz, że się przewróciłem – powiedział tajemniczy saneczkarz i odwrócił się, gotów wracać na szczyt.

– Pójdę z tobą – zaproponował Gerhard, który nagle dostrzegł świetną okazję, by rozwikłać tę tajemnicę. – Lepiej, żeby ktoś był przy tobie po takim wstrząsie.

– Albo może... zaczekam na niego tu na dole.

– W porządku... a przy okazji, jak się nazywasz?

– Courtney – rzucił przez ramię saneczkarz, odchodząc.

Gerhard odprowadzał go wzrokiem i gdy już miał się odwrócić, by iść dalej w górę wzgórza, biodra tajemniczego pana Courtneya zakołysały się szybkim, nieznacznym ruchem, absolutnie po kobiecemu, i Gerhard wybuchnął śmiechem. Dzięki Bogu! – pomyślał i ruszył przed siebie.

Po chwili zobaczył idącego z naprzeciwka Anglika, który rozglądał się niespokojnie, najwyraźniej bardzo zdenerwowany.

– Widziałeś może mojego kuzyna? – spytał. – Gość nazywa się Courtney. Chyba się rozwalił, ale nie wiem gdzie.

– *Ach so...* tak, widziałem Courtneya. Załatwił się na Shuttlecocku. Ale spokojnie, nie denerwuj się. Jest zdrow i cały... – Gerhard uśmiechnął się szeroko. – I ona czeka na ciebie na dole.

Saffron nie mogła się powstrzymać. Wiedziała, że szaleństwem jest się zdradzać, ale musiała mu zasygnalizować, że jest dziewczyną. Tak jak i on poczuła z absolutną pewnością, że spotkała kogoś wyjątkowego, tę jedyną osobę, na którą zawsze czekała, i było to dla niej jeszcze większym wstrząsem niż wypadnięcie z toru. Oczywiście, o miłości od pierwszego wejrzenia mówiło się wszędzie – w piosenkach, filmach i idiotycznych romansach. Ale nie wierzyła, że takie rzeczy zdarzają się w prawdziwym życiu. A jednak się zdarzyło i – co za pech – właśnie wtedy, gdy udawała mężczyznę. Zobaczyła w jego oczach przerażenie, kiedy zastanawiał się, co to znaczy, i nawet jeśli już nigdy w życiu go nie spotka, musiała dać mu znać, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby ją kochał. Zresztą jak mieliby się jeszcze spotkać?

Zagubiona w myślach, szukała sposobu, jak odszukać wysokiego, przystojnego mężczyznę – nie, więcej niż przystojnego, pięknego – pośród tłumu turystów w szczycie sezonu w St. Moritz, gdy dopadł ją rozpędzony Rory.

– Jesteś! Myślałem, że umrę z niepokoju. Tak pognałaś, że wiedziałem, że się wyłożysz. Dzięki Bogu, jesteś w jednym kawałku.

– Nic mi nie jest – zapewniła go Saffron. – Wylądowałam w wielkiej zaspie i uratował mnie czarujący niemiecki dżentelmen.

– Chyba spotkałem go po drodze. Wyglądał na mocno zadowolonego z siebie. Poznał, że nie jesteś mężczyzną.

– O rany – powiedziała Saffron, bardzo starając się udawać zmartwioną, chociaż w głębi serca była szczęśliwa. – Myślisz, że mnie wsypie?

– Pewnie tak. Niemcom nie można ufać.

– Och, nie bądź śmieszny, Rory. Znasz jakichś Niemców?

– No, osobiście nie...

– A ja znam, i są bardzo mili. Wieczorem przedstawię cię mojej najukochańszej przyjaciółce, Chessi von Schöndorf, i na pewno uznasz, że jest absolutnie zachwycająca. Nigdy nie wiadomo, może ma jakąś uroczą niemiecką koleżankę, dzięki której zmienisz zdanie o jej narodzie.

– Nie chcę żadnej uroczej Niemki. Chcę...



– Pst... – Saffron położyła palec na jego ustach. – Tu nie będziemy o tym rozmawiać. Idę do hotelu Palace, żeby zostawić Chessi liścik z pytaniem, gdzie spotykamy się dziś wieczorem. Potem może zjedzmy lunch i nie wiem, jak ty, ale ja po południu zamierzam wynagrodzić sobie grozę wcielania się w brutalnego samca, folgując swoim najbardziej błahym kobiecym zachciankom. Kąpiel w tureckiej łaźni parowej, następnie masaż. Potem fryzjer i kosmetyczka. Może nawet wybiorę się na zakupy po jakąś nową sukienkę.

– To mi wygląda na straszne męki, po to tylko, żeby się pokazać innej dziewczynie.

– Po pierwsze, żadne męki, bo to świetna zabawa. Po drugie, inna dziewczyna bardziej doceni moje starania niż jakikolwiek mężczyzna. A po trzecie... – Saffron w samą porę ugryzła się w język. Po trzecie, była święcie przekonana, że znów go spotka, i chciała wyglądać jak najcudowniej, ponieważ... – Och – zakończyła.

Rory patrzył na nią wzrokiem mężczyzny, który kompletnie nie ma pojęcia, co też dzieje się w głowie kobiety, która stoi obok niego.

– Co „och”?

– Słucham...? – spytała Saffron z wyraźnym roztargnieniem.

– No, miałaś mi wyjaśnić, jaki jest trzeci powód, że te wszystkie męki, przez które zamierzasz przejść, to wcale nie są męki, ale przerwałaś i powiedziałaś: „Och”, więc się zastanawiam, w czym rzecz.

– Och... nieważne. Zapomnij o tym „och”. Masz absolutną rację. Jestem głupiutką kobietką i na pewno wszystko, co ty zamierzasz zrobić dziś po południu, jest o wiele mądrzejsze.

Teraz z kolei wydawała się podminowana, a Rory za żadne skarby świata nie mógł zgadnąć, czym sobie zasłużył na takie traktowanie.

Oczywiście niczym. Ale w tej chwili Saffron na pewno nie zaprzętała sobie głowy Rorym. Usiłowała dojść do ładu z całą masą myśli, wspomnień i spostrzeżeń, kotłujących się w jej podświadomości, i nagle doszła do potwornego wniosku.

Ogarnęło ją koszmarne przecucie, że wie, kim jest ten piękny Niemiec, ten, który zrzędzeniem losu objawił się jako mężczyzna jej życia. To za niego miała wyjść Chessi. I jeśli do tej pory się jej nie oświadczył, robi to wkrótce, prawdopodobnie dziś wieczorem. Mam być jej pierwszą druhną, pomyślała. Jak mogłabym stanąć pomiędzy nią a mężczyzną, którego kocha?

Jednak po chwili namysłu powiedziała sobie: Przystopuj, dziewczyno! Nie wiesz, czy to faktycznie wybranek Chessi. I nie stajesz między nimi. Dosłownie wylądowałaś u jego stóp, A POZA TYM to był całkowity przypadek, A POZA TYM to, co się wydarzyło – jakkolwiek to nazwać – było zupełnie niezamierzone. Nie planowałaś tego, że spojrzysz mu w oczy i zakochasz się w nim na zabój. To się po prostu stało.

Przypomniała sobie wszystko, czego się nauczyła na jednym semestrze z filozofii, i uznała, że nie ponosi żadnej moralnej odpowiedzialności za to, co się wydarzyło lub nie.

Och, a co z tym, co może się wydarzyć? – spytał siedzący na jej ramieniu aniołek.

Saffron rozważyła problem i rozwiązała go po swojemu. To nie moja decyzja, pomyślała. To jego decyzja, kimkolwiek jest. Jeśli woli mnie, to nie powinien być z Chessi, a ona i tak nigdy nie byłaby z nim szczęśliwa. A jeśli wybierze ją, rozgniewa mnie to, ale zachowam czyste sumienie i będę wiedziała, że ona jest dla niego idealna i że pomogłam mu zyskać taką pewność.

To doprowadziło ją do ostatecznego wniosku, że jest dużym chłopcem i sam powinien zdecydować, którą z nich chce.

I postanowiła zrobić wszystko, by to właśnie ją zechciał. Choć przecież nadal nie wiedziała, czy to naprawdę wybranek Chessi...

Chessi i reszta towarzystwa poszli na antresolę restauracji Chesa Veglia, gdzie zestawiono im cztery stoliki, nakryte obrusami w biało-niebiesko-czerwona kratę. Gerhard zdecydował, że zostanie na dole i wypije jeszcze jedno piwo. „Dla kurażu, staruszkę? – spytał jeden z mężczyzn. – Czyżby zabrakło odwagi?” Wszyscy się roześmiali, a Chessi oblała się rumieńcem. Wiedzieli, że Gerhard von Meerbach dzisiaj się jej oświadczy, a ona oczywiście powie „tak”, bo nawet gdyby nie była zakochana do szaleństwa, chociaż przecież była, to jaka dziewczyna przy zdrowych zmysłach odrzuciłaby tak przystojnego, czarującego, bogatego i ze wszech miar pożądanego mężczyznę jak on?

Tak więc Gerhard został na dole – pił piwo, palił papierosa i patrzył na innych bogatych mężczyzn i ich piękne, rozpieszczone towarzyski, spędzających miło wieczór w restauracji, którą rodzina Badruttów stworzyła w starej chłopskiej chacie. Otwarto ją trzy lata temu, ale mówiło się, że wszystko zaprojektowano tak, by sprawić wrażenie, że jadało się tu i piło od dziesiątków, a nawet setek lat. W żaden sposób nie starano się ukryć struktury budynku i Gerhard, fachowym okiem oceniając to wnętrze, stwierdził, że nawet jego dawni modernistyczni wykładowcy w Bauhausie uznaliby je za godne pochwały. Potężne drewniane słupy, podtrzymujące sufity z surowych sosnowych desek, pociemniałe z wiekiem (lub po prostu zabejcowane, żeby wyglądały na bardzo stare), pozostawiono gołe, bez żadnych ozdób. Kamienne ściany były pobielone lub wyłożone drewnem, na którym widniały naiwne, niemal dziecięce malunki wazonów z kwiatami. Stwarzało to serdeczną, sielską, prostą atmosferę dla ludzi, którzy wiedli bardzo wyrafinowane, miejskie życie. Współczesna wersja chatki Marii Antoniny w Wersalu, pomyślał.

Jego kufel był pusty. Gerhard nie miał już powodu, by nadal tu siedzieć. To, że wciąż pozostawał tutaj i rozglądał się dokoła, służyło jednemu: opóźnieniu oświadczeń, które – teraz był tego pewien – nigdy nie miały doprowadzić do szczęśliwego małżeństwa. Tkwił więc dalej przy barze, łudząc się nadzieją, że może wejdzie tu ona, ta przebrana za mężczyznę kobieta o błękitnych oczach, w które chciałby wpatrywać się przez całą wieczność, kobieta, której jeden zuchwał, choć tak

nieznaczny ruch bioder rozпалиł w nim już na zawsze – dobrze o tym wiedział – płomień pożądania.

Tak naprawdę to było absurdalne. Czemu miałyby przyjść akurat tutaj? W St. Moritz było mnóstwo innych restauracji, a jeśli trzymała się z ludźmi, którzy przyjechali tu ze względu na Cresta Run, siedzieliby całą paczką w swoim nieoficjalnym klubie, barze hotelu Kulm. Wyobrażał sobie, że prawda o jej eskapadzie już się rozeszła i wszyscy Anglicy wybaczyli jej złamanie zasad, i teraz każdy stara się pozyskać jej zainteresowanie. Ale był pewien, że na żadnego nie patrzy tak, jak popatrzyła na niego.

Ach, nie bądź taki żałośnie sentymentalny! – powiedział do siebie. To była tylko ulotna chwila. Bez żadnego związku z rzeczywistością. Więc zachowuj się jak dorosły, przestań wierzyć w mrzonki i leć na górę oświadczyć się pięknej dziewczynie, która będzie cudowną żoną.

Zapłacił barmanowi. Zgarnął z lady papierosy i wstał ze stołka. Odwrócił się w kierunku sali, gotów już ruszyć do schodów.

I wtedy, jakby materializująca się zjawą, a nie żywa kobieta z krwi i kości, pojawiła się ona. W czarnym futrze i czapce wyglądała jak bohaterka rosyjskiej powieści. Jej skóra miała kolor śnieżnej bieli, a pociągnięte szkarłatną pomadką usta i błękitne oczy tworzyły jedyne plamy koloru na biało-czarnym tle. Jej kuzyn rozmawiał z kierownikiem sali, który wskazywał na górę. A ona omiatała wzrokiem pomieszczenie i Gerhard od razu zrozumiał, że szuka jego. Nie wolno mi zawołać ani pomachać ręką, przemknęło mu przez głowę. To by nas zdradziło. Musimy odnaleźć się wzrokiem. To musi być sprawa przypadku lub przeznaczenia.

Więc tylko dyskretnie zerkał w jej kierunku i dostrzegł, że wyczuła jego wzrok, jak zwierzę, które zwietrzyło woń drapieżnika. Ale nie zachowała się jak ścigane zwierzę, nie próbowała ucieczki. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. W tamtej chwili Gerhard zrozumiał, że jego los został przypieczętowany.

– Jeśli dobrze zrozumiałem gadaninę tego gościa, twoja przyjaciółka i jej znajomi są tu, na antresoli, i zaraz będziemy mogli do nich dołączyć – powiedział Rory, zadowolony, że jego wysiłki skończyły się sukcesem.

Saffron jakby go nie słyszała, co wcale nie było dziwne, zważywszy na ten hałaśliwy tłum dokoła. Rory postanowił spróbować ponownie, tym razem mówiąc głośniejszym, wolniejszym i wyraźniejszym głosem, jak do kogoś, kto ma wadę słuchu, jest niebywałym osłem, cudzoziemcem albo wszystkim razem.

– Mówię, Saffron, najdroższa... twoi... kumple... są... na... górze.

– Co? Och, tak, Chessi... Hm, będziesz tak kochany i pójdziesz tam sam?

– Czemu, na litość boską, miałbym tam iść? Nikogo z nich nie znam. To twoja przyjaciółka.

– Och, trudno nie zauważyć Chessi. Blondynka, śliczna, z biustem jak marzenie. To zawsze pierwsze wpada facetom w oko.

– A co z tobą? Nie chcesz się z nią spotkać? Przecież przebyłaś tę całą drogę właśnie po to, żeby się spotkać ze swoją najbliższą przyjaciółką. A teraz masz ją w nosie? Wybacz, Saffy, ale, na Boga, co się dzieje?

Obdarzyła go czarującym, przymilnym uśmiechem.

– Nic się nie dzieje, skarbie. Rzecz tylko w tym, że niesłychanym zbiegiem okoliczności zauważyłam tajemniczego błędnego rycerza, który ratował mnie dziś przed południem, gdy upadłam. I naprawdę byłoby bardzo niegrzecznie nie podejść do niego i nie podziękować. Na pewno nie chciałbyś wtedy stać tutaj, kręcąc palcami młynka. Więc może lepiej idź na antresolę, przedstaw się i powiedz Chessi, że zaraz dołączę.

– No, równie dobrze mogę poczekać na dole.

– Proszę, nie, bądź taki kochany – powiedziała z naciskiem Saffron, wyraźnie dając Rory'emu do zrozumienia, że nie chce, by jej towarzyszył, kiedy ona pójdzie się przywitać z tamtym mężczyzną.

– Dobrze, niech będzie – odrzekł. – Wiem, kiedy nie jestem mile widziany.

– Och, dziękuję ci, mój drogi Rory. – Cmoknęła go w policzek i jak pies gończy, który zwietrzył lisa, popędziła na drugi koniec sali.

Powinienem zjechać do Shuttlecock przed nią, pomyślał z goryczą Rory. Wiedziałem, że wyleci z toru. Ta dziewczyna nigdy w życiu nie zrobiła niczego powoli i z rozmysłem.

Westchnął z rezygnacją i udał się na poszukiwanie tej Schöndorfówny i jej znajomych. Znalazł ich bez trudu. Zebrali się wokół zestawionych stolików, a u szczytu siedziała faktycznie prześliczna blondynka – o rany, naprawdę cycki jak marzenie, przebiegło mu przez głowę – mając po bokach puste miejsca, wyraźnie dla przyszłego narzeczonego i przyszłej pierwszej drużyny.

– Och... – mruknął pod nosem Rory, nagle zadając sobie pytanie, czy te dwa krzesła kiedykolwiek zostaną zajęte. Ale nie miał czasu teraz się tym przejmować. Podszedł do dziewczyny i powiedział: – Cześć, jestem Rory Ballantyne. Krewny Saffron Courtney. Prosiła, bym przekazał, że zjawi się za minutę.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Naprawdę? Co ją zatrzymało? – spytała po angielsku.

– Och, nic poważnego, chciała tylko podziękować jednemu gościowi... to jakiś Niemiec... Historia, że boki zrywać, serio. Widzicie...

Po czym Rory opowiedział, jak Saffron złamała przepis zakazujący kobietom zjazdów torem Cresta Run. I chociaż uważał, że spisuje się całkiem nieźle, dorzucając masę żarcików i obserwacji, im dalej brnął, tym bardziej rosło w nim okropne wrażenie, że jego fantastyczna opowieść spotyka się z coraz marniejszym odzewem. I na koniec, zamiast wybuchów śmiechu – czego całkiem rozsądnie się spodziewał, podobnie jak pytań i próśb o powtórzenie tego czy innego fragmentu, jak to zwykle bywa po każdej uroczej opowiastce, a po tej powinno być tym bardziej, zważywszy, że dotyczyła dziewczyny, która wylądowała głową w zaspie – zaległa głucha cisza.

Chessi powiedziała coś po niemiecku, zwracając się do wszystkich, i zrobiła ruch, jakby zamierzała się podnieść. Wtedy jeden z Niemców odezwał się do niej tonem, jakim mężczyźni pod każdą szerokością geograficzną sygnalizują kobiecie, że zrobiła z siebie idiotkę, ale nic nie szkodzi, bo oni rozwiążą problem. Wstał i ruszył do schodów.

Rory odprowadził go wzrokiem, a po kilku minutach mężczyzna wrócił, ale sam. Podszedł do Chessi, zmierzył Rory'ego piorunującym spojrzeniem, jakby sugerował, że to wszystko w jakiś sposób jego wina, po czym przykucnął, pocieszającym gestem położył rękę na ramieniu Chessi i przemówił spokojnym, rzeczowym tonem, bez uśmiechu. Ona

wysłuchała go, a na koniec grzecznie mu podziękowała, chociaż Rory widział, że hamuje łyzy. Potem wstała. Przy stole rozległy się protesty, ale zignorowała je i sztywnym krokiem ruszyła do schodów.

Rory miał przemożne wrażenie, że jego obecność tutaj nie jest mile widziana. Najwidoczniej obwiniano go o nieobecność Saffron, jakby brał udział w jej podstępnych działaniach. Bardzo chętnie wyjaśniłby, że nie ma o niczym pojęcia, tak samo jak oni, ale wyraźnie nie był to czas ani miejsce na takie wypowiedzi. Dlatego wstał, grzecznie się uklonił i opuścił towarzystwo.

Na dole zobaczył idącą z naprzeciwka Chessi.

– Nie ma jej – powiedziała. Jej słodka, laleczkowata twarzyczka płonęła ledwie hamowaną furją. – Wyszła i zabrała ze sobą mężczyznę, który będzie moim mężem. Przekaż jej, że ma jeden dzień, by się wytłumaczyć i przeprosić, a potem wyjechać z St. Moritz, tak żebyśmy ja i mój narzeczony mogli dalej żyć spokojnie. A jeśli się nie zgodzi na te warunki, to koniec naszej przyjaźni.

– Rany, dobra, przekażę. Co do słówka – obiecał Rory Ballantyne. – Słuchaj – dodał, z rozpaczą w głosie, zraniony oburzającym zachowaniem Saffron niemal tak samo jak kobieta, którą miał przed sobą – nie wiem, czy to jakieś pocieszenie, ale ona ma takie zagrania we krwi. Jej matka była identyczna. Uciekła z jednym Niemcem, von jakimś tam, nie pamiętam dokładnie... w każdym razie nawiała do Afryki i tak poznała ojca Saffron, krewnego mojej matki, który był ich przewodnikiem...

Gniew na twarzy Franceski von Schöndorf rozpląnął się jak mgła w słońcu. Teraz widniał tam niemal uśmiech.

– Powiedz mi... mam nadzieję, że nie jestem zbyt wścibska, ale wyczuwam, że Saffron również tobie sprawiła przykrość.

Rory zmarszczył czoło.

– No tak, i to sporą. To znaczy... mam na jej punkcie kręćka i tak dalej, więc tak naprawdę nieźle dała mi do wiwatu.

– W takim razie coś nas łączy. Teraz muszę wracać do znajomych i robić dobrą minę do złej gry, żeby moje przyjaciółki nie zaczęły mnie pocieszać, choć dobrze wiem, że będą zachwycone, bo zazdrościły mi Gerharda von Meerbacha, więc jeśli go straciłam, zaczną myśleć, że teraz mają szansę. Ale może porozmawialibyśmy jutro i opowiedziałbyś mi o przeszłości Saffron, bo zawsze ukrywała ją przede mną.

– No cóż, mówiła mi tylko o paru drobiazgach, ale w rodzinie krąży masa plotek... ludzie uwielbiają gadać i dowiadywać się różnych rzeczy pocztą pantoflową. Ale czy dobrze usłyszałem? Ten twój narzeczony nazywa się von Meerbach?

– Tak... a o co chodzi?

– No, to mocno komplikuje sprawę. Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyśmy pogadali. Raczej nie przystoi dżentelmenowi opowiadać o damie, prawda?

– Mój drogi Rory, a czy uważasz, że Saffron zachowała się, jak przystoi damie? – spytała Chessi, a jemu oczy mało z orbit nie wyszły, gdy wyprężyła się, prezentując mu swoje niebywale bujne piersi.

Poczuł żywsze uderzenie pulsu, wypukłość w spodniach i mętlik w głowie, wszystko naraz.

– No nie... nie, chyba nie.

– A więc na pewno powinniśmy pogadać. Może przy kawie? O jedenastej w foyer hotelu Palace. Odpowiada ci?

– Hm... no, dlaczego nie.

– Cudownie! Już nie mogę się doczekać naszej rozmowy.



Kiedy Saffron znalazła się przy nim, nawet się nie przywitali.

– Musimy się stąd wynosić – powiedział wprost. – Już!

Nie pytała go dlaczego. Znała odpowiedź, ale nie chciała jej słyszeć. Nie chciała nawet, żeby się przedstawiał. Dzięki temu mogła udawać, że o niczym nie wie.

– Gdzie się zatrzymałaś? – spytał, gdy wyszli na dwór.

– W Suvretta House.

Uśmiechnął się szeroko.

– Ja też. Proszę, to mój samochód. Możemy nim jechać.

– Och! – Saffron aż westchnęła na widok smukłej linii mercedesa.

– Lubisz samochody? – zapytał, otwierając przed nią drzwi.

– Lubię szybką jazdę.

– Oczywiście... ja też. – Spojrzał na nią, po czym znów skierował wzrok na drogę.

Był tak przystojny, że poczuła się, jakby dostała cudowny świąteczny prezent, który jednak zaraz będzie jej odebrany.

Jazda do hotelu przez zaśnieżone ulice trwała niespełna pięć minut, ale tyle wystarczyło, by Saffron poczuła w sobie tę niezwykłą mieszaninę pożądania, gorączkowej niecierpliwości – rozpaczliwie pragnęła poczuć uścisk jego ramion i jego ciało przy swoim – i lęku. Tak jak wtedy, gdy stała na starcie Cresta Run. Wiedziała, co się wydarzy, i nie było już najmniejszej szansy się cofnąć.

Usiłując o tym nie myśleć, patrzyła na niego. Jechał szybko, ale bez popisywania się, jego ruchy były spokojne, precyzyjne, w pełni kontrolowane. Nawet się nie zbliżał do granic swoich możliwości, a jego pewność siebie dawała jej poczucie komfortu i całkowitego bezpieczeństwa, sprawiając zarazem, że pociągał ją coraz silniej. Dokładnie wie, co robi, nawet kiedy ja tego nie wiem, pomyślała i tym bardziej zapragnęła tego, co miało się wydarzyć.

Kiedy dojeżdżali pod hotel, powiedział:

– Jestem w czterysta dwadzieścia cztery. Pójdę schodami. Ty jedź windą. W ten sposób nikt nie będzie nic podejrzewał.

Zajechał pod wejście i odzwierny otworzył Saffron drzwi. Wsiadła, a odzwierny już dostawał napiwek i klucze od samochodu. Zachowywała

się jedynie uprzejmie, tak jak powinna, czekając na znajomego. Poszli do hotelu, nie trzymając się pod rękę.

– Dobranoc – powiedział, kiedy doszli do wind.

– Dziękuję za uroczą kolację – odparła i wsiadła do kabiny, nawet nie cmokając go w policzek. – Czwarte piętro, proszę – rzuciła do windziarza.

Usiłowała zachować spokój i kontrolować oddech, mając nadzieję, że ten chłopak w zabawnej okrągłej czapeczce nie zgadnie, że puls jej szaleje, a płynny żar między udami jest prawie nie do zniesienia.

– Dziękuję – rzekła z uprzejmym, godnym damy uśmiechem, gdy winda się zatrzymała, windziarz odsunął kratę i otworzył drzwi.

Szła wolno, w równym tempie, na wypadek gdyby ktoś patrzył, aż doszła do jego numeru. Drzwi były lekko uchylone. Otworzyła je. Stał tuż przy drzwiach. Zatrzasnął je, od razu porwał ją w ramiona i zaczął mocno całować, bez sekundy zawahania.

Saffron wydała zduszony jęk, gdy ich usta się spotkały. Jego wargi i język były sprężyste, zaborcze, brały ją w posiadanie, a ona przyłgnęła do niego, oddając mu się bez oporu, przebiegając rękami po jego ciele i twarzy, wciągając męską woń, zachwycona niewątpliwą oznaką jego pobudzenia. Całowała się wcześniej, ale to jej nie podniecało. Czuła erekcję mężczyzny, lecz to budziło w niej tylko rozbawienie, zażenowanie lub wstręt. Przez całe życie jeździła konno i poznała to cudowne rozplywające się mrowienie, jakie budzi obecność zwierzęcia między udami i tarcie kroczem o łęk siodła.

Ale teraz czuła coś zupełnie innego. To była czysta, zwierzęca namiętność i widziała, że budzi w nim to samo, i to poczucie zdobyczy, władzy nad nim jeszcze bardziej ją podniecało.

Zrobili ledwie kilka kroków w głąb pokoju, lecz żadne z nich nie potrafiło czekać, żeby dojść do łóżka. Przyparł ją do ściany i nadal całując, ściągnął jej czapkę i upuścił na podłogę. Ruchem głowy uwolniła włosy, a on przebiegł przez nie palcami, po czym zacisnął dłoń w pięść, mocno chwytając jej pukle. Znów poruszyła głowę i teraz ją zabolalo, gdy wykonała ruch, jakby próbowała się uwolnić, chociaż wcale tego nie chciała, a on nie chciał jej puścić. Przycisnął ją jeszcze mocniej i zadrżała, czując dreszcz czystej rozkoszy. Drugą ręką z wypraktykowaną zręcznością podniósł jej suknię. Oderwała od ściany pośladki, ułatwiając mu zadanie, i im wyżej unosił się materiał, im bardziej była naga i bezbronna, tym większe ogarniało ją podniecenie.

Miała na sobie francuską bieliznę z jasnobrzoskwiniowego jedwabiu, obszytą koronką, i gdy zaczął błędzić ręką po miękkim, śliskim materiale, po rozpalonej wilgoci między jej nogami, napierała na jego dłoń, pokazując mu swoje pragnienie i rozkoszując się własnym bezwstydem. Włożył palce pod gumkę majtek, zsunął je z jej pośladków i niżej, na uda, po czym już same opadły na podłogę. Ani na chwilę nie przestawali się całować, a on, nadal trzymając ją za włosy, rozpiął spodnie i czuła jego napór na sobie, jego palce ślizgające się po niej, w niej. Miała wrażenie, jakby unosiła się coraz wyżej i wyżej, niczym łódka na fali, niemogąca osiągnąć szczytu, bo sama fala wciąż rośnie i rośnie. Tyle że ta fala była wewnątrz niej, narastająca rozkosz, pragnienie spełnienia. Nagle puścił jej włosy i odsunął rękę od jej krocza, ale nadal go tam czuła. Chwycił ją na wysokości pośladków i poderwał do góry, a ona przyłgnęła do niego, obejmując go za szyję, i unosił ją, jak unosi fala, i już zaraz był w niej, a jego żar i ogrom wypełniły ją całą – nigdy w życiu nie zaznała czegoś takiego.

Wydała cichy okrzyk zaskoczenia i bólu i Gerhard zastygł na chwilę, ale Saffron jęknęła błagalnie: „Nie przerywaj!”.

Wdarł się w nią jeszcze głębiej i znowu, i znowu, a ona już przestała myśleć, bo czuła tyle wrażeń, poza sobą i w sobie – dotyk, zapachy, smaki, dźwięki – i widziała ekstazę na jego twarzy. Była całkowicie bezradna i jedyne, czego pragnęła, to żeby ją pochłonął, wziął, zniszczył barierę między jej ciałem a swoim, aż zespolą się w jedną istotę. Wydał jęk rozkoszy, głęboki, gardłowy, i gwałtowność, niecierpliwość jego ruchów jeszcze wzrosła. Doznawała tego samego – nieznośnej intensywności podniecenia – i nagle zdała sobie sprawę, że jęczy, krzyczy, ale nie obchodziło jej to, bo cała była skupiona na radości wzajemnego posiadania, aż osiągnęła szczyt fali i fala runęła, i było to jak wybuch, jak trzęsienie ziemi, erupcja wulkanu, i poczuła, że też sięgnęła szczytu, i wiedziała, że on tak samo ją czuje.

– O Boże... o Boże... – jęknęła.

Przez chwilę jeszcze ją unosił, ciężko oddychając, a drobne skurcze rozkoszy biły w nią jak wstrząsy wtórne po trzęsieniu ziemi, a gdy się z niej wysunął, powiedziała błagalnie: „Zostań”, bo jego utrata – jego brak w niej – była prawie nie do zniesienia.

Podciągnął spodnie, łagodnym ruchem odgarnął jej z czoła kosmyk włosów, uśmiechnął się i rzekł:

– Pozwól, że pomogę ci zdjąć futro.

Roześmiała się z powodu absurdalności sytuacji: tyle się wydarzyło, jej życie uległo całkowitej zmianie, na zawsze, a ona nawet nie zdjęła futra. Wziął je, przełożył przez oparcie krzesła, po czym odwrócił się do niej i powiedział:

– A teraz pozwól, że pomogę ci się rozebrać. – Rozpiął jej suknię na plecach, a kiedy Saffron wyslizgnęła się z niej, położył strój na futrze, z taką samą pewnością siebie i precyzją, z jaką prowadził samochód. Ona tymczasem zdjęła biustonosz i już miała zsunąć pas do pończoch i pończochy, gdy poprosił: – Zaczekaj.

Cofnął się i patrzył na nią, i chociaż jego wzrok był niemal chłodny, gdy przesuwiał się po niej, chłonąc każdy szczegół, Saffron uświadomiła sobie, że nie czuje najmniejszego zażenowania, a co dopiero wstydu, że jest tak swobodnie oglądana czy też tak swobodnie pozwala się oglądać.

– Dziękuję ci – powiedział, biorąc ją w ramiona. – Chciałem utrwalić w pamięci każdy szczegół twojego ciała, by w przyszłości, bez względu na to, gdzie się znajdę i ile czasu upłynie, zawsze mieć wspomnienie ciebie, właśnie w tej chwili. Wspomnienie najpiękniejszej kobiety na ziemi.

Zsunęła pończochy, patrząc na niego, gdy się rozbierał, i jej wzrok był równie pożądliwy jak jego – chłoneła prostsze, ostrzej zarysowane linie jego ciała, szerokie ramiona, wąskie biodra i szczupłe uda, chłoneła ruch mięśni jego torsu, nóg i rąk, a nawet, ze wzruszeniem i wdzięcznością, widok miękkiej, pomarszczonej pozostałości tego, co przed chwilą było tak twarde i gładkie. Nigdy wcześniej nie przyglądała się męskiemu ciału, przynajmniej nie z perspektywy kobiety, która właśnie przeżyła czarodziejskie zespolenie męskich i kobiecych kształtów. Gdy poznała siłę i dotyk ramion Gerharda i zobaczyła jego pośladki, zapragnęła wbić w nie swoje pomalowane na czerwono paznokcie i przyciągać go do siebie coraz bardziej, coraz zachłanniej.

– Ja też zawsze będę cię pamiętała – powiedziała, gdy położyli się na łóżku. – Zawsze i wszędzie, na wieczność.

Skinął głową, leżąc na boku, niemal dotykając twarzą jej twarzy i patrząc na nią z wyrazem głębokiej powagi. Rozumiał, że teraz są ze sobą związani i że wszelkie oficjalne przysięgi mogą być tylko sformalizowaniem więzi, która już była nierozzerwalna.

– Zdajesz sobie sprawę – odezwał się z uśmiechem – że po tym wszystkim wciąż się nie znamy?

– Bo nie zostaliśmy sobie przedstawieni – odparła, chichocząc.

– No dobrze. – Usiadł i wyciągnął do niej rękę. – Bardzo przyjemnie mi panią poznać, *Fräulein*. Nazywam się Gerhard von Meerbach.

Gdyby ją spoliczkował, nie byłaby bardziej wstrząśnięta ani poruszona.

– Jestem... jestem Saffron Courtney – wykrztusiła, niewiele głośniej od szeptu. Po czym spytała: – Powiedziałeś: „Meerbach”, jak ta spółka produkująca silniki?

– Tak, to moja rodzina.

– Więc masz rodzinne powiązania z hrabią von Meerbachem?

– Tak. Obecny hrabia to mój starszy brat Konrad. Mój ojciec był hrabią przed nim. Dlaczego pytasz? I proszę... skąd ta nieszczęśliwa mina, moja droga Saffron? *Liebchen*, co się stało?

– To, że ze wszystkich mężczyzn na świecie, w których mogłabym się zakochać, ciebie ostatniego powinnam wybrać. Chessi von Schöndorf jest... chyba powinnam teraz mówić „była”... moją najlepszą przyjaciółką.

Gerhard wyciągnął rękę, by pogładzić ją po ramieniu. Czuł się o wiele bardziej zdenerwowany i niepewny teraz niż parę chwil wcześniej, gdy ją rozbierał i brał w posiadanie.

– Nie możesz się winić z tego powodu – odparł. – Nie wiedziałas nawet, jak się nazywam.

– A jednak wiedziałam... po prostu wiedziałam...

Skinął ze zrozumieniem głową.

– Oczywiście. Pewnie ja też wiedziałem, kim jesteś. Ale żadne z nas nie chciało skrzywdzić Franceski. To, co się wydarzyło, zrządził los. Jeśli już kogoś należy winić, to tylko mnie. Miałem wybór. Mogłem zignorować to, co się stało przed południem, i oświadczyć się, tak jak wcześniej zamierzałem. Gdybyśmy się spotkali przy kolacji, byłbym uprzejmy i nic więcej. Ale prawda jest taka, że to było niemożliwe. Musiałem cię mieć. A jeśli tak się sprawy potoczyły, to jak mógłbym być nieszczerzy wobec Chessi, i to w chwili, gdy prosiłbym ją o rękę? A więc, jak powiedziałem, miałem wybór i wybrałem ciebie.

Saffron się uśmiechnęła, ale to był smutny, ironiczny uśmiech, który wzbudził lęk w sercu Gerharda.

– Czyli jest jeszcze jedna rzecz, która nas łączy: nasza logika. Uznałam, że wybór należy do ciebie i że jeśli potem całe nasze

zmartwienie ograniczy się do sprawy tego wyboru, dam radę z tym żyć. Jeśli mogę cię mieć za cenę utraty Chessi, poniosę ten koszt. Będzie mi smutno, ale nie będę tego roztrząsać. Tyle że nie na tym polega nasz problem, prawda?

Gerhard spojrział na nią z konsternacją.

– Nie wiem... nie rozumiem. O co ci chodzi?

– A więc nazwisko „Courtney” nic ci nie mówi?

– Nie, a powinno?

– A Eva von Wellberg?

– Nie... kto to jest?

– Była moją matką. Była też kochanką twojego ojca. Wyszła za mojego ojca, Leona Courtneya... po tym... po tym...

– Po czym?

– Po tym, jak mój ojciec zabił hrabiego Ottona von Meerbacha. Przyłożył mu do piersi sztucer i wystrzelił.

Aż do tej chwili Saffron panowała nad sobą, ale teraz się załamała i wybuchła rozpaczliwym szlochem, tak że Gerhard mógł wyłowić tylko urywki słów i zdań, kiedy próbowała mówić przez łzy.

– Jak mogliśmy...? O Boże, że też akurat ty... to takie okrutne, takie niesprawiedliwe... Jak teraz możemy się kochać...?

Gerhard obejmował ją i uspokajał i już samo to, że tak się zachowywał, zamiast ją stąd wyrzucić, łagodziło jej ból.

– Byłem bardzo mały, kiedy ojciec zginął, więc ledwo go znałem – powiedział. – Wiem jednak, jak bardzo skrzywdził moją matkę, i wiem, jakim człowiekiem jest mój brat, a ponieważ wszyscy powtarzają, że wdał się w ojca, to... Dziwne, ale ta historia nie porusza mnie równie mocno jak ciebie. Nie wiem dlaczego. Może to niewłaściwe, lecz tak właśnie jest... Zaczekaj...

Sięgnął po słuchawkę telefonu przy łóżku i poprosił telefonistkę o połączenie z obsługą. Zamówił zimną kolację dla dwóch osób – wędliny, kurczak, wędzony łosoś, chleb, masło, sery, winogrona – i ponieważ szampan nie bardzo pasował do okazji, butelkę rieslinga.

– Auslese – uściślił, mówiąc o mocnym słodkawym winie z najdojrzałych, a więc i najbogatszych w smaku winogron. – Najlepszy rocznik, jaki macie. I butelkę koniaku, i wodę Perrier. Wino oczywiście w lodzie. – Znów odwrócił się do Saffron. – Mamy wiele do omówienia – rzekł – i wiele do zrobienia, skoro już jesteśmy w łóżku. Powinniśmy się

wzmocnić. Ale oczywiście najpierw musisz mi opowiedzieć całą tę długą i zawiłą historię, a potem zdecydujemy, co dalej.

Tak więc opowiedziała mu wszystko, od ruiny dziadka po rozbitcie się zeppelinu w górach Kenii i skutki tego. Gerhard słuchał uważnie, przerywając jej tylko od czasu do czasu, by się upewnić, czy dobrze zrozumiał. Nie była jeszcze nawet w połowie opowieści – mówiła właśnie o matce, która pojechała do Niemiec uwieść człowieka, który zrujnował jej ojca – gdy dostarczono kolację. Gerhardowi zaimponowało to, jakie opanowanie wykazała Saffron, gdy kelner zobaczył ją w łóżku. Dla przyzwoitości narzuciła bawełniany szlafrok i niemal płynną niemczyzną, z całkowitą pewnością siebie, zaczęła pytać kelnera o potrawy, które przywiózł, i wskazywała, co ma jej nałożyć na talerz. Demonstrowała idealne połączenie swobody i dobrych manier, ale też poczucia władzy, właściwego osobie, która od dziecka miała do czynienia ze służbą. Ta dziewczyna, pomyślał Gerhard, ma dwadzieścia lat, może mniej, ale gdyby jutro została panią wielkiego domu, potrafiłaby go prowadzić i wszyscy bez słowa wykonywaliby jej rozkazy.

Kelner otworzył wino i napełnił kieliszki, po czym wyszedł, zadowolony z sutego napiwku. Podnieśli kieliszki i się stuknęli.

– Twoje zdrowie – powiedział Gerhard. – Teraz jedz, potem dokończysz tę historię.

Uśmiechnęła się, widząc, z jakim apetytem Saffron zajada. Nie była dziewczyną, która godzinami gędzi o diecie i żywi się tylko listkami sałaty i wodą.

Zauważyła, że się jej przygląda, gdy chwyciła udko kurczaka niczym głodna lwica.

– Nie miałam pojęcia – rzekła z uśmiechem – że kochanie się może tak pobudzić apetyt. – Odłożyła obgryzione udko i pociągnęła łyk wina. – Albo pragnienie.

– Teraz opowiedz mi dalszy ciąg tej historii, jak Szeherazada sułtanowi, a ja dla zachęty będę cię karmił winogronami.

Tak więc opowiadała, a on co jakiś czas wkładał jej do ust winogrono lub po prostu ją całował, i ta opowieść o perfidii, kradzieży, niewierności, zdradzie i zabijaniu raczej ich zbliżyła, niż rozdzieliła.

– Ojciec ukrył te pięć milionów marek – zakończyła Saffron – na dnie stawu, w połowie stoku, na którym wylądował zeppelin. Po wojnie wrócił tam z moją matką... – uśmiechnęła się – i ja też w pewien sposób byłam tam z nimi, bo matka już nosiła mnie pod sercem. Wydobyli złoto



i za jego część ojciec kupił naszą posiadłość w Kenii... Och, strasznie bym chciała kiedyś cię tam zabrać. Te piękne falujące wzgórza z widokiem na dalekie góry...

– To brzmi tak, jakbyś opisywała naszą posiadłość w Bawarii.

– Czy na waszej posiadłości są lwy, gepardy, nosorożce i hipopotamy, zebry, żyrafy...

Roześmiał się.

– To posiadłość czy zoo?

– To Afryka – odparła z powagą. – I jeśli rzeczywiście chcesz mnie poznać, to nigdy nie zapominaj, że chociaż jestem poddaną jego królewskiej wysokości, chociaż studiuje w Oksfordzie i mam krewnych w całej Anglii i Szkocji, tak naprawdę nie jestem Angielką. Jestem Afrykanką.

Przez twarz Gerharda przemknął figlarny uśmiech.

– Chciałem coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego dla nas, naszej miłości i przyszłości... Ale to, jak oznajmiłaś: „Jestem Afrykanką”, było takie... jakie jest to nowe angielskiego słowo...? Aha, takie sexy, że niestety, moja droga, ale muszę znowu cię uwieść.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Tak... – potwierdził, zdjął z niej szlafrok, czemu nie stawiała żadnego oporu, i położył go z boku łóżka. – Chcę cię odkrywać, tak jak doktor Livingstone i pan Stanley odkrywali Afrykę...

Lekko pocałował ją w usta, a potem skłonił głowę nad jej ciałem, a dłonią błędził wzdłuż mostka i wokół każdej z piersi. Choć niezbyt duże, były kształtne i proporcjonalne do reszty jej szczupłego ciała, którego długie, płynne linie świadczyły o sprawności fizycznej, szybkości i sile, nie ujmując jej kobiecego wdzięku.

Jej różowe sutki naprężyły się, jak mali wartownicy na paradzie.

– Na przykład tu – szepnął, biorąc w palce lewy sutek.

Ścisnął go powoli, łagodnie, aż do chwili, gdy wydała cichy okrzyk i wygięła ciało w łuk, a wtedy delikatnie zaczął go muskać, drugą ręką ścisnąjąc drugi sutek, tak że jednocześnie doświadczała dwóch zupełnie odmiennych doznań. Potem pochylił głowę nad jej prawą pierś i zaczął ją pieścić ustami, językiem i zębami. Ona wsunęła palce w jego włosy, przebiegła dłońmi po jego plecach, a kiedy przeniósł głowę nad jej drugą pierś, jęknęła i wbiła mu paznokcie w skórę, drżąc z pożądania.

– A teraz musimy poszukać źródelka... – wymruczał, przesuwając się coraz niżej.

– O Boże... o Boże... proszę! – wykrzyknęła.

Wbił się w nią całą mocą, jakby mógł jakimś sposobem zmieścić w niej całe swoje ciało i duszę, pochłaniał ją, czując się jak zdobywca, ale wiedział, że i ona też go całkowicie podbiła.

Potem tylko leżeli obok siebie, aż w końcu nalał im słodkiego mocnego wina.

– Proszę – powiedział – spróbuj z tym.

Podał jej kawałek ementalera i to połączenie dwóch smaków, słodkiego wina i wyrazistego słonego sera, okazało się magiczne.

– O Boże, to prawie tak dobre jak robienie wiesz czego – powiedziała Saffron, a w jej uśmiechu były czyste szczęście i zadowolenie kogoś, kto właśnie zaznał cielesnej rozkoszy. – A teraz słucham, co takiego ważnego miałeś mi powiedzieć, zanim tak rozkosznie sobie przerwaliśmy.

– No tak... To bardzo proste... W przeszłości między naszymi rodzinami zdarzyły się okropne rzeczy. Wyrządzono wiele zła, z obu stron. A więc teraz musimy zdecydować: czy żyjemy przeszłością i skupiamy się na dawnej nienawiści, czy też żyjemy teraźniejszością i skupiamy się na naszej miłości? Jeśli będziemy żyć przeszłością, nienawiść się wzmocni, nie dojdzie do żadnego rozwiązania i pozostaniemy nieszczęśliwi. Jeśli zdecydujemy się żyć teraźniejszością, dodamy do naszego życia szczęście i będziemy mieli swój drobny wkład w szczęście świata. A więc uważam, że powinniśmy się kochać.

– I ja tak uważam, i kocham cię, Gerhardzie von Meerbach. – Znów opłotła ramionami jego szyję i pocałowała go. – Kocham mężczyznę, który nazywa się von Meerbach. Boże wielki... kto by pomyślał!

Rozmawiali i kochali się przez całą noc. Saffron opowiedziała Gerhardowi o swoim życiu w Afryce: jak umarła jej matka i jak ojciec wychowywał ją prawie sam przez niemal dziesięć lat, aż w końcu znalazł szczęście z Harriet. Opisała Manyora: mówiła o tym, że on i jej ojciec uważali się za braci i przez wszystkie lata zawsze był u jej boku, gdy go potrzebowała; i o tym, jaka była zachwycona, gdy Manyoro powiedział, że nie jest już jego małą księżniczką i że teraz będzie ją nazywał swoją królową. Kiedy Gerhard usłyszał, jak szanuje i lubi czarnego Afrykanina, zdał sobie sprawę, że Saffron potępia nienawiść rasową, stanowiącą jądro nazizmu, i że ich miłość nie będzie miała szansy przetrwać, jeśli on nie opowie jej szczerze o życiu, jakie wiódł przez ostatnie pięć lat.

Powiedział więc o spotkaniu z Heydrichem i o tym, jak drugi najpotężniejszy człowiek w SS połączył się z jego bratem, zmuszając go do paktu z diabłem nazizmu. Przyznał się do wszystkich korzyści, jakie zawdzięczał statusowi dobrego nazisty, i powiedział, ile szczęścia znajduje jako pilot, przebywając sam w powietrzu.

– Teraz wiem, co ludzie mają na myśli, mówiąc „wolny jak ptak” – oznajmił – bo to tam, w górze, czuję się prawdziwie wolny.

Zdał jej relację ze spotkania z Hitlerem i zauważył, że nawet ta angielska dziewczyna, która uważa się za Afrykankę i nie cierpi dyskryminacji rasowej, słucha zafascynowana o osobistym kontakcie z człowiekiem znanym teraz na całym świecie – nie tylko wśród tych, którzy go uwielbiają, ale też wśród tych, którzy go nienawidzą. Nie opowiedział jej tylko tego, co powinno być u początku opowieści, o swoim darze dla Isidora Solomonsa. Nie chciał, by wyglądało na to, że się tłumaczy czy próbuje się pokazać w lepszym świetle. Ale Saffron natychmiast się zorientowała, że czegoś brakuje.

– Jak Heydrich mógł cię zmusić, żebyś zapisał się do NSDAP? – spytała. – Przecież chyba nawet w Niemczech nie można kazać niewinnemu człowiekowi, który nie zrobił nic złego, żeby odrzucił wszystko, co dla niego drogie, i zaakceptował coś, w co nie wierzy.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł Gerhard. – Zdaję sobie sprawę, że skoro pochodzisz z kraju, w którym jest prawdziwa wolność,

gdzie bez strachu możesz mówić i myśleć, co chcesz, krytykować rząd lub dyskutować ze znajomymi przy kolacji czy w barze o polityce, to trudno ci sobie wyobrazić, co to znaczy utracić tę wolność. W Niemczech nie możesz dyskutować, bo nie możesz ufać osobie, która ma odmienne zdanie. Nawet twój najbliższy przyjaciel, brat, dziecko może na ciebie donieść tajnej policji. Mój brat i Heydrich mogli przypiąć mi łątkę komunisty i wpakować do obozu tylko za to, że studiowałem architekturę w szkole, którą zamknięto, chociaż nigdy w życiu nie głosowałem na komunistycznego kandydata ani nie wspierałem komunistycznych poglądów.

– Ale przecież powinien być jakiś sąd? Musisz mieć prawo do obrony.

– Pięć lat temu, może... prawie. Teraz sędziowie też należą do NSDAP i mamy nazistowską sprawiedliwość.

– Mój Boże... nie miałam pojęcia. To straszne.

– Tak, straszne. Ale mogę tak powiedzieć tylko dlatego, że nie jesteśmy w Niemczech i nie jesteś Niemką. Słuchaj... – Przerwał, westchnął i rzekł: – Jest ktoś, kogo powinnaś poznać tu, w Szwajcarii. To, można by rzec, mój Manyoro. Kiedy z nim porozmawiasz, lepiej to zrozumiesz.

Saffron wyszła z pokoju Gerharda w chwili, gdy pierwsze promienie słońca przebiły się między wierzchołkami gór. Padła na łóżko i spała jak kamień do dziesiątej. Zostawiono dla niej w recepcji trzy wiadomości i teraz wsunięto je pod drzwi. Każdą włożono do hotelowej koperty, więc nie miała pojęcia, kto je napisał, ale nietrudno było zgadnąć. Otworzyła pierwszą z brzegu. Zawierała pełne wściekłości i rozpaczę miażdżące oskarżenia Chessi von Schöndorf, co doprowadziło Saffron do łez, bo wiedziała, jak bardzo jej przyjaciółka była zakochana w Gerhardzie i jaka musiała się czuć zdruzgotana i poniżona, że go straciła. I nieważne, jak rozsądne i logiczne usprawiedliwienia Saffron mogłaby wymyślić, by uzasadnić swoje postępowanie, nie zmieniało to faktu, że Chessi ufała jej całkowicie, a ona całkowicie ją zawiodła.

Drugi liścik, od Rory'ego, wyrażał nie mniejsze wzburzenie.

*Być może zdołałbym w jakiejś mierze pojąć, a może nawet wybaczyć Ci to zachowanie, gdybyś puszczała się z Anglikiem, ale jak można upaść tak nisko, żeby odrzucić swój honor dla przekłętego szwaba? Oczywiście, jak cała rodzina wie, Twoja matka postąpiła tak samo. Najwyraźniej niedaleko pada jabłko od jabłoni. Pozostanę w St. Moritz kilka dni, miło spędzając czas w towarzystwie porządnym, uczciwym facetów z Klubu Saneczkarского. Następnie sam wracam do domu i spodziewam się, że Ty zrobisz to samo. Pewnie obawiasz się teraz, że po powrocie do Anglii zepsuję Ci reputację, opowiadając ludziom, co zrobiłaś. Możesz być spokojna. Nie puszczę pary z ust. Nie mam zamiaru zniżać się do poziomu rynsztoka, jaki Ty wybrałaś. Szczęść się tym, że jestem dżentelmenem. Ty jednak nie jesteś damą.*

Saffron czuła się tak, jakby ją pobito. Leżała na łóżku zgnębiona i załamana. Za jednym zamachem, przez jedną chwilę lekkomyślnej namiętności, straciła dwoje najbliższych przyjaciół. Chessi była pierwszą osobą, która okazała jej sympatię w tamtym pociągu do Roedean. Przez trzy kolejne lata w czasie ferii wielkanocnych ona i jej rodzina serdecznie gościli ją u siebie i traktowali jak członka rodziny. Jak mogła

odpłacić za taką hojność takim egoizmem? A biedny Rory... Saffron zdawała sobie sprawę, że za jego listem stoją zarówno zazdrość i zawiedziona miłość, jak i potępienie jej niemoralności. Nie nazywałby tego, co zrobiłam, niemoralnym, pomyślała, gdyby sam znalazł się ze mną w łóżku tej nocy. Ale to nie znaczyło, że jego wzburzenie było mniej usprawiedliwione czy mniej szczere. Zachowała się jak puszczalska, jak dziwka, jak nierządnicą. Oddała się, i to z ochotą, lubieżnie, nie zważając na skutki swojego postępowania. I teraz, po raz pierwszy, pomyślała o najbardziej oczywistych konsekwencjach. Mój Boże, a jeśli jestem w ciąży?

Była potwornie głodna, ale nie mogła jeść. Była wyczerpana, ale nie mogła usiedzieć na miejscu. Musiała uciekać, lecz nie miała dokąd, bo gdyby tylko wyszła poza cztery ściany tego pokoju, znalazłaby się na terytorium wroga.

Jej jedyną nadzieją był trzeci liścik. Z pewnością od Gerharda, ale palce jej się trzęsły, kiedy otwierała kopertę, bo gdyby i on ją odrzucił, zostałyby z niczym.

### *Moja kochana!*

*Napisałem do Franceski, wyjaśniając, że nie mogę się z nią ożenić, i biorąc pełną odpowiedzialność za moje postępowanie. W tych okolicznościach najlepiej będzie, jeśli opuszczę St. Moritz. Jadę do Zurychu. Bardzo bym pragnął, abyś dołączyła tam do mnie, bym mógł przedstawić Cię mojemu „Manyorowi”. On wszystko wytłumaczy. Myślę o Tobie i serce mi pęka, bo wiem, ile bólu dzisiaj zaznasz. Pamiętaj, że kocham Cię całym sercem. To bardzo trudny dzień, ale jesteś dobra, ciepła, piękna. Nie zapominaj o tym. Kocham Cię całym sercem, G*

*PS Będę na Ciebie czekał między trzecią a szóstą po południu na dworcu w Zurychu. Gdybyśmy się tam nie spotkali, zatrzymam się w hotelu Baur au Lac.*

W końcu zaświecił promyk nadziei. I teraz Saffron miała przed sobą jakiś plan, coś do zrobienia, pociąg, do którego musiała wsiąść. Odzyskawszy cel w życiu, poczuła się odrobinę podniesiona na duchu. Dalekie było to od szczęścia, ale przytłaczająca, beznadziejna rozpacz zaczęła się oddalać. Zamówiła i zjadła śniadanie, układając jednocześnie dwa krótkie listy – do Chessi i do Rory’ego. Wyjaśniła, że nigdy nie zamierzała sprawiać komukolwiek bólu, jednak nie próbowała się usprawiedliwiać, szukać wymówek czy twierdzić, że oni nie powinni czuć się zranieni. Po prostu przeprosiła, wprost i jak najszczerzej, nawet nie prosząc o wybaczenie, bo wiedziała, że nie ma do tego prawa. To oni sami mogli jej wybaczyć – w swoim czasie i jeśli w ogóle zechcą. A na razie najlepsze, co mogła zrobić – jedyną rzecz, która usprawiedliwiałaby wszystko inne – to włożyć serce i duszę w miłość do Gerharda von Meerbacha.

Dopiero potem przypomniała sobie o czymś. Obiecała, no, może nie obiecała, ale z pewnością się zgodziła opowiedzieć panu Brownowi swoje wrażenia o Niemczech i Niemcach. Czy to znaczyło, że musi mu też mówić o Gerhardzie? Przecież tak naprawdę wcale nie była w Niemczech, chociaż – tu Saffy nie mogła się powstrzymać od chichotu – dowiedziała się całkiem sporo przynajmniej o jednym obywatelu tego kraju.

Nie, to było jej prywatne życie. Panu Brownowi nic do tego. Rozstrzygnąwszy tę sprawę, zajęła się sobą.

Gerhard stał na peronie w Zurychu, gdy nadjechał pociąg z Chur. Im było bliżej końca tej podróży, tym bardziej Saffron się denerwowała. A co, jeśli zobaczy go w zimnym świetle dnia, z dala od ekscytującej wspaniałości St. Moritz, i nagle uświadomi sobie, że dokonała złego wyboru? A co, jeśli zostawi go i wróci do Chessi i Rory'ego, na kolanach błagając ich, by przyjęli ją z powrotem? To nie była kusząca wizja: błaganie nie leżało w naturze Saffron Courtney. Po czym uśmiechnęła się do siebie, myśląc: chyba że miałabym, grzeszna dziewczyna, błagać Gerharda, by mnie posiadał!

Na tę myśl przeszedł ją dreszcz i odkryła, że niemal potrafi odtworzyć te uczucia, których doznawała, mając go w sobie. Dość było wyteńczyć pamięć. I rozkoszne wspomnienie cudownej nocy z mężczyzną jej życia sprawiło, że nabrała pewności, iż wszystko pójdzie dobrze.

I poszło. Gerhard jak zwykle prezentował się fantastycznie. Miał na sobie długi zielony płaszcz z lodenu i zarzucony z niedbałą elegancją szalik. Na ten widok Saffron zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego żaden z masy oksfordzkich studentów nie wygląda nawet w połowie tak stylowo. Rzuciła mu się w ramiona i od chwili, gdy ją objął, na całym świecie znów liczyło się tylko ich dwoje i oddałyby wszystko i wszystkich, aby go zatrzymać.

– Zastanawiałem się, czy to możliwe, że będziesz wyglądać tak uroczo, jak cię zapamiętałem – powiedział, jakby powtarzał jej wcześniejsze myśli. – I oto jesteś, jeszcze piękniejsza dzisiaj niż wczoraj. Pocałuj mnie.

Rozejrzała się z krótkim nerwowym śmiechem.

– Ale tu jest tyle ludzi! Wszyscy nas widzą.

– Niech widzą. Każdy mężczyzna będzie mi zazdrościł.

I każda kobieta będzie chciała znaleźć się na moim miejscu, pomyślała Saffron, chętnie poddając się jego wargom i językowi i żałując, że ten cudowny uścisk nie może trwać wiecznie.

Gerhard odsunął się o wiele za szybko.

– Zarezerwowałem dla ciebie pokój w Baur au Lac... Gdybyśmy byli w Paryżu lub Nicei, moglibyśmy mieć wspólny apartament. Ale



Szwajcarzy są jeszcze bardziej zasadniczy niż my, Niemcy. Nie przełknęliby tego.

– No, nie wiadomo, czy zgodziłabym się na wspólny apartament. Wiesz, jestem przyzwoitą młodą damą... – Po czym, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, dodała: – W każdym razie byłam.

– Któregoś dnia, jak szczęście się do mnie uśmiechnie, może znów uczynię cię przyzwoitą.

– Mogę najpierw skończyć studia? Nie musisz się przejmować. W Oksfordzie nie ma ani jednego mężczyzny, który zdołałby mnie od ciebie odciągnąć.

– Ach... czy nie byłoby miło tak planować? Ale w tym świecie, w którym przyszło nam żyć... Obawiam się, że żadne z nas nie może niczego planować...

– Nie mów tak... – Mocno przytuliła się do niego. – Przerażasz mnie.

– Przerazić ciebie...? Tego jednego się po tobie nie spodziewałem.

– Przeraża mnie myśl, że mogłabym cię stracić. Zawsze robiłam wszystko, żeby pokonywać chłopców. – Spojrzała na niego z łobuzerskim uśmiechem. – To dlatego zjechałam po Cresta Run... Ale przecież jestem dziewczyną... Wiesz... w głębi.

– Och, wiem... *mein Gott*, bardzo dobrze wiem! A teraz chodź, mój samochód stoi na tyłach hotelu. Możesz zostawić walizki, a później pojedziemy na spotkanie.

– Z twoim tajemniczym Manyorem?

– Właśnie!

Wkrótce potem, już w samochodzie, Gerhard powiedział:

– Wiesz, sporo myślałem o tym, co się wydarzyło ostatniej nocy...

– Mhm... ja też! – wymruczała Saffron.

Gerhard się roześmiał.

– Nie o tym! No, lub raczej nie tylko o tym.

– A o czym jeszcze?

– O tym, jak zareagowałem, kiedy powiedziałaś, że twój ojciec zabił mojego. Powinienem być wstrząśnięty, prawda? Powinienem być zły, wściekły. To powinien być koniec naszej miłości czy nawet znajomości. Ale nie, nic nie czułem. To chyba nienormalne. Więc zadałem sobie pytanie, dlaczego tak zareagowałem. Może dlatego, że byłem młody, kiedy on zginął, i nie mam żadnych wspomnień, które by sprawiały, że tęskniłbym za nim i za tym, co razem robiliśmy. Ale nie, to nie tak, bo właśnie to byłby powód do gniewu. Twój ojciec pozbawił mnie wspomnień, jakie syn powinien mieć o ojcu: o wypadkach na polowania lub na narty, o wszystkich zabawach, jakie są udziałem małego chłopca, a nawet o swoim buncie nastolatka, gdy nie zgadzał się z ojcem.

– Wiem, o czym mówisz. Ja też to czuję, nie mając matki. Nigdy nie przeżyłam tego, co przeżywają razem matka i córka. Nigdy nie nauczyła mnie, jak to jest być kobietą.

– Tak, ale twoja matka była dobra i ciepła. Na pewno cię kochała i pragnęła dla ciebie tego, co najlepsze. Ale ja nie miałbym tego rodzaju wspomnień, nawet gdyby ojciec żył. Wiedziałem, że to tyran. Wystarczająco potworne było dorastanie z Konradem. Zawsze usiłował mnie poniżyć, czasem słowami, czasem pięścią.

– To brzmi strasznie.

– On uważa, że praca w SS, aresztowania, tortury, niszczenie ludziom życia to najlepsza robota na świecie. I dla niego jest. To taki człowiek i taki też był jako chłopiec. Ale kiedy byliśmy mali, mógł sobie w kółko powtarzać, że jest głową rodziny, lecz nie potrafił narzucić mi swojego zdania ani sprawić, żebym stał się kimś innym, niż chciałem być.

– W każdym razie wtedy nie potrafił...

– Tak, wtedy nie... i może teraz też nie... przynajmniej w przyszłości... Ale rzecz w tym, że gdyby ojciec nie zginął, żyłbym pod jego dyktando.

Ojciec i Konrad mieliby wspólne zdanie. Konrad uwielbiał niszczyć moje szkice, kiedy byłem mały. Mówił, że kredki i farby to zabawa dobra dla dziewczynek.

– Przecież to głupie! Wystarczy pomyśleć o tych wszystkich mężczyznach, którzy byli wielkimi artystami!

– Konrad nie myśli. W każdym razie nie tak. Zmienił moje życie w piekło, jednak kiedy oświadczyłem, że chcę zostać architektem, matka dodała mi otuchy i poparła mnie, a on nie próbował się jej przeciwstawić. Ale jestem przekonany, że ojciec zaprotestowałby i zabronił mi studiować architekturę. Nie mógłbym być sobą, gdyby on żył. Tak więc doszedłem do wniosku, że twój ojciec, zabijając mojego, po prostu mnie uratował.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale to smutne, że musisz tak myśleć. A jeszcze gorsze, że możesz mieć rację.

– Mhm... – mruknął Gerhard. Oczy miał skierowane na drogę. Wjechali na brukowane uliczki, między wysokie stare domy, często z kawiarnią lub restauracją na parterze. Gerhard najwyraźniej znalazł to, czego szukał, bo ostro skręcił w prawo, w jeszcze węższą uliczkę, która biegła do niewielkiego placu. – Chyba jesteśmy na miejscu.

Zaparkował, wysiedli z auta i Gerhard poprowadził Saffron do ciastkarni Konditorei Kagan. Wypisana ręcznie kartka w oknie obok drzwi głosiła: *Koscheres Essen serviert hier*.

– Tu podaje się koszerne jedzenie – przetłumaczyła sobie po cichu.

Gerhard usłyszał to i zwrócił się do niej:

– Wiesz, kiedyś takie wywieszki widywało się i w Niemczech. W całym Berlinie były żydowskie ciastkarnie, masarnie, delikatesy. Ale teraz...

Wszedł pierwszy. Saffron zobaczyła po lewej stronie drzwi ladę, a bliżej okien stoliki, okupowane przez ludzi, którzy z przyjemnością jedli ciastka i pili kawę, by rozgrzać się w to zimowe popołudnie. Mężczyzna w średnim wieku, zapewne właściciel, sam Kagan, stał za ladą, obsługując gości. Po tym, jak rozmawiał, podając zamówienia, robiąc kawę lub wydając resztę, Saffron zorientowała się, że ma stałą klientelę. A po spojrzeniach, jakie padały w ich kierunku, zrozumiała, że ona i Gerhard stanowczo tu nie pasują, a jego lodenowy płaszcz, typowo niemiecki, jeszcze bardziej ich wyróżnia.

Gerhard podszedł do lady i odezwał się do mężczyzny:

– Herr Kagan?

– Tak... kto pyta? – Podejrzliwość w jego głosie była wyraźna.

– Nazywam się von Meerbach. Max powiedział, żeby szukać go tutaj.

Postawa Kagana w jednej chwili uległa zmianie. Pochylił się i uściskał dłoń Gerharda.

– Jestem zaszczycony, mogąc pana poznać, Herr von Meerbach. *Mensch* z pana.

Saffron była zaskoczona. To niemieckie słowo *Mensch* znaczyło po prostu „człowiek”.

– Mam nadzieję – powiedział Gerhard, wydając się równie zdziwiony.

– *Oi vey iz mir!* – wykrzyknął Kagan. – Czy mój dobry przyjaciel nigdy pana niczego nie uczył? W jidysz *Mensch* to nie zwykły człowiek, ale człowiek honoru, dobry człowiek, godny podziwu. Zrobił pan coś pięknego, Herr von Meerbach. Prawdziwy *Mensch*.

Chociaż słowa Kagana wywołały uśmiech Saffron, nagle poczuła, że jest bliska łez, poruszona tym, jak wspaniale Gerhard został opisany.

– *A Fräulein* – rzekł Kagan, odwracając się do niej – aj waj, cóż za *shainer Maidel!*

– Nie śmiem spytać, co to znaczy – powiedziała Saffron, mając nadzieję, że jej niemiecka gramatyka i akcent nie są zbyt okropne.

– To znaczy, że jesteś śliczną panną, moja droga... chociaż jak myślę, nie niemiecką panną.

– Nie, jestem Angielką.

Gerhard popatrzył na nią z uśmieszkiem, jakby mówił: „A wspominałaś chyba, że jesteś Afrykanką?”.

Zbyła to lekkim wzruszeniem ramion, które znaczyło: „Po prostu Angielka brzmi prościej”.

– Przystojny niemiecki mężczyzna i piękna angielska róża, pewnie zakochani, to się wie – powiedział Kagan. – Może tu jest jakiś okruch nadziei w tym smutnym świecie, hę?

– Mam nadzieję – odrzekł Gerhard.

– Ale ja zatrzymuję państwa, a Max będzie sobie łamał głowę, co się dzieje. Proszę iść w głąb, do drzwi po prawej stronie. Potem po schodach. Znajdziecie Maxa na samej górze.

Ruszyli między stolikami i Saffron poczuła, że padające na nią spojrzenia są teraz inne. Szczególnie kobiety były otwarcie zaciekawione; zastanawiały się pewnie, czym ci goje zasłużyli sobie na tak ciepłe przywitanie Kagana, który jak wiadomo, nie przepadał za nowymi, nazistowskimi Niemcami.

Ta natarczywa lustracja wzbudziła tak wyraźny uśmiech Saffron, że gdy znaleźli się za drzwiami, Gerhard spytał:

– Co cię tak rozbawiło?

– Tylko to, że przypomniały mi się Masajki. Gapią się na ludzi, zwłaszcza na mężczyzn, dokładnie tak samo jak te panie tutaj, wiesz, zupełnie nie bacząc na konwenanse, które mówią, że to niegrzeczne.

– Ach, ty moja śliczna afrykańska dziewczyno... Chodź, znajdziemy naszego człowieka.

Weszli po schodach i dotarli na podest, z którego było wejście do mieszkania Kagana i jego rodziny. Ale gdy otworzyły się drzwi, nie ukazała się w nich Frau Kagan ani żadne z dzieci, lecz pojawił się szacownie wyglądający mężczyzna, mniej więcej – jak oceniła Saffron – w wieku jej ojca. Miał na sobie garnitur w prążki, kamizelkę, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i krawat. Na widok Gerharda rozpromienił się i szeroko otworzył ramiona.

– Mój drogi chłopcze...

– Izzy! – zawołał Gerhard.

Uściskali się, pokleпали po plecach.

A więc jednak ma w swoim życiu ojca, pomyślała Saffron.

Wreszcie Gerhard uwolnił się z objęć tamtego i rzekł:

– Izzy, chciałbym, żebyś poznał pannę Saffron Courtney. Jest kobietą, którą będę kochał do końca swojego życia.

– I jak można by się temu dziwić?

– Saffron, to Isidor Solomons, który przez wiele lat był adwokatem mojej rodziny, tak jak wcześniej jego ojciec i dziadek. Poza tym to prawdziwy bohater.

– Ach, proszę... – Isidor spojrzał na Saffron i odezwał się do niej po angielsku: – To wielka przyjemność panią poznać, panno Courtney. Proszę wybaczyć, że nie mogę was zaprosić do siebie. Bardzo chciałbym pokazać ci mój dom, Gerhardzie, bo nasze warunki znacznie się poprawiły, od kiedy widzieliśmy się ostatnio. Jednak to nie byłoby mądre. Nawet tu, w Szwajcarii, czuję, że jestem pod obserwacją. Ale proszę, wejdźmy do salonu Kaganów, którzy uprzejmie go nam udostępniłi. Herr Kagan zaparzył doskonałą kawę i musi też pani spróbować jego ciastek, panno Courtney. Jeśli Żydzi na coś zwracają uwagę, to na jedzenie, i wątpię, czy w Zurychu jest lepszy piekarz i cukiernik niż Yavi Kagan. Powiem wręcz, że nie ma.

– Wydaje się, jakbyście byli przyjaciółmi, Herr Solomons – zauważyła Saffron.

– Tak, jesteśmy. Przywykłem każdego ranka zatrzymywać się tu w drodze do pracy. Kawa i parę mandelbrotów. No proszę, Kagan przygotował je dzisiaj dla nas. – Wskazał stosik sucharków,

wyglądających jak małe kromki chleba. – Są ze skórką pomarańczową i cytrynową, z wanilią i płatkami migdałowymi. Proszę maczać je w kawie, panno Courtney, wtedy są najlepsze.

Saffron, za radą Solomonsa, zanurzyła sucharek w kawie, po czym go ugryzła.

– Mmm... pycha! – Ku wyraźnemu zachwytowi Isidora, błyskawicznie, jak to miała w zwyczaju, pochłonęła sucharek, po czym spytała: – Kiedy tu przyszedliśmy, Gerhard spytał o Maxa. Teraz rozumiem, dlaczego nie chce pan używać prawdziwego imienia. Ale dlaczego „Max”?

– To doprawdy nieistotne... – zaczął Isidor.

– Nonsens! – zaprotestował Gerhard. – Prawda wygląda tak, że użyłem tego imienia, bo Izzy zdobył na wojnie Niebieskiego Maxa. To najwyższe niemieckie odznaczenie bojowe. Jak Krzyż Wiktorii dla Anglików.

– O rany – wykrztusiła Saffron.

– Na pewno nie jest pani ciekawa wojennych opowieści starszych panów – powiedział Isidor.

– Przeciwnie, Herr Solomons...

– Proszę mówić mi „Izzy”.

– A mogę „Max”? Przecież tak usłyszałam o tobie pierwszy raz.

– Możesz mnie nazywać, jak chcesz. I chyba miałaś zamiar wygłosić, jak nazywamy to my, prawnicy, kontrargument.

– Tak, miałam. Widzisz, wychowałam się między masajskimi wojownikami w Kenii...

– Jest Afrykanką, Izzy, nie rzuca ci się to w oczy? – wtrącił Gerhard, zarabiając żartobliwego klapsa w udo za tę swoją kpinę.

– No więc nauczono mnie, że nie ma większej pochwały dla mężczyzny, niż nazwać go wielkim wojownikiem. Chylę przed tobą czoło.

– Dziękuję, moja droga, zachowam w sercu ten komplement – odrzekł Izzy. – A teraz pewnie chciałabyś wiedzieć, dlaczego Gerhard cię tu przyprowadził. A więc posłuchaj...

I tak oto Saffron dowiedziała się, co zrobił Gerhard, dlaczego żydowski właściciel kawiarni w Zurychu nazwał go *Mensch* i co sprawiło, że dwóch nazistów zmusiło go, by porzucił swoje zasady. Kiedy Izzy skończył swoją opowieść, podeszła do niego i ucałowała go w policzek.

– Dziękuję ci, Max. Dziękuję ci z całego serca – powiedziała. A potem odwróciła się do Gerharda. – Wstań. Chcę uściskać mojego mężczyznę. – Objęła go, mówiąc, że jest z niego ogromnie dumna, po czym zachichotała i szepnęła: – Nie teraz, świntuchu! – Bo poczuła, jaki skutek wywołały jej słowa.

Usiadła i przez jakiś czas tylko słuchała uszczęśliwiona, jak ci dwaj mężczyźni opowiadają sobie o tym, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania. Z zachwytem patrzyła, jakim uczuciem darzą się wzajemnie, i była zafascynowana wszystkim, co mówili, bo chciała znać najdrobniejszy szczegół dotyczący mężczyzny, który zdobył jej serce.

– Izzy, czy to źle, że tak uwielbiam latać? – zapytał w pewnym momencie Gerhard. – I że jestem taki dumny, należąc do Luftwaffe, i że mam tak świetny, szybki i zabójczy samolot jak stodziewiątko?

– A co było złego w tym, że von Richthofen czerpał dumę z tego, że był naszym największym asem lotnictwa i uwielbiał latać swoim małym czerwonym fokkerem?

– No nie, ale to było coś innego.

– Dlaczego?

– Ty akurat świetnie wiesz dlaczego, Izzy.

– Wiem dwie rzeczy, Gerhardzie. Wiem, że byłem dumny, mogąc służyć mojej ojczyźnie, naszej ojczyźnie. I wiem, że nienawidzę Hitlera i wszystkiego, co sobą reprezentuje. Ale chociaż Hitler przekonuje, że jego partia nazistowska i nasza ojczyzna to jedno i to samo... co zresztą jest jednym z wielu powodów, dla których go nie cierpię... to całkowicie się myli. Niemcy będą istnieć, kiedy i on, i jego podli siepacze przeminą, i proszę tylko Boga, abym dożył tego dnia i odzyskał moją ojczyznę. Dlatego mówię: nie, nie popełniasz żadnego zła, będąc dumny. Ale mam do ciebie pytanie, mój chłopcze...

– Śmiało, pytaj.

– Kiedy byłeś bardzo młody i miałeś całą arogancję młodości i wiarę, że jesteś niepokonany, podjąłeś to szaleńcze ryzyko, żeby mnie uratować.

– I nie żałowałem tego ani przez chwilę.

– Nie wątpię, ale oto moje pytanie. Teraz jesteś pięć lat starszy. Zdobywasz reputację jako architekt... – Isidor podniósł rękę, nie pozwalając, by Gerhard mu przerwał. – Wiem, to nie ten styl, na którym by ci zależało, ale architektem jesteś. Masz też swoją pozycję w eskadrze i w Luftwaffe, z czego jesteś dumny. I teraz spotkałeś kobietę, która



będzie twoją towarzyszką na całe życie, nie mam co do tego cienia wątpliwości, jeśli tylko los pozwoli. A więc chcę cię zapytać: Gdybyś znalazł inną niemiecką rodzinę, też żydowską, czy również dałbyś im pięć tysięcy marek, żeby pomóc im uciec? Bo teraz dobrze wiemy, chociaż w trzydziestym czwartym nie było to jeszcze oczywiste, że dla Żydów nie ma przyszłości w nazistowskiej Rzeszy. Czy dałbyś im te pieniądze, a z nimi dar życia?

Saffron widziała, że to pytanie kompletnie zaskoczyło Gerharda. Chciał powiedzieć: „Oczywiście!”. Widziała, że ma to słowo na końcu języka. Ale widziała też, że nie pozwala mu na to uczciwość.

– Nie wiem... – odparł w końcu. – Naprawdę nie wiem... ale bardzo się obawiam, że nie.

Isidor ze współczuciem pokiwał głową.

– Rozumiem i wcale cię za to nie potępiam. Spełniłeś dobry uczynek. Gdyby każdy człowiek w Niemczech był w połowie, a nawet w jednej dziesiątej tak szlachetny jak ty, mój naród nie byłby teraz w tak śmiertelnym niebezpieczeństwie. Więc proszę cię tylko o jedno, Gerhardzie, przechowuj w sercu pamięć o tamtym nierozważnym, ale wspaniałym młodzieńcu, którym byłeś. Strzeż jej jak świecy, która nie może zgasnąć. Nie pozwól, by zgasła. Pewnego dnia możesz jej potrzebować.

Saffron widziała, jak Isidor patrzy to na nią, to na Gerharda, a jego oczy były pełne tak głębokiego smutku, że ledwo potrafiła to znieść: był to smutek całego narodu, echo prześladowań i cierpień, sięgających w pomroki dziejów.

– Pamiętasz wiersz, który ci czytałem, ten, w którym mowa o mocy odśrodkowego wiru, „Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół zatapiając obrzędy dawnej niewinności”<sup>8</sup>?

– Yeats – powiedziała cicho Saffron.

– Tak... Moje dzieci, ten czas jest blisko. Czuję, że nadchodzi. Tamten nikczemny barbarzyńca nie spocznie, dopóki nie pogrąży całego świata w wojnie i śmierci. Lękam się o nas wszystkich i lękam się o was, młodych, których starzy złożą w ofierze, tak jak uczynili z moim pokoleniem. Chciałbym widzieć was razem, żyjących w pokoju, z waszymi dziećmi, radośnie bawiącymi się między wami. Chciałbym tam być, siwy, o lasce, uśmiechając się na widok rodzącego się życia i wspólnej miłości. Tak więc mówię teraz wam obojgu, tak jak kiedyś

powiedziałem tobie, Gerhardzie: cokolwiek się wydarzy, przeżyjcie, na miłość boską.

Pan Brown czystym przypadkiem dowiedział się – nie od funkcjonariusza wywiadu czy tajnego agenta – że Saffron była w St. Moritz. Po prostu usłyszał o tym na weselu. Przeciskał się przez tłum na salonach wiejskiej rezydencji w Wiltshire, kiedy dobiegły go słowa młodej kobiety:

– Słyszałaś, co Saffy Courtney zmalowała tego roku w St. Moritz? No, tym razem to przesadziła. Stokrotnie.

Pan Brown przystanął i zajął punkt obserwacyjny, z którego widział jedną z drухen rozmawiającą z przyjaciółką.

– Och, mów! – powiedziała tamta, pochylając się wyczekująco.

– No więc po pierwsze, zaparła się, że zjedzie po torze saneczkowym Cresta Run, który jest tylko dla facetów.

– Rany, co za zuchwałość!

– Ja powiedziałabym, że raczej popisywanie się. I wyleciała z toru, tak jak na to zasłużyła.

Słuchaczka radośnie zachichotała, wyobrażając sobie, jak słynna i jej zdaniem denerwująco piękna Saffron Courtney robi z siebie idiotkę.

– Ale to nie jedyny jej wybryk...

– O Boże, a co jeszcze?

– Uciekła z jednym Niemcem! Skradła go dosłownie sprzed nosa jego narzeczonej i spędziła z nim noc. A nigdy wcześniej nie widziała go na oczy!

– Nie! Obrzydliwość! – wykrzyknęła przyjaciółka, zadając sobie w duchu pytanie, dlaczego jej nigdy nie trafiają się takie przygody.

– No tak! Biedy Rory Ballantyne, który zabrał ją do St. Moritz i niemal wbrew sobie przeschmugłował na Cresta Run, był potwornie wściekły. Od tamtej pory słowa ze sobą nie zamienili.

– Biedny Rory... on jest taki słodki.

– Chociaż trochę nudny... ale rzeczywiście słodki.

Tydzień czy dwa później, przed Wielkanocą, pan Brown wybrał się do Oksfordu i zaprosił Saffron Courtney na lunch do hotelu Randolph.

– Pomyślałem, że byłoby miło się spotkać – powiedział. – Wyjeżdżałaś gdzieś na Boże Narodzenie?

– Byłam w Szkocji u moich kuzynów, Ballantyne'ów – odparła Saffron. Zamilkła na chwilę i pan Brown domyślił się, że próbuje ocenić, ile on wie lub nie wie. – Potem pojechałam na narty do St. Moritz. To był taki impuls.

– Dobrze się bawiłaś?

– Tak, owszem. – Saffron nachyliła się i powiedziała teatralnym szeptem: – Proszę nikomu nie mówić, ale zrobiłam coś absolutnie zakazanego, *verboten*. Zaszalałam na Cresta Run.

– Aha... z tego, co wiem, kobietom nie wolno zjeżdżać z tego toru.

– Mhm. Musiałam się przebrać za mężczyznę. Nie wiem, czy byłam tak całkiem wiarygodna.

Pan Brown uśmiechnął się miło. Potem jak pokerzysta, który wchodzi do licytacji, spytał:

– Dowiedziałaś się tam czegoś interesującego?

Spojrzała mu prosto w oczy i jak przeciwnik podbijający stawkę, powiedziała bez mrugnięcia powieką:

– Tak, nawet bardzo. Poznałam całkiem ciekawego człowieka.

– Doprawdy? A czy mówił coś, co mogłoby mnie zaciekawić?

– Tak... to Żyd...

Saffron zawiesiła głos na tyle długo, że pan Brown zaczął się zastanawiać, czy poszła do łóżka z niemieckim Żydem. A potem opowiedziała historię adwokata, bohatera wojennego zmuszonego uciekać z kraju, któremu tak dzielnie służył. Zrobiła to w znakomitym stylu, tak że opowieść była tyleż poruszająca, co bogata w informacje. I chociaż nie wdawała się w szczegóły, jak i gdzie poznała owego dżentelmena, którego nazwiska przysięgła nie zdradzić, było jasne, że historia jest prawdziwa. Ale nie wspomniała ani słowem o kochanku, a tym bardziej o niemieckim kochanku.

Pan Brown wyszedł z hotelu podniesiony na duchu. Rzadko spotykał osoby, które tak swobodnie ukrywały informacje, tak doskonale mydląc oczy. Dziewczyna miała wrodzony talent.

Saffron i Gerhard spotkali się ponownie w Wielkanoc, kiedy znaleźli pretekst, by jechać do Paryża. Plany, które sporządził Speer według fantazji swojego wodza, w dużej mierze opierały się na szkicach osiemnastowiecznego architekta Étienne-Louisa Boulléego. Jego dzieła zgromadzono w Bibliothèque National w stolicy Francji i Gerhard, zapewniwszy Speera, że bezpośrednia analiza dzieła starego mistrza będzie szalenie pomocna przy jego przedsięwzięciu, i obiecawszy sam pokryć koszty wyjazdu, uzyskał pozwolenie, by odwiedzić archiwum Boulléego. Zamówił cichy apartament w Ritzu, spędził wiele cudownych godzin w łóżku z Saffron, zrobił sobie z nią zdjęcie pod wieżą Eiffla – oboje uśmiechający się do obiektywu, mocno przytuleni – i nawet sumiennie posiedział jeden dzień w bibliotece, po czym pożegnał się z Saffron na gare du Nord i wrócił do Berlina.

W Paryżu Gerhard i Saffron długo rozmawiali o wojnie, dłużej, niż mieliby na to ochotę, i okazało się, że oboje są pewni jej wybuchu. Zgodnie uznali, że każde z nich ma obowiązek wobec własnej ojczyzny. Ustalili też, że żadne z nich nigdy nie zdradzi drugiemu nawet najmniejszego szczegółu swojej służby. Gdyby zrobili to i zostali podsłuchani, groziłoby im podejrzenie o szpiegostwo lub zdradę. Co więcej, gdyby któreś z nich wiedziało, co robi drugie, i miało jakiegokolwiek pojęcie o grożącym mu niebezpieczeństwie, skazałoby się na nieznośne cierpienie. I w końcu ich uczucie zależało od tego, czy są zdolni zapomnieć o politycznych i militarnych różnicach, jakie dzielą ich kraje, i widzieć w sobie nawzajem po prostu człowieka. Tak naprawdę pragnęli jednego: wiedzieć, czy to drugie żyje i wciąż kocha.

Gerhard obmyślił sposób, jak będą się porozumiewali. Aby chronić Saffron i inne zaangażowane w to osoby, podał jej wyłącznie adres kancelarii Isidora Solomonsa w Zurychu. W zamian chciał tylko adres w Anglii, na który Izzy mógł bezpiecznie pisać. Podała adres ciotki Penny przy Tite Street.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda? – zapytała Saffron kilka wieczorów później, jedząc z Penny kolację we włoskiej restauracyjce w Chelsea, między King's Road a rzeką.

– To tylko zależy od twojej odpowiedzi na trzy pytania – odparła Penny.

– No to pytaj.

– Dobrze. Pierwsze: czy jesteś pewna, że go kochasz?

– Tak, absolutnie, z całego serca – odrzekła Saffron i Penny wiedziała, że mówi prawdę.

– Drugie: czy jesteś pewna, że on kocha ciebie?

– Absolutnie, bez wątpienia.

– I trzecie: czy jest dobrym człowiekiem?

– Och, tak, naprawdę – zapewniła Saffron i opowiedziała historię Isidora Solomonsa, mówiąc też, jak została przyjęta w kawiarni Herr Kagana w Zurychu.

Pod koniec tej historii obie miały łzy w oczach i ciotka Penny obiecała pomoc i dyskrecję.

Kiedy Saffron wróciła do Oksfordu na letni semestr, zgłosiła się na ochotnika do miejscowego oddziału MTC, Korpusu Transportu Zmechanizowanego, organizacji, której członkinie miały służyć w wojsku jako kierowcy i mechanicy. Leon i Harriet przyjechali do Londynu w czerwcu, tak jak rok wcześniej, i gdy wszyscy troje już nacieszyli się truskawkami z bitą śmietaną w Wimbledonie i obejrzeli Letnią Wystawę w Royal Academy, musieli dopuścić do siebie bolesną świadomość, że dwadzieścia lat pokoju zbliża się do końca.

– Jeśli wojna faktycznie wybuchnie, zamierzam rzucić Oksford – powiedziała Saffron do Leona. – Chcę zrobić, co do mnie należy.

– Ale nie musisz robić właśnie tego. Nie dostaniesz karty mobilizacyjnej. Skończ studia i jeśli wtedy, niech Bóg broni, wojna nadal będzie trwała, zdecydujesz, jak najlepiej służyć krajowi.

– Jaki jest sens zostawać w Oksfordzie, który będzie w połowie pusty, bo wszyscy chłopcy pójdą na wojnę? To czysta rozpacz. Mogę spełnić swój obowiązek, choćby prowadząc samochód albo ciężarówkę czy co tam, a potem wrócę. Oksford zostanie Oksfordem, cokolwiek zdarzy się w czasie wojny.

Leon zrozumiał, że żadne przekonywanie nic nie da, i mimo że niczego nie pragnął mocniej niż bezpieczeństwa swojej córeczki, podziwiał jej odwagę i determinację. Więc zamiast się z nią kłócić, zdecydował, że podsunie jej inny kierunek działania, bo najbardziej obawiał się, że mogłaby tkwić w Londynie, kiedy zaczną spadać bomby. Wszyscy eksperci wojskowi wydawali się zgodni co do jednego: w tej

wojnie nowoczesne bombowce będą siały śmierć i zniszczenie na nieznaną dotychczas skalę.

Saffron od roku nie była w rodzinnym domu i teraz wróciła do Kenii razem z Leonem i Harriet. Po drodze zatrzymali się w Kairze, u babki, w starym domu Courtneyów w Garden City. Przez kilka dni po przyjeździe tutaj Saffron nie mogła nie zauważyć, że ojciec wydaje się niezwykle zajęty i tajemniczy. Ale w końcu wyjaśnił, o co chodzi.

– Pewnie zastanawiałaś się, co knuję – zwrócił się do Saffron, kiedy pili drinka przed kolacją.

– Tak, zastanawiałam się, i to poważnie – potwierdziła.

– Podobnie jak ja – wtrąciła Harriet. Spojrzała na Saffron. – Mnie też słowa nie pisnął.

– Hm, jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mam trochę wpływów w tym mieście. Biorąc pod uwagę naszą ropę, statki i co tam jeszcze, Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney będzie miało solidny wkład w wysiłek wojenny, jeśli zacznie się to przedstawienie. Dlatego mogłem pociągnąć za kilka sznurków. Okazuje się, że wojsko właśnie wyznaczyło nowego głównodowodzącego sił brytyjskich w Egipcie. To generał major Henry Maitland Wilson, nazywany powszechnie „Jumbo”, a dlaczego, zrozumiesz, jak go poznasz. W każdym razie dopiero co przyleciał do Kairu, nikogo tu nie zna i potrzebuje szofera. Powiedziałem, że z radością pokażę mu wszystko, przedstawię ludziom, wprowadzę do klubu sportowego i tak dalej. W zamian prosiłem go tylko o możliwość przedstawienia mu wyszkolonej dziewczyny z MTC, która mogłaby być jego szoferem: ściśle mówiąc, mojej własnej córki. No, jak to brzmi?

– Interesująco... – rzuciła Saffron sceptycznym tonem osoby, która chce wiedzieć, gdzie jest haczyk.

– Och, dużo lepiej niż interesujące, kochanie – wtrąciła Harriet. – Każda dziewczyna byłaby zachwycona, mogąc wozić generała.

– Oczywiście, chce cię poznać – ciągnął Leon. – Musi sprawdzić, czy dobrze się prezentujesz, jak prowadzisz auto i czy nie jesteś jakąś głuptaską, która nie będzie umiała się przy nim zachować. Zapewniłem go, że nie ma powodu do obaw. A więc spotykamy się w sobotę na lunchu w klubie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to chyba zaproszę go na strzelanie do kaczek w delcie. Na pewno będzie jeszcze bardziej zadowolony, kiedy zobaczy, jak strzelasz.

– Brzmi fantastycznie. Ale co, jeśli nie będzie wojny?

– To wtedy wracasz na studia. Choć mówiąc szczerze, Saffy, przypuszczam, że wojna będzie. Myślę, że Hitler chce położyć łapę na Polsce. Musi wyruszyć, zanim pogoda się popsuje, a jeśli to zrobi, nie sądzę, żebyśmy bez cienia protestu mogli pozwolić mu na okupację następnego kraju.

Leon miał jeszcze jedną sprawę do Jumbo Wilsona i przedstawił ją na lunchu w klubie sportowym Gezira.

– Myślę, że Saffron wolałaby mieć coś do samoobrony. Pozwoliłem sobie wystarać się o berettę czterysta osiemnaście. To idealny damski pistolet: mały, bardzo lekki i zmieści się w torebce.

– Zapewniam pana, panie Courtney, że nie chcę zabierać pańskiej córki na pole walki czy narażać jej na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, jeśli tylko da się tego uniknąć – powiedział generał, który był tak wysoki i potężny, jak wskazywało jego przezwisko.

– Absolutnie wierzę, panie generale. Ale walczyłem w Afryce i warunki są tu zupełnie inne niż w Europie. Linie frontów nie biegną tak prosto jak na mapie. Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy mogą się nagle pojawić kłopoty.

– Czy ma pani w ogóle pojęcie, jak posługiwać się bronią, panno Courtney? – spytał generał.

– Owszem, mam całkiem spore doświadczenie, panie generale.

– Proszę mi powiedzieć, generale – odezwał się Leon – czy miałby pan ochotę postrzelać z nami w delcie? Zabawimy się razem, spędzimy miło dzień.

Jumbo się zgodził. Saffron odebrała go z jego kwatery i zawiozła na rozlewisko. Prowadziła znakomicie i strzelała wyjątkowo celnie, co najmniej tak dobrze jak mężczyźni, którzy tam byli.

– Z radością przyjmę panią na swojego szofera i wyrażam zgodę, aby miała pani broń, chociaż byłbym wdzięczny za dyskrecję w tym względzie. I jako cywil, i jako kobieta nie powinna pani nosić przy sobie broni.

– Nie powiem ani słowa – obiecała Saffron. – Zapewniam pana.

Następnego ranka zgłosiła się do pracy. Leon i Harriet wrócili do Kenii, podniesieni na duchu myślą, że Saffron bez wątpienia wypełnia swój obowiązek wobec ojczyzny, ale w sposób, który minimalizuje niebezpieczeństwo, w razie gdyby doszło do działań zbrojnych.

Niecały tydzień później Hitler najechał Polskę. Rozpoczęła się druga wojna światowa.



Okres świąt Bożego Narodzenia 1939 roku był w Niemczech radosnym czasem. Polska została podbita za cenę niecałych dwudziestu tysięcy zabitych lub rannych żołnierzy. Po potwornościach wojny okopowej na froncie zachodnim w poprzedniej wojnie, kiedy tak wielu żołnierzy poszło na rzeź, a ich śmierć przyniosła tak mizerne skutki, wojna błyskawiczna zakończyła się bezbolesnym zwycięstwem, które można było dodać do dotychczasowych podbojów Hitlera, jakich dokonał bez jednego wystrzału. Rzesza rozsiadła się w sercu Europy, od granicy z Francją na zachodzie po Rosję na wschodzie, i wielu miało nadzieję, że Führer poprzestanie na tym, co już osiągnął. Duma i status Niemiec zostały triumfalnie przywrócone. Czemu by teraz nie cieszyć się tą nową pozycją światowej potęgi?

Podczas świąt sale balowe i jadalnie w pałacach bawarskiej arystokracji były pełne rozradowanych gości. Gerhard von Meerbach nadal przebywał w Polsce ze swoją eskadrą i nie dostał przepustki na Boże Narodzenie ani na Nowy Rok. Ale Konrad, który dzielił czas między kwaterę główną Heydricha a Meerbach Motorenwerke, bez przeszkód uczestniczył w eleganckim życiu towarzyskim, choć nieco krępowała go obecność żony. Było to oczywiście frustrujące, ale z drugiej strony, bywanie z małżonką miało swoje zalety. Podkreślało wizerunek dobrego ojca rodziny, a to z kolei liczyło się w partii.

Przy jednej z takich okazji, tuż przed Bożym Narodzeniem, został na chwilę rozdzielony z Trudi, która plotkowała w małym kręgu przyjaciółek. Gospodyni ujęła go pod ramię i zaprowadziła do gościa, też akurat pozbawionego towarzystwa – blondynki, która musiała być, jak stwierdził, co najmniej dziesięć lat młodsza od niego. Prezentowała się całkiem nieźle, a jej suknia balowa raczej odsłaniała, niż zasłaniała piersi bujne niczym para dorodnych melonów na tacy. Przyglądała mu się z wyraźnym zainteresowaniem: jego czarny mundur jak zwykle roztaczał nieodparty czar. Na Boga, czy uda mi się ją dopaść, zanim ta durna suka Trudi zorientuje się, że nie ma mnie obok? – zadał sobie w duchu pytanie.

– Chessi, mogę ci przedstawić hrabiego Meerbacha?

Kobieta zeszywniała, jakby to nazwisko nie zabrzmiało miło w jej uszach, gospodyni nagle przypomniała sobie pewną sprawę i zrozumiała, że popełniła straszne *faux pas*, ale trudno, musiała kontynuować.

– Hrabia Meerbach, hrabianka Francesca von Schöndorf.

Konrad także zauważył zmieszanie blondynki, bo jeśli nauczył się czegoś, prowadząc przesłuchania, to wychwytywać oznaki napięcia lub niepokoju osoby, którą miał przed sobą. A więc to tę dziewczynę rzucił Gerhard, pomyślał. Musiał zwariować!

Stuknął obcasami, skłonił głowę i rzekł:

– Jestem zachwycony, mogąc panią poznać, hrabianko. I mam nadzieję, że przyjmie pani ode mnie, głowy rodziny Meerbachów, jak najszczerze przeprosiny za oburzające i niewybaczalne zachowanie mojego brata wobec pani. I pozwalam sobie stwierdzić, że traktując w ten sposób tak piękną kobietę, okazał się nie tylko nieokrzesanym prostakiem, ale też ślepym durniem.

Chessi nie straciła głowy, słysząc, jak drugi członek tej samej rodziny prawi jej identyczne komplementy, ale ponieważ Meerbach zasługiwał na grzeczną odpowiedź, odrzekła:

– Dziękuję, to bardzo uprzejme z pana strony.

– Widzę, że wy dwoje macie sobie wiele do powiedzenia – oświadczyła pani domu, najwyraźniej marząc tylko o tym, by się wyplątać z tej niezręcznej sytuacji. – Ach! Są Fritz i Amélie Thyssenowie. Proszę wybaczyć, muszę się z nimi przywitać.

Chessi dostrzegła, że Meerbach zagryzł zęby, gdy padło nazwisko Thyssen. Przemysłowiec, gorący zwolennik partii nazistowskiej w jej początkach, poróżnił się z Führerem, gdy ten okazał wrogość Kościołowi katolickiemu i podporządkował cały niemiecki przemysł maniakalnej remilitaryzacji. Meerbach z urzędu, jako oficer SS i szef spółki, której silniki pomagały napędzać wojenny wysiłek Niemiec, krytycznie podchodził do poglądów Thyssena.

Czekając, aż znów się na niej skupi i podejmie rozmowę, Chessi uważnie studiowała mężczyznę, którego miała przed sobą. A więc to jest ten niesławny Konrad! – pomyślała. Gdybyś ty tylko wiedział, co twój braciszek wygadywał na twój temat!

Daleko mu było do urody i elegancji Gerharda, brakowało mu też wdzięku i wyrafinowania brata. Ale chociaż miał grubo ciosane rysy i chłopską budowę – potężna klatka piersiowa, nogi i ręce jak kłody, istny perszeron, żaden ogier arabski – otaczała go niewątpliwa aura władzy, której Gerhard nie posiadał. Oto mężczyzna, który brał, co chciał, i miażdżył każdego, kto wszedł mu w drogę. Nie wątpiła, że jest tyranem i draniem. Ale te cechy tylko mogły jej się przydać. Bo jeśli uczucia Konrada wobec Gerharda były tak negatywne, jak Gerharda wobec niego, to tę wrogość dałoby się skutecznie wykorzystać.

– Jak sądzę, wie pani, że brat i ja nie przepadamy za sobą – odezwał się Konrad, wracając do rozmowy z Chessi. – Paraduje, zgrywając asa przestworzy, ale to tylko fasada, zaprojektowana tak starannie jak jeden z tych gmachów, które lubi szkicować. Ja wiem, co się pod tym kryje.

Chessi miała w tej rozgrywce z Meerbachem asa w rękawie i wiedziała, że na tego rodzaju przyjęciu, gdzie konwersacja może

w każdej chwili zostać przerwana, nie ma co zwlekać.

– Proszę mi powiedzieć, czy Gerhard zwierzył się panu, dlaczego czy raczej z czyjego powodu złamał dane mi słowo?

Meerbach się uśmiechnął.

– Zapewniam panią, jestem ostatnią osobą na ziemi, której zwierzały się ze swoich sercowych spraw.

– W takim razie wyjaśnię to panu. W styczniu byłam z grupą znajomych w St. Moritz. Gerhard miał się do nas przyłączyć na kilka dni. Zamierzał oficjalnie prosić mnie o rękę, wiem to na sto procent. Ale tak się złożyło, że pewnej mojej starej szkolnej przyjaciółce, która wiedziała, gdzie przebywam, wpadło do głowy, żeby mnie tam odwiedzić. Może pan tego nie wie, ale przez dwa lata uczyłam się w angielskiej szkole. Tam poznałam tę dziewczynę. A ona, chcąc się spotkać ze mną, swoją najbliższą przyjaciółką, zadała sobie trud, żeby przyjechać do Szwajcarii aż ze Szkocji, gdzie spędzała święta. Naturalnie było to w trzydziestym szóstym roku, gdy między naszymi narodami panowała jeszcze przyjaźń.

– Oczywiście – odrzekł Konrad. – Führer do ostatnich chwil, zanim Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom, szukał sposobu pokojowej koegzystencji obu krajów.

– No właśnie... Rzecz w tym, że ta młoda Angielka przyjechała do St. Moritz, żeby się ze mną zobaczyć. Ale zanim miałyśmy okazję się spotkać, padła do stóp, jak najdosłowniej, pańskiego brata Gerharda i od razu postanowiła, że chce go dla siebie.

– Czy wtedy wiedziała, co łączy go z panią?

– Wiedziała, że jestem zakochana, ale jak przysięgła, nie miała pojęcia, że to właśnie mój wybranek. Może głupio, ale jej uwierzyłam. Gdyby uszanowała naszą przyjaźń, wypuściła go ze swoich szponów i mi go oddała, może potrafiłabym wybaczyć i jej, i Gerhardowi. Ale go nie wypuściła, a on wydawał się niezwykle szczęśliwy, że został mi sprzątnięty sprzed nosa.

– Więc kochanką mojego brata była Angielka?

– Tak... ale dlaczego mówi pan „była”? Skąd pan wie, że nadal nie jest zadurzony w tej kobiecie?

Chessi miała przyjaciółkę, która wiecznie jeździła do pewnej drogiej kliniki, na próżno usiłując zbić wagę. Powód był prosty: była łakoma i za dużo jadła. I chociaż wytrzymywała tydzień przymusowej głodówki, to ledwo wyszła za bramę kliniki, wracała do starych nawyków. Wyraz

twarży Konrada Meerbacha, który właśnie zdał sobie sprawę, że podsunęto mu pod nos sposób na zniszczenie brata, przypominał minę przyjaciółki Chessi, kiedy natychmiast po kolejnej kuracji jej wzrok napotykał michę szpeci w gęstym sosie serowym.

– Zna pani nazwisko tej Angielki? – spytał, dosłownie przełykając ślinkę.

– Tak – powiedziała Chessi. Gospodyni przyjęcia zbliżała się ku nim, więc nie było czasu do stracenia. – Nazywa się Saffron Courtney. Dorastała w Kenii, gdzie jej ojciec ma wielką posiadłość. Jej matka miała na imię Eva. Przed Wielką Wojną była kochanką bardzo bogatego i wpływowego niemieckiego przemysłowca. Zginął w Afryce na początku wojny. Zabił go ojciec Saffron.

Konrad pobladł. Zacisnął szczęki jak potężny mastiff. Wargi pobielaly mu od hamowanej wściekłości, a głos miał niski i chrapliwy, gdy spytał:

– Skąd pani to wie? Jeśli pani kłamie albo się ze mną droczy... Jeśli próbuje pani rzucać na moją rodzinę oszczerstwa i potwarze...

Chessi nagle się przestraszyła. Nie rozumiała, dlaczego jej opowieść wprawiała Konrada w taką furję.

– Przysięgam, mówię prawdę – odrzekła z naciskiem i rozpaczliwą prośbą w głosie. – Krewny Saffron opowiedział mi tę historię. Był zakochany w Courtney i tak jak ja poczuł się zdradzony. Był przeszcześliwy, że może mi to wszystko wyjawić.

Konrad wlepił w nią wzrok, bez cienia uprzejmości wysuwając potężną szczękę i szukając na twarzy Chessi śladu oszustwa. Wreszcie skinął głową.

– Dobrze, wierzę pani. Nie mogła pani dowiedzieć się tych rzeczy inaczej niż w ten sposób, który pani opisała. Czy są jeszcze jakieś szczegóły, którymi zechciałaby się pani ze mną podzielić?

– Tak.

– Ale nie wie pani, jak nazywał się tamten niemiecki przemysłowiec?

– Nie, ja... – I nagle wszystko stało się dla niej jasne. – Och... – szepnęła.

Czemu nie skojarzyłam tego wcześniej? – pomyślała. Mali Meerbachowie dorastali bez ojca. Oczywiście, to musiał być on!

– Wkrótce się spotkamy – rzekł Konrad. – Mamy wiele do omówienia. I sądzę, że nasza rozmowa może przynieść obustronne korzyści.

Rory Ballantyne wyobrażał sobie, że atakowanie schronu to coś niebywale ekscytującego. Ale oficer, który stał przed nimi w jednostce szkolenia podchorążych Królewskiego College'u Wojskowego w Sandhurst, potrafił sprawić, że wydawało się to nudne jak gramatyka łacińska. Tak więc z wielką ulgą powitał wejście starszego szeregowego, który zwrócił się do instruktora:

– Przepraszam, ale adiutant kazał mi przyprowadzić kadeta Ballantyne'a. Pewien dżentelmen chce się z nim widzieć.

– To nie może poczekać do końca zajęć? – spytał instruktor.

– Przykro mi, ale mam przyprowadzić kadeta Ballantyne'a natychmiast. Adiutant był pod tym względem bardzo konkretny.

Instruktor westchnął z irytacją.

– No dobrze, Ballantyne, możesz iść – rzucił.

Rory podniósł się z ławki, spojrział na kolegów i wytrzeszczając oczy, wzruszył ramionami, jakby mówił: „Nie mam pojęcia, o co chodzi”. Ruszył za szeregowym do biura adiutanta, gdzie przedstawiono go drobnemu starszemu panu o rzadkich siwych włosach. Nazywał się Brown.

– Może się przejdziemy? – zaproponował pan Brown. – Zrobimy sobie spacer do Jeziora Górnego. Co ty na to?

– Oczywiście, proszę pana – odrzekł Rory. – Znam drogę.

– Ja także, drogi chłopcze... ja także.

Wyszli na lodowate zimowe powietrze. Pan Brown kroczył powoli, szczelnie opatulony w gruby płaszcz, szalik, w kapeluszu i skórzanych rękawiczkach, podczas gdy Rory obok miał na sobie mundur polowy khaki i z chęcią poszedłby zwawszym krokiem, by nieco się rozgrzać. W końcu, gdy byli już dobry kawałek od budynków college'u, w miejscu, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać, pan Brown się odezwał:

– Zanim zaczniemy, muszę jak najmocniej podkreślić, że wszystko, co będzie tu mówione, musi całkowicie pozostać między nami. Nie wolno ci zdradzić absolutnie nikomu celu naszego spotkania. Czy to jasne?

– Tak, proszę pana, jak najbardziej – powiedział Rory.

– Kiedy wrócisz do kolegów, powiesz im, że jestem starym przyjacielem rodziny, który pracuje w Ministerstwie Wojny. Wizytowałem college i spytałem o ciebie.

– Rozumiem, proszę pana. Tylko nie bardzo wiem, jaki jest cel tego naszego spotkania.

– Przybyłem tutaj, aby zapytać cię o twoją krewną, Saffron Courtney. Rory poczuł nagle ukłucie niepokoju.

– Czy z nią wszystko dobrze? To znaczy nic jej nie grozi?

Pan Brown zaśmiał się przyjaźnie.

– Och, nie, nie... nic z tych rzeczy. Chodzi raczej o ocenę. Nazwisko panny Courtney wypłynęło w związku z pewnym zajęciem i chcemy się upewnić, czy jest ona odpowiednią kandydatką, to wszystko.

– To mi wygląda na jakąś szpiegowską robotę. W rodzinie zawsze się plotkowało, że matka Saffy była szpiegiem w czasie poprzedniej wojny.

– Tego rodzaju pogłoski wydają mi się mało prawdopodobne. Nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do rodzinnych plotek. Jestem tu, Ballantyne, żeby poznać fakty. A więc... Domyślam się, że ty i panna Courtney jesteście sobie bardzo bliscy.

– Niestety, nie tak bliscy jak kiedyś.

– Och, doprawdy, a dlaczego?

I tak Rory nieoczekiwanie dla samego siebie opowiedział historię o wyjeździe do St. Moritz. I chociaż szczerze nie chciał mówić niczego, co mogłoby zdyskredytować Saffron, bo przecież nadal była częścią rodziny, to w tym, jak pan Brown zadawał jedno pytanie za drugim, było coś hipnotyzującego, jakby potrafił wyciągać informacje, podczas gdy człowiek tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, ile zdradza. Potem Rory ni stąd, ni zowąd opisał, jak Saffron uparła się, że zjedzie po torze Cresta Run, a potem uciekła z pewnym Niemcem, niejakim von Meerbachem.

Na dźwięk tego nazwiska pan Brown z jakiegoś powodu nadstawił uszu i oznajmił stanowczo, że chce poznać wszystkie szczegóły owego skandalu, mimo obaw Rory'ego, iż to niezbyt po dżentelmeńsku opowiadać takie rzeczy o damie, zwłaszcza o krewnej.

– Ale niech to diabli – zakończył – jeszcze się nie zaczęła. Znaczą wojny nie było, ale wszyscy się gryźliśmy, że jest coraz bliżej, a jak dojdzie co do czego, to po drugiej stronie znów będą Niemcy. A ona jakby nigdy nic ucieka z cholernym szwabem!

– Z twojego tonu wynika, że cała sprawa nieźle cię poruszyła.

– Tak, byłem naprawdę wkurzony. Napisałem do Saffy liścik, bardzo lodowaty, i wygarnąłem, co o niej myślę. Od tamtej pory jej nie widziałem.

– Czy myślisz, że może mieć pronazistowskie sympatie?

– Saffy i... naziści? – W głosie Rory’ego brzmiało niedowierzenie. – Boże, nie! Nie zastanawiałem się wiele nad jej zachowaniem, ale nie, Saffy nie jest wielbicielek Hitlera. To po prostu nie w jej naturze. Całe te marsze, ten defiladowy krok... to zupełnie nie w jej stylu!

– Więc jak sądzisz, dlaczego straciła głowę dla Niemca?

– A dlaczego w ogóle kobiety tracą głowę dla facetów? Jest bogaty jak cholera i pewnie całkiem przystojny, jeśli się lubi cudzoziemców. Prawdziwe pytanie brzmi: Dlaczego miała gdzieś, że to Niemiec?

– Właśnie, Ballantyne, oto jest pytanie. I jak byś na nie odpowiedział?

– Och, zwyczajnie. Saffy miała to gdzieś, bo po prostu miała to gdzieś. Ona nie jest jak inne dziewczyny... dlatego jest taka wyjątkowa. Zawsze robi to, na co ma ochotę, i pal ichto konsekwencje. Kobietom nie wolno zjeżdżać po Cresta Run, ale to jej nie powstrzymało. Angielskie dziewczyny nie powinny zakochiwać się w Niemcach, ale... No, nie wiem, czy ona naprawdę go kocha, ale... rozumie pan, o co mi chodzi.

– Owszem.

Zatrzymali się nad jeziorem i Rory patrzył w dal, ponad wodą. Im dłużej mówił o Saffron, tym rzadziej spotykał się wzrokiem z panem Brownem.

– Lubisz ją bardzo, Ballantyne?

Rory w końcu spojrzął na niego i skinął głową.

– Martwisz się, że może powiedziałeś za dużo?

– No, martwię się, i to bardzo.

– Nie musisz. Nie puszczę pary z ust. I zgadzam się z tobą. Ja też uważam, że Saffron Courtney to wyjątkowa młoda kobieta.

– Skręca mnie, jak pomyślę, że mogłem palnąć coś, co jej zaszkodzi.

– Bądź spokojny, Ballantyne. Absolutnie nie sądzę, że ta dziewczyna mogłaby być w jakiś sposób nielojalna wobec ojczyzny. Jak powiedziałem, tylko zbieram informacje, aby ocenić, ile Saffron Courtney jest warta.

– Skoro ją pan ocenia, pewnie pan wie, że znakomicie strzela i jeździ konno, jak urodzona w siodle.

– Obiło mi się o uszy.



– Zabawne, my tu wszyscy szkolimy się na oficerów. Ale gdyby Saffy była mężczyzną, byłaby lepszym żołnierzem od każdego z nas.

– A czemu myślisz, że nie może być lepszym żołnierzem jako kobieta?

Pan Brown pozwolił, by to pytanie zawisło w powietrzu, po czym rzekł:

– Chyba czas wracać, nie sądzisz?

Człowiek, którego Francis Courtney znalazł jako Manfreda Erhardta, był wyższym funkcjonariuszem Abwehry, wywiadu armii niemieckiej. Erhardt był pewien, że Francis Courtney, odpowiednio poprowadzony, może stać się niebywale cennym nabytkiem, ale też wiedział, że jego wartość będzie tym wyższa, im większe znaczenie osiągnie on w rodzinnej spółce. Ze wszystkiego, co mówił Courtney, jasno wynikało, że blokowali go bracia, Leon i David. Erhardt uważał starszego brata za mniej pilny problem, ponieważ Leon mieszkał w Kenii i nie brał udziału w codziennym zarządzaniu Przedsiębiorstwem Handlowym Courtney. To prezes zarządu, David Courtney, stanowił większą przeszkodę na drodze awansu Francisa. I był o wiele bliższym celem niż Leon.

W związku z tym Erhardt powiadomił Francisa, że potrzebuje informacji o wyjazdach z Kairu jego brata w ciągu następnego miesiąca czy dwóch. Francis wymyślił bajeczkę, że planuje rodzinne przyjęcie i właśnie ustala pasujący wszystkim termin, więc chce wiedzieć, kiedy David wyjeżdża poza miasto, i chociaż sekretarka brata z wielkim niedowierzaniem przyjęła wieść, że przesławny odludek Francis nagle zapragnął wydać przyjęcie, nie mogła odmówić Courtneyowi. Stosowna informacja została pozyskana i przekazana Erhardtowi.

Cztery tygodnie później David Courtney pojechał do Aleksandrii, jak to robił regularnie, by odwiedzić miejscowe przedsiębiorstwo żeglugowe należące do rodziny, którego zarząd mieścił się właśnie tam. Na miejscu zjadł z Dorianem kolację, a ponieważ Aleksandria miała wyjątkową atmosferę, niepodobną do kairskiej – o wiele bardziej zrelaksowaną, śródziemnomorską, romantyczną – postanowił wrócić do hotelu spacerem, zamiast brać taksówkę. Znając dobrze miasto, skorzystał ze skrótu, który w pewnym momencie poprowadził go wąską uliczką, niewiele szerszą od alejki parkowej.

Nie zauważył ani nie usłyszał człowieka, który wysunął się z ciemnej bramy, znalazł się za jego plecami, chwycił go pod szczękę, poderwał mu głowę w tył i do góry i poderżnął gardło od ucha do ucha.

Portfel Davida, zegarek, nawet ręcznie szyte buty zostały skradzione. Komendant policji wyraził głębokie współczucie rodzinie. Ta

przeróżająca zbrodnia była wyraźnie dziełem bandytów, ale mimo żmudnego i wyczerpującego śledztwa winnych nie znaleziono.

W ocenie Erhardta operacja udała się doskonale. Ale wtedy pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda. Leon Courtney, który przyleciał do Kairu na pogrzeb brata, zdecydował, że bezterminowo przeprowadza się tutaj, by przejąć bieżące zarządzanie Przedsiębiorstwem Handlowym Courtney. Dogłądanie stad bydła w Lusimie zostawił Loikotowi, Manyoro miał nadal pełnić funkcję nieoficjalnego wodza i stróża prawa masajskiej społeczności, a ambitny młody Południowoafrykanin Piet van der Meuwe przejął rozrastający się dział upraw, od zielonego groszku po kawę. Leon miał już w Nairobi najlepszych prawników i księgowych, więc przekazawszy ziemię w bezpieczne ręce, przeniósł się wraz z Harriet do Kairu i przedsiębiorstwo zaczęło się dostosowywać do nowego szefa.

Erhardt po namyśle uznał, że ta sytuacja nie powinna zaszkodzić jego planom. Teraz Francis Courtney tym mocniej wierzył, że los i rodzina sprzysięgły się przeciwko niemu. A jak mówiło Manfredowi Erhardtowi jego niemałe doświadczenie, nic tak nie pcha człowieka do zdrady jak gorycz, uraza i poczucie krzywdy.

Konrad Meerbach miał teraz trzy wielkie życiowe zadania: służyć Heydrichowi, prowadzić rodzinną spółkę i stworzyć na tyle solidne oskarżenie przeciwko Gerhardowi, żeby dało się go bez sądu wysłać do obozu. Francesca von Schöndorf okazała się istną skarbnicą nowinek i tropów, które pomogły mu zamienić plotki w faktyczny obciążający materiał dowodowy. Konrad i Francesca uczcili swój prywatny sojusz kolacją w Berlinie, po czym chętnie udała się do jego mieszkania. I chociaż jej nagie ciało okazało się bardziej nęcące niż odziane, obojgu nie przyniosło to spodziewanej satysfakcji. Mieli wrażenie, że cień Gerharda wisi nad łóżkiem, i im usilniej sobie wmawiali, że odpłacili mu pięknym za nadobne, tym bardziej Gerhard wydawał się ciążyć nad ich życiem i tym bardziej puste jawiło się ich zwycięstwo.

Jednak to nie znaczyło, że Konrad zamierzał bratu odpuścić. Z nieskończoną cierpliwością jadowitego pająka zabrał się do snucia sieci, w którą chciał złowić ofiarę. Potrzebował dowodu, że Gerhard i Courtneyówna nadal utrzymują ze sobą kontakt. Tymczasem z każdym dniem rosły trudności związane z oskarżeniem brata o zdradę.

W kwietniu 1940 roku 77. Dywizjon Myśliwski, w tym eskadra Gerharda, dostał rozkaz wsparcia inwazji na Norwegię. Podczas kampanii Gerhard zestrzelił dwa brytyjskie myśliwce RAF-u. I chociaż były to leciwe dwupłatowce Gloucester Gladiator, zaliczono je na konto jego sukcesów. Jeszcze jedno zestrzelenie i miał zostać asem powietrznym.

Następnym zestrzelonym samolotem był bombowiec Wellington nad Francją. Kolejne dwie ofiary, hurricane i spitfire – o których można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są leciwe – zostały mu dopisane podczas gorączkowych tygodni, gdy zepchnięto Brytyjczyków do morza i zmuszono do poniżającego odwrotu z plaż Dunkierki, tak że pozostawili całe swoje wyposażenie na kontynencie. Wtedy marszałek Rzeszy Hermann Göring, dowódca Luftwaffe, przypiął do piersi Gerharda Krzyż Żelazny. Z odznaczeniem i zaszczytnym klepnięciem w ramię przez samego Führera Gerhard zyskał status, który – mimo że niezasłużony – mocno go chronił przed wszelkimi oskarżeniami.

Gdybym kochał kobietę należącą do obozu nieprzyjaciela, jak bym się z nią porozumiewał? – zastanawiał się Konrad. Każdy mężczyzna, który był na wojnie, chciał pisać do swojej ukochanej i otrzymywać od niej listy. Ale Gerhard i ta Courtney – Konrad nie potrafił nazwać jej „Saffron” nawet w myślach, bo to przydawało jej człowieczeństwa, jakby w ogóle można by ją lubić – nie mogli do siebie pisać bezpośrednio, ponieważ między Rzeszą a imperium brytyjskim nie było łączności pocztowej. A nawet niebezpośrednio Courtney nie mogła pisać do niego po angielsku czy on do niej po niemiecku, bo w obu krajach była cenzura, która sprawdzała wszelką wychodzącą i przychodzącą korespondencję, i każdy list w języku nieprzyjaciela natychmiast wzbudziłby alarm.

A zatem musiał być pośrednik, osoba zapewniająca łączność w obu kierunkach. Wystarczyło wysłać list takiemu pośrednikowi i wtedy on lub ona bez problemu mogli przekazać wiadomości dalej, jeśli mieszkali w neutralnym kraju. I powinni umieć pisać zarówno po angielsku, jak i niemiecku. Ponadto musieli mieć powód, dla którego zadawali sobie tyle trudu i narażali się na ryzyko, by pomóc tym dwóm gołąbkom.

Konrad leżał w łóżku z długonogą i wyjątkowo giętką tancerką pewnego berlińskiego teatryku wodewilowego, łapiąc oddech po wyczerpujących erotycznych wyczynach, gdy nagle zdał sobie sprawę, kto musi być tym pośrednikiem. Dziewczyna, widząc uśmiech na jego twarzy, uznała, że to dowód radości z jej towarzystwa, ale jej zadowolenie było krótkotrwałe, bo Konrad natychmiast wyrzucił ją z łóżka i z mieszkania. Potrzebował samotności, ciszy i spokoju, ponieważ chciał pomyśleć, a nie głądzić z tą durną tancerką.

W tydzień stworzył operację nadzoru i przejmowania korespondencji, dzięki czemu do sierpnia natrafił na pierwszy przekaz od pośrednika do Londynu, chociaż list został wysłany nie wprost do Saffron, ale na adres jej krewnej, Penelope Courtney. Po jakimś czasie przyszedł list z Londynu, który niemal na pewno był odpowiedzią. Listy ze Szwajcarii do Wielkiej Brytanii, jeśli w ogóle się przedostawały, szły niezwykle okreśną drogą, przez takie neutralne kraje jak Portugalia lub Szwecja, więc kochankowie porozumiewali się bardzo rzadko i długo to trwało. Ale jeśli byli zakochani, tyle wystarczyło, by podtrzymać płonący w ich sercach ogień.

Był tylko jeden problem. Mimo usilnych starań niemieckich agentów oddelegowanych do sprawy nie udało się ustalić następnego ogniwa

łańcucha, od pośrednika do Gerharda. Listy do Rzeszy i z Rzeszy przemycano tak, że ogniwa pozostawały niewidoczne. Konrad zaczął więc analizować drugi koniec łańcucha. Ktoś w Niemczech musiał działać jako ostatnie ogniwo obsługujące Gerharda, tak jak Penelope Courtney obsługiwała jego dziewczynę.

Inny człowiek, o odmiennie ukształtowanym charakterze, żyjący w innym systemie niż nazizm, może nie przeprowadziłby podobnej dedukcji. I znacznie mniej ochoczo niż Konrad wdrożyłby drugi program przejmowania korespondencji pocztowej, mający udowodnić trafność jego przeczucia. Ale to był właśnie Konrad. Miał przeczucie, zaufał mu i okazało się, że słusznie. Następnie odkrył, że pierwszy zdemaskowany osobnik, ten z terenu neutralnego, był związany z wielowyznaniową organizacją pomagającą przesiedlonym rodzinom, zwłaszcza dzieciom, które ucierpiały wskutek posunięć nazistów, a jednym z jej przywódców był katolicki ksiądz. I wtedy wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Sieć Konrada została rozsnuta. Gerhard znalazł się w pułapce, chociaż o tym nie wiedział. Ale pojawił się nieoczekiwany problem.

– Doprawdy nie sędzę, żeby aresztowanie twojego brata było sensowne – powiedział Heydrich pewnego wieczoru pod koniec sierpnia, po tym, jak Konrad zreferował mu swoje odkrycia. – Jest odznaczonym asem lotnictwa, przypisanym do jednostki frontowej. Jak go zgarniemy, awantura sięgnie samej góry. Dojdzie do tego, że Reichsmarschall Göring weźmie się za łeb z Reichsführerem Himmlerem z powodu człowieka, którego jedyną zbrodnią było to, że rznął nie tę babę, co powinien. Wcześniej czy później zaczną się zastanawiać, czemu w ogóle zawracają sobie tym głowę, i cały ogień pójdzie na mnie. W tym momencie, wierz mi, umyję ręce i pozwolę, aby ich połączona furia spadła na ciebie. Wybacz, Konradzie, ale ta twoja drobna rodzinna sprzeczka nie jest warta tego całego zamętu, do którego doprowadzi. Mamy wojnę do wygrania: wojnę przeciwko międzynarodowemu żydowskiemu spiskowi. Osiągniemy totalne zwycięstwo tylko wtedy, gdy zetrzemy całą ich rasę z powierzchni ziemi. Bądź łaskaw skupić się na tym zadaniu zamiast na życiu erotycznym swojego brata.

– Tak jest! – powiedział Konrad.

A w duchu pomyślał: teraz tak mówisz. Ale jak znajdę jedno słowo, jeden list, w którym będzie choćby cień zdrady tajemnicy wojskowej, zmienisz zdanie. Himmler i Göring też.

W tym momencie zawyły syreny alarmu lotniczego. Siedzący za biurkiem Heydrich nawet nie drgnął, zachowując swój lodowaty spokój. Konrad również się nie poruszył. To musiały być ćwiczenia. Sam Göring zapewnił naród niemiecki, że żaden brytyjski bombowiec nigdy nie zdoła osiągnąć granic Zagłębia Ruhry, zachodniego obrzeża Rzeszy najbliższego Anglii. Berlin był pięćset kilometrów na wschód od Ruhry, dużo dalej od Wysp Brytyjskich. Nie było potrzeby się denerwować.

Nagle zadzwonił telefon na biurku Heydricha. Konrad nie mógł usłyszeć, co mówi człowiek po drugiej stronie słuchawki, ale jego głos był niewątpliwie wzburzony. Heydrich wysłuchał go spokojnie, od czasu do czasu tylko wtrącając: „Jesteś pewien?” i „Rozumiem”.

– No dobrze – rzekł w końcu – przekażę stosowne informacje mojemu personelowi. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na Konrada. – Wygląda na to, że błędnie oceniłem sytuację... to nie jest tylko próbny alarm. Jakieś pięćdziesiąt bombowców RAF-u leci prostym kursem na Berlin. W ciągu dziesięciu minut należy spodziewać się ich nad miastem. Wygląda na to, że nas zaatakowano.

Tamtej nocy ciężkie chmury osłoniły miasto. Brytyjskie bombowce nie potrafiły znaleźć drogi do centrum. Dwoje ludzi zostało lekko rannych, gdy bomba upadła blisko ich letniego domku w Rosenthal, północnej dzielnicy Berlina. Reszta bomb spadła na tereny wiejskie, na uprawy i bydło, ale nie na budynki i ludzi. Po mieście rozniósł się dowcip: „Brytyjczycy nie mogą pobić nas w bitwie, więc próbują wziąć nas głodem”.

Ale Führer się nie śmiał. Göring był głęboko zakłopotany. Rozkazem dnia stała się zemsta na brytyjskich miastach, w szczególności na Londynie, i każdy pilot Luftwaffe był potrzebny w tej kampanii. Jeśli kiedykolwiek istniała jakaś nadzieja, że uda się przekonać kogokolwiek do wycofania asów powietrznych z linii frontu, teraz należała ona do przeszłości.

A więc Konrad musiał znaleźć inny sposób na zniszczenie brata.



„Spokój, chłopaki. Oczy otwarte, pełne skupienie. Angole wkrótce powiedzą nam dzień dobry...”, zatrzeszczał w słuchawkach Gerharda von Meerbacha głos dowódcy eskadry, Dietera Rolfa. Pięć tysięcy metrów pod nimi Tamiza, niczym srebrna wstążka, lśniąc w popołudniowym słońcu, biegła prosto do serca Londynu. Gerhard, tak jak zawsze, za wszelką cenę starał się nie myśleć o Saffron. Tuż przed wybuchem wojny napisała mu, że ojciec chce, aby wróciła do domu. Gerhard zakładał, że chodzi o Afrykę. Ale może się mylił. I może nie udało jej się tam dostać i na całą wojnę utknęła w Wielkiej Brytanii. Nadal przypuszczał, że Anglia w końcu padnie, tak jak Polska, Francja, Holandia, Dania i Norwegia. Czasem leżał w łóżku i wyobrażał sobie, jak w roli zdobywcy znów spotyka się z Saffron i... co wtedy?

Zadając się z jednym z okupantów, w oczach swoich rodaków byłaby zdrajczynią.

Nie potrafił znieść myśli, że nigdy więcej nie weźmie jej w ramiona, nigdy już nie będzie się z nią kochał. Myślał o zapachu jej włosów; jej śmiechu, jękach, gdy się kochali; świetle, które migotało głęboko w szafirowych jeziorach jej oczu; kształcie jej wygiętego ciała, gdy w nią wchodził, jej piersiach, gdy obejmował je dłońmi; linii jej bioder, kształcie pośladków i łuku wąskiej talii; gorącym, mokrym uścisku jej cipki wokół jego członka i...

Dość, człowieku! Skup się na robocie!

Między messerschmittami a rzeką było pięćdziesiąt bombowców Dornier 17, lecących w idealnym szyku na niskiej wysokości. Piloci nie zwracali uwagi na baterie przeciwlotnicze, których pociski już zaczęły wybuchać wokół nich jak czarne pompony, i nieubłaganie zmierzali w kierunku celu.

Nie było trudno go dostrzec. Przed nimi unosił się dym znad londyńskich doków. Ta droga w górę Tamizy była już tak dobrze znana, że Bf 109 praktycznie mógł lecieć sam, bez udziału Gerharda, który jednak kwestionował zmianę strategii. Pierwotnie polegała na atakowaniu lotnisk dowództwa jednostek myśliwskich RAF-u i działała bez zarzutu. RAF tracił tyle samolotów w powietrzu i na ziemi, że wydawało się, iż te straty są nie do odrobienia, tym bardziej że ginęli

doświadczeni piloci i zastępowali ich początkujący, którzy ledwie umieli prowadzić samoloty szkoleniowe, a co dopiero mówić o walkach w powietrzu przeciwko zahartowanym weteranom. Co prawda RAF używał teraz spitfire'ów i hurricane'ów dorównujących Bf 109, lecz chłopcy w myśliwcach Luftwaffe byli pewni zwycięstwa.

Ale wtedy ta cholerna bomba spadła na Berlin: jedna bomba na przekłety domek letniskowy. I nagle wszystko się zmieniło. Pewnie, przeciętnym Niemcom przyjemnie się oglądało kroniki filmowe z płonącym Londynem. Jednak ataki na stolicę w pewien sposób przysłużyły się RAF-owi. Lotnictwo brytyjskie dostało czas na przegrupowanie, wyrównanie lejów po bombach na pasach startowych, remont samolotów, pogłębione szkolenia pilotów i odpoczynek. Wystarczyło ledwie kilka tygodni, by dało się odczuć różnicę. Anglicy odzyskali bojową formę i sprowadzili pomoc, dywizjon polskich lotników, weteranów września 1939 roku, opętanych tylko jednym pragnieniem – zemsty na znieprawionych Niemcach.

Teraz Gerhard wszedł w rytm, jaki musiał utrzymać każdy pilot myśliwca, któremu życie było miłe: bez przerwy przebiegał wzrokiem niebo, szukając samolotów wroga. Ale skąd nadlatywały? Dywizjony obu stron bawiły się w chowanego pośród chmur, ale piloci wiedzieli, że choć są niewidoczni, sami też nic nie widzą: w końcu musieli się pojawić w słońcu. Kiedy eskadra Gerharda składająca się z czterech samolotów, z nim na czele, wyłoniła się z chmury, w słuchawkach rozbrzmiał inny głos niż poprzednio. „Wróg na szóstej godzinie, nisko! Hurricane! Wygląda na pojedynczą eskadrę lecącą z miasta, kieruje się prosto na bombowce”.

„Widzę ich!”, odpowiedział Gerhard, bo ciemne sylwetki hurricane'ów wyraźnie się odbijały od lśniącej powierzchni rzeki. Bf 109 odrywały się od formacji, jeden po drugim, w idealnej sekwencji opanowanej po nieskończonych powtórzeniach, i wkrótce przyszła kolej na Gerharda, by położyć się na prawe skrzydło, a potem zanurkować z pełną szybkością. Osiągnął prędkość blisko sześciuset kilometrów na godzinę, gdy runął ku hurricane'om w dole. Ryk powietrza w kabine niemal pochłonął hałas silnika, kiedy liczby na wysokościomierzu migwały tak szybko jak rysunki owoców na jednorękim bandycie, niezdolne dotrzymać tempa pikowania.

Gerhard czuł zawroty głowy, gdy serce pompowało krew do mózgu, walcząc z ogromnymi siłami grawitacji. Podczas lotu nurkowego łatwo

traciło się przytomność, spadając ku ziemi i pewnej śmierci. Ale gdyby zbyt wcześnie poderwał nos samolotu, wystawiłby brzuch swojego myśliwca na ogień nieprzyjaciela. Musiał lecieć w dół, cały czas w dół, mając za cel upatrzonego hurricane'a, z nadzieją, że tamten nie zauważy go aż do chwili, kiedy będzie już za późno. Pod koniec zwolnił, żeby nie przestrzelić celu.

Był teraz tuż-tuż, tak blisko, że widział głowę pilota hurricane'a w kokpicie. Wyrównał lot, oplótł palcami uchwyt i zwolnił spust, który regulował działanie dwóch karabinów maszynowych. Na górze uchwytu był przycisk działka. Teraz! – pomyślał Gerhard. Poczł szarpnięcie kadłuba samolotu, gdy ogień poszedł ze wszystkich luf.

Dokładnie w tym samym momencie musiał się rozlec sygnał alarmowy dla hurricane'ów, bo rozpierzchły się niczym stado szpaków przed drapieżnym jastrzębiem, niektóre wzlatując wyżej, inne pikując, jeszcze inne kładąc się na skrzydło lub ryzykując korkociąg. Pilot, w którego celował Gerhard, odchylił drążek i poszedł świecą w górę... Dokładnie przecinając kurs samolotu Gerharda.

Ten runął na prawe skrzydło i przez ułamek sekundy, który wydawał się wiecznością, mógł się tylko modlić, gdy Bf 109 wisiał przechylony, skrzydłami niemal prostopadle do ziemi, mijając hurricane'a.

Gerhard próbował odzyskać kontrolę nad samolotem i w tym momencie bezbronności stał się celem, bo lewe skrzydło, aż do samego kadłuba, zasypał nagle grad pocisków, zaledwie centymetry od jego nogi. Rozejrzał się, szukając, skąd dobiegł ten atak, zerknął w lusterko wsteczne, ale nic nie dostrzegł, i wtedy usłyszał krzyk swojego skrzydłowego, Bertiego Schrumppa:

– Jest za tobą, Meerbach, dokładnie w linii!

Gerhard zareagował tak samo jak przedtem jego cel, odepchnął drążek i nos samolotu poszedł w górę, podczas gdy kolejna seria uderzyła z tyłu w kadłub, tuż za kokpitem. Dwa chybienia! – pomyślał. Trzeci raz trafi. Wzniósł się niemal pionowo, a siła ciężenia, która podczas pikowania niezwykle szybko ściągała samolot w dół, teraz go zwalniała, tak że dotarł niemal do granicy utraty sterowności. Na sekundę przed tym, zanim ją przekroczył, Gerhard zrobił wywrót, obrócił samolot na plecy, po czym wrócił tą samą drogą, którą się wspiał, znów nabierając prędkości i teoretycznie przechodząc do pościgu za nieprzyjacielskim samolotem.

Tyle że hurricane'a nie było już tam gdzie wcześniej. W ogólnym chaosie walki powietrznej został zaatakowany przez innego Bf 109 i zmuszony do ucieczki. Na całym niebie bombowce sunęły ku swoim celom, nie zbaczając z wyznaczonego kursu, a myśliwce zawracały, nurkowały, strzelały, chybiały.

Ale niektóre trafiały. Nagła fontanna olśniewającego pomarańcza i złota trysnęła z silnika dorniera, który opadł na skrzydło, ciągnąc za sobą warkocz dymu.

– Na litość boską, skacz! – krzyknął Gerhard, jakby ktokolwiek mógł go usłyszeć.

Przez chwilę patrzył, czy pojawi się spadochron, ale nie mógł poświęcić temu więcej czasu, bo niebezpieczeństwo groziło ze wszystkich stron, a poza tym były też cele.

W radiu eskadry rozległ się okrzyk triumfu, gdy ktoś trafił hurricane'a, i nagle powietrzna bitwa ustała, jakby jakiś niebiański sędzia odgwizdał koniec. Piloci mieli już tylko określony zapas czasu i paliwa, jeśli pragnęli cało wrócić do Francji.

– Teraz ten drań zwieje! – rozległ się okrzyk zawodu. – Jeszcze parę sekund, a bym go wykończył.

– A jego kumpel mógłby wykończyć ciebie. – To był Rolf. – Ważne, że bombowce się przebiły. Teraz doprowadźmy je bezpiecznie na lotnisko.

Heydrich miał rację. Konrad był tak zajęty podczas ostatnich miesięcy 1940 roku, że nie znajdował czasu, by spiskować przeciwko bratu. W połowie listopada był w Warszawie, w zastępstwie szefa doglądając zakończenia budowy getta, w którym miało zostać uwięzionych czterysta tysięcy Żydów.

– Jak pan widzi, mury są prawie gotowe – oświadczył dumnie Ludwig Fischer, gubernator dystryktu warszawskiego, gdy wraz z Konradem był wieszony ulicą Okopową, jedną z granic getta. – Żaden z tych brudnych Żydków się nie wyslizgnie. Dopóki nie postanowimy się ich pozbyć.

– No, nie mogą zostać tu na wieczność, to pewne – przyznał Konrad, gdy auto skręciło w Aleje Jerozolimskie. – Ale przynajmniej nie zmarnuje pan na nich zbyt wiele miasta. Naliczyłem tylko dwadzieścia kwartałów od jednego do drugiego końca muru.

– Zgadza się. Mogę z dumą powiedzieć, że udało się nam upchać jedną trzecią ludności miasta na jednej czterdziestej jego powierzchni.

– Imponujące. Jak pan tego dokonał?

– Prosta sprawa efektywnego wykorzystania przestrzeni – wyjaśnił Fischer. – W obrębie getta jest około dwudziestu siedmiu tysięcy mieszkań, co daje nam piętnastu Żydów na mieszkanie i sześciu, siedmiu osobników na pokój. Czyli w nocy będą musieli spać jeden przy drugim, ale zapewniam pana, że nie będzie im to przeszkadzać.

– Dlaczego?

– Bo nie zamierzamy tracić węgla na ogrzewanie Żydów w zimie. Więc jeśli będą leżeli stłoczeni jak śledzie w beczce, ogrzeją się nawzajem, nawet bez węgla!

Konrad wybuchnął serdecznym śmiechem na ten wspaniały pokaz poczucia humoru.

– Już ja się postaram, żeby Obergruppenführer Heydrich dowiedział się, jak pan to zgrabnie ujął. Będzie bardzo rozbawiony. Ale mówiąc poważnie, wyobrażam sobie, że wskaźnik liczbowy zmaleje wskutek naturalnego wyniszczenia.

– Oczywiście. Połączenie pracy przymusowej, minimalnych racji żywnościowych i zimno szybko wyplewią słabsze elementy tej populacji. Ale słyszę, że pan już pracuje nad innymi środkami do tego samego celu.

– Ach, widział pan odpowiednio przystosowane ciężarówki Kaiser's Kaffee?

Twarz Fischera rozpromieniła się, jakby był dzieckiem, któremu obiecano pójście do cyrku.

– Nie, ale bardzo jestem ich ciekaw.

– Oczywiście. Operacją zajmuje się niejaki Lange. Ciężarówka jest hermetyczna i wyposażona w kanister z tlenkiem węgla. Jak pan wie, ten gaz jest bezwonny, ale śmiertelnie trujący. Wypróbowaliśmy jego działanie na imbecylach, pacjentach zakładów dla obłąkanych i tak dalej, w ramach programu eutanazji. To bardzo ważne, aby pozbyć się wszelkich wybrakowanych osobników, którzy zużywają zasoby nadające się do lepszego spożytkowania gdzie indziej.

– Bezużytecznych zjadaczy chleba, jak to mówią.

– Właśnie.

Problem „bezużytecznych zjadaczy chleba” okazał się dla Konrada jeszcze ważniejszy w następnym roku, gdy Heydrich przystąpił do prac nad wykorzystaniem SS w okupowanej Rosji. Inwazję zaplanowano na wiosnę i SS miało w niej odegrać żywotną rolę, wkraczając za wojskiem i zajmując się oczyszczeniem populacji z Żydów i bolszewików. Zadanie wymagało ogromnego wysiłku organizacyjnego.

„Nie da się po prostu wejść do Rosji i powiedzieć: »A zabijmy wszystkich tych komunistów i Izraelitów« – zwykł mówić Heydrich. – To wymaga planowania. Gdzie znajdziemy tych ludzi? Jak ich będziemy zabijać? Co zrobimy z trupami? Jak przekonamy naszych żołnierzy do zabijania bezbronnych kobiet i dzieci? To praca o decydującym znaczeniu. Trzeba ją głęboko przemyśleć”.

Konrad był do usług. Czekala go fantastyczna, ekscytująca praca. Znaleźć się przy budowie zrębów imperium to przywilej, którego dostąpiło niewielu. Był więc w świetnym nastroju, gdy brał poranny prysznic, jak zawsze o wpół do szóstej. Namydlał ciało, nucąc francuską piosenkę, która tamtej wiosny była na ustach chyba wszystkich berlińczyków. Miała tytuł *J'attendrai*, czyli *Będę czekała*, a jej słowa były obietnicą, którą każda kobieta składała ukochanemu idącemu na wojnę. Będzie czekała dzień i noc, bez końca, aż on wróci.

A jak nie wróci, to zostajesz na lodzie, no nie, maleńka? – pomyślał Konrad i zarechotał, wyobrażając sobie starzejącą się kobietę, której ukochany gnije na dalekim bitewnym polu. A potem zarechotał jeszcze

głośniej, bo wpadł mu do głowy jeden z jego wspaniałych pomysłów.  
Absolutnie genialny.

W Zurychu Isidor wszedł jak zwykle do Konditorei Kagan, ale Yavi Kagan nie przywitał go w zwykły sposób, tylko nerwowo przywołał go skinieniem. Pochylił się nad kontuarem i wyszeptał:

– Przy pańskim stoliku siedzi jakiś goj. Oznajmiłem, że stół jest zarezerwowany, ale się uparł. Powiedział: „Przyszedłem spotkać się z Herr Solomonsem”. To Niemiec. Z Gestapo albo SS. Wyczuwam tych drani na odległość.

Jeśli Kagan mówił, że to esesman, z pewnością tak było.

– Może się pan odwrócić i wyjść – dodał.

Isidor pokręcił głową.

– Nie, mam dosyć uciekania. Nikt więcej mnie do tego nie zmusi.

Nim zrobił pięć kroków, wiedział już, kto na niego czeka.

– Dzień dobry, panie hrabio – odezwał się, siadając tam gdzie zwykle, naprzeciwko Konrada.

– Dzień dobry, Solomons – powiedział Konrad. – Bardzo dobrze wyglądasz. Trochę przytyłeś, od kiedy widziałem cię ostatnim razem. Miło wiedzieć, że dobrze jadasz. Tusza ci służy, dodaje powagi. Komu potrzebny adwokat, którego nie stać na porządny posiłek, hę? Wyrazy uznania dla twojego krawca. Zna się na robocie. Ten garnitur musiał cię kosztować niezłą sumkę, hę? Oddałeś mojemu bratu jego pięć tysięcy marek? Jeśli nie, to może mnie oddasz. To w końcu moje pieniądze.

– Jak rozumiem, tamte pieniądze były z funduszu powierniczego Meerbachów – odparł Isidor. – Tak się składa, że akurat ja znam statut funduszu, bo pomagałem go sporządzać, a pieniądze, które twój brat mi dał, a nie pożyczył... pod tym względem był bardzo stanowczy... trafiły do niego jako do beneficjenta funduszu. Stąd też nie ma żadnych podstaw do uznania, że były twoje. Dlatego nic mnie nie zobowiązuje, bym tobie miał oddać tę sumę czy choćby jej część.

Konrad się uśmiechnął.

– To ci sprytny Żydek. Twoja rasa zawsze znajdzie jakieś wytłumaczenie, żeby zachować swoje pieniądze.

– Zapominasz się. Tu nie są Niemcy. Nie masz nade mną władzy.

– Och, doprawdy, tak myślisz?

– Owszem, tak stanowi prawo.



– Jest różne prawo, Solomons. Na przykład jest też prawo dżungli, które stanowi, że silni miażdżą słabych, tak że marniejsze gatunki giną, podczas gdy silni kwitną i powiększają swoje terytorium.

– Dziękuję za ten wykład na temat doboru naturalnego. Teraz powiedz mi jasno, czego chcesz, i miejmy rzecz za sobą, żeby każdy mógł się zająć własnymi sprawami.

– Chcę, żebyś napisał dwa listy, jeden do mojego brata i drugi do jego angielskiej suki, za którą tak szaleje.

– Przykro mi, ale nie znam nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi, więc jak mógłbym do niego napisać?

– Tak samo jak pisałeś zawsze, Solomons. Ach, świetnie, po twojej minie widzę, że robimy mały postęp. A oto twój żydowski pobratymiec z żydowskim chlebkiem i koszerną kawusią.

Kagan zjeżył się na te słowa, ale Isidor położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Niech pan go ignoruje, Herr Kagan. Nie warto się przejmować.

– Skoro pan tak mówi, Herr Solomons, ale jego szczęście, że pan tu jest i mnie powstrzymał.

– Miałeś mi powiedzieć, jaki jest cel tej rozmowy... – rzekł Isidor, patrząc na Konrada.

– To bardzo proste. Wiem, że działasz jako swego rodzaju urząd pocztowy mojego brata i jego kochanki, która jest Angielką, co oznacza, że oboje zadają się z wrogiem, popełniając zbrodnię, za którą mój brat może trafić pod sąd wojenny i pod mur. Przy okazji, tak stanowi prawo, Solomons. Przypuszczam, że ona też może zostać stracona, jeśli Anglicy otrzymają dowody, że młoda kobieta pełniąca służbę jako szofer generała... zapewne o tym nie wiedziałeś... pisała listy do oficera Luftwaffe.

– Co masz na myśli, mówiąc „urząd pocztowy”?

– To, że dostajesz listy z Anglii pisane przez Frau Penelope Miller, ciotkę Fräulein Saffron Courtney, która jest kochanką Gerharda. Pozornie to listy od starszej Courtney, ale tak naprawdę pisze je siostrzenica i skierowane są do mojego brata. Ty przepisujesz najważniejsze linijki otrzymanego listu i sporządzasz nowy, który przekazujesz ojcu Weissowi, kontaktując się z nim na spotkaniach waszego komitetu międzywyznaniowego. Następnie on przesyła list swojemu znajomemu, księdzu Bauerowi, który przekazuje go mojej matce, a ona z kolei zamieszcza to, co napisałeś, w listach do mojego

brata. Potem cały ten proces przebiega w odwrotną stronę, kiedy mój brat odpowiada Fräulein Courtney. – Konrad westchnął. – Tak wielu ludzi nadstawia głowę tylko po to, żeby dwoje odstępców mogło zdradzić swój kraj. Czemu to robią?

– Bo rozumieją, że chodzi o dwoje dobrych ludzi, którzy się kochają, a miłość to cenne uczucie, tym cenniejsze w świecie pełnym takich jak ty, którzy sieją wokół siebie nienawiść i śmierć.

– Rozsieję śmierć do Zurychu, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem. Ciebie każę zabić, a twoją żonę i dzieci porwać i przenieść z powrotem do Niemiec, gdzie jest ich miejsce. Spotka ich taki sam los jak wszystkich innych Żydów. Każę aresztować moją matkę, jej księżulka i mojego brata też. Zadbam o to, żeby Anglicy się dowiedzieli, co robiła Fräulein Courtney, i dostarczę im dowody, by ją skazali. Zrobię to wszystko z miłą chęcią, chyba że ty zrobisz dokładnie to, co ci każę.

Isidor ze zdumieniem spojrział na Konrada.

– Co się z tobą stało, Konnie? – spytał. – Pamiętam, jak byłeś małym chłopcem i nosiłem cię na barana po ogrodzie. Pamiętam, jak bawiłeś się w słońcu z moimi młodszymi braćmi i siostrami, z moimi kuzynami, i wszyscy byli szczęśliwi... czy to chrześcijanie, czy to żydzi, po prostu małe niemieckie dzieci. Kiedy się zamieniłeś w tę... tę potworną, wynaturzoną karykaturę człowieka? Wiem, że chcesz, żebym się ciebie bał. Wiem, że właśnie to dodaje ci siły. Ale ja się ciebie nie boję. Tylko ci współczuję. Jesteś potępiony. Twoja dusza jest zgubiona. Niech Bóg się zlituje nad tym, co z ciebie zostało.

Przez chwilę nie dłuższą niż sekunda Isidor myślał, że przeniknął grube mury, które Konrad Meerbach zbudował wokół siebie, dręczony jakimś strachem czy bólem. Ale maska nazisty, którą teraz nosił, zaraz wróciła niczym opuszczana krata, zamykająca drogę do zamku.

– Boga nie ma – powiedział. – Akurat wy, Żydzi, powinniście to wiedzieć najlepiej ze wszystkich narodów, bo żaden prawdziwy Bóg nigdy nie pozwoliłby tak zamęczyć swojego wybranego ludu, jak my zamęczyliśmy was. I uwierz mi, to, co się działo do tej pory, to fraszka w porównaniu z tym, co się wydarzy. Nastąpią potworności, jakich sobie nawet nie wyobrażasz. A więc pamiętaj, do czego dojdzie, jeśli się ośmielisz nie spełnić moich żądań.

– Czyli?

– Chodzi o dwa listy: jeden do mojego brata, drugi do Fräulein Courtney, dokładnie tak, jakbyś przekazywał autentyczne wiadomości.

– Co ma być w tych listach?

Konrad wyłożył mu wszystko i Isidor pojął, co musiał czuć doktor Faust, zawierając pakt z diabłem.

Zwycięstwo! Wreszcie, po niekończących się miesiącach samych złych wieści, brytyjska armia ze znaczącą pomocą imperialnych sojuszników zmusiła wroga do odwrotu. I jako szofer generała Jumbo Wilsona Saffron czuła się jak widz zajmujący najlepsze miejsce na stadionie.

Wszystko zaczęło się od wypowiedzenia dziesiątego czerwca 1940 roku wojny Wielkiej Brytanii i Francji przez Mussoliniego, który zwlekał z tą decyzją, dopóki niemiecka armia praktycznie nie znalazła się u bram Paryża i dopóki nie zyskał pewności, że znajduje się po zwycięskiej stronie. Włosi mieli w Afryce kolonie obejmujące Etiopię, Somalię i Libię, które dzieliły długą granicę z Egiptem.

We wrześniu Włosi rozpoczęli ofensywę w Egipcie i przeszli około osiemdziesięciu kilometrów do portu Sidi Barrani, gdzie z powodu braku dostaw, nowoczesnego sprzętu i entuzjazmu musieli się zatrzymać. Brytyjczycy przegrupowali się i z początkiem grudnia rozpoczęli kontrofensywę o kryptonimie Compass. Osiągnięto nadzwyczajny sukces. W ciągu dwóch dni odzyskano Sidi Barrani i wzięto czterdzieści tysięcy włoskich jeńców, przy stratach własnych tylko sześciuset żołnierzy.

Jumbo Wilson był w entuzjastycznym nastroju i Saffron widziała, jak bardzo jest rozradowany, gdy prowadziła limuzynę Humbera w kolorze khaki, wożąc generała i jego najbliższych współpracowników po Kairze, a potem drogą w kierunku Sidi Barrani i dalej, gdzie wizytował wysunięte dowództwa hinduskich, australijskich i brytyjskich dywizjonów, dzięki którym odzyskano terytoria w pobliżu granicy libijskiej.

Włoski XXIII Korpus pod dowództwem generała porucznika Annibale Bergonzolego – zwanego Elektryczną Brodą z powodu gęstej siwej brody oraz podkręconych wąsów – okopał się w mieście Bardia. Zamieniono je w prawdziwą fortecę, otoczono długim na prawie trzydzieści kilometrów rowem przeciwpancernym z umocnieniami pełnymi dział i karabinów maszynowych. Były tak zlokalizowane, że atakujący przeciwnik zawsze trafiał w ogień krzyżowy. Dodatkową przeszkodę

stanowiło blisko sto trzydzieści czołgów, gotowych zaatakować w miejscu najgorętszych walk.

Mussolini pokładał wielką wiarę w swoim generale. W liście do Bergonzolego, wychwalając go jako nieustraszonego wiarusa, oświadczył: „Jestem pewien, że Elektryczna Broda i jego dzielni żołnierze wytrwają bez względu na koszty, wierni do ostatka”.

Bergonzoli zapewnił Il Duce, że nie ma potrzeby wątpić w wynik bitwy: „Jesteśmy w Bardii i zostaniemy w Bardii”.

Alianci mieli inne zdanie. Brytyjska 7. Dywizja Pancerna, która niebawem nadała sobie miano Pustynnych Szczurów, zapisała się w historii. Obeszła Bardię, odcinając Włochom odwrót. Trzeciego stycznia 1941 roku australijska 6. Dywizja zaatakowała miasto twierdzą. Dwa dni później Bardia i kolejne czterdzieści tysięcy Włochów znaleźli się w rękach aliantów.

Kiedy Australijczycy parli na port Tobruk, Jumbo Wilson postanowił odwiedzić polową kwaterę główną generała majora Richarda O'Connora, dowódcy operacji Compass.

Jak prawie półtora roku wcześniej przewidział Leon podczas lunchu z Jumbo, Harriet i Saffron, działania wojenne w Afryce bardzo różniły się od kampanii w Europie. Na froncie zachodnim poprzedniej wojny linia frontu, która biegła pośród setek francuskich miasteczek i wsi, prawie się nie przesuwiała. Na bezdrożach Pustyni Zachodniej, zamieszkiwanych niemal wyłącznie przez skorpiony, żmije i gęste roje much, walczące wojska poruszały się z tak oszałamiającą prędkością, że trudno było w ogóle mówić o linii frontu. Na morzach piasku wojna przebiegała jak działania na prawdziwym morzu, gdzie polową zwycięstwa jest samo znalezienie wroga.

Lub sojusznika.

– Jak minął dzień? – spytała Harriet, kiedy Saffron po dniu pracy przyjechała do domu.

– Nic ciekawego – odparła Saffy. – Kilka rundek po mieście i strasznie dużo czekania pomiędzy nimi.

– Biedactwo. Może zaparzę ci filiżankę dobrej herbaty? Na pewno poprawi ci nastrój. Aha, przy okazji, posłaniec z firmy przyniósł depeszę dla ciebie.

– Depeszę? Nie spodziewałam się.

– Mam nadzieję, że dobre wieści – powiedziała Harriet.

– Oby – rzekła Saffron, z uśmiechem otwierając telegram.

Nagle uśmiech zniknął, krew odpłynęła jej z twarzy, blankiet wysunął się z rąk i przez kilka sekund stała pobladła, bez słowa, zanim wybuchnęła płaczem.

Harriet podbiegła do niej i mocno ją objęła.

– Chodź ze mną – powiedziała łagodnie, prowadząc ją do fotela, w którym Saffron usiadła, bezradnie płacząc.

Harriet podniosła z podłogi depeszę. Nie wiedziała, czy wypada ją czytać, ale uznała, że pytając Saffron, co się stało, tylko sprawiłaby jej większy ból.

GERRY ZESTRZELONY ZAGINIONY UZNANY ZA ZMARLEGO STOP  
BARDZO WSPOLCZUJE PENNY

Och, biedne maleństwo, pomyślała Harriet. Nigdy nic o nim nie mówiłaś. Ciekawe dlaczego.

– Chcesz o nim porozmawiać? – spytała. – Nigdy nie wiadomo, a nuż poczujesz się lepiej.

Saffron pokręciła głową.

– Nie mogę. Nie mogę nic o nim mówić.

– Och, to na pewno nieprawda.

– Prawda! – powiedziała z mocą Saffron i skierowała pełne rozpaczę spojrzenie na Harriet. – Nie rozumiesz. Ojciec byłby zdruzgotany, gdyby kiedyś się o nim dowiedział.

– Nie wierzę. Byłoby mu strasznie smutno ze względu na ciebie, ale przecież nie złościłby się dlatego, że się zakochałaś. Jesteś wystarczająco

dorośla na takie uczucia.

– Chodzi o to, kim on jest... jego rodzina, jego ojczyzna. Możemy o tym nie mówić? Proszę. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Naprawdę nie mogę.

– Rozumiem. Gdybyś zmieniła zdanie, zawsze możesz ze mną porozmawiać. A jeśli nie zmienisz zdania... no cóż, to także zrozumieć.

– Dziękuję – powiedziała Saffron.

Ucałowała Harriet i poszła do swojej sypialni. Tamtej nocy nie zmrużyła oka. Leżała przez wiele godzin, obsesyjnie przebiegając myślami ostatecznie chwile z Gerhardem. Wspominała też, jak pierwszy raz go zobaczyła, jak poczuła jego zapach, jak pierwszy raz się kochali. Wyjęła z torebki wszystkie jego listy i czytała je raz za razem, chociaż znała je na pamięć. Zdała sobie sprawę, że jej zapas wspomnień jest żałośnie skromny. Spędzili razem tak mało czasu. Pozbawiono ją tylu lat miłości. Jak szczęśliwa była Harriet! Nadal miała swojego mężczyznę. Mogli się ścisnąć, rozmawiać, dzielić ze sobą życie. Mieli przyszłość. Ona nie.

Posępnie rozmyślała o pustce lat, które ją czekały. Może znajdzie męża. Może nawet będzie to mężczyzna, którego zdoła obdarzyć uczuciem, tak że zrodzi się między nimi bliskość, ten rodzaj miłości, który jest pokłosiem przyjaźni, i być może będą mieli dzieci. Ale to nie będą dzieci Gerharda. Nigdy więcej nie poczuje tej instynktownej, zwierzęcej namiętności, która powie jej, że to właśnie ten jedyny mężczyzna, najważniejszy ze wszystkich. A jaki jest sens żyć bez tego?

Zaczęło świtać i w oddali, za rzeką, rozległy się z meczetów wezwania do modlitwy, gdy nagle uderzyła ją bardzo jasna myśl, niczym objawienie. Uświadomiła sobie, że właśnie została jej dana szczególnego rodzaju wolność. Skoro nie ma przed sobą żadnej przyszłości, to nieważne, co teraz robi, bo wszelkie skutki jej działań są w istocie bez znaczenia: i tak była stracona. A więc może robić to, co jej się podoba.

– Którą drogą mam jechać, panie generale? – zapytała Saffron, gdy humber po półgodzinie dojechał do rozwidlenia w trzydziestokilometrowym pasie granicy libijskiej.

Czuła w samochodzie napięcie. Na pustyni mogli się natknąć zarówno na wrogów, jak i na swoich, więc wybór drogi był ryzykowną zagrywką, w której stawką było życie.

Nieustanny stres sprawiał, że żołnierze, których wiozła, byli poirytowani i wybuchowi. Ale prawdę mówiąc, wołała taką jazdę od kręcenia się po mieście. Zmuszona do koncentracji, nie zamęczała się myślami o Gerhardzie. A jeśli zginie, to trudno. Byle tylko zabrać ze sobą paru wrogów.

– W lewo – powiedział niecierpliwie oficer sztabowy, kapitan Wright, który siedział na miejscu pasażera. – Jestem prawie pewny, że w lewo.

– Prawie pewny? – warknął z tylnej kanapy Jumbo Wilson. – To za mało. Powinieneś wiedzieć na sto procent.

– Z ostatniej informacji, jaką otrzymałem, panie generale, wynika, że kwaterę polową utworzono trzynaście kilometrów na południowy zachód od Bardii, w wadi – odparł oficer i dodał usłużnym tonem: – Wadi to wyschnięte koryto rzeczne.

– Wiem, co to wadi, Wright. Naogłądałem się ich dosyć.

– Oczywiście, panie generale. W każdym razie mapa wskazuje wadi jakieś trzy kilometry przed nami, po lewej stronie. Jak dojedziemy do niego i nim podążymy, to półtora kilometra dalej na pewno znajdziemy kwaterę główną O’Connora.

– Miejmy nadzieję, że coś wyniknie z tej twojej pewności. Proszę skręcić w lewo, panno Courtney. Jazda.

– Tak jest, panie generale – powiedziała Saffron.

Po kilku minutach znów usłyszała Jumbo.

– Na litość boską, człowieku, przestaniesz się kręcić, jakbyś miał mrówki w tyłku? Co się dzieje?

– Biegunka mnie dopadła, panie generale – rozległ się ściśnięty głos innego sztabowca, majora Morgana. – Przydałoby się za potrzebą.

Jumbo westchnął. Niemal ojcowskim tonem, jakby mówił do wierzącego się synka, a nie jak jeden wysoki rangą oficer do drugiego,



rzucił:

– Wytrzymaj, póki nie dojedziemy do tego cholernego wadi, może tam się znajdzie miejsce, żebyś sobie ulżył. Lepiej tam niż u O’Connora.

– *Mamma mia!* A mówiłeś, żeś mechanik!

Matteo Frescobaldi, twardy, o głowie jak armatnia kula sierżant z Dywizji Czarnych Koszul, zahartowany w bojach podczas hiszpańskiej wojny domowej i podboju Etiopii, stał przy podniesionej masce obitej ciężarówce wojskowej, dalece niezachwycony tym, co widzi.

– Jestem mechanikiem, sierżancie! – zaprotestował umorusany smarem szeregowiec, ocierając uczernione ręce o brudny mundur polowy. – Ale utknęliśmy w środku zapomnianej przez Boga pustyni, bez narzędzi, bez części zapasowych, na dnie rzeki, w której nie ma kropli wody.

Frescobaldi wykrzywił twarz w uśmiechu, słysząc to bezczelne wytłumaczenie, i po przyjacielsku klepnął go w policzek.

– Bardzo śmieszne – powiedział. – Ale jest nas ośmiu, a najwyżej pięciu upchnie się w tym... – Wskazał eleganckiego sztabowego fiata 2800, którego przywłaszczył sobie w chwili, gdy niezdojta forteca Bardia runęła. – Będziesz jednym z trzech, których zostawimy, chyba że ruszysz tego trupa.

– Przecież nie porzucisz tego samochodu. Jak inaczej przewieziesz łup?

Wyślizgnęli się z miasta nocą, zanim upadło, zabierając sejf z gotówką przekazaną generałowi Bergonzolem na prowadzenie kampanii. Tak przynajmniej wyobrażali sobie zawartość kasy pancernej. Jeszcze nie udało im się jej otworzyć.

– Masz świętą rację – warknął Frescobaldi. – Muszę przewieźć łup. A więc naprawisz samochód albo zostawię tu pięciu ludzi. – Spojrzał na karabin maszynowy Breda, który jak zwykle trzymał w ramionach, niczym ukochane dziecko. – Martwych albo żywych, nie obchodzi mnie to.

W tej chwili usłyszeli pomruk silnika – raczej samochodu niż czołgu – zbliżający się w ich kierunku. Frescobaldi pędem znalazł się przy krawędzi niskiego rowu, w którym skrył swoją drużynę. To, co zobaczył, sprawiło, że uśmiechnął się od ucha do ucha, i zsunął się z powrotem.

– Dajcie sobie spokój z fiatem – powiedział. – Jest coś lepszego, żeby się stąd wyrwać.

Tuż przed nimi, z boku wyschniętego na wiór wadi, wyrastała kępa szarych ciernistych krzewów. Saffron zwolniła.

– Może być to miejsce, panie generale? – spytała. – To znaczy dla majora Morgana.

– Tak, może. Zatrzymaj się – odparł Jumbo.

Wyhamowała. Morgan wyskoczył z samochodu i popędził w stronę krzewów.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie – powiedziała Saffron. – Lepiej, żeby uważał na żmije w krzakach.

Kapitan Wright właśnie zdusił śmiech, gdy rozległy się strzały. Nagle między ścianami wadi zagrzechotał ręczny karabin maszynowy, pociski podnosiły kurz z ziemi wokół majora Morgana, a sam major wracał już pędem do samochodu. Gdy był jakieś piętnaście metrów od humbera, nagle jakby wielka ręka poderwała go do góry i rzuciła o ziemię. Leżał nieruchomo, a czerwona plama rozlewała się na plecach jego koszuli.

– Zabierz go, Wright! – krzyknął Wilson. – Courtney, zawróć wóz.

Wright wyskoczył z samochodu i zgięty, pobiegł do Morgana, ściągając ogień na siebie. Drzwi pozostały otwarte, ale Saffron mimo to wcisnęła gaz i humber skoczył do przodu. Po kilku sekundach zaciągnęła hamulec ręczny i gwałtownie skręciła, tak że samochód zawrócił prawie w miejscu, wzbijając chmurę kurzu, która podziałała jak chwilowa zasłona dymna, gdy pojazd się cofał.

Włosi nadal strzelali, pociski łomotały na klapie bagażnika.

Saffron zatrzymała samochód na tyle długo, by Wright zdołał wcisnąć wyjącego z bólu Morgana na tylną kanapę, po czym ruszyła.

Ogień karabinowy zamarł, ale Morgan krzyczał coraz głośniejsze, a smród ekskrementów wypełnił samochód. Saffron spojrzała w lusterko wsteczne. Z tyłu czysto. Skupiła się na wadi, które miała przed sobą. Zaścielały go mniejsze i większe kamienie, a nawet głązy przyniesione wodami rzeki, która niegdyś tu płynęła. Saffron prowadziła bardzo ostrożnie, aż nadto świadoma, czym grozi uszkodzenie samochodu na tym pustkowiu.

Przyspieszyła. Spojrzała w lusterko wsteczne i przyspieszyła jeszcze bardziej.

– Samochód za nami! – krzyknęła.

Wright przekręcił lusterko, by to sprawdzić.

– Wygląda na włoski samochód sztabowy. Z okna wychyla się gość z karabinem. Unik, panie generale, unik!

Znów rozległ się ogień karabinu maszynowego, ale pociski tylko dziurawiły powietrze: szansa trafienia pędzącego samochodu z okna drugiego, gdy oba przemieszczały się po nierównym podłożu, była minimalna.

To nie powstrzymało Wrighta od wyciągnięcia służbowego rewolweru Enfield No. 2, opuszczenia szyby i oddania trzech strzałów w kierunku Włochów.

– Nie marnuj amunicji, człowieku! – krzyknął Jumbo.

Gdy pokonali względnie równy fragment rzecznoego dna, grunt znów stał się wyboisty. Saffron nagle zdała sobie sprawę, że pociski nie budzą w niej lęku, bo skupia się tylko na tym, by jechać z optymalną prędkością. Zbyt wolno – Włosi ich dopędzą. Zbyt szybko – mogą trafić na kamień i stać się nieruchomym celem.

– Co za nami?! – krzyknęła.

– Gość z bronią wymachuje rękami, typowy Włoch. Chyba popędza kierowcę.

Saffron trochę przyspieszyła, ale nie na tyle, by stracić panowanie nad kierownicą. Niech pościg gna na złamanie karku. Wkrótce się przekonają, kto dłużej pożyje.

– Są coraz bliżej, panie generale! – wrzasnął Wright. – Na miłość boską, Courtney, nie da się szybciej?

– Daj dziewczynie spokój – rzucił Jumbo.

Zrobił unik, gdy karabin maszynowy znów plunął ogniem i trafił w tylną szybę. Saffron poczuła na plecach ukłucia odłamków szkła, ale nie została zraniona.

– Chyba czas ich przydusić – powiedział Jumbo.

Odwrócił się, przyklęknął na jednej nodze i przywierając do oparcia kanapy, kilka razy wystrzelił. Wright również. Parę pocisków trafiło ścigający samochód, ale bez widocznego skutku, chociaż strzelec był zmuszony dać nura do środka.

Włosi z każdą sekundą doganiali humbera. Kiedy dystans zmalał, Jumbo trafił w przednią szybę fiata.

– Celny strzał, panie generale! – krzyknął Wright, kiedy Włosi ostro skręcili, zanim kierowca odzyskał panowanie nad pojazdem i wyrównał

równoległe do humbera, nieco na lewo, po stronie pasażera. – Teraz mam lepszą pozycję – powiedział, bo obecnie miał bok włoskiego samochodu w zasięgu rewolweru, tyle że bok humbera też był narażony na ogień karabinu maszynowego.

Wright starannie wycelował w strzelca i nie zważając na to, że grozi mu ogień nieprzyjaciela, pociągnął za spust.

Rozległ się trzask iglicy.

Magazynek był pusty.

– Cholera! – zaklął Wright. – Ma pan zapasową amunicję, panie generale? – zapytał.

– Nie – przyznał Jumbo. – Nie przewidziałem, że będzie potrzebna.

– Ani ja.

Do Włochów uśmiechnęło się szczęście. Ta strona wadi, po której jechali, była gładka. Zbliżali się w szybkim tempie. Maski ich samochodu znalazła się już na wysokości tylnego zderzaka humbera, samochody dzielił pas szerokości zaledwie czterech i pół metra. Ale strzelec miał chyba teraz ten sam kłopot co brytyjscy żołnierze. Brak amunicji. Zerkając w bok, Saffron widziała, że się pochyła, wyraźnie szukając czegoś na podłodze samochodu, tak że odsłonił siedzącego obok kierowcę.

– Zechce pan otworzyć schowek kierowcy, panie kapitanie? – zapytała.

– Przepraszam...? – spytał Wright.

– Otwórz ten cholerny schowek! – warknęła Saffron.

– Rób, co ci każe, Wright – powiedział Jumbo, rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Wyjmij moją torebkę i otwórz ją.

– Pistolet! – wykrzyknął Wright. – Co za szczęśliwy przypadek!

– Proszę mi go podać, panie generale. – Saffron zerknęła na włoski samochód: żołnierz ciągle jeszcze nie uzupełnił magazynku, ale to mogła być kwestia zaledwie sekund.

– Daj jej pistolet! – rozkazał Jumbo.

Saffron spojrzała w przednią szybę. Przed nimi był kawałek stosunkowo gładkiej drogi.

– Niech pan przejmie kierownicę, panie kapitanie. Proszę tylko trzymać ją prosto. Nie obracać nią.

Wright się pochylił, łapiąc za kierownicę. Saffron wsparła prawe przedramię na jego ramieniu, celując w otwarte okno włoskiego

samochodu, i szybko oddała cztery strzały.

– Dziękuję, panie kapitanie – powiedziała. – Przejmuję kierownicę.

Frescobaldi wiedział, że ma jeszcze jedną łódkę nabożową. Wrzucił kilka do środka, kiedy wskakiwali do samochodu, by gonić Brytyjczyków. Ale macał po podłodze, podczas gdy samochód skakał w górę i w dół jak sprężyny łóżka w burdelu, i nie mógł tego cholerstwa znaleźć.

Rozległy się cztery wystrzały, dużo cichsze niż terkot jego bredy, tak że ledwo je usłyszał przez hałas silnika, szum wiatru i uderzenia podwozia o nierówny grunt. Ale zobaczył, że jego kierowca konwulsyjnie drga i puszczając kierownicę, opada na siedzenie, trafiony dwa razy w głowę.

Koła gwałtownie skręciły, samochód zmienił kierunek i pomknął, do wtóru wrzasku spanikowanych Włochów, po czym pięćdziesiąt metrów dalej uderzył w bok potężnego głazu, dwa razy wyższego od człowieka.

Stanął w płomieniach. Frescobaldi napał z całej siły na drzwi, ale zaklinowały się i ani drgnęły. Kiedy płomienie dosięgły Włocha, pożałował, że nie zostawił ostatniego naboju.

Dla siebie.

Major Mason zmarł, zanim w końcu dotarli do kwatery głównej generała majora O'Connora. Kiedy wyjmowano ciało z samochodu, O'Connor podszedł do swojego gościa i rzekł:

– Na Boga, Jumbo. Wygląda na to, że wpakowałeś się w niezłą zawieruchę.

– Tak – potwierdził Wilson. Obejrzał się na samochód. Saffron siedziała na ziemi, wyczerpana, ściskając kubek mocnej słodkiej herbaty, tak bardzo jej potrzebnej. – I wiesz, to ta dziewczuszka wyciągnęła nas z bagna. Władowała facetowi cztery pociski, zachowując zimną krew... nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Powiedz mi, Dick, czy to w ogóle technicznie możliwe, żeby wymienić w raporcie kobietę cywila?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Chyba nikt nawet się nie zastanawiał nad taką możliwością.

– Zasłużyła sobie, bez wątpienia. Gdyby była żołnierzem i mężczyzną, pewnie dostałaby medal.



Zarówno w Brytyjskiej Wysokiej Komisji, jak i w dowództwie wojskowym w Kairze byli ludzie, których obowiązki obejmowały między innymi sporządzanie dyskretnych raportów i wysyłanie ich do oficjalnie nieistniejących jednostek w Londynie. Pan Brown zwrócił się do tych ludzi, aby przekazywali mu na bieżąco wiadomości o Saffron Courtney. Jej wyczyny na pustyni jak najbardziej zasługiwały na to, by mu o nich donieść, i pan Brown z wielkim zainteresowaniem pochłonął raporty. To, że Saffron potrafiła zachować zimną krew, gdy wszystkich wokoło ogarnęła panika, i że była gotowa zastrzelić nieprzyjaciół, robiło wrażenie, ale jego wcale nie zaskoczyło. Wiedział, jak ona świetnie strzela, a poza tym dziewczyna, która pędem zjechała po torze Cresta Run, niewątpliwie lubiła niebezpieczeństwo.

Co więcej, pan Brown od chwili poznania Saffron odnosił wrażenie, że ma ona zdumiewająco rzadką umiejętność – umiałaby zabić człowieka, patrząc mu prosto w oczy. Trudno by pochwalać tego rodzaju zdolności w czasie pokoju. Jednak podczas wojny były nieocenione.

Teraz stało się pewne, że Saffron, zagrożona, potrafi zabić.

Ale czy potrafiłaby zabić z zimną krwią?

Pan Brown chciał poznać odpowiedź na to pytanie.

Generał Archibald Wavell, brytyjski głównodowodzący na Bliskim Wschodzie, był panem życia i śmierci każdego brytyjskiego żołnierza piechoty, marynarza i lotnika, którzy służyli w siłach alianckich na terenie Afryki Północnej, we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie, między innymi w Palestynie, Iraku i Iranie. W lutym 1941 roku jeszcze jeden kraj trafił do sfery jego wpływów i Wavell wezwał Jumbo Wilsona do swojego biura w Kairze, aby omówić tę sytuację.

Wavell nie był ułomkiem. Miał wyrazistą kwadratową szczękę i chociaż włosy mu posiwiały, brwi i wąsy wciąż były ciemne. Stracił oko pod Ypres w poprzedniej wojnie, ale drugie nadal dobrze widziało. Krótko mówiąc, prezentował się tak imponująco, jak sugerowała jego ranga, niemniej jednak przy Jumbo Wilsonie wydawał się mikrusem.

Był szefem Wilsona. Z drugiej strony ten był od niego dwa lata starszy. Co ważniejsze, obaj mieli bardzo wysoką rangę, więc spotykając się w cztery oczy, zależności służbowe odkładali na bok i rozmawiali jak starzy kumple.

– Mam dla ciebie zadanie, Jumbo – zaczął Wavell. – Jeśli to dobrze rozegrasz, możesz się załapać na pełnego generała.

– Brzmi interesująco. Jaka jest stawka?

– Jak wiesz, Grecy spisali się w Albanii, że mucha nie siada. Spuścili Włochom cholerne manto. Mussolini w bek i do Berlina, do starszego braciszka, prosić o pomoc, i wygląda na to, że Hitler jest chętny. Grecy są przekonani, że Niemcy dokonają inwazji wiosną, i z kolei uderzają o pomoc do nas.

– Chyba powiedzieliśmy, że bardzo nam przykro, ale teraz jesteśmy mocno zajęci? Tak więc nic nie da się zrobić, ale zgodnie z najlepszą brytyjską tradycją życzymy im dużo szczęścia.

Wavell skrzywił się, niezbyt uszczęśliwiony tym, co miał powiedzieć.

– Nie do końca. Uznano, że teraz Grecja jest naszym jedynym sojusznikiem w Europie, który jeszcze się trzyma, więc nie możemy tylko stać i patrzeć, jak też trafia pod niemiecki but. Posyłamy do Grecji Pierwszą Pancerną Brygadę, Pierwszą Nowozelandzką, Szóstą i Siódmą

Australijską oraz polską Brygadę Strzelców Podhalańskich i chcę, żebyś dyrygował tym całym widowiskiem.

Wilson milczał.

– Chyba to nie entuzjazm odebrał ci mowę – zauważył dowódca.

– Hm, bardzo jestem ci za to wdzięczny, Archie, naprawdę bardzo. Doceniam zaufanie, jakim mnie obdarzasz, i tak dalej.

– Zasłużyłeś na nie.

– Ale na litość boską... Wysyłanie tylu najlepszych oddziałów do Grecji i osłabianie naszych sił tutaj, w Afryce, to po prostu szaleństwo. Przecież ci durnie w Whitehallu muszą to rozumieć.

Wavell westchnął.

– Obawiam się, że problem jest raczej z durniem przy Downing Street. Winston się zaparł, żeby otworzyć front bałkański, i Grecja akurat mu przypasowała. Nie chodzi tylko o to, żeby nie oddać jej Niemcom. Wymyślił sobie, że możemy wykorzystać nasze bazy w Grecji do bombardowania rumuńskich pól naftowych, by w ten sposób odciąć Niemcom najlepsze źródło ropy.

– Front bałkański? – powtórzył z niedowierzaniem Wilson. – Boże wszechmogący, a można by pomyśleć, że dostał już nauczkę pod Gallipoli w poprzedniej wojnie. Ktoś powinien przemówić mu do rozsądku albo grozi nam równie potworna klęska.

– Nie spieram się z tobą, ale wola pana premiera jest święta.

Zdarza się, że człowiek nie przestaje szermować argumentami w obronie swojej sprawy, nawet kiedy wie, że na nic się nie zdadzą. Po prostu nie może uwierzyć, iż druga strona jest na tyle głupia, by je zlekceważyć. Tak właśnie miotał się teraz generał Wilson.

– Ale to przecież oczywiste, że na pustyni mamy pełne ręce roboty, zwłaszcza od kiedy Niemcy dołączyli do zabawy. Już nie stoimy tylko naprzeciw tej włoskiej zbieraniny. Rommel to cholernie dobry dowódca, udowodnił to z Siódmą Pancerną we Francji. Co więcej, jego oddziały są twarde, zaprawione w bojach, a co najważniejsze, przyzwyczajone zwyciężać. Ale nie są niezwyciężone. Zwłaszcza gdy walniemy w nich wszystkim, co mamy. Po pierwsze, będzie musiał się zwijać jak w ukropie, żeby zapewnić sobie zaopatrzenie. Każdy litr paliwa czołgowego, każda kropla wody, każdy pocisk trzeba będzie przewieźć ciężarówkami setki kilometrów wzdłuż wybrzeża. Możemy dać mu łupnia, Archie, wiesz, że możemy, ale tylko mając wszystkich żołnierzy i należyte wyposażenie.

Wavell wiedział, że wysyła Wilsona do Grecji na głupią misję. Wiedział też, że tym sposobem poważnie zmniejsza własne szanse na pokonanie Rommla. I obaj wiedzieli, że poniosą odpowiedzialność za klęskę w kampaniach, w których nie da się zwyciężyć. Ale na razie Wavell miał rozkazy, których musiał słuchać, a to oznaczało wysłanie Wilsona do Grecji.

– Szczerze? Zgadza się z tobą, Jumbo – rzekł Wavell. – Mamy niesamowitą szansę odesłać Niemców w trumnach i możemy udowodnić, że potrafimy stawić im czoło w polu i zwyciężyć. Ale Winston uznał, że Grecja to nowy priorytet. Jest jak dziecko w sklepie z zabawkami... „Chcę to!”, „Nie, chcę tamto!”. I musi to mieć, czy nam się to podoba, czy nie.

– No to jaki jest plan?

– Konwoje będą wychodzić z Aleksandrii do Pireusu w cyklu trzydniowym, począwszy od pierwszego tygodnia marca. Oczywiście marynarka wojenna zapewni eskortę. John D’Albiac będzie doglądał spraw od strony RAF-u. Kiedy tylko jego chłopcy rozlokują się w Grecji, w razie potrzeby zapewnią osłonę powietrzną.

Wilson z namysłem zmarszczył brwi.

– To za niecały miesiąc. Muszę tam być ze sztabem, zanim pierwszy żołnierz zejdzie z transportowca.

– Zgadza się.

– To lepiej już się do tego zabiorę.

– I to ci się chwali – powiedział Wavell. – Jumbo...

– Tak?

– Nie gryź się. Cokolwiek się wydarzy, już ja zadbam o to, żeby nikt się ciebie nie czepiał.

Z początkiem 1941 roku wycofano wiele myśliwców Luftwaffe z baz nad kanałem La Manche i pilotów wysłano na intensywne szkolenie do Polski. Nikt nie wyjaśnił dokładnie celu tych zajęć, lecz widok zmasowanych wojsk, zarówno lądowych, jak i powietrznych, nad najbardziej wysuniętą na wschód granicą Rzeszy nasuwał jasny wniosek, że chodzi o inwazję na Rosję. Ale kiedy się wydawało, że już zaraz padnie rozkaz natarcia, nagle skierowano ich gdzie indziej.

– Tak wyłącznie między nami, słyszałem, że wysyłają nas na Bałkany i do Grecji – powiedział pewnego wieczoru w kantynie oficerskiej Dieter Rolf do Gerharda. – Wygląda na to, że nasi włoscy przyjaciele wpakowali się w kłopoty i musimy ich ratować.

– Czy to nie zahamuje... hm... tego drugiego wielkiego posunięcia? – spytał Gerhard.

Ze względów bezpieczeństwa lepiej było nie mówić „Rosja”.

– Niewykluczone. Ale to nie nasz problem, no nie? Za jakiś miesiąc polatamy nad Partenonem.

– Ciekawe, czy da się wziąć urlop i wyskoczyć na wyspy greckie. Byłoby fajnie.

– Jasne... Aha, przy okazji. Mam dla ciebie list z kraju.

Gerhard odebrał przesyłkę. Odczekał do końca kolacji, ledwo powstrzymując uśmiech na myśl o radości, jaka go czeka, gdy będzie czytał list od Saffron. Potem popędził do sypialni, zatrzasnął za sobą drzwi i rozdarł kopertę, a dziesięć sekund później z rozpaczą opadł na łóżko.

Nie wiedział, ile czasu spędził, siedząc na brzegu materaca i łkając bezsilnie. W pewnym momencie usłyszał, że otwierają się drzwi do pokoju i ktoś wchodzi, po czym dobiegły go słowa Schrumppa: „Przepraszam, stary, nie chciałem ci przeszkadzać”. Wreszcie zasnął i miał koszmarne sny, w których pojawiała się Saffron, tyle że nie widział jej twarzy ani nie mógł się do niej zbliżyć, jakkolwiek się starał.

Następnego dnia rano poszedł do kantyny. Wzdrygał się na samą myśl o śniadaniu, ale bardzo potrzebował kawy, aby pobudzić mózg do życia. Nie odezwał się słowem ani nikt nie przemówił do niego. Wszyscy przywykli do obecności śmierci. Mimo tylu sukcesów Luftwaffe przez

ostatnie półtora roku wojny eskadra straciła prawie połowę swojego początkowego składu pilotów, a wielu z tych, którzy przeżyli, straciło braci i przyjaciół służących w Wehrmachcie, a także członków rodziny – podczas nalotów powietrznych lub w wypadkach.

Najlepiej było tego nie roztrząsać. Najlepiej było pozwolić człowiekowi, by sam pogodził się ze swoją stratą i dalej mógł żyć normalnie. Będzie dość czasu na żałobę, kiedy wojna się skończy. Tak więc Gerhard nic nie powiedział. Ale jego serce było złamane, a duszę miał okaleczoną.

Saffron była jego miłością, nadzieją, zbawieniem. Teraz stracił to wszystko. Co mu pozostało?

Wilson ciężko pracował: planował, przeprowadzał i nadzorował dyslokację ponad trzech pełnych dywizji, wiedząc, że mogą być następne, gdyby doszło do tak ciężkich walk, jak się tego spodziewał. Saffron jeździła jak szalona do Aleksandrii i z powrotem, a jej szef i wyżsi oficerowie sztabowi naradzali się z wyższymi oficerami marynarki. Pomędzy tymi wyprawami były niezliczone wizytacje oddziałów zaangażowanych w operację Lustre, jak nazwano ekspedycję do Grecji, kolejne narady z Wavellem i więcej jazd do Aleksandrii.

Sam Wilson miał lecieć z Kairu do Aten w ostatnich dniach lutego. Niecały tydzień przed planowaną datą wyjazdu Saffron nadal nie wiedziała, czy będzie mu towarzyszyć. W końcu zebrała się na odwagę i zapytała go o to.

– Sam się nad tym zastanawiałem – przyznał Wilson. – Nie zaprzeczam, że mogłabyś się bardzo przydać. Zawsze znalazłbym żołnierza, który by mnie woził, ale ty mnie znasz, wiesz, co mówić, kiedy nic nie mówić, takie tam. Nie uśmiecha mi się uczyć kogoś nowego. A zatem moja odpowiedź brzmi: „Tak, polecisz”. Ale nie pozwalam ci się zbliżyć do miejsca walk.

– Ale, panie generale...

– Żadnych „ale, panie generale” w tej sprawie, młoda damo. To będą ciężkie, krwawe walki i front nie jest miejscem dla kobiety, nawet takiej, która umie świetnie strzelać. Kiedy tylko bomba pójdzie w górę, wysyłam cię do Aten. Znajdziesz sobie użyteczne zajęcie. A jak sprawy pójdą złym torem i szwabry przyprą nas do muru, masz się pakować do pierwszego wolnego samolotu albo okrętu i wracać do Aleksandrii.

– Tak jest, panie generale – powiedziała z niechęcią Saffron.

– To rozkaz.

– Tak jest, panie generale.

Trzeba było dalej prowadzić wojnę, bronić imperium i podtrzymywać mit brytyjskiej niezwyciężoności, więc anglojęzyczne gazety robiły, co mogły, by znaleźć pozytywne strony każdej złej wieści z frontu. Mimo to Leon widział, że kampania grecka układa się źle, a jego lęki tysiąckrotnie powiększała świadomość, że Saffron tam jest, na pewno niebezpiecznie blisko walk, narażona na schwytanie, zranienie lub nawet – chociaż usilnie starał się nie roztrząsać tej możliwości – śmierć. Pewnego wieczoru, tydzień po tym, jak pierwsze niemieckie oddziały przekroczyły grecką granicę, Leon został niespodziewanie wezwany do kwatery głównej generała Wavella w Kairze. Jako jeden z czołowych angielskich biznesmenów w Egipcie, którego interesy krzyżowały się ze sferą dowodzenia Wavella, Leon spotkał się z nim kilkakrotnie na gruncie towarzyskim, ale nigdy nie w sprawach zawodowych. Tymczasem jeden z oficerów generała pojawił się u Leona o wpół do jedenastej wieczorem i oznajmił, że zaraz przyjedzie samochód, który go zabierze. Dał do zrozumienia, grzecznie, ale bardzo jasno, że to nie zaproszenie, lecz rozkaz, po czym dodał:

– Bardzo pomocna byłaby informacja, gdzie w tym momencie są wszystkie pana statki, więc jeśli musi pan kogoś wezwać, by się tego dowiedzieć, radzę zrobić to teraz.

Leon nie musiał nikogo o nic pytać. Odbywał regularne przedpołudniowe i wieczorne spotkania, na których sprawdzał położenie floty sześciu tankowców Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney i kilkunastu statków handlowych o różnym tonażu. Do tej pory nie stracił żadnej jednostki, mimo że w północnej części Atlantyku każdy ruch statków był kontrolowany przez wilcze stada niemieckich łodzi podwodnych, U-Bootów. Leon pragnął za wszelką cenę utrzymać ten stan posiadania spółki, nie tyle ze względu na jej stan konta bankowego, ile z troski o załogę statków.

Wavell czasem, gdy pracował do późna, wolał ubiór cywilny, dlatego tej chłodnej kwietniowej nocy Leon zastał głównodowodzącego w kraciastej marynarce i bordowej apaszcze w białe grochy, starannie wsuniętej pod ciemnogrnatowy wełniany pulower. Dokumenty zakrywały biurko, ale rzędy skrupulatnie ułożonych po prawej stronie,



w zasięgu ręki, piór i ołówków świadczyły, że Wavell ma wszystko pod kontrolą. Bibularz, popielniczka i szklane przyciski do papierów stały równo jak dywizje na planie bitwy.

– Ach, Courtney, to uprzejme z pańskiej strony, że przyjechał pan tak szybko – rzekł Wavell, zdejmując okulary do czytania, w szylkretowych oprawkach, i wstając, by się przywitać.

Wymienili uścisk dłoni i Wavell wskazał Leonowi skórzany fotel naprzeciwko biurka.

– Jest późno i na pewno wolałby pan być w swoim łóżku, więc od razu przejdę do rzeczy. To, co zamierzam omówić, jest sprawą wielkiej wagi i absolutnie tajną. Ufam, że mogę na pana liczyć w tej mierze.

– Oczywiście.

– I to się panu chwali. Otóż zakładam, że śledzi pan wydarzenia w Grecji.

– Tak, śledzę. Czytając gazetowe wiadomości między wierszami, odnosi się wrażenie, że sprawy nie układają się najlepiej.

– To bardzo łagodnie powiedziane, Courtney. Tak między nami, sytuacja jest katastrofalna. Grecy zgrupowali większość swoich wojsk w Albanii, na północnym zachodzie, gdzie walczą z Włochami, a resztę na północnym wschodzie, na granicy z Bułgarią. Marszałek polny List wysłał Dwunastą Armię prosto na Greków, rozwalając cały front w ciągu kilku godzin. Wojna błyskawiczna jak się patrzy. Teraz połowa ich wojsk skierowała się na zachód, żeby złapać Greków w pułapkę na froncie albańskim. Druga połowa skręciła na południowy wschód, odcinając Greków na froncie bułgarskim, i pognęła do morza, na Saloniki. Błagaliśmy Greków, żeby się wycofali z Albanii w sposób zorganizowany, zanim zostaną całkiem odcięci, ale nie chcieli cofnąć się przed Włochami ani o centymetr. Teraz więc dostają tęgiego łupnia od wyborowych dywizji SS i będą zmuszeni się poddać w ciągu kilku dni, może nawet godzin.

– A co z naszymi? – spytał Leon. – Przyznaję, że jestem osobiście zainteresowany. Moja córka Saffron jest szoferem generała Wilsona.

– Hm... musi być panu ciężko. Mój syn jest młodszym oficerem w batalionie Black Watch. Człowiek się martwi, nic się nie poradzi. Jumbo na pewno zrobi wszystko, żeby wyciągnąć pańską córkę stamtąd żywą i całą, ale muszę panu powiedzieć, to nie wygląda dobrze. Prowadzimy możliwie uporządkowany odwrót, ale musimy zostawiać

składy zaopatrzeniowe: żywność, paliwo, nawet amunicję, i teraz Szkopy atakują nas, korzystając z naszych zapasów.

– Czy uda się wyciągnąć naszych? To mi wygląda na drugą Dunkierkę.

– No właśnie. Obawiam się, że wycofując się w stronę morza, tak samo będziemy porzucać na drogach czołgi i działa. Wie pan, nawet nie skończyliśmy wysadzać naszych chłopców na ląd, kiedy zaczęła się niemiecka ofensywa. Niektóre oddziały zeszły z pokładów i wróciły, zanim płyn się zmienił, bo po prostu nie było sensu przerzucać ich na front.

– Ile czasu mamy?

– Najwyżej parę tygodni. Może uda się nam powalczyć do pierwszego tygodnia maja, choć równie dobrze wtedy może już być po wszystkim. To dlatego tak bardzo potrzebuję pańskiej pomocy.

– Oczywiście, generale, co mogę zrobić?

Wavell wyjął papierosa ze srebrnej papierošnicy na biurku, poczęstował też Leona, ale ten odmówił. Generał zapalił i przez chwilę się zaciągał, porządkując myśli.

– Jedną z mniej... upublicznionych spraw, związanych z podbojami Herr Hitlera, są rezerwy złota podbitych przez niego państw. Szczerze mówiąc, ani nam, ani zainteresowanym rządóm nie udało się uchronić złota przed łapami Niemców. Nie chcemy powtórzyć tego samego błędu w Grecji. Naszym celem jest wydostanie złota z kraju i przerzucenie go przez Morze Śródziemne i Kanał Sueski do Afryki Południowej, zanim Niemcy w ogóle się połapią, że zniknęło.

– To trudna sprawa, jeśli Niemcy będą posuwać się tak szybko, jak pan mówi.

– Jasne. Szanse na ukończenie całej akcji, zanim oni dotrą do Aten, są bardzo niewielkie. Ale gdyby udało się nam przynajmniej przepchnąć złoto przez kanał, byłbym prawie spokojny, że trafi do Durbanu i stamtąd pociągiem do Johannesburga.

– I chce pan, żebym dostarczył statek, który je przetransportuje.

– Właśnie.

– Mogę zapytać, dlaczego powierza pan to zadanie handlowcowi, a nie jednostce marynarki wojennej?

– Rozpaczliwie brakuje nam środków, Courtney, na pewno nie muszę panu o tym mówić. Po prostu nie mogę poświęcić ani jednego niszczyciela czy nawet fregaty na misję, która oderwie tę jednostkę

plywającą tysiąc kilometrów od linii frontu. Ale co jeszcze ważniejsze, chcę to przeprowadzić po cichu. Niemcy robią wszystko, żeby mieć na oku ruchy naszych okrętów wojennych, tak jak my obserwujemy ich jednostki. Natomiast pojedynczy statek handlowy dużo mniej rzuca się w oczy.

– Rozumiem. Jaka będzie wartość ładunku?

Wavell po raz ostatni się zaciągnął, zgasił papierosa i odparł:

– Sądzę, że greckie rezerwy ważą około stu trzydziestu ton. Tona złota jest obecnie warta jakieś czterysta tysięcy funtów szterlingów, a więc całość to sporo ponad pięćdziesiąt milionów funtów.

Leon cicho zagwizdał.

– Hitler mógłby za to zbudować niemało nowych czołgów.

– Jakies pięć tysięcy i do tego komplet części zamiennych – rzekł Wavell.

– Zakładam, że jeśli nie może pan dać niszczyciela na przewóz tego złota, to nie może pan również dać niszczyciela na eskortowanie statku, który przewiezie złoto.

– Nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego. Równie dobrze mógłbym spuścić portki i powiedzieć: „Tu mnie kopcie”.

– W takim razie nalegam, żeby moi marynarze mieli czym się bronić. Szczególnie chodziłoby o działka przeciwlotnicze.

– Znów podkreślę, że im mniej będą się rzucać w oczy, tym lepiej. Nie mamy czasu na montaż boforsów, a co dopiero przeszkolenie pańskich chłopców.

– Pozwoli pan, że powiem wprost, generale. Jestem gotowy wysłać jeden z moich najlepszych statków, żeby zabrał to złoto. Nawet dam panu najlepszy, jakim dysponuję. To *Gwiazda Chartumu*, ochrzczona tak, bo mój świętej pamięci ojciec dostarczał zapasy do Chartumu, kiedy generał Gordon był tam obleżony, jeszcze w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym. Wydaje się odpowiednia do tego zadania, bo zbudowano ją zaledwie przed kilku laty w stoczni Swan Hunter w Tyneside. Jest napędzana silnikami Parsons Marine, ma dziesięć tysięcy koni. Może pokonać trasę z Aten do Aleksandrii, nie schodząc poniżej dwudziestu węzłów na godzinę, i to z całym dodatkowym ładunkiem, jaki będzie przewozić.

– Po co dodatkowy ładunek? – spytał Wavell. – Nie woli pan, żeby była jak najlżejsza?

– Nie, nie wolę, jeśli, jak pan powiedział, chodzi o to, żeby nie rzucać się w oczy. Gdyby *Gwiazda* miała w ładowni tylko sto ton złota, dziwnie sterczałyby nad lustrem wody i każdy szpieg wałęsający się po porcie mógłby zadać sobie pytanie, dlaczego statek pod brytyjską flagą wypływa z Grecji pusty, skoro mamy tyle sprzętu i ludzi do wywiezienia.

– Faktycznie. Kiedy może pan wypłynąć?

– Chwileczkę. Mam dwa warunki. Pierwszy jest taki, że nie wysyłam moich ludzi w paszczę lwa bez środków samoobrony. Może obsługa boforsów przekracza ich umiejętności, ale nie ma powodu, żeby nie dali sobie rady z obsługą karabinu maszynowego. Marynarka wojenna montuje jako broń przeciwlotniczą krótkiego zasięgu po cztery vickersy kalibru zero pięć cala. Będzie pan łaskaw polecić zamontowanie pół tuzina tych baterii.

– Hm, zamienię słowo z admirałem Cunninghamem i zobaczę...

– Wystarczą tylko trzy pana słowa do Cunninghama: „To. Jest. Rozkaz”. Na pewno się połapie.

– Pan wybaczy, Courtney, ale nie zamierzam pokornie wysłuchiwać tak sformułowanych żądań.

– A ja nie chciałbym informować rodzin dobrych, dzielnych marynarzy, że ich synowie i mężowie polegli, bo nie mieli czym się obronić przed atakiem. W ateńskim skarbcu leży pięćdziesiąt milionów w złocie. Jeśli te karabiny znajdą się na pokładzie statku w Aleksandrii do ósmej jutro rano, to przed północą wyślę *Gwiazdę Chartumu* w drogę i czterdzieści osiem godzin później będzie w Pireusie. Oczywiście zakładam, że Niemcy nie będą szybsi.

Wavell jakby się wahał.

– Pięćdziesiąt milionów funtów – powtórzył Leon. – Chyba warte wynajęcia paru vickersów.

– Dobrze, dostanie pan swoje karabiny. Ale mówił pan o dwóch warunkach. Jaki jest drugi?

– To nie tyle warunek, ile informacja. Ja też popłynę do Grecji na moim statku.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Wszystko już załatwiliśmy: złoto zostanie przewiezione do portu i załadowane.

– Do diabła z pańskim złotem, generale. Ja płynę po córkę.

Wavell spojrzał na niego.

– Panie Courtney, radzę panu jak najpoważniej, proszę tego nie robić. Narazi pan i siebie, i ją na ogromne niebezpieczeństwo.

– Zdaję sobie z tego sprawę, generale. Ale moja córka już jest w niebezpieczeństwie i byłbym dużo szczęśliwszy, gdybym wy dostał ją z tego kotła.

– Pan wie, że może pogorszyć jej położenie, nie polepszyć. Jak najbardziej rozumiem ojcowskie pragnienie, by pomóc dziecku, zwłaszcza córce. Ale powinien pan zadać sobie pytanie, dla kogo pan to robi. Dla niej czy tak naprawdę dla siebie?

– Czy oficjalnie radzi mi pan nie płynąć?

– Tak, oficjalnie, panie Courtney.

– No cóż, przyjmuję do wiadomości tę radę, ale muszę oświadczyć, że ją odrzucam.

Wavell wzruszył ramionami i Leon przez chwilę dostrzegł oznakę ogromnego psychicznego wyczerpania, nagromadzonego ciężaru wielu niebywale stresowych sytuacji, w których rozstrzygały się sprawy życia i śmierci, wielu trudnych decyzji, jakie trzeba było podejmować na tym poziomie dowodzenia.

– No dobrze, ja zrobiłem swoje, żeby panu pomóc. Teraz pan musi się udać do Grecji i zrobić swoje: uratować córkę.

Przykro mi, Leonie, ale nie możesz dostać *Gwiazdy* – zaprotestował Francis Courtney. Rozejrzał się po innych uczestnikach porannej odprawy, szukając oznak poparcia. – Statek będzie cały załadowany najlepszą egipską bawełną i popłynie do Bombaju, gdzie zrobią z niej pościel godną maharadży.

– Dobrze, to oznacza, że nie muszę się przejmować dodatkowym ładunkiem. Anwar... – Leon spojrział na dyrektora odpowiedzialnego za załadunki. – Proszę, przekaż dokerom, że mają opróżnić ładownię numer dwa, tę przed maszynownią. I zbierz na statku cały personel techniczny, każdego spawacza i montera, jakiego mamy. Lada chwila może dotrzeć konwój z karabinami maszynowymi, przysłanymi przez marynarkę, i musimy je zamontować. Zaraz po tym zebraniu jadę do Aleksandrii i dopilnuję wszystkiego na miejscu.

– Tak, panie Leonie.

– Świetnie. Zanim wyjdę, powiem ci, jak rozmieścić karabiny, żeby od razu przystąpiono do pracy.

Francis się nie poddawał.

– To przechodzi ludzkie pojęcie! Nie możemy tak po prostu zbroić naszych statków niczym banda piratów.

– Nie widzę problemu. Nasi dziadowie tak właśnie zdobyli fortunę, dzięki piractwu. Ustaliłem z generałem Wavellem, że wyślę *Gwiazdę* do Grecji. Więcej zdradzę ci w cztery oczy, a teraz mogę tylko powiedzieć, że według mnie ryzyko, na które się decydujemy, jest absolutnie uzasadnione. Dołożymy się do wysiłku wojennego całego narodu.

– To praktycznie nowy statek i wiesz równie dobrze jak ja, że odszkodowanie w razie uszkodzenia czy zatonięcia na pewno nie pokryje naszych strat.

– Tak, wiem o tym, Frank.

– A zatem to wielka nieodpowiedzialność z twojej strony i muszę zaprotestować zarówno jako udziałowiec, jak i członek zarządu spółki.

– Naprawdę nie sędzę, Frank, że powinniśmy się kłócić o to przy wszystkich. Powiedz mi tylko jedno: czy nasz bilans będzie miał jakiegokolwiek znaczenie, jeśli Hitler wygra wojnę?

– A niby dlaczego nie? Herr Hitler nigdy nie ukrywał swojego szacunku dla imperium brytyjskiego. Jestem przekonany, że nie będzie widział powodu, by szkodzić naszej gospodarce lub interesom handlowym. Oczywiście, będzie próbował połączyć naszą działalność ze swoją polityką gospodarczą, jak każdy przywódca, ale...

– To gadanina defetysty, Frank, i nie będę jej słuchał. Panowie, koniec zebrania. Jako prezes zarządu i główny udziałowiec rozkazuję, żeby *Gwiazda Chartumu* wypłynęła do Aten najszybciej, jak to możliwe. Dziękuję panom. Frank, chciałbym zamienić z tobą słowo. Na osobności.

Leon poczekał, aż wszyscy opuszczą salę, wściekły, że dopuścił brata do głosu: wieści o jego postawie jeszcze przed końcem dnia rozejdą się po całym przedsiębiorstwie, źle wpływając na większość pracowników, lojalnych wobec sprawy aliantów, i dodając animuszu tej niewątpliwie istniejącej garstce, która po cichu życzyła nazistom zwycięstwa.

W końcu drzwi się zamknęły za ostatnim wychodzącym i Leon odwrócił się do brata:

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz wyskakiwać ze swoją wstrętną pronazistowską propagandą w obecności personelu?! Każdy, kto tego słuchał, mógłby pomyśleć, że chcesz, by Niemcy wygrały tę cholerną wojnę... A może... tego właśnie chcesz?

– Nie, nie, oczywiście, że nie... ani mi to w głowie – zaprzeczył gwałtownie Frank. – To nie tajemnica, że jestem zawiedziony, że daliśmy się wciągnąć w absolutnie niepotrzebny konflikt. Daliśmy się omotać Polakom, sprowokowaliśmy Berlin i wypowiedzieliśmy wojnę, chociaż nic nie zagrażało interesom Wielkiej Brytanii i imperium brytyjskiego. Moim zdaniem to poważny błąd i prowadzi do marnowania ludzi i środków na wojnę, kiedy dużo lepiej byłoby przeznaczyć jedno i drugie na pokojową wymianę handlową i działalność gospodarczą. I za Boga nie pojmuję, dlaczego wszyscy uważają, że tego rodzaj opinia jest niepatriotyczna.

– Naturalnie, masz prawo do własnego zdania na temat polityki rządu. Jedną z rzeczy, o które walczymy, jest swoboda wyrażania opinii sprzecznych z oficjalną linią. Podejrzewam, że tego rodzaju swobód nie uświadczysz za wiele w Niemczech. Ale teraz, kiedy wojna dotarła tutaj i musimy ją wygrać, wszyscy mamy obowiązek robić, co w naszej mocy, żeby wspomóc wysiłek wojenny, i dotyczy to również ciebie.

– Na litość boską, jak wysyłanie jednego frachtowca do Grecji ma wspomóc wysiłek wojenny?

– Niestety, nie wolno mi tego wyjawiać. Dałem generałowi Wavellowi słowo, że nie będę omawiał żadnych szczegółów tej wyprawy ani jej celu.

– Posyłasz nasz najszybszy statek do kraju, który lada chwila straci niepodległość...

– Nie ma powodu tak przypuszczać.

– Och, nie bądź śmieszny, Leonie. Umiem czytać po arabsku i wierzę mi, arabskie gazety nie udają, że nic się nie dzieje, tak jak to robi angielska prasa. Niemcy znów dają nam do wiwatu. Dlatego Wavell chce, żebyś wywiózł coś lub kogoś z Aten, zanim wkroczą tam Niemcy. Myślę, że mam prawo wiedzieć, co takiego ładujesz na jeden z naszych statków.

– Najlepiej spytaj Wavella. Niech sam zdecyduje, czy chce ci o tym powiedzieć. Tymczasem ja płynę do Grecji na *Gwieździe*, a więc ty będziesz rządził tutaj pod moją nieobecność.

Francis nagle się rozpogodził.

– Aha, widzę, że w to ci graj – powiedział Leon. – Ale to tylko sprawa bieżącego zarządzania. Nie wolno ci podejmować żadnych ważkich decyzji bez mojej jednoznacznej zgody. A jak usłyszę, że wyrażasz choćby cień wątpliwości w nasze zwycięstwo, to... na Boga, przegonię cię stąd batem.

– Nie będę się odnosił do tej groźby i zniewagi, która za nią stoi. Ani jedno, ani drugie nie przysparza ci chwały, Leonie.

Zadzwoił telefon stojący u szczytu stołu konferencyjnego, przy miejscu Leona. Podniósł słuchawkę. Dzwonił Anwar.

– Karabiny przyjechały na nadbrzeże, panie Leonie. Powiedziano mi, że sześć ciężarówek przywiozło broń, dwie amunicję i gniazda. Jak mi pan powie, gdzie rozmieścić te karabiny, postaram się, żeby prace zaczęto od razu. Marynarka dostarczyła też ludzi do montażu oraz strzelców do obsługi karabinów. Upierają się, że tak będzie lepiej, niż kazać strzelać niewyszkolonym marynarzom, którzy zresztą mają swoje obowiązki.

To miało sens i Leon docenił hojność oferty. Wavell musiał dać jasno do zrozumienia Cunninghamowi, że potrzebna jest jak najdalej idąca współpraca.

– Świetnie – powiedział Leon. – Niech wszyscy strzelcy ubiorą się jak nasza załoga. Nie mogą się wyróżniać. Jeśli chodzi o rozmieszczenie karabinów, to bardzo proste. Jedna bateria na dziobie, druga na rufie.



Pozostałe cztery na górnym pokładzie, nad mostkiem, po jednym w każdym rogu.

- Czyli jakby w kwadracie wokół komina?
- Właśnie.
- Zrobi się, jak pan każe. I, panie Leonie, życzę bezpiecznej podróży.
- Dziękuję, Anwar.
- Czy panienka Saffron wraca z panem z Grecji?
- Mam taką nadzieję.
- A więc niech Bóg wszechmocny i wszechmiłościwy czuwa nad nią w czasie jej podróży.

Godzinę później Leon wyruszył do Aleksandrii. W porze lunchu Francis oznajmił sekretarce, że wychodzi na jakąś godzinę.

- Do klubu na lunch, proszę pana? – zapytała.
- Coś w tym rodzaju, jeszcze dokładnie nie wiem.
- Dobrze.

Ale gdy wyszedł z budynku Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney, nie skierował się do żadnego z wygodnych klubów czy restauracji, gdzie bywali zamożni członkowie brytyjskiej społeczności w Kairze. Udał się do starej części miasta, pełnej zaułków, gdzie rzadko widywało się białych, do restauracji, w której mógł zostawić zaszyfrowaną wiadomość dla Hassana al-Banny. Miała ona dotrzeć do Berlina sposobami, których Francis nie znał i wcale nie chciał znać. Zakładał, że wysunięte stacje nasłuchowe Afrika Korps przechwycą wiadomość z Kairu w konkretnym czasie i paśmie, po czym przekażą ją do Berlina. Ale to naprawdę już nie był jego problem.

Leon prawie dotrzymał słowa. *Gwiazda Chartumu* wypłynęła z portu w Aleksandrii dziesięć minut po północy. Kiedy tylko kapitan Jerry McAloon, twardy Ulsterczyk, uwędzony słońcem, peklowany solą i grogiem, wyprowadził statek na pełne morze i upewnił się, że rozkaz zaciemnienia jest należycie przestrzegany, usiadł z Leonem i porucznikiem marynarki wojennej, dowodzącym obsadą karabinów maszynowych. Ten nazywał się Jamie Randolph, miał podbródek, który nigdy dotąd nie potrzebował brzytwy, i wyglądał, jakby z racji wieku ledwie mógł zamówić kolejkę w pubie, a co dopiero dowodzić żołnierzami podczas starcia. Ale Leon pamiętał swoje pierwsze dni w Królewskich Strzelcach Afrykańskich i uświadomił sobie, że wcale nie był starszy, gdy pierwszy raz objął dowództwo plutonu.

– Dla jasności, Randolph – warknął McAloon. – Nie chcę, żeby załoga handlowca mieszała się z marynarzami floty wojennej. Z doświadczenia wiem, że prowadzi to tylko do kłopotów. A ja nie życzę sobie żadnego mordobicia na moim statku. Jasno się wyraziłem?

– Całkowicie jasno, panie kapitanie – odrzekł Randolph, bez mrugnięcia powieką patrząc mu w oczy.

– Ja dam radę utrzymać porządek wśród moich ludzi. Ale chcę wiedzieć, czy pan potrafi to samo wśród swoich.

– Marny byłby ze mnie oficer, gdybym nie potrafił. Jeśli komuś polecą krew z nosa, to na pewno nie przez żadnego z moich ludzi.

McAloon popatrzył na młodzika z odrobiną szacunku.

– Proszę się postarać, żeby tak było – powiedział.

Kiedy *Gwiazda Chartumu* przecinała wody wschodniej części Morza Śródziemnego, kierując się do Pireusu, młoda kobieta pracująca jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Londynu, nieopodal wioski Bletchly w hrabstwie Buckingham, w budynku, którego samo istnienie było ściśle tajne, skończyła tłumaczenie zaszyfrowanej wiadomości i zaniósła je do swojego przełożonego. Przeczytał wiadomość i natychmiast zdał sobie sprawę z jej wagi. Już wcześniej go uczulono, że może nadejść, i kazano wtedy zadzwonić na pewien rządowy numer.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki z zainteresowaniem wysłuchał tekstu wiadomości, po czym rzekł:

– Doskonała robota. Brawo. – Odwrócił się do swojego współpracownika, znacznie starszego mężczyzny, i powiedział: – Wiedzą.

– Już? Bardzo szybko.

– Hm, pan pozwoli, że coś dodam. Mówiąc ściślej, wiedzą dość, żeby resztę sobie dośpiewać.

– Czy mają nazwę statku?

– Tak.

Starszy mężczyzna westchnął.

– Panie, miej litość nad tymi biednymi duszami, które tam płyną.

Rok po tym, jak wraz z towarzyszami broni przetał szlak niezwyciężonej armii przez Holandię i północną Francję, Gerhard von Meerbach, nieoczekiwanie dla siebie, znów robił to samo, tym razem w Jugosławii i Grecji. Było wręcz nieprawdopodobne, jak mało Brytyjczycy i ich sprzymierzeńcy się nauczyli, do jakiego stopnia okazali się nieprzygotowani na zdecydowany atak Wehrmachtu. Kolejny raz nieprzyjacielskie wojska zostały oskrzydłone, okrążone i zmuszone do kapitulacji lub ucieczki z zamykającej się pętli, tak szybko jak nogi lub koła poniosą.

W powietrzu było podobnie. Kiedy Luftwaffe zderzyła się z RAF-em nad Anglią, Gerhard po raz pierwszy odczuł, że walczy przeciwko równym sobie. Ale tu, w Grecji, brytyjscy piloci byli beznadziejnie nieliczni i startowali z fatalnie przygotowanych lotnisk, pozbawieni centralnego dowodzenia, które zapewniło im taką skuteczność latem 1940 roku. Wydawało się, że ledwo kampania się rozpoczęła, już nastąpił jej koniec i kolejny rozległy przestwór nieba należał do sztukasów i messerschmittów.

Inni piloci byli zachwyceni tak łatwym zwycięstwem, ale Gerharda ono nie cieszyło. Każdego dnia latali po pustym błękitnym niebie, lecz bez Saffron słońce zniknęło z jego życia i świat spowiły ciemności.

– Głowa do góry, Meerbach – powiedział Schrumpp, gdy wracali z kolejnej udanej misji. – Znów zaliczyłeś strącenie. Powinieneś chodzić dumny jak paw, a nie zamartwiać się jak żałosna stara baba. Co cię napadło?

Gerhard spróbował się uśmiechnąć.

– Ach, po prostu za łatwo nam idzie. Wolę trudniejsze wyzwania.

– A ja wolę zestrzeliwać wroga najłatwiej, jak się da. – Schrumpp uśmiechnął się szeroko. – Ale też jestem tylko synem murarza z Frankfurtu. Wy, bawarska arystokracja, macie pewnie inne standardy, co?

– Owszem. – Gerhard podniósł głowę i patrząc z góry na Schrumppa, powiedział najbardziej pańskim tonem, na jaki było go stać: – A teraz, dobry człowieku, szybko przynieś mi wódki.

– Tak, jaśnie panie, już służę! – wykrzyknął Schrumpp, kłaniając się Gerhardowi.

– No to jazda, migiem!

Gerhard udawał, że ma dobry humor, dopóki Schrumpp ze śmiechem nie poszedł do baru. A wtedy ciężko opadł na fotel.

Ach, Schrumpp, jaki z ciebie porządny, niewinny, dobry człowiek, pomyślał. Niepotrzebny mi trudny przeciwnik. Potrzebny mi taki, który mnie zabije.

– Courtney... Kierowca Courtney!

Saffron otworzyła oczy i zobaczyła znękanego mężczyznę w wymiętym lnianym garniturze, rozpiętej pod szyją koszuli i przekrzywionym krawacie. Usiłował się przebić przez tłum w holu brytyjskiej ambasady. Każdy Brytyjczyk w Grecji próbował opuścić kraj i chyba wszystkim się zdawało, że droga wyjazdowa prowadzi przez ambasadę, jakby jej umęczony personel mógł jakimś cudem stworzyć bilety na samolot, kiedy żadne nie latały, lub na statek, gdy wszystkie cywilne jednostki pasażerskie odpłynęły dawno temu. Nie oni jedni liczyli na cud. Byli Żydzi, z których część już wcześniej musiała uciekać z innych podbitych państw; artyści, pisarze i intelektualiści, którzy wiedzieli, że pod rządami nazistów ich los będzie przesądzony; obywatele zamorskich krajów imperium brytyjskiego, szukający pomocy w ambasadzie zwierzchniego państwa. Wszyscy się tutaj zbiegli. I nie można było im w żaden sposób pomóc.

Zwycięstwo Niemców nikogo nie zaskoczyło. Od kiedy Hitler pięć lat temu pierwszy raz wysłał swoje oddziały za granicę, do Nadrenii, ani razu nie napotkał przeciwnika, który zdołałby go pokonać. Ale nawet teraz prędkość i bezwzględność tej odsłony wojny błyskawicznej były dla ludzi jak grom z jasnego nieba. Zaledwie osiemnaście dni temu pierwsi niemieccy żołnierze przekroczyli grecką granicę i dziś wojna prawie dobiegała końca. Ciężarówka pełna wyczerpanych, brudnych, załamanych żołnierzy alianckich, często krwawiących, w bandażach, jeździły do Porto Rafti, dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od Aten, gdzie czekały okręty floty wojennej, by przewieźć tych ludzi z powrotem do Aleksandrii. Mówiło się, że flota cumuje tam, bo niemieckie bombowce zablokowały główny port w Pireusie.

Ile czasu miało upłynąć, zanim Niemcy przemaszerują głównymi ulicami Aten? Z pewnością nie więcej niż dzień, najwyżej dwa. Saffron dostała rozkaz wyjazdu, powtórzony przez Wilsona, gdy przyleciał do Aten naradzić się z królem Grecji i wyznać, że jego kraj jest stracony. Niektórzy dyplomaci mówili jej, że kiedy Niemcy się pojawią, najlepiej zrobi, wydostając się z nimi pod przykrywką immunitetu dyplomatycznego. „Wskoczy pani w cywilne ciuchy i powiemy, że jest

pani jedną z sekretarek – rzekł młody dyplomata. – Nawet naziści nie tkną kogoś, kto pracuje dla ambasady”.

Saffron przyjęła to za pewnik i postanowiła nie szukać innego sposobu ucieczki, bo zresztą żadnego nie było. A nawet gdyby był, nie miała czasu go szukać. Pracowała na okrągło, wozila dyplomatów i inne ważne figury z Wielkiej Brytanii po całym mieście lub też po prostu pomagała uporządkować chaos w ambasadzie, podając niekończące się kubki herbaty wszystkim stłoczonym w holach, korytarzach i nawet na zewnątrz, w ogrodzie.

– Kierowca Courtney! – powtórzył mężczyzna w lnianym garniturze.

Saffron przetarła zmęczone oczy i wstała.

– Tak jest, proszę pana! – zawołała, machając ręką.

Mężczyzna ją zauważył i przebił się przez tłum.

– Wreszcie! – powiedział. – Ma pani kolejny kurs. Jak zwykle do Banku Grecji i jak zwykle dwóch pasażerów. Pani stary humber pewnie sam by już tam dojechał!

– Też tak sędzę – przyznała.

Przez ostatnie kilka dni regularnie jeździła do nowego gmachu banku przy ulicy Panepistimiou, zawsze z tymi samymi dwoma mężczyznami. Jeden, chudy, łysiejący, wąsaty, o nazwisku Watkins, cichym zręczliwym tonem oznajmił, że jest pracownikiem Banku Anglii, chociaż Saffron nie mogła sobie wyobrazić, co taki człowieczek miałby robić w Atenach. Drugi, znacznie bardziej umięśniony, przystojniejszy, bardziej niebezpieczny i bardziej (przynajmniej we własnym mniemaniu) uwodzicielski, John Swift, przedstawił się jako drugi sekretarz ambasady.

– Watkins nie mówi po grecku – wyjaśnił podczas pierwszej jazdy. – Dla niego równie dobrze mogliby mówić po łacinie.

– Tak się składa, że nieco liznałem języków klasycznych – zaprotestował Watkins – chociaż z przykrością stwierdzam, że w obecnym stuleciu niewielki z nich pożytek.

– A zatem służę za łącznika z jego odpowiednikiem w Banku Grecji, żeby się zrozumieli.

– Aha – skwitowała Saffron, mając wrażenie, że Swift zachowuje się raczej jak wojskowy niż dyplomata.

Może faktycznie jest tłumaczem Watkina, pomyślała. Ale pewnie też ochroniarzem. Tylko czemu, na Boga, taki łagodny człowieczek miałby potrzebować ochrony? Kto mógłby mu źle życzyć?



Teraz zarzuciła na ramię swoją nieodłączną torbę, w której trzymała najważniejsze rzeczy – portfel, pistolet i listy od Gerharda – i poszła do humbera. Stała na chodniku przed ambasadą, gdy zjawili się jej pasażerowie. Wydawali się bardziej przejęci niż zawsze i bez słowa zajęli miejsca z tyłu. Zatrzasnęła za nimi drzwi, wsiadła i ruszyła. Im bardziej Niemcy zbliżali się do miasta, tym mniej widziało się Greków. Prawie każdy ukrył się w domu, czekając z rodziną na moment, kiedy pierwsi zdobywcy pojawią się na ulicach. Chociaż benzyny dla wojskowych samochodów było pod dostatkiem, bo w przewidywaniu długiej kampanii aliancki korpus ekspedycyjny przywiózł ogromne zapasy paliwa, żywności i amunicji, to cywilne stacje benzynowe od dawna stały suche, więc jazda do banku powinna była przebiec bardzo sprawnie, zwłaszcza o tej porze, ponieważ minęła siódma i słońce zaczęło już zachodzić.

Jednak stało się inaczej. Saffron wyprzedziła dwie ciężarówki, potem trzecią i czwartą, wszystkie podążające w tym samym co ona kierunku. Trzy wojskowe – jedna grecka, dwie brytyjskie. Czwarta, cywilna, z nazwą firmy wypisaną po grecku na burtach. Wszystkie wielkie, mogące przewozić duże ładunki. Minęły Ogród Narodowy i dalej plac Sindagma, po czym skierowały się na tę samą ulicę – Panepistimiou. Z boku, przy Bibliotece Narodowej, stał brytyjski opancerzony samochód z wieżyczką ciężkiego karabinu maszynowego, a za nim dwie wojskowe ciężarówki otoczone palącymi i gadającymi żołnierzami. Saffron dawno zauważyła, że wszyscy żołnierze przez większość czasu przeważnie robią to samo: czekają, aż coś się wydarzy.

Tymczasem ciężarówki, które jej niejako towarzyszyły, zwolniły i żandarmi wydawali polecenia, aby zaparkowały wzdłuż ulicy, na odcinku jakichś stu metrów, poczynając od Biblioteki Narodowej, a kończąc przed wejściem do banku. Obok czekali policjanci na motocyklach.

Zatrzymano też Saffron. Opuściła szybę, gdy zbliżył się policjant w brytyjskim mundurze, prosząc o okazanie dokumentów. Podała je i oznajmiła:

– Wiozę tych dwóch dżentelmenów do banku. Są tam oczekiwani.

Swift wysiadł, podszedł do policjanta i odprowadził go na bok. Jego słowa musiały odnieść skutek, bo chwilę potem wrócił do wozu i rzekł:

– Wszystko załatwione, panno Courtney. Może pani jechać dalej.

Rzeczywiście, policjant ich przepuścił. Saffron przejechała wzdłuż parkujących ciężarówek, zawróciła na końcu ulicy i jadąc drugą stroną, zaparkowała przed innym opancerzonym samochodem, który stał przed pierwszą ciężarówką.

– Proszę tu na nas poczekać. To raczej nie potrwa długo – powiedział Swift i obaj wysiedli.

Saffron uświadomiła sobie, że to Swift zawsze mówił za nich obu, ale uznała, że to nie dlatego, iż Watkins był z natury nieśmiały i trzymał się z tyłu. Pewnie Swift był wyższy rangą lub stanowiskiem.

Od dawna, jeśli tylko nie padało, Saffron miała w zwyczaju czekać na zewnątrz samochodu, nie w środku. W upalne dni słońce mniej paliło na powietrzu niż przez metalową karoserię. Teraz też, choć zbliżał się wieczór, wysiadła na chodnik i rozejrzała się dokoła.

Wejście do banku było nowoczesną wariacją na temat starożytnej greckiej świątyni. Bardzo oszczędne, proste: biały marmurowy portyk i troje wysokich drzwi, oddzielonych dwiema klasycznymi kolumnami. Normalnie drzwi zamykano, ale tego wieczoru były otwarte na oścież i z dwojga wypływał strumień żołnierzy pchających wózki pełne drewnianych skrzynek. Wózki prowadzono po krótkich schodach, przykrytych deskami, do ciężarówek, gdzie inni żołnierze przeładowywali skrzynki. Puste wózki wracały do banku trzecimi drzwiami.

– Hej, panna!

Saffron rozejrzała się i zobaczyła sierżanta, dowódcę opancerzonego samochodu. Gramolił się z wieżyczki. Zeskoczył na chodnik i podszedł do niej.

– Długo tu będziesz sterczeć, kochana? – spytał.

– Dopóki panowie, których wożę, nie skończą spotkania, sierżancie. Mówili, że nie potrwa długo.

– No, nie możesz tu stać, bo blokujesz drogę, a my zaraz startujemy. Zaparkuj dalej, w bocznej. Za rogiem będzie w porządku, byleś tylko nie zatarasowała drogi.

– Za nic bym się nie odważyła.

Sierżant wyszczerzył się w uśmiechu.

– Mnie to możesz zawsze zatarasować, kochana! – krzyknął i Saffron się roześmiała, bo figlarny błysk w jego oczach był miłą odmianą po strachu, zmęczeniu i panice, jakie od tyłu dni widziała na twarzach innych.

Wsiadła do auta i przestawiła je na bok. Po chwili sierżant zniknął w wieżycze, opancerzony samochód wolno potoczył się do przodu i minął uliczkę, w której zaparkowała Saffron. Za nim podążały ciężarówki. Przejechało ich kilkanaście, po czym konwój się zatrzymał. Dwie blokowały wylot ulicy, ale gdy Saffron spojrzała pomiędzy nimi, zobaczyła, że w głębi, po drugiej stronie, sznur ciężarówek ruszył.

Przez następne dwie i pół godziny kolejne ciężarówki defilowały przed Saffron. Słońce zaszło i w warunkach zaciemnienia świeciły jedynie przyćmione latarki żandarmów, którzy wskazywali żołnierzom z wózkami drogę do czekających na załadunek ciężarówek – byli niczym bileterzy w kinie, kierujący widzów na ich miejsca. W końcu zobaczyła, że załadunek się skończył. Kiedy przetoczyły się koło niej ostatnie ciężarówki, a potem zamykające konwój pojazdy wojskowe, usłyszała stukanie w okno. Wrócił Swift.

– Byłbym wdzięczny, gdyby przewiozła nas pani na czoło kolumny, panno Saffron. Proszę się nie przejmować, że jedzie pani niewłaściwą stroną ulicy. Tak przy okazji, kierujemy się do Pireusu. Musimy przyjechać pierwsi.

Saffron wiedziała, że nie może pytać, dlaczego jadą do portu lub co jest w ciężarówkach. Zresztą pytania były zbyteczne. Kiedy państwo, któremu grozi podbój, opróżnia skarbiec banku centralnego i wysyła zawartość na najbliższy statek, nietrudno zgadnąć, co wiozą ciężarówki.

Kasztanowce wzdłuż Landwehrkanal, naprzeciwko kwatery głównej Abwehry, długiego czteropiętrowego budynku z szarego granitu, pokrytego czerwoną dachówką, który szpieczy Hitlera dzielili z OKW – Oberkommando der Wehrmacht, kwaterą główną armii – zaczynały wypuszczać liście. Pokój, w którym rozszyfrowywano przekazy agentów operacyjnych, mieścił się na trzecim piętrze i wychodził na kasztanowce. W oknach wisiały firanki i lambrekiny, które wydawałyby się bardziej stosowne w salonie niż w centrum dowodzenia agencji wywiadowczej. Ale to tutaj rozszyfrowano wiadomość z Kairu, że Brytyjczycy wysłali do Grecji statek *Gwiazda Chartumu* po cenny, ściśle tajny ładunek. Wiadomość nie miała statusu priorytetowej. Szefowie Abwehry w OKW potrzebowali przede wszystkim codziennych aktualizacji położenia wojsk aliantów w Grecji. Samobójstwo greckiego premiera Korizisa – z rozpaczy i poczucia wstydu, że jego kraj poniósł klęskę – wpłynęło na plany Niemiec dotyczące politycznego administrowania ich najnowszym dominium. Jeszcze ważniejsze były dane wywiadowcze, które zbierano, przygotowując się do inwazji na Rosję i zniszczenia sowieckiego komunizmu, jedynej sprawy droższej Führerowi niż zagłada Żydów.

Tak wyglądała sytuacja, gdy *Gwiazda Chartumu* już cumowała w zbombardowanych resztkach portu w Pireusie. I wtedy jej potencjalne znaczenie wyjaśniono szefowi Abwehry, generałowi Canarisowi, na naradzie z trzema wyższymi podwładnymi. Canaris był kulturalnie wyglądającym panem i sprawiał wrażenie człowieka nie na miejscu pośród zimnych karierowiczów, nazistowskich ideologów i – jak sam zaczął zdawać sobie sprawę – żądnych krwi psychopatów, którzy tłoczyli się na wyższych szczeblach władz Rzeszy. W młodości błyskotliwy, śmiały oficer marynarki wojennej, teraz był przebiegłym, wyrafinowanym arcyszpiegiem w średnim wieku. I jednego nie można było o nim powiedzieć: że jest popędliwy.

– A więc wiemy, że ten statek płynie do Grecji – stwierdził, gdy usłyszał treść przekazu z Kairu. – Wiemy, że ma przywieźć Brytyjczykom w Egipcie ładunek o wielkiej wartości. Pozostaje pytanie: co to konkretnie za ładunek? – Podniósł rękę, nie dopuszczając do głosu

siedzących przy stole mężczyzn. – Pozwólcie, że powiem pierwszy, zanim ktoś mnie ubiegnie: raczej nie są to oliwa, retsina czy feta.

Tamci skwitowali to takim śmiechem, na jaki zasługiwał dowcip szefa, a jeden zapytał sucho:

– W takim razie co?

– Złoto, oczywiście – rzekł z pewną niecierpliwością drugi, ponieważ był z natury poważny i nie pochwalał żartów w pracy. – Co innego mogłoby to być? Chcą wywieźć złoto z Grecji, zanim je przejmemy, i musimy zrobić wszystko, aby ich powstrzymać.

– Rozsądnie powiedziane, Hümmel – pochwalił go Canaris. – Powiedziałbym, że jest przynajmniej siedemdziesiąt pięć procent szans, może nawet dziewięćdziesiąt, że masz rację. Ale w mojej ocenie jest jeszcze jeden ładunek, który Brytyjczycy mogliby zabrać z Grecji, zanim my przewieziemy go do Berlina: starożytne dzieła sztuki. Mają już marmury Elgina. Jestem pewien, że byłiby szczęśliwsi, sami kładąc łapę na reszcie skarbów starożytnych Aten, niż udostępniając je obywatelom Rzeszy.

– Przypuszczam, że to tłumaczy, dlaczego posłali tylko frachtowiec – powiedział Hümmel, ustępując nieco zwierzchnikowi. – Prawdę mówiąc, sam zadawałem sobie pytanie: Czy chcąc przetransportować sześćset milionów reichsmarek w złocie, posłałbym tylko jeden frachtowiec? Na pewno załadowałbym je na najpotężniejszy pancernik, otoczony mniejszymi okrętami wojennymi, tak żeby złoto nie zginęło.

– To też rozsądne przypuszczenie – przyznał Canaris. – Ale teraz zgłoszę argument przeciwko sobie. W jakiej sytuacji są generał Wavell i admirał Cunningham? Tak jak się pewnie obawiali, ich wyprawa do Grecji skończyła się katastrofą, utratą żołnierzy i sprzętu, a jedno i drugie można by znacznie lepiej wykorzystać w Afryce. Czy teraz ich priorytetem jest ratowanie złota? Nie. Muszą skupić wszystkie zasoby na jednym celu: przewieźć jak najwięcej swoich ludzi z powrotem do Egiptu. A zatem gdzie umieszczą krążowniki i niszczyciele Cunninghama? Na pewno przy transportowcach. Natomiast złoto musi być przesłane zupełnie innym sposobem, tak by nie rzucało się to w oczy. Wybrali więc mały frachtowiec, bo z pewnością nie zwrócimy na niego uwagi, gdy mamy do obserwowania tak wiele innych ważnych obiektów.

– Przepraszam, panie admirale – odezwał się trzeci oficer Abwehry – ale nie całkiem rozumiem, jaka to różnica, co ten brytyjski statek

przewozi. Po prostu zatopmy cholerstwo i niech oni się martwią, co stracili.

– Ten ładunek jest ważny, Friedlander, bo my, Niemcy, cieszymy się mianem narodu, który jak żaden inny na świecie ceni kulturę. Nie zbombardowaliśmy Paryża przed jego zdobyciem, ponieważ zadalibyśmy cios europejskiej cywilizacji, której istnienia bronimy. Gdybyśmy zatopili statek wiozący bezcenne dzieła starożytności, dalibyśmy alianckiej propagandzie broń do ręki. „Patrzcie na tych nazistowskich barbarzyńców! Widzicie, jak się obchodzą z arcydziełami sztuki klasycznej”, mówiliby. A Goebbels na pewno by się nie cieszył, będąc zmuszony odpierać ten zarzut. Podobnie jak wszyscy profesorowie i kustosze muzeów, którzy stworzyli w Berlinie światowe centrum badań nad sztuką starożytności... Nie, najpierw musimy ubłagać generała Lista, żeby przyspieszył działania i natarł na Pireus, zanim ten statek wypłynie. Najlepiej, gdybyśmy przejęli statek i ładunek nietknięte. Jednocześnie rozkażemy naszym agentom na lądzie, by jak najpilniej obserwowali port. Kiedy ta *Gwiazda Chartumu* przypłynie, nie mogą spuścić jej z oczu, dopóki nie ustalą, co jest w ładowniach. W razie gdyby wojsko nie dotarło na czas, działamy następująco: jeśli przewożą stare rzeźby, pozwalamy im odpłynąć. Rommel naciera z taką werwą, że kiedy *Gwiazda Chartumu* przypłynie do Aleksandrii, kto wie, może on przywita ją z nabrzeża. Jeżeli przewożą złoto, każemy Luftwaffe za wszelką cenę zatopić statek. To będzie dla nas ciężka strata. Ale dla naszych wrogów to będzie prawdziwa klęska.

Generał Wavell wyświadczył Leonowi wielką przysługę. Pod jednym z rozkazów do Jumbo Wilsona dodał pytanie: „Gdzie przebywa twój kierowca, panna Courtney?”. Wilson miał mnóstwo ważniejszych rzeczy na głowie, ale nie mógł zignorować pytania zwierzchnika, nawet jeśli traktowali się poufale, więc odpowiedział: „W Atenach, w naszej ambasadzie”.

Ta informacja została przekazana na *Gwiazdę Chartumu*, skąd Leon niebawem po przybyciu do Pireusu nawiązał kontakt radiotelegraficzny z ambasadą. Dowiedział się, że córka pojechała do Banku Grecji, wioząc urzędnika Banku Anglii i oficera łącznikowego z ambasady. Leon wiedział, co bank będzie dostarczał. Możliwe, że bankowiec zechce dopilnować załadunku na statek, co oznaczałoby, że Saffron go tutaj przywiezie.

Niemniej jednak był zdenerwowany, czekając na przybycie wojskowego humbera. Jedynym znakiem, że nadjeżdża, były wąskie strumienie światła częściowo zaciemnionych reflektorów. Saffron wysiadła, jak zawsze elegancka, w mundurze, i grzecznie otworzyła drzwi pasażerom.

Leon odczekał, aż córka wypełni swój obowiązek, i zawołał:

– Saffy!

Drgnęła, przebijając wzrokiem ciemności, i nagle szeroki uśmiech pojawił się na jej twarzy.

– Tato! – Podbiegła do niego. – Na Boga, co ty tu robisz?

– No wiesz, to mój statek, a ponieważ moja córka miała być w porcie przeznaczenia, pomyślałem, że dołączę do załogi. Teraz wskakuj na pokład, mam dla ciebie kabinę, będzie ci wygodnie.

– Ale nie mogę. Muszę odwiedzić panów Watkina i Swifta do Aten.

– Nie, nie musisz. Wavell osobiście pozwolił mi zabrać cię do Aleksandrii.

– Tak, ale...

– Żadnych „ale”. – Leon rozejrzał się i zobaczył mężczyznę, którego marynarka i krawat nie mogły ukryć, że to twardy gość. Było absolutnie oczywiste, że potrafi o siebie zadbać. – To Swift? – zapytał.

– Tak.

– Zaczekaj chwilę.

Leon podszedł do niego.

– Pan Swift? Nazywam się Courtney. To mój statek. A pański kierowca to moja córka. Otrzymałem pozwolenie generała Wavella, by zabrać ją z powrotem do Aleksandrii. Ma pan coś przeciwko temu?

– Bynajmniej. Potrafię sam wrócić do Aten.

– Pan i pański kolega będziecie mile witani na pokładzie, jeśli potrzebujecie środka przeprawy do Egiptu.

– To bardzo uprzejme, ale dziękuję. Mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia i obaj możemy się powołać na immunitet dyplomatyczny. Niemcy nas nie tkną.

– W takim razie powodzenia. – Leon uścisnął mu rękę i odszedł.



– Niech to cholera! – zaklął Swift, gdy zajął miejsce kierowcy i uruchomił silnik. – Miałem rozkaz wywieźć tę Courtneyównę z Aten zdrową i całą.

– No to już nie wywieziesz – powiedział Watkins. – Ale się nie obwiniaj, staruszk. Co mogłeś zrobić? Papa Courtney nie chciał słyszeć o odmowie, a ty nie mogłeś powiedzieć więcej, nie zdradzając wszystkiego.

– Pewnie masz rację...

– Jasne, że mam. Zresztą wystarczyło spojrzeć na faceta, by wiedzieć, że nie porzuci swojej łajby, a dziewczyna nie zostawiłaby ojca na lodzie.

– No tak, ale rozkazy były jasne jak cholera: Saffron Courtney wydostaje się stąd cała i zdrowa. Bóg wie dlaczego, ale ktoś bardzo wysoko pilnuje jej jak oka w głowie.

– Trudno się dziwić. Jaki mężczyzna zachowałby się inaczej?

Swift uśmiechnął się krzywo.

– Nie, nie w tym rzecz. Myślę, że mają względem niej plany.

– To będą musieli je zmienić. Słuchaj, w takich okolicznościach zawsze mówię sobie: myśl szerzej. Nie można spaprać całej operacji dla jednej osoby, nawet dla stu osób.

– Ale mi jej szkoda. To cholernie fajna dziewczyna.

– O tak, petarda. Ale myśl szerzej.

Niemiecki szpieg w Atenach, działający pod przykrywką lewicowego rumuńskiego dziennikarza, zmuszonego emigrować do Grecji, niezwłocznie udał się do Pireusu. Jedyne czynny pirs był otoczony przez uzbrojonych strażników. Ale zwały gruzu i opróżnione magazyny oraz budynki celne, rozsiane dokoła, o zaciemnieniu nie wspominając, były darem niebios dla każdego, kto chciał tędy przemknąć niezauważony. Mężczyzna bez przeszkód dotarł na odległość pięćdziesięciu metrów od statku. Zobaczył żołnierzy przerzucających płytkie drewniane pojemniki, nie większe od skrzynek na owoce spotykanych na straganach. Jednakże te skrzynki ważyły dużo więcej, niż gdyby zawierały jabłka czy brzoskwinie. Żołnierze, którzy odbierali ładunek ze stojących wzdłuż nabrzeża ciężarówek i układali go na paletach, przerzucanych z kolei dźwigiem na pokład, nieźle musieli się napocić przy tej ciężkiej, wręcz katorżniczej pracy.

Mężczyzna wrócił do swojego mieszkania na poddaszu i wyciągnął spod łóżka walizkę z przenośną maszyną szyfrującą typu Enigma. Przetłumaczył swoją depezę na bezsensowny i – na ile wiedział – niedający się rozszyfrować bełkot, po czym wysłał ją za pomocą ukrytej w szafie radiostacji.

Tym razem szyfranci w budynku przy Tirpitzufer bezzwłocznie zajęli się przekazem. Wiadomość, że Brytyjczycy usiłują wywieźć greckie rezerwy złota, przesłano natychmiast do OKW i do sekretariatu wodza w Kancelarii Rzeszy. Popędzani osobiście przez Göringa, który chciał, by to Luftwaffe zlikwidowała problem, najstarsi stopniem planiści odpowiedzieli, że nie ma czasu organizować nocnego, na tyle dużego nalotu na Pireus, aby trafić pojedynczy, stosunkowo niewielki cel na zaciemnionym obszarze.

Zamiast nalotu zaproponowali uważną obserwację statku i prosili o podanie dokładnej pory rzucenia cum. Wschód słońca miał nastąpić o 7.32. O tej porze samolot zwiadu Junkers Ju 86, latający wyżej niż jakakolwiek aliancka jednostka, o zasięgu tysiąca sześciuset kilometrów, co pozwalało mu ogarnąć rozległy obszar Morza Egejskiego, będzie już w powietrzu, gotowy odnaleźć statek ze złotem. Planiści uważali, że *Gwiazda Chartumu* ma do wyboru tylko dwie trasy do Aleksandrii.

Obydwie biegły najpierw na południe, ale potem jedna odbijała na zachód, w kierunku Krety, i prowadziła przez cieśninę koło wyspy Andikitira, a druga skręcała na wschód, do cieśniny Kaso. Jednak pozostawało zaledwie kilka godzin, zanim junkers rozpocznie przeczesywanie terenu, więc oba te kursy nie mogły się znacząco rozejść. Stąd jeden samolot zwiadowczy wystarczył, żeby znaleźć cel i naprowadzić na niego formację sztukasów i eskortę myśliwców. Dlatego mimo mizernych środków – Luftwaffe dysponowała wyłącznie tym jednym junkersem w bałkańskim teatrze działań wojennych, o czym zresztą nie było potrzeby wspominać Hitlerowi – należało liczyć na sukces.

– To złoto nie dopłynie do Aleksandrii, *mein Führer* – zapewnił Hitlera Göring. – Ma pan moje słowo.

– Dałeś słowo mnie i niemieckiemu narodowi, że ani jedna bomba nie spadnie na Zagłębie Ruhry. Nie dotrzymałeś go, Hermannie. Czemu miałbym ci wierzyć teraz?

– Bo jutro o tej porze będziemy wiedzieć, że całe złoto Grecji spoczywa na dnie morza.

Agenta, który przekazał Abwehrze wiadomość o ładunku *Gwiazdy Chartumu*, wysłano z powrotem do portu z nakazem, by zameldował, kiedy statek wypłynie. W Berlinie była trzecia rano, gdy nadeszła ta wiadomość. *Gwiazda* odcumowała tuż po drugiej. Zwierzyna rzuciła się do ucieczki. Wkrótce psy gończe miały rozpocząć pościg.

Lotnicy z eskadry Gerharda zostali wyrwani z łóżek przed świtem i poinformowani o misji najwyższej wagi: precyzyjny atak na niewielki cel, na samej granicy zasięgu maszyn.

Odprawę przeprowadził kapitan eskadry Rolf.

– Celem jest brytyjski statek przewożący strategicznie ważny ładunek i zanim zaczniecie pytać, odpowiem: nie, nic więcej nie wiem. Ale rozkazy przyszły z samej góry, Göring jest osobiście zainteresowany, więc to musi być ważne jak cholera. Statek będzie prawie pięćset kilometrów na południowy zachód, zanim go przechwycimy. Dostaniemy odrzucane zbiorniki paliwa, ale i z nimi musicie być bardzo ostrożni. Co do sztukasów, to chłopaki będą musiały się wychylać z kokpitów i pracować rękami, bo z powrotem, nawet z dodatkowymi zbiornikami, nie osiągną połowy drogi, a będą lecieć na oparach. Zwykle należy do nas eskortowanie naszych powolnych, opasłych koleżków, ale jak dolecimy do statku, nie spodziewamy się żadnych jednostek RAF-u w pobliżu i statek nie ma żadnej eskorty morskiej, więc możemy go zaatakować sami. Wystarczy tylko stały ostrzał, by odciągnąć ogień nieprzyjaciela, jeśli w ogóle będzie, od sztukasów, które wrzucą bomby prosto do komina. Mimo pozorów zadanie może okazać się dość trudne. Niby cel jest łatwy, odosobniony i buja się na fali, ale nigdy nie wiadomo. I łatwy cel może stawić opór, a poza tym będzie naprawdę daleko i musimy bardzo uważać na poziom paliwa. Nie marnujcie ani kropli na głupoty, bo chcę, żebyście wszyscy wrócili cali i zdrowi, w nietkniętych maszynach, i żebym wieczorem mógł wam odczytać gratulacje z Berlina.

Gerhard czuł się dziwnie radosny, gdy wsiadał do swojego Bf 109 i przechodził rutynową procedurę przed startem. Misja wydawała się przyjemną odmianą, ciekawym technicznie doświadczeniem, a jej cel był ważny.

– Ma pan dziś dobry humor – zauważył pracownik obsługi naziemnej.

– To prawda, mam dobry humor – potwierdził Gerhard. – Jest piękny poranek, na niebie ani jednej chmurki, a ja wkrótce będę tam wysoko.

Ju 86, który miał znaleźć *Gwiazdę Chartumu*, przemknął na wysokości trzynastu tysięcy metrów, półtora razy wyżej, niż wznosi się Mount Everest, ponad resztkami alianckich sił lądowych i powietrznych w Grecji – tak wysoko nad ziemią, że nikt nawet nie zauważył jego przelotu. Teraz, gdy homerowska różanopalca Eos rozesłała promienie po ciemnych wodach Morza Egejskiego, pilot sprowadził samolot na ledwie sześć tysięcy metrów, tak żeby i on, i pozostali dwaj członkowie załogi mogli jednym rzutem oka objąć szeroki pas wody i dostrzec samotnie płynącą jednostkę.

Kabina była hermetyczna, dzięki czemu junkers był nieskończenie wygodniejszy niż wiele innych modeli wojskowych, a termos z kawą pozwolił ostatecznie przegonić poranną senność.

Przez trzy godziny junkers latał nad Morzem Egejskim, jak zawieszone w powietrzu wahadło wydłużające się z każdym ruchem. Widzieli wiele transportowców i nawet parę razy natrafili na chaotyczny ogień przeciwlotniczy z niszczycieli eskortujących pobitą cofającą się armię, jednak nie dostrzegli śladu niczego, co pasowałoby do opisu *Gwiazdy Chartumu*.

– Musi tu być – mruknął pilot. – Wracam tą samą drogą, którą przylecieliśmy, dokładnie tym samym kursem, ale w przeciwnym kierunku. Może patrząc pod innym kątem, dojrzymy coś, co przegapiliśmy wcześniej.

– Niczego nie przegapiliśmy – stwierdził nawigator.

– Musieliśmy przegapić. Jesteśmy prawie dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Pireusu. Statek jest na wodzie nie dłużej niż dziewięć godzin. Musiałby ciągnąć ponad szesnaście węzłów na godzinę, żeby dopłynąć tak daleko. Do diabła, to frachtowiec, nie ścigacz torpedowy.

– To frachtowiec wiozący cenny ładunek i założę się, że kapitan i cała załoga mają pełne gacie ze strachu. Sami na wodzie, bez eskorty... Wiem, co bym zrobił na ich miejscu: rozpałiłbym kotły do czerwoności i bardziej, a jak wybuchną, to trudno. Powiem wam, co bym zrobił jeszcze: trzymałbym się z daleka od wszystkich innych jednostek, które muszą przyciągać uwagę. Jak myślicie, na co czekają te łodzie podwodne

makaroniarzy? Każdy transportowiec, którego widzieliśmy, kierował się na zachód od Krety. Mówię wam, lećmy na południowy wschód i szukajmy statku prującego jak szatan do cieśniny Kaso.

– Uważam, że to strata czasu – odparł pilot.

– Słuchaj, nie mamy niczego do stracenia. Jak nie znajdziemy tego zasranego statku, to skopią nam dupy aż miło. Zresztą i tak musimy wrócić tą samą drogą, którą lecieliśmy, bo inaczej nie dowleczymy się do bazy, więc jeśli jest gdzieś po drodze, jak mówisz, to go zauważymy. Ale tak na wypadek, gdyby było inaczej, przekonajmy się, póki jeszcze mamy sporo paliwa w zbiornikach, czy damy radę wypełnić misję, co, kapitanie?

– *Ja*, masz rację, nie grozi nam nic gorszego niż to, że skopią nam dupy. Daj namiary na cieśninę Kaso.

Dziesięć minut później, właśnie gdy zaczęli już wątpić, czy postąpili słusznie, w słuchawkach rozległ się okrzyk trzeciego członka załogi, który siedział w przezroczystym nosie, mając idealny widok na wszystkie strony.

– Widzę go! Rany boskie, widzę go!

I rzeczywiście, nieco ponad półtorej mili morskiej na południe, z prędkością ponad dwudziestu jeden węzłów, sunęła po falach *Gwiazda Chartumu*.

Saffron nigdy nie widziała tak przejrzystego morza. Krystaliczne wody przechodziły od najczystszych błękitów i turkusów do ciemnej purpury, niemal czerni. Wyspy wyłaniały się nagle, ostro zarysowane, jak czubki zatopionych kościelnych wieżyczek – mozaiki białych domów, białych młynów i czarnych drzew oliwkowych, odcinających się od zakurzonej brunatnej ziemi. Jakże pragnęłaby któregoś dnia zwiedzić te wysepki razem z Gerhardem. Ale to były czcze rozmyślania. Płynęła statkiem, który gnał ile pary w kotłach, i zamiast ukochanego miała obok siebie zgraję marynarzy na stanowiskach ogniowych, którzy przechwalali się jeden przed drugim, co to zrobią, jak wrócą do Aleksandrii – ile drinków wypiją, ile dziwek zaliczą – i od czasu do czasu rzucali: „Panienska wybaczy”, kiedy ich język stawał się zbyt dosadny.

Gdybyście tylko wiedzieli... – pomyślała Saffron. Zastanawiała się, ilu tych chłopców, bo żaden z nich nie był jeszcze prawdziwym mężczyzną, w ogóle całowało się jak należy z kobietą, nie mówiąc już o seksie. Tymczasem ona oddała każdy centymetr swojego ciała Gerhardowi i w zamian wzięła go całego – i na tę myśl aż zadrżały jej uda i poczuła tam wilgoć.

– Cudowny dzień, nieprawdaż? – usłyszała za sobą głos kogoś, kto wyraźnie należał do klasy wyższej.

Odwróciła się i spojrzała znad okularów przeciwsłonecznych. To był Jamie Randolph.

Skoro już mowa o dziewicach... – pomyślała.

– Tak, szkoda go marnować na wojnę.

– Hm, wygląda na to, że wymknęliśmy się niezauważeni. Przy odrobinie szczęścia wrócimy spokojnie do Aleksandrii. Wiem, że głupio to brzmi, ale prawie żałuję. Miałem raczej nadzieję, że moi chłopcy będą mieli okazję wziąć udział w akcji. Nieustanne ćwiczenia to piękna sprawa, ale tak się składa, że żaden z nas nie trafił dotąd pod ogień nieprzyjaciela.

– No to możecie się uważać za szczęściarzy – powiedziała.

Ton jej głosu sprawił, że Randolph uniósł brwi i spytał:

– A pani trafiła?

– Tak. Tylko raz... wolałabym jednak uniknąć powtórki.



– Oczywiście, rozumiem. To okropne, że kobieta musi znosić coś takiego... Ale jak mówiłem...

– Sekundę – przerwała mu Saffron. Zmrużyła oczy, patrząc w niebo za rufą. – Mamy towarzystwo.

– Gdzie? – spytał Randolph.

– Północny zachód, na dużej wysokości. Proszę spojrzeć poza kilwater, potem trochę w prawo i w górę. Widzi pan?

Randolph zrobił, jak kazała, nasuwając daszek czapki na oczy, by osłonić je przed słońcem.

– Zaraz... niczego nie widzę...

Saffron stanęła obok niego i wskazywała mu, gdzie ma patrzeć. Tymczasem dwóch marynarzy z obsady najbliższej baterii, słysząc ich rozmowę, też zaczęło wpatrywać się w niebo.

– Widzę, panienko! – zawołał jeden z nich. – Panie poruczniku, dokładnie tam, gdzie pani pokazuje...

– Tak, też widzę – powiedział Randolph. – Zaraz... wracam za sekundę...

Popędził na mostek. Po chwili wrócił z lornetką. Spojrzał przez nią i skrzywił się z irytacją.

– Zgadza się, samolot, ale nie mam pojęcia, co to jest. Nie przypomina niczego, co wcześniej widziałem, nawet na tych schematach, które mamy zapamiętywać. Wie pani, sylwetki samolotów wroga.

– Mogę rzucić okiem? – zapytała Saffron.

Randolph podał jej lornetkę, zdając sobie sprawę, że ta oszałamiająco piękna dziewczyna, którą zagadnął w nadziei na towarzyską pogawędkę, a może i na flircik, okazała się bardziej doświadczona w boju niż on lub każdy z jego ludzi.

– Widziałam go wcześniej – powiedziała Saffron i teraz to na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia i irytacji – ale za nic nie potrafię sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Chociaż nie na wojnie, jestem pewna, że to było wcześniej.

Znów spojrzała przez lornetkę.

– O Boże! Wiem, że brzmi to śmiesznie, ale raz leciałam takim samolotem. To chyba był rejs z Kolonii do Monachium... koleżanka ze szkoły mieszkała w tej części Niemiec. Jestem pewna, że to niemiecki samolot. Ale, na Boga, co robiłby tutaj samolot pasażerski?

– Myślę, że znam odpowiedź – rzekł Randolph, uradowany, że wie coś, czego ona nie wie. – Po ostatniej wojnie szkopom zakazano

posiadania bombowców, mówił o tym traktat wersalski. Dlatego projektowali samoloty pasażerskie tak, żeby można je było przerobić na bombowce. Typowa oszukańcza sztuczka w stylu cholernych nazistów.

– Chce pan, panie poruczniku, żebym do niego popukał? Dał znać, że ich wypatrzyliśmy? – zapytał strzelec.

– Nie, to byłoby tylko marnowanie amunicji, a obawiam się, że będziemy potrzebowali każdego pocisku. Przepraszam, panno Courtney... – Odchrząknął. – Słuchajcie, szeregowi. Szkopy widzą, gdzie jesteśmy. Jeśli posłali samolot taki kawał drogi, by nas znalazł, to dlatego, że myślą, że mamy na statku coś wartego pościgu.

– Pewnie, że wiedzą, cholere im w bok, panie poruczniku, orientują się, że mamy w ładowni to, co tylko było w Banku Grecji, cholerny świat.

– No, nie wolno mi mówić, co dokładnie wieziemy, ale masz rację, Bowyer. Rzecz w tym, że się do nas dobiorą. Kolejne samoloty. Jeśli lecą aż z Grecji, dotrą na maksimum zasięgu, więc nie będą się tu długo kręcić. Musimy się postarać, żeby nie dali rady dobrze w nas wycelować, jak się tutaj zwałą. Musimy myśleć trzeźwo i prowadzić skupiony ostrzał wybranych celów, a nie pukać na chybił trafił, bo a nuż się uda. Teraz sprawdźcie karabiny, czy wszystkie chodzą jak należy. Hełmy na głowę. Damy pokaz jak się patrzy, no nie? Może zrobimy wrażenie na pannie Courtney.

– Takie jakie ona na nas robi, panie poruczniku, tylko dwa razy większe!

– Może zechce pani udać się ze mną na mostek, panno Courtney? – spytał Randolph. – Niech te zakazane mordy pokażą, na co je stać. Lepiej zawiadomię kapitana, że spodziewamy się towarzystwa. A potem zostawię panią, bo muszę rzucić słówko chłopakom na dziobie i na rufie. Dobrze wiedzieć, że jesteśmy tu nie na darmo, prawda? To najważniejsze. Mamy coś do roboty.

Nie było sensu zmieniać kursu czy próbować się ukryć między wysepkami. Dopóki ten niemiecki samolot o wielkich trójkątnych skrzydłach, niczym czarne żagle, krążył wysoko na niebie, śledząc każdy ich manewr, nie mieli żadnej możliwości ucieczki. Kapitan McAloon podjął więc zupełnie inne kroki. Kazał radiooperatorowi przesłać ich namiary – kurs, szybkość i położenie – oraz wiadomość, że spodziewają się rychłego ataku z powietrza. W ten sposób, przy odrobinie szczęścia, jeśli statek pójdzie na dno, ci, co przeżyją, będą mieli szansę na ratunek.

Saffron dostała hełm i kamizelkę ratunkową. Upięła wysoko włosy i założyła hełm. Nadal nie było śladu wroga, więc dopóki jeszcze miała czas, poszła do kambuza i poprosiła kucharza o woskowany papier. Owinęła nim listy i fotografie i osobno pistolet. Oba pakunki posmarowała grubą warstwą smalcu, dla ochrony przed wodą. Kucharz dał jej również szpagat, którym obwiązała torebkę, po czym przerzuciła ją przez ramię i włożyła na nią kamizelkę ratunkową. Jeśli było jej sędzone zginąć, niewiele mogła na to poradzić. Ale jeśli miała wpaść do wody, nie zamierzała utracić swoich najcenniejszych rzeczy.

Tak przygotowana, wróciła na mostek. Ojciec rozmawiał z kapitanem, planując, co będzie dalej z flotą Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney, kiedy wreszcie znów wrócą do normalnej działalności w czasach pokoju.

– Nie słuchałabym nawet słowa z tego, co mówi mój ojciec, kapitanie – powiedziała Saffron z żartobliwą pobłażliwością, podchodząc do nich. Objęła ojca, takiego wysokiego, mocnego, dającego poczucie bezpieczeństwa. – Doskonale wie, że kiedy ta koszmarna wojna się skończy, ja przejmę nad wszystkim kontrolę.

– Nie byłbym tego taki pewien, młoda damo – odparł ojciec, niby to zagniewany, ale uściskał ją mocno i ucałował w czubek głowy, tak jak wtedy, kiedy była mała, i poczuła się jak dziewczynka: dopóki tatuś jest obok i niczym mur chroni ją przed wszelkimi zagrożeniami świata, nie może wydarzyć się nic złego.

Jamie Randolph zszedł po drabince z boku mostka.

– Nadlatują – oznajmił. – Sztukasy z eskortą messerschmittów. Oceniam, że będą za kilka minut. Lepiej włączcie alarm.

McAloon dał dwa długie sygnały syreną okrętową i na całym statku marynarze rzucili się do działania. W maszynowni turbiny wskoczyły na jeszcze wyższe obroty, ponad dozwolone maksimum, co pozwoliło wycisnąć jeszcze większą szybkość, bo oczywiście im prędszej się poruszali, tym trudniej było ich trafić.

Marynarze wyznaczeni do brygad przeciwpożarowych zajęli stanowiska, tak jak ci o umiejętnościach stolarzy i spawaczy, by w razie konieczności jak najszybciej przystąpić do naprawy. Leon zadbał wcześniej o najlepszego lekarza okrętowego, który razem z sanitariuszami był już w izbie chorych. Na statku zapadła cisza – ludzie myśleli o swoich lękach, o miłości do tych, których zostawili w domu i których mogli więcej nie zobaczyć.

A potem – jak nawałnica – pierwsze sztukasy runęły na statek i rozpoczęła się bitwa.

Saffron wystarczająco często słyszała w kronikach filmowych wycie nurkujących sztukasów. To był odgłos blitzkriegu, wojny błyskawicznej, nazistów miażdżących wszystko na swojej drodze. Ale nic nie przygotowało jej na takie natężenie dźwięku i niemal fizyczną agresję upiornego wycia, coraz bardziej piskliwego i głośniejszego, które odbiło się echem od mostka, gdy pierwsze trzy sztukasy, jeden po drugim, w odstępach pary sekund zrzuciły bomby, wyrównały lot i pomknęły w górę.

Przez kilka pierwszych minut Saffron raczej słyszała, niż widziała bitwę. Gorączkowy terkot vickersów, rozpaczliwie usiłujących odpędzić atakujących; ryk niemieckich myśliwców i łomot działek pokładowych, które próbowały uciszyć karabiny maszynowe na *Gwieździe Chartumu*, by sztukasy mogły swobodnie wykończyć swoją ofiarę; wrzaski kapitana McAloona, wykrzykującego komendy zmiany kursu, po których statek skręcał to w jedną, to w drugą stronę, by uniknąć bomb.

Uniki działały. Pierwsze bomby nie trafiły, tylko podniosły ogromne gejzery morskiej wody, które runęły na pokład *Gwiazdy*, nie powodując jednak poważniejszych uszkodzeń. Choć pewne szkody wyrządziły. Drużyny przeciwpożarowe wysłano na pokład rufowy, przy sterze, do gaszenia ognia od pocisków zapalających messerschmitta. Tylną baterię ustawiono na dachu pokładówki. Trzeba było opanować pożar, zanim zepchnąby obsługę karabinów ze stanowisk.

W kokpicie pojawił się Randolph. Twarz miał pobladłą z bólu, lewa ręka, zakrwawiona, zwisała mu bezwładnie.

– Trzej moi chłopcy nie żyją. Jedna z baterii wyłączona z walki. Karabiny sprawne, tylko nie ma kto strzelać. Może mi pan oddać kogoś z załogi, kapitanie?

McAloon nie zareagował na słowa Randolpha. Bardzo prawdopodobne, że w ogóle ich nie usłyszał w tej ogłuszającej kakofonii bitwy. Był u kresu sił, starając się prowadzić statek.

Ale Saffron usłyszała.

– My się tym zajmiemy! – krzyknęła. Popatrzyła na ojca. – Chodź, tato, biegiem!

Leon przez chwilę stał bez ruchu, jakby chciał jej powiedzieć, że powinna zostać pod osłoną, ale kiwnął głową i wyszedł za córką.

– Karabiny są obsługiwane przez dwie pary, po jednym strzelcu na parę! – krzyknął Randolph, wspinając się pierwszy po drabince, co przychodziło mu z trudem, bo trzymał się tylko jedną ręką. – O ładowanie amunicji się nie martwcie, to broń automatyczna. Ma dwa koła ręczne. Jedno do obracania w płaszczyźnie poziomej, drugie do kontrolowania wznoszenia i opuszczania. Połapiecie się.

Idąc za Randolphem, Saffron założyła okulary przeciwsłoneczne. Czuła, że ten gest dziwnie nie przystaje do powagi sytuacji, ale wiedziała, że będzie o wiele lepiej widzieć, nie musząc mrużyć oczu w blasku słońca, odbijającym się od rozmigotanego morza. Doszli na górny pokład. Dwie godziny temu, gdy Saffron się tutaj opalała i podziwiała widoki, wydawał się uroczym, beztróskim miejscem. Teraz czuła się całkowicie bezbronna, nic nie chroniło jej przed pociskami i bombami, gdy mknęła przed siebie, za Randolphem, do umilkłej baterii. Przy niej leżał trup żołnierza, drugi na wprost stał. Stopami dotykał pokładu, ale tułowiem zakrywał bębnowe magazynki. Saffron rozpoznała marynarza, który wcześniej mówił, jak ona mu się podoba. Nie miał połowy czaszki i substancja mózgowa spływała po jego twarzy na magazynek.

Randolph krzyknął na całe gardło, gdy messerschmitt z rykiem przeleciał nad rufą, celując w ułożone tam karabiny.

– Musicie ich odsunąć!

Leon chwycił ciało stojącego mężczyzny, które zasłaniało baterię. Saffron złapała pod pachy leżącego marynarza i odciągnęła go do tyłu, tak żeby mogła zająć pozycję strzelecką.

Bf 109, który atakował rufę, zawrócił do kolejnego ostrzału. Ludzie jakoś przeżyli atak i nadal strzelali, gdy pilot zszedł nisko nad falami, śląc pociski równoległe do lustra wody, na co odpowiedzieli tym samym, jak w pojedynku na karabiny maszynowe, a nie na jednostrzałowe pistolety. Strzelec baterii został trafiony błyskawiczną serią i drgając konwulsyjnie, poleciał do tyłu, a jego kamizelka ratunkowa rozpadła się na zakrwawione szczątki. Zrobił jeszcze krok, drugi i trzeci, po czym upadł; nogi ugięły się pod nim, a niewidzące oczy patrzyły na niemieckiego pilota, gdy ten przemknął cieniem nad jego martwym ciałem.

– Wypróbuj swoje koło! – krzyknął Leon.

Saffron sięgnęła do dużego pokrętkła. Zamontowane płasko na stalowym drążku, miało około trzydziestu centymetrów średnicy. Pionowa rączka na kole ułatwiała manewrowanie. Saffron wykonała obrót zgodny z ruchem wskazówek zegara i zobaczyła, że lufy się unoszą, a potem w odwrotną stronę – i skierowały się w dół.

– Moja kolej! – krzyknął Leon i sprawdził działanie identycznego koła ręcznego. Celowniki były ustawione równolegle do lufy, okular miał siatkę celowniczą. – Gotowa wypróbować, jak działa? – spytał Leon.

Saffron skinęła głową.

– Dobra. Dziób to godzina dwunasta. Na lewo dziewiąta, na prawo trzecia, rufa – szósta. W porządku?

– Tak!

W górze kołowały sztukasy, czekając, aż myśliwce skończą swoją robotę. Inny Bf 109 rozpoczął atak, zdecydowany wykończyć baterię dziobową. Nadlatywał z przeciwnego kierunku niż poprzedni myśliwiec.

Tymczasem karabiny na dziobie były wycelowane w drugą stronę. Saffron i Leon zobaczyli to jednocześnie. Ocalały strzelec obiegł pozycję zabitego towarzysza broni i zaczął rozpaczliwie manewrować kołem, by obrócić karabiny i wycelować w nadlatujący samolot.

Ale ruszał się zbyt wolno.

– Trzecia godzina, nisko! – krzyknął Leon.

Włożył całą siłę w jak najszybszy ruch kołem, ale bateria obracała się rozpaczliwie powoli. Saffron manewrowała swoim kołem, obniżając lufy, aż celownik wskazywał ledwo sześć metrów nad pokładem dziobowym.

Bf 109 z wielką prędkością zbliżał się do *Gwiazdy Chartumu*.

– Czeka! – krzyknął Leon.

Myśliwiec mknął nad falami, nie przestając strzelać.

– Czeka!

Żołnierz przy vickersach upadł, gdy pociski odbiły się rykoszetem od stalowego pokładu i relingów.

Samolot był tak blisko, że Saffron widziała skórzany hełm i gogle pilota w kokpicie.

– Ognia!

Łomot czterech karabinów uderzył w jej bębrenki uszne, ale samolot minął ich w mgnieniu oka, przez kilka sekund utrzymywał minimalną wysokość, po czym uniósł się i położył na skrzydło, znów szykując się do nalotu.

– Utrzymuj wysokość. Sądzę, że chybiliśmy niedużo. Przygotuję nas do następnego podejścia – powiedział Leon.

Podczas gdy byli zajęci na dziobie statku, kolejny samolot zaatakował rufę. Nagle usłyszeli za plecami wybuch. Saffron obejrzała się i zobaczyła, że cała część rufowa płonie. Dym całkowicie zasłonił pokładówkę. Ale po chwili z płonącego piekła wyłoniła się postać. Wydawało się, jakby kroczyła w powietrzu. Saffron zdała sobie sprawę, że to jeden ze strzelców z dachu pokładówki. Cały w płomieniach, był niczym chodząca pochodnia. Machał rękami, tłukł się po ciele, na próżno usiłując zgasić ogień. Potknął się i upadł, a wtedy ogień objął go całego rozpalonym do białości uściskiem.

– Saffron! Saffron!

Usłyszała głos ojca jakby z bardzo daleka i odwróciwszy się, zobaczyła, że Bf 109 znów nadlatuje, by zaatakować. Strzelec dziobowy leżał skulony na pokładzie, kryjąc głowę w rękach – najwyraźniej załamał się nerwowo.

Saffron przestała się nim zajmować. Patrzyła przez celownik, wyobrażając sobie, że jest na polowaniu i messerschmitt to bażant albo kaczka – zestrzelenie metalowego ptaka wcale nie powinno być trudniejsze niż prawdziwego.

Leon myślał bardzo podobnie. Obróciwszy karabiny w stronę samolotu, zamierzał je przesunąć przed Bf 109, wiedząc, że ten wejdzie w celownik, a wtedy on sypnie gradem półcalowych pocisków, jakby strzelał z dubeltówki, co zwiększy szansę, że któryś w końcu dosięgnie celu.

Samolot nadlatywał.

Znowu czekali.

A potem Saffron uznała, że chwila jest odpowiednia, i nie czekając na rozkaz, zaczęła strzelać.



Gerhard był pod wrażeniem tej walki. Trzy pierwsze sztukasy zaatakowały, licząc na łatwe zwycięstwo, ale Brytyjczycy stawili twardszy opór, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. *Gwiazda Chartumu* była zdumiewająco szybka i zwrotna, sunęła po wodzie raczej jak okręt wojenny, a nie jak normalny frachtowiec; gniazda karabinów maszynowych okazały się ostrymi kłami. Bf 109 zabrały się więc do roboty, wiedząc, że muszą szybko zneutralizować karabiny, gdyż każde kilka sekund nad celem kosztowało sztukasy kolejny kilometr zasięgu.

Schrumpo pierwszy zajął się likwidacją karabinów na dziobie i prawie wykonał zadanie. Przywilejem Gerharda było zadać ostateczny cios. Jego pierwszy nalot na cel sprawił, że obszar wokół karabinów pokrył się dziurami i ostatni żywy strzelec odskoczył ze stanowiska. Teraz Gerhard zamierzał ostrzelać karabiny z dwudziestomilimetrowego działka, zamontowanego w nosie samolotu, unieszkodliwić je i może nawet wysadzić amunicję w magazynkach.

Przyciągnął drążek, wzbił się wysoko, zawrócił, przeszedł przez szczyt łuku, który zakreślił na niebie, i teraz znów pikował, czując, jak ciśnienie wciska go w siedzenie, zanim wyrównał lot i ponowił atak. Skierował nos samolotu na karabiny dziobowe i zaczął strzelać – i z działka, i z karabinów maszynowych zamontowanych pod skrzydłami; widział, jak pociski smugowe wchodzą w cel i cała bateria przed nim aż podskakuje. Zaczęto go ostrzeliwać z górnego pokładu, po prawej stronie. Spojrzał tam i na jednym ze stanowisk strzeleckich zobaczył jakąś postać. Powinien to być mężczyzna. Ale w ułamku sekundy zobaczył ciemne włosy, okulary przeciwsłoneczne, kobietę... zjawę.

W tym momencie jego samolot został trafiony.

Gerhard poczuł uderzenia półcalowych pocisków, rozszarpujące skrzydła.

Wszystkie inne myśli pierzchły mu z głowy, bo skupił się tylko na tym, co tu i teraz. Pierwsze pytanie: czy jest cały? Spojrzał w dół i nie zobaczył krwi. Wszystkie kończyny miał sprawne. Nie został raniony.

Minął statek i znów się wzbił, a urządzenia pokładowe wydawały się dobrze działać, ale usłyszał głos Schrumppa: „Palisz się, Meerbach!

Prawy odrzuć zbiornik!”.

Spojrzał w dół skrzydła i zobaczył, że ze zbiornika biją płomienie. Nie zastanawiał się. Musiał odrzucić zbiornik, zanim ogień przeskoczy na skrzydło. Nacisnął guzik zwalniający. Nic. Nacisnął znowu. Zbiornik ani drgnął, płomienie rosły. Jeszcze trochę, a zbiornik wybuchnie.

Gerhard nagle poczuł rozrywające mu wnętrze szpony lęku. Nie był na tyle wysoko, by wyskoczyć ze spadochronem, ale zginie, jeśli samolot spadnie do morza. I nagle obojętność na śmierć, brak zainteresowania życiem zniknęły. Naturalny instynkt przetrwania nie dał się zdusić. Gerhard rozpaczliwie zapragnął żyć.

Jednak wciąż nie mógł ruszyć zbiornika.

W ostatecznej rozpaczy zaczął na chybił trafił poruszać klapy, na jednym skrzydle, na drugim. Widział, jak płomienie liżą krawędź skrzydła. Przerzucił samolot z lewej strony na prawą, po czym ustawił go pionowo, modląc się, żeby siła grawitacji oderwała zbiornik od mocowania, a gdy się wzbijał, dodatkowo ruszał skrzydłami.

Wznosił się coraz wolniej, śmigło powoli przegrywało pojedynek z siłą ciężenia. Samolot zwolnił do prędkości grożącej utratą sterowności. Ale Gerhard nie wyszedł z lotu pionowego. Zmuszał samolot do dalszej wspinaczki. W każdej sekundzie zbiornik mógł wybuchnąć lub samolot utracić sterowność. Jedno i drugie oznaczało śmierć pilota.

Nie wolno mi umrzeć, pomyślał. Nie chcę umrzeć!

A jednak zaraz miał umrzeć.

Lecz w tej samej chwili poczuł wstrząs i samolot stał się lżejszy, bo zbiornik paliwa w końcu się odłączył i spadł do Morza Egejskiego. Gerhard przeszedł ze wznoszenia się do kontrolowanego lotu nurkowego, aż w końcu wyrównał lot, podczas gdy wiatr gasił ostatnie płomienie na skrzydłach.

Ale teraz miał kłopot. Jakieś dwadzieścia procent pozostałego paliwa właśnie zniknęło w morzu.

– Wszystko gra? – To był Rolf.

– Tak myślę – odrzekł Gerhard. – Instrumenty pokładowe chyba nieuszkodzone, silnik pracuje równo. Problem tylko z paliwem.

– To nie marnuj ani kropli. Leć do bazy. Grzecznie i spokojnie. I powodzenia.

– Nie, w porządku, chcę to zobaczyć do końca – powiedział Gerhard.

Położył na skrzydło swoją maszynę, zataczając koło nad uszkodzonym statkiem. Według przybliżonych obliczeń, miał dość paliwa na trzysta kilometrów.

Tyle że baza była prawie czterysta kilometrów stąd.

Jedyną nadzieję dawało to, że natychmiast rozpocznie lot powrotny, ale ten sam instynkt, który niedawno kazał mu żyć, teraz mówił mu, żeby tu pozostał. To było szaleństwo. Musiał odlecieć. A jednak został i nawet gdy messerschmitty zakończyły swój atak i skierowały się do Grecji kontynentalnej, a ostatni sztukas zrzucił bomby, Gerhard wciąż tkwił nad dymiącą, tonącą *Gwiazdą Chartumu*.

– Dostał! – Saffron uśmiechnęła się triumfalnie, widząc płomienie bijące z niemieckiego myśliwca, gdy przemknął obok.

Widziała rozpaczliwe wysiłki pilota usiłującego pozbyć się resztek płonącego zbiornika, który w każdej chwili mógł wybuchnąć, i śledziła tego mężczyznę wzrokiem, gdy ustawił samolot pionowo i go wzniósł, gorączkowo poruszając jego skrzydłami. Kiedy zbiornik w końcu runął do morza, poczuła się oszukana, jakby odebrano jej zasłużone zwycięstwo, a gdy ujrzała, że pilot krąży nad statkiem, niczym widz pragnący zobaczyć końcówkę meczu, poczuła gorzki, bezsilny gniew.

Ale nie było czasu o tym myśleć. Inne Bf 109 nadlatywały ze wszystkich stron, celując w pokład, na którym stała z ojcem, i usiłując wykluczyć ich oboje z bitwy, tak jak uporały się z bateriami na przodzie i z tyłu. Następne dwie zamilkły: jeden marynarz zginął, trzech było tak ciężko rannych, że zostali wyłączeni z walki. Saffron usłyszała gniewne bzyczenie pocisków przeszywających powietrze i łoskot, gdy uderzyły w drewno i metal, ale tak ona, jak i ojciec, cudem uniknęli trafienia.

Myśliwce odleciały, znów zniknęły pod niebem i przez sekundę słyhać było tylko łomot okrętowych silników, huk fal rozbijających się o kadłub, krzyki rannych i wołania marynarzy, którzy nadal walczyli z pożarem na pokładzie rufowym.

Ośmieliła się zadać sobie w duchu pytanie: Czy to koniec?

Odpowiedziało jej wycie pierwszego sztukasa. Podniosła głowę i zobaczyła, jak zwala się z góry, zarazem supernowoczesny i straszliwie prymitywny, stalowy pterodaktyl, pikujący, aby ich zabić, wrzaskiem ogłaszając swoją ohydłą radość z ich bliskiej śmierci.

Leon odwrócił karabiny, by stawić czoło potworowi. Saffron uniosła je najwyżej, jak się dało, i wystrzelili długą serię, ale nie było widać, czy trafiła. Drugi sztukas oderwał się od formacji, potem trzeci i stało się oczywiste, że wszystkie przystępują do ataku, i nagle Saffron jasno zrozumiała, że niektóre mogą chybić, kilka może zostać trafionych, ale jeden dopnie swego. Pozostawało tylko strzelać dalej, stawiać opór, gdy pierwsza bomba rozminęła się daleko z celem, a potem druga.

A trzecia trafiła. Na oczach Saffron czarny rozdęty kształt opadł ze sztukasa, lecąc prosto na pokład rufowy. Doleciał. Wbił się w deski

pokładu.

Ale nie wybuchł.

Ulga była tak ogromna, rozładowanie napięcia tak wielkie, że niemal wyczerpujące. Nadleciał jednak kolejny sztukas i wtedy strach i adrenalina napełniły Saffron nową energią, i znów zaczęła strzelać. Zobaczyła, że pociski smugowe rozrywają sztukasa, kokpit rozlatuje się na kawałki, a silnik bucha płomieniem. Lecz syrena nadal wyla i sztukas nadal pikował.

I spadał prosto na górny pokład.

Saffron rzuciła się do drabinki, ale nie zeszła po niej, tylko po prostu zeskoczyła na wąski wycinek pokładu obok mostka. W chwili gdy uderzyła stopami o deski i upadła, sztukas trafił w *Gwiazdę Chartumu* i cały świat jakby eksplodował.

Podmuch wybił okna na mostku i gdyby Saffron nie przewróciła się po zeskoku, zabiłyby ją tysięczne odłamki szkła, ostre jak żyłki. Na moment straciła przytomność, a gdy się ocknęła, statek płonął. Po kilku sekundach doszła do siebie i zrozumiała, co się wydarzyło. Sztukas uderzył w górny pokład po drugiej stronie, więc mostek osłonił ją przed najgorszym podmuchem. Kiedy tylko to pojęła, poraziła ją myśl: tato!

Wdrapała się po wykręconej, powyginanej drabince, a gdy znalazła się na górze, zobaczyła obraz całkowitego zniszczenia. Wyrastający ze środka pokładu komin był prawie cały roztrzaskany. Pozostał wyszczerbiony kikut, z którego bił gęsty, czarny dym. Resztki sztukasa tkwiły w boku głównej pokładówki, a jego ogon, jakimś sposobem nietknięty, sterczał pod kątem. Trzy karabiny maszynowe leżały rozrzucone po pokładzie. Czwarty zniknął.

Ale gdzie był ojciec?

Saffron rozejrzała się, próbując coś dostrzec w duszącym dymie. Zobaczyła go. Czołgał się po pokładzie, jedną nogą szukając podparcia, podczas gdy drugą tylko włókł, całkiem bezwładną. Za nim, ledwo widzialna w dymie, pozostawała czerwona smuga krwi.

Leon podniósł głowę. Twarz miał poszarzałą. Usiłował wesprzeć się na łokciu. Wyciągnął rękę do córki i powiedział bezgłośnie: „Saffy!”.

Zakryła dłonią nos, mało skutecznie chroniąc się przed dymem, i podbiegła do ojca. Znowu opadł na pokład i przetoczył się na plecy, ledwie świadomy, a jego szare policzki i czoło pokrywał pot. Zagryzł wargi, ból wykrzywił mu twarz. I teraz Saffron zobaczyła źródło jego tortury: prawą nogawkę spodni miał rozdartą, a ciało pod nią

poszarpane, jakby dzikie zwierzę dobrało się do niego kłami i pazurami, i w środku straszliwej rany sterczała złamana i roztrzaskana resztką kości udowej.

Saffron poczuła mdłości i do oczu napłynęły jej łzy. Nie! Nie możesz być słaba! Nie teraz! – rozkazała sobie w duchu. Pochyliła się nad nim.

– Nie martw się, tato, jestem tutaj – powiedziała.

Złapała go pod pachy i zaczęła ciągnąć w stronę drabinki. Końce złamanej kości potarły o siebie i Leon nie wytrzymał, krzyknął z bólu. Saffron musiała pozostać głucha na jego cierpienie. Jeszcze mocniej go pociągnęła.

*Gwiazda Chartumu* była śmiertelnie ranna, to było oczywiste, ale sztukasy miały rozkaz zniszczyć cel, więc następne dwa samoloty zanurkowały i jeden chybił, bo dym był tak gęsty, że nic nie dało się zobaczyć. Ale drugi trafił, dosłownie w to samo miejsce, w którym utkwiał niewybuch. Druga bomba eksplodowała i dokończyła dzieła.

Statek szybko tonął. Jego los był przypieczętowany, ale tymczasem poziom paliwa sztukasów opadł poniżej bezpiecznej granicy. Dowódca rozkazał powrót do bazy i wszystkie zawróciły, wraz z wierną eskortą myśliwców. Druga bomba zabiła obsadę rufy i spowodowała straszliwe zniszczenia w maszynowni. Niewielu ludzi przeżyło. Ale strzelec dziobowy przetrwał to piekło bez szwanku, tak jak Saffron. Zobaczył, że dziewczyna usiłuje przeciągnąć ojca w bezpieczne miejsce, i pomógł jej zaciągnąć go na dół, a potem jeszcze niżej, do łodzi ratunkowych. Zgromadzili się tam ci nieliczni, którzy ocaleli, w tym lekarz okrętowy. Próbowali zepchnąć na wodę przynajmniej jedną łódź, zanim *Gwiazda Chartumu* zatonie.

Udało im się w ostatniej chwili – odpłynęli jakieś pięćdziesiąt metrów, gdy statek ostatecznie wyzionął ducha, rozpadł się na dwoje i poszedł na dno.

Lekarz zajął się Leonem najlepiej, jak w tych warunkach się dało. Zanim pobiegł do łodzi ratunkowej, chwycił torbę lekarską, przewidując, że będzie musiał opatrywać rannych, i teraz mógł przynajmniej zdezynfekować Leonowi ranę i podać mu morfinę, by nieco złagodzić jego cierpienia.

Nagle Saffron usłyszała buczenie silnika samolotu. W tym chaosie i tumulcie nie zorientowała się, że w górze pozostał samotny niemiecki myśliwiec, ten, którego postrzeliła, i wciąż krąży nad nimi.

– Co on tu robi? – spytała, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Lekarz spojrział w niebo i zobaczył myśliwca.

– Cholerny szakal – mruknął. Potrząsnął pięścią i puścił w górę wiązaną przekleństw. – Przepraszam – powiedział do Saffron, znów stając się kulturalnym panem. – Nic to nie zmienia, ale przynajmniej człowiek czuje się lepiej.

Jeden spośród ocalałych, Bowyer, który przed bitwą rozmawiał z Randolphem, zauważył:

– Oho, doktorze, ten gnojek chyba pana usłyszał. Proszę popatrzeć, leci za nami.



– Co ja tu robię? – myślał Gerhard. Czemu bez powodu marnuję paliwo?

Teraz, kiedy adrenalina opadła, czuł powrót ponurej, depresyjnej pustki. W myślach wrócił do wizji, jaka mu się ukazała, złudnego obrazu kobiety, która nie miała prawa istnieć. Wyobraźnia płatała mu figle. Los z niego drwił. Wewnętrzna nicość z wolna wypełniała się żądzą zemsty. Zaprażył uderzyć w pierwszy lepszy cel, który się trafi, niech ktoś poczuje się równie źle jak on.

Zawrócił i skierował się do żalosnej łódeczki, na której płynęli rozbitkowie z zatopionego statku. Kiedy zanurkował, mając słońce za plecami, i wyrównał zaledwie kilka metrów nad lustrem wody, wiedział, że porzuca wszelkie dawne zasady, świadomie depreczuje resztki przyzwoitości i honoru i że dołącza do legionu potępionych, razem z bratem i podobnymi mu nikczemnymi draniem o czarnych sercach. I było mu to obojętne.

Łódź ratunkowa błyskawicznie się przybliżała. Ludziki na pokładzie żałośnie wygrażały mu zaciśniętymi pięściami. Jedna szybka seria karabinów maszynowych Bf 109 zmiecie tę skorupę i każdego, kto na niej płynie. Gerhard zacisnął palce na spuście.

I wtedy znów zobaczył tę zjawę. Ciemne włosy. Okulary przeciwsłoneczne.

W pierwszym odruchu chciał strzelać do opróżnienia magazynków, aż zjawa na dobre zniknie sprzed oczu jego duszy.

Ale milisekundę później rzekł do siebie: „Nie rób tego” – i bez jednego wystrzału przemknął nad łodzią, wzniósł się w niebo, zrobił pętlę i znów zanurkował tą samą drogą, którą przebył.

– Dawaj, ty nazistowski draniu! Jak chcesz nas zabić, to tu jesteśmy! Dalej, już!

Rozpaczliwy głos Bowyera niemal ocierał się o histerię. Pilot bawił się z nimi, kpił z nich. Mógł ich tu wszystkich zabić. Więc czemu tego nie robił?

– Znów nadlatuje – powiedziała Saffron.

Niespodziewanie poczuła, że w obliczu pewnej śmierci ogarnia ją błogi spokój. Wszystko będzie dobrze. Znów połączy się z Gerhardem, tam gdzie nie ma wojny, która by ich rozdzieliła. Wszystko będzie dobrze.

Nie odrywała oczu od samolotu, stojąc nieruchomo i składając ofiarę z samej siebie.

Ta zjawka to ona! – pomyślał Gerhard. Wiedział, że to niemożliwe, a jednak wyprostowana postać w tej łodzi, poprawiająca włosy ruchem głowy, patrząca prosto na niego... to była Saffron. Nie miał cienia wątpliwości.

Ona żyje! – krzyknął w duchu. Mój Boże, to prawda, ona żyje.

Zwolnił, balansując na krawędzi sterowności, i odsunął owiewkę kabiny. Wiatr bijący mu w twarz był jak powiew życia. Przelatując nad łodzią, Gerhard pomachał ręką. Przysięgłby, że stojąca kobieta się uśmiecha.

Minął łódź i teraz już naprawdę nie mógł zrobić następnego przelotu. Zanim zdecydował się pozostać, stan paliwa był krytyczny. Teraz był katastrofalny.

Nie dbał o to. Saffron Courtney żyła. Serce wezbrało mu miłością i nadzieją. Co z tego, że już nie miał paliwa? Wcale nie potrzebował samolotu. Potrafiłby wrócić do Grecji o własnych siłach, na skrzydłach radości.

– Dobry Panie – odezwał się lekarz – to niebywałe. Myślicie, że chciał powiedzieć: „Nieźli byliście”? Wiecie, że niby tak się postaviliśmy?

– Szkopy nie okazują uznania wrogom – odparł Bowyer. – To zupełnie nie w ich stylu. Nie, mnie się widzi, że tylko się z nas nabijał. Chyba że...

– Na jego twarzy pojawił się zawadiacki, kpiący uśmiezek. – No, przepraszam, że to mówię, proszę pani, ale...

Saffron go nie słyszała. Nadal usiłowała poukładać sobie w głowie to, co zobaczyła, albo to, co wydawało jej się, że zobaczyła w kabinie myśliwca. Nie wiedziała, czy krzyczeć z radości, czy płakać gorzkimi łzami nad nieskończonym okrucieństwem losu.

– Proszę pani...? – powtórzył Bowyer.

Saffron z wysiłkiem skupiła się na ludziach wokół.

– Słucham? – spytała.

– Mówiłem, że wyglądała pani jak z obrazka, kiedy tak pani stała, jak gwiazda filmowa albo co... Myślę, że nasz szwab spojrzał na panią tylko raz i nawet on nie dał rady wystrzelić do takiej dziewczyny jak pani. Byłoby mu szkoda, nie?

– Niewątpliwie, tylko człowiek wyjątkowo podły zdobyłby się na zastrzelenie z zimną krwią bezbronnej młodej kobiety – przyznał lekarz.

Saffron się nie odezwała. Ale przyszło jej do głowy, że nie była nieuzbrojona, nie wtedy, kiedy miało to znaczenie. Trafiłam go z vickersów, pomyślała. A jeśli to nie był samolot Gerharda... Nie, to był on, na pewno, bo inaczej czemu by mi pomachał...? O Boże, mało go nie zabiłam. I nigdy bym się nie dowiedziała, co zrobiłam albo jak mało brakowało, żebym to zrobiła. A gdybym go zabiła...

I nagle wybuchła płaczem.

– Już, już, moja droga – powiedział lekarz, obejmując ją. – Już dobrze. Wszyscy mamy za sobą potworne przeżycia, a pani zachowanie zasługuje na najwyższy podziw. Ale już po wszystkim. Jestem przekonany, że pomoc nadejdzie lada chwila. Wszystko będzie dobrze. Wystarczy tylko zaczekać...

Zapadał już wieczór, gdy ścigacz torpedowy Królewskiej Marynarki Wojennej, przysłany z Krety w odpowiedzi na SOS kapitana McAloona, w końcu ich znalazł. Kiedy transportowano Leona na pokład, lekarz wziął Saffron na bok i powiedział:

– Pani ojciec jest ciężko ranny. Jeśli nie doszło do zakażenia rany, powinien żyć, ale czy będzie jeszcze chodził, to inna sprawa.

Saffron się nie odezwała. Była zbyt zmęczona fizycznie i emocjonalnie walką i tym, co działo się potem, by wydobyć z siebie choć słowo. Marynarz pomógł jej wejść na pokład torpedowca i dostała kubek gorącej herbaty, typowy angielski cudowny lek na wszelkie nieszczęścia, duże i małe. I gdy jego czarodziejska moc poskutkowała, Saffron otworzyła torebkę i ze smutkiem pokręciła głową. Mimo piekła, które przeszła, tych starannie opakowanych i zabezpieczonych tłuszczem przedmiotów nie tknęła kropla wody. Wyjęła jedną z drogich jej fotografii Gerharda i pochyliła się nad nią, tak że miała go tylko dla siebie. Cudownie było pomyśleć, że on żyje.

Ale znów pokręciła głową i schowała swoje małe skarby, przypominając sobie, co przepadło.

Duma floty Przedsiębiorstwa Handlowego Courtney zatonąła. Wielu dobrych ludzi straciło życie – i wszystko to na nic. Greckie złoto spoczywało na dnie morza, kilkaset metrów pod nimi, i nikt nigdy go nie odnajdzie.

Paliwo się skończyło, gdy Gerhard był jakieś dziesięć kilometrów na północ od Aten, nadal sto kilometrów od bazy. Ale wcześniej wolno wzniósł się na wysokość siedmiuset metrów, a kiedy silnik zgasł, pozwolił samolotowi bujać swobodnie w powietrzu. Wspominając swoje pierwsze szybowcowe loty nad Bawarią, rozkoszował się absolutnym spokojem i ciszą po bitewnej wrzawie, i wizerunkiem Saffron, która dumnie stała na łodzi, taka odważna i piękna, patrzyła śmierci w oczy i nie zdawała sobie sprawy, że tak naprawdę patrzy na miłość.

*Mein Gott!* Gdybym nacisnął spust... Ale nie nacisnąłem i teraz tylko to się liczy.

Mimo nieubłaganej utraty wysokości czuł zupełny spokój. Potrzebował jedynie odpowiednio długiego odcinka drogi, a nawet tylko płaskiego pola, chociaż znalezienie lądowiska w skalistym, górzystym terenie nie było łatwe. Kiedy w poprzednich tygodniach przechodzili odprawy przed jedną czy drugą misją, naoglądał się map Grecji i wiedział, że gdzieś tutaj, równoległe do wybrzeża, biegnie szeroka droga. Spojrzał w dół i dostrzegł taką właśnie prostą drogę, dziesięć kilometrów dalej.

Messerschmitt zniżył się nad marszową kolumną czołgów i piechoty, minął o milimetry ostatnie ciężarówki i wylądował na pasie betonu. Zatrzymał się po kilkuset metrach, przechylony na jeden bok.

Gerhard wysiadł z kabiny, rozpiął kamizelkę ratunkową, rozwiązał jedwabny szalik, który miał na szyi, po czym wyjął z kieszeni kurtki papierosy. Dawno już odkrył, że palenie to taka sama nieodłączna część wojny jak marne jedzenie i ostrzał nieprzyjaciela. Zobaczył zmierzającą w jego stronę kolumnę żołnierzy i opancerzonych pojazdów. Otwarty samochód sztabowy odbił od kolumny i pędem podjechał do niego. Oficer, który wysiadł, miał na ramionach naszywki Obersta, pułkownika. Gerhard zsunął się po kadłubie, odrzucił papierosa i stanął na baczność, salutując.

– Do diabła, co pan tu wyrabia? – spytał pułkownik.

– Miałem do wykonania zadanie, *Herr Oberst*. Zostałem trafiony i straciłem dużo paliwa. Nie mogłem wrócić do bazy, więc wylądowałem na tej drodze.

– Blokuje pan przemarsz. Do wieczora mam doprowadzić całą dywizję na przedmieścia Aten. Rozkazuję panu usunąć stąd tę maszynę.

– Bardzo mi przykro, Herr Oberst, ale nie jestem w stanie tego zrobić. Jak mówiłem, nie mam paliwa. Jeśli znalazłoby się trochę i pańscy żołnierze nieco by się cofnęli, mógłbym bez problemu wystartować.

– Cofnęli się? Nie cofnęliśmy się przed angolami. Czemu, do diabła, mielibyśmy się cofać przed panem?

– Widzę też inne wyjście, Herr Oberst. Teren po obu stronach drogi jest całkiem płaski. Pańskie pojazdy opancerzone i ciężarówki mogłyby objechać samolot.

– Mam nadzieję, że pańskie zadanie jest warte całego mojego zachodu – burknął pułkownik.

– O tak. – Gerhard uśmiechnął się triumfalnie. – Zatopiliśmy brytyjską jednostkę z ładunkiem wielkiej strategicznej wagi. Zadanie zlecił sam Reichsmarschall Göring.

Pułkownik zrozumiał aluzję. Ten zuchwały lotnik, z oznaczeniami strąceń na kadłubie samolotu i Żelaznym Krzyżem na szyi, miał za protektora samego Göringa.

– Rozkażę mojemu radiotelegrafiście, by przysłali tu jak najszybciej paliwo lotnicze. Spodziewam się, że pan odleci, gdy tylko napełni baki.

– Oczywiście, Herr Oberst, z najwyższą przyjemnością.

Ale na razie, pomyślał Gerhard, posiedzę na moim samolocie, popalę i pomyślę o mojej ukochanej.

Czasem wojna nie była taka zła.

Odwiedziny w szpitalu były tylko w ustalonych godzinach przed południem i po południu. Po dwóch tygodniach przewieziono Leona z Krety do Egiptu i Harriet starała się spędzać przy jego łóżku każdą dozwoloną chwilę, ale miała też na głowie przygotowanie domu na powrót męża, kiedy w końcu stanie się to możliwe. Chirurg, który operował nogę Leona, był pewien, że uda się ją uratować. Musiało jednak minąć kilka miesięcy, zanim pacjent będzie w ogóle mógł pomyśleć o chodzeniu, i nadal pozostawała obawa, że może go czekać wózek inwalidzki. Harriet na wszelki wypadek musiała przystosować dom dla inwalidy, i to zanim mąż wyjdzie ze szpitala, bo obawiała się, że kiedy już wróci, duma nie pozwoli mu prosić o żadne ułatwienia. Tak więc pewnego przedpołudnia była w domu, a nie jak zwykle w szpitalu, i rozmawiała z architektem o budowie ramp i dodaniu poręczy, dzięki którym Leon łatwiej by się poruszał, przynajmniej przez pierwsze dni, zanim przyzwyczai się do nowej sytuacji. Saffron zajęła jej miejsce w szpitalu i siedziała przy łóżku ojca, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Zobaczyć, kto to? – spytała.

Leon skinął głową.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i ujrzała mężczyznę o młodzieńczej twarzy, w okularach, w mundurze kapitana. Wyglądał na ledwie trzy, cztery lata starszego od niej.

– Och – bąknął tylko, widząc przed sobą piękną młodą kobietę w lekkiej bawełnianej sukience, spoglądającą na niego przejrzystymi ciemnobłękitnymi oczami.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała Saffron, bo kapitan wydawał się niezdolny do dalszej konwersacji.

– Ach, tak, jak najbardziej, oczywiście... Jestem Carstairs, wywiad wojskowy. Jeśli to możliwe, chciałbym zamienić słowo z panem Courtneyem. Mam dla niego pewne informacje, o których przekazanie mnie proszono.

– W takim razie proszę wejść, kapitanie Carstairs.

Zrobił kilka kroków w głąb pokoju i stanął u stóp łóżka, a Saffron zamknęła drzwi.



– Proszę mi wybaczyć, panie Courtney – odezwał się Carstairs – ale to, co mam do powiedzenia, jest raczej poufne. Dotyczy zatopienia *Gwiazdy Chartumu*. Tylko do pańskiej wiadomości.

– Mogę pana o coś spytać, Carstairs? – zapytał Leon.

– Ależ oczywiście, proszę pana.

– Brał pan udział w działaniach bojowych? Nie chodzi mi o pracę w kwaterze głównej, na tyłach. Mówię o starciu twarzą w twarz, gdzie latają kule, gdzie ludzie giną.

– Och, nie, proszę pana, w czymś takim nie brałem udziału. Walczę raczej z za biurka. Analiza danych wywiadowczych.

– Analizował pan ostatnio prasę?

– Przepraszam pana, ale nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

– No cóż, w kairskiej prasie było kilka artykułów o działaniach mojej córki na *Gwieździe Chartumu*, o tym, jak odpierała ataki Luftwaffe. Ludzie mówią, że zasługuje na medal. Więc jeśli ma pan coś do powiedzenia na temat tego rejsu, może pan powiedzieć to przy niej albo w ogóle się nie odzywać. Czy jasno się wyraziłem?

– Tak, proszę pana, jak najbardziej. Panno Courtney, pozwolę sobie zapytać: czy mogę liczyć na pani absolutną dyskrecję?

– Oczywiście.

– No dobrze. Oto co chcę przekazać... Być może wiedzieliście państwo, że ładunek umieszczony na pokładzie *Gwiazdy Chartumu* był... jak to określić? Niezwykłej wartości, że tak to ujmę.

– Ja wiedziałem – oznajmił Leon.

– I ośmielałem się sądzić, że świadomość utraty tego ładunku znacząco wzmogła... hm... przygnębienie, jakie musiał pan czuć, wiedząc, że pański statek zatonął i zginęło tylu członków załogi... oczywiście nie wspominając rany, jaką pan odniósł.

– No tak, owszem.

– Może nawet zadawał pan sobie pytanie, czy warto było poświęcić to wszystko – dodał Carstairs, a milczenie Leona potwierdziło jego domysły. Odchrząknął i mówił dalej: – Mam nadzieję, że to, co chcę przekazać, upewni pana, iż przyłożył się pan do wysiłku wojennego w znacznie większym stopniu, niż pan myśli. Otóż ładunek, który miał być na *Gwieździe Chartumu*, w istocie trafił... gdzie indziej.

– Co to znaczy?! – wykrzyknęła Saffron.

– Statek był wabikiem. Prawdziwy ładunek znalazł się na innej jednostce i dotarł już bezpiecznie do miejsca przeznaczenia, co do uncji.

– Ale to tylko pogarsza całą sytuację, nie polepsza. Ci wszyscy marynarze poświęcili się na próżno!

– Nie – zaprotestował Leon. – To znaczy, że *Gwiazda* została wystawiona na ryzyko i w końcu zatopiona, aby prawdziwy ładunek mógł dotrzeć do celu. Nasza misja miała sens. Tylko jedno pytanie, Carstairs: Skąd wiedzieliście, że Niemcy łykną przynętę?

– No cóż, mieliśmy dla nich kilka zmyłek: na przykład tamte ciężarówki ustawione przed Bankiem Grecji, gdzie wścibskie oczy mogły je zobaczyć. W rzeczywistości załadunku dokonano kilkanaście nocy wcześniej i o wiele dyskretniej. A co ważniejsze, mamy powód przypuszczać, że mógł być przeciek z naszej strony, albo tu w Kairze, albo w Aleksandrii, albo może nawet z samego statku.

– Ma pan na myśli szpiega pośród nas? – spytał Leon.

– Tak, coś takiego.

– Jeden z naszych ludzi?

– Możliwe... lub ktoś inny, wspierający nazistowską sprawę. Jest wielu nacjonalistów, tak żydowskich, jak i muzułmańskich, którzy chcą, żebyśmy się stąd wynieśli, i wróg ich wroga jest ich przyjacielem.

– Żydzi popierający Hitlera? – wtrąciła Saffron. – To wydaje się mało prawdopodobne. Byłam w Niemczech, panie kapitanie. Wiem, jakie życie zgotowano tam Żydom.

– Ale nie Żydom tutaj, panno Courtney. Większość z nich ma do nas niezwykle przyjazny stosunek, ale jest trochę syjonistów, którzy chcą nas wykopać z całego regionu, zwłaszcza z Palestyny, choć także z Egiptu. Oczywiście, nienawidzą muzułmańskich radykałów jeszcze bardziej niż nas, i z wzajemnością. Więc jeśli kiedykolwiek się stąd wyniesiemy, radośnie zaczną się nawzajem wyrzynać. Niemniej teraz jesteśmy wrogiem i dla jednych, i dla drugich.

– Hm, życzę powodzenia w znalezieniu tego człowieka, Carstairs – powiedział Leon. – Jeśli mogę coś dla pana zrobić, proszę dać mi znać. Może pan liczyć na moją współpracę.

– Dziękuję, proszę pana. Bardzo dobrze to wiedzieć. Miłego dnia, panie Courtney, życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

– Odprowadzę pana, kapitanie – powiedziała Saffron. Towarzyszyła Carstairsowi do drzwi i podążała za nim wzrokiem, gdy szedł przez korytarz.

Egipski sprzątaczył mopem podłogowe linoleum. Saffron nie zwróciła na niego uwagi. Weszła z powrotem do pokoju.

Ojciec był zmęczony. Nie miał energii na głupstwa, więc od razu przeszedł do rzeczy:

– Myślę, że to twój stryj Frank jest szpiegiem. Wiedział o rejsie i chociaż nie mówiłem mu dokładnie, co będziemy przewozić, wiedział dość, żeby ktoś inny mógł się domyślić szczegółów.

– Naprawdę uważasz, że mógłby się do tego posunąć?

– Chciałbym móc zaprzeczyć. Niestety, według mnie jest tak zgorzkniały i wściekły, że gotów byłby zdradzić rodzinę i ojczyznę. Wszyscy wiemy, co myśli na temat faszyzmu, nigdy się z tym nie krył.

– Ale czemu jest wściekły? Uratowałeś spółkę i dzięki tobie ma masę pieniędzy.

– Myślę, że to tylko pogarsza sytuację. Kiedy ktoś upatrzy sobie wroga, traci sprawiedliwy osąd. A jeśli zachowasz się przyzwoicie, tak że jemu tylko lepiej będzie się wiodło, tym bardziej cię nie cierpi. Jestem Frankowi potrzebny, żeby odgrywać rolę czarnego charakteru w tej wykoślawionej fantazji, którą sobie stworzył. Inaczej musiałby zadać sobie jeszcze większy trud, by wytłumaczyć, dlaczego, wbrew wszystkim pozorom, spycham go na dno.

– Jak można tak strasznie pogmatwać sobie życie?

– No właśnie. Ale kiedy ktoś raz utknie w takiej koleinie, właściwie nie można go z niej wyciągnąć, chyba że sam zapragnie się zmienić. Tymczasem mamy drugi problem. Pewnie nie tylko ja podejrzewam, że Frank jest szpiegiem, więc zastanawiam się, czy Carstairs nie chciał mi dać cynku, że jego koledzy o tym wiedzą.

– Po co? Co możemy z tym zrobić?

– Nie wiem. Gdybym był w formie, pojechałbym do niego, stawił mu czoło i w razie potrzeby wycisnąłbym z niego prawdę.

– I co wtedy? Nie wyszlibyśmy na tym dobrze... i jako rodzina, i jako firma... gdyby jeden z braci Courtneyów okazał się nazistowskim szpiegiem.

– Nikt by na tym dobrze nie wyszedł. Pewnie mógłbym dać mu wybór: wygnanie, na przykład do Maroka lub Hiszpanii, neutralnego kraju, w którym nie narobiłby kłopotów, lub też przekazanie go władzom, które za zdradę postawiłyby go przed sądem. W końcu to

przestępstwo, za które płaci się głową. Wyobrażam sobie, że nawet Frank byłby gotów się podporządkować, żeby ratować swój kark.

– Ale nie możesz tego zrobić. Przynajmniej na razie.

– Nie przypominaj mi o tym.

– Ale ja bym mogła albo Harriet. Albo może stryj Dorian czy babcia? Posłuchałby ich?

– Nie możemy ich angażować, nie opowiadając im, co dokładnie robiliśmy w Atenach, a to jest wykluczone. Tak żałuję, że brak mi sił. Przysięgam, że wepchnąłbym mojego najdroższego braciszka pod pierwszy lepszy autobus.

– To chyba lepiej, że nie możesz tego zrobić – powiedziała Saffron. – Teraz odpoczywaj. Ważne, żebyś doszedł do siebie. A w razie najgorszego, gdyby wyszło na jaw, że stryjek Francis jest szpiegiem, i skandal zrujnowałby Przedsiębiorstwo Handlowe Courtney, wciąż będziesz miał Lusimę, Harriet i mnie, i wszyscy będziemy cieszyć się życiem.

– Tak, to prawda. Ale co z Dorianem, babcią i moimi siostrami?

– Oni też mogą przyjechać do Lusimy i mieszkać z nami. Miejsca nie zabraknie!

– Droga Saffron – powiedział Leon, ściskając ją za rękę – jaka z ciebie kochana, dobra, wspaniała córka.

– Jesteś miły, ale ta córka nic ci nie odpuści. Harriet później do ciebie zajrzy, ale na razie musisz odpocząć.

Ucałowała go w czoło, pożegnała się i wyszła z pokoju.

Na korytarzu zauważyła, że sprzątacznik zniknął, chociaż sądząc po tym, że pozostawił kawał linoleum nietknięty, wykonał tylko skromną część pracy. Gdyby Harriet pilnowała tego szpitala, nie ośmieliłby się tak obijać, pomyślała Saffron i uśmiechając się do siebie, ruszyła w kierunku wyjścia.

Ledwie tylko Saffron, pożegnawszy kapitana Carstairsa, wróciła do ojca, sprzątacze porwał mop i wiadro i popędził do schodów. Dwie minuty później opuścił szpital wyjściem dla personelu i skierował się do starej części miasta. Miał wiadomość dla Hassana al-Banny i liczyła się każda minuta.

Po dwóch godzinach wiadomość była w drodze do Berlina, za pośrednictwem placówki Afrika Korps.

Kiedy Saffron wróciła do domu, Harriet zapytała, jak się czuje Leon.

– Myślę, że raczej jest w dobrej formie, ale trochę się zmęczył i prosiłam go, żeby odpoczywał do czasu, aż tam przyjdiesz.

– Nie protestował?

– Nie. Wydawał się skłonny do współpracy. Powiedział, że jestem dobrą, wspaniałą córką, co było bardzo miłe z jego strony.

– No bo jesteś – potwierdziła Harriet.

– Mogę nalać sobie drinka? – spytała Saffron. – Mam ochotę na gin z tonikiem.

– Skarbie, nie musisz mnie pytać o pozwolenie. Jesteś dorosła. Tylko bądź taka miła i mnie też nalej. I nie oszczędzaj ginu!

Saffron wyszła ze szklanką na taras, skąd miała widok na rozciągające się aż do Nilu ogrody. Myślała o wszystkim, co usłyszała w szpitalu, o tym, co ojciec mówił o Franku. Była oburzona, myślała, ile ludzi przez niego zginęło, ile szkód wyrządziła jego zdrada. Hańba w jakiejś mierze spadała też na nią. Frank nazywał się Courtney, tak jak ona, i jego czyny zhańbiły całą rodzinę.

Może należy go zdemaskować, przemknęło jej przez głowę. Może zasługujemy na to, żeby nasze dobre imię też zostało zszargane, bo jesteśmy rodziną Franka.

Ale po chwili uznała, że nie zrobiła nic, czego mogłaby się wstydzić, ojciec też nie. Czemu miałoby cierpieć przez niegodziwość jej stryja? I co dobrego wyniknęłoby z upublicznienia jego zdrady? Nikt by na tym nie skorzystał poza tymi, którzy pragnęli upadku Wielkiej Brytanii i imperium brytyjskiego. A zatem im mniej ludzi wiedziało o jego zdradzie, tym lepiej.

Ale nie może mu się upiec, po prostu nie może! – pomyślała.

Sączyła drinka, zastanawiając się nad tym. Rozwiązanie pojawiło się nagle, niczym wynik skomplikowanego równania. Jeszcze raz prześledziła swoje rozumowanie, szukając jakiegoś błędu, ale nie znalazła żadnego. Odpowiedź była właściwa.

Teraz już wiedziała, co należy zrobić.

– Czy miętowa herbata ci odpowiada? – spytał Hassan al-Banna.

– Ujdzie – rzucił szorstko Francis Courtney.

– Może nieco cukru poprawiłoby jej smak?

– Może – sapnął niecierpliwie Francis. – Słuchaj, nie przyszedłem tu paplać o mięcie i cukrze. Chciałeś się ze mną spotkać. Po co?

Al-Banna ze smutkiem pokręcił głową. Allah jest wszechwiedzący i wszechmądry. Musiał z jakiegoś powodu skrzyżować ścieżki tego niewiernego, tego prostaka i niewdzięcznika, ze ścieżką jego, al-Banny. Ale na próżno zachodził w głowę, co to za powód. Może On tylko chce wystawić na próbę moją cierpliwość, rozważał. Tak, to mogła być próba.

– Nasi wspólni przyjaciele są niezadowoleni. Wprowadziłeś ich w błąd co do *Gwiazdy Chartumu*.

– Jak to „wprowadziłem w błąd”? Powiedziałem im, skąd płynie, jaki ładunek zabiera i dokąd ma się udać. Zatopili ją, tak jak chcieli. To ja powinienem być niezadowolony. Mieli się pozbyć mojego brata i tej jego smarkuli. A ci wciąż żyją w najlepsze. No i co oni na to... hę? Hę?!

– Mają ważniejsze problemy niż życie lub śmierć dwojga nic nieznaczących jednostek.

– Jakie to problemy?

– Na statku nie było złota.

– No to gdzie jest?

– Nasi przyjaciele nie wiedzą. Ale gdybym był na twoim miejscu, panie Courtney, bardzo postarałbym się tego dowiedzieć. Jeśli zdołasz im wskazać, gdzie ono naprawdę jest, może będą mniej skłonni podejrzewać, że celowo wprowadziłeś ich w błąd.

– Niczego takiego nie zrobiłem! Powiedziałem im, co wiem, wszystko, co usłyszałem od mojego własnego cholernego brata. Jeśli ktoś wprowadził was w błąd, to on. Nie ja.

– Nie wierzę w to. Nie ma żadnych dowodów na to, że twój brat jest związany z brytyjskim wywiadem. Myślę, że jego oszukano najpierw. Użyto go jako przynęty. Powiedział ci o wszystkim, bo chciał cię przekonać, że za wszelką cenę należy wysłać *Gwiazdę Chartumu* do Grecji. Pytanie brzmi: Czy wywiad brytyjski wiedział, że przekażesz tę informację nam? Jeśli wiedział, stawia cię to w podejrzanym świetle

i twoja pozycja jest, hm... – Hassan szukał właściwego słowa. – Niepewna... tak. Bardzo niepewna.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzają mnie wykończyć? – spytał Francis. Twarz nagle mu zszarzała. Strużka potu pociekła po skroni. – Ale nie zrobiłem niczego złego. To nieuczciwe.

– Tylko Anglicy są na tyle głupi, by sądzić, że życie powinno być uczciwe. Jednakże ta sytuacja jest całkowicie jasna. Naraziłeś naszych przyjaciół na wielki trud, który okazał się całkowicie bezcelowy. Teraz masz wobec nich dług. Jeśli dowiesz się, dokąd Brytyjczycy zabrali greckie rezerwy złota, i udowodnisz, że informacja jest prawdziwa, nie ma problemu. A jeśli tego nie zrobisz... – Wzruszył ramionami. – Allah jest sprawiedliwy. Dostaniesz dokładnie to, na co zasłużyłeś.

Francis mało się nie rozplakał ze strachu, gniewu i bezdennego żalu nad samym sobą. Zrobił wszystko, co mógł, by pomóc sprawie. Przekazał niezwykle ważne informacje, uznając je za prawdziwe. Skąd miał wiedzieć, że Leon go okłamał? Bo Leon na pewno kłamał, świadomie i celowo wprowadził go w błąd.

Wracając do domu, wpadł do klubu sportowego na kilka szkockich, po czym, zawiany, pokonał krótką drogę do swojego mieszkania w eleganckim nowym bloku między klubem a rzeką. Otworzył drzwi, cisnął na kanapę marynarkę i kapelusz i poszedł nalać sobie jeszcze szklaneczkę.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Frank zmarszczył czoło.

– Kto, u licha, przychodzi do mnie tak późno w nocy? – mruknął pod nosem i poczuł ukłucie strachu na myśl: Czy ci cholerni Niemcy wysłali kogoś, żeby mnie wykończył?

Nie, to było niemożliwe. Został ostrzeżony o tym, co może go czekać, ale dali mu szansę, by wszystko naprawił. I dopóki myśleli, że może znaleźć miejsce ukrycia złota, był bardziej użyteczny żywy niż martwy.

Wziął głęboki oddech, głównie po to, by trochę otrzeźwieć i opanować się, i poszedł otworzyć drzwi.

Kiedy zobaczył, kto stoi w progu, warknął:

– Cholerny świat, czego chcesz?



– Dzień dobry, stryju – odezwała się Saffron. – Nie zaprosisz mnie do środka?

– No cóż, a mam inne wyjście? Wchodź.

Saffron przekroczyła próg, dostrzegając gorzki grymas na ustach stryja. Znalazła się w szerokim, bogato zdobionym korytarzu z marmurową posadzką, o ścianach pokrytych tapetą w kolorze głębokiej orientalnej czerwieni, z nowoczesną, lakierowaną na czarno komodą, stojącą pod dobranym do niej lustrem. Francis zaprowadził bratanicę do salonu na końcu korytarza. Całą ścianę w głębi tworzyły szklane drzwi, wychodzące na balkon z imponującym widokiem na Nil i starą część miasta.

– Zachwycające mieszkanie, stryju – powiedziała Saffron. – Często się zastanawiałam, jak mieszkasz. Kiedy się tu wprowadziłeś?

– Latem trzydziestego dziewiątego, tuż zanim to wszystko się zaczęło. Typowy niefort, dostałbym je za połowę ceny, a nawet ćwierć, gdybym zaczekał trzy miesiące.

– Czy to nie miłe, jak powodzenie spółki uprzyjemniło wszystkim życie? Studio Dorian w Aleksandrii jest boskie.

– Też się zasłużyłem. Nie tylko twój święty tatuś.

– Tak, wiem. Dzięki tobie ruszyły te interesy z Niemcami. Szkoda, że wszystko musiało się skończyć. Czy mógłbyś mnie poczęstować drinkiem?

– Och, naturalnie. Wybacz mój brak dobrych manier – wyrzucił z siebie Francis. – Szczerze mówiąc, nie za często przyjmuję gości. Właściwie w ogóle. Jak człowiekowi brakuje wprawy, zapomina, co to gościnność. Pijesz? To znaczy alkohol?

– Tak, oczywiście. – Saffron zachichotała. – No wiesz, jestem już dorosła. Mam dwadzieścia dwa lata.

– Naprawdę? Dobry Boże, jak ten czas leci. No to czego się napijesz?

Przez sekundę Saffron widziała przed sobą mężczyznę, jakim Francis Courtney był kiedyś i jakim mógłby pozostać, gdyby nie wybrał życia w goryczy zamiast w nadziei, gdyby nie skupiał się na wyrządzonych mu krzywdach, zamiast dostrzegać dobroć, i nie podejrzewał innych o złe intencje, zamiast ufać w zwykłą przyzwoitość.

– Mógłbyś mi zrobić martini?

– Jasne. Ja wolę raczej whisky.

Saffron usiadła w fotelu i położyła obok otwartą torebkę. Frank tymczasem zrobił drinka. Był zimny, mocny, z ledwo wyczuwalną nutą wermutu.

– Mmm – wymruczała – idealny. Powinieneś, stryjku, otworzyć bar i nazwać go U Courtneya.

Francis też usiadł. Jego świeżo napełniona szklanka była już prawie pusta.

– Widzę, że trzeba ci znów nalać, stryjku. Nie wstawaj, zajmę się tym.

– Saffron wzięła jego szklankę, podeszła do szafki z alkoholami, napełniła szklankę i postawiła ją obok fotela Francisa, tuż przy marmurowej lampie stołowej w kształcie antycznej kolumny. – Ten widok zapiera dech w piersiach – powiedziała, podchodząc do drzwi balkonowych. Otworzyła je i oparła się o framugę. – Przywodzi mi na myśl piosenkę... – Zanuciła pierwsze takty *You Belong to Me*. – „Spójrz na piramidy nad Nilem...”

Rusz się! – nakazała mu w myślach, równocześnie próbując przypomnieć sobie drugi wers piosenki. Wstań z tego fotela. Musisz stać!

– No chodź i popatrz, stryjku, przepływa jedna z tych restauracji na łodzi. Ludzie tańczą na pokładzie. Posłuchaj! Słyszysz muzykę?

Francis opróżnił szklankę i wstał chwiejnie.

– Ciągłe je tu widzę, ale skoro każesz...

Saffron poczekała, aż stanął obok niej, niemal tak blisko jak kochanek, i wtedy zapytała:

– A więc, stryjku, dlaczego zdradziłeś nas Niemcom?

– Niczego takiego nie zrobiłem! – zaprotestował.

Nagle zdał sobie sprawę, że jest pijany. Myśli mu się plątały, nie wiedział, jak się wydostać z tej dziury, w którą zapadał się coraz głębiej, w miarę jak upływała noc.

– Zrobiłeś! – warknęła. Przestała udawać małą słodką bratanicę i jej głos przybrał twardy, agresywny ton. – Powiedziałeś im, że twój brat płynie do Pireusu... Twój własny brat! Człowiek, który uratował cię przed plajtą. Człowiek, którego pieniądze pozwoliły ci kupić tę śmieszoną pijacką świątynię, w której możesz mieszkać sam, bez nikogo, zawsze tylko sam.

– Zarobiłem na to mieszkanie! Zarobiłem! Nie on mi je dał!

– Jeśli zarobiłeś, to tylko dlatego, że sprzedałeś się nazistom. Przyznaj się, pracujesz dla nich. Ty im powiedziałeś, dokąd płynie *Gwiazda Chartumu*, zgadza się? – Oskarżycielsko dźgnęła go w pierś pomalowanym na czerwono paznokciem. – Ty im powiedziałeś, że zabiera greckie złoto, tak? – Znów go dźgnęła, tym razem mocniej.

– Przestań!

– Och, nie lubimy, jak dziewczyna nas zawstydzą? No to się dowiedz, że jest mi obojętne, co lubisz, a czego nie lubisz. Mój ojciec, twój brat, leży w szpitalu z roztrzaskaną nogą. Może nigdy więcej nie będzie chodził... przez ciebie.

Do diabła! Znów mnie dźgnęła! – pomyślał Francis.

– Powiedziałem: przestań! – warknął z wściekłością i groźnie postąpił krok w jej stronę, oczekując, że się cofnie.

Saffron ani drgnęła.

– Nie boję się ciebie. Byłam na wojnie i brałam udział w prawdziwej bitwie, jakiej nigdy nawet nie widziałeś. Przedstawiono mnie do Medalu Jerzego za wyjątkową odwagę pod ostrzałem nieprzyjaciela. Raz za razem nadlatywali Niemcy... którzy jakimś sposobem dokładnie wiedzieli, gdzie jesteśmy... którzy wybrali *Gwiazdę Chartumu* spośród wszystkich innych statków uciekających ile pary w kotłach z Grecji, żeby się dostać do Aleksandrii... I to wszystko...

Dźgnięcie!

– Przez...

Dźgnięcie!

– Ciebie!

Znów go dźgnęła, ale tym razem odtrącił jej rękę.

I wtedy Saffron wymierzyła mu tak mocny policzek, że głowa poleciała mu w bok i zatoczył się do tyłu, widząc przed oczami wszystkie gwiazdy.

Chryste! Nie uderzyłam go za mocno? – pomyślała Saffron. Wydawał się oszołomiony, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie, dalej, nie możesz się teraz poddać! Nie wolno ci!

Gniew przebił się przez bezradność Francisa, adrenalina go otrzeźwiła i dała mu nową siłę.

– Zapłacisz mi za to, ty mała suko! – syknął.

I rzucił się na nią, wymachując pięściami i mierząc w tę jej piękną twarz, żeby ją zmiażdżyć, żeby wypędzić tę sukę z pokoju.

Saffron uniosła ręce, by osłonić głowę, i krzywiła się z bólu przy każdym jego kolejnym uderzeniu.

– Tak! – wrzasnął, coraz bardziej zaciętrzewiony. – Powiedziałem wszystko Niemcom! Chciałem waszej śmierci! Obojga!

Nagle, całkiem niespodziewanie, zmienił cel ataku i zadał krótki, mocny cios poniżej uniesionych łokci Saffron, w splot słoneczny. Bezskutecznie usiłowała złapać powietrze, które uciekło jej z płuc, rozpaczliwie walczyła o oddech i straciła czujność.

– Zdechnij! – wrzasnął znowu i uderzył ją prosto w usta; rozciął jej wargę, zaczepiając też o nos.

Saffron krzyknęła z bólu, gdy krew popłynęła jej z nozdrzy i ust. Zatoczyła się w tył, zahaczyła nogami o brzeg kanapy i upadła na nią plecami, lądując obok swojej torebki.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że Francis się do niej zbliża. Drinki, które wypił, sprawiały, że chwiał się na nogach, ale było to dla niej marnym pocieszeniem. Bo teraz złapał marmurową lampę, stojącą na stoliku obok jego fotela. Saffron wcisnęła się w kanapę, mocno trzymając torebkę, a on wyrwał przewód z gniazdka, zerwał abażur i chwycił lampę poniżej żarówki. Trzymał ją jak maczugę, a jej gruba kwadratowa podpórka była niczym głowica.

Wściekłość całkowicie go zaślepiała i bełkotliwie coś wrzeszczał, idąc w kierunku kanapy. Saffron wsunęła rękę do torebki.

Uniósł lampę nad głowę. Na wpół się odwrócił, gotowy włożyć całą siłę w zamach i zmiażdżyć czaszkę Saffron.

Wyciągnęła z torebki prawą rękę, objęła ją lewą dłonią, uniosła obie i gdy Francis Courtney z przerażeniem wybałuszył oczy, widząc, że

bratanica trzyma pistolet, strzeliła prosto między jego rozszerzone źrenice.

Odetchnęła głęboko i rozejrzała się dokoła. Wcześniej sądziła, że będzie musiała trochę upozorować okoliczności zdarzenia, by pasowały do historii, którą zamierzała przedstawić. Ale stryj Francis nieświadomie odegrał idealnie swoją rolę, tak że niczego nie trzeba było fabrykować. Pocisk, uderzając z bliskiej odległości, przewrócił go na plecy i Francis wypuścił z ręki lampę. Ale leżała przy jego ciele, co potwierdzi wersję Saffron. Tymczasem krew nadal spływała jej po twarzy. Przesunęła językiem po zębach, ostrożnie sprawdzając, czy kogoś nie straciła. Wszystkie były na miejscu, a gdy przyłożyła chusteczkę do twarzy, żeby trochę zetrzeć krew, poczuła, że nos ma obolały i spuchnięty, ale raczej nie był złamany. Co za ulga. Skrzywiony nos może dodaje szelmowskiego uroku mężczyźnie, ale na pewno nie jest ozdobą dla młodej kobiety.

Uspokojona, że wszystko jest jak należy, zadzwoniła na policję. Zastanawiała się, czy udawać spanikowaną, histeryzującą kobietę, ale odrzuciła ten pomysł. Wiadomo było, że potrafi zachować zimną krew pod ogniem nieprzyjaciela. Na pewno musi okazywać zdenerwowanie tym, co się wydarzyło, ale nikt nie powinien się dziwić, że nadal ogarnia sytuację.

– Chciałabym zgłosić nagłą śmierć – oznajmiła, kiedy połączono ją z dyspozytorem policji, Anglikiem, gdyż w całym imperium policja działała tak samo: tubylcy na dole hierarchii służbowej, Brytyjczycy na górze. – Chodzi o mojego stryja. Pokłóciliśmy się... Był bardzo pijany i stracił nad sobą panowanie. To było straszne... zaatakował mnie i... i uderzył pięścią w twarz. Potem próbował mnie zabić marmurową lampą i... i... no, strzeliłam do niego. Chyba nie żyje.

– Niech pani pozostanie na miejscu, będziemy tam za sekundę. Proszę niczego nie dotykać ani nie przesuwać. Gdzie jest ciało?

– W salonie.

– W takim razie sugeruję, żeby przeszła pani do kuchni i tam zaczekała. Zdecydowanie nie radzę pani opuszczać lokalu. Bo wtedy byłbym zmuszony wydać nakaz aresztowania pani, a tego nie chcielibyśmy, prawda?

Saffron zastosowała się do poleceń. Po części oczekiwała, że któryś z sąsiadów zastuka do drzwi, ciekawy, co się wydarzyło. Ale

apartamentowiec zbudowano z myślą o prywatności mieszkańców, więc ściany były grube. I padł tylko jeden strzał. Jeśli nawet ktokolwiek go usłyszał, stwierdziła Saffron, mógł się nie domyślić, co tak huknęło, i zanim przystąpił do działania, czekał na dalsze odgłosy. Gdy w końcu zapukano do drzwi, była to policja. Idąc otworzyć, Saffron zerknęła do lustra w przedpokoju. Była zaskoczona, ale równocześnie odetchnęła, bo jej pulsująca, obolała twarz wyglądała jeszcze gorzej, niż mogłaby się spodziewać.

Przyjechało ich czterech: funkcjonariusz po cywilnemu, dwaj mundurowi i fotograf.

– Sierżant Ralph Riley z wydziału dochodzeniowo-śledczego – przedstawił się tajniak. – Może pani podać imię, nazwisko i adres?

Saffron podała te dane i na potwierdzenie wręczyła Rileyowi swój dowód tożsamości. Rozkazał mundurowym trzymać straż na zewnątrz i spisać ciekawskich sąsiadów, którzy by tutaj zaglądali. Kazał Saffron usiąść przy kuchennym stole i kilka minut poczekać. Potem razem z fotografem poszedł do salonu obejrzeć miejsce zdarzenia. Wrócił po jakichś dziesięciu minutach, usiadł naprzeciwko Saffron i poprosił, żeby opowiedziała, co się stało.

– Przyszłam zobaczyć, czy uda mi się namówić stryja Francisa, żeby odwiedził mojego ojca, który leży w szpitalu – oznajmiła. – Tato i ja byliśmy na statku, który został zatopiony na Morzu Egejskim, a tato odniósł ciężką ranę i to było po prostu straszne, że własny brat go nie odwiedza. No, stryjek wpadł w potworną wściekłość. Myślę, że nie cierpiał mojego ojca z powodu umowy biznesowej, chociaż wyszedł na niej świetnie. I myślę też, że był bardzo pijany. Przy mnie wychylił dwie duże szklanki whisky, bardzo szybko, jedna za drugą, a miałam wrażenie, że już wcześniej wypił sporo.

Riley zajrzał do notatnika.

– Chwileczkę, właśnie zdałem sobie sprawę... wydało mi się, że znam pani nazwisko... Saffron Courtney, oczywiście, to pani była w gazecie. Jest pani przedstawiona do medalu.

Mówił to takim tonem, jakby zamierzał poprosić o autograf dla żony.

– Zgadza się – potwierdziła Saffron.

– No niech mnie, trafiła pani z deszczu pod rynnę, co?

– Chyba można tak powiedzieć.

– Tak się składa, że miejsce zdarzenia mówi samo za siebie. Niewątpliwie została pani uderzona w twarz. Po naszej rozmowie



fotograf zrobi pani zdjęcia na dowód tego faktu. I jeśli nie ma tu osoby trzeciej, o której pani nie wspomniała...

Spojrzał na Saffron.

– Nie, byliśmy w mieszkaniu sami – odparła. – Stryj nie ma stałej służby i podkreślał, że bardzo rzadko tu kogoś gości.

– Jestem pewien, że sąsiedzi potwierdzą pani słowa. I na pewno można przyjąć, że stryj panią uderzył. Ma ślady krwi na prawej dłoni i mankiecie koszuli. I przypuszczam, że znajdziemy jego odciski palców na lampie, którą, jak pani twierdzi, chciał panią uderzyć. Tylko jedno mnie dziwi, panno Courtney. – Popatrzył na Saffron i teraz w jego oczach nie było cienia zachwytu. – Dlaczego młoda kobieta, składająca grzecznościową wizytę stryjowi, ma przy sobie pistolet beretta czterysta osiemnaście?

– Bo zawsze go mam przy sobie, sierżancie.

– A to dlaczego?

– Zapewne z przyzwyczajenia. Kiedyś byłam szoferem generała majora Wilsona. Moim zadaniem było dowozić go na miejsce bitwy. Oczywiście, my, dziewczyny z MTC, jako cywile, nie jesteśmy uzbrojone. Ale ojciec uważał, że powinnam mieć jakiś środek samoobrony, na wszelki wypadek, i generał Wilson... może nie powinnam tego mówić, bo nie chcę go narazić na jakieś kłopoty...

– Nie martwiłbym się tym, proszę pani. W końcu to generał.

– No, powiedział, że przymknie na to oko, jeśli mu dowiodę, że umiem obchodzić się z bronią. I dowiodłam. Widzi pan, dorastałam w Kenii, więc nauczyłam się strzelać, to dla mnie nie był żaden problem. Stanowczo poprosił jednak, bym nie demonstrowała, że mam przy sobie broń. Ojciec dał mi tę berettę, bo mieściła mi się w torebce, i od tamtej pory zawsze ją noszę.

– Czy miała pani powód wcześniej jej użyć? Na przykład w gniewie...

– Tak. Podczas operacji Compass, na początku tego roku, natknęliśmy się na włoski patrol i musiałam jej użyć, żebyśmy mogli przejechać.

– Proszę pani, czy kiedyś już zastrzeliła pani człowieka?

Saffron niespodziewanie dla samej siebie poczuła, że jej spokój przyska, i teraz nie było w tym żadnego udawania. Przygryzła wargę.

– Tak... zastrzeliłam... – odrzekła po chwili. – Dlatego wiedziałam, co mam robić... ale... to straszne zastrzelić człowieka... i to był mój stryj, moja rodzina...

Zaczęła płakać i wyjęła z torebki zakrwawioną chusteczkę.

– Bardzo mi przykro, panno Courtney, ale będę potrzebował tej chusteczki. Dowód rzeczowy – powiedział Riley. Wstał i sięgnął po ścierkę wiszącą na kuchence. – Proszę.

– Dziękuję. Po prostu dotarło do mnie, co... się stało. Stryj nie był miłym człowiekiem, sierżancie. Ale wolałabym... wolałabym, żeby nie doszło do tego wszystkiego.

– Jestem o tym przekonany. Tylko jeszcze powiem fotografowi, żeby zrobił pani zdjęcie, i jeden z moich funkcjonariuszy odwiezie panią do domu. Muszę panią prosić o pozostanie w mieście. Czy przypadkiem oczekuje pani rozkazu wyjazdu?

– Nie, jestem na bezterminowej przepustce.

– W takim razie proszę nie opuszczać miasta, dopóki pani nie zawiadomię, że to ograniczenie jest zniesione.

Następnego dnia Leon kazał Harriet zaangażować najlepszego w Kairze adwokata od prawa karnego, Josepha Azerada, by poprowadził sprawę Saffron.

– Bez obaw, panie Courtney, już moja w tym głowa, żeby sprawa nie trafiła przed sąd – obiecał adwokat.

Leon poinformował go o uwielbieniu, jakim Frank darzył Oswalda Mosleya. Azerad natychmiast zadzwonił do komendanta policji kairskiej i bez ogródek oświadczył mu, że byłoby hańbą, gdyby dzielna młoda kobieta, która z wyróżnieniem pełniła służbę wojskową i której twarz zmasakrował nikczemny cham, została oskarżona o czyn, który niewątpliwie był działaniem w obronie własnej.

Porozumiał się też ze swoimi ludźmi w działach informacyjnych „Gazette” i „Mail” i poinformował ich, że słynąca z urody i bohaterstwa Saffron Courtney musiała się bronić przed atakiem swojego stryja, znanego sympatyka faszyzmu. Powiedział dziennikarzowi z „Gazette”, że w klubie sportowym znajdzie się wielu, którzy potwierdzą, iż Francis Courtney od dawna był sympatykiem Mosleya. A człowiekowi z „Mail” przekazał adres lekarza, który badał rany Saffron, i termin jej wizyty.

Ostrzeżona wcześniej, Saffron spojrzała prosto w obiektyw i uniosła rękę, jakby się broniła przed wścibską prasą. Od czasu tamtej fotografii, zrobionej przez policję, twarz Saffron spuchła jeszcze bardziej i pokryła się wyraźnymi siniakami. Nikt, kto zobaczył te zdjęcia, nie mógł wątpić, że została zaatakowana, a kolejne siniaki na przedramionach dowodziły, że próbowała się bronić przed stryjem.

Do końca dnia ustalono, że Francis trzymał lampę tuż poniżej żarówki, co potwierdzało zeznanie Saffron, i że usiłował ją uderzyć podstawą. Natomiast kąt, pod którym pocisk z beretty 418 przebił mu czaszkę, potwierdzał, że dziewczyna leżała bezradna na kanapie, strzelając do Francisa, gdy na nią nacierał.

Pod koniec tygodnia sprawę zamknięto. Saffron dostała telegram od Jumbo.

SLYSZAŁEM O WYDARZENIACH W KAIRZE STOP MYSLE ZE  
POTRZEBUJESZ ZMIANY MIEJSCA STOP PRZYJEDZ DO JEROZOLIMY STOP

TO ROZKAZ WILSON

Podczas gdy Saffron pakowała bagaże, pan Brown zapoznawał się ze szczegółowym opisem śmierci Francisa Courtneya. Zanim doczytał do końca, już wiedział, że musi lecieć do Kairu.

Zorganizowanie podróży zajęło kilka tygodni, ale ostatecznie dostał miejsce w bombowcu RAF-u Liberator, przewożącym dwóch wysokich rangą oficerów na front w Afryce Północnej. Pilot przeleciał nad Zatoką Biskajską, potem nad neutralną Portugalią i wylądował w Gibraltarze. Następnego dnia ruszył na południe, poleciał nad Marokiem, skręcił na wschód, pokonał Saharę i Pustynię Zachodnią, gdzie była południowa strefa wojny, aż znalazł się nad Nilem i lecąc wzdłuż niego, dotarł do Kairu.

Pan Brown pozwolił sobie na dzień odpoczynku, gdyż przebył długą, ryzykowną i męczącą podróż. Udał się do Wysokiej Komisji i zrobił dyskretne rozeznanie. Dowiedziawszy się tego, co było mu potrzebne, wsiadł w pociąg do El Kantara na północnym wschodzie Egiptu, skąd sleepingiem pojechał do Hajfy, leżącej nad Morzem Śródziemnym w Palestynie. Tam znów czekała go przesiadka, ostatnia już, do Jerozolimy.

Doprawdy zadał sobie wiele trudu. Teraz miał się dowiedzieć, czy było warto.

– To bardzo proste, Courtney – powiedział Jumbo, niebawem po tym, jak Saffron zjawiała się w kwaterze głównej brytyjskiej armii, zajmującej całe skrzydło imponującego hotelu King David w Jerozolimie.

Zaprowadził ją do mapy wschodniego basenu Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu.

– Tu jest Kair – powiedział, wskazując dolny prawy róg mapy. – Nie muszę ci tego mówić, prawda? A tuż na wschód od Kairu jest Kanał Sueski, brama do Indii, Dalekiego Wschodu i Australii. Jeśli kiedykolwiek utracimy kontrolę nad kanałem, to będzie koniec imperium brytyjskiego. A Rommel atakuje od zachodu wzdłuż wybrzeża, w kierunku Kairu, i jest trochę za blisko, żebyśmy mogli być spokojni. Szkopy zajęły Grecję i Krete, co oznacza, że teraz mają tylko kroczek, przez wschodni basen Morza Śródziemnego, do Aleksandrii.

– Przecież nigdy nie zdołają dokonać inwazji, skoro jest tam nasza marynarka wojenna, prawda?

– Tak, moja droga, masz rację. Ale popatrz tutaj.

Wskazał laseczką tereny Libanu i Syrii, dokładnie na północ od miejsca, gdzie byli teraz w Palestynie.

– Po ostatniej wojnie przejęliśmy kontrolę nad Palestyną i Transjordanią, a Francuzi położyli swoje lepkie łapy na Syrii i Libanie. Teraz te terytoria mandatowe są pod kontrolą rządu Vichy.

– A Vichy jest niezwykle przychylne Niemcom.

– Czyli...? – powiedział Jumbo, zupełnie jak opiekun naukowy Saffron w Oksfordzie, przeprowadzający ją przez akademicki wywód.

– Mogę o coś spytać, panie generale?

– Strzelaj.

– Jakie wojska ma w tym regionie Vichy?

– Jakies czterdzieści pięć tysięcy oddziałów francuskich, libańskich i syryjskich, blisko sto czołgów, trzysta samolotów i skromne siły morskie: parę niszczycieli i trzy łodzie podwodne. Co ci to mówi?

Saffron podeszła do mapy i przez kilka chwil patrzyła na nią uważnie.

– Jeśli Niemcy zdobędą się na odwagę – powiedziała w końcu – mogą wysadzić swoje wojska tutaj, na przykład koło Sydonu, na południe od

Bejrutu. Albo też mogą popłynąć bardziej na północ, do granicy tureckiej, gdyby chcieli trzymać się z daleka od naszej floty. Tak czy owak, wylądują na terytorium sojuszniczym i połączą się z wojskami Vichy. Potem mogą iść na wschód, w kierunku pól naftowych Iraku i Iranu. A mogą też uderzyć na południe i jeśli pokonają nasze wojska w Palestynie, to ruszą na Kair i Kanał Sueski, a wtedy wezmą nas w kleszcze: oni od północy, Rommel od zachodu.

– Dziewczyna po Oksfordzie, co?

– Tak jest, panie generale.

– Nigdy nie rozważałaś, żeby iść do college'u sztabu generalnego zamiast na uniwersytet? Na Boga, żałuję, że młodzi ludzie pod moją komendą nie mają połowy twoich umiejętności strategicznego myślenia. Mogę spytać, co byś zrobiła w mojej sytuacji?

– Tak jest, panie generale. Zaatakowałabym jak najszybciej i jak najmocniej, zanim Niemcy zdążą choćby kiwnąć palcem.

– I właśnie tak rozkazałem. Nazwali to operacją Exporter. Uderzamy mocno na Francuzów połączonymi wojskami: nasi chłopcy, Hindusi, Australijczycy i nawet Wolni Francuzi.

– Będą walczyć przeciwko swoim rodakom?

– I aż się do tego palą. Ci to dopiero nienawidzą tamtych za zdradę. W każdym razie uderzamy na nich ze wszystkich stron, maszerujemy na Bejrut i Damaszek, a także zabezpieczamy główne rurociągi i porty. Ja dowodzę tym przedstawieniem, oczywiście stąd, ale mnie znasz, lubię wiedzieć, co się dzieje, więc trzeba będzie sporo jeździć. Myślisz, że dasz radę?

– Jak najbardziej, panie generale. Już nie mogę się doczekać.

– Zuch dziewczyna! I zapewniam cię o jednym, Courtney. Tym razem zwyciężymy.

Wilson dotrzymał słowa. Po greckiej katastrofie przyszła seria triumfów lewantyńskich. Pokonanie Vichy – zniszczenie większości ich statków i samolotów – zajęło niewiele ponad tydzień. Dwunastego lipca Saffron znalazła się w starym porcie krzyżowców, Akrze, gdzie w kantine oficerskiej koszar imienia Sydneya Smitha Jumbo zasiadł do rozmów ze swoim francuskim odpowiednikiem, Henrim Dentzem, i grupą pompatycznych, ale całkiem nieskutecznych biurokratów Vichy. Do dziesiątej wieczorem ustalono warunki zawieszenia broni. Kolejne półtora dnia doprowadziło do podpisania traktatu, na mocy którego Brytyjczycy przejmowali kontrolę nad całym francuskim terytorium w Syrii i Libanie. Traktat miał datę czternastego lipca. To był dzień zburzenia Bastylji – francuskie święto narodowe, okazja do demonstrowania patriotyzmu i dumy. Ale tym razem był to dzień żałosnej kapitulacji.

Podobna aliancka kampania doprowadziła do stłumienia narodowościowych powstań w Iraku i zabezpieczenia pól naftowych. To samo planowano w Iranie. Wielkie tereny Bliskiego Wschodu trafiły w ręce aliantów. Na pustyni doszło do sytuacji patowej. Generał Wavell nie zdołał odepchnąć Rommla na pustyni i zniszczyć sił oblegających Tobruk, w wyniku czego został odwołany z funkcji. Ale linie komunikacyjne Rommla tak się rozciągnęły, jego dostawy paliwa, żywności i wody musiały odbywać tak długą i niebezpieczną podróż przez pustynię, zanim dotarły do żołnierzy, że nie było już mowy o jakichkolwiek postępach Niemców.

To wszystko jednak były sprawy uboczne. Rozpoczął się nowy konflikt, przy którym dotychczasowe kampanie tej wojny wydawały się ledwie potyczkami. Hitler zerwał układ pokojowy ze Stalinem i rzucił całą swoją machinę wojenną przeciwko Związkowi Radzieckiemu w operacji o kryptonimie Barbarossa, największej wojskowej operacji w historii wojen.

Zaczęła się rzeź na froncie wschodnim.



– Wiesz, Meerbach, myślę, że jednak możesz mieć rację – przyznał Schrumpp pewnego słonecznego letniego popołudnia, gdy obaj stali przed namiotem służącym za kantinę oficerską, rozbitym na lotnisku pośród niezmiętych pszenicznych pól Ukrainy. – Nawet ja zaczynam się nudzić zabijaniem rusków w tych ich rozpadających się, przestarzałych samolotach. Prawie tęsknię za dniami spitfire'ów i hurricane'ów. Jak się któregoś zestrzeliło, to chociaż był wyczyn.

Gerhard uśmiechnął się szeroko.

– Jeszcze zrobimy z ciebie dżentelmena jak należy!

Eskadra skończyła już loty na ten dzień, lecz z południowego zachodu dało się właśnie słyszeć buczenie silników lotniczych.

– To nie może być żaden z naszych – powiedział Schrumpp. – Hałasuje jak ciocia junkers.

– Pewnie to jakiś ważniak – orzekł Gerhard, bo tylko najwyżsi stopniem oficerowie i dygnitarze partyjni byli przewożeni na front cywilnymi junkersami 52, zarekwirowanymi przez Wehrmacht na potrzeby wojska.

– Myślisz, że powinniśmy coś zrobić, by wyglądać jak na niemieckich oficerów przystało? – spytał Schrumpp, pocierając zarośnięty podbródek.

– Nie zawracałbym sobie tym głowy, raczej nie przylecieli tu dla nas.

Trzysilnikowiec wylądował, pokołował i zatrzymał się. W tym momencie zza wieży kontrolnej – a raczej pozostałości wieży, gdyż wycofujący się Rosjanie usiłowali ją zniszczyć – wyjechał sztabowy kabriolet mercedes i popędził po wyschniętej brunatnej trawie na spotkanie przybyszów.

– Proszę, proszę – powiedział Schrumpp, gdy otworzyły się drzwi w kadłubie i członek załogi ustawił pod nimi rozkładane schodki.

Z samolotu wyłonili się dwaj mężczyźni, jeden w mundurze, drugi w eleganckim garniturze i krawacie, niosący teczkę.

– Co tu robi Brigadeführer SS? – rzucił ze zdumieniem Gerhard.

– To bardzo dziwne. – Schrumpp wzruszył ramionami. – We Francji czy w Grecji prawie w ogóle się ich nie widywało, ale tu rozpełzli się wszędzie. Mówiłem o tym kiedyś z Rolfem. Według niego to nowy rodzaj

jednostek operacyjnych SS. Nazywają się Einsatzgruppen i idą zaraz za wojskiem.

– A co robią?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli to SS, pewnie chodzi o Żydów. Może szuka się dla nich nowego miejsca osiedlenia, o czym teraz trąbią na okrągło. Wysiada się żydków z Rzeszy i spędzi ich na kupę tutaj. Jakby nie było dość zachodu z podbojem Rosji, żeby jeszcze zawracać sobie głowę nimi. A, do diabła z tym! Chodź, stary, może znajdzie się jeszcze jakieś piwo...

Gerhard wszedł do namiotu, zatopiony we własnych myślach, a tymczasem Schrumpp postarał się o piwo i wręczył mu kufel, po czym włączył się w rozmowę z innymi pilotami. Gerhard krzywił się za każdym razem, gdy Schrumpp albo inni piloci w eskadrze mówili „żydki” czy „parchy”, ale w porównaniu z większością był starym weteranem, przekroczył trzydziestkę. Młodszych karmiono nazistowską propagandą od czasów szkolnych. Nie znali nic innego. Jednak Schrumpp miał rację, ta kampania była inna.

Kiedy najechali Francję, nikt nie twierdził, że Francuzi są niższą rasą. To byłby absurd. Ale od pierwszej chwili, gdy się dowiedzieli, o co naprawdę chodzi w operacji Barbarossa, kampanię przedstawiano jako wojnę między rasami: szlachetni aryjscy Niemcy przeciwko podludziom, Słowianom i Żydom. Filmy propagandowe pełne były wizerunków brzydkich, podejrzanie wyglądających ludzi z haczykowatymi nosami, którzy całkowicie pasowali do stereotypu złego, kłamliwego, wiecznie spiskującego Żyda. I chociaż te słowa nigdy nie zostały wypowiedziane na głos, język całej NSDAP był jednoznacznie destrukcyjny. Oto ludzie, których nie tylko należy pokonać i zniewolić. Mają być starci z powierzchni ziemi.

Gerhard nie potrafił sobie wyobrazić, co to faktycznie znaczy. Jak można pozbyć się całej rasy? To nie mieściło mu się w głowie. Wiedział jednak, że nie zniesie życia w świecie rządzonym wedle takich przekonań. I nie miał pojęcia, jak kiedykolwiek mógłby połączyć się z Saffron, jak mogliby żyć w takim świecie, nawet jeśli nastanie pokój. Oczywiście zadawanie się z wrogiem podczas wojny było nie do pomyślenia. Ale Gerhard czuł, że w razie zwycięstwa nazistów podbite narody – poniżone, wykorzystywane i zniewolone – na zawsze pozostaną wrogami Niemiec. Nie byłoby mowy o miłości, nie mówiąc już o małżeństwie.

Co ja mam zrobić? – wciąż zadawał sobie pytanie.

Zawsze uważał, że walczy nie dla Hitlera, tylko dla Niemiec. To nie hańba służyć własnemu krajowi. Ale czy jeszcze była jakaś różnica między nazizmem a Niemcami? A jeśli jej nie było, to co, na litość boską, miał zrobić porządny człowiek?

Saffron w białym dwuczęściowym kostiumie kąpielowym leżała przy basenie w hotelu King David, czytała *Rebekę* i sączyła piwo, odstawiając szklankę do kubelka z lodem, żeby ciągle było chłodne. Piwo ją usypiało, więc odłożyła książkę na kafelki, obok leżaka, i wyciągnęła się wygodnie. To był jej pierwszy wolny dzień po tygodniach gorączkowej aktywności. Popołudniowa drzemka wydawała się szczytem rozkosznego luksusu.

Już prawie zasypiała, gdy dobiegł ją znajomy głos:

– Cześć, Saffron. Nie całkiem jak Oksford w listopadzie, prawda?

Usiadła, lekko, ale gwałtownie potrząsnęła głową, by się ocknąć, i podniosła rękę, osłaniając oczy.

– Dzień dobry, panie Brown – powiedziała. – Mam nadzieję, że nie przebył pan tej całej drogi ze względu na mnie.

Posłał jej ten swój enigmatyczny uśmiešek.

– Mogę? – zapytał, siadając na krawędzi sąsiedniego leżaka.

Przyglądał jej się na swój niepokojąco bezpośredni sposób. W jego wzroku nie było nic erotycznego czy groźnego, jednak nie czuła się swobodnie.

– Ależ proszę – odrzekła, zbierając myśli.

Pan Brown był elegancki jak zwykle. Zmienił ciemny wełniany garnitur, który nosił w Anglii, na taki z jasnego lnu, ale mimo upału nie zrezygnował z koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i krawata. Założył z powrotem kapelusz panamę, który uprzejmie zdjął na przywitanie, i siedział bez słowa, zadowolony z siebie.

Saffron się rozejrzała. Jej lekka bawełniana tunika leżała zwinięta za torebką.

– Pozwoli pan, że coś na siebie włożę?

– Oczywiście – powiedział pan Brown, nie odrywając od niej wzroku.

– Czy zechciałby pan patrzeć gdzie indziej?

– Przepraszam, co za nietakt z mojej strony.

Saffron chwyciła tunikę, którą kupiła w Kairze, na ulubionym straganie swojej babki, i wciągnęła ją przez głowę. Sięgnęła do torebki, wyjęła puderniczkę i przejrzała się w lusterku. Wsunęła kilka kosmyków włosów pod przepaskę na głowie i umalowała usta. Nałożenie barw wojennych przed wymianą słownych pocisków to było to.

Tymczasem pan Brown zauważył kelnera i skinął na niego.

– Poproszę herbatę Lapsang Souchong, jeśli macie, a jeśli nie, to earl greya. Bez mleka, bez cukru, ale z kilkoma plasterkami cytryny. Dziękuję. – Odwrócił się do Saffron. – Słyszałem o tym wypadku z twoim stryjem – powiedział bez żadnych wstępów. – Imponujące.

– Doprawdy... a dlaczego?

– Hm, wiedziałem, że masz hart ducha, który po odpowiednim przeszkoleniu można wykorzystać w tego rodzaju zadaniach. I dwukrotnie pokazałaś godną podziwu odwagę i opanowanie w starciu. Ale nie myślałem, że jesteś zdolna tak skutecznie, wyłącznie własnymi siłami, zaplanować morderstwo, dokonać go z zimną krwią i jeszcze się z tego wymigać.

– To nie było morderstwo, działałam w obronie własnej. Zostałam zaatakowana – odparła Saffron tak spokojnie, jak tylko mogła, chociaż puls jej przyspieszył na samo słowo „morderstwo”.

– No proszę, to dowodzi, że mam rację. Właśnie oskarżyłem cię o przestępstwo zagrożone karą śmierci, a ty jakby nigdy nic patrzysz mi oczy i spokojnie zaprzeczasz.

– Wie pan, zabijanie nie sprawia mi przyjemności.

– Mam nadzieję. Inaczej byłabyś psychopatką, a tego byśmy nie chcieli. Psychopaci nie są godni zaufania. Zawsze przedkładają własne zachcianki nad obowiązki. Ale dość tej amatorskiej psychologii... Wyświadczyłaś nam wielką przysługę. Od dawna wiedzieliśmy, że twój stryj ma wielu bardzo niepożądanych przyjaciół. Wszystko to było jakoś do zniesienia przed wojną, ale nie jest teraz. Twój stryj był stuprocentowym zdrajcą. Sądzimy, że to on stoi za napadem na twojego stryja Davida.

– Myślałam, że to było morderstwo rabunkowe.

– Tak miało wyglądać. W każdym razie, jak już pewnie sama to zrozumiałaś, nie mogliśmy pozwolić na ujawnienie, czym drogi stryjasek Frank zasłużył się Herr Hitlerowi. Był tylko jeden sposób rozwiązania tej sytuacji i ty po niego sięgnęłaś.

– Ojciec nie wie – powiedziała Saffron, zdziwiona tym, jak swobodnie jej się rozmawia z panem Brownem o strasznym czynie, który popełniła.

– Uwierzył w moją wersję. Wolałabym, żeby tak zostało.

– Oczywiście... Ale skoro mowa o twoim ojcu, czy wspominał ci o mnie?

– Tak. Powiedział mi, że zrobił pan z mojej matki szpiega. I powiedział mi, co musiała zrobić.

– Hm... – mruknął z namysłem pan Brown. Po czym nagle jego twarz rozjaśniła się i wykrzyknął: – Ach! Jest herbata, znakomicie!

Kelner przysunął stolik, postawił na nim herbatę i już miał ją nalać z czajnika do filiżanki, gdy pan Brown uniósł rękę.

– Nie, dziękuję, wolę to zrobić sam.

Mężczyzna uniósł brwi. Saffron rzuciła kilka słów po arabsku, dodając parę gestów, aż zrozumiał, o co chodzi.

– Aha, dobrze – powiedział i odszedł.

Pan Brown chwilę się krzątał, przygotowując sobie herbatę dokładnie tak, jak lubił.

– Jakimi językami władasz? – spytał, nadal zajęty herbatą, nie patrząc na Saffron.

– Z języków afrykańskich mówię płynnie w suahili, porozumiem się po masajsku, znam trochę afrykanerski i arabski, chociaż nie czytam ani nie piszę po arabsku. Po niemiecku potrafię przeczytać gazetę i swobodnie rozmawiać, ale z pewnością nie mogłabym uchodzić za Niemkę.

– Jeszcze nie – powiedział pan Brown. – Ale twojej matce się to udało.

– Chce pan, żebym zrobiła to co ona? To dlatego pan tu jest? Tylko ja na pewno tego nie zrobię.

– Ani przez chwilę nie myślałem, że mogłabyś to zrobić. Jestem tu ze względu na nieco inną sprawę. – W zamyśleniu wypił łyk herbaty, wyraźnie skupiając się na jej walorach smakowych. Mruknął z aprobatą i podjął: – Jakiś rok temu pan Hugh Dalton, minister wojny ekonomicznej, zezwolił na stworzenie jednostki, oficjalnie nazwanej Połączony Zarząd Techniczny. Jest to nazwa, którą można umieścić na liście proponowanych wydatków albo na drzwiach biura, i nikt nie będzie miał pojęcia, o co chodzi, ani nawet nie zwróci na nią uwagi.

– Bo to pewnie nudziarstwo.

– Owszem, ale część z niewielu, choć coraz liczniejszych członków tej jednostki ma dla niej trafniejszą nazwę. Mówią na nią Ministerstwo Niedzentelmeńskich Działań Wojennych.

Saffron się roześmiała.

– To brzmi zabawniej.

– Cieszę się, że tak myślisz. Teraz pozwól, że powiem ci prawdę o prywatnej armii pana Daltona. Jej prawdziwa nazwa to Kierownictwo

Operacji Specjalnych, SOE. Jej celem jest przerzut do okupowanej Europy agentów, którzy mają nawiązywać kontakty z grupami oporu, budować siatki szpiegowskie, prowadzić rozpoznanie pozycji i operacji nieprzyjaciela, podejmować akcje sabotażowe i w szczególnych przypadkach zabijać drani, których śmierć ocali życie wielu niewinnym ludziom.

– I pan myśli, że się do tego nadaję.

– Wiem, że się nadajesz. Misje, których podejmą się ludzie z SOE, będą skrajnie niebezpieczne. Ryzyko, że zostaną schwytani, torturowani przez Gestapo i wysłani do obozów koncentracyjnych lub po prostu zastrzeleni, jest tak wielkie, że bliskie pewności. Dlatego moim zadaniem jest rekrutacja najbardziej uzdolnionych intelektualnie i fizycznie młodych mężczyzn i kobiet, jakich ma nasz naród. Potem należy tak ich wyszkolić, aby mogli poświęcić życie dla kraju. Robię to, bo wiem, że misje, których się podejmą, będą miały wyjątkowe znaczenie i życie tych ludzi nie zostanie zmarnowane, ich ofiara nie będzie daremna.

– Czy próbuje pan apelować do mojego patriotyzmu? – zapytała Saffron. – Nie wiem, czy mam go aż tyle.

– Nie, apeluję do twojego poczucia moralności. Myślę, że jesteś z gruntu moralną osobą, panno Courtney.

– Przychodzi mi na myśl co najmniej jeden człowiek, który by się z tym nie zgodził. – Saffron uderzyła w ton gorzkiej kpiny, nie spodziewając się, że zostanie zrozumiana, ale nie doceniła pana Browna.

– Masz na myśli Fräulein von Schöndorf?

Saffron od razu skojarzyła, o czym pan Brown mówi.

– Skąd pan wie? Jakim cudem?

– Możesz mi nie uwierzyć, ale byłem na jakimś weselu, gdy usłyszałem, co naprawdę zaszło w St. Moritz. Dwie głupiutkie młode panie plotkowały o tobie i pewnym mężczyźnie. Jak później odkryłem, był to Gerhard von Meerbach.

– I teraz zamierza pan to wykorzystać przeciwko mnie?

– Ujmujesz to bardzo ostro. Ale pozostaje faktem, że miałaś romans, i jestem niemal pewny, że nadal go w jakiś sposób kontynuujesz, a ów mężczyzna to potomek jednej z wielkich przemysłowych niemieckich dynastii, którego brat jest wysokim oficerem SS.

– Dobrze wiem, jaką rangę ma Konrad Meerbach i czym się zajmuje. I sądzę, że pan wie, jak bardzo może mi pan utrudnić życie. Więc podejrzewam, panie Brown, że przyjechał pan tu, myśląc, że jeśli nie

dam się nakłonić do udziału w tym waszym przedstawieniu Niedźmielmeńskich Działań Wojennych pochlebstwami, to może odniesie skutek mały szantażyk. Ale się pan spóźnił. Nie może pan wykorzystać Gerharda von Meerbacha jako broni przeciwko mnie. On nie żyje.



Ha! Ale cię zaskoczyłam, co? – pomyślała Saffron.

Musiała przyznać, że w równym stopniu zaskoczyła samą siebie. Nie zamierzała użyć fałszywego raportu o śmierci Gerharda jako taktycznej zagrywki, ale nagle uświadomiła sobie, że jeśli Gerhard rzeczywiście nie żyje, to Brown nie mógłby go wykorzystać przeciwko niej.

Sięgnęła po torebkę.

– Mieliśmy kanał łączności. Był długi, kręty, a wiadomości szły wieczność, ale funkcjonował. W ten sposób się dowiedziałam...

Wyjęła telegram i dała go panu Brownowi do przeczytania.

– Widzi pan, on nie żyje. Spędziliśmy razem kilka dni w Szwajcarii na początku trzydziestego dziewiątego, a potem jeszcze Wielkanoc w Paryżu. Nie zrobiliśmy nic złego, bardzo się kochaliśmy i gdyby ta koszmarna wojna nie wybuchła, wzięlibyśmy ślub. Ale teraz on nie żyje, więc nie ma o czym mówić. *Kaputt*.

– Panno Courtney, naprawdę jest mi ogromnie przykro – powiedział pan Brown.

– Niepotrzebnie. Nie szantażował mnie pan i na pewno nie zabił pan Gerharda. A teraz co do zajęcia, o którym mówiliśmy... Przyjmuję ofertę. Chcę się do czegoś przydać, tak jak moja matka w poprzedniej wojnie. Jestem bardzo wdzięczna generałowi Wilsonowi, że pozwolił mi być swoim szoferem, ale teraz wiem, że stać mnie na więcej. Sądzę, że udowodniłam to również panu.

– Niewątpliwie, panno Courtney.

– W takim razie może pan na mnie liczyć. Mam tylko jedną prośbę.

– Słucham.

– Zanim się podpiszę na tym wykropkowanym miejscu, chciałabym polecieć do domu, do Kenii. Jeśli mam ryzykować głową, to najpierw koniecznie muszę z kimś porozmawiać.

Gerhard wracał z lotu bojowego – był nad Kijowem i przekraczał Dniepr na wysokości nie większej niż trzysta metrów, cały czas się zniżając, gdy zbliżali się do opuszczonej radzieckiej bazy powietrznej, nowego domu eskadry.

Przelatywał właśnie nad otwartym terenem na obrzeżach miasta, kiedy coś przyciągnęło jego uwagę. Przysiągłby, że zobaczył długi szereg zupełnie nagich kobiet i stojących po każdej stronie uzbrojonych żołnierzy. Dalej był długi, częściowo zapełniony rów. Czyżby trupami? – pomyślał. Niemożliwe. A może... jednak?

Po wylądowaniu zapytał kilku pilotów, czy to widzieli.

– Ja nie, kapitanie – powiedział Willi Kempen. – Może chodzi o coś z Einsatzgruppe. Przyjechali kilka dni temu. Słyszałem, że wywieszono ogłoszenia wzywające żydków, by zebrali się przy cmentarzu dzisiaj o ósmej rano. Mieli przynieść pieniądze, dokumenty, ciepłe ubrania... wyglądało to tak, jakby ich gdzieś przewożono.

– Słyszałem, jak kilka dni temu major Wehrmachtu kłócił się z którymś draniem z SS – powiedział Schrumpp.

– Rany, Berti, uważaj, co mówisz! Nie wiesz, że brat naszego szlachetnie urodzonego kapitana eskadry jest w SS?

– To prawda – potwierdził Gerhard. – Ale też jest draniem do kwadratu.

Kiedy śmiech ucichł, Schrumpp wrócił do swojej opowieści:

– No więc ten major mówił: „Kto będzie wykonywał tę całą robotę, jak wybijecie wszystkich moich Żydów? Potrzebuję stolarzy do naprawy wozów, mechaników do ciężarówek. Jak mam dostarczać zaopatrzenie chłopakom na froncie, jeśli nie będę mógł reperować moich cholernych ciężarówek?”.

– No i co na to esesman? – spytał Gerhard.

– Powiedział, że ma w dupie wozy i ciężarówki. Jego oddział dostał rozkaz, żeby wytłuc wszystkich żydków w Kijowie, co do jednego, i koniec dyskusji. „Jak ci się nie podoba, wyślij zażalenie do Reichsführera Himmlera”. Tak dokładnie powiedział.

Później, po południu, Gerhard uważnie przyjrzał się mapie pobliskich terenów. Obszar, nad którym leciał, był oznaczony jako Babi Jar.

W myślach określił jego pozycję względem lotniska, po czym poszedł do Rolfa i poprosił o zezwolenie na krótki lot ćwiczebny.

– Chcę tylko sprawdzić klapy prawego skrzydła. Rano jakby ciężko chodziły. Jeśli coś jest nie tak, lepiej, żeby obsługa naziemna zrobiła z tym porządek przed jutrzejszym lotem bojowym.

– Po co? Możesz lecieć bez klap, rusek i tak cię nie zestrzeli!

Gerhard zbył to milczeniem.

– No dobra, leć – powiedział Rolf. – Ale się uwiń. Nie możemy spalać paliwa z byle powodu.

Gerhard wszedł do samolotu. Zrobił mały pokaz akrobacji lotniczych na użytek przypadkowego widza na ziemi – nie żeby się popisywać, ale po prostu tak, jakby sprawdzał działanie samolotu. Wyszedł z ostatniego lotu nurkowego, wyrównał na niecałych stu metrach, po czym zdusił przepustnicę, zmniejszając prędkość do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, tak by nie zgasł silnik. Teraz mógł dokładnie widzieć, co działo się w dole. Zdał sobie sprawę, że rów wykopano w jarze. Był wypełniony trupami, prawdopodobnie Żydów, spiętrzonymi tak wysoko, że niemal wystawały poza krawędź. Gerhard zobaczył nagich mężczyzn i nagie kobiety, prowadzonych nad brzeg wielkiej rozpadliny, gdzie stanęli w długim szeregu. Potem zobaczył, jak esesmani przykładają Żydom pistolety do głowy, jednemu po drugim, i strzelają, a ofiary, z roztrzaskanymi czaszkami, spadają do dołu.

Trzykrotnie przeleciał nad tym terenem. Za trzecim razem pomachał skrzydłami, jakby gratulował mordercom w dole świetnej roboty: eksterminacji ukraińskich Żydów. Skierował się z powrotem do bazy.

– Klapy w porządku, panie kapitanie? – spytał mechanik, kiedy Gerhard wysiadł z kabiny.

Gerhard kiwnął głową.

– Tak – zdołał wykrztusić, z trudem zdobywając się na krzywy uśmiech.

Poszedł do baraku, w którym był zakwaterowany, udał się prosto do toalety i zaczął wymiotować do umywalki. Kiedy miał już całkiem pusty żołądek, otarł usta, po czym ruszył do kantyny oficerskiej, gdzie kompletnie się upił, na ponuro, siedząc sam i opędzając od kolegów.

Dali mu spokój. W tym czasie wielu żołnierzy miało powody, by oteplić się alkoholem. Gerhard wydawał się jednym z licznych przypadków i nikt nie miał mu tego za złe. Opróżnił butelkę i zdał sobie sprawę, że to, co zobaczył w Babim Jarze, chociaż działo się daleko od

Rzeszy, poza oczami narodu, było prawdziwą twarzą nazistowskiego imperium, prawdziwą wiarą, która pewnego dnia będzie wyznawana w niewiarygodnie ogromnej hali, nad której projektem tak długo pracował. To był mrok duszy Hitlera wydobyty na światło dnia, szalejący w świecie.

Izzy się mylił. Nie było już różnicy między nazizmem a Niemcami. Żaden uczciwy człowiek nie mógł powiedzieć, że walczy o honor i dumę Niemiec, bo teraz Niemcy należały do Hitlera. Wódz triumfalnie zwyciężył. Wszyscy byli jego niewolnikami, jego żołnierzami, jego narodem, którym dysponował wedle swojej woli.

Następnego dnia Gerhard czekał na pasie startowym, przed lotem bojowym, modląc się, by pigułki, które wszyscy brali na pobudzenie, zadziałały, nim zaśnie za sterami. Całą noc przeleżał bezsennie, nie zmrużywszy oka, i w ciemnościach postanowił sobie: wolę zginąć, niż żyć w świecie Adolfa Hitlera. Dopóki on żyje, nie ma nadziei dla mnie, dla Saffron i dla naszej miłości. Muszę więc poświęcić się zniszczeniu jego i jego kohort. Od dziś to będzie głównym celem mojego życia.

Teraz świtał nowy dzień i nic się nie zmieniło. Gerhard von Meerbach już zdecydował, że poświęci życie uwolnieniu Niemiec i świata z morderczych szponów nazizmu. Nie miał pojęcia, jak to zrobi ani kto będzie jego sojusznikiem. Wiedział tylko, że musi to zrobić. I z tą ponurą myślą wyrównał na pasie, skierował nos messerschmitta ku wschodowi i odleciał w pierwsze promienie wstającego słońca.

Saffron wyruszyła przed świtem. Patrzyła na górę, jak wylania się z ciemności, oddziela od gigantycznego zrębu Wielkiego Rowu, lśniąc w złotym blasku wschodzącego słońca, po czym ukazuje się w całym majestacie, gdy wokół niej rzednie mgła. Paliwo było racjonowane i Saffron nie mogła jechać samochodem, a przelot był poza dyskusją. Ale cieszyła się całodniowym marszem, który doprowadził ją na odległość ośmiu kilometrów od góry, i nocą spędzoną pod gwiazdami. Z każdym krokiem i z każdym wciągnięciem w płuca kenijskiego powietrza czuła się coraz bardziej u siebie. Przez pierwsze kilka godzin mijała ziemie uprawne i plantacje, od czasu do czasu przystawała, by zamienić słowo z pracującymi na nich robotnikami. Okazało się, że błyskawicznie przypominała sobie afrykańskie języki, podobnie jak imiona i twarze napotykanym ludzi. Wielu znała z najwcześniejszego dzieciństwa i witali ją niczym dawno utraconą siostrę, a stojący przy niej Manyoro pęczniał z dumy, jak każdy ojciec, którego córkę przyjmowano by tak serdecznie.

Była zachwycona szerokimi uśmiechami, szczerą radością i żywiołowymi emocjami, z jakimi spotykała się w drodze. To cudowne afrykańskie ciepło stało w ostrym kontraście z drętwym, sztywnym i powściągliwym zachowaniem osób, których wiele poznała w Anglii. Nie przeszkadzało jej nawet to, że wszystkie starsze kobiety natrętnie wypytywały ją, czy ma już męża, a jeśli tak, to ilu synów mu dała. Były nieodmiennie wstrząśnięte, dowiadując się, że jest samotna i bezdzietna. Saffron raz za razem tłumaczyła, że bardzo chciałyby mieć dzieci, ale trwa wojna, a ona jest zbyt zajęta, służąc ojczyźnie, by znaleźć czas na małżeństwo i macierzyństwo.

Na to Manyoro pokręcił głową, okazując swoje zdumienie i smutek i zgadzając się z tymi wszystkimi masajskimi kobietami, że doprawdy, głupota upartych dziewcząt nie zna granic. Lecz obiecywał, że nagada do słuchu bratanicy i przypomni jej, na czym polega prawdziwy kobiecy obowiązek.

Wcześniej się uparł, że będzie jej towarzyszył. „Jesteś córką mojego brata, mała księżniczko – powiedział. – Idziesz się spotkać z moją matką. Oczywiście, że muszę iść z tobą, zapewnić ci bezpieczeństwo. Żaden

człowiek ani żadne zwierzę nie ośmieli się zrobić ci krzywdy, kiedy będę szedł u twojego boku”.

Ze swej strony Saffron była przeszczęśliwa, mając towarzystwo Manyora. Była dumna ze swojej niezależności i wiedziała, że potrafi jak mężczyzna wybrnąć z kłopotów, podjąć nawet najtrudniejsze decyzje i żyć z ich konsekwencjami. Czowała się jednak cudownie bezpieczna pod ochroną drugiego ojca, którego miłość była tak ciepła i opiekuńcza jak przytulny kominek w mroźny zimowy dzień.

Wiedziała również, że chociaż posiadłość Lusima prawnie należała do Leona Courtneya, a dochody z farmy trafiały na jego rachunek bankowy, to w gruncie rzeczy Manyoro był tu królem. Cały personel posiadłości i wszystkie rodziny witały go z głębokim szacunkiem, należnym monarsze, a on odpowiadał ze stosowną, królewską miną człowieka, który kocha wszystkich poddanych, lecz wciąż pozostaje ich władcą.

Mimo to nie był królem w pełni zadowolonym.

– Czy uwierzysz, że kiedy zgłosiłem się do służby w Królewskich Strzelcach Afrykańskich, odrzucono mnie, bo niby jestem za stary? Ha! Spójrz na mnie, czy wciąż nie jestem potężnym wojownikiem?

– Oczywiście, wujku Manyoro, jesteś najpotężniejszym z wojowników – przyznała Saffron, zachowując na twarzy powagę. Faktycznie prezentował się znakomicie, mimo że musiał już mieć z siedemdziesiąt kilka lat. – To skandal i hańba, że ci durnie odwrócili się do ciebie plecami. Ale też, jak pewnie dobrze wiesz, mój ojciec nigdy nie krył pogardy wobec dowództwa regimentu.

Manyoro skinął głową.

– To szczerza prawda. I miał powód, by czuć się skrzywdzony, bo to obłudne szakale, które zdradziły go kłamstwami i niesprawiedliwością.

– A więc nie powinieneś brać tego osobiście. Ci ludzie nie są ciebie warci. A zresztą twój lud by cierpiał, gdybyś poszedł na wojnę. On cię potrzebuje. A my potrzebujemy warzyw i owoców, które oni tu uprawiają, i mięsa bydła, które hodują. Wierz mi, wujku, mojemu ludowi doskwiera głód. Są atakowani ze wszystkich stron. Potrzebują tej żywności, którą możecie im dać. Więc ty i twoi ludzie z Lusimy wyświadczacie królowi i imperium wielką przysługę.

– Widzę, że z twoich ust płynie prawda, księżniczko – powiedział Manyoro – i dziękuję ci za nią. Wiem, że twoja matka patrzy teraz z wysoka na ciebie i jej serce wzbiera dumą, że córka wyrosła na taką

wspaniałą, dzielną kobietę. I wiem, że moja matka też będzie przepełniona radością, gdy znów cię zobaczy, bo jesteś również jej wnuczką.

Kiedy słońce pięło się ku zenitowi, Saffron wkroczyła z Manyorem na górski szlak, mijając linię chmur, wyznaczającą granicę, za którą sucha roślinność sawanny niższych zboczy ustępowała bujnym górkim lasom, nieustannie nawadnianym przez mgły i deszcze. W miarę jak zbliżali się do szczytu, Saffron czuła, że radość wzbiera w sercu Manyora, niczym czysta źródłana woda bijąca z czarnej bazaltowej skały, bo szedł do miejsca swojego urodzenia, najprawdziwszego domu.

Pokonali ostatni, najbardziej stromy, odcinek wspinaczki i znaleźli się na szczycie góry, na płaskowyżu. Teraz okrzyki zachwytu były przeznaczone wyłącznie dla Manyora. Małe dzieci biegały u jego stóp, witając go po imieniu, bo były jego prawnukami, i rozpierała go duma, że jest ich tak wiele, że są takie zdrowe i dobrze odżywione. Saffron gościła tu wcześniej i została przedstawiona Lusimie Mamie, ale to było jeszcze przed wyjazdem do Roedean, więc mogła mieć najwyżej jedenaście, dwanaście lat, za mało, by w pełni potrafiła zrozumieć wagę tego wydarzenia czy też docenić pozycję tej starszej kobiety.

Ale teraz była dorosła. Tak więc gdy Manyoro poprowadził ją między drzewami w zacienione miejsca, gdzie obecnie jego matka lubiła spędzać dni, siedząc na tronie wyciętym z pniaka potężnego drzewa, oniemiała z wrażenia na widok tego, co zobaczyła.

Lusima Mama była tak wiekowa, że nie mogłyby tego opisać żadne definicje starości. Nie wstała na powitanie, tylko uniosła rękę, aby Saffron mogła ją ująć, i nieco przechyliła głowę, nadstawiając policzek do pocałunku. Saffron leciutko musnęła wargami jej skórę i poczuła, że jest ciepła i sucha, delikatna niczym nitki babiego lata lub najcieńszy jedwab. Kości jej palców wydawały się tak lekkie i kruche, że Saffron bała się, iż je złamie przy najlżejszym uścisku. I chociaż kończyny Lusimy pozostały długie i proste, a rysy twarzy zachowały wykwinętą elegancję, sprawiała wrażenie nie tyle osoby z krwi i kości, ile eterycznej postaci, jak królowa elfów z afrykańskiej baśni.

Manyoro dyskretnie odszedł, by kobiety mogły zostać same. Lusima uśmiechnęła się i przesunęła w bok, robiąc miejsce na siedzisku.

– Chodź, spocznij obok mnie, moje dziecko.

Saffron usiadła bez jednego słowa. Każda cząstka intuicji podpowiadała jej, że najlepiej będzie, jeśli Lusima sama poprowadzi

rozmowę. Saffron poddała się badawczemu spojrzeniu ciemnych oczu, które nie straciły nic ze swojej przenikliwości, aż Lusima z uśmiechem się odezwała:

– Jesteś córką godną swoich rodziców. Masz urodę i odwagę matki oraz siłę i waleczność ojca. Chętnie poznałabym tego, kogo tak bardzo kochasz. To doprawdy musi być wyjątkowy mężczyzna.

Saffron wiedziała z opowieści ojca o jego pierwszym spotkaniu z Lusimą Mamą, że potrafi ona zbić z pantałyku, niespodziewanie pokazując, iż wie wszystko, zanim padnie choć słowo, jednak nie mogła się powstrzymać i zapytała:

– Skąd... skąd wiesz?

Lusima Mama się roześmiała.

– Mam moc widzenia rzeczy, których inni nie widzą. Ale nie muszę ich widzieć, by mieć pewność, że kogoś kochasz. A żaden mężczyzna nie zdoła osiąść miłości młodej lwicy, jeśli nie jest jej prawdziwie wart.

– Dziękuję ci, Lusima Mama – powiedziała Saffron uroczyście, tak jak na to zasługiwała ta czcigodna kobieta. – Jesteś tyleż dobra, co mądra. Na pewno nie należą mi się tak wspaniałe komplementy. I oczywiście masz rację. Kocham kogoś i on jest dobrym, silnym, przystojnym mężczyzną.

– I zaspokaja cię, prawda?

Saffron poczuła, że czerwieni się jak uczennica.

– Tak – potwierdziła, bardzo się starając nie zachichotać. – Jak lew.

– Ale teraz wojna was rozdzieliła i znaleźliście się po przeciwnych stronach, jako że jego plemię walczy przeciw twojemu.

– Tak, i nie wiem, co robić. Czuję, że powinnam służyć mojemu krajowi. Ale nie chcę umrzeć... Nie dlatego, że się boję. Muszę tylko żyć ze względu na niego. Więc jestem rozdarta.

Lusima pokręciła głową.

– Nie, nie jesteś rozdarta. Może w głowie masz różne myśli, ale twoja dusza wie, co należy robić. I znów nie potrzebuję transu ani mocy wróżebnych, by to zobaczyć. To oczywiste. Musisz być gotowa dla swojego mężczyzny, tak jak on jest gotowy dla ciebie. Ale jak mogłabyś być go warta, gdybyś wybrała drogę tchórza? Pamiętaj, dziecko, to lew jest myśliwym w stadzie. Ty też jesteś myśliwym. Taka jest twoja natura i nie wolno ci występować przeciwko niej. Teraz podaj mi rękę.

Tym razem to Lusima objęła dłoń Saffron i pogładziła jej grzbiet.

– Nie robiłam tego od wielu lat – szepnęła. – Wiedziałam, że mam siłę tylko na jedną, ostatnią podróż i że poczuję, kiedy się w nią udać...



– Ale Lusima Mama... – zaprotestowała Saffron.

– Pst, dziecko, jesteś światłem życia mojego syna M'Bogo. Robię to przez wzgląd na was oboje...

Umilkła i przymknęła powieki.

Wydawało się, że cisza trwa wieczność, aż w końcu Lusima Mama otworzyła oczy i przewróciła gałkami, tak że widać było tylko białka. Rozpoczęła wróżby, kołysząc się do rytmu jakby innego świata, a gdy przemówiła, to nie głosem staruszki, lecz głosem chrapliwym, monotonnym i niskim, bardziej męskim niż kobiecym.

– Będziesz kroczyć obok śmierci, ale przeżyjesz... Widzę ciebie, ale nie mogę dostrzec lwa. Jest blisko, lecz nierozpoznawalny. Będziesz go szukać, ale jeśli go znajdziesz, to tylko wtedy, gdy zaprzestaniesz poszukiwań, i jeśli go zobaczysz, nie poznasz go, bo będzie bezimienny i nieznany, a jeśli twoje oczy padną na jego oblicze, nie ujrzą go, bo nie będą wiedzieć, że ono należy do niego. A jeśli będzie żył, to jakby umarły. A jednak... a jednak... musisz go szukać, bo jeśli jest mu pisane ocalenie, to tylko ty możesz go ocalić.

Głos, który nie był głosem Lusimy Mamy, umilkł; stara kobieta znów zastygła, a potem zamrugła, jakby się otrząsała ze snu, utkwiała wzrok w Saffron i uśmiechnęła się.

– Teraz wiesz wszystko, co może być wiadome, moje dziecko – powiedziała.

– Nie ujrę jej więcej, a przynajmniej nie w tym życiu – powiedział Manyoro, gdy razem z Saffron wracał górskim szlakiem.

– Nie, to nie porządku – odparła Saffron, nie potrafiąc znieść myśli, że mogła przyspieszyć śmierć Lusimy Mamy.

– To nie sprawa „w porządku” czy „nie w porządku”. Takie po prostu jest życie, które się kończy, kiedy musi się skończyć. Mama chciała ci uświadomić, że to, co wydarzy się dzisiaj, zawsze musiało się wydarzyć. I rzecz nie w tym, że śmierć była jej pisana, kiedy ty się tu zjawisz, ale w tym, że było jej pisane żyć tak długo, aż się tu zjawisz.

Saffron kiwnęła głową, uznając tę nieuniknioną, choć nie do końca zrozumiałą prawdę zawartą w słowach Manyora.

– Mam nadzieję, że dowiedziałaś się tego, co chciałaś wiedzieć – dodał.

– Tak – odrzekła Saffron. – Dowiedziałam się, że mój ukochany i ja zostaliśmy stworzeni dla siebie. Wiem, że naszym przeznaczeniem jest być razem. I wiem, że jego los może się spełnić tylko wtedy, gdy ja do tego doprowadzę. I zrobię to, Manyoro. Przysięgam ci... zrobię.

# Przypisy

[1](#) Z arabskiego: oszczep.

[2](#) Tłum. Jakub Karol Parnas.

[3](#) Dosł. „duch ekstazy”, emblemat marki Rolls-Royce, mający postać uskrzydłonej kobiety.

[4](#) Mowa o samolocie Sopwith Camel (*camel* – wielbłąd).

[5](#) *Kaffir* (afrykanerski) – negr; *rooinek* (afrykanerski) – dosł. „czerwony kark”, pogardliwie o Angliku.

[6](#) Internationaler Sozialistischer Kampfbund – Międzynarodowa Socjalistyczna Liga Walki, odłam Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD).

[7](#) Tłum. Stanisław Barańczak.

[8](#) William Butler Yeats, *Drugie przyjście*, tłum. Stanisław Barańczak.